

ROČZNIK
ŁWOWSKI
2017



ROCZNIK LWOWSKI
2017

**ROČZNIK
ŁWOWSKI
2017**

**INSTYTUT LWOWSKI
Warszawa**

Projekt okładki i strony tytułowej
Jerzy TREUTLER

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

przy wsparciu Polonia aid Foundation Trust w Londynie

Redaguje kolegium:

Oskar Stanisław CZARNIK, Andrzej MIERZEJEWSKI,
Krzysztof SMOLANA, Janusz WASYLKOWSKI (redaktor naczelny)

Adres redakcji:

01-390 Warszawa, ul. Sucharskiego 4 m. 83

Tel.: (22) 664-54-42

© Copyright by Instytut Lwowski, Warszawa

ISSN 1230-0829

Druk, skład i oprawa:

WEDA sc

ul. Człuchowska 66 lok. 11, 01-360 Warszawa

tel.: 22 666 2000

SPIS TREŚCI

Jubileusz7

I. Rozprawy, szkice, przyczynki historyczne

Maciej Miśkowiec – Wielkość i tragizm Rudolfa Weigla11

Krzysztof Stopka – Początki biskupstwa ormiańskiego
we Lwowie47

Rok Ormian Polskich 201755

Przemówienie Bogdana St. Kasprowicza w katedrze na Wawelu
20 stycznia 2017 r.57

Oskar Stanisław Czarnik – Adam Chmielowski – święty
Brat Albert a Ziemia Podolska59

Danuta Greszczuk – Trudna dyrekcja Ludwika Czarnowskiego.
Sezon 1921–1925. Cz. I67

Jolanta Załączny – Szkic do lwowskich losów rodziny Mroczków .105

Jurij Smirnow – Bronisława Wójcik-Keuprulian
– muzykolog, działaczka Archidiecezjalnego Związku Ormian ..119

Adam Redzik – Paweł Asłanowicz (1907–1979) lwowski
kompozytor i warszawski adwokat149

Janusz Wasylkowski – Lwowskie miscellanea (– Lwów
w grafice; – Dwa wydarzenia; – Czarnuszka; – Poszkodowani) ..155

II. Beletrystyka, wiersze, wspomnienia

Władysław Bohm – Powrótę165

Ignacy Szenfeld – Historia przerwane go lotu167

Irena Nuckowska-Wancerska – Zagadka; – W karnawale
gdzieś po świecie z walizeczką...; – Tęsknota za Lwowem;
– Z dziećmi do Lwowa; – Lwowski bruk; – Rozmowa;
– Słońce świeci na Wysokim Zamku185

Bogdan Stanisław Kasprowicz – Batiary od pani Bieleckiej	193
Maria Kopycińska-Lehun – Spacer sentymentalny, – Dwie miłości	199
Bożena Gorska – Feliks Łańcucki – poeta odnaleziony	203

III. Polacy we Lwowie, lwowiacy w Polsce i w świecie

Jurij Smirnow – Powojenne losy lwowskich świątyn, cz. VII	213
Gala Kanarska – Notatki recenzenta	233
Wiktoria Malicka – Wrocławskie Ossolineum w dzisiejszym Lwowie	245
Jerzy Załuski – Matka Boża Łaskawa ze Lwowa w Paryżu O Juliuszu Słowackim nad Sekwaną	249

IV. Książki o Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich

Akademia Militans. Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie (<i>Maciej Miśkowiec</i>)	253
Agnieszka Biedrzycka, Kalendarium Lwowa (<i>Aleksandra Julia Leinwand</i>)	263
Kustosz i samotnik. Tom poświęcony pamięci Romana Aftanazego (<i>Maciej Miśkowiec</i>)	270
Atlas historyczny miasta Lwowa (<i>Henryk Bartoszewicz</i>)	280
Bogdan Stanisław Kasprowicz, Lwów zawsze i wszędzie (<i>Jadwiga Zacharska</i>)	287
Józef Wittlin, Philippe Sands, City of Lions: My Lwów (<i>Adam Redzik</i>)	288
Spotkanie. Drzeworyty ludowe z kolekcji Józefa Gwaberta Pawlikowskiego zachowanej we Lwowie (<i>Maciej Miśkowiec</i>) . . .	290
Inwentarz akt wydziałów i studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (<i>Adam Redzik</i>)	294
Stanisław Gottfried (1892–1915) Lwowski poeta Młodej Polski (<i>Maciej Miśkowiec</i>)	296
J.A. Baczewski (<i>J.W.</i>)	299
Spis Rodzin Wojskowych wywiezionych do ZSRR (<i>Bartosz Nowożycki</i>)	299
Katarzyna Łoza, Chrystyna Charczuk, Cmentarz Łyczakowski we Lwowie. Przewodnik (<i>J. Wasylkowski</i>)	301

JUBILEUSZ

Ćwierćwiecze.

25 lat... A nawet trochę więcej. Z goryczą trzeba wspomnieć, że nasza przedwojenna Polska, trwała ok. 20 lat.

Kiedy w niewielkim gronie przyjaciół zakładaliśmy redakcję „Rocznika Lwowskiego” i Instytut Lwowski – jako placówkę pozarządową, nie bardzo wiedzieliśmy na co nas stać. Nie mieliśmy lokalu, samochodu, a redaktor naczelny przez pierwsze lata nie dysponował nawet telefonem. Mieliśmy pewną wiedzę i przekonanie, że po latach milczenia, trzeba przypomnieć, gdzie jest (lub była) nasza historia, nasza kultura i ludzie, którzy przez stulecia chronili nasz kraj przed zalewem Turków, Tatarów, Kozaków, Wołochów, nie mówiąc już o bardziej współczesnych najeźdźcach.

Każdy z nas przez wiele lat gromadził książki, fotografie, grafiki, dokumenty dotyczące naszego Miasta i Kresów, głównie Południowo-Wschodnich. To był jedyny kapitał, jakim dysponowaliśmy.

Byliśmy przekonani, że powinna powstać placówka naukowa, państwowa, która powinna zadbać nie tylko o ratowaniu naszych zabytków, ale o szeroką dokumentację naszego dorobku na tamtych, już do nas nie należących, ziemiach. Wiedzieliśmy, że naukowcy, nie tylko młodzi mieli trudności z dotarciem, niekiedy do wręcz popularnych wydawnictw, gdyż nawet w warszawskiej Bibliotece Narodowej, w katalogu rzeczowym, pod hasłem *Lwów* można znaleźć jedynie pozycje wydane po wojnie i w dodatku te, które słowo Lwów miały w tytule.

Państwowa, naukowa placówka nie powstała po dzień dzisiejszy. A nasi zachodni sąsiedzi dysponują 16 (dane sprzed kilku lat) Ost-Institutami, zajmującymi się historyczną obecnością niemiecką na wschodzie Europy. Są to kilkupiętrowe budynki: pracownie naukowe, biblioteki, archiwa, galerie obrazów. Można się z nimi zapoznać w Internecie.

A Polska ma jedynie Instytut Lwowski, mieszczący się w prywatnym mieszkaniu na 10 piętrze, borykający się z furą kłopotów, którymi nie będziemy się chwalić, bo... Jubileusz.

Głównym a raczej podstawowym elementem działalności Instytutu Lwowskiego było wydawanie „Rocznika Lwowskiego” poświęconego historii, kulturze, sztuce, a także literaturze, związanej ze Lwowem i Kresami Południowo-Wschodnimi dawnej Rzeczypospolitej.

Wydano 18 numerów „Rocznika”, w tym 7 numerów podwójnych i 1 potrójny (!) – swego rodzaju ewenement. Znalazły się w nich prace ponad 170 autorów, w tym 20 mieszkających we Lwowie. Nie mieliśmy jednak stałego sponsora a instytucje, które miały wspierać inicjatywy organizacji pozarządowych borykały się z ciągłymi zmianami personalnymi, a co gorsze także ze zmianami kryteriów tej pomocy i coraz to dziwniejszymi przepisami (komputerowe konkursy, za wyniki których nikt nie odpowiadał). Powyższe stwierdzenia prosimy traktować jako stosunkowo łagodną opinię, nasze odczucia są mniej subtelne.

Z tychże to powodów Instytut Lwowski w 2012 r. przekształcony został w Fundację Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Południowo-Wschodnich, ale zmiana statusu w niczym nie polepszyła kontaktów z czynnikami, które powinny wspierać tego typu społeczne inicjatywy.

Opublikowano 15 nadbitek z najważniejszych publikacji w „Roczniku” oraz 37 książek (głównie o tematyce kresowej), których wykaz znajduje się w końcowych stronach numeru.

Zorganizowano konkurs na wspomnienia mieszkańców Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, na które nadesłano 65 prac. Jury, podkreślając ich wysoki poziom, nagrodiło 10 i przyznało 17 wyróżnień honorowych. Dwie z nagrodzonych prac wydrukował Instytut Lwowski, 7 opublikowały inne wydawnictwa, w kilku przypadkach zainspirowane do tego przez członków jury. Kilkanaście opowiadań i fragmentów wspomnień wydrukowano w kolejnych numerach „Rocznika Lwowskiego”. Kilka prac znajduje się nadal w tece redakcyjnej „Rocznika” i będą publikowane w następnych numerach.

Prowadzono ożywioną działalność odczytową. Ale z uwagi na brak własnego lokalu mogliśmy korzystać jedynie z gościnności Domów Kultury, bibliotek czy klubów, które zapraszały naszych autorów do wygłaszania odczytów, pogadarek lub referatów, związanych tematycznie ze Lwowem i to dość szeroko, np. od Obrony Lwowa w 1918 r., poprzez piosenki i humor Lwowa, po sekrety lwowskiej kuchni.

Członkowie kolegium redakcyjnego oraz trzej stali współpracownicy redakcji wygłosili ponad 160 tego typu prelekcji, nie tylko w Warszawie, ale i w dwudziestukilku innych miastach, także i poza Polską (Paryż, Kopenhaga, Lwów, Krzemieniec). Najwięcej tego typu prelekcji ma swoim koncie Jan Wojciech Wingralek, były szef odbudowy Cmentarza

Orląt, oczywiście na temat historii tego Cmentarza, jego dewastacji i odbudowy.

Podobnie było z wystawami. Nie mając własnej sali prezentowaliśmy je w Domu Polonii (Wspólnota Polska) w Warszawie i Poznaniu, w Muzeum Niepodległości i w innych placówkach oświatowych. Tematyka tych wystaw była dość rozległa: *Lwowskie druki ulotne*; – *Lwowskie kościoły*; – *Kresy Południowo-Wschodnie w grafice*; – *Kresowe korzenie rodu Sobieskich*; – *Lwowska muzyka*; – *Lwów się bawi*. W wystawach prezentowaliśmy przede wszystkim oryginały akwarel, grafik, fotografii, plakatów, afiszy itp.

Ponadto udostępnialiśmy swoje eksponaty innym placówkom organizującym wystawy patriotyczne lub historyczne, uczestnicząc w tzw. wystawach zbiorowych w Warszawie, Zielonej Górze, Białymstoku, Podkowie Leśnej.

W pierwszym okresie naszej egzystencji zorganizowaliśmy 12 aukcji książek, czasopism, grafik pt. „Kresowiana i cymelia”, którą cieszyły się dużym zainteresowaniem. Wiele bibliotek naukowych, w tym BN i Ossolineum uzupełniały swoje braki w pozycjach, które przez lata były trudno dostępne nawet w ruchu antykwarskim.

I jeszcze jedno, może najważniejsze, choć najmniej zauważalne. Byliśmy jedyną placówką, która udzielała konsultacji naukowych doktorantom i magistrantom, piszącym lub próbującym pisać prace o tematyce lwowskiej (ich promotorzy zazwyczaj mówili: – może pan(i) pisać na temat, ale ja się na tym nie znam...)

I oceniali te prace pod kątem stylistycznym a nie merytorycznym (sic!). A książki nawet znanych autorów ukazywały się z masą błędów, nie wspominając już o „dziele” o wielce obiecującym tytule „Dzieje Lwowa”, w którym znalazło się ponad 1000 (tak, to nie omyłka, ponad tysiąc!), a na które już od lat powołują się inni naukowcy.

Tyle mniej więcej o działalności naszej placówki w Warszawie. Mamy jednak, w zasadzie nieformalny, oddział w Bytomiu, prowadzony przez Bogdana Stanisława Kasprowicza.

Najgłośniejszym, w przenośni i dosłownie przedsięwzięciem bytomian był „Teatrzyk bez granic”, właściwie lwowski kabaret ze śląskimi akcentami, który w latach 1993–2008 przygotował 10 programów, m.in. pod symbolicznymi tytułami: *My jesteśmy z lwowskiej Florencji*; – *Za Lwowem tęsknimy*; – *Lwowska piosenka na Górnym Śląsku*; – *Ja chcę do Lwowa...* Z programami tymi zespół występował nie tylko we wszystkich niemal miastach Górnego Śląska, ale i w Warszawie, Wrocławiu, Krakowie, Nysie, a także we Lwowie, Borysławiu i Drohobyczu.

Wcześniej jednak był udział Grażyny i Bogdana Kasprowiczów oraz Marcina Hałasia w audycji telewizji katowickiej, których autorką była Halina Szymura – „Oj, nima jak Lwów”. Dołączyła do tego programu ekipa „Teatryku bez granic”, program prezentowany był w TV Katowice i TV Polonia w latach 1992–2007.

Następnie odczyty: przez 3 lata (2008–2010) B. Kasprowicz prowadził w Radio Piekary comiesięczną audycję – *Lwowiacy na Śląsku*, wygłosił także kilkadziesiąt odczytów i prelekcji na temat Lwowa, Kresów, Ormian, Żołnierzy Wyklętych. Ze zbiorów rodzinnych prezentował kilka wystaw: *Skąd przychodzimy – Legenda Kresów; Lwowskie kościoły w obrazach i grafice; Wystawa książek lwowskich*, także szeroka współpraca z innymi placówkami w organizacji różnorodnych wystaw.

Bytomianie także nie dysponowali własnym lokalem, kilkadziesiąt różnorodnych imprez organizowali wspólnie z różnymi placówkami kulturalnymi, bibliotekami, szkołami. Był cykl „wieczorów lwowskich”, w których uczestniczyli autorzy piszący o Lwowie (m.in. Nicieja, Janicki, Łomaczewka, Szolgina, kilkanaście spotkań miała matka B. Kasprowicza – Maria Bielecka-Kasprowicz, debiutująca w latach wojny w podziemnym tomiku wierszy młodych lwowskich poetów, wydawanym w formie odbitek fotograficznych (dziś curiozalna rzadkość!). Były prelekcje mieszkających w Bytomiu weteranów Obrony Lwowa 1918 r., była współpraca przy Jubileuszu 100-lecia Opery Bytomskiej, której trzon stanowili artyści ze Lwowa (referat „Lwowskie korzenie Opery Bytomskiej”). Rejestr imprez możnaby ciągnąć przez parę stron...

Wspomnieć wypada jednak o udziale w różnorodnych konferencjach naukowych, związanych nie tylko z samym Lwowem, ale i z historią Ormian (wszak polscy Ormianie to przede wszystkim Lwów), wyprawach na Kresy, związanych z długotrwałą pomocą dla tamtejszych polskich placówek, szkół, przedszkoli.

Więc Jubileusz...

I. Rozprawy, szkice, przyczynki historyczne

Maciej Miśkowiec

WIELKOŚĆ I TRAGIZM RUDOLFA WEIGLA

Dwie książki poświęcone osobie i działalności doktora R. Weigla, *Dodkrywcy szczepionki przeciw tyfusowi*, z dominantą problemową – funkcjonowanie jego laboratorium „antyfusowego” we Lwowie (podczas okupacji tego miasta w okresie II wojny światowej pod kierownictwem sowieckim, potem niemieckim) zostały wydane mniej więcej w jednym czasie. Łączy je główny temat: ogólnoludzkie, humanitarne znaczenie metody R. Weigla wytwarzania szczepionki oraz rola lwowskiego uczonego i jego laboratorium (szczepionki) w wygaszaniu ognisk tyfusu we wsiach huculskich, w Chinach, Abisynii, w ratowaniu polskiej inteligencji (plejada wielkich nazwisk ludzi nauki i kultury), kadr lwowskiej konspiracji w czasie wojny, w przekazywaniu szczepionki na miarę możliwości – do getta w Warszawie i Lwowie, do „lasu”, do szczepień ochronnych ludności, do IV Odcinka „Wachlarza” AK na Białorusi, nieznanymi dziś drogami do obozu koncentracyjnego Auschwitz, do innych miejsc wspomnianych w relacjach

Dwie książki poświęcone sprawom już trochę zapomnianym, w Polsce po części przemilczanym przez kilka dziesiątków lat, są dziełem amerykańskiego i polskiego autora. Książkę *Fantastyczne laboratorium doktora Weigla. Lwowscy uczeni, tyfus i walka z Niemcami* (ang. wyd. 2014, przeł. Barbara Gadomska, Wydawnictwo Czarne Wołowice 2016, s. 342, indeks osób, fotografie, mapa: Śródmieście Lwowa, jakie znali Polacy) sygnuje Arthur Allen, amerykański dziennikarz specjalizujący się w problematyce medycznej i publikujący w renomowanych czasopismach amerykańskich. Zaś „Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla” (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2015, s. 296, liczne fotografie, 3 aneksy) jest dziełem Ryszarda Wójcika, dokumentalisty filmowego, dziennikarza-reportera, w wielu swych książkach tropiącego tajemnice czasu okupacji w Polsce.

Dwie książki łączy wspólny temat i generalnie – miejsce zdarzeń (Lwów, po części Przemyśl i Kraków), a także nadrzędne przesłania – przywrócić pamięć o wielkich dokonaniach lwowskich uczonych, które weszły do historii światowej nauki w odpowiednich zakresach – biologii

(R. Weigl) i ogólnej teorii wiedzy (L. Fleck). A. Allen pisze: „Ta książka opowiada o walce z tyfusem podczas II wojny światowej”; ale tej walki nie ma bez Weigla, po części i L. Flecka. I drugie wielkie przesłanie: „Po II wojnie światowej główne postaci tej książki odeszły w zapomnienie... polski i żydowski Lwów przestał istnieć. Ta książka podejmuje próbę usunięcia kurzu i przywrócenia ich do życia.” Autor spełni swe zamierzenia: olśniewająco opíše miasto, sytuację, ludzi, konteksty zdarzeń. W dziele R. Wójcika główne przesłanie ma bardziej dramatyczny wymiar – przywrócić dobre imię, cześć, godność R. Weiglowi, którego ostatnie lata życia już w wyzwolonej Polsce upłynęły pod znakiem szykan, nagonki, kampanii oszczerstw i pomówień o kolaborację z dwoma okupantami. Oba dzieła łączy więc szczególnie wątek: „polskie piekło”, a według znanej formuły Melchiora Wańkowicza – „polski kundlizm”, nawiąże do niej R. Wójcik (a co przejawia się dodatkowo w pewnym zapisie „blogowym”, o czym nieco na końcu tego tekstu). Dwa fascynujące dzieła o niezwykłej dramaturgii opowieści także z wątkami wręcz sensacyjnymi, przejmujące w dokumentowaniu losów ludzkich, dramatycznie wplątanych w tryby historii. Dwa też dzieła, które łączy problem wyborów moralnych, które musi podjąć lwowski uczoney wobec dwóch totalitaryzmów, w wymiarze ostatecznym, życia i śmierci. Dwa dzieła uzupełniające się, lecz jakże różne w konstrukcji, w sposobie opowiadania, w doborze wątków problemowych i konkretnych osób. Trzeba też wspomnieć: dwóch autorów, których połączy nie tylko praca nad tematem ich fascynującym, ale i osobista więź; Allen, wiedząc o pierwszych tekstach R. Wójcika o Weiglu publikowanych w „Odrze” (zanim cenzura ukróci ten niecny a szkodliwy proceder), zza oceanu szuka kontaktu z polskim reporterem (wspomni o tym też Wójcik), a w zakończeniu swej książki, wśród bardzo wielu osób, którym dziękuje za pomoc okazaną w zbieraniu materiałów, wymieni polskiego autora, „który szczerze udostępnił mi swoje materiały, opowiedział swą zdumiewającą biografię i zaoferował przyjaźń”. (Zapewne dotyczy to historii wielu lat zmagania o opublikowanie artykułów i o próbach zrealizowania filmu o Weiglu, co skutecznie zostało uniemożliwione w PRL-owskiej rzeczywistości).

Allen napisał dzieło znakomite, pełne świetnych charakterystyk sytuacji historyczno-politycznych XX wieku i na tym tle wielu osób wrzuconych w wir zdarzeń, do których można zastosować powiedzenie „są sprawy, o których nie śniło się nawet filozofom”. Swą opowieść rozwija w kilku planach tematycznych, lecz skonstruuje ją głównie wokół biografii czterech postaci. Na pierwszym planie dwaj główni bohaterowie, Rudolf Weigl i Ludwik Fleck: wynalazca szczepionki i jego dawniejszy współpracownik, poszukujący nowych metod diagnostycz-



Portret Prof. Rudolfa Weigla

nych chorób zakaźnych (m. in. tyfusu i syfilisu) i równoległe do Weigla alternatywnych metod produkcji szczepionki antytyfusowej. Na kanwie swych badań rozważać będzie także filozoficzne problemy procesu powstawania wiedzy naukowej. Określi w tym zakresie pewne idee teoretyczne, prekursorskie w piśmiennictwie światowym. „Dziś Fleck jest dobrze znany socjologom i historykom nauki. Thomas Kuhn, sławny teoretyk nauki i twórca pojęcia paradygmatu naukowego, swoją wydaną w 1962 roku klasyczną książkę *Struktura rewolucji naukowych* oparł w znacznej mierze właśnie na myśli Flecka”. Pierwszy pochodzenia austriackiego (niekiedy w relacjach mówi się o pochodzeniu czesko-austriackim lub niemieckim), drugi – żydowskiego. To rozróżnienie ma istotne znaczenie – pochodzenie określi los obu uczonych w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu. Pierwszy we wczesnych latach młodości wybierze jako swą właściwą ojczyznę – Polskę, określi się jako Polak, i temu wyborowi będzie nieugięty wierny do końca. Drugi pozostanie przy swej tożsamości pochodzeniowej.

Ich losy okupacyjne są ściśle powiązane z dwoma lekarzami niemieckimi o całkowicie różnych osobowościach, postawach, mentalności. A więc wirusolog Hermann Eyer, nadzorujący z ramienia Wehrmachtu prace Weigla we Lwowie i szef innych laboratoriów bakteriologicznych, organizowanych w Generalnym Gubernatorstwie (Kraków). I Erwin Ding, robiący wyrachowanie karierę w Służbie Bezpieczeństwa SS, od agenta do roli głównego lekarza obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, „uosobienie zła”. Pierwszy okaże pomoc Weiglowskiemu w różnych krytycznych sytuacjach, przyczyni się do ratowania różnych osób (np. Allen wie – wskutek interwencji Weigla Eyer wyciągnie z więzienia słynnego matematyka S. Banacha aresztowanego za handel na „czarnym rynku”, do czego jest zmuszony wielką biedą); będzie udawać, że nie orientuje się w „cienkich” sprawach, dziejących się w weiglowskim instytucie, a które były śmiertelnym zagrożeniem; donosy na instytut nadsyłane mu przez kochanych rodaków zbierał, pokazał je Weiglowskiemu i spalił w jego obecności; uprawiał swoisty sabotaż, prowadząc niebezpieczną grę: z wyprodukowanych partii szczepionki przydzielał Weiglowskiemu 200 porcji szczepionki pod pozorem konieczności prowadzenia kontrolnych badań nad jej jakością i skutecznością, co skutecznie wmawiał innym niemieckim czynnikom kontrolującym proces produkcji. Próbkę tę „rozchodziły się” różnymi drogami do właściwego miejsca przeznaczenia). W powojennych wspomnieniach prof. Ludwik Hirszfeld (twórca nauki o grupach krwi), uratowany z getta warszawskiego, opowie o dostarczaniu szczepionki do getta (mówią o tym też relacje przytoczone w obu książkach). Eyer wyciągnie z KL Auschwitz brata Weigla, zaś ze straszliwego obozu w Płaszowie (Kraków), którego

komendantem był osławiony Amon Göeth, uratuje po pertraktacjach z SS wiele osób ze swego instytutu, aresztowanych wraz z innymi krakowianami w sierpniu 1944 r. przewencyjnie po wybuchu powstania w Warszawie.

Allen przedstawi złożoną osobowość Eyera, o niejednoznacznych poglądach i postawie w owym czasie, wykazującego to dystans wobec hitlerowskiej polityki, to wciągniętego w jej nurty. Z kolei opisze drogę E. Dinga do SS, do medycyny, jego pospolitą mentalność, odrzucenie moralności, naukowe hochsztaplerstwo i działalność: jest sprawcą medycznych morderstw, nadzorcą L. Flecka i jego pracy w międzynarodowej grupie innych lekarzy-więźniów w laboratorium w KL Buchenwald przystosowanym do badań nad chorobami zakaźnymi; więźniowie są tam przymusowymi królikami doświadczalnymi. L. Fleck przed likwidacją getta lwowskiego zostanie dla „dobra” Wielkich Niemiec wywieziony do obozu Auschwitz, potem do jego specjalistycznej filii w Rajsku, następnie do Buchenwaldu. Fachowa wiedza uratuje go przed śmiercią w ramach „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Allen opisze pobyt L. Flecka w blokach mieszczących laboratoria i powiazaną z nimi część „szpitalną” i panujące tam sytuacje, zakres prowadzonych badań.

Wątki obozowe w książce Allena mają wartość poznawczą. Potoczna wiedza o obozach jest wbrew pozorom niepełna. Polskie relacje dokumentują rzeczywistość obozową we fragmentach według zakresów osobistego doświadczenia. Co było poza nim, nie mogło być opisane. Były wszak rewiry obozowe ściśle izolowane, do których zwykli więźniowie nie mieli dostępu. Na przykład Rajsko jako stacja hodowlana specjalnych roślin (z których miano nadzieję uzyskać surowiec wyjściowy do produkcji kauczuku – materiału dla przemysłu wojennego III Rzeszy) pojawia się w powojennych relacjach więźniarek tam pracujących (na marginesie: hodowla owych roślin była jedną z idee-fixe H. Himmlera, chodzi o roślinę rosnącą pierwotnie w Turkiestanie zwaną mniszek gumodajny czyli kok-sagiz, jej korzeń zawiera niewielki procent kauczuku; oczywiście w polskich warunkach klimatycznych i glebowych działania owe nie mogły zakończyć się sukcesem; wraz z postępowaniem armii niemieckich w Rosji, Himmler na terenach „oczyszczonych z ludności”, a także częściowo we Francji i w Rumunii planował hodowlę tej rośliny w wielkiej skali, a Hermann Göring mianował go pełnomocnikiem do spraw roślin kauczukodajnych; sprawa ta ma współcześnie własne piśmiennictwo, głównie niemieckie; o tym pisze też Peter Longerich w swej fundamentalnej monografii „Himmler, buchalter śmierci”, pol. wyd. 2014). O stacji bakteriologicznej przeniesionej do Rajska z głównego obozu Auschwitz trudno odnaleźć polskie wzmianki. Podobnie la-

laboratorium i szpital w Buchenwaldzie były niedostępne dla zwykłych więźniów. Autor wykorzysta więc odpowiednią dokumentację i relacje więźniów-cudzoziemców, w Polsce raczej nieznaną. Dzięki nim poznamy fikcje prac „naukowych” narzucanych przez hitlerowskich pseudo-uczonych, straszną rzeczywistość doświadczalno-szpitalną (rozdział „Przerażająca klinika doktora Dinga”), a na tym tle pojawia się L. Fleck, określony przez współwięźniów jako życzliwy dobry człowiek, wybitny uczyony. Kontynuuje tam prace rozpoczęte w getcie lwowskim m.in. nad inną metodą wytwarzania szczepionki antytyfusowej. E. Ding przedstawi to władzom w Berlinie jako własny sukces. Z kolei pojawiają się wątki wręcz sensacyjne: ratowanie więźniów szczepionką, w tym aresztowanych brytyjskich agentów SOE (tajnej sekcji wywiadu brytyjskiego do zadań specjalnych) przed egzekucjami. Skomplikowane działania umożliwiają przeniesienie ich do obozowego szpitala, tam nadawano im inną tożsamość, wykorzystując dane osobowe zmarłych więźniów. Proceder oparty na fałszowaniu dokumentacji osobowej w razie wykrycia groził śmiercią. Wspólny front uczonych-lekarzy, niektórych funkcyjnych więźniów (a także i Dinga, który w końcu podejmie współdziałanie z obozową konspiracją w poczuciu osobistego zagrożenia, pragnąc po wojnie ratować własną skórę) będzie takim wyrazem owej tytułowej „walki z Niemcami”.

Główne wątki biograficzne Allen doprowadzi do powojennego finału: w odniesieniu do wymienionych osób będzie on bardzo różny. Ding oskarżony w procesach zbrodniarzy w Norymberdze, popełni samobójstwo. Eyer po powojennych przejściach więziennie-sądowych (także z oskarżenia przez prześladowcę Weigla, Przybyłkiewicza) podejmie uniwersytecką działalność naukową w Niemczech; amerykański autor przekaże poruszającą charakterystykę niemieckiego lekarza, którego dalsze lata życia przepojone były refleksją nad złem panującym w świecie; po wojnie okaże dalej pomoc żydowskiemu lekarzowi ze Lwowa, Meislowi, pracującemu u Weigla, a którego córka ukrywana była w lwowskim instytucie; okupacyjny los w szczególnie sposób złączy te dwie osoby, każda z innego świata (co Allen opisze szczegółowo; ojciec i córka pojawią się także w książce Wójcika, zdjęcia obojga); po latach stary lekarz napisze do Eyera: „Choćby tylko w formie listownej, mogę przesłać Panu kilka słów podziękowania... Zawsze byłem świadom, że Pańska sytuacja była niełatwa. Ceniłem także to, że w tamtych czasach ciemności nie popadł Pan w powszechną psychozę i zdołał zachować swój humanitaryzm... Może Pan być pewien, że w moim domu i laboratorium Pańskie nazwisko zawsze wspominane jest z szacunkiem”, a Eyer odpisze: „Trudno Panu będzie zrozumieć, ile szczęścia dał mi znak życia od Pana... Powróciła do mnie pamięć o trudnościach i smutku, jaki

czułem z Państwa powodu. Jakież to szczęście po tylu latach uświadomić sobie, że nie wszystko było daremne. Wydaje mi się, że obaj musimy nieść ciężar. Te złowrogie czasy także na mnie pozostawiły ślad... Proszę zrozumieć, gdy to piszę, jak wdzięczni jesteśmy ja i moja żona, że mimo wszystkich strasznych przeżyć zachowali Państwo tę wielkoduszność, która pozwala Wam uważać mnie za przyjaciela..." Po śmierci R. Weigla Eyer napisze po niemiecku wzruszający nekrolog (fragment w książce). Allen dopowie:.. „Jego dobre uczynki sprawiły, że miał kłopoty. Przyjaźń okazywana Polakom, a szczególnie Rudolfowi Weiglowi, miała zwrócić się przeciwko nim obu...". Odnalezione po wojnie przez Zb. Przybyłkiewicza (prześladowcy Weigla, zob. odpowiednio niżej) zdjęcie uczonego z dedykacją dla Eyera stanie się przesłanką pomówienia o kolaborację z okupantem.

Fleck powróci do Lwowa, a kiedy okaże się, że tego miasta już jak gdyby nie ma, przyjedzie do Lublina, rzuci się w wir pracy w powstającym tam uniwersytecie (tu opis trudnych warunków organizowania życia uniwersyteckiego); niezasobny w odzież, w domu chodzi w obozowym pasiaku, na pierwszym wykładzie ostentacyjnie określi siebie – jestem Żydem i bakteriologiem, a dobrze wyedukowane polskie dzieci wołały za nim „Oto Żyd, którego Niemcy nie zabili. Dlaczego tego nie zrobili?” (dokumentacja w przypisach). Po epizodzie pracy w Warszawie wyemigruje do Izraela; antyżydowska nagonka rozpętana przez PZPR stanowi kontekst tej decyzji. Tam kontynuować będzie swe prace bakteriologiczne, a pamięć o nim utrwali Instytut im. Flecka. Autor przekaże też piękne charakterystyki uczonego, opierając się na relacjach współwięźniów; w opinii wielu osób jawi się m. in. jako człowiek zawsze wewnętrznie wolny. Jak w błysku flesza dopowie też losy kilku obozowych współtowarzyszy uczonego (niektórzy zachowali się niezbyt godnie w powojennej rzeczywistości), w tym ważnych osób z obozowej konspiracji, w której główną rolę odgrywali więźniowie-komuniści. Im Fleck zawdzięcza przetrwanie. (Relacje określają, że tuż przed wyzwoleniem obozu został ukryty w obawie, że jako znający tajemnice obozowe, może być zabity.) Allen zwróci uwagę szczególnie na postać Eugena Kogona, katolickiego humanistę, autora planu ratowania więźniów brytyjskich, późniejszego ważnego świadka w procesie buchenwaldzkim (zdjęcie str. 233); jego książka o systemie obozów koncentracyjnych, jedna z najważniejszych w tym nurcie światowego piśmiennictwa nie została przetłumaczona na język polski, choć ukazała się w kilkunastu wersjach obcojęzycznych. W związku z procesami zbrodniarzy niemieckich, w których uczestniczył też Fleck jako świadek, Allen przypomni kręte, dwuznaczne prawnie i moralnie tory alianckiego powojennego wymiaru sprawiedliwości, funkcjonującego dość wybiórczo, co dziś jest pokryte kurzem historii lub politycznej niepamięci.

Wreszcie powojenny los Weigla. Bratanek, Fryderyk Weigl, w rozmowie z R. Wójcikiem (co przytoczy też Allen) określił: „Niemcy oferowali mu katedrę w Berlinie, Rosjanie instytut w Moskwie. Polacy dali stryjowi małe mieszkanie na ulicy Sebastiana (w Krakowie) i dużo politycznych kłopotów. To trudna sprawa. Bardzo smutna.” Będzie w swej wybranej Ojczyźnie po wojnie naukowo i środowiskowo zmarginalizowany, przez władze ledwie tolerowany, szacowany w krakowskim środowisku naukowym pod nośnym zarzutem kolaboracji z dwoma okupantami (to oskarżenie dotyczyć będzie też L. Flecka, choć poza Krakowem); w kamienicy, w której zamieszka Weigl, czuwać będzie nad nim oficer NKWD. Więc sowieckiego kuszenia ze Lwowa ciąg dalszy w Krakowie... Relacja przyjaciela Weiglów: „Pułkownik nie potrafił zrozumieć, dlaczego profesor wciąż odrzuca radzieckie propozycje produkowania szczepionki w Moskwie. Mówił: mógłby pan mieć własne mieszkanie, własnego szofera, dobrą pensję, ubrania i radio.” Ot, drobnusieńki przyczynek do sowieckiej mentalności powojennego czasu. Po wojnie władze Polski wycofują kandydaturę Weigla do nagrody Nobla, nie zostanie przyjęty w poczet Polskiej Akademii Nauk. Jego nazwisko zaczęła otaczać zła sława – pisze Allen. Obaj autorzy drążą sprawę owej anatemy, szczególnie R. Wójcik z takim natężeniem emocjonalnym, jakby to był jego osobisty problem, jakby krzywda wyrządzona uczonemu była jego własną.

Książka rozpisana jest w wielu planach problemowych. Wszystkie wzajemnie się przenikają i dopełniają.

Wieloaspektowy plan biologiczno-medyczny – to jakby „naturalna historia” tyfusu, różne postaci choroby, jej przebieg i śmiertelne skutki; historia odkrycia zarazku i międzynarodowych badań nad metodą opanowania epidemii zwłaszcza od czasu I wojny światowej; w tym kontekście rozpoczyna się droga naukowa Weigla i Flecka w laboratorium bakteriologicznym armii austriackiej w twierdzy Przemyśl, kontynuowana od 1918 r. w polskim wojskowym laboratorium także w Przemyślu. (Obecnie w tamtejszym muzeum przechowane są pamiątki po lwowskim uczonym; w książce Wójcika zdjęcie: Rudolf Weigl i jego przemyski szef, dr Filip Eisenberg, w austriackiej czapce wojskowej, potem profesor UJ w Krakowie; po latach Weigl chce go uratować, proponując zatrudnienie w swym lwowskim instytucie, Eisenberg propozycji nie przyjmie, więc podzieli los krakowskich Żydów przy likwidacji getta; zdjęcie: Rudolf Weigl, dr Henryk Meisel i inni, w Przemyślu, szpital Wojska Polskiego, ok. 1920 r.).

Epidemie tyfusu jako problem militarny (epidemiczny pogrom wielu armii od napoleońskiej kampanii na Rosję po fronty w Serbii, w rewolucyjnej Rosji, na Ukrainie, na Syberii w czasie wojny domowej podczas

ucieczki Białej Armii Kołczaka; w książce Wójcika prof. Kryński dopowie: tyfus źródłem klęski armii Francji pod Sedanem w wojnie z Prusami 1871 r. Autor obrazowo opiszę apokalipsę tyfusu, zbierającego milionowe żniwo ofiar na wielu obszarach Europy. Wychodząc poza bardzo tradycyjny schemat edukacyjny historii „wydarzeniowej” (koncentrującej się na wydarzeniach politycznych, schemat stale kontynuowany w polskim szkolnictwie), wyręczy więc po części podręczniki historii, pisząc o sprawach w nich pomijanych, jak choćby o katastrofie sanitarnej podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, o tyfusie zawleczonym do Polski przez Czerwoną Armię i o wielkiej dla Polski pomocy sanitarnej (głównie amerykańskiej) dla zapobieżenia europejskiej katastrofie. Autor dopowie, że o pomocy tej decydował nie tyle strach przed rewolucją bolszewicką, lecz wizja śmiertelnej epidemii na Zachodzie. W kontekście właściwie zapomnianej już milionowej rzezi Ormian dokonanej przez Turków u progu XX wieku (określa się ją mianem eksterminacji lub ludobójstwa, na co władze Turcji i współcześnie reagują nerwowo) amerykański autor ukaże tyfusowy aspekt owej hekatombi: np. 50 tysięcy Ormian, uchodźców w Aleppo, uznanych za nosicieli chorób zakaźnych, w tym tyfusu, zamknięto w obozach, aby nie dopuścić do ich kontaktów z żołnierzami, i wymordowano. Zapoczątkowano więc pewną metodę „sanitarną” zastosowaną potem do innej nacji.

Tyfus jako problem społeczno-demograficzny: skutek masowej śmiertelności przyczyni się do zmiany struktury społecznej Rosji, ale gdzie o tym poczytamy? I wreszcie jako problem ideologiczny. Allen cytuje – „Towarzysze, zwrócił się Lenin do Rady Komisarzy Ludowych podczas Zjazdu Rad 5 grudnia 1919 roku – trudno wyobrazić sobie okropności, jakie dzieją się w miejscowościach dotkniętych klęską tyfusu plamistego; kiedy ludność jest wycieńczona, wyczerpana, kiedy brak środków materialnych – zanika wszelkie życie, zanika wszelkie życie społeczne. Mówimy więc: Towarzysze, całą swą uwagę poświęćcie tej sprawie. Albo wszy zwyciężą socjalizm, albo socjalizm zwycięży wszy”. Kto odnajdzie ten fragment w pismach Lenina, wydawanych w powojennej Polsce w setkach tysięcy egzemplarzy? (Swoją drogą, poraża demagogia i abstrakcyjność tego wezwania w konkretnych warunkach rewolucyjnej Rosji).

Rozdział „Hitlerowscy lekarze i zapowiedź tego, co nadejdzie” przedstawia teoretyczne założenia medycyny (i higieny) hitlerowskiej w aspekcie tyfusu, z jednej strony, a z drugiej w ścisłym związku z koncepcją organizacji i izolacji gett żydowskich. To ważny wątek, którego konteksty są na ogół mało znane (z wyjątkiem specjalistów). Allen ukaże teoretyczne założenia koncepcji Geomedizin sformułowanej przez niemieckich lekarzy, w powiązaniu z teoriami rasowymi. A więc naturalnym

„rozsadnikiem” chorób zakaźnych i wszelkich epidemii są zbiorowiska ludzkie o „niższej kulturze”, rasowo warunkowanej. Stąd już tylko krok, aby wszy i tyfus utożsamić z Żydami (zdjęcia plakatów propagandowych tak bardzo znanych z czasów okupacji hitlerowskiej). Zatem droga opanowania epidemii i zlikwidowania powszechnego zagrożenia chorobowego jest tylko jedna: odizolować Żydów od reszty społeczeństwa. Ostatecznie, koncepcja gett w tym świetle ma „racjonalne naukowe” uzasadnienie. Ten wątek Allen powiąże z ogólnymi założeniami „polityki sanitarnej i zdrowotnej” w Generalnym Gubernatorstwie, która staje się elementem polityki wyniszczania społeczeństwa polskiego, więźniów, wszelkich „elementów niepożądanych”. W tym zakresie odwoła się do wypowiedzi generalnego gubernatora Hansa Franka, innych dygnitarzy rządu Generalnej Guberni, w Berlinie, lekarzy SS.

W kolejnych planach tematycznych ukaże się obraz Lwowa przedwojennego (rozdział *Miasto na krawędzi czasu*) i wojennego (okupacyjnego), barwna charakterystyka środowiska lwowskich uczonych. Opisane jest pionierskie dzieło Weigla, jego instytut, grono współpracowników i wszystko, co się z tym wiąże podczas obu okupacji.

Bogactwo tematyki budzi podziw, jak mistrzowsko autor panuje nad swą opowieścią: misternie wprowadza kolejne wątki, zderza je ze sobą, buduje wielopiętrową konstrukcję tekstu. Chronologia zdarzeń i sytuacji nie występuje, lecz jak w filmie – obraz goni obraz, ich porządek przeplata się, a wszystko tworzy jednak przejrzystą całość. Znać tu rękę dziennikarza-reportera i dokumentalisty. Uwagę zwraca bardzo osobisty ton wypowiedzi Allena, jego refleksji, komentarzy. Budzi się poczucie, że on nie tylko zna i rozumie dane kwestie, ale je osobiście przeżywa. Aby napisać swoistą historię tyfusu i historię uczonych, którzy podejmą walkę z chorobą, autor zbierze ogromną dokumentację; sięgnie do wielu archiwów, wykorzysta piśmiennictwo fachowe, wspomnienia, liczne relacje (m. in. od rodziny Eyera) i przyjeżdża do Lwowa, do dzisiejszego Instytutu Epidemiologii i Higieny, ulica Zielona 12, obecnie ul. Zelena. (Nawiasem mówiąc, ta nazwa źle się kojarzy z nazwą Instytutu Higieny Waffen SS, których doświadczalne oddziały i laboratoria włączone były w cały system obozów koncentracyjnych). Z dawnego przed- i wojennego Lwowa, oprócz zachowanej substancji materialnej miasta, przetrwało tylko to jedno: wszy. Jednakże wszy to niezwykle – nie tylko pospolite przenośniki tyfusu, ale w ich kolejnych pokoleniach biologiczna pozostałość po „fantastycznym laboratorium badawczym, w którym Weigl, stosując niemal surrealistyczny ciąg technik produkcyjnych, wynalazł szczepionkę przeciw tyfusowi.” Wszystko się zmieniło – czasy, sytuacje, lokalne klimaty, ludzie, tylko adres się nie zmienił i te wszy (co do istoty sprawy) – ich hodowla odtwarzana pieczołowicie przez dziesiątki lat.

Jak się okaże w książce R. Wójcika, nie tylko we Lwowie, ale też w Gdańsku, dokąd po wojnie trafił współpracownik R. Weigla. Allen odwiedzi także Wrocław. To miasto stało się wszak przystanią dla wielu powojennych wygnańców lwowskich, wśród nich także „ludzi od Weigla”. Przyjedzie na konferencję mu poświęconą, lecz rozumiemy, że wykorzysta sytuację, by zebrać materiały do swej książki, szukać kontaktu z tymi, którzy znali uczonego i mają jeszcze wiele do przekazania. Co do współczesnej hodowli wszy m. in. w kilku ośrodkach europejskich i w USA autor wyjaśni, że choć tyfus w Europie nie występuje, lecz jego ogniska odnawiają się w różnych częściach „biednego” świata, a hodowla wszy nie służy już produkcji szczepionki, lecz nieustannym badaniom nad zarazkiem choroby, którego biologia nadal nie jest całkowicie poznana.

Opowieści o Lwowie szczęśliwie autor nie rozpoczyna od książąt ruskich i lokacji miasta za Kazimierza Wielkiego. Książkę otwiera opis topografii obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie koło Weimaru – obóz dolny i górny, określi odrębną specyfikę obu części. Gdzie Rzym a gdzie Krym, gdzie Buchenwald a gdzie Lwów..., jest to jednak przemysłany zabieg konstrukcyjny. Łącznikiem między dwoma miejscowościami jest w obozie górnym więzień ze Lwowa doktor Ludwik Fleck, dawniejszy współpracownik R. Weigla. Żeby jednak opowiedzieć o pracy i sytuacji uczonego lwowskiego w obozie trzeba wspomnieć o tym wszystkim, co zdarzyło się wcześniej we Lwowie.

O mieście pisze A. Allen tak, jakby się tam urodził i przeżył lata przedwojenne i okupacji, a potem był jednym z tych, którzy zostali z niego wygnani jako niepożądany polski, obcy narodowo „element”. Zadziwiająco, o mieście wie niemal wszystko co najistotniejsze i najbardziej charakterystyczne. Opowie niekiedy bardziej przenikliwie w syntetycznym ujęciu niż w niejednych lwowskich wspomnieniach. On wie i rozumie, gdzie to jest, co tu się działo i co się stało. Wczytajmy się przez moment:... „Do Lwowa przyciągnęły mnie nie tylko wszy. Ten odległy zakątek Europy na przedpolu Karpat był miejscem wielu decyzji, myśli i poświęcenia. W ciągu osiemdziesięciu lat miasto dziesięć razy przechodziło z rąk do rąk. W latach 40. XX wieku setki tysięcy jego mieszkańców wymordowano i wygnano, a niezwykle osiągnięcia tych zapomnianych ludzi zblakły wraz ich kośćmi. Teraz patrzyłem na ulice pełne autobusów, tramwajów i obywateli Ukrainy, którzy niewątpliwie czuli się u siebie, choć zamieszkiwali w miejscu ukształtowanym przez nieobecnych już ludzi i wiarę. Całkiem jakby mieszkańcy Lwowa byli wymienni, a jedyną stałą kolonię stanowiły wszy.” Cytat świadczy o niezwykłej wrażliwości autora, głęboko rozumiejącego istotę procesów, które dokonały się w mieście. Los miasta i jego mieszkańców zamknię-

ty w kilku wierszach tekstu. Piękny i przejmujący to fragment... Ten los mocniej uwypuklony pojawi się jeszcze w zakończeniu książki.

O Lwowie habsbursko-galicjijskim powie zwięźle acz na tyle trafnie, by ukazać historyczną ciągłość miasta dawniejszego i międzywojennego. Zwróci uwagę na historyczną zabudowę, jej architektoniczny charakter. Wie o walkach o Lwów u progu niepodległości Polski. A potem sypie informacjami przysłowiowo – jak z rogu obfitości. Nie jest to zwykłe wyliczenie faktów, lecz są wplecione w cały tok opowieści, stanowiąc jej integralny element. Autor wie, że nie tyle dany fakt jest ważny, ale jego kontekst – historyczny, polityczny, kulturowy, społeczny. Bez kontekstu sam fakt niewiele jeszcze znaczy. Właśnie kontekst jest frapującą cechą książki. Pisze więc o sprawach jakby znanych w ogólnym zarysie, ale w lekturze wydaje się, że odkrywamy nowe obszary. Jest w tym tajemnica warsztatu pisarskiego. Barwnie rozwija się opowieść o mieście tworzącym tło zdarzeń będących główną treścią dzieła. Zna topografię miasta i jej osobliwości. Wie, że „dobre miasto” kończyło się na gmachu Opery, a poza nią na północ i wschód rozciągały się już dzielnice polskiej a zwłaszcza żydowskiej biedoty – to już zupełnie inny świat. Wspomni o szczególnych miejscach: Wysoki Zamek, Park Stryjski i organizowane tam Targi Wschodnie, przypomni zamach na J. Piłsudskiego w tymże Parku; wie, że strzelał ukraiński nacjonalista, i z jakich motywów. Nawiąże do innych znaczących obiektów miasta: Pomnik Mickiewicza i naprzeciwko Hotel George i jego restauracja (obiady zamożnych lwo-wian); wymieni ważne ulice (Akademicka, Legionów, Jagiellońska z kinem „Marysienka” i wybranym repertuarem, jak animowane filmy Disneya); wspomni o neonach (szczegół, a jednak znaczący, Lwów był głównym w Polsce ośrodkiem rozwoju wielorakich form reklamy handlowej, a pod względem reklamy świetlnej był prekursorem).

Dobrze rozumie aspekt wielokulturowości miasta, lecz bez pompatycznego pustostwa. Wspomni jak miasto czarowało wszelkich przybyszów wielością pięknych widoków, zabudową w stylu włoskim i stylu Habsburgów; miasto jako wieloetniczne skrzyżowanie dróg łączących centralną Polskę z Rusią i Wschodem; ta różnorodność kultur, religii, była źródłem bogactwa kultury, ale też różnych napięć. Określi je dokładniej w odpowiednich częściach książki.

Uwydatni ważny element krajobrazu miasta: kawiarnie z ich tradycją i specyficzną „kawiarnianą kulturą” i jako nieodłączny element akademickiego życia, miejsce spotkań intelektualistów z różnych środowisk – „idealna oprawa dla wymiany myśli”. A więc kawiarnia „Roma” Zalewskiego z najlepszą kawą i ciastkami oraz naprzeciwko „Szkocka”; „Był też Piasecki, sprzedający chałwę, bliskowschodni rarytas oraz cukiernia pod nazwą Jugosławia” – wie, jakie smakołyki tam

sprzedawano. Jeśli kawiarnie, to nie można pominąć „Szkockiej” i kręgu słynnych matematyków rozważających tam zawikłane problemy teoretyczne, zapisywane na blacie stolika, na serwetkach, a potem w zeszytce zwanym Księgą Szkocką – zachowała się szczęśliwie, trwały wkład w światową historię nauki, historię matematyki i polskiej (lwowskiej) szkoły matematycznej. Opiszcie to środowisko barwnie, a wymieniając jakże znaczące i dziś nazwiska wielkich matematyków, wymieni i to: Banach, ściągnięty z Krakowa do Lwowa. Wymieni nie przypadkowo. Jego niekonwencjonalna osobowość i takiż sposób bycia przyczyni się do niezwykłej charakterystyki miasta: „Banach uosabiał to, co w życiu miasta było nienaturalne i wzniosłe – połączenie rozlicznych zapachów, języków, akcentów, smaków, mieszaną gburowatości i formalnej elegancji – wszystko to inspirowało oryginalną i humanistyczną myśl w niewielkim bądź co bądź mieście. Przesiadujący w kawiarniach matematycy, skupieni nad najwyraźniej istotnymi, lecz nieprzeniknionymi problemami, dodawali element eteryczności do życia miasta znanego z oszustów i żebraków, spekulantów, kupców, producentów wódki i nafciarzy.” Ta przenikliwa skondensowana myśl prześwieśla miasto znacznie prawdziwiej niż współczesne jego idealizowanie w morzu cklowie sentymentalnych wspomnień. Autor jest świadom, że kawiarnie miały własnych stałych bywalców: w Szkockiej przesiadywali matematycy, w Romie „brylował Ostap Ortwin, krytyk literacki i przewodniczący lwowskiego Związku Literatów.”

Autor wspomni także o bałaku, owym przedziwnym żargonie lwowskiej ulicy; o lwowskich batiarach; o znaczeniu Radia Lwów, a jeśli tak – to nie pominie lwowskich ulubieńców: Tońka i Szczepka (z faktycznymi nazwiskami); ich produkcje określi (w tłumaczeniu polskim) jako wygłupy; bez urazy i obrazy, lecz ich dowcipy i humor nie były wysokiego lotu, a że były kochane, no to jasne: były takie nasze, swojskie, lwowskie; można sądzić, że autor, uczący się zresztą języka polskiego (powie: z przyjemnością), odsłuchał z radiowych archiwów ich występy, przynajmniej fragmenty i musiał je zrozumieć, bo bezpodstawnie nie użyłby takiego określenia (a może poznał te dialogi w wersji drukowanej we Lwowie w 1934 r.); no i wie, skąd się wzięła piosenka „Tylko we Lwowie” [*Lwowi*], trafnie ją określi: rodzaj hymnu miasta.

Radosny i barwny Lwów to jeden plan. Na innym pojawiają się demony – nacjonalizm i „instytucjonalnego antysemityzmu”. Demony pierwszego rodzaju w polskich wspomnieniach są obecne, nosząc z reguły jedno tylko zabarwienie narodowe (czy narodowościowe, oczywiście niepolskie), drugiego rodzaju niebyt chętnie odnotowane. Autor zna strukturę demograficzną miasta i wynikające stąd klimaty społeczne; powie więc wyraziście: Polacy żywili niechęć do Żydów,

Ukraińcy do Polaków i Żydów, a Żydzi (nawet ci asymilowani) ogólnie spodziewali się najgorszego. Przywoła zatem pogromy Żydów w 1918 roku oraz tuż po wkroczeniu Niemców do Lwowa w 1941 roku, zwłaszcza owe straszne „dni Petlury”, trafnie określi ich tło. W pierwszym wypadku jako reakcja i Polaków i Ukraińców na stanowisko neutralności społeczności żydowskiej w krwawych zmaganiach o miasto. W drugim wypadku kontekst zdarzeń jest inny – sterowana przez Niemców reakcja na wymordowanie przez „żydo-komunę” (NKWD) setek więźniów we lwowskich więzieniach (głównie w Brygidkach). Opis straszliwych scen jest bardziej pełny niż w polskich relacjach, amerykański pisarz bodaj jako jedyny zwróci uwagę na szczególny aspekt pogromu: upokorzenie seksualne, na aspekt seksizmu. Zdjęcie: kobieta w bieliznie biegnąca ulicą, równoległe do niej jakiś wyrostek z drągiem w rękę; za nią widać zarys postaci innego prześladowcy. (Bardziej drastyczne zdjęcia, nagich kobiet, wspomni o tym też Allen, opublikuje Ryszard Czarnowski w pięknie wydanej książce-albumie „Lwów”, Wydawnictwo Jedność). W opisie pogromu odwoła się zwłaszcza do obszernej relacji syna ostatniego rabina Lwowa, zawartej w książce „Przeżyłem...” (Należy przyjąć, że Allen zna polską edycję, a nie pierwszą hebrajską, wydaną w Izraelu w 1947 roku, wyczerpaną a potem w gąszczu wydarzeń politycznych zapomnianą. Polskie tłumaczenie: Kurt I. Lewin „Przeżyłem. Saga Świętego Jura spisana w roku 1946 przez syna rabina Lwowa” ukazało się nakładem „Zeszytów Literackich” w 2006 roku, i przez tzw. krytykę (literacką) zostało przemilczane, zapewne nie przypadkowo). Autor z relacji wybierze zwłaszcza fragment, kiedy ostatni rabin lwowski udaje się do abpa Szeptyckiego, metropolity Kościoła greko-katolickiego z prośbą, by ten mocą swego autorytetu powstrzymał żywioł ukraiński uczestniczący w pogromie. Okaże się, że hierarcha nie ma już takiej mocy. Przy okazji: rabin ujęty przez policję ukraińską zostanie zamordowany na dziedzińcu Brygidek, lecz jego syn przeżyje czas okupacji dzięki pomocy metropolity, pod którego patronatem prowadzona będzie akcja ratowania Żydów w klasztorach i pustelniach mnichów unickich, co opíše Lewin; o tym działaniu metropolity w Polsce właściwie się nie wie, ale raczej nie chce się wiedzieć, głównie ze względu na skomplikowane kontrowersje, które nadal budzi osoba Szeptyckiego, zwłaszcza w środowiskach Kresowian, no i oczywiście „prawdziwych Polaków”. (O kwestii tej pisałem w tekście opublikowanym w XI tomie (2014) „Rocznika Sanockiego”).

Określenie „instytucjonalny antysemityzm” jest nader trafne. To nie indywidualne uprzedzenia i niechęci, ale antysemityzm systemowy, o powszechnym, zorganizowanym i wieloaspektowym charakterze, nie tylko bojkot ekonomiczny sklepów i przedsiębiorstw żydowskich. Autor

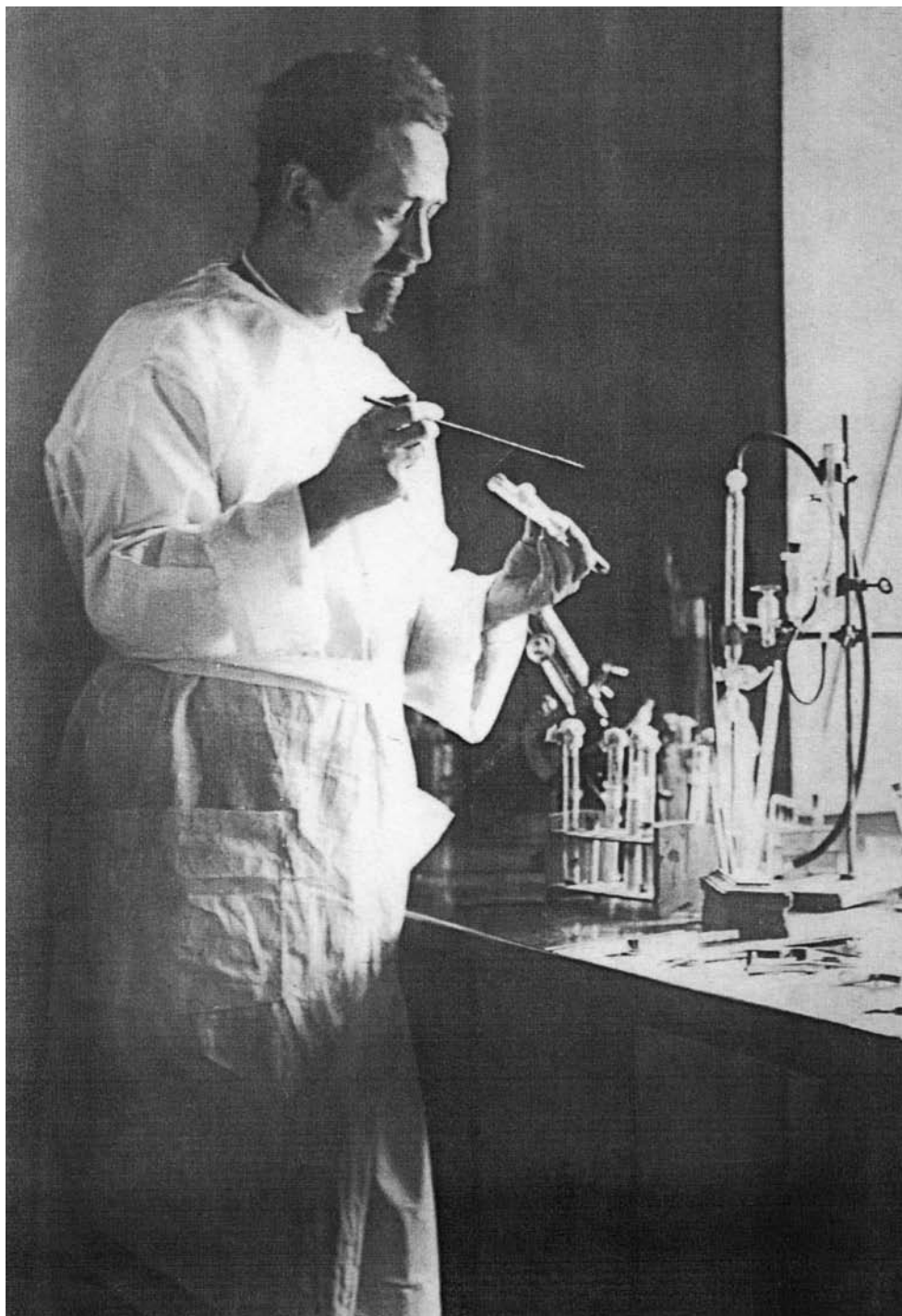
uwzględni różne przejawy owego systemu: „w kawiarniach przesiadywali uczeni bez stałego zatrudnienia, żydowskiego pochodzenia, dla których lwowskie uczelnie były niedostępne”; przypomni rozmaite incydenty, jak zamieszki antyżydowskie w maju 1929 roku podczas katolickiej procesji, dla których uśmierzenia musi przyjechać minister spraw wewnętrznych (o tym w polskim piśmiennictwie trudno doszukać się wzmianki); wspomni o korporacjach studenckich i ich antysemitycznym nastawieniu oraz o wywoływanych przez nie krwawych antyżydowskich rozruchach, na co reakcją władz było zamykanie uniwersytetu: „Od października 1931 roku do listopada 1939 r. uniwersytet był zamknięty przez 1/3 czasu”; łatwo policzyć, jak długo w sumie zawieszono studia, co polskie relacje o życiu miasta pomijają; w naszych książkach wspomnieniowych i podręcznikach trudno doszukać się informacji, że w połowie lat 30. wprowadzono prawo nakazujące zwalnianie Żydów zajmujących wyższe stanowiska w służbie publicznej (ale amerykański pisarz o tym wie), a to dotyczyło bezpośrednio jednego z bohaterów książki: dr Fleck zostaje wykluczony z uniwersytetu i zwolniony ze wszystkich oficjalnych stanowisk:... „jego świat się kurczył, tak samo jak świat wszystkich polskich Żydów”. Wyrazem instytucjonalnego antysemityzmu była zasada *numerus clausus*, czyli restrykcyjne ograniczanie przyjęć na studia żydowskich kandydatów; także oficjalnie wprowadzona w 1937 r. instytucja getta ławkowego, ustalająca, iż studenci żydowskiego pochodzenia podczas zajęć w uniwersytetach mają stać; o getcie ławkowym w polskim piśmiennictwie można przeczytać, znacznie trudniej to, iż owo getto wprowadzono rozporządzeniem polskich władz; no to przypomni to amerykański pisarz. Część profesury, np. w UJ w Krakowie i we Lwowie tych poczynań nie akceptowała. Oto więc postawa Weigla: „Syn profesora wspominał: wszedł do sali wykładowej i zauważył część studentów stojących osobno pod ścianą, zapytał – co tu się dzieje, dlaczego panowie nie siedzą? – a student-korporant odpowiedział: to są, panie profesorze Żydzi i my z nimi siedzieć nie będziemy. – W takim razie ja też będę stał, póki ci panowie nie usiądą.”

W kwestii nacjonalizmu ukraińskiego (napomknie także o nacjonalizmie polskim) i antysemityzmu nie wypowiada ocen politycznych i moralnych. Te zjawiska i postawy społeczne pozostawia bez komentarza, jakby oddając je pod osąd czytelnika. Jednak uwikłanie tych wątków w opowieść autora sugeruje, że ma na ten temat jednoznaczny pogląd. Skoro autor wie wszystko o Lwowie, wspomni o masowych wywózkach Polaków „za pierwszych Sowietów”, atmosferze terroru i strachu, groza NKWD i zagrożenie ukraińskie, także „radosne przyłączenie Lwowa do macierzy radzieckiej”. Wspomni mord profesorów lwowskich na Wzgórzach Wuleckich, o aresztowaniu krakowskich profesorów w ramach

akcji gestapo *Sonderaktion Krakau*. Allen nie traktuje tych zdarzeń jako oderwane wojenne incydenty, ale zdaje sobie sprawę: działania te jako systemowy element planu zlikwidowania polskiej inteligencji przez Rosję i III Rzeszę. W opowieściach Allena nie ma żadnego przypadku. W kontekście krakowskiej akcji poda nazwisko późniejszego prześladowcy Weigla: biologa dra Zb. Przybyłkiewicza, dawnego asystenta Weigla, z więzienia (zanim aresztowanych przewieziono do obozu Sachsenhausen) wyciągnie Eyer; na tym etapie nie ze współczucia, tylko ze względów pragmatycznych. Potrzebuje fachowców do prac badawczych w laboratorium, które ma zorganizować w Krakowie, niezależnie od laboratorium we Lwowie. Ta niesławna postać pojawi się jeszcze dalej w książce, mówić o niej będą też rozmówcy R. Wójcika (córka wielkiego biologa Bujwida powie dosadnie i wymownie: „wsza”, przytoczy to Allen, dopowiadając: „ale ta wsza miała wpływy”); polski reporter wielokrotnie nawiąże do niegodziwości potem krakowskiego profesora, scharakteryzowanego jako karierowicza, marnego uczonego, z gruntu niemoralnego (relacja „uczony”-studentki), kierującego się osobistą urazą wobec Weigla, kiedy ten napisze negatywną recenzję z pracy mającej być podstawą habilitacji Przybyłkiewicza, w końcu według akt IPN – tajnego współpracownika bezpieczeństwa. Mówiąc wprost, krakowski „uczony” wykończy Weigla. W opowieściach ujawni się też coś bardzo nie milego dla krakowskiego środowiska akademickiego: niechętnie (a nawet „wrogo”) jest nastawione do powojennych lwowskich uchodźców, widząc w nich konkurencję do stanowisk i godności uniwersyteckich, do mieszkań.

Okupacyjny Lwów to także getto żydowskie (nie mylić z obozem pracy przymusowej przy ul. Janowskiej). Niewiele jest relacji o nim. Na podstawie źródeł skrupulatnie zebranych Allen pokaże nam wnętrze dzielnicy zamkniętej, sytuację, niemiecką politykę wobec chorych-skupianych w szpitalach getta, by łatwiej można było „zlikwidować” ogniska zarazy. Jest konkretny – poda ówczesne adresy, nazwiska niektórych oprawców; w szpitalu getta pojawi się wraz z żoną i synem dr Ludwik Fleck, o nich autor też opowie. Tu ważny szczegół: przy likwidacji getta Fleck wytarguje z Niemcami, że wraz z nim do Auschwitz pojedą też jego bliscy, mimo wszystko – jakaś iskra nadziei, że się uratują. To się spełni.

W bogactwo tyłu wątków problemowych harmonijnie wplecione są dzieje lwowskiego laboratorium Weigla podczas obu okupacji. Allen (i Wójcik) ukażą (choć różnymi technikami pisarskimi) metodę i etapy produkowania szczepionki: hodowanie wszy przez karmienie ich ludzką krwią (ogromna rzesza „karmicieli”), sztuczne infekowanie wszy zarazkami tyfusu, by przez procedury preparowania chorych wszy uzyskać



Prof. Rudolf Weigl w swoim laboratorium

szcepienkę. Dlaczego akurat wszy? Autor wyjaśni, że rozmnażanie zarazków tyfusu w innych środowiskach biologicznych było niezmiernie trudne, zawodne, zbyt kosztowne. W tym kierunku szły właśnie doświadczenia w laboratoriach niemieckich: hodowanie w krwi więźniów, w płucach myszy czy królików, na sztucznych odżywkach, na żółtkach jaj kurzych. W tamtych czasach metoda Weigla była jednak jedyną sprawdzoną i skuteczną. Stąd tak wielkie zainteresowanie lwowskim laboratorium ze strony rosyjskiej, potem niemieckiej. Służby sanitarne armii sowieckich i niemieckich nie były przygotowane do zwalczania epidemii tyfusu, które zdawało się, że już wygasły. Toteż zwłaszcza w Niemczech zarzucono badania „tyfusowe”, kontynuowane były zaś w Polsce i we Francji (laboratorium w kolonii francuskiej, w Tunisie; Tunis pozostawał dla Niemców niedostępny, pozostawał więc Lwów). Tyfus jednak objawił się ponownie, także w jednostkach wojskowych. Taki jest kontekst znamiennych wydarzeń: Nikita Chruszczow (I sekretarz partii bolszewickiej na Ukrainie), generalny gubernator Hans Frank, wreszcie generał SS Fritz Katzmann (w relacjach jako wysłannik Himmlera, formalnie dowódca SS i gestapo w dystrykcie Galicja) z wizytą u Weigla. Czuwa też NKWD: Iwan Sierow (zob. monografia Nikity Piętrowa z rosyjskiego „Memoriału” „Stalinowski kat Polski. Iwan Sierow”) napisze raport: Do Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych Związku SRS Komisarza Bezpieczeństwa Państwowego I rangi tow. Berii Ł.P. Moskwa, Ścisłe Tajne. Zdając relację z „likwidowania” polskiego podziemia przedstawi instytut jako zagrożenie dla Rosji: „Laboratoria prof. Weigla mogą być wykorzystane przez elementy kontrrewolucyjne dla aktów dywersji biologicznej.” (Raport zachowany, opublikowany w edycji „Polska i Ukraina w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku, Polskie podziemie 1939–1941, Nieznane dokumenty z archiwów służb specjalnych, tom I Lwów–Kołomyja–Stryj–Złoczów”; R. Wójcik przedstawi odpowiedni fragment w polskim tłumaczeniu).

Pisząc o owych wizytach Allen prowadzi do kulminacji swego dzieła. Rozwija się dramatyczna walka o utrzymanie laboratorium, o przetrwanie związanych z nim setek osób. Walkę tę Wójcik określi jako pakt z diabłem, także jako „faustowskie targowanie się dla zbawienia tysięcy dusz”. Początki okupacji Lwowa są początkiem wielkiej tragedii Weigla, dziś niełatwo nam wnikać w głębię sytuacji, lecz ten dramat snuje się w obu dziełach. Wysłannicy diabła kuszą Weigla: Chruszczow snuje wizję kariery w Moskwie, profesury w Akademii Nauk, wielkiego instytutu w Rosji pod kierunkiem uczonego. W przytaczanych relacjach pojawia się informacja, że Weigl jest jakoś zorientowany, że NKWD przygotowuje plan wywiezienia instytutu i jego personelu w głąb Rosji,

ma jechać w pierwszym transporcie. Nie przyjmie propozycji świetlanej przyszłości, lecz w rozmowie z Chruszczowem zdoła utrzymać swe laboratorium we Lwowie. (Tu ważny jest przekaz S. Szybalskiego, tłumacza w rozmowie z Chruszczowem; opowie o tym swemu synowi, Wacławowi, ten spisze relację, przytoczą ją obaj autorzy sygnalizowanych dzieł. Stąd jest znany m. in. passus, kiedy Weigl propozycję Chruszczowa obraca w żart: „nigdzie nie ma tak dobrych wszy jak we Lwowie”). Wysłannicy niemieccy oferują przyznanie statusu Reichsdeutscha, uniwersyteckie godności, apanaże dyrektora fabryki szczepionki, poparcie III Rzeszy dla nagrody Nobla. Te propozycje uczony też odrzuci, deklarując poczucie polskości; Katzmann w końcu grozi złamaniem oporu (tu aluzja do uczonych zamordowanych we Lwowie); Weigl odpowiada, że zabijając go, zrobią mu przysługę (rozmowa była słyszana, przekaz w relacjach). Kilkadziesiąt lat po owych zdarzeniach trudno jest w pełni zrozumieć dramatyczny kontekst odrzucenia tych propozycji. Jeden wymiar, to absolutna deklaracja polskości, w tym zakresie Weigl pozostaje niezłomny. Z kolei rozumie, że laboratorium w głębi Rosji – to koniec jego względnej samodzielności, całkowity nadzór NKWD, koniec możliwości ratowania ludzi; prywatne przedsięwzięcie – to nadzór gestapo. Weigl wybierze „mniejsze zło” – nadzór Wehrmachtu, co wyklucza w zasadzie ingerencje gestapo i usuwa zagrożenie ukraińskie; międzynarodowa sława uczonego ułatwi wytargowanie ważnych warunków: samodzielność w prowadzeniu badań naukowych i zatrudnianiu personelu, oraz coś bezcennego, na wagę życia: legitymacje zatrudnienia w Instytucie Tyfusowym jako agendzie Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, będące gładem bezpieczeństwa, chroniąc przed łapankami, aresztowaniem, rewizją. Konspiratorzy z AK dobrze to wykorzystali. Wobec późniejszych kontrowersji co do osoby Weigla, trzeba spytać, zanim wydamy sąd, czy miał inne wyjście?, i jakie są granice kompromisu? W obu książkach to pytanie wystąpi i jak uważnie czytać, to pojawi się trop ewentualnej odpowiedzi: mógł popełnić samobójstwo... Tu trzeba powstrzymać się od komentarza... Niektórzy uznają, że w imię wyższych wartości wybrał śmierć cywilną.

Niełatwo zrozumieć reakcje pracowników laboratorium w konkretnej sytuacji; sygnalizowano wątek „dobrych Niemców”, ale jest też szczególny wątek, R. Wójcik zanotuje wypowiedź: „To było tak oczywiste dla każdego pracownika instytutu, że się o tym nie mówiło, że się tych naszych żołdatów, czerwonarmistów i ich generałów, którzy czekali na naszą surowicę wręcz traktowało jak sprzymierzeńców. Oni nam pozwolili zostać we Lwowie! Weigl wytłumaczył wysokim komisarzom, że tu są najlepsze warunki do hodowli odpowiednio pielęgnowanych wszy (prof. Kryński, Wójcik, s. 166). – Niech pan pomyśli, co by się stało, gdyby we

Lwowie przestał istnieć instytut, a w warunkach nowej okupacji nie byłoby nikogo, kto by nasze wszy wymieniał na życie”.

Opis laboratorium, jego struktury, podziału prac, poszczególnych zespołów pracowników, ról zawodowych przez nich pełnionych, wspaniałej atmosfery ludzkiej, w obu książkach jest zbieżny. Jednolity jest też opis znaczenia tej oazy bezpieczeństwa wśród okupacyjnej rosyjskiej i niemieckiej grozy, wzajemnej solidarności itd. Laboratorium – miejsce chowania broni i bibuły konspiracyjnej, ratowania żydowskich współpracowników, prowadzenia prac naukowych, dzięki którym tajnie przygotowane są habilitacje grupy biologów dla polskich uczelni po wojnie, miejsce tajnego nauczania, fikcyjnego zatrudniania młodzieży akowskiej. Miejsce produkowania szczepionki dla wojska, ale też tajnie przeznaczonej dla różnych grup cywilnych odbiorów. Pojawi się trudny problem fałszowania szczepionki i zróżnicowania postaw współpracowników w tej kwestii. Dla jednych fałszowanie (tzn. preparowanie różnych stopni skuteczności szczepionki) było moralnie nie do przyjęcia, decydował tu przedwojenny rygorystyczny etos lekarza, uczonego, występuje motyw przysięgi Hipokratesa, obowiązującej lekarzy zawsze i wszędzie.

Współpracownik Weigla (po wojnie profesor jednej z polskich uczelni) przeprowadzi z kolei naukowy wywód, że szkoderstwo wrogowi jest dozwolone każdą metodą. Owe dylematy są w obu książkach wyraźnie przedstawione, lecz relacje w tej kwestii nie są zbieżne i problem nie jest jednoznacznie rozstrzygnięty. Czy jest to w ogóle możliwe? Czy zawsze białe jest białe, a czarne – czarne? W ekstremalnych okolicznościach wojny i okupacji nie wszystko jest absolutnie jednoznaczne, choć wielu ludziom wydaje się, że znają prawdę ostateczną i zbyt łatwo są sędziami ludzkich sumień, lustratorów w różnym czasie jest co niemiara, stojących niezachwianie na pozycji „abstrakcyjnych moralistów” w poczuciu swej oczyszczającej misji. Z jednej strony wiadomo, że jakość szczepionki była skrupulatnie kontrolowana przez niemieckich nadzorców, trudno więc mówić o „fałszowaniu” szczepionki. Niektóre wypowiedzi sugerują, że jakieś próby „majstrowania” przy szczepionce były podejmowane; w jakim stopniu, w jakim zakresie, ponoć z wiedzą Weigla, tego już nie da się ustalić. Fałszowano natomiast dokumentację produkcji, uzyskując dodatkowe porcje szczepionki, ale to było obarczone wielkim ryzykiem; w szczególności do nie ewidencjonowanej produkcji szczepionki wykorzystywano kał wszy, o szczególnych własnościach antytyfusowych, czego Niemcy nie byli świadomi. Poza tymi niejasnościami trzeba jednak podkreślić, iż w złożonych sytuacjach wystąpiły trzy fenomeny: przez cały okres wojny w laboratorium nie było żadnej wsypy, wobec wielu dekonspiracji na zewnątrz; zmowa mil-

czenia i swoista solidarność jednoczyła też Niemców, pracujących na różnych stanowiskach w lwowskim instytucie. W końcu znajdowali broń, bibułę konspiracyjną, zaczęli orientować się w laboratoryjnych machinacjach. Ostrzegali przed „nierozważnymi” poczynaniami, ale z ich strony nie nastąpił żaden donos do gestapo. Stało się oczywiste, że instytut był i dla nich miejscem bezpieczeństwa, chronił przed przydziałem do armii. Gorliwca, który zaczął zbyt węszyć, sami szybko wysłali na front. Wątek „dobrych Niemców” występuje w obu książkach w relacjach konkretnych osób. W świetle doświadczeń wojenno-okupacyjnych może to być irytujące i niezrozumiałe, a w realiach tuż powojennych politycznie nie do przyjęcia, lecz ukazuje się tu złożoność sytuacji, o których jako się rzekło „nie śniło się nawet filozofom”. I trzeci fenomen: solidarna zgoda na zakaz publikowania w czas wojny artykułów naukowych. Z tego moralnego ryguru wyłamała się tylko jedna osoba – owa „wsza”, publikując artykuł naukowy wraz z innym Niemcem. Czyż nie jest to akt kolaboracji? Wobec powojennego omotania Weigla kampanią oszczerstw (opisaną przez Allena i Wójcika), fakt ten skomentuje polski uczonec: „Sądzę, że jest w tym nader czytelna psychologiczna prawidłowość, która każe złodziejowi krzyżeć najgłośniej „łapać złodzieja” (zob. Wójcik: zdjęcie gestykułującego prof. Kryńskiego z podpisem „Złodziej krzyżeć najgłośniej łapać złodzieja”, s. 142).

Swą książkę Allen kończy niezwykle emocjonalnie, wzruszająco, można powiedzieć – boleśnie a nawet rozdzierająco. W kilku migawkach omówi jałtańskie zmiany polityczne: Wielka Trójka uzgodniła, że „Polska będzie państwem na kółkach i przetoczy się na zachód”, oddając Rosji swe ziemie wschodnie z Wilnem i Lwowem; odczytamy tu wiele mówiącą ironię autora; przedstawi los powojennego Lwowa, fety z okazji jego złączenia z radziecką ojczyzną i przymusową deportację Polaków; tekst określa trasę kolejową Przemyśl, Kraków, Katowice, Gliwice, Wrocław, wzdłuż której szukali miejsca dla siebie wygnańcy; kilka stwierdzeń autora mówi znacząco o nim samym: „Alianci pozwolili Stalinowi odebrać im (tj. Polakom) połowę terytorium, a setki tysięcy partyzantów, którzy walczyli z Niemcami, zostało zamordowanych, uwięzionych lub zmuszonych do milczenia. Dawni mieszkańcy Lwowa tym bardziej nie mogli liczyć na sprawiedliwość. Jako polscy obywatele miasta, które nie było już polskie – a co więcej, zostało „odzyskane” przez Ukrainę po stuleciach „okupacji” – Polacy ze Lwowa stali się niewygodni. Nie mogli spodziewać się odszkodowania za utratę życia i własności.” Odwołuje się do wspomnień Szybalskiego: „Robili co mogli, żeby wymazać polski Lwów z dziejów, udawać, że nigdy nie istniał... To mnie naprawdę bolało. Kochałem moje miasto.” Autor dopowie: „By żyć w socjalistycznej Polsce, lwowianie musieli odrzucić przeszłość, ale to

było bardzo bolesne.”; zacytuje więc fragment słynnego wiersza Adama Zagajewskiego (*Pojechać do Lwowa*), kończący się wersem: „było za dużo Lwowa a teraz nie ma go wcale”.

Trzeba i to jeszcze dopisać: „Niedawno odwiedziłem Lwów; zdumiała mnie witalność miejsca, nacechowanego tyloma rozwianymi i ukrytymi marzeniami. Przyglądałem się elegancko ubranym Ukraińcom i Ukrainkom, spacerującym, wędrującym, przemierzającym ulice. W sklepach dla turystów sprzedawano plakaty i podkoszulki wysławiające antysemicko nastawionych ukraińskich nacjonalistów, a ulica, która niegdyś nosiła imię Sapiehy, duża arteria w polsko-żydowskiej części miasta, została przemianowana na ulicę ukraińskiego nacjonalisty (i antysemitę) Stepana Bandery. Było to niepokojące, uderzyło mnie jednak i to, że nie dało się zaprzeczyć ciągłości miejskiego życia. Każdy mieszkaniec skupiał się na własnych zmartwieniach i planach. Wszystkie miasta wzniesiono na kościach zmarłych. Brak upamiętnienia żydowskich i polskich przodków miasta jest straszny, ale zmarli są, w pewnym sensie, zawsze zapomniani. Od czasu do czasu przystajemy, aby opowiedzieć ich historie i może pozwolić im żyć poprzez nas na ulicach, po których niegdyś chodzili. Wszystko przemija, łącznie z wielkością”... Wreszcie na ostatniej stronie nawiążę do Andrzeja Żuławskiego (syna pisarza, karmiciela wszy u Weigla), reżysera filmu „Trzecia część nocy” o lwowskim laboratorium (szerzej o tym w książce Wójcika). Ów reżyser... „Zachował drewnianą klateczkę na wszy, której jego ojciec używał w laboratorium Weigla. – Przez całe życie ojciec nosił to ze sobą, trzymał na biurku – mówi Żuławski. – Była dla niego bardzo, bardzo ważna. A teraz ja ją trzymam na biurku.” Wypowiedź tę zamyka ostatnie zdanie odautorskie: „Nie ma powrotu do Lwowa, ale wygnańcy zabrali Lwów ze sobą”. Tę osobistą wypowiedź Allen dopełni innym fragmentem wspomnianego wiersza Zagajewskiego, który kończy się trzema słowami: **LWÓW JEST WSZĘDZIE**.

Nawiązanie do Andrzeja Żuławskiego i jego filmu jest niezwykłym łącznikiem między książką Allena a książką Wójcika. Ten bowiem film („wdeptywany przez władze”) zainspiruje polskiego reportera do podjęcia pracy nad „weigłowskim” tematem.

Książkę „Kapryśna gwiazda Rudolfa Weigla” oznacza nazwiskiem tylko jeden autor, lecz jest to jakby praca zbiorowa kilkunastu osób. Jej złożoną strukturę tworzą relacje (nagrane i spisane w notesie reportera) lwowskich współpracowników R. Weigla zebrane przez R. Wójcika w ciągu wielu lat (pierwsza relacja grudzień 1972 r., ostatnia 1989 rok, rozmowa z prof. Uniwersytetu Łódzkiego Stefanią Skwarczyńską), relacje z kręgu rodziny Weigla i jego drugiej żony, innych osób tak czy inaczej znających go, oraz zespół komentarzy autora. Opublikuje różne

dokumenty, fragmenty korespondencji, mające związek z Weiglem, jego działalnością, instytutem lwowskim. Uzyska kapitalne zdjęcia ukazujące Weigla w życiu prywatnym, zdjęcia rodzinne, z huculskiej wsi Iłemnia u podnóża Gorganów, w której rodzina Weiglów spędza wakacje. Wpatrując się w zatrzymany w kadrze krajobraz może mocą wyobraźni zobaczymy postać ojca Ruttena, przełożonego belgijskich misjonarzy w Chinach, dziesiątkowanych wraz z ludnością przez tyfus; schodzi ze wzgórz ku owej wsi, wie o szczepionce, zdoła odszukać Weigla, prosząc o pomoc. Przyjedzie do Lwowa dr Tchang z Chin, nauczy się metody produkcji szczepionki (zdjęcie s. 248). Laboratorium Weigla jest określone jako Mekka, do której zdążają biolodzy z Europy, także z Rosji. Któryś z nich przekaze Weiglowi dobre rady: „Nigdy nie wstępuj do partii komunistycznej i zanedbaj nie kradnij. Jeżeli nie jesteś członkiem partii, zawsze będą cię namawiali do wstąpienia, ale jak już wstąpisz i kiedyś po tym cię z partii wyrzucą, to będziesz skończony. Jeżeli będziesz kradł za dużo, to cię zaaresztują lub wywiozą, ale jeśli nie będziesz kradł w ogóle to umrzesz z głodu – dlatego pamiętaj, abyś kradł z umiarem, tyle tylko, aby przeżyć” (relacja W. Szybalskiego; no to mamy dobry komentarz do słów jakże znanej pieśni w ZSRR, a także potem w bratnich państwach demoludu, w swobodnej wersji językowej: nie znam innego kraju, gdzie tak swobodnie [wolno] żyje człowiek). Uczony niewiele publikuje, ale dzieli się swą wiedzą i doświadczeniem wobec swych uczniów i przybyszy z zagranicy. Zdjęcia pokażą sceny z życia instytutowego, na nich wiele osób z otoczenia Weigla, w tym „karmiciele wszy”, z klateczkami, przymocowanymi do ciała, w nich hodowane są wszy. Zdjęcie: grupa młodych ładnych dziewcząt, młodzieńczo radosnych, w białych fartuchach; jakie były ich dalsze losy? Wójcika mniej interesują konteksty problemowe, tak bogate u Allena. Koncentruje się na osobie uczonego i jego współpracownikach, a tło sytuacyjne (realia obu okupacji) ukazują wypowiedzi rozmówców. Zebrane relacje i materiały zrekonstruują środowisko rodzinne, czas młodości, dojrzewanie do polskości, drogę naukową uczonego zapoczątkowaną w Przemyślu w latach I wojny światowej, pozanaukowe hobby, sylwetkę intelektualno-duchową, rzucą nieco światła na prywatne życie. Skreślony został obraz człowieka o skomplikowanej osobowości, fanatyka nauki, metodologicznego rygorysty, ale budującego dobre relacje z ludźmi w ogóle i ze współpracownikami, był dla nich przewodnikiem w badaniach, obraz człowieka prawego, z wielkim poczuciem patriotyzmu. Budowany jest obraz człowieka, który ma tylko jedno posłannictwo – praca badawcza w służbie ludzkości (jakkolwiek by to pompatycznie brzmiało), nieczulego na sławę, zaszczyty, własne korzyści. Ma poczucie honoru i godności – osobistej i jako Polaka. Udokumentuje to niezlicznie

własną postawą. Odtworzone zostały realia pracy w lwowskim instytucie, ujawnione są różne sprawy „pozakulisowe” tam dziejące się, a związane z konspiracyjną działalnością. Rozmówcy wiedzieli dużo, przekazali wiele szczegółów jakże niezwykłych, fascynujących. Po lekturze staje się jasne, dlaczego relacje te nie mogły być w latach PRL-u opublikowane. Czy powiedzieli wszystko, co było im znane? Pewnie nie. Prof. Stefan Kryński uprzedzi reportera (1979 r.): „Na razie jest nas spora garstka, dawnych Weiglowców, może pan zebrać ciekawy materiał. Nie sądzę jednak, by ludzie garnęli się do opowiadania. Zbyt wiele złego się wydarzyło. Wystarczy że Lwowa już nie ma w Polsce. Jesteśmy rozproszeni i mocno podzieleni, zadziały powojenne intrygi. I działają nadal”. (Dalej opowie o prowokacjach podczas kręcenia filmu Żuławskiego, filmu którego profesor był konsultantem). Powiedzieli jednak wystarczająco dużo, aby te dane zebrane razem (w książce Wójcika i Allena) utworzyły pewien kanon wiedzy „weigłowskiej”, poza który obecnie trudno już będzie wykroczyć.

Komentarze R. Wójcika mają złożony charakter. Jeden ich nurt pokazuje warsztat pracy dziennikarza, skomplikowany proces poszukiwania rozmówców, okoliczności przeprowadzania rozmów (nagrywania relacji), opisują przebieg rozmów, reakcje rozmówców, rzeczowy i emocjonalny klimat spotkań. Zanotowane są refleksje, dygresje opowiadających. Mają one dla toku opowieści i obrazu spraw „weigłowskich” wielkie znaczenie, są też łącznikiem między opowieściami kolejnych rozmówców. Reporter ujawni przy tym coś bardzo niezwykłego. Cechą niemal wszystkich opowiadających jest szczególnego rodzaju wstrzeźliwość w sytuacji, kiedy relacja dochodzi do wątku „Lwów i instytut w czasie sowieckiej okupacji”. Nie chcą opowiadać, „niech pan zakryje mikrofon”; o tym nie będziemy mówić; jeszcze nie przyszedł na to czas, proszę przerwać nagrywanie. Dokumentalista odnotuje to wiele razy: „...Potrafili starannie omijać rąfy tematu sowieckiej okupacji 1939–1941, niekiedy „znikali”, przerywając relację w pół słowa, wymownie machali ręką na mikrofon, dając znak bym magnetofon wyłączył” (s. 85);...” Mirosław Żuławski (ojciec reżysera) stanowczo odmawiał nagrywania na magnetofon tego, co było dla mnie tak ważne – np. jak AK wykorzystywała instytut Weigla dla celów organizacji podziemnej” (s. 11).

Słowem, Lwów pod sowiecką okupacją jako wielkie „tabu”. Lecz co innego kwestia cenzorskiej blokady, a inna sprawa – wewnętrzna, psychiczna blokada. Jest to sytuacja znakomicie rozpoznana przez psychologów w odniesieniu do więźniów obozów koncentracyjnych, u których tzw. trauma obozowa i blokada wspomnień trwa niekiedy przez dziesiątki lat. Znamienny jest zatem fragment rozmowy R. Wójcika

z prof. Stefanią Skwarczyńską: „W nagranych wspomnieniach aż u jedynastu Weiglowców zjawiało się nazwisko profesor Stefani Skwarczyńskiej, cudownie wyrwanej z czeluści Kazachstanu – zawsze wspomnianej jako promienna i wspaniała postać polskiej nauki, zawsze wymieniana jako przykład niezwykłej mocy Weigla w dziele ratowania bliźnich. – Przecież ona żyje, może wiele opowiedzieć, co tam widziała, z kim dzieliła katorgę, co przeżyła na zesłaniu. Redaktor „Odry” Ignacy Rutkiewicz zachęcał mnie do tej rozmowy, ale i studził, bo jak wyznał, wcale Pani Stefania do wywiadu się nie paliła, tamte przejścia to dla niej zbyt wielka trauma. Długo trwały rozmowy... – Miała pani przygodę zupełnie wyjątkową. Zwiedziła Pani spory szmat świat. – Oj, chyba nie będziemy o tym gawędzić, a na pewno nie z magnetofonem. ...Dlaczego? W odpowiedzi Profesor odwołuje się do literackiej aluzji: we fragmencie odnalezionego tomiku dzienników Żeromskiego, pisarz notuje odwiedzin rodzinnych Kielc i ogarnia go „rój bolesnych wspomnień” (zapewne chodzi o wspomnienia gimnazjalne, o rusyfikację szkolnictwa w tzw. potocznie „Kongresówce”, uwaga M.M.), a cenzura wycina jedno słowo... i Profesor kontynuuje – Jakie to słowo uznano dziś jeszcze za groźne? Służalec, Moch, Kacap, sprzedawczyk – nie dowiemy się! Na te same stronicy sąsiadują blisko aż trzy nawiasy kwadratowe! (oznaczenia ingerencji cenzury z okresu stanu wojennego-uwaga M.M.). Cała książka jest upstrzona takimi nawiasami, które jedynie jątrzą naszą „niebłagonadiożną” ciekawość i wyobraźnię. A pan mnie kusi, byśmy odbyli „wycieczkę” razem, ja z trojgiem małych dzieci i teściową i pan z mikrofonem do tego nieludzkiego Kazachstanu, gdzie szansę przeżycia mieli jeden do tysiąca, tacy jak my, skazani na śmierć głodową w mroźnych albo skwarnych piaskach pustyni... przez trzy miesiące byliśmy na dnie nędzy... – Nie sądzę, aby po tych przygodach, jakich pan doświadczył, dokumentując dla filmu opowieści o „współpracy Weigla z Wehrmachtem”, na cokolwiek będą potrzebne anegdoty – takie jak moja – z okresu sowieckiej okupacji. Oto kiedy wróciłam z Kazachstanu z dziećmi i teściową, Weigl wybrał się ze mną na spacer i poprosił bym wszystko opowiedziała: „nie mów o tym więcej nikomu moje dziecko, doktor Mosing już cię zaszczepił, przejdiesz kwarantannę i zaraz bierz się do karmienia [wszy – razem z wieloma innymi lwowskimi uczonymi – uwaga M.M.]. Szybalski pokaże ci, jak to się robi, będziesz pod jego komendą.” – Chyba nie chce pan tego nagrywać? To takie nudne. I wciąż niebezpieczne.” (Nawiasem mówiąc, rada Weigla w warunkach sowieckiej okupacji była nader rozumna i zbawienna: rozprowadanie o zesłaniu mogło grozić kolejnym zesłaniem lub więzieniem, zapewne bez kolejnego ratunku). Dalszy komentarz dopowiada sytuacyjno-polityczne konteksty odmowy pani profesor, dopisując

jeszcze to:..., z humorem wspominała, jak pod nosem ukraińskiej policji, groźniejszej od gestapo, przenosiła dla ludzi z lasu ampułki znakowane cyrylicą, bo były produktem kontraktowym dla krasnej armii dopóki Armia Czerwona opiekowała się we Lwowie hodowlą „najlepszych wszy na świecie”. – Szary mój notes przechowuje ślady tamtej gawędy. Niestety! Wśród zapisanych taśm nie ma choćby jednej z głosem Pani Stefanii.” Wiele relacji nie zostało ostatecznie nagranych. Ale notes reportera zachował niesamowite opowieści, odnajdziemy je na kartach książki. Okaze się dowodnie, że w komunistycznej Polsce nie było żadnych szans, by mogły ukazać się drukiem.

Dygresja 1. Odnosi się ona po części do kazachstańskiego zesłania, po części do „polityczno-cenzuralnego uczulenia” na hasło Lwów, i ma charakter osobisty. Przed laty, pracując nad kilkutomową edycją autobiografii naukowych pod tytułem „Uczeni polscy o sobie”, zawierającą teksty dotyczące bardzo określonej generacji uczonych, starszego pokolenia, wyrastającego generalnie w okresie II Rzeczypospolitej, jako nosiciele i wyrazicielei szczególnego etosu, zdającego się stopniowo ulegać zatracie w nowszych pokoleniach uczonych po II wojnie światowej, przewidywałem zamieszczenie autobiografii prof. S. Skwarczyńskiej. Prosiłem uczoną o spotkanie – potrzebne były uściślenia faktograficzne do przygotowanego schematu biogramu jednolitego dla wszystkich uczonych, miałem też nadzieję na uzyskanie fotografii z różnych etapów życia; te zbierałem do wszystkich publikowanych autobiografii. Choroba uczonej uniemożliwiła spotkanie, rozmawiałem tylko z córką, prof. Marią Olszewską, biologiem w Uniwersytecie Łódzkim (wspomniana w książce R. Wójcika). W rozmowie ujawnił się kazachstański wątek, wówczas mała dziewczynka odczuwała jakieś zagrożenie ze strony miejscowego NKWD-zisty czy kołchozowego nadzorca. Nie czułem się uprawniony do podtrzymania tego wątku wspomnieniowego. Natomiast wiedziałem, że prof. Skwarczyńska w ramach lwowskiej AK zajmowała się sprawami wydawniczymi. W 1943 r. ukazał się więc konspiracyjnie m. in. tomik wierszy „Śpiew wojny”. Do książki chciałem zreprodukować graficzną okładkę. Tomik zachował się. Lecz AK i Lwów, to aż nadto; jako zapewne bardzo groźny dla interesów PRL, w katalogu bibliotecznym oznaczony był jako „prohibita” – absolutny zakaz udostępniania. Nikt przytomny z bibliotekarzy nie odważyłby się złamać tego zapisu; jako poważne uchybienie zawodowe, groziłoby zwolnieniem z pracy. Był koniec lat 80. ub. wieku... Dopiero po 1990 roku możliwe było wydawanie w większym zakresie dzieł z tytułem lub podtytułem zawierającym słowa

„kresy południowowschodnie” czy lwowska AK lub pochodne, jak w kilkunastotomowej edycji opracowań prof. Węgierskiego pod ogólnym wspólnym tytułem „Na kresach południowo-wschodnich 1939–1945”, której tomiki odtwarzały dzieje AK w poszczególnych obszarach ziemi lwowskiej łącznie z miastem Lwów (w strukturze organizacyjnej AK – Obszar 3 Lwowski ZWZ AK); tomiki te, dziś już w zasadzie nieosiągalne, wydane były (1993–1999) nie przez nowe oficyny, tych nie brakowało, lecz skromnie – przez Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej i Ogólnopolski Okręg Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego im. Orłąt Lwowskich z siedzibą w Krakowie. Nawiasem mówiąc, z planowanej edycji owych autobiografii ukazał się tylko tom pierwszy. Na progu „solidarnościowej rewolucji” i zmiany ustrojowej wszystkie oficjalne oficyny wydawnicze w Polsce upadły. Zebrane materiały do kolejnych tomów przepadły; w opuszczonym i niestrzeżonym budynku wydawnictwa zdołałem odszukać tylko drukarską „szczotkę” (odbitkę do korekty) tomu trzeciego. Niestety – nie obejmował on danego tekstu. Przepadły też zdjęcia z trudem uzyskane od różnych osób. Co do prof. Skwarczyńskiej – zachowało się tylko jedyne; piękne – uduchowiona uczona na jakiejś uroczystości głosi toast? okolicznościowe wystąpienie? Było, minęło. Po kilku latach próba odtworzenia i wznowienia edycji nie spotkała się u nowych wydawców ze zrozumieniem, i słusznie – po co nam w nowych czasach wspominki dawnych uczonych, to już nie jest modne, ani potrzebne, ani biznesowe... A jakiś etos (uczonych, czy tylko ich)??? A co to takiego? I po co ten etos?

Wątek zwolnienia Stefanii Skwarczyńskiej (doc. w UJK) z zesłania do Kazachstanu występuje w obu książkach). W tej sprawie istnieją dwie wersje. Jedna łączy to wydarzenie z interwencją R. Weigla (lub przy współdziałaniu Juliusza Kleinera, wielkiego historyka literatury polskiej z UJK, wersja także występująca w Internecie). Takie jest przeświadczenie Weiglowców. Wersję drugą upowszechniła Ola Watowa, żona komunizującego poety Aleksandra Wata, aresztowanego wraz z innymi pisarzami polskimi we Lwowie, wskutek znanej prowokacji NKWD. Przebywała na zesłaniu wraz z S. Skwarczyńską (obie jako żony „wrogów ludu”). W swych wspomnieniach wydanych za granicą, a dopiero w latach 90. w Polsce (*Wszystko co najważniejsze*) wzruszający fragment poświęciła uczonej z UJK. Wyraziła przekonanie, że zwolnienie nastąpiło wskutek interwencji Wandy Wasilewskiej. Trudno powiedzieć, na jakich przesłankach oparła to przekonanie. Wiadomo jednak, że „wewnętrzne przeświadczenia” mają charakter irracjonalny, zatem nie odwołują się do obiektywnych danych. Wersja

zaś o interwencji Weigla (z Kleinerem) jest enigmatyczna, opiera się na pogłoskach jakoby krążących w środowisku uczonych i być może odwołuje się również do psychologicznego „przekonania” o sprawie. Pewną przesłanką mógłby być fakt, iż Weigl cieszył się wielkim poważaniem wśród ukraińskich i sowieckich uczonych; wiadomo też było, że stale był wzywany do władz Lwowa na rozmowy (nie są znane ich treści). Znany był fakt jego rozmowy z N. Chruszczowem z wizją wielkich perspektyw, jakie ten roztaczał przed uczonym. Mogło więc wydawać się oczywiste, że Weigl wykorzystał te kontakty dla interwencji w sprawie zwolnienia z zesłania.

Najnowsze piśmiennictwo owo zwolnienie przedstawia w nowym świetle. Ola Hnatiuk, profesor w Instytucie Sławistyki PAN, wykładowca w Uniwersytecie Warszawskim i Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, w swej wielkiej (nie tylko objętościowo, ale i problemowo) książce „Odwaga i strach”, nominowanej do nagrody w konkursie na najlepszą książkę historyczną 2016 roku, na podstawie archiwaliów ustaliła nieznanne dotąd dane. Wykluczają one działanie W. Wasilewskiej, ta niezbyt się kwapiła do udzielania pomocy Polakom, co dopiero obcym jej ideologicznie wrogom ludu. Dokumenty w lwowskich aktach uniwersyteckich wskazują zaś, że interwencję podjął (na prośbę J. Kleinera) prorektor Uniwersytetu ds. naukowych ukraińskiego pochodzenia, obdarzony różnymi godnościami akademickimi, profesor literatury ukraińskiej Kyryło Studynski, za „pierwszego Sowietą” deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, także członek Rady Miejskiej Lwowa. Zachowały się odpisy pism NKWD do obu w sprawie zwolnienia. Książka O. Hnatiuk poświęcona jest „drugiej stronie” okupacji sowieckiej we Lwowie – pogmatwanym relacjom osobowym polsko-ukraińskim i tragicznym losom inteligencji ukraińskiej, unicestwianej przez NKWD, czego Polacy wobec boleśnie odczuwanej „ukrainizacji” miasta i uniwersytetu, skomplikowanych okoliczności, pełni stereotypów, uprzedzeń, niechęci, złych doświadczeń narodowościowych, nie byli świadomi. Nie mogli też znać spraw montowanych przez NKWD wobec wielu przedstawicieli inteligencji ukraińskiej, także wobec Studynskiego (i mówiąc przy okazji – wobec odwołanego już rektora Marczenki, ślepego narzędzia polityki sowietyzacji uniwersytetu przez ukrainizację. Jego bolesne dalsze losy po raz pierwszy ujawni O. Hnatiuk). Studynski angażował się w pomoc dla wielu osób, nie zawsze skutecznie. W przypadku S. Skwarczyńskiej zdążył, zdecydowała solidarność nie narodowa (o tej trudno mówić), lecz uniwersytecka. O ile Marczenko przeżyje więzienia i przejdzie ewolucję od sowieckiego partyjnego aparatczyka do ukraińskiego patrioty (co w sowieckiej terminologii oznaczało też „wrog ludu”), o tyle po ewakuacji ze Lwowa po Studynskim „śląd zaginał”. Wiadomo, co to

oznacza... Nawiasem mówiąc, także Ukraińcy nie byli świadomi losów pierwszego sowieckiego rektora Uniwersytetu we Lwowie, niezwykle negatywnie zapamiętanego i opisanego w polskich relacjach. Polacy widzieli w nim tępego urzędnika, polakożercę, mocą rektorskiej władzy (według tradycyjnego rozumienia pozycji rektora w uczelni) wprowadzającego nowe antypolskie porządki w duchu ukraińskim. Nie rozumiano wtedy, że rektor sam z siebie nic nie robi. Ma tylko tyle władzy, ile mu zostało nadane przez partię, i nic nie czyni z istoty swego urzędu, a tylko ściśle realizuje „linię” ustaloną też przez partię. Książka prof. O. Hnatiuk i Polakom, i Ukraińcom (przekład na język ukraiński w toku) ukaże tę postać (nie tylko tę) w nowym świetle. Ale wykazuje też znacznie więcej: jak konieczny jest krytycyzm wobec „narodowych opowieści” (polskich, żydowskich, ukraińskich), przekazujących często skrzywiony obraz osób, zdarzeń, rzeczywistości, widzianych i odczuwanych właśnie w perspektywie własnej „narodowej świadomości” czy „narodowej tożsamości”. To sprawia, że relacje nie zawsze są wiarogodne, wbrew własnym intencjom. Tytuł jednego z dramatów europejskiej klasyki głosi „Jest tak, jak się państwu zdaje”. No, nie zawsze. Nie tu miejsce, by rozważać tę trudną kwestię, lepiej przeczytać wspomnianą książkę, lecz ten motyw problemowy zapewne nie wszystkim się spodoba. (Na okładce książki liczne zdjęcia, m.in. Ola Watowa, S. Skwarczyńska, M. Marczenko, W. Wasilewska. J. Kleiner, R. Weigl; książka firmowana przez Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu).

Dygresja 2. Problem wskazany przez prof. O. Hnatiuk można ukazać w przybliżeniu na przykładzie różnic widzenia postaci sowieckiego zarządcy Weigłowskiego instytutu. Ukraiński autor pisze: „W 1939 r., po przyłączeniu Lwowa do ZSRR, w roku 1940 na bazie Instytutu Weigla został utworzony Lwowski Sanbainstytut, który był zarządzany przez utalentowanego lekarza z ogromnym doświadczeniem Sergija Terechowa. [podkreśl. MM] W latach tych S. Terechow zwrócił uwagę na utalentowanego młodego doktora medycyny [H. Mosinga], którego darzył wielką sympatią, widząc w nim wysokiej klasy specjalistę i bardzo przyzwoitego człowieka. Wspomnieniem o tych czasach są publikacje, pełne ogromnej wdzięczności dla profesora Weigla za uratowanie życia, za możliwość przeżycia trudnych lat wojny.”... (Sahajdakowskij, artykuł wskazany odpowiednio niżej). Relacje zanotowane przez R. Wójcika odnośnie owego zarządcy wykazują pewne rozbieżności, także w zestawieniu z tekstem ukraińskiego autora: zarządzanie Instytutem objął radziecki pułkownik, bakteriolog Terechow; Witalij Terechow... „z wykształ-

ceniem medycznym dość osobliwym, bo studiował medycynę zaocznie, czego nie ukrywał, a nawet się tym chełpił”; „towarzysz Tieriehoff komenderował wywozem zapasów szczepionki, a już następnego dnia, na naszych oczach w panice zmiatał ze Lwowa”; „...z Profesorem poufnie rozmawiał niejaki Tierechow – młody, wyznaczony na dyrektora Instytutu ...mocno przestraszony swoją rolą medyk, komsomolec, który nie ukrywał, że medycynę studiował zaocznie! Starał się on wkupić w łaski Profesora. Zorientował się, że jego kariera zależy wyłącznie od wykonania planu produkcji szczepionki, a to z kolei zależało od Profesora...”

Pomińmy nasycenie emocjonalne owych wypowiedzi, zwróćmy uwagę na pewne różnice „narodowych opowieści”: imię: Sergij – Witalij; utalentowany lekarz z ogromnym doświadczeniem – i medyk kształcony zaocznie; pułkownik – i komsomolec. Jeśli był młody, to trudno w zasadzie mówić o wielkim doświadczeniu (zawodowym); jeśli komsomolec – to biorąc pod uwagę kategorię wieku właściwą dla młodzieżowej organizacji komsomolskiej – nie mógł być pułkownikiem, zważywszy choćby odpowiedni tryb awansowania w armii stopniowany w czasie; i odwrotnie: jeśli był pułkownikiem, to nie mógł wiekiem sytuować się w ramach organizacji komsomolskiej; jeśli zaś został wyznaczony na dyrektora czy zarządcę tak ważnej instytucji (można powiedzieć – nawet o strategicznym znaczeniu dla władz radzieckich), to wątpliwe jest, aby rolę tę objął komsomolec; należy przyjąć, że była to nominacja partyjna zaufanego (lub sprawdzonego) towarzysza; ukraiński autor nie wspomina o stopniu wojskowym Tierechowa. Rozumiemy, że nie był to dla współpracowników Weigla dobry czas na wnikanie w szczegóły personalne, i przyjmowali je zapewne jako zasłyszane od innych osób, i tak je zapamiętali, a czy komsomolec, czy też członek partii komunistycznej, to dla nich było wszystko jedno, jeden diabeł. Ukraiński autor także nie grzeszy odpowiednią dokładnością. Można też rozważać, czy prawidłowo została zapisana forma nazwiska (imienia): wersja „Sergij” sugeruje narodowość (pochodzenie) ukraińską. A może to błąd zapisu (druku) – i to był po prostu rosyjski „Sergej” (Sergie). Z kolei wątpliwe jest, by zarząd tak ważnej instytucji został powierzony Ukraińcowi, polityka ukrainizacji też ma swe ograniczenia. W końcu dla generalnych spraw omawianych w niniejszym artykule owe różnice nie mają istotnego znaczenia, niemniej jednak uwydatniają konieczność zachowania pewnego, nawet znacznego krytycyzmu wobec przekazów „z przeszłości”.

Odrębny nurt relacji-komentarzy zapisuje historię wieloletnich zmagañ autora o zachowanie pamięci Weigla. Inspiracją był wspomniany

film Andrzeja Żuławskiego „Trzecia część nocy”. Obraz lwowskiego laboratorium nie był udany, nazwa Lwów i nazwisko Weigl nie mogły się pojawić, rozmaite realia lwowskie reżyser zastąpił pewną wizją artystyczną, nie była ona dość czytelna dla odbiorców, m. in. scena rozmów toczonych przez „jakieś” grono osób podczas karmienia wszy wydawała się całkiem abstrakcyjna; za oknem okupacyjna groza, a tu „pięknoduchy” rozprawiają o sztuce i innych wzniosłych i wysublimowanych sprawach, to się radykalnie kłóciło z powojenną oficjalną „poetyką” opowiadania o okupacji. Relacje jednak odtworzą realność sytuacji. Rzecz w tym, że nacięcia skóry przez wszy powodowały przykre uczucie swędzenia, nad którym z ważnych powodów trzeba było zapanować. Metodą były rozmowy i wykłady uczonych-karmicieli, absorbujące uwagę, odnotowano wielkie nazwiska i niektóre tematy. Film zdyskredytowany przez partyjnych krytyków wycofano z dystrybucji. R. Wójcik opowie więc „zawirowania” wokół filmu. Podejmie własną próbę przygotowania filmu dokumentalnego dla telewizji. Nie uświadamia sobie w pełni wielkiego tabu wobec tematu potrójnej okupacji Lwowa, że wiele lat po śmierci uczonego trwa anatema wobec niego. Kolejne wersje scenariuszy są odrzucane, szef Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej TVP wreszcie powie: „Szanownemu koledze radzę umiarkowanie i ostrożność, sprawa Weigla nie jest wyjaśniona jeszcze do końca, słyszało się na ten temat różne rzeczy; coś w tym musi być.” (!!!!!) Wrocławski miesięcznik „Odra” rozpoczyna druk reportażu autora, cenzura czuwa, dalszego ciągu publikacji nie ma. Polska Ludowa odchodzi w przeszłość, urząd cenzury dawno został zniesiony, mamy już III Rzeczypospolitą, wolną, demokratyczną, z wolnością słowa, przekonań itd. Wydawnictwo Dolnośląskie nie przyjmuje wersji książkowej (jest 2003 rok); znana postać polskiego reportażu odrzuca tekst Wójcika przygotowany dla „Gazety Wyborczej”. W książce autor dokumentuje owo „wdeptywanie w niepamięć”, które nie mija wraz ze zmianą ustroju. Próby podjęcia tematu przez inne osoby także są nieskuteczne.

Autorzy obu książek wspominają dwie osoby niezmiernie ważne: Wacława Szybalskiego oraz dr Henryka Mosinga. Pierwszy student Politechniki Lwowskiej (pod zmienioną nazwą niemiecką), w grupie „karmicieli wszy”, w wolnych chwilach konstruktor bomb do wysadzania pociągów z różnym zaopatrzeniem kursujących między ZSRR a III Rzeszą (do czerwca 1941 r.). Jego ojciec, Stefan jest tłumaczem rozmowy z Chruszczowem, opowie to dokładnie synowi, ten spisze relację, opublikuje ją po latach w USA (zob. aneks do książki Wójcika). W książce Wójcika też szczególny wątek, co łączyło W. Szybalskiego ze znaną okupacyjną misją Jana Karskiego do zachodnich aliantów. Po wojnie słynny genetyk w USA (Laboratorium Badań nad Rakiem Uniwersytet

Wisconsin), doktor *honoris causa* kilku polskich uczelni, i patron ważnych nagród naukowych w dziedzinie biotechnologii. Drugi, główny epidemiolog w instytucie Weigla, swego rodzaju mąż opatrnościowy laboratorium (wraz z żoną Weigla). W okresie przedwojennym członek zespołu prowadzącego szczepienia we wsiach huculskich (zdjęcia). Po wojnie pozostanie we Lwowie. Po ewakuacji Weigla ze Lwowa (do Krościenka, potem Krakowa) przejmie kierowanie instytutem, utrzyma hodowlę wszy laboratoryjnych i szczepy zarazków tyfusu, nadal zatrudnia Polaków pozostających we Lwowie, podczas jednego z pobytów w Polsce uzyska w słynnym zakładzie dla ociemniałych w Laskach sekretne święcenia kapłańskie z rąk prymasa Wyszyńskiego w obecności metropolity Wojtyły; poświęci się pomocy dla ludności polskiej pozostałej na ziemiach odciętych od Polski, a w swym mieszkaniu prowadzi tajne seminarium duchowne. Jego dewiza: „Życie utracił ten, co nikomu nie pomógł.” Wójcik zrelacjonuje niektóre wspomnienia o nim, jego wypowiedzi, jak ta, „że umiemy prosić, ale nie potrafimy dziękować, albo ta o świętości, że jest dostępna nawet bez słów, ale bez uczynków nie jest możliwa.” Kiedy przyjedzie do Krakowa, trafi nieoczekiwanie na pogrzeb Weigla, wygłosi improwizowane przemówienie nad trumną przyjaciela (zdjęcie). Wzmianka, że dzięki niemu opanowany został tyfus w ZSRR zasługuje na szczególną uwagę. Tekst na ten temat został opublikowany w „Roczniku Lwowskim 2012-2013”: Michał [faktycznie Mikołaj] Sahajdakowskyj, „Działalność dra Henryka Mosinga w powojennym Lwowie”. Pomińmy stylistykę tekstu, trącąca jeszcze nowomową radziecką, ważniejsze są konkretne stwierdzenia, a wśród nich to, m.in. iż z instytutu H. Mosing „był zmuszony odejść na emeryturę w 1973 roku, bez nagród i odznaczeń za ogromny, znaczący wkład w likwidację tyfusu plamistego w ZSRR”. Ukraiński autor zakończy tekst aluzyjnie: „Na niego czekało inne wyzwanie, ale już na innej niwie.” R. Wójcik opublikuje fragmenty korespondencji z dr. Mosingiem, lecz jest niepowetowaną stratą, że nie doszło do planowanego ich spotkania, nie ma więc dalszego ciągu opowieści o lwowskim biologu-księdzu, niezwyklej osobie.

Książkę R. Wójcika dopełniają trzy ważne aneksy. Pierwszy – obszerny artykuł Wacława Szybalskiego „Zastosowanie wszy laboratoryjnych karmionych ludzką krwią do produkcji szczepionki Weigla przeciw tyfusowi plamistemu” (tekst pierwotnie opublikowany w fachowej edycji w j. angielskim w USA, w książce wersja oryginalna i polskie tłumaczenie). Ma on niejednorodną strukturę tematyczną. Część naukowa określa istotę badań Weigla, zastosowanie wszy jako zwierząt laboratoryjnych do namnażania zarazków tyfusu i w ostatecznym efekcie do wytwarzania szczepionki antytyfusowej. Ukazany jest schemat procedur laboratoryjnych. Scharakteryzowano znaczenie szczepionki przed

rozpoczęciem i podczas II wojny światowej, jak również „tragiczny los dziedzictwa naukowego Weigla i jego instytutu w odniesieniu do ludzkich i historycznych aspektów tego wyjątkowego, ciężkiego okresu w historii Europy Centralnej i Wschodniej, z uwzględnieniem tragedii zdrady polskiego Lwowa i Polski przez zachodnich sojuszników podczas II wojny światowej.” Autor wychodząc poza typową konwencję artykułu naukowego opisał syntetycznie okupacyjny los miasta i polskiej ludności. Powojenną przymusową ewakuację Polaków określił jako „potworny akt czystki etnicznej” dokonany z jałtańskiego przyzwolenia aliantów. W piśmiennictwie obcojęzycznym kilkakrotnie uwydatnione, dosadne i bezkompromisowe oskarżenie zachodnich „sprzymierzeńców” jest bardzo niezwykle, właściwie niespotykane. Wątek naukowy uzupełniają osobiste wspomnienia ze Lwowa. Wykorzystają je Allen i Wójcik.

Drugi aneks: Stanisław Kosiedowski „Stoimy na barkach gigantów – Profesor Rudolf Weigl”. Autor strony internetowej lwov.home.pl nawiązując do sentencji rzymskiego poety Lukana, przedstawił biografię prof. R. Weigla, uwzględniając tło historyczne i wiele szczegółów działań uczonego i jego instytutu. W tekście wyodrębniono notę o już nieżyjącym H. Mosingu. Allen w swej książce dziękuje autorowi tego tekstu za okazaną pomoc (rozumiemy, że dotyczy to zbierania materiałów). Aneks trzeci to „Wykaz osób zatrudnionych w Instytucie prof. Rudolfa Weigla w latach niemieckiej okupacji Lwowa (lipiec 1941 – lipiec 1944). Obejmuje on 606 nazwisk i poprzedzony jest notą wyjaśniającą różne etapy jego sporządzania. Nazwiska opatrzone dodatkowymi informacjami: przydomek lub pseudonim, stanowisko lub dział pracy w instytucie, stanowisko przed i po wojnie. Wykaz jest niepełny, w niektórych relacjach występuje informacja, że przez instytut przewinęło się w sumie kilka tysięcy osób. Danych nie da się już uzupełnić. W 1972 r., (początek zbierania relacji), żyli jeszcze wszyscy Weiglowcy, w 2012 roku, kiedy autor kończył pracę nad książką, powiada, że z tej grupy wśród żywych nie było nikogo. Tu się nieco myli: w chwili gdy to piszę, żyje tylko jeden: od dawna poza Polską, za wielką wodą, ponad 90-letni Stanisław Skrowaczewski, jeden z gigantów światowej dyrygentury, od wielu lat prowadzący słynną orkiestrę w Minneapolis/USA. Niemniej jednak pokolenie Weiglowców przeminęło, czas się dokonał, nikt już wiarogodnie nie poda nowych informacji. Wykaz jest niezwykle ciekawym dokumentem. Ustala wiele osób przedwojennej i powojennej polskiej profesury, wybitnych osób kultury i sztuki – laboratorium Weigla pozwoliło im przeżyć czas sowieckiej i niemieckiej okupacji. W książkach jest mowa o tym, że całe kierownictwo lwowskiej konspiracji, łącznie z lwowskim delegatem rządu (w Londynie) u Weigla znalazło swoiste schronienie.

Kwestia „kolaboracji” lwowskiego uczonego i kompromisu z okupantami jest wielostronnie rozważona przez jego współpracowników. W książce Wójcika (i Allena) jest mowa o oszczercy w majestacie tytułów naukowych, który roznosi po świecie złą legendę o sprzedajnym Weiglu rzekomym Polaku, który dla kariery naukowej poszedł na współpracę z hitlerowcami (Wójcik s. 24), o snuciu trującej pajęczyny wokół grona dawnych towarzyszy Weigla; jest mowa o tym, że doskonałości moralnej w danych realiach nie można było osiągnąć, co „abstrakcyjnym moralistom” nie będzie po myśli; o zamazywaniu pamięci o Weiglu przez „małych ludzi”. Kwestię tę uwydatnił prof. Stefan Kryński: „W wielu krajach walczy się o rozgłos własnej nauki, podkreśla się zasługi własnych uczonych i stara się świat przekonać o ich pierwszeństwie w wielu odkryciach i wynalazkach. A u nas? U nas stawia się posągi z brązu, darząc je niemal boskim kultem, albo się zupełnie zapomina, lub co gorsza, pomniejsza zasługi. Czynią to ludzie mali, którzy tych, co wyrosli ponad przeciętność, usiłują ściągnąć w dół po to, by własna małość nie była dla nich tak dojmująca. Ten los spotkał również Weigla, który okrył sławą naukę polską.” (s. 26).

Jest też mowa o tym, na ile okupacyjna działalność Weigla nosiła znamiona heroizmu, czy był to rodzaj samobójstwa i obojętności na śmierć cywilną, w domyśle – dlaczego nie był „Niezlomny”? Na kartach obu książek snuje się odpowiedź, trzeba ją tylko odczytać. Szczepionka lwowska nie miała znaczenia wojskowego, służyła szczepieniu personelu sanitarnego, narażonego w pierwszej kolejności na śmiertelne zagrożenie; jej produkcję na innej bazie, o niepewnej skuteczności, podjęły zakłady niemieckie, w końcu Hitler zabronił zawodnych szczepień. Wobec tego jawi się dylemat Weigla: czy być „niezlomnym”, może nawet zginąć, czy też uratować setki, setki, tysiące ludzi? Nie Niemców, lecz Rodaków. Obojętne, polskiego czy żydowskiego pochodzenia. Zatem kwestia granic kompromisów. Wczytajmy się, mówi prof. Zubik (w wersji Allena jeszcze anonimowo, u Wójcika już pod własnym nazwiskiem): „...w tym kraju skazanym od dwóch stuleci na pogwałcenie wolności jego obywateli, na wieczne rozdarcie między jałową niezłomnością, a racjonalną „kolaboracją” w imię przetrwania Wartości, jest od dawna pewne miejsce dla kategorii „Niezlomnych”: to błogi i przytulny piach cmentarny. Wszyscy Niezlomni i Bez Skazy leżą na cmentarzach. Rozstrzelani, polegli, samobójczo wyzwoleni. Moja PRL-owska służba bakteriom to także haniebna kolaboracja. Nie pomoże mi żaden glejt ochronny Weigla. Z wielomilionowego mrowia kolaborantów, którzy przeżyli PRL wyłaniają się oto, jak grzyby po deszczu, nieskalani jakoby żadnym kompromisem Niezlomni, wołając: Hańba pohańbionym przez Historię! Chwała nienarodzonym w czas pogardy...”

Rzymski poeta Horacy, pisząc swe nieśmiertelne Ody, jedną z nich opatrzył mottem: *Exegi monumentum – wzniosę pomnik...* Dzieło Weigla w aspekcie naukowym zostało opisane w literaturze fachowej, należy ono już do historii nauki. Weigl nie stał się bohaterem masowej wyobraźni. Wraz z minionym pokoleniem ludzi, których uratował, pamięć o nim uległa zatarciu. Lecz oto po wielu latach przez dwie książki został wzniesiony jakby pomnik ku czci Weigla, także pomnik chwały niegdyś polskiego miasta, którego już nie ma, i pewnego środowiska jego mieszkańców, które choć też przeminęło, lecz jego dzieła nie da się przemilczeć. Książkę R. Wójcika dokumentującą życie i dokonania prof. R. Weigla, wielkiego polskiego uczonego, wielkiego Polaka, wielkiego Lwowianina wydało Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, lecz edycję sfinansowała Fundacja Profesora Waława Szybalskiego. Fundacja, której patronem jest dawny współpracownik Weigla, pozostała wierna pamięci nie tylko samego Weigla, ale całego grona tych, bez których tego instytutu, i wiekopomnego dzieła w nim dokonanego w wymiarze naukowym i ludzkim by nie było.

UZUPEŁNIENIA

1. W sprawie zamachu we Lwowie na Józefa Piłsudskiego w 1921 roku: autor książki (Allen) pomylił sekwencję zdarzeń: Józef Piłsudski najpierw otworzył pierwsze Targi Wschodnie w Parku Stryjskim, potem udał się do Ratusza. Zamach nastąpił w sytuacji, kiedy Naczelnik Państwa opuścił Ratusz, wsiadł do czekającego samochodu. Usłyszawszy huk wystrzału odchylił głowę, dwie kolejne kule raniły towarzyszącego Mu wojewodę lwowskiego Kazimierza Grabowskiego.
2. W sprawie zasady numerus clausus i getta ławkowego dla studentów żydowskich w uczelniach polskich przed 1939 rokiem: kwestia podstaw prawnych wprowadzenia tych instytucji jest bardziej złożona. Jednym ze znamion potęgowania się nastrojów antyżydowskich były żądania narodowo-prawicowych organizacji studenckich (przede wszystkim Młodzież Wszechpolska) odnośnie uregulowania obu instytucji na drodze ustawowej. Władze państwowe uchylały się od takiego rozwiązania, jednakże postulaty antysemickie organizacji zostały uwzględnione w innej formie. Profesor Wojciech Świątosławski, minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego mocą odpowiedniego rozporządzenia sędował kompetencje we wskazanych zakresach na senaty i rektorów uczelni. Tak więc we wrześniu 1937 r. zezwolił, by rektorzy wydawali zarządzenia porządkowe, wyznaczające odrębne miejsca dla studentów polskich i żydowskich. Z kolei Zjazd Bratnich Pomocy wyższych uczelni w Polsce obradujący w 1938 r. w Krakowie przyjął uchwałę o nieprzyjmowaniu Żydów na studia (zasada numerus nullus); wprowadził ją Uniwersytet Poznański w roku ak. 1936/37, w 1938 r. Wydział Lekarski UJ. Senaty uczelni (władze rektorskie) ugięły się pod potężną presją zajęć antyżydowskich, nieraz o krwawym charakterze (jak we

Lwowie), organizowanych i prowokowanych przez bojówki organizacji studenckich o skrajnie narodowym obliczu. Część profesury nie akceptowała takich rozwiązań, we Lwowie jednak tylko rektor UJK Stanisław Kulczyński na znak protestu złożył dymisję. Zamieszki w miastach uniwersyteckich rzeczywiście powodowały wielokrotne zawieszanie toku zajęć, zwłaszcza we Lwowie. Nie wchodząc w szczegóły, można też stwierdzić, że z inicjatywą wprowadzenia zasady numerus clausus wystąpił Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jana Kazimierza. Korespondowało to z odpowiednimi orientacjami ideowym i politycznymi kleru katolickiego w szerszej skali. Zwalnianie osób pochodzenia żydowskiego z urzędowych stanowisk miało nie tyle oficjalną sankcję państwową, ale przede wszystkim powszechną sankcję społeczną.

3. Co do Stanisława Skrowaczewskiego, jednego z największych muzyków minionego stulecia, jak podano w wiadomościach Polskiego Radia II, zamieszkałego do 1944 r. we Lwowie, a w latach okupacji niemieckiej jednego z rzeszy karmicieli wszy w procesie wytwarzania szczepionki antytyfusowej we Lwowie: zmarł w USA w wieku 93 lat dnia 21 lutego 2017 roku, o czym agencje medialne doniosły już po napisaniu i oddaniu artykułu do druku.

Krzysztof Stopka

POCZĄTKI BISKUPSTWA ORMIAŃSKIEGO WE LWOWIE

Pojawienie się Ormian w Królestwie Polskim to dzieło króla Kazimierza Wielkiego¹. Sprowadzenie ich do Lwowa związane było z polityką ekonomiczną króla, której celem było jak najlepsze zagospodarowanie państwa. Po przyłączeniu Rusi Kazimierz chciał założyć silny ośrodek miejski we Lwowie ukierunkowany na handel wschodni. Szukał dla niego mieszkańców, to jest kupców i rzemieślników, bez względu na etniczność i wyznanie. W akcie lokacyjnym Lwowa z 1356 roku obiecywał przywileje osadnicze nie tylko katolikom, ale i Ormianom – i to na pierwszym miejscu – a potem także Rusinom, Żydom i Tatarom².

Ormianie na ten apel odpowiedzieli pozytywnie, napływając do Lwowa w dużej liczbie. Byli to Ormianie zarówno katolicy, jak i apostołscy. Pierwsi znajdowali się pod jurysdykcją Kościoła łacińskiego i mieli swą świątynię pod wezwaniem św. Jana za murami wznoszonego miasta Lwowa. Zapewne do nich podróżował w 1354 roku ormiański arcybiskup katolicki Zachariasz z diecezji św. Tadeusza w Artazie. Po tej podróży pozostał przywilej odpustowy wydany przez Zachariasza dla bractwa pobożnego w Bochni³. Natomiast Ormianie apostołscy ufundowali sobie w 1363 roku świątynię w obrębie murów miejskich przy ulicy Ormiańskiej (późniejsza katedra) oraz klasztor Zwiastowania św. Bogurodzicy na terenie miasta starego, to jest istniejącego od czasów ruskich, nieopodal nowego miasta kazimierzowskiego⁴. To właśnie w ich interesie bliżej dziś nieznane, ale dla króla wiarygodne osobistości – przede wszystkim prawdopodobnie zarządzający Rusią starosta Otto z Pilczy – poprosiły o monarszą – zgodę na osadzenie we Lwowie biskupa ormiańskiego. Kandydat już był gotowy, a miał na imię Grzegorz (po ormiański Grigor)⁵.

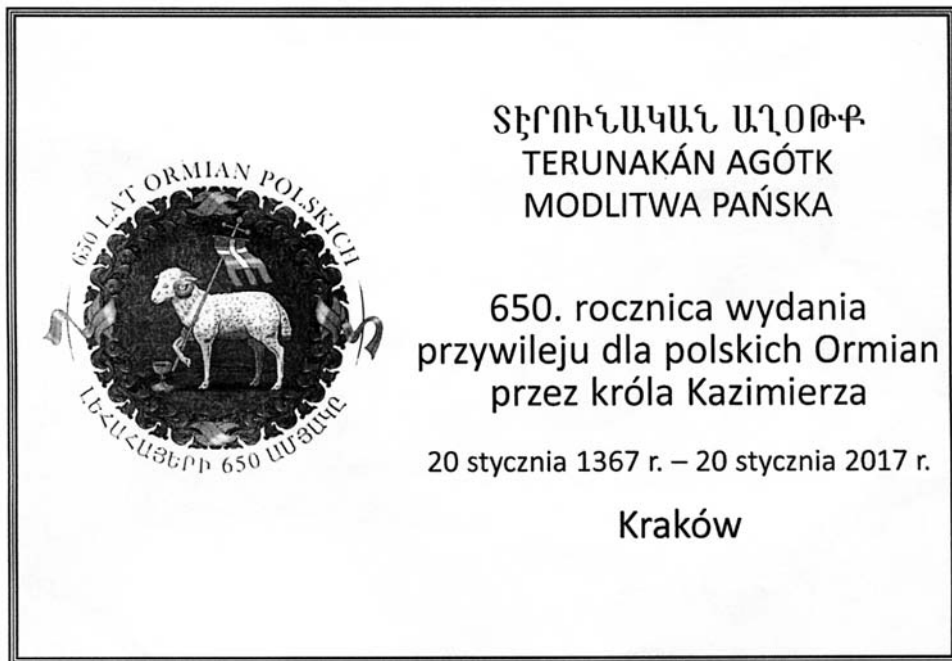
Nie wiemy skąd pochodził Grzegorz, może z Krymu, bo stamtąd przybyła większość Ormian lwowskich, a może z jakiegoś innego ośrodka diaspory ormiańskiej, bądź nawet z samej Armenii. Pojawia się w do-

kumentacji historycznej po raz pierwszy dopiero w roku 1363, to jest wtedy gdy katolikos, czyli zwierzchnik wszystkich Ormian apostołskich rezydujący wtedy w Sis, stolicy Królestwa Armenii Cylicyjskiej, udzielił mu święceń biskupich z zamiarem wysłania do Lwowa. Ten fakt wart jest podkreślenia: do Królestwa Polskiego przybywał biskup wyświęcony w niepodległej Armenii, która upadnie dopiero w 12 lat potem. Można więc uznać, że święcenia biskupie Grzegorza były jakby pierwszym epizodem w stosunkach niepodległej Armenii i Polski.

Katolikos Mesrob z Artazu wyświęcił Grzegorza na arcybiskupa⁶ dla Ormian Lwowa oraz dwóch miast na Wołyniu – Włodzimierza i Łucka. Wymieniając w swoim nominacyjnym kondaku, czyli bulli, te trzy miasta Rusi, pominął fakt, że leżały one wtedy w dwóch państwach, to jest w Królestwie Polskim (Lwów) oraz w Wielkim Księstwie Litewskim (Włodzimierz i Łuck). Kondak katolikosa dochował się do naszych czasów i dziś jest przechowywany w zbiorach OO. Mechitarystów na San Lazzaro w Wenecji. Katolikos adresował go do: „kapłanów, seniorów, ojców rodzin, kupców i rzemieślników, rolników i całego ludu chrześcijańskiego pochodzenia ormiańskiego”. Deklarował, że niepokoił się ich losem, dzień i noc rozmyślał „o ich położeniu pośród chrześcijan innych narodowości, a pozbawionych pasterza i przewodnika duchownego” i wreszcie zdecydował się posłać im biskupa „by nie zaznali szkody od bestii bezcielesnej”, czyli szatana. Ciekawe było następne zdanie kondaku świadczące o jakimś nieporządku w sprawach kościelnych we Lwowie. Katolikos bowiem ostrzegał Ormian lwowskich, że ci hierarchowie, którzy byli pośród nich wcześniej, ale bez upoważnienia stolicy katolikosatu, „nie byli prawdziwymi pasterzami, ale przekupniami”. Wyznaczał również zakres obowiązków biskupich swego nominata: udzielanie święceń kapłańskich, troska o sieroty, wdowy i ubogich, katechizacja, świadczenie przykładem „świętobliwości, sprawiedliwości, cierpliwości, pokory i przywiązania do stolicy katolikosatu”⁷.

Możemy się domyślać, że kondak katolikosa Mesroba został królowi Kazimierzowi zakomunikowany z prośbą o potwierdzenie, gdyż dotyczył terytorium Królestwa Polskiego. Zapoznajmy się więc z treścią przywileju, który król wydał biskupowi Ormian Grzegorzowi, a stało się to 20 stycznia 1367 roku w mieście Lwowie.

My Kazimierz, z Bożej łaski król Polski, czynimy wiadomym wszystkim, którym należy, że ze względu na wypróbowane zasługi pana Grzegorza, biskupa Ormian, i wytrwałą wierność, przez które jest nam zalecany świadectwem wiarygodnych, temuż panu Grzegorzowi w mieście naszym Lwowie na uczynienie osobistej rezydencji, na pozostawanie i trwanie w swoim prawie i wierze, i tych używanie, w sposób i według zwyczajów Ormian, dajemy i przyznajemy zupełne prawo, zakazując



wszystkim i każdemu z osobna: starostom, burgrabiom i innym urzędnikom w Królestwie naszym ustanowionym, ażeby się nie wazyli występować przeciw nadaniu naszego daru czy to szczodrobliwości, a raczej wspomnianego pana Grzegorza przy wymienionych i każdym z wymienionych wspomagali, pod utratą łaski naszej. Postanawiamy wszakże, że w razie opuszczenia przez wspomnianego pana Grzegorza tegoż naszego miasta Lwowa, obecny przywilej nie będzie miał żadnej ważności czy znaczenia. To wszystko pod świadectwem naszej pieczęci majestatycznej. Dane we Lwowie, w przeddzień błogostawionej Agnieszki, chwalebnej dziewicy, pod Rokiem Pańskim tysiąc trzysta sześćdziesiątym siódmym⁸.

Trzeba tu zwrócić uwagę na dwie sprawy, o których mówi przywilej królewski. Pierwszą jest dobitne zaakcentowanie, że władca Polski pozwalał na nieskrępowane funkcjonowanie Kościoła ormiańskiego, najważniejszej, a właściwie jedynej instytucji decydującej o tożsamości narodowej Ormian. Wręcz zobowiązywał wszystkich swoich urzędników do wspomagania działalności biskupa. Nie ma więc tu tylko mowy o pasywnym tolerowaniu. Chodzi o czynne poparcie państwa dla pielęgnowania przez przybyszy ich tożsamości ormiańskiej, dla jej istoty, to jest religii ormiańskiej. Ormianie jawią się w tym dokumencie jako

wspólnota, jako kultura samodzielna, aprobowana przez państwo, chciana w Polsce. To była bardzo znacząca różnica w stosunku do czasów ruskich. Panująca na Rusi religia prawosławna traktowała Ormian jako heretyków, których trzeba zwalczać. Tymczasem król polski pisał w sposób afirmatywny o wyznaniu Ormian apostołskich, zalecając biskupowi: „pozostawanie i trwanie w swoim prawie i wierze, i tych używanie, w sposób i według zwyczaju Ormian” (*in suo jure et fide permanendi et perseuerandi et ipsis utendi modo et consuetudine Armenorum*). Jest to piękne świadectwo otwartości Polski wobec przybyszy z dalekiego kraju i odległej kultury, choć trzeba tutaj bardzo podkreślić, kultury usytuowanej w obrębie wspólnego dziedzictwa chrześcijańskiego.

Drugi ważny przekaz dokumentu Kazimierzowskiego to zobowiązanie biskupa, aby rezydował we Lwowie. Jak już była mowa, kondak katolikosa dotyczył trzech miast, oddanych pod jurysdykcję biskupią Grzegorza. Wprawdzie król Kazimierz Wielki rościł sobie prawa do wszystkich, ale tylko Lwów był w jego niekwestionowanym posiadaniu. Podporządkował sobie także Włodzimierz w 1366 roku, ale jego władza nad Wołyniem nie była stabilna. Dokument, który wydał w 1367 roku biskupowi Grzegorzowi aluzyjnie nawiązuje do tej sytuacji politycznej, wyznaczając mu rezydencję w polskim Lwowie jako warunek legalnej działalności Apostołskiego Kościoła Ormiańskiego w Królestwie Polskim. Król nie chciał dopuścić jurysdykcji biskupa zagranicznego nad swoimi poddanymi – czyli mówiąc dzisiejszym językiem: obywatelami ormiańskiego pochodzenia. Stał na straży interesu państwa. Chciał mieć w swoim państwie Ormian identyfikujących się z nim, lojalnych, wiernych Koronie Królestwa Polskiego. Możemy jednak też przypuszczać, że Kazimierz akcentując tak silnie obowiązek rezydowania biskupa ormiańskiego we Lwowie, miał na celu zwielokrotnienie atrakcyjności tego miasta dla kolejnych przybyszy ormiańskich. Bo miasto, które posiadało własnego ormiańskiego biskupa, było bardziej swoje, bardziej przyciągało, niż inne miejsce, które nie mogło się pochwalić takim splendorem i takim dowodem zadomowienia Ormian w lokalnym krajobrazie kulturowym. I rzeczywiście biskup ormiański osiadł we Lwowie, będąc pierwszym hierarchą rezydującym w tym mieście. Należy pamiętać, że w tym czasie nie mieszkał jeszcze ani hierarcha Kościoła łacińskiego ani prawosławnego (ruskiego).

Historia Grzegorza we Lwowie nie była jednak sielankowa. Owszem, ze strony państwa polskiego miał konsekwentne wsparcie. Podobnie jak Kazimierz, który zmarł w 1370 roku, popierali go kolejni władcy: król Ludwik z dynastii andegaweńskiej, oraz jego matka Elżbieta Piastówna, siostra zmarłego Kazimierza, regentka, nosząca tytuł królowej Polski.

Oboje wydawali Ormianom lwowskim przywileje, nawiązując w nim do tych pierwszych, nadanych przez Kazimierza. I im zależało na podtrzymaniu emigracji ormiańskiej na Ruś, do Lwowa i Kamieńca Podolskiego, na ormiańskiej aktywności gospodarczej w tym regionie, nad którym kontrolę przejęli właściwie urzędnicy Królestwa Węgierskiego. Ludwik był bowiem równocześnie królem Węgier. To były dobre okoliczności rozwoju lwowskiego Kościoła ormiańskiego: życzliwe państwo, coraz bardziej zasobna diaspora ormiańska.

Była jednak i ciemniejsza strona – relacje biskupa Grzegorza z macierzystym Kościołem ormiańskim. Problemy narastały z czasem coraz bardziej. Po śmierci katolikosa Mesroba, biskup Grzegorz pojechał do Sis, aby uzyskać zatwierdzenie od jego następcy Konstantyna V z Lambronu. Dostał je w 1374 roku. Katolikos przy okazji rozciągnął jego władzę na Kijów należący do Litwy. W drodze powrotnej do Lwowa dogonił go jednak wysłannik katolikosa i odebrał kondak potwierdzający nominację. Nie wiemy, dlaczego. Dopiero po szybkiej interwencji dostojników Królestwa Armenii, katolikos zmienił zdanie i zwrócił dokument biskupowi. Nie na długo. Zaledwie Grzegorz zdołał wrócić do Lwowa, gdy dosięgła go ekskomunika katolikosa.

Późniejsze dokumenty uzasadniają tę niełaszkę katolikosatu tym, że biskup Grzegorz miał rzekomo wtrącać się w sprawy innych biskupów. O co tu mogło chodzić? W najbliższej okolicy żadnych biskupstw ormiańskich nie było, a Krym był pod względem eklezjalnym od dawna ustabilizowany i jest rzeczą wątpliwą, aby Grzegorz interweniował w sprawy tamtejszych biskupstw. W sąsiednich względem Lwowa ziemiach do dużego znaczenia dochodziły w tym czasie kolejne ośrodki diaspory ormiańskiej: Kijów, Kamieniec Podolski, Seret, Suczawa, czyli miasta położone w Wielkim Księstwie Litewskim i Gospodarstwie Mołdawskim. Może biskup Grzegorz chciał je objąć swą jurysdykcją, czemu nie byli przychylni kolejni katolikosy? A może w grę wchodziły jakieś roszady personalne w samej stolicy katolikosatu? Z braku źródeł nie jesteśmy w stanie rozpoznać kontekstu konfliktu pomiędzy biskupem Grzegorzem a katolikosami. Jedno jest pewne. Powodem napięć nie była sytuacja we Lwowie, gdzie Grzegorz cieszył się poparciem miejscowych Ormian⁹. Tzw. *Kronika lwowska*, choć spisana w dwieście lat potem, ale przekazująca tradycję starszą, nazywa biskupa Grzegorza „Wielkim”¹⁰, co można zinterpretować jako uznanie jego zasług dla budowy miejscowego Kościoła ormiańskiego ze strony wiernych.

W 1379 roku do Sis przybył mnich Howhannes [Jan], syn Nasredina. Być może jego ojciec był tożsamy z jednym ze starszych ormiańskich Lwowa, którzy w 1363 roku poświadczyli fundację miejscowego kościoła ormiańskiego. Tak czy inaczej, ów Howhannes został wyświęcony na

arcybiskupa „całego kraju krainy Rusinów i Wołochów” – jak głosi formularz nominacyjny. To by znaczyło, że katolikos połączył różne parafie ormiańskie z obszaru kilku państw w obrębie jednej diecezji. Jej centrum bez wątplenia znalazło się we Lwowie. Przy okazji konsekracji nowy biskup otrzymał w darze od katolikosa rękopiśmienną księgę zawierającą komentarz do Księgi Przysłów autorstwa Nersesa z Lambrodu. Księga powstała w klasztorze Maszkewor w Cylicji na początku wieku. W kolofonie, czyli nocie autorskiej spisanej przez jej kopistę, czytamy, że był to „wielki dar dla krainy Rusinów na oświecenie dzieci Syjonu, jak nasz święty Grzegorz Oświeciciel przyniósł wielkie dary – relikwie wielkiego Jana i Atanagesa – dla oświecenia kraju Armenii – tak i biskup nasz der Howhannes tę od ducha pochodzącą księgę przyniósł na oświecenie i rozjaśnienie Kościoła Świętego”¹¹. Dziś jest ta księga przechowywana w Matenadaranie¹².

W sierpniu 1380 roku umarł katolikos Konstantyn, a w parę miesięcy potem katolikosem został Teodoros II. W tym samym też czasie zmarli Elżbieta Piastówna (1380) i Ludwik (1382). Nowy katolikos wezwał Grzegorza przed swoje oblicze, ale biskup się nie stawił. Do Lwowa pojechało więc dwóch legatów katolikosa. Dwa lata upłynęły na wysiłkach zażegnania konfliktu. Wreszcie w kwietniu 1383 roku katolikos potwierdził na biskupstwie lwowskim Howhannesa, syna Nasredina. W tym samym czasie gospodar mołdawski Piotr Muszat zgodził się poddać swych Ormian pod jurysdykcję arcybiskupa ze Lwowa. Arcybiskupstwo rozszerzało swe granice, a jednocześnie podzieliła je schizma. Ormiański Lwów miał dwóch biskupów rywalizujących ze sobą¹³.

Za Grzegorzem opowiedziało się państwo. Było to znów Królestwo Polskie, którego nowa królowa, Jadwiga Andegaweńska, córka Ludwika, objęła Ruś z powrotem w posiadanie, kończąc krótki epizod panowania węgierskiego. To właśnie jej mąż zatwierdził ponownie biskupa Grzegorza na arcybiskupstwie lwowskim. Odnośny dokument, znajdujący się dziś w posiadaniu Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich w Warszawie, głosił, co następuje:

Władysław, z Bożej łaski, Król Polski, najwyższy książę Litwy i dziedziec Rusi, etc. Oznajmujemy wszystkim, [którym] należy to wiedzieć, żyjącym teraz i w przyszłości, obecnym, którzy będą mieli potrzebę o tym mieć wiadomość, że Grzegorz biskup Ormian nasz umiłowany, przedstawił Naszej Wysokości petycję, w której prosił, ażebyśmy zechcieli list Najjaśniejszego Księcia, świętej pamięci pana Kazimierza, króla Polski opieczętowany jego wiszącą pieczęcią, zaaprobować i potwierdzić, którego treść dokładnie następuje w tych słowach: ...[następuje treść dokumentu Kazimierza Wielkiego z 1367 roku].

My zaś uznawszy wyżej wypisany przywilej za godny do ogłoszenia

[i] pożyteczny, a probujemy go i potwierdzamy we wszystkich jego punktach, artykułach, warunkach i klauzulach ze specjalnej łaski Naszej wysokości, niniejszym świadectwem pieczęci Naszego Majestatu. Działo się w Łucku, w przeddzień [wigilię] [święta] Nawrócenia św. Pawła, Roku Pańskiego Tysiąc Trzysta osiemdziesiątego ósmego. Dany przez ręce wielbnego pana Zakliki, prepozyta sandomierskiego, kanclerza dworu naszego wiernie umiłowanego¹⁴.

Dokument ten zamyka niejako pierwszą kontrowersję w dziejach Kościoła ormiańskiego w Królestwie Polskim, potwierdzając jego istnienie pod rządami Grzegorza w płaszczyźnie państwowej. Nie kończył się jednak wewnętrzny spór personalny. Legat katolikos nie mógł przeciwstawić się woli monarchy i wrócił do Sis w lipcu 1388 roku. Po wysłuchaniu jego sprawozdania katolikos wystawił obszerny kondak datowany na 18 sierpnia tegoż roku. Opisywał w nim postępowanie biskupa Grzegorza jako ekscesy naruszające godność stolicy w Sis. Biskup lwowski miał zmusić do wyjazdu pierwszego legata, przyprawić o śmierć drugiego, zagarnąć poprzednie kondaki katolikos, i – co chyba było tu najistotniejsze – zabrać dla siebie ofiary złożone przez swych diecezjan na rzecz Sis. Katolikos oznajmiał: „wiedzcie nasi synowie duchowi, że ten niegodny biskup Grzegorz, który jeszcze rezyduje w mieście Lwowie od czasów naszych poprzedników, Mesroba i Konstantyna, popełnił wiele niegodziwości”¹⁵.

Puste to były klątwy i narzekania. Wszystko wskazuje na to, że Grzegorz dotrwał na arcybiskupstwie aż do śmierci. Nie wiemy kiedy ona nastąpiła. Ostatnia wzmianką o Grzegorzu zawarta jest w testamencie pobożnej lwowianki Marii, wdowy po Iwanisie Sreswowskim, spisany 13 stycznia 1389 roku. Pani Sreswowska zapisała połowę gotówki ze sprzedaży domu, w którym mieszkała, na rzecz Grzegorza, „biskupa Ormian”¹⁶.

W takich okolicznościach powstała diecezja ormiańska we Lwowie. 650 lat temu polski monarcha powierzył Grzegorzowi tron biskupi. Dokument z 1367 roku był pierwszym wystawionym tylko dla wspólnoty ormiańskiej w tym mieście i dlatego był przez wieki przechowywany w archiwum katedry pod numerem 1¹⁷.

PRZYPISY

¹ Na temat legendarnych mitów genezy i stanu faktycznego zob. K. Stopka, *Ormianie polscy – początki*, [w:] *Ormianie*, Warszawa 2014, s. 13-44 (tam szersza literatura).

² *Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum tak rwanego Bernardyńskiego we Lwowie*, t. III, Lwów 1872, nr 5, s. 13-18.

- ³ K. Stopka, *Odpust bocheński z 1354 roku i jego ormiański kontekst*, [w:] *Polska i jej sąsiedzi w późnym średniowieczu*, pod red. K. Ożoga, S. Szczura, Kraków 2000, s. 55-80.
- ⁴ Akt fundacyjny z 30 sierpnia 1363 roku. Por. J. Chrzęszczewski, *Kościół Ormian polskich Katalog zabytków ormiańskich*, t. I, Warszawa 2001, s. 59 (tekst ormiański i tłumaczenie na język polski).
- ⁵ G. Petrowicz, *La Chiesa armena in Polonia e nei paesi limitrofi*, parte prima, 1350-1624), Roma 1971, s. 18-41; K. Stopka, *Kościół ormiański w Polsce średniowiecznej*, „Nasza Przeszłość”, LXII (Kraków) 1984, s. 27-95; tenże. *Ormiańskie sacrum i profanum, czyli o tożsamości kulturowej Ormian polskich*, [w:]. *Ormianie*, s. 77-98.
- ⁶ Grzegorz był nazywany „arcybiskupem” już w dokumencie katolika z 1363 roku. W polskich dokumentach sporządzonych w języku łacińskim jest nazywany natomiast „biskupem” aż do 1635 roku. O znaczeniu tytułu „arcybiskupa” w Kościele ormiańskim zob. K. Stopka, *Kościół ormiański*, s. 61-63.
- ⁷ G. Petrowicz, *La Chiesa armena*, 1, s. 19-21; K. Stopka, *Kościół ormiański*, s. 46-54.
- ⁸ Tłumaczenie moje. Po raz pierwszy tekst z oryginału łacińskiego (dziś: Archiwum Główne Akt Dawnych w Warszawie, dok. perg. 6197) opublikował Aleksander Czołowski. A. Czołowski, *Cenny zabytek*, „Gregoriana” 1, 1935, s. 10-12. Autor opisuje okoliczności odnalezienia dokumentu i podaje swój własny przekład na język polski.
- ⁹ Tamże, s.54-61.
- ¹⁰ J. Deny, *L'Armeno-coman et les „ Ephemerides” de Kamieniec (1604-1613)*, Wiesbaden 1957, s. 38-39.
- ¹¹ P. Mnatsakanyan, *Kultura języka ormiańskiego w dawnej Polsce*, (dysertacja doktorska), Kraków 2015, s.137
- ¹² Matenadaran. Naukowy Instytut Badawczy Starych Rękopisów im. Mesropa Masztoca w Erywaniu [Armenia], rkp 1527.
- ¹³ K. Stopka, *Kościół ormiański*, s. 58.
- ¹⁴ Tłumaczenie moje. Tekst łaciński: S. Obertyński, *Die florentiner Union der polnischen Armenier und ihr Bischofskatalog*, „Orientalia Christiana” 96, 1934, nr II, s. 42-43.
- ¹⁵ G. Petrowicz, *La Chiesa*, s. 30-31; K. Stopka, *Kościół ormiański*, s. 58.
- ¹⁶ *Pomniki dziejowe Lwowa z archiwum miasta*, t. 1: *Najstarsza księga miejska 1382-1389*, wyd. A. Czołowski, Lwów 1892, nr 696, s. 115.
- ¹⁷ Na odwrociu dokumentu królewskiego figuruje litera ormiańska „a”, która oznacza też cyfrę „1”.

ROK ORMIAN POLSKICH – 2017

W związku z odnalezieniem przez krakowskich historyków z PAU (a zarazem również Instytutu Lwowskiego – prof. Dr hab. Krzysztof Stopka) oryginału dokumentu króla Kazimierza Wielkiego z 20 stycznia 1367 r., zezwalającego Ormianom lwowskim na założenie biskupstwa – Ormianie w Polsce, tzn. wszystkie organizacje społeczno-kulturalne, kościół ormiańsko-katolicki oraz Ambasada Armenii uzgodniły ustanowienie roku 2017, roku 650 rocznicy obowiązywania królewskiego przywileju – Rokiem Ormian Polskich.

- W ramach uroczystości rocznicowych odbyły się m.in. imprezy:
- 20 stycznia Kraków – zjazd Ormian z całej Polski na Wawelu,
 - 29 marca Warszawa – spotkanie delegacji Ormian z Prezydentem Rzeczypospolitej Andrzejem Dudą (na zaproszenie Prezydenta) w Pałacu Prezydenckim,
 - 10 czerwca Piotrków Trybunalski – koncert (zespoły taneczno-muzyczne z Armenii), wystawa obrazów (historia Ormian w Piotrkowie Tryb.), msza św. w obrządku ormiańsko-katolickim koncelebrowana przez arbpa Minassiana z Eczmiadzynu i ojca Wartana z Wiednia – w rocznicę potwierdzenia przywilejów królewskich przez Sejm Rzeczypospolitej,
 - 13 sierpnia Gdańsk – uroczyste otwarcie nowego Ośrodka społeczno-kulturalnego Ormian.

Współcześni Ormianie w Polsce dzielą się na dwie grupy. Jedną stanowią tzw. Ormianie „nowej emigracji” przybyli do Polski po rozpadzie ZSRR. Drugą – „stara emigracja” związana niezwykle mocno z Kresami Rzeczypospolitej od głównego, centralnego ośrodka religijno-społeczno-kulturowego we Lwowie poprzez historyczne centrum handlowe w Kamieńcu Podolskim, osadnictwo w Stanisławowie, Brzeżanach. Czerniowcach. itp., po ostatni bastion ormiańskości w Kutach w okresie dwudziestolecia międzywojennego.

Centrum spotkań i odradzającego się życia narodowego dzisiejszych Ormian – zarówno starej, jak i nowej emigracji – stanowią 3 ormiańsko-katolickie parafie:

- południowa w Gliwicach z ks. Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim, duszpasterzem wszystkich Ormian w Polsce,
- centralna w Warszawie z ks. Józefem Naumowiczem,
- północna w Gdańsku z ks. Cezarym Annusewiczem.

Pamięć Ormian o swojej historii w Polsce, w tym pamięć o Lwowie i Kresach – pozwala nie tylko rozumieć jak piękną ideą była Rzeczpospolita wielu kultur i narodów, pozwala też pamiętać o roli Kresów w tworzeniu fundamentów naszego dzisiejszego losu wszystkich Polaków.

PRZEMÓWIENIE

BOGDANA ST. KASPROWICZA

W KATEDRZE NA WAWELU

20 STYCZNIA 2017 ROKU

Meir Lehahayer! meir Lehahayer, my Ormianie polscy... stawiliśmy się tu dzisiaj z całego kraju, z Gdańska, Warszawy, Łodzi, Górnego i Dolnego Śląska, Małopolski i Podkarpacia dokładnie w tym samym dniu 20 stycznia, w którym 650 lat temu król Kazimierz Wielki wydał pierwszy przywilej dla nacji ormiańskiej w Polsce.

Stawiliśmy się, żeby w tym świętym dla Polski miejscu zawołać:

„Hajr Mer wor jechinys jes”... mec baner es arel mez hamar ajs hirsza! Lehastani Takaworutjunum! – Wielkie nam uczyniłeś rzeczy Panie w tym wspomniałym królestwie polskim!

Oto nasi praojcowie, wygnañcy i tułacze zostali przyjęci w tym królestwie wedle pięknej polskiej zasady, stojącej u początków państwa i piastowskiej dynastii - gość w dom Bóg w dom!

Tak inni wyglądem, mową, obyczajem, liturgią wyznawanej religii przecież zostali przyjęci jak bracia i znaleźli na tej polskiej ziemi nową ojczyznę.

Wszak jedyne to państwo w dziejach świata, które nie tylko pozwoliło Ormianom w Polsce rządzić się swoimi prawami, ale prawo to, „Datastanagirk” włączyło uchwałą sejmu w zwód prawa polskiego. Ormiańskie prawo – przetłumaczone z rozkazu króla Zygmunta Starego na łacinę – stało się w 1520 roku częścią prawa polskiego.

A od 1654 r. polska brać szlachecka otworzyła się na zasłużonych dla Polski Ormian przyjmując ich do herbowej elity społeczeństwa.

Zaufała naszym ojcom Polska i nam dzieciom dalekiej Armenii stała się Matką! Przeto po siedmiu wiekach jesteśmy tutaj żeby w tym świętym miejscu wobec Boga i wobec duchów władców, świętych, wodzów i poetów powiedzieć z głębi serca po prostu – Dziękujemy Ci Polsko!

Płynęły stulecia a my wrastaliśmy w tę ziemię dniem i rokiem każdym z Hajów stając się Lehahajami.

Choć modliliśmy się w kościołach Kamieńca Podolskiego, Lwowa, Stanisławowa, Zamościa, świętym językiem ojców „garabarem” – Surp,



Prezydent Andrzej Duda w otoczeniu ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego i Bogdana St. Kasprowicza (z lewej)

Surp, Surp Der Astwadz! – coraz bardziej dotyczyły nas „polskie sprawy”, a myśli i czyny polskiej poświęciliśmy Ojczyźnie.

Oddawaliśmy życie i krew za Polskę od pól Grunwaldu, przez Beresteczko, Wiedeń, powstania doby rozbiorów, Obronę Lwowa i wojnę 1920 roku, przez pola bitew drugiej wojny światowej, po krew żołnierzy wyklętych.

Oddawaliśmy swojej polskiej ojczyźnie wszystko co najlepsze – pracę kupców, rzemieślników i przemysłowców, dzieła poetów, malarzy, artystów, modlitwy wielkich i świętych kapłanów, życie i krew żołnierzy.

Przeto z sercem pełnym synowskiej wdzięczności ale i z dumą powtarzamy tu dzisiaj modlitwę wszystkich pokoleń Ormian w Polsce –

Boże błogosław Polsce i nie zapominaj o Armenii!

Ter wochormia!

Ter wochormia!

Ter wochormia!

Oskar Stanisław Czarnik

ADAM CHMIEŁOWSKI – ŚWIĘTY BRAT ALBERT – A ZIEMIA PODOLSKA

W ciągu ostatnich dziesięcioleci – w drugiej połowie XX i na początku XXI wieku – wielokrotnie upamiętniono w piśmiennictwie życie i dorobek Adama Chmielowskiego – przyszłego Brata Alberta. Jego działalność patriotyczna, artystyczna i religijna była tematem różnych artykułów i książek, niejednokrotnie solidnie udokumentowanych pod względem historycznym, w tym archiwalnym. Jest jednak w życiu Adama Chmielowskiego pewien rozdział mniej dokładnie opisany od innych. Niektóre związane z nim szczegóły do dziś pozostają niejasne. Jest też pewna okolica, gdzie do dziś brakuje należytego upamiętnienia jego pobytu. Idzie tu o Ziemię Podolską na Ukrainie, o Kamieniec Podolski, Żwaniec, Czarnokozińce czy Husiatyn, a zwłaszcza o Kudryńce nad Zbruczem.

Adam Chmielowski odwiedzał Podole kilkakrotnie. W okolicach Kamieńca Podolskiego mieszkała przecież jego rodzina. Jeden jego pobyt na Podolu był jednak szczególnie ważny, wręcz przełomowy w życiu przyszłego świętego, a także istotny w jego działalności artystycznej. Idzie tu o lata 1882–1884, gdy Chmielowski zamieszkał w Kudryńcach.

Stało się to w szczególnych okolicznościach. Po nieudanym nowicjacie w klasztorze jezuitów w Starej Wsi w pobliżu Brzozowa i Krosna, Adam przeżywał poważny kryzys duchowy. Dręczyły go różne skrupuły moralne, ciągle wyrzuty sumienia, często popadał w głębokie przygnębienie. Usunięty 5 kwietnia 1881 r. z nowicjatu, zgłosił się dobrowolnie 16 kwietnia 1881 r. do Krajowego Zakładu dla Umysłowo Chorych w Kulparkowie na przedmieściach Lwowa. Podjął kurację. Lekarze po pewnym czasie orzekli, że pacjent cierpi na hipochondrię, ustawiczną melancholię, wykazuje nadmierną wrażliwość moralną, łatwo ulega różnym niepokojom duchowym, które prowadzą do depresji, wyczerpującej go psychicznie i fizycznie.

Kuracja szpitalna nie przyniosła zdecydowanej poprawy. Pomoc nadeszła z zewnątrz. Przybył do Lwowa brat Adama. Stanisław Chmielowski, dzierżawca majątku Koziebrodzkich w Kudryńcach nad

Zbruczem. Zgłosił się do zakładu w Kulparkowie i za zgodą lekarzy zabrał ze sobą Adama 22 stycznia 1882 r.¹

Kudryńce to miejscowość wyróżniająca się swym malowniczym położeniem. Rzeka Zbrucz płynie tu w głębokiej dolinie i tworzy mniej więcej dwukilometrowe zakole. Kudryńce znajdują się jakby na cyplu okolonym z trzech stron przez rzekę. Wschodnie zbocza jaru (od strony Kamieńca Podolskiego) opadają łagodnie kilkoma tarasami w kierunku Zbrucza. Stoki zachodnie (od strony Tarnopola) wznoszą się stromo i tworzą w niektórych miejscach skalne urwiska. Wieńczą te zbocza ruiny zamku Herburtów, położone prawie na krawędzi jaru. Na brzegach rzeki rozciągają się liściaste lasy. Dalsza okolica w kierunku Kamieńca Podolskiego tworzy lekko pofałdowaną wyżynę, którą przecinają dolinki różnych strumieni.

Wzdłuż rzeki Zbrucz biegła wówczas granica między zaborem rosyjskim a zaborem austriackim, a więc między carską Rosją a cesarstwem Habsburgów. Majątek dzierżawiony przez Stanisława Chmielowskiego przylegał zatem do granicy, znajdował się zarazem po stronie rosyjskiej. Od Kamieńca Podolskiego dzieliła go odległość około dwudziestu kilometrów, a od Żwańca nad Dniestrem mniej więcej dziesięć kilometrów.

Według planu sporządzonego niegdyś przez Adama Chmielowskiego nad samą rzeką znajdował się sad, dalej rozciągał się park, nieco wyżej stał dwór, a przed nim, a więc od zachodu, założono ozdobny gazon, natomiast z boku i za budynkiem usytuowano ogród warzywny. Ponad kolejną pochyłością wznosiły się zabudowania gospodarcze – stodoły, obory i stajnie. Opodal, na skraju wschodniego zbocza zaczynały się dwie drogi. Jedna prowadziła do Kamieńca Podolskiego, a druga, prawie równoległe do rzeki Zbrucz, do pobliskiego Żwańca.

Warto spojrzeć na tę okolicę oczami świadka ówczesnych zdarzeń, Jana Chmielowskiego, syna Mariana, zarazem bratanka Adama, przyszłego Brata Alberta. W latach osiemdziesiątych XIX wieku Jan jako dziecko przebywał w Kudryńcach. Po upływie 50 lat, w okresie II Rzeczypospolitej, był pracownikiem urzędów państwowych we Lwowie i w Tarnopolu. Zajmował się kontrolą finansową administracji prowincjonalnej, często podróżował służbowo, docierał aż do ówczesnej granicy polsko-sowieckiej na Zbruczu. Tak wówczas wspominał bliski mu krajobraz kudryniecki: „Po tamtej stronie Zbrucza, w tej nadzbruczańskiej kotlinie – kilometr wszerek, półtora wzdłuż – mieszkałem pięćdziesiąt lat temu jako młody chłopak. Ta zapadlina wśród podolskich „garbów” stanowiła wtedy osobny kudryniecki światek. Dziecinnymi oczami przyglądałem się postrzępionym w dziwaczny kształt murom zamczyska jako czemuś nieznanemu, niedostępnemu – za granicą”. (...) „Widoczny

z każdego miejsca kudrynieckiego światka dziwny kształt – zewłok zamku – ni to sfinks, ni to trupia czaszka w celi mnicha – przykuwał do siebie wzrok mieszkańców kotlinki. Poza to zamczysko zachodziło co dzień w innych barwach słońce. W księżycowe noce ruiny bieleły się tajemniczo ponad okolicą. Coś mówił ten sfinks – trzeba było tylko odgadnąć jego bezgłosną mowę²².

Tutaj, wśród najbliższej rodziny i w tej malowniczej okolicy rozpoczęła się kuracja Adama. Początkowo rzadko opuszczał majątek swego brata. Wychodził z dworu do parku czy sadu. oglądał najbliższe krajobrazy. Dużo czytał, często zagłębiał się w swych medytacjach. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na ludzi w swoim otoczeniu, że pozostanie na zawsze milczącym samotnikiem. Przełom nastąpił w sierpniu 1882 r. po spowiedzi odbytej u ks. Leopolda Pogorzelskiego, proboszcza jednej z podolskich parafii katolickich. Adam Chmielowski powrócił wówczas do regularnego uczestnictwa w życiu zbiorowym, do zwykłych kontaktów z rodziną w Kudryńcach. Odwiedzał krewnych i sąsiadów w innych miejscowościach, a także kościoły w bliskiej okolicy³.

Po tym ważnym wydarzeniu rozpoczął się doniosły okres w jego pracy artystycznej. Chmielowski odtąd często jeździł po okolicy, na koniu lub niewielkim wózkiem po tamtejszych wzgórzach, jarach i lasach. Chętnie dosiadał niewysokiego, ale mocnego huculskiego konika. Był przecież kaleką, stracił w powstaniu nogę i przejażdżka na grzbiecie tego kuca była łatwiejsza niż korzystanie z rosłego wierzchowca. Jadąc na swym koniku, zatrzymywał się co pewien czas, choćby na łagodnym zboczu jakiejś wyniosłości czy na skraju skalistego jaru. by rozejrzeć się wokół, by naszkicować w pierwszym ujęciu jakiś krajobraz lub pewien charakterystyczny obiekt. Niekiedy powstawały przy tym zabawne kłopoty. Wspominał je bratanek Adama, wspomniany już Jan. (...) „Adam odzyskuje zawsze trochę pogody ducha, gdy wsiada na swego karego huculskiego kucyka. Pomimo sztucznej nogi dobrze trzyma się na koniu, tylko trudno z wsiadaniem, tym bardziej że filut kuc – kary z białą łysiną przez czoło i jedno nozdrze – znany jest ze skłonności do płatania figli. Gdy stryj Adam zsiądzie. by naszkicować jakiś „garb” podolski pokryty szachownicą pól: gdy chce złović na kartkę szkicownika rozległość podolskiego krajobrazu: gdy sili się, by oddać typową dla tych okolic, nasuwającą porównanie z echem, kilkakrotność horyzontu wśród powyginanych podolskich płaskowzgórz i (...) jarów – kuc spogląda figlarnie i powoli oddala się o parę kroków. I tak samo będzie się wciąż po parę kroków oddalał, gdy stryj Adam zechce go znowu dosiąść. Aż gdy stryj zmęczony usiądzie na kamieniu i wydostanie kawałek chleba z kieszeni, kuc kapituluje, by dostać najpierw klapsa po miękkich, skubiących rękaw chrapach, a potem – kawałek chleba. Teraz da się

podprowadzić do jakiegoś kamienia, na którym stryj oprze sztuczną nogę. by zdrową przerzucić przez siodło”⁴.

Swoje pomysły artystyczne, a także studia różnych szczegółów, potrzebnych w przyszłych obrazach, utrwał Chmielowski w swym podręcznym *Szkicowniku*. Owocem wspomnianych przejażdżek konnych były rysunki ołówkowe, akwarele i rysunki lawowane tuszem, jak np. *Krajobraz z fragmentem płotu. Pejzaż skalisty. Krajobraz ze słupem granicznym, Pastuch i bydło w zaroślach. Okrągły szalas wśród drzew, Młocka. Pejzaż górzysty, Ruiny zamku. Droga przez wieś, Siedzący chłopiec z kapeluszem. Zbocze wzgórza, Plan zabudowań w Kudryńcach*. W sumie ów *Szkicownik* (na brązowej okładce znajduje się wykonany przemysłowo napis *Skizzenbuch*) zawiera 37 kart, na których zamieszczono 66 dzieł (niektóre karty wykorzystano jednostronnie). Znaczną część tych ilustracji można by potraktować jako samoistne, ukończone już prace, inne stanowiły szkice, które Autor wykorzystał w swych przyszłych malarskich ujęciach. *Szkicownik* Adama Chmielowskiego utrwał zatem krajobrazy Podola, w tym wybrane charakterystyczne obiekty, a także codzienną pracę w majątku, portrety ludzi, sylwetki zwierząt, zarysy budynków gospodarczych, wnętrza dworskich pomieszczeń. Kilka ilustracji zawartych w *Szkicowniku*, np. *Pejzaż wiejski z drzewami i chałupą*, wykonał młodszy brat Adama – Marian Chmielowski, przebywający wówczas również w Kudryńcach. *Szkicownik* jako całość świadczy o ówczesnych zainteresowaniach artystycznych Adama Chmielowskiego.

Ten ciekawy zbiór artystyczny był do niedawna mało znany. Stanowił własność Wandy z Chmielowskich Markiewiczowej, córki Jana i wnuczki Mariana Chmielowskiego, zamieszkałej po II wojnie światowej wraz z rodziną w Częstochowie. Wanda Markiewiczowa na pewien czas przed swą śmiercią ofiarowała powyższą pamiątkę Siostrom Albertynkom w Krakowie. Dzięki tej darowiźnie *Szkicownik* opisała szczegółowo albertynka siostra Magdalena Kaczmarzyk w swej monografii *Trudne drogi miłości*, poświęconej Bratu Albertowi. Nadała przy tym tytuły, tam gdzie ich brakowało, poszczególnym rysunkom i akwarelom. Kierowała się oczywiście tematyką poszczególnych dzieł⁵. Uwzględniono je na wystawie w 1995 r. w Muzeum Archidiecezjalnym w Krakowie, ukazującej twórczość artystyczną Brata Alberta⁶.

W czasie pobytu w Kudryńcach Adam Chmielowski kontynuował zarazem twórczość malarską. Miał swą pracownię w dworze rodziny Dwernickich w Zawalu, 3 km na południe od Kudryniec. Wiodła stamtąd do Zawala polna droga, wspinająca się na spore wzniesienie i prowadząca dalej ostro w dół. Tam właśnie powstawały obrazy olejne Chmielowskiego, przedstawiające piękno Ziemi Podolskiej, stanowiące zarazem świadectwo jego ustawicznych poszukiwań artystycznych.

Należały do nich m.in. dzieła: *Kudryńce (ruiny zamku w Kudryńcach)*, *Zawale (Wioska podolska)*, *Amazonka*, *Portret Wandy Dwernickiej z Zawala*, *Czarnokozińce*, *Pejzaż z okolic Czarnokoziniec*. Rezultatem ówczesnych przedsięwzięć Artysty były też akwarele, np. *Siwek*, *Wyjazd na polowanie*, *Przejażdżka*. *Powrót z przejażdżki*. *Zbocze parowu I i II*, *Owce w jarze*, *Wrony nad urwiskiem*. *Wioska wieczorem*. Warto też pamiętać o ówczesnych dziełach Chmielowskiego zniszczonych lub zaginionych, jak np. akwarela *Jar podolski w zimie*⁷. Jak już wspomniano, niektóre obrazy olejne i akwarele stanowiły realizację pomysłów, utrwalonych po raz pierwszy w Szkicowniku (np. *Przejażdżka*, *Chłopczyk z kapeluszem*, *Ruiny zamku w Kudryńcach*). Wyróżnia się przy tym efektami barwnymi obraz *Zawale*, przedstawiający wieś w głębokiej dolinie, zarysy cerkwi i okalających ją chałup, zbocza wzgórz w pełnym letnim słońcu, kontrasty światła i cienia, paletę różnorodnych barw czy ich odcieni w zależności od stopnia oświetlenia przedmiotu. Można sądzić, iż efekty kolorystyczne czy nastrojowość w pewnych dziełach Chmielowskiego wiązały się z wyraźnym wpływem impresjonizmu w rozwoju ówczesnego malarstwa polskiego.

Pobyty w Kudryńcach był nie tylko w jego życiu okresem usilnej pracy artystycznej. Był to również czas dalszych poszukiwań duchowych. Chmielowski nadal często odwiedzał ks. Leopolda Pogorzelskiego. Pożyczał książki z jego biblioteki. Interesował się zwłaszcza dziełami mistycznymi świętego Jana od Krzyża, jak np. *Droga na górę Karmel*, *Noc ciemna*, *Pieśń duchowa*, *Żywy płomień miłości*, *Przestrogi duchowe*⁸. Zapoznał się też w tym czasie z regułami III Zakonu świętego Franciszka. Tę właśnie postać przyjął jako swój wzór duchowy. Podjął zarazem postanowienie, by rozpocząć działalność społeczną o inspiracji franciszkańskiej, by nieść pomoc mieszkańcom Podola, bez względu na przynależność narodową czy religijną.

Często wyruszał z Kudryńca konno lub małym wózkiem, by odwiedzić różne miejscowości w okolicach Kamieńca Podolskiego, Latyczowa, Jarmoliniec czy Żwańca. W tamtejszych stronach, zwłaszcza wzdłuż rzeki Zbrucz, Smotrycz, a także w okolicach Dunajowiec, Uszycy, Baru czy Szarogrodu sporo było wówczas polskich dworów i wiosek, kościołów i parafii rzymskokatolickich. Chmielowski odnawiał niektóre stare obrazy w świątyniach, a także kapliczki przydrożne. Prawdopodobnie wykonywał malowidła ściennie. Wiele zarazem rozmawiał z duchownymi i świeckimi. Zachęcał ich gorąco, by tworzyli ogniwa III Zakonu świętego Franciszka, by nieśli pomoc materialną i duchową wszystkim mieszkańcom, którzy jej potrzebują. Swą najbliższą przyszłość Adam Chmielowski wiązał zapewne z dalszą działalnością artystyczną i społeczną na tak bliskim mu Podolu.

Stało się jednak inaczej. Kolejne podróże Adama po Ziemi Podolskiej, próby tworzenia ogniw tercjarskich wzbudziły podejrzenia rosyjskiej policji politycznej. Nabrała ona przekonania, że dawny powstaniec, niezależny artysta, a zarazem niepoprawny „polski buntownik” odwiedza różne miasteczka i wioski Ukrainy, by stworzyć tu jakąś nową organizację podziemną i przygotować kolejne wystąpienie zbrojne przeciw panującemu porządkowi. Należało zatem pozbyć się jak najszybciej tego niebezpiecznego mieszkańca Kudryniec.

W jakich okolicznościach Adam Chmielowski opuścił przymusowo Podole?

Istnieją dwie różne wersje przebiegu dalszych wydarzeń. Niektórzy autorzy książek o Bracie Albercie twierdzą, iż Adam Chmielowski otrzymał od władz rosyjskich oficjalne pismo z żądaniem, by w ciągu trzech dni opuścił terytorium Cesarstwa Rosyjskiego. Miało ono zawierać jednocześnie ostrzeżenie, że w przypadku odmowy wykonania tego nakazu adresat zostanie zesłany na Sybir. Brakuje jednak we wspomnianych opracowaniach dokładnego tłumaczenia tego dokumentu. Doświadczenie historyczne zarazem uczy, iż policja rosyjska nie była skłonna, by namawiać osobę podejrzaną o spisek antypaństwowy do spokojnego wyjazdu na Zachód. Starano się spowodować, by potencjalnego buntownika zesłać jak najszybciej na Syberię lub do innych odległych krain Cesarstwa.

Istnieje jednak odmienna opowieść o tych wypadkach. Wspomniany bratanek Adama. Jan Chmielowski, małoletni świadek powyższych zdarzeń, opisał je inaczej. Według niego stryj Adam, zagrożony aresztowaniem, przekroczył granicę rosyjsko-austriacką nielegalnie. Brat Adama Stanisław, dzierżawca Kudryniec, uzgodnił dyskretnie z oficerem rosyjskim, dowódcą pobliskiej strażnicy, iż podlegli mu żołnierze określonego dnia i o ustalonej godzinie będą mniej pilnie strzegli granicy na Zbruczu w rejonie kudrynieckiego zakola tej rzeki. Zbrucz ma silny, prawie górski prąd, są w nim różne wiry, doły czy inne pułapki, które mogą być niebezpieczne dla dobrego pływaka, a tym bardziej dla człowieka, który zamiast jednej nogi miał protezę. Adam Chmielowski przeszedł jednak w bród graniczny Zbrucz w miejscu stosunkowo bezpiecznym, na wysokości kudrynieckiego sadu, gdzie mieszkańcy dworu często latem kąpali się w rzece. Jak pisał później Jan Chmielowski, jego stryj przebywając rzekę, przekroczył podwójną granicę. Gdy wyszedł z wody na jej przeciwległy brzeg, znalazł się na terytorium Cesarstwa Austriackiego, a więc poza zasięgiem działalności policji rosyjskiej.

Przeszedł zarazem drugą granicę. Zamknął już na zawsze podolski okres swego życia. Do bliskiej mu krainy już nigdy nie wrócił. W ciągu kilku następnych lat rozpoczął w Krakowie nową epokę w całym swym

życiu. Podjął przedsięwzięcia, dzięki którym stał się znany jako Brat Albert – opiekun ludzi ubogich, odrzuconych, pogardzanych. Stał się wielkim autorytetem moralnym, a w kilka dziesięcioleci po śmierci jego czyny uwieńczyła beatyfikacja i kanonizacja.

Co jednak pozostało z jego podolskich przeżyć, tamtejszych dokonań?

Pozostały dzieła artystyczne – obrazy olejne, akwarele i szkice – powstałe w tym właśnie kudrynieckim okresie. Wszystkie biografie przyszłego Świętego zawierają stwierdzenie, że właśnie tutaj, na Podolu, a zwłaszcza w samych Kudryńcach. Adam Chmielowski po głębokim kryzysie psychicznym odzyskał równowagę duchową, a zarazem odkrył swe dalsze posłannictwo i podjął pierwsze poczynania z myślą o realizacji zamierzeń. Właśnie tu, nad Zbruczem i Smotryczem kształtował się duchowo przyszły Brat Albert.

Niestety trudno znaleźć na dzisiejszym Podolu materialne ślady bytności Adama Chmielowskiego. Władze sowieckie w ciągu wielu dziesięcioleci wykazywały „nadzwyczajne uzdolnienia” w systematycznym niszczeniu dorobku cywilizacyjnego „polskich wyzyskiwaczy i krwiopijców”. Już w okresie międzywojennym Sowietci wycięli w pień sad i park, nie pozostawili żadnego drzewa. Zniszczyli później dwór, ozdobny gazon, ogród warzywny, większość urządzeń gospodarczych. Zachowały się tylko do niedawna ruiny obór, stajni i stodoł na najwyższym nadbrzeżnym tarasie. W zakolu Zbrucza powstało osiedle kołchozowe. Przedmiotem planowej dewastacji stały się też okoliczne dwory i kościoły, np. w Czarnokozińcach czy w Żwańcu.

Przybysz z Polski w rozmowie z Ukraińcami, obecnymi mieszkańcami Kudryniec – mimo ich przyjaznego nastawienia – niewiele może dowiedzieć się o historii tej miejscowości. Wskazują oni uprzejmie miejsce, gdzie prawdopodobnie stał kiedyś jakiś „polskij dim”, „polskij dwir”. Pewna Ukrainka zapewniała życzliwie, że znajdował się na terenie jej ogrodu, gdyż ilekroć usiłowała tam głębiej kopać, natrafiła zawsze na potężne fundamenty. Według planu sporządzonego niegdyś przez Adama Chmielowskiego dwór stał jednak nieco niżej, bliżej rzeki. Na terenie jej ogrodu istniała może jakaś inna budowla. Bez dokładnych badań, w tym pomiarów, trudno dzisiaj tę sprawę wyjaśnić.

Mimo dziejowego kataklizmu pozostało jednak piękno Ziemi Podolskiej – rozległego płaskowyżu, gdzieniegdzie wyniosłych garbów, głębokich rzecznych jarów o stromych, skalistych lub zalesionych zboczach. To wszystko ocalało, chociaż zostało w niektórych miejscach zszpeczone. Można by zatem oczami wyobraźni dostrzec Adama Chmielowskiego, jak przemierza ten kraj. Jak zsiada ze swego huculskiego konika i wybiera dogodne miejsce, by ująć szkicowo zarys jakiegoś obiektu i stworzyć później większe dzieło. Tak właśnie ujął tę okolicę Jan Chmie-

lowski, gdy w latach trzydziestych ubiegłego wieku z zachodniego, polskiego jeszcze brzegu rzeki Zbrucz, spod zamku Herburtów, długo oglądał dolinę kudryniecką, dewastowaną już planowo przez Sowietów. (...) „Na granicy dwóch światów...gdy siedzę u stóp zamczyska w Kudryńcach – zapewne ostatni już raz w życiu – i patrzę w kraj dzieciństwa tam za granicą – wydaje mi się, że ścieżką skalną na łysym kucu jedzie brat Albert w swym szarym mniszym habicie, zamyślony”⁹.

PRZYPISY

- ¹ Por. O. Władysław Kluz, karmelita bosy, *Adam Chmielowski – Brat Albert*. Kraków 1975, s. 113-114; S. Magdalena Kaczmarzyk, albertynka, *Trudne drogi miłości*. Kraków 1986, s. 39-40.
- ² Jan Chmielowski, *Wspomnienie o stryju Adamie*, „Wiadomości Literackie” (Warszawa) 1938, nr 38, 11 IX, s. 6. Jan Chmielowski w latach trzydziestych XX w. mieszkał wraz ze swą najbliższą rodziną we Lwowie. Napisał powyższe wspomnienie po swej bytności na zachodnim brzegu rzeki Zbrucz, w pobliżu ruin zamku Herburtów. Wzdłuż Zbrucza biegła wówczas granica polsko-sowiecka. Autor oglądał Kudryńce leżące na przeciwległym brzegu rzeki, pozornie „na wyciągnięcie ręki”, ale już niedostępne, gdyż znajdowały się na terenie sowieckiego imperium. Opisywanych tu miejsc nie należy utożsamiać z rozbudowaną dziś miejscowością Kudryńce, leżącą na zachodnim brzegu rzeki, a więc od strony Tarnopola. Obecnie funkcjonują na Ukrainie nieoficjalnie dwie równorzędne nazwy: Kudryńce Tarnopolskie i Kudryńce Chmielnickie.
- ³ Por. O. Władysław Kluz, dz. cyt., s. 115-116; s. Magdalena Kaczmarzyk, dz. cyt., s. 43-46. Pewne szczegóły związane z powyższymi wydarzeniami wymagają jednak dokładniejszych wyjaśnień. Różni autorzy sugerują, że pewnego sierpniowego popołudnia czy wieczoru Adam Chmielowski udał się na koniu do Szarogrodu do tamtejszego proboszcza, ks. Leopolda Pogorzelskiego, odbył tak ważną w jego życiu spowiedź i w krótkim czasie (najwyżej w ciągu paru godzin) powrócił do domu. Z Kudryńiec do Szarogrodu w prostej linii jest jednak ponad sto kilometrów, a różnymi krętymi drogami zapewne znacznie więcej. Tym samym koń, na którym jechał Chmielowski, musiałby poruszać się z szybkością samolotu lub co najmniej samochodu wyścigowego, by w tak krótkim czasie przebyć ten dystans w obie strony. Można zatem sądzić, że Adam odbył swą przełomową spowiedź u księdza Pogorzelskiego w jakimś innym miejscu, położonym znacznie bliżej Kamieńca Podolskiego i Kudryńiec.
- ⁴ Jan Chmielowski, dz. cyt., s. 6.
- ⁵ S. Magdalena Kaczmarzyk, *Trudne drogi miłości*, dz. cyt., s. 203-206.
- ⁶ *Adam Chmielowski – Św. Brat Albert (1845-1916)*. Katalog wystawy opracowała Elżbieta Charazińska. Kraków 1995, s. 88-89.
- ⁷ Tamże, s. 58-64, 75-76, 81-85. Por. również s. Magdalena Kaczmarzyk, dz. cyt., s. 195-196, 200-201.
- ⁸ O. Władysław Kluz, dz. cyt., s. 111-117. Jak twierdzi Autor, Adam Chmielowski już jako Brat Albert „książkę z dziełami tego świętego, oprawioną w szare płótno, zawsze będzie miał przy sobie i będzie tłumaczył obydwu swym zgromadzeniom mądrość zawartą w nauce tego Doktora Kościoła i na niej będzie budował gmach doskonałości swoich duchowych dzieci” (s. 117). Powyższe związki duchowe wymagają odrębnego, specjalistycznego studium.
- ⁹ J. Chmielowski, dz. cyt., s. 6. Autor cytowanego wspomnienia został wraz z żoną aresztowany we Lwowie w 1945 r. przez NKWD, gdyż ich najmłodsza córka, Maryla, studentka Politechniki Lwowskiej, należała do lwowskiej Armii Krajowej. Wypuszczony po kilku latach z łagru, Jan Chmielowski przybył do swego brata Maksymiliana (również bratanka Brata Alberta), zamieszkałego wówczas w Wydminach na Mazurach. Wkrótce jednak polskie władze komunistyczne represjonowały Maksymiliana i jego syna Kazimierza, oficera AK, „żołnierza wykletego”. Obaj stracili życie w więzieniu w Białymstoku, a Jan zmarł wkrótce na atak serca. Jego żona Janina Chmielowska, zwolniona po wielu latach z łagru i przymusowego osiedlenia, przybyła do Częstochowy, gdzie zmarła w latach 80. XX w. w setnym roku życia.

Danuta Greszczuk

TRUDNA DYREKCJA LUDWIKA CZARNOWSKIEGO SEZON 1921–1925 Cz. 1

Rezygnacja Michała Tarasiewicza przed ukończeniem sezonu teatralnego 1920–1921 roku była dla publiczności zaskoczeniem i jednocześnie zaplanowaną kampanią prasy endeckiej. W osobie Tarasiewicza przez półtora sezonu we Lwowie istniał wielki artysta i dyrektor teatrów miejskich, który wszelako starał się zapewnić scenie lwowskiej odpowiedni poziom. Trudności finansowe i polityczne w pewnym stopniu były przyczyną upadku niegdyś sławnej sceny. To były ciężkie czasy nie tylko dla miasta, lecz i dla teatru. A teatr we Lwowie – to nie tylko gmach postawiony na Wałach Hetmańskich, to również i ludzie. Wielu też aktorów podczas walk polsko-ukraińskich w latach 1918–1921 opuściło miasto i więcej do niego nie powróciło, nie zważając na wcześniej podpisane umowy oraz apele umieszczone w prasie. Teatr potrzebował stanowczego dyrektora oraz kierownictwa, które mogłoby bez znacznych strat, chociażby spróbować wydobyć scenę lwowską z zapomnienia i upadku.¹

W wywiadzie dla „Słowa Polskiego” Tarasiewicz próbował podkreślić wszystkie negatywne strony zaistniałej sytuacji: „Jednym z najważniejszych czynników jest społeczeństwo same i sposób, w jaki ono się do teatru odnosi”². Taki stan rzeczy był największym problemem dla Rady miasta i dyrekcji teatrów. Komisja teatralna niejednokrotnie zwoływała posiedzenia w celu wybrania nowego dyrektora: „Nowy kierownik sceny winien wejść do teatru bez jakichkolwiek osobistych uprzedzeń czy zawiści, oprócz wymaganych kwalifikacji kulturalnych i artystycznych oraz znajomości naszego teatru, winien wnieść także niewątpliwie wartość charakteru i dobrej, nieuprzedzonej woli oraz cieszyć się zaufaniem kompetentnych czynników opinii”³. Pretendentami na stanowisko byli: Ludwik Czarnowski, Karol Adwentowicz, Józef Jedlicz, Czesław Zaremba⁴ i Mieczysław Szukiewicz⁵. Niemal jednomyślną uchwałą (dwa przeciwne głosy padły na Czesława Zarembę)⁶ po wysłuchaniu referatu p. Schneidera i długotrwałych debatach Rada

miejska Lwowa pod przewodnictwem prof. Marcelego Chlamtacza dnia 23 marca 1921 roku na uroczystym tajnym posiedzeniu przyjęła decyzję oddania dyrekcji Teatrów Lwowskich Ludwikowi Czarnowskiemu⁷.

Nowy dyrektor musiał rozstrzygnąć problem, czy zakończyć sezon i utrzymywać operę. Już przed dymisją Tarasiewicza w prasie lwowskiej niejednokrotnie publikowane były komunikaty odnośnie opłakanego stanu opery: „Od czasu ustąpienia dyr. Hellera opery nie mamy”⁸. Odnośnie opery, to nie jedyny dylemat utalentowanej jednostki i przede wszystkim artysty. Podstawowym problemem był gmach. Pod jednym dachem Teatru Wielkiego mieściły się trzy sceny: dramat, opera i ope- retka. Istniała konieczność pozyskania chociażby jeszcze jednego budynku. Już wcześniej dyr. Tarasiewicz w swoich wywiadach i wykładach proponował radnym miasta rozwiązać powstały dylemat: „Rzecz ta była już prawie dojrzała w roku poprzednim, gdy po znalezieniu lokalu i wszystkich wstępnych przygotowaniach chodziło jedynie o nadejście zamówionego transportu krzeseł”⁹. Powód, aby nie otworzyć drugiej sceny był banalny – krzesła nie były dostarczone, niestety, na czas.

Scena lwowska nie była obca nowemu dyrektorowi, już w sezonie teatralnym 1918–1919, w ciężkich czasach dla Lwowa ogarniętego walkami i jego mieszkańców, Czarnowski przyjął zaproszenie dyrektora Romana Żelazowskiego, grał i reżyserował¹⁰.

Sezon 1920/1921

Sezon teatralny 1920/1921 nie był jeszcze ukończony. Zostało bowiem kilka miesięcy do finalnego zamknięcia sezonu. Czarnowski, choć po niełatwych rozmowach i pertraktacjach, w niedługim czasie zaprowadził organizacyjny ład. Zaczął od sceny: „Dyrektor Czarnowski dokonał, co trzeba przyznać, bardzo dużo, stworzywszy trzy teatry, przez co rozwiązał ten długoletni „węzeł gordyjski” poligamii muz w jednym budynku, gdzie wzajemnie się kłóciły i przeszkadzały sobie z krzywdą dla ogólnego poziomu poważnej sztuki”¹¹. Tak napisze prasa lwowska zaledwie po kilku miesiącach jego dyrekcji. Nowy dyrektor wymusił na Gminie otwarcie nowych gmachów teatralnych – Teatru Małego i Teatru Nowości.

5 kwietnia 1921 r. wystawiono komedię Jerzego Szaniawskiego „Ewa”, była to zasługa byłego dyrektora Michała Tarasiewicza, ponieważ za jego dyrekcji rozpoczęto wszelkie przygotowania, choć także dołożył wszelkich starań i nowo wybrany dyrektor. Zaznaczyli to również i recenzenci: „Przyjęcie tego utworu do repertuaru naszego teatru musi być zapisane w zasługach b. dyrektora Tarasiewicza, któremu w ogóle należy na korzyść przyznać, że z całym zapalem – może



Ludwik Czarnowski – dyrektor Miejskich Teatrów we Lwowie

nawet czasem lekkomyślnym – popierał polskich twórców dramatycznych¹². Zasadniczy wątek sztuki dotyczy budowy i sporów dotyczących projektów nowego kościoła w pewnej mieścinie, na tym tle rozgrywa się historia miłosna. Wyreżyserował komedię Kazimierz Okornicki, przykładając do tego wszelkie staranie, może nawet i zbyt, lecz z braku odpowiednich sił artystycznych dla wykonawców utworu, jak zaznaczy „Chwila”, przedstawienie mogło wypaść i lepiej: „Możliwie, że w interpretacji wybitnych artystów nastrojowe sceny wypadłyby bardziej zajmująco”¹³. S. Marczak-Oborski wystawienie tego utworu nazwie w swojej książce jednym z niewielu najważniejszych wydarzeń spośród prapremier polskich w tym czasie¹⁴.

Po długich staraniach i przygotowaniach, przy ulicy Gródeckiej 2 B w Sali Domu Katolickiego, otwarto Teatr Mały. Otwarcie nastąpiło w dniu 15 maja 1921 r. (w 1925 roku Gmina oddała ów gmach teatru w dzierżawę Czarnowskiemu). „Myśl, która się tak długo tułała po różnych dyrekcjach i komisjach i była pobożnym życzeniem ogółu zainteresowanego życiem teatralnym, znalazła wreszcie swe urzeczywistnienie”¹⁵ – napiszą w „Wieku Nowym”, nie zapominając oczywiście podziękować osobie, która do tego się przyczyniła: „(...) należy się szczerze cieszyć z tego, że powstała we Lwowie druga scena na odpowiednim poziomie, która odciąży przeładowany gmach główny.(...) Za dokonanie tego dzieła należą się słowa prawdziwego uznania dyr. Czarnowskiemu, jak i w ogóle ożywienia tętna życia teatralnego we Lwowie”¹⁶. Głównym zadaniem tego teatru było przyciągnięcie każdego widza. Samo rozmieszczenie i wystrój zdecydowały o jego repertuarze, ponieważ był położony w biedniejszej dzielnicy, w sąsiedztwie kościoła św. Anny i koszarów wojskowych. W Teatrze Małym były wystawiane sztuki kameeralne, operetki i komedie.

W dniu otwarcia nowej sceny wystawiono „Chorego z urojenia” Moliera w reżyserii Rasińskiego. Obok znanych aktorów sceny lwowskiej¹⁷ grał nawet dyrektor. Doskonale wycucie i gra aktorska, które były właściwe usposobieniu i życiowej energii Czarnowskiego pozwoliły mu doskonale przeobrazić się oraz zaprezentować widzowi swe umiejętności aktorskie. Choć, jak napisze Jan Parandowski: „Pierwsze przedstawienie stanęło na połowie drogi. „Chory z urojenia”, (...) nie nosił żadnych cech szczególnej staranności w opracowaniu, (...) gra artystów nie zawsze była zadawalająca. „Chory z urojenia” w interpretacji p. Rasińskiego był pozbawiony głębi psychologicznej (...)”¹⁸. Dzięki takiej opinii nie można było nazwać tego otwarcia doskonałym, lecz sam fakt i umiejętność prowadzenia interesów pozwolił zaistnieć temu teatrowi, bo zaledwie kilka miesięcy wcześniej z powodu braku krzesel, za dyrekcji poprzednika, teatr nie był otwarty. Banalna rzecz zaważyła na

takim wielkim przedsięwzięciu, a tu „znalazły się nawet krzesła, które nie są ani wygodne, ani wytworne, ale podobno i takich do niedawna nie było”¹⁹. Nie zważając na takie niedogodności, publiczność lwowska wypełniła sale i „bawiła się doskonale”²⁰.

Po objęciu przez Czarnowskiego posady dyrektora, skład trupy aktorskiej lwowskiego teatru w dziale dramatu wyglądał następująco: Barwińscy, Rasińscy, Dobrzańscy, Irena Trapszo, Roman Hierowski, Michał Melina, Zuzanna Łozińska, Edward Żytecki, Adam Bystrzyński, Adam Tartakowicz, Józef Dębowicz, Wrońska. Czarnowski zaangażował również młode siły: Kazimierza Justiana, Romana Hierowskiego, Janinę Romanównę, Kazimierza Lewickiego, Michała Melinę, Jerzego Rygiera (syna Edmunda), Irenę Ładosiównę, Zuzannę Łozińską Dębicką, Brzeskiego, Orzechowskiego. Do wystawienia dramatu zaangażowano 63 osoby. Reżyserami – „rutyniarzami”²¹ zostali Okornicki, Orzechowski i Rasiński, lecz na czołowe miejsce w reżyserii stanęli Józef Sosnowski i Edward Żytecki. Generalnym Sekretarzem teatrów miejskich został znany w środowisku artystycznym poeta i literat Artur Schröder²². Czarnowski w osobie Schrodera znalazł szlachetnego pracownika, lecz i dobrego redaktora „Życia Teatralnego”²³.

Pod koniec maja do miasta z gościnnymi występami przyjechał warszawski artysta Wojciech Brydziński. Już wcześniejsze komunikaty w prasie, co do przyjazdu aktora, na pierwszym przedstawieniu w dniu 30 maja 1921 r. Luigi Chiarellego „Twarzy i maski” nie zapewniły pełnej widowni: „Do jakiego stopnia publiczność lwowska zobojętniała dla teatru, który nie budzi od dawna jej zaufania, świadczy wczorajsza do połowy wypełniona widownia”²⁴. Brydziński stanął przed widownią lwowską w swojej znanej kreacji Paolo: „Sama obecność tego artysty działała w sposób dodatni na cały zespół. W podawanych sobie szeptem uwagach, wyczuć można było zdumienie, jak ten i ów aktor, ta lub owa aktorka zmieniała się na korzyść w płomieniach wytwornego kunsztu scenicznego warszawskiego artysty”²⁵. Prasa po każdym przedstawieniu, w którym grał Brydziński, rozpisywała się w przychylnych recenzjach. Jak zawsze były tylko pochlebne oceny. Przy okazji pamiętano, by choć w kilku słowach omówić grę innych artystów. Brydziński zagrał w drugim przedstawieniu, jakim był dramat M. Lengyela „Tajfun” (25, 27 i 30.05, 07, 12 i 26.06), gdzie kreował rolę dr Tokeramo, jednocześnie „wprowadził w grę wszystkie efektywne środki sceniczne, jakimi rozporządza w tak niezwyklej mierze i z taką umiejętnością”²⁶. Premiera „Tajfunu” pozytywnie wpłynęła również na aktorów, którzy jak zaznacza recenzenci, grali bardzo dobrze²⁷. Brydziński zagrał też Hrabiego w „Don Juanie” Rittnera (1, 2, 4, 5, 8, 15 i 19.06), tylko już nie na pięknej scenie Teatru Wielkiego, lecz na małej scenie przy ulicy

Gródeckiej, na której „rozporządzano tam nader skromnymi środkami, tak, że sama sztuka i gra artystów musiała ponosić wszystkie ekspensa, niewspomagane ani przepychem dekoracji, ani jakimikolwiek efektami scenicznymi”²⁸, co też było korzystne dla gry aktorów. A pod koniec swego pobytu odtworzył rolę Piotra Krunbacka w tragikomedii Swena Lange „Samson i Dalila” (10, 13, 16 i 20.06) oraz we wznowionej komedii Bolesława Górczyńskiego „Rzeczywistość” (18, 19 i 22.06) wcielił się w postać Woryckiego. Tym razem widzowie nie zawiedli: „Publiczność jawiła się w silnym komplecie, by sympatycznego gościa podziwiać w tej nowej kreacji, która podobnie jak i poprzednie może wywrzeć korzystny wpływ pedagogiczny na nasze artystyczne grono”²⁹. Na zakończenie gościnnych występów artysta podarował miastu sztukę, nieznanego dotąd dla miasta, lwowskiego autora Stefana Grabińskiego „Willa nad morzem” (24.06, 26.06, 29.06.) w swojej reżyserii, jednocześnie kreując bohatera „zupełnie inaczej jak dotąd, mniej zewnętrznie a więcej wewnętrznie”³⁰, wywierając silne wrażenie na lwowskiej publiczności, zapewniając sztuce powodzenie³¹, choć była wystawiona tylko trzy razy. Banalna sprawa, ale tak już jest, że osoba z innego miasta przedstawia nam własny „klejnot”, przedtem niezauważalny.

Dla każdego teatru, nawet w najbardziej trudnych czasach, największą atrakcją są występy gościnne. W tym samym czasie do Lwowa przyjechał na zaproszenie dyrekcji Karol Adwentowicz, rozpoczynając gościnne występy od dramatu Strindberga „Ojciec”. Gazety nie zapomniały podziękować dyrekcji za taki prezent, lecz również musiały paść słowa krytyki pod adresem Adwentowicza, w związku z częstymi „wędrownkami na prowincję” i ich negatywnym wpływem na grę aktora³². Miesiąc po publikacji pierwszego artykułu o „Ojcu” ukazało się uzupełnienie³³, w którym oczywiście znalazły się słowa uznania dla wielkiego talentu artysty, nie zapomniano też wymienić w recenzji i jego partnerki Heleny Hałacińskiej-Gawlikowskiej, występującej w roli Laurry. Ale już przy kolejnych przedstawieniach dwóch włoskich utworów – dramatu G. Rovetly „Nieuczciwi” i komedii I. Testoniego „Brzydki Ferrante” – nawet nie można było odczytać jednego słowa krytyki pod adresem artysty: „Doskonały w masce, jak w każdym goście dokonał tego, że wznowionej komedii Testoniego słucha się z prawdziwą przyjemnością”³⁴. Karola Adwentowicza Lwów podziwiał jeszcze niejednokrotnie i jak zawsze sale przy każdym występie były wypełnione po brzegi³⁵. W sztuce „W przystani” Jerzego Engla (10.08.1921) nazwanej „z drugiej ręki”, jak orzekł jeden z recenzentów, Adwentowicz w roli Druhsa był jak zawsze urzekający i pełen ekspresji, czego nie można było powiedzieć o innych aktorach, „otoczenie jego aktorskie – skądinąd dla mnie tak sympatyczne – nie mogło zadowolić pod żadnym względem.

Było szare i niezdecydowane³⁶. Dramat „Panna Julia” Strindberga (12.08.1921) dla Lwowa był czymś nowym i zachwycającym: „Ten niesłychany w swej intensywności dramatyczny skrót przeraża swoją lapidarnością, nagłym zderzeniem chusty z krwią ociekłej rany, swoją siłą spojrzenia w głąb duszy³⁷. Adwentowicz w roli Jana „rozsypał skry wielkiego talentu w poszczególnych momentach, ujmując całość w klejnot prawdziwego kunsztu aktorskiego³⁸, a towarzyszyła mu w tym odtwórczyni roli Julii Helena Hałacińska-Gawlikowska.

Uchwała z dnia 16 czerwca 1921 roku wystosowana przez magistrat Lwowa informuje: „Tymczasowa Rada miejska, uchwałą z 21 marca 1921 r. zamianowała Pana dyrektorem teatru miejskiego, którego Gmina kr. stół. m. Lwowa jest właścicielką i posiada koncesję na prowadzenie widowisk teatralnych na czas od 1 kwietnia 1921 do 31 sierpnia 1922 r., odpowiedzialny za całość kierownictwa artystycznego, wynagrodzenie miesięczne 30 tys. marek i fundusz dyspozycyjny, umowa obowiązuje automatycznie w roku następnym – wypowiedzenie na 3 miesiące przed 1 sierpnia 1922 r.”³⁹ Przysługiwał mu tygodniowy płatny urlop każdego roku, w wypadku zerwania umowy z powodu niedopełnienia obowiązków i nie stosowania się do statutu organizacyjnego, tytułem „kary konwencjonalnej” winien był zapłacić Gminie 90 tys. marek. Gmina zastrzegła sobie prawo rozwiązania umowy i usunięcia go ze stanowiska z 8 tygodniowym wypowiedzeniem „w razie, gdyby W. Pan wykroczył przeciwko obowiązującym przepisom, obrażając moralność lub przyzwoitość publiczną⁴⁰”.

Ważnym elementem sceny lwowskiej była opera, która wreszcie mogła w pełni funkcjonować w pięknym gmachu. Poczynione zostały wszelkie starania, by zapewnić dramatowi odpowiednie warunki: nowy gmach, gościnne występy, staranne wznowienia, debiuty młodych aktorów, lecz opera pozostawała nadal w cieniu, w prasie nawet została nazwana „Kopciuszkiem teatralnym⁴¹. Czego jeszcze można było oczekiwać, cud nie mógł się przecież wydarzyć. Od dawna, bowiem dla opery nie była wystawiona żadna nowa sztuka, jeżeli coś miało miejsce, to tylko wznowienia i przedstawienia z nową obsadą. No i teraz po wznowieniu „Pajaców” i „Rycerskości wieśniaczej”, wielkiego cudu nie można było się spodziewać. Choć nowa obsada⁴² wprowadziła pewne zmiany, a recenzent napisali pochlebny artykuł: „Najlepsze głosy, jakimi w obecnym sezonie dysponuje nasz teatr stanęły do zawodu i wszystkie odniosły równy sukces⁴³, sytuacja pozostawała nadal nierozwiązana.

W czasie gościnnych występów Wojciecha Brydzińskiego i Karola Adwentowicza, w dniu 25 czerwca 1921 r. zadebiutował na scenie Teatru Małego młody aktor Roman Niewiarowicz w roli Zbyszka we

wznowionej „Moralności pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej. Czyżby w wypowiedzi recenzenta, co do debiutu były słowa prorocze? „Wielka swoboda sceniczna, szczerze akcenty gry, znaczna siła uczucia, pozwalają wybaczyć brak pogłębienia niektórych momentów, a rokować wiele nadziei na przyszłość”⁴⁴. Nie było to może wielkie wydarzenie w teatrze lwowskim, lecz pozytywnie zaważyło na dalszych losach młodego aktora, krytycy też przy okazji wspomnieli, że Niewiarowicz był synem lubianej przez lwowską publiczność, operetkowej śpiewaczki Heleny Miłowskiej⁴⁵.

Podstawowym założeniem w miejskim teatrze lwowskim Ludwika Czarnowskiego była różnorodność wystawianych sztuk, choć często to był repertuar błahey, bo jak jeszcze można było zainteresować widza, który po tylu latach przyzwyczał się do rzeczy wesołych i rozrywkowych. W celu zapewnienia stałej widowni z dobrym gustem był potrzebny również i czas, którego dyrektor nie miał. W wywiadzie pod nazwą „Rola i przyszłość naszych teatrów” dla „Wieku Nowego” z dnia 3 sierpnia 1921 r. wymieniono największe problemy lwowskiego teatru, które w ten lub inny sposób negatywnie oddziaływały, jak na przykład ucieczka aktorów z przyfrontowego miasta. Jednak redakcja nie zapomniała podziękować dyrektorowi za pierwsze kroki, a mianowicie pozyskanie dla teatru miejskiego dwóch nowych scen. Czarnowski również pamiętał o najmłodszych widzach, zamierzał popołudniowe przedstawienia organizować dla młodzieży: „Przecież te przedstawienia mają być otwartą księgą dla dzieci, uczącą je zamiłowania do sztuki, przede wszystkim rodzinnej i wzbudzającą zmysły estetyczne”⁴⁶. Zapowiedziano w dziale dramatu wystawienie: „Księcia Niezłomnego” Słowackiego, „Nieboską komedię” Krasińskiego, „Wyzwolenie” i „Kłatwę” Wyspiańskiego, „Kaligulę” i „Miłosierdzie” Rostworowskiego oraz dzieła innych polskich autorów; natomiast z zagranicznych: „Jak się wam podoba” i „Komedię omyłek” Szekspira, „Wesele Figara” Beaumarchaisa, „Orlę” Rostanda, „Krag interesów” Jacinta Bonavente, „Cara Aleksego” Mereżkowskiego, „Naszych najserdeczniejszych” Sardona, „Żart, Satyra i Ironię” Grabbego, „Sól życia” i „Burmistrza” Maeterlincka, „Dantona” Rollanda, „Kobietę, która zabiła mężczyznę” Garricksa i inne. W dziale opery miały pojawić się: „Zamarłe oczy” Dalberta, „Kawaler z różą” Straussa, „Klejnoty Madonny” Ferreriego, „Flenis” Statkowskiego, „Panie Kochanku” Sołtysa, i inne. W operze faktycznie żadnych nowości nie zapowiadano, ponieważ za każde nowo wystawione przedstawienie trzeba było zapłacić pokaźną sumę autorowi lub agencji, która posiadała na nią prawa. Już w tym czasie budżet zwiększył się z 2 do 9 milionów, a jednak i tych pieniędzy na utrzymanie dwóch teatrów było za mało, wskutek czego miasto zaciągnęło pożyczkę rządową. Ponieważ

największym zagrożeniem zewnętrznym dla teatru stał się Teatr Świetlny⁴⁷, który „rozporządza wieloma możliwościami artystycznymi, jakich nie ma i nie może mieć scena”⁴⁸, to sam teatr lwowski potrzebował reformy, o której wspominał w przemówieniu o teatrze Jedlicz⁴⁹. Nie było to łatwe zadanie.

Pod koniec lipca na posiedzeniu Rady miasta zaproponowano wydzierżawienie jeszcze jednego pomieszczenia dla farsy i operetki, aby w nowym teatralnym sezonie wreszcie teatr mógł w pełni funkcjonować, nie przeszkadzając w istnieniu każdego z działów. Tym pomieszczeniem miał być gmach *Colosseum* znajdujący się w pasażu Hermanów. Po przedstawionych referatach i długich negocjacjach postanowiono wydzierżawić nowy gmach na okres trzech lat, ponieważ „Teatr w rękę miasta jest instrumentem, którego z rękę nie można wypuścić”⁵⁰. Gmach nowego teatru, z dużą widownią mieszcząca przeszło tysiąc miejsc, został nazwany Teatrem Nowości⁵¹. Po długich przygotowaniach w sobotę dnia 27 września 1921 roku odbyła się inauguracja w nowo wyremontowanym, z wszelkimi technicznymi udogodnieniami, pomieszczeniu Teatru Nowości. Odegrana została operetka „Hrabianka foxtrota” Roberta Stolza w reżyserii Tatrzańskiego z Miłowską, Kuligowskim, Tatrzańskim, Szczęsną i Olędzkim⁵² w głównych rolach. Pracownia Balka z Polityńskim przygotowała nowe dekoracje, a dopełnieniem całości były tańce w układzie Stanisława Faliszewskiego⁵³. W tym dniu również zaprezentowała się po raz pierwszy druga orkiestra Teatrów Miejskich pod batutą Alberta Stadlera, specjalnie stworzona dla operetki. Recenzent „Chwili” w ostatnim zdaniu podsumował cały dorobek tej sztuki: „Wystawa i inscenizacja były szablonowe, a wraz z szczupłymi rozmiarami sceny robiła wrażenie prowincji”⁵⁴.

Sezon 1921/1922

Początek nowego teatralnego sezonu był pewnego rodzaju zapewnieniem dla lwowskich widzów, również dla Radnych miasta, że nowy dyrektor wreszcie, po wielu latach „ciągłej walki” o przetrwanie, zapewni lwowskim teatrom godny repertuar. Możliwość władcy miasta wraz z Komisją teatralną w swych decyzjach próbowali, choć w jakiś sposób utrzymać na odpowiednim poziomie miejskie teatry. Już w samych kontraktach spisanych z dyrekcją⁵⁵ radni robili adnotacje odnośnie repertuaru. Jedna rzecz napisać, a inna – wykonać, właśnie z takimi poczynaniami ze strony miasta spotykał się każdy z dyrektorów, aczkolwiek zadłużenie teatru dla miasta było ogromne, co też negatywnie wpływało na repertuar – dużo operetek i błahych sztuk, na które widz lubił chodzić. Oczywiście dla miasta teatr pozostawał jedną z placówek, która

stwarzała ogromny deficyt, a nie przynosiła żadnego zysku. Miało być jakieś sensowne rozwiązanie, bo istnienie i funkcjonowanie takiej placówki było zagrożone. Czarnowski musiał z takim stanem rzeczy uporać się, musiał zadowolić wszystkich: spłacić długi, utrzymać teatry, a władze miasta wraz z widzami – uszczęśliwić i to w jak najkrótszym czasie. Każda ze stron musiała być usatysfakcjonowana.

Na rozpoczęcie sezonu, 18 sierpnia 1921 r., w dziale dramatu była wystawiona sztuka Edmunda Rostanda „Romantyczność” w reżyserii G. Rasińskiego. Recenzenci jednogłośnie ogłosili, że dla sceny lwowskiej nie godzi się w taki sposób otwierać sezonu: „Wypadła bardzo blado i niefortunnie, jakby to naszej scenie przystało”⁵⁶. Na domiar tego wszystkiego wspomniano i o ubiegłym sezonie oraz kierownictwie: „Apele do kierownictwa i reżyserii nie pomogły w zeszłym sezonie, zdaje się nie pomogą i w tym (...). Czytanie tekstu sztuki dostarcza o wiele silniejszych emocji i silniej pobudza wyobraźnię niż stałe niezrozumienie stylu, lekkomyślność przygotowania, ustawiczne zapomnianie roli i szmer spadających peruk w miejskich teatrach”⁵⁷. Powiedzmy szczerze, że najważniejsza chwila w życiu teatru, a mianowicie otwarcie sezonu wypadła źle.

Wcześniejsze niepowodzenie w dziale dramatu nie zraziło dyrekcji i 30 sierpnia na scenie ukazała się dotąd nie grana na scenie lwowskiej, a w tym czasie odnosząca wielkie powodzenie w Wiedniu⁵⁸ komedia Gabrieli Zapolskiej „Kobieta bez skazy” w reżyserii Czarnowskiego, za co gazety od razu podziękowały dyrektorowi: „Wczorajsze przedstawienie pod względem reżyserii było wzorowe i rzadkie na naszej scenie”⁵⁹. Wszakże Czarnowski zabrał się za wyreżyserowanie tej sztuki na prośbę samej autorki⁶⁰. Artykuł w „Gazecie Lwowskiej” podniósł zasługi nie tylko dyrektora, lecz i Wiceprezydenta miasta: „Miasto zrobiło wiele dla podniesienia scen naszych, Wiceprezydent Chlamtacz oddał się całej tej sprawie i gotuje sobie piękne imię w historii podniesienia teatru we Lwowie – dyrektor Czarnowski dokonał, co trzeba przyznać, bardzo dużo (...)”⁶¹. Były oczywiście pewne niedociągnięcia w grze aktorów, lecz nad całością, choć nie była odtwórczynią głównej roli, górowała Irena Trapszo jako Fila. Odtwórczynią głównej roli (Reny) Rasińska nie zdołała przekonać recenzentów, nie mogli bowiem zdecydować się, w którym z aktów gra aktorki była „ze skazą”. Wspomniano i o nowej dekoracji Zygmunta Balka, która była wykonana „w bardzo dobrym tonie i pełna smaku”⁶².

Już w sierpniu 1921 r. pojawiły się w dziale opery zapowiedzi gościnnych występów słynnych śpiewaków oper zagranicznych – tenorów Jana Majewskiego i Aleksandra Wesołowskiego. W tym samym czasie do grona teatralnego przyłączyła się „pozyskana dla opery lwowskiej”

Józefa Zacharska⁶³, która wystąpiła razem z Majewskim w „Aidzie” 24 sierpnia 1921 r. Zainteresowanie tym występem było tym większe, że Majewski był tenorem scen zagranicznych, a Lwów był jego miastem rodzinnym, gdzie stawiał pierwsze kroki w rozwoju swego talentu⁶⁴.

Nowo pozyskani śpiewacy Prawdzic i Wiśniewski zaprezentowali się i „zdali egzamin wstępny” ze szczególnym odznaczeniem⁶⁵. Dzienniki rozpisywały się w pochlebnych recenzjach w stylu „obaj okazali się artystami pierwszej miary – Prawdzic pod względem wokalnym, Wiśniewski pod względem aktorskim i muzykalnym”⁶⁶.

Uroczysta inauguracja sezonu w dziale opery odbyła się w niedzielę 25 września, w dniu otwarcia Targów Wschodnich⁶⁷ i z okazji przyjazdu Naczelnika Państwa Marszałka Józefa Piłsudskiego. Wystawiono operę Stanisława Moniuszki „Halkę”. Według wcześniejszych zapowiedzi przedstawienie musiało się odbyć o 20.30, lecz z powodów niezależnych od dyrekcji przedstawienie rozpoczęło się o 21.15. Po pierwszym akcie publiczność dowiedziała się o zamachu⁶⁸ na Marszałka, który jednak przybył, a publiczność przygotowała mu dłuższą owację wołając „Niech żyje!”. Dołożył wszelkich starań dyrygent Józef Lehrer. Całość wypadła dobrze, również dzięki solistom – Zacharskiej (Halka), Prawdzicowi (Jontek) i Wiśniewskiemu (Janusz). Słabą stroną przedstawienia była inscenizacja: „Rozumiemy, że w obecnych warunkach trudno było się zdobyć na nowe dekoracje, lecz przy dobrej chęci można było więcej uwzględnić wierność stylowych kostiumów”⁶⁹.

Z okazji pobytu we Lwowie rosyjskich tancerzy baletowych Niny Kirsanowej i Aleksandra Fortunata w Teatrze Wielkim zostało wystawione przedstawienie baletowe „Nair” w układzie baletmistrza A. Fortunata, w którym uczestniczyli tancerze lwowskiej sceny. Obok pary obcych tancerzy godne miejsce zajęli główni przedstawiciele baletu lwowskiego – Burkacka, Łozińska i Faliszewski.

Po pierwszych miesiącach, kiedy Czarnowski próbował, z jako takim skutkiem, zachęcić publiczność repertuarem komediowym i „nowościami” zagranicznymi, nastąpił okres dramatu i komedii polskiej. Zapoczątkowało go wznowienie „Śniegu”. W październikowy sobotni wieczór w Teatrze Wielkim odbyło się przedstawienie jubileuszowe poświęcone 30 – letniej pracy twórczej Stanisława Przybyszewskiego, urządzone przez komisję teatralną. Jubilat w ukwieconej łoży oglądał wznowiony dramat „Śnieg”, lecz przedtem wysłuchał o sobie odczyt p. Jakuba Geschwinda wraz z licznie przybyłą publicznością. Wieczór jubileuszowy okazał się dosyć ciekawym nie tylko dla publiczności, lecz i dla jubilata. Recenzent „Słowa Polskiego” nie omieszkął przypomnieć czytelnikom o „nagonce” na wielkiego dramaturga, którą zarządzono we Lwowie przed laty oraz jeszcze o dwóch sprawach, które w każdym razie

były rażące: „Dlaczego na scenie w tej bądź co bądź ważniejszej niż czczenie lada aktora nie zjawił się cały personel, tylko kilka osób, dźwigających okazałe wieńce, tego nie wiem”⁷⁰. Druga kwestia dotyczyła występu wiceprezydenta w osobie dyrektora teatru, który spoglądał na wszystko ze swego miejsca w parterze w towarzystwie komisji teatralnej: „Nie wiedziałem również, że wiceprezydent naszego miasta pan Chlamtacz jest literatem i że napisany przez niego utwór musiał recytować scenie zdziwionemu tym zapewne równie, jak widzowie, jubilatowi, aż dyrektor teatru”⁷¹. Mimo wszystko, Przybyszewski na podziękowanie odpowiedział: „Zostanie po mnie tylko jakichś dziesięć stron, a wyście mi dali serca – tyle”⁷². Recenzent „Chwili” uznał przedstawienie „Śniegu” za najbardziej udane i najlepiej przygotowane w sezonie. Zasluga za to spoczywała w ręku artystów – Barwińskiej, Barwińskiego, Romanówny i Melina. Przybyszewski był tak wzruszony, że w dniu 31 października 1921 roku przysłał Czarnowskiemu list z podziękowaniami: „Dziękuję tak gorąco, jak nigdy jeszcze w życiu nie dziękowałem i usilnie Pana proszę, byś Pan zechciał w moim imieniu dać tym wszystkim artystom, którzy brali udział w „Śniegu” przeświadczenie w mej serdecznej wdzięczności, która nigdy w moim sercu nie wygaśnie, a szczególną radością przepełnia mnie fakt, że z okazji mego niezasłużonego



Budynek Domu Katolickiego przy ul. Gródeckiej – siedziba Teatru Małego (widokówka sprzed 1914 r. z błędnym podpisem – koszary Ferdynanda są niewidoczne, za prezentowanym budynkiem)

„jubileuszu” ukazał się w pełni pięknego blasku istotnie wielki talent p. Romanówny⁷³.

Premiera dramatu Sidneya Garriksa „Kobieta, która zabiła” 9 października 1921 roku w reżyserii Rasińskiego dla lwowskiego widza była czymś nowym, można nazwać szokującym, bowiem po raz pierwszy we Lwowie pojawił się termin „dramat kinowy”. Dziennikarze wszelako próbowali znaleźć jakieś pozytywne strony w amerykańskiej sztuce. Jednogłośnie wypowiedzieli się, że „sztuka ta długo będzie zwabiąca widza”⁷⁴. Bowiem pierwszy raz na scenie miasta Lwów zaproponowano nową metodę dekoracji, polegającą na odrzuceniu kulis i płóciennych plafonów, zastępując je kotarami, lecz w tym wszystkim dało się odczuć nieodpowiedniość, aczkolwiek „wyświetlony we Lwowie obraz był dekoracyjno i reżysersko niewolniczym powtórzeniem krakowskiego przedstawienia, z tą różnicą, że film używany niszczy się i płowieje, do Lwowa zaś przybyła „Kobieta bez skazy!” bardzo zniszczona”⁷⁵. Konserwatywny recenzent „Chwili” wszelako przedstawiał czytelnikom odegrany dramat w ciemnych kolorach, lecz inne dzienniki powitały go dosyć przyjaźnie, pozabawiając premierę mianą banalności.

Sporo młodych artystów mogło zadebiutować na scenie lwowskiej dzięki staraniom dyrektora. Lecz skąd się mógł wziąć ten „narybek aktorski”⁷⁶? Lwów potrzebował ośrodka, w którym mogłyby się kształcić nowe siły aktorskie, zdobywać u dobrych pedagogów wiedzę i tym ośrodkiem stała nowopowstała szkoła dramatyczna. Uroczyste otwarcie szkoły przypadło w dniu 10 października 1921 r. Założycielem szkoły został były dyrektor sceny toruńskiej i reżyser sceny lwowskiej Franciszek Frączkowski. Wykładowcami zostali: dr Eugeniusz Kucharski, Stanisław Wasylewski, dr Mieczysław Treter, Czesław Krzyżanowski, Irena Trapszo, dr Juliusz Balicki, Józef Gawlikowski. W przyszłości niejednokrotnie absolwenci szkoły mogli zadebiutować na deskach teatru, dzięki przychylności dyrekcji oraz staraniom grona pedagogicznego.

Sezon operowy 1921/1922 oficjalnie rozpoczął się w dniu 1 października, w rzeczywistości z dniem 1 sierpnia. Przez prawie cztery miesiące dyrekcji nie udało się w żaden sposób wywołać żywszego zainteresowania publiczności. Przyczyna była oczywista: bezustanne wznowienia jednych i tych samych sztuk, bezustanne zmiany obsady w starych, ciągle granych operach, w żaden sposób nie udawało się też zachęcić samych artystów do skutecznej i produkcyjnej pracy. Jak można było zachęcić widza, gdy nawet głośne wzmianki na afiszach i artykuły w czasopismach o nowej obsadzie nie pomagały. Również gościnne występy znanych śpiewaków, którzy wykonywali partie solowe w tej samej scenerii i obsadzie, nie zapewniały wypełnionej widowni.

Również i w dziale opery nie zabrakło debiutów. Po głośnym rozpoczęciu sezonu operowego, na deskach Teatru Wielkiego zadebiutowała w roli Toski Anda Kitchman⁷⁷. Młoda śpiewaczka zaprezentowała siebie w nowej roli, bowiem dotąd dla lwowian była znana jako dyrygentka, kompozytorka i pianistka. Prasa nie zapomniała pochwalić temperamentu, wysiłku i talentu młodej wykonawczynie, która zaledwie przed rokiem uczęszczała na lekcje śpiewu u zasłużonego pedagoga śpiewu prof. Płomińskiego. Rezultat był widoczny: „Głos wyszkolony umiejętnie, szlachetny w brzmieniu, doskonale opanowany i użyty w każdym momencie, gra sceniczna opracowana w najdrobniejszych szczegółach (...) pozazdrościć by mogła walorów tych niejedna „sławna Toska” debiutantce⁷⁸”.

Powstanie trzech odrębnych widowni pod dobrym kierownictwem wpłynęło bardzo korzystnie na pracę twórczą całego teatru. Każda scena mogła teraz w pełni funkcjonować nie przeszkadzając sobie, umożliwiając przygotowanie jednolitego planu i urzeczywistnienie go. Oczywiście teatr musiał w jakiś sposób egzystować, chociaż olbrzymie trudności sprawiała dyrekcji strona ekonomiczna teatrów, niemal wszystkie dochody pochłaniały wydatki na opał, światło, gaże artystów i personel techniczny. Pomysł dyrektora, aby wprowadzić abonamenty i obniżyć ceny biletów na (niektóre) przedstawienia, zapewnił nie tylko stały dochód, lecz i pewną stabilność w teatrze. Dyrekcja w dzieciach i młodzieży również dostrzegała widza, którego od najmłodszych lat należało kształtować. Czarnowski wychodził z założenia, że teatr ma spełniać misję wychowawczą. Dlatego wprowadzono w obowiązkowy repertuar teatru lwowskiego przedstawienia popołudniowe dla najmłodszych i młodzieży. Wartość biletów również była dostępna, bowiem takie przedstawienia popołudniowe były wystawiane po zniżonych cenach.

Wznowienie „Dziadów” A. Mickiewicza w inscenizacji S. Wyspiańskiego i w reżyserii H. Barwińskiego dla młodzieży było pierwszym krokiem do realizacji wcześniej zapowiedzianego programu. Przedstawienie dla młodzieży powinno się odróżniać, powinno być tak podane, aby tego młodocianego widza zaczarować ukazując mu wszystkie wartości, a jest to zadanie jedno z trudniejszych. Na pierwszym wznowionym przedstawieniu, jak zaznaczą recenzenci, sztuka wypadła dość „nierówno”. Zapomnieli, bowiem dorośli, że przedstawienie było przeznaczone dla młodzieży i wątek wizji w misteryjnym utworze znalazł się na pierwszym planie. Rozgraniczenie świata duchów i wątku realistycznego nie wyzyskano na pierwszym miejscu. Dzieło wystawiono porządnie i sumiennie, kierując cały wysiłek na staranne odtworzenie sztuki, lecz cały wysiłek skierowano nie do samodzielnego ujęcia wznowionej sztuki, nie odstąpiono od wcześniejszej inscenizacji i reży-

serii. Jedną z przyczyn, którą podkreślił Stanisław Majkowski, recenzent „Słowa Polskiego”, był brak wykwalifikowanych aktorów, którzy pozostawili podczas wojny swoje miejsca pracy, nie tylko we Lwowie: „Na aktora, któryby udźwignął na sobie ciężar skomplikowany obu bohaterów mickiewiczowskiego poematu, nie stać dziś nie tylko lwowskiej sceny. Pomarli już lub poszli na emerytury najwięksi z teatralnych Gustawów-Konradów”⁷⁹. Przed publicznością lwowską w „Dziadach” wystąpiło dwóch nowych aktorów dublujących rolę Gustawa-Konrada: Peliński i Tański.

W krótkim czasie przygotowano cały szereg nowych sztuk, zarówno oryginalnych, których widz lwowski dotychczas nie oglądał, jak i wznowień. Teatr Nowości od chwili otwarcia prezentował na swej scenie już czwartą premierę⁸⁰, pomijając dwa wznowienia. Lecz nadal pozostawał problem dotarcia do samego gmachu, który mieścił się w pobliżu Teatru Wielkiego. Wcześniejsze zapewnienia radnych miasta w sprawie doprowadzenia linii tramwajowej i wyłożeniu bruku, nadal nie były zrealizowane. Utrudnienia polegały również i na słabym oświetleniu ulicy w handlowo-przemysłowej dzielnicy miasta, przez co cierpiała nie tylko publiczność, ale i sam teatr. Bowiem już niejednokrotnie na przedstawieniach, zamiast wypełnionej widowni, nawet na premierach, sala była zapełniona do połowy. W gmachu Nowości zagościła Muza operetki, ale jakim kosztem. 29 listopada 1921 roku widz bawił się na operetce „Ostatni walc”, do której muzykę napisał Oskar Strauss, w reżyserii Tatrzańskiego. Kierownictwo tym razem nie spodziewało się takiego zainteresowania i nie przygotowało odpowiedniej ilości programów, jednak bilety zostały wyprzedane. Sporo tańców wprowadził reżyser, przez co przedłużył sztukę do godziny 23. Tańce na premierze były reprezentowane przez balet pod kierownictwem Faliszewskiego oraz gości z rosyjskiego baletu: Kirsanową i Fortunata. Były pewne zastrzeżenia, co do orkiestry pod batutą Stadlera: „Śpiewaków orkiestra w żadnym wypadku nie śmie tak przygłuszać, aby jedynie po ruchu ust można było się domyśleć, że się na scenie śpiewa”⁸¹. Całość wypadła dość starannie, choć recenzent „Słowa Polskiego” zaznaczył: „Wystawiono przedwcześnie – epizody nie były należycie przygotowane i zgrane, pamięć opuszczała wykonawców, co chwila”⁸². Sztuka później była jeszcze niejednokrotnie grana.

Wśród wznowień znalazła też się sztuka Gabrieli Zapolskiej „Ahasver” (Mężczyzna), wystawiona tym razem w Teatrze Małym 12 grudnia 1921 r. W roli Elki na deskach teatru lwowskiego debiutowała Felicja Kronowska, którą pochwalono nie tylko za dobre wykonanie roli, lecz i za realizm gry aktorskiej: „Widywałem już nieraz debiutantki wyskakujące z głowy różnych teatralnych Jowiszów w pełnej zbroi,

w zbroi niestety zanadto widocznie odziedziczonej po tych ojcach. Do samej siebie podobna, prosta, szczerą, przytomną na scenie stale, (...) której oby się najlepiej na scenie działo, bo na to w całej pełni zasługuje”⁸³. Mimo drobnych technicznych usterek licznie zebrani widzowie z przyjemnością oglądali przedstawienie.

17 grudnia 1921 roku po ciężko przebytej chorobie umiera Gabriela Zapolska. Teatr i miasto pogrążają się w smutku. Dwa dni po śmierci pisarki w Sali Teatru Wielkiego dyrektor, jako dobry przyjaciel zmarłej, zorganizował „uroczyste żałobne posiedzenie”, na którym byli obecni aktorzy ze wszystkich teatrów miejskich. Na pogrzeb 22 grudnia licznie przybyli artyści sceny lwowskiej, delegacje teatrów warszawskich i krakowskich, członkowie Związku artystów sceny we Lwowie, Warszawie i Krakowie, reprezentacja Rady miejskiej, przedstawiciele prasy, sztuki i literatury oraz wielu przedstawicieli instytucji kulturalnych i oświatowych. Lwów żegnał zasłużoną pisarkę. Pogrzeb urządzono na koszt miasta. Po nabożeństwie artyści sceny miejskiej na swych barkach przenieśli trumnę z kościoła OO. Bernardynów pod teatr. Orkiestra teatralna na tarasie teatru odegrała żałobny marsz Chopina, a chóry teatralne wykonały żałobne utwory. Po ostatnich akordach zebrani usłyszeli przemówienie dyrektora teatrów miejskich L. Czarnowskiego („Zapolska była fenomenem w dziejach literatury, nie tylko naszej, ale ogólnopolskiej”) i reżysera H. Barwińskiego⁸⁴. Wszystkie gazety relacjonowały wszystko, co się w te dni odbywało w mieście. Jeden z dziennikarzy „Słowa Polskiego” napisał kilka dni przed pogrzebem tak:

„Odeszła z pośród nas ta staruszka, której starości nikt nigdy nie oglądał i ta „lwica” niegdyś o rdzawej grzywie i czarnych, przemądrych oczach. „A zresztą to wszystko furda” – mówiła o młodości niewiernej, kiedy ostatni raz siedziałem z nią w przyćmionym, przez chorobę, nawiedzonym pokoju. „Za to zostanie po mnie dosyć”. Zostanie więcej niż dosyć”⁸⁵.

21 grudnia 1921 r., Lwów po raz pierwszy obejrzał część dramatycznej trylogii Edwina Jędrkiewicza „Czerwony młyn”. Autor sztuki, na zaproszenie dyrekcji, przybył na premierę do Teatru Wielkiego, gdzie publiczność głośnymi oklaskami niejednokrotnie wywoływała na scenę dramaturga i artystów. Nieunikniony żywioł wody i miłości górują w dramacie, dwa wątki mocno przeplatają się i wzajemnie zaprzeczają swej żywiołowości. Na tym tle powstaje nienawiść i ludzkie współczucie. Symbolizm górował na scenie. Trudnego zadania podjął się reżyser wystawiając na lwowskiej scenie taką sztukę, ale mu podołał, również i wykonawcy. Lecz recenzenci znaleźli pewne niedociągnięcia, chociażby w nieodpowiednim osadzeniu w roli Leśniczego aktora Romana⁸⁶.

Trzykrotnie Teatr miejski pod koniec 1921 r. urządzał dla najmłodszych „Święto dzieci”, sala przez trzy dni do ostatniego miejsca była

wypełniona (bilety do ostatniego były sprzedane). Tym razem inicjatorem i pomysłodawcą był prof. Lesław Jaworski, w reżyserii pomagali Okornicki i Łozińska, artyści dramatyczni. „Okazuje się bowiem, że dobra wola, duch inicjatywy i przywiązania do idei zdziałać może cuda – w dosłownym znaczeniu cuda, jeśli się uwzględni wszelkie przeszkody i trudności, jakie na tej drodze pokonać i usunąć wypada”⁸⁷. Środki finansowe, których zawsze brakowało, również i brak nowych dekoracji nie były przeszkodą dla reżyserii, same dzieci, uczniowie szkoły baletowej, według pomysłowości Okornickiego, uczestniczyły w przedstawieniu baśni Andersena.

Problem upadku opery w dwudziestoleciu międzywojennym nie był obcy i innym miastom. Opera wymagała nakładu dużych kosztów, których miasto i zwolennicy nie mogli zapewnić. Nie pomagały nawet pożyczki lub zasiłki pieniężne z budżetu państwa. „Trudno też było myśleć o nowych formach inscenizacyjnych w operze, o problemach nowoczesnego aktorstwa operowego. Przeważnie śpiewacy wykonywali swoje solowe popisy, chórzyści niezdarnie podnosili i opuszczali ręce i kiwali głowami w takt, ale nie do sensu. Kilka spektakli ciekawszych i ożywionych nowatorską myślą nie czyniło wiosny”⁸⁸. I tak działo się w każdym polskim teatrze. Podupadająca opera i jej zwolennicy 13 stycznia 1922 r. doczekali się nareszcie wystawienia na deskach Teatru Wielkiego opery Ryszarda Wagnera „Tannhauser” w reżyserii Adama Okońskiego. W gazetach miejskich nazwano to wystawienie „punktem kulminacyjnym sezonu”⁸⁹. Partię tytułową świetnie wykonał Michał Prawdźic, w pełni przedstawiając siłę swej umiejętności władania „szlachetnym” tenorowym głosem i grą aktorską. Natomiast recenzent „Chwili”, będąc na trzecim przedstawieniu, w odniesieniu do gry Prawdźica napisał tak: „Artysta ten, obdarzony pięknym głosem nie nadaje się na razie jeszcze do odtwarzania postaci Wagnerowskich bohaterów, gdyż z postaciami ich trzeba się w zupełności zżyć, a samo mniej lub więcej poprawne odśpiewanie przepisanych melodii nie wystarcza”⁹⁰. Partie kobiece odśpiewały bardzo starannie i z pełną ekspresją Platówna (Elżbieta) i Green (Wenus). W mniejszych partiach wystąpili Lipowska, Horner, Okoński, Łowczyński, Martini, Huss i Jeleński.

Kolejną nowością w Teatrze Wielkim było wystawienie dramatu „Hieroglify” K.T. Słomskiego, na którą był zaproszony autor (12.01.1922). Publiczność nowość przyjęła rozmaicie, „w każdym razie byli i tacy, którzy rzecz oklaskiwali a autora wywoływali; widocznie im się podobała”⁹¹. Ciekawa rzecz się wydarzyła na tym przedstawieniu, bowiem ukazał się w pewnym momencie podczas burzy cień pięści maszynisty teatralnego, który został odebrany przez recenzenta „Wieku Nowego” i część widzów, jako „wielka figa pokazana publiczności od

strony tzw. „efektów scenicznych” w teatrze lwowskim⁹². Aktorzy zagraли dobrze, niemniej „Słowo Polskie” nazwało dramat „przedstawieniem zbyt cennym”⁹³. Utwór trzykrotnie jeszcze się ukazał, lecz nie spowodował wielkiego zaciekawienia u widza.

O Lwowie i jego teatrach znów zaczęto mówić w Polsce, po artykułach w „Nowej Reformie” i „Gazecie Wileńskiej” ukazał się wywiad w gazecie lwowskiej („Wiek Nowy”) z dnia 22 stycznia 1922 r., w którym Czarnowski opisał stan faktyczny teatru i stan, w którym go zastał po objęciu posady dyrektora teatrów miejskich: „Siedem lat trwająca wojna, zniszczyła prawie doszczętnie wszystko to, co teatr lwowski posiadał. Zastaliśmy zdewastowane garderoby i dekoracje, brak rekwizytów i najniezbędniejszych rzeczy; wszystko to trzeba było powoli na nowo sprawić”⁹⁴. Po kilku miesiącach ciężkiej a jednocześnie owocnej pracy dyrekcja mogła poszczycić się wieloma zasługami od strony technicznej – oprócz otwarcia dwóch dodatkowych teatrów, w dziale dramatu i komedii w krótkim czasie zostały wystawione następujące przedstawienia: „Romantyczni”, „Kaligula”, „Kobieta, bez skazy”, „Dziady”, „Śnieg”, „Burmistrz Stylmondu”, „Krąg interesów”, „Niebieski lis”, „Nora”, „Zakochani”, „Ten trzeci”, „Ahasver”, „Roztwór Prof. Pytla”, „Kobieta, która zabiła”, „Nina”, „Czerwony młyn”, „Hieroglify”; w operetce były odegrane: „Hrabianka Foxtrotta”, „Dziewczę z Holandii”, „Taniec szczęścia”, „Ostatni walc”, „Dookoła miłości”, „Czar munduru”, „Hiszpański słownik”, „Róża Stambułu”. Pojawiło się pytanie dotyczące sensu istnienia opery. Lwowska opera nie otrzymywała dotacji państwowych, jak Warszawa lub Poznań, dlatego musiała funkcjonować o własnych siłach, często zapraszając na gościnne występy znanych śpiewaków⁹⁵ w pierwszych miesiącach dyrekcji Czarnowskiego. W wywiadzie dla „Wieku Nowego” Czarnowski rozwił krążące plotki na temat milionowych długów, 19 – milionowego zadłużenia teatru, spowodowanego jego zarządzaniem (za jego dyrekcji). Faktycznie zadłużenie wobec miasta za utrzymanie i eksploatację teatru wynosiło 3 miliony, co było spowodowane jeszcze przez poprzedników. Dyrekcja wszelako próbowała zwiększyć dochody, wprowadzając abonamenty i 30 procentowe zniżki w Teatrze Wielkim, natomiast w nowo otwartych Teatrach Małym i Nowości, zniżek nie mogło być, bowiem ceny były bardzo niskie – za 5-osobową lożę w Teatrze Małym płacono 1500 marek⁹⁶. Wprowadzenie obowiązkowych popołudniowych przedstawień dla młodzieży i dzieci należy również zaliczyć do niewątpliwych zasług dyrekcji. Innowacja teatru polegała również na pewnego rodzaju jego promocji (reklamie): w tym czasie zostało powołane do istnienia dostępne dla wszystkich „Życie Teatralne”, w którym publiczność mogła znaleźć różnego rodzaju wiadomości o teatrze, co stanowiło zajmującą lekturę. Tego rodzaju

przedsięwzięcia zapewniały stały dochód miejskim teatrom. Pomimo wszystkich tych poczynań potrzebował wsparcia, a czy mógł go oczekiwać w osobach rządzących tym miastem, a także i teatrem?

Jeden ze współpracowników „Życia Teatralnego” w „Interwiew z samym sobą” w sposób żartobliwy podał niezawodne rozwiązanie problemów, tak artystycznych jak i finansowych: „Powinno się złączyć teatr z rzeźnią, szpitalem, oprawcą miejskim i zakładem pogrzebowym, wszystkie, bowiem mają w sobie wiele pierwiastku dramatycznego. Autorom zaś i aktorom nadać godność podurzędników, lecz z obowiązkiem odbycia praktyki we wszystkich wspomnianych instytucjach. Nabiorą w nich wiele ciekawych obserwacji i doświadczeń. Teatr winien bardziej zespolić się z życiem, a sztuka stać się przystępniejszą dla szerszego ogółu”⁹⁷.

Po niespełna roku pracy nowego dyrektora Magistrat w lutym 1922 r. wystosował do Czarnowskiego list z podziękowaniami za dotychczasową pracę: „Komisja Teatralna po przeprowadzeniu dyskusji nad wynikami pracy obecnego Kierownika teatrów miejskich uznaje, że p. Dyrektor Ludwik Czarnowski położył dotychczas swoją energię z dużym zmysłem organizacyjnym dla naszych teatrów poważne zasługi”⁹⁸. Ale to nie zmieniło faktu, że poprzednio w „Kurierze Powszechnym” została zamieszczona w wierszu karykatura dyrekcji i teatru:

Teatr śpiewa:
Pomniejszam dawne chwaly
Pomniejszam dachy, belki
I jestem cały mały,
Odkąd się zowie „Wielki”.
„Pytlem” – Em jest rozigran
„Kobietą, co zabiła”:
Tak kocham swój filigran,
Ma małość mi tak miła.
Za duże mi Hellery,
Ta duże nawet Tyczki,
Dyrektor mój jest – tyci
I tycie są krytyczki.
Nie tykać wielkich cieni,
Gdy życie nie jest tycie,
Gdy się ... Schröderem pieni
A wielkość mą – kieszeni
Me „Teatralne Życie”⁹⁹.

Następny gość, światowej sławy, rosyjski śpiewak operowy – Borys Popow, choć niejednokrotnie wystawiano „Carmen”, mógł liczyć na zain-

teresowanie lwowskiej publiczności. Jego specjalnością, oprócz silnego głosu i urzekającego wyglądu była gra sceniczna. Atrakcyjne przedstawienie było wzbogacone tańcami w wykonaniu Kirsanowej i Fortunata¹⁰⁰.

Na następnych gości w dziale opery czekano niedługo. Już pod koniec stycznia rozpoczęła występy Stanisława Korwin-Szymanowska. Zabłysnęła z pełnią wdzięku w „Traviacie”, „Rigoletto” i „Pajacach”. Zaletą kreowanych przez nią ról było nie tylko umiejętne odśpiewanie swojej partii, lecz także stworzenie postaci scenicznej, wiarygodnej, a jednocześnie doskonałej. Wielokrotnie grana, nawet do przesytu „Traviata”, nie była przeszkodą, aby zasłużyć na najwyższe słowa uznania ze strony publiczności i recenzentów: „Artystka ta zasługuje na najwyższe pochwały, gdyż śpiewała bardzo pięknie i potrafiła tak trafnie odtworzyć postać nieszczęśliwej Violetty Valery, że ujęła sobie serca wszystkich słuchaczy”¹⁰¹. W „Rigoletto” kreowała postać Gildy, towarzyszył jej August Wiśniewski odtwarzając partię głównego bohatera, a w „Pajacach” partię Neddy. Znaną jest rzeczą, że występy znakomitych gości przyczyniły się w znacznym stopniu do podniesienia poziomu artystycznego, w tym przypadku przedstawień operowych i to nie tylko z powodu specjalnych kwalifikacji i zalet gości, lecz także dlatego, że „domowi” artyści, chcąc dorównać gościom starali się dać z siebie wszystko to, co najlepsze. Owszem, takie występy pozytywnie wpływały na „osłabioną” lwowską operę, lecz już nie dorównywały temu, z czego niegdyś słynęła scena lwowska.

Po długich przygotowaniach na deskach Teatru Małego wznowiono dramat H. Ibsena „Norę”. Wznowienie nie odniosło spodziewanego wrażenia, wypadło starannie, lecz brakowało pewnej symbiozy między aktorami a widzem. Całość uratowała gra Łąckiej-Pawłowskiej w roli tytułowej – „artystki czującej jeszcze, że postać sceniczna to nie martwy szablon, ale drgająca wzmocnionym życiem dusza”¹⁰², lecz wystawienie ibsenowskiego dzieła nazwano „upadkiem stylu poważnej sztuki”¹⁰³. Reżyserski pomysł wprowadzenia najmłodszych aktorów był genialny. Najmłodsza aktorka miała dwa latka, co było bardzo urocze – „samym pojawieniem się swoim omal, nie wywołała oklasków przy otwartej scenie”¹⁰⁴. Mimo wszelakich uchybień i usterek, publiczność z przyjemnością oglądała dramat aż 12 razy w tym sezonie.

Specjalną opieką dyr. Czarnowski otaczał przedstawienia dla młodzieży. Zmierzał w kierunku edukacji młodzieży, poprzez zapoznanie jej ze sztuką narodową i arcydziełami sztuki obcej, krzepiąc w młodych duszach kult teatru i sztuki. Nie zawsze to się udawało, choć wniosłe były tego przesłanki i teatr był przepełniony, jak to się działo na wznowionej sztuce „Powrót posła” J.U.Niemcewicza, którą wystawiano w tym sezonie pięć razy, to wielkiego rozgłosu i odpowiedniego celu nie osiągnęło. W „Wieku Nowym” nazwano wznowienie „fatalnym”, przyz-

nając jednocześnie, że przedstawienia dla młodzieży były wystawiane pod wieloma względami staranniej, aniżeli wcześniej, zarzucano inscenizacji pewne braki „osi krystalizacyjnej”: „Rzecz kończy się zatem nie kształtem krystalicznym, ale galareta, która zniechęca i ludzi do teatru i ludzi pracujących w teatrze”¹⁰⁵. Nie zważając na taką opinię Miejska Komisja teatralna, na kolejnym posiedzeniu, wyraziła słowa uznania dla dyrekcji za staranne wystawienie sztuk popołudniowych dla młodzieży, śmiało zaznaczając, że „takimi przedstawieniami dla młodzieży jedynie Lwów poszczycić się może”¹⁰⁶.

Więcej zainteresowania wzbudziła premiera w Teatrze Małym farsy „Kłopoty p. Złotopolskiego” znanego lwowskiego poety Henryka Zbierzchowskiego w reżyserii Gustawa Rasińskiego, chociaż recenzenci jednogłośnie orzekli, że dane dzieło „nie jest zakrojone na teatr, nawet nie na scenę hołdującej bardzo lekkiej muzyce”¹⁰⁷ oraz że jest to „Płochy utwór, najeżony dowcipami, wzbudzającymi raz po raz wybuchy wesołości, który nie można poddać szczegółowej analizie”¹⁰⁸. Powstało również pytanie do dyrekcji, czy wybór był trafny, aczkolwiek „Autorzy podobnych sztuk powinni być karani pisaniem autoreferatów o swoich arcydziełach, kara ta powinna spotkać p. Zbierzchowskiego, także za jego równie, co i farsa banalny koncept, że do recenzji biorą się ludzie, którzy sami fars skleić nie umieją”¹⁰⁹. Jednak taka opinia nie zaważyła na zainteresowaniu publiczności. Z powodu dużego zaciekawienia sztukę grano codziennie w przeciągu dwóch tygodni, publiczność była „serdecznie rozbawioną”¹¹⁰.

Teatr dosyć często wystawiał sztuki G. Zapolskiej, a po jej śmierci w celu uczczenia świetności jej dzieł dyrekcja zaproponowała wprowadzić szereg uroczystych spektakli „mających być wonną ofiarą, składaną jej duchowi twórczemu”¹¹¹. Pierwszą wystawiono sztukę „Carewicz”. Choć już wcześniej ją niejednokrotnie grano, nawet w tym samym składzie, wznowienie przypominało zaledwie blade widmo dawnych czasów świetności sceny lwowskiej, całość jednak wypadła „płynnie”, jak zaznaczy recenzent „Słowa Polskiego”¹¹², jak na małą ilość przeprowadzonych prób, poświęconych na przygotowanie tej teatralnej uroczystości. Po pierwszym akcie wygłosił odczyt Stanisław Majkowski o zasługach pisarki dla scen polskich¹¹³.

Kolejną wznowioną sztuką G. Zapolskiej była „tragedia ludzi głupich” „Ich czworo” w reżyserii L. Czarnowskiego. Staranność wyczuwano w każdym elemencie, za co dziękowano z całego serca dyrekcji i artystom: „Od lat już nie pamiętam, tak jednolicie, w nastroju całości i w szczegółach starannie opracowanego widowiska, (...) tylko tego rodzaju praca i staranność, jakie zaprezentowano zostały w „Ich czworo” mogłyby autorytet sceny lwowskiej podnieść na nowo”¹¹⁴.

Nowe sztuki i premiery pozostawały w sferze „marzeń”, do wystawienia, których potrzebny był ogromny wysiłek. Czego mogła oczekiwać publiczność i czym faktycznie mogłaby ją zaciekawić scena, jeżeli „łatwiej grać na nerwach widzów, niż na strunach duszy”¹¹⁵, jak zaznaczy w aforyzmach teatralnych dziennikarz „Życia Teatralnego”.

W tym czasie zazwyczaj na scenie odbywały się wznowienia. Do końca sezonu jeszcze wznowiono w dziele dramatu: „Dzieje salonu” K. Wroczyńskiego, „Czysty interes” S. Kiedrzyńskiego, „Kobietę bez skazy” G. Zapolskiej, „Kontrolę sypialnych wagonów” A. Bissona.

„Staggione operowe”¹¹⁶ przedłużało się, żeby scena operowa mogła przyciągnąć publiczność potrzebny był „wabik”. Tym razem na gościa czekano niedługo, pod koniec lutego do Lwowa zawitał Włodzimierz Kaczmarski, który niegdyś karierę śpiewaka rozpoczynał na deskach opery lwowskiej¹¹⁷. Wystąpił w partiach głównych w „Żydówce” (Brogni) i „Fauście” (Mefisto). Kaczmarski zaczarował widownię nie tylko zewnętrznymi atutami, zaprezentował „prawdziwie piękny głos o doskonałe postawionej średnicy i górze, wyraźną dykcję, wielką staranność w egzekwowaniu śpiewu, czysty, silny ton, słowem dużo kwalifikacji”¹¹⁸. Najważniejszy cel został osiągnięty, publiczność przybyła licznie i bawiła się doskonale: „Zupełny i nieklamany sukces towarzyszył występom W. Kaczmarskiego”¹¹⁹. Obsada obu przedstawień nie uległa zasadniczej zmianie, ale w „Żydówce” wystąpiła dawno nie widziana na scenie p. Szenderowiczowa (Ks. Eudoksja)¹²⁰.

W 400 rocznicę urodzin francuskiego pisarza J. B. Moliera Teatr Wielki wystawił komedię – „Szkola żon”. W ten wieczór publiczność po wysłuchaniu wykładu prof. Zygmunta Czernego o wielkim komediopisarzu dała się porwać lekkiej komedii. Recenzenci w sądach się podzielili, choć dostrzegli zasługi reżysera i aktorów, ich staranność i pewnego rodzaju „niemoc”, jednak doszli do wspólnego wniosku: „Wywiązała się scena lwowska z zadania swojego nienajgorzej, jeżeli w tym sądzie uwzględnimy jej i tak za często przypominane braki”¹²¹. Choć „przedstawieniu lwowskiemu brak było komediowej lekkości i płynności”¹²², to publiczność po raz kolejny bawiła się doskonale.

W tym samym czasie w Teatrze Nowości doczekano się nowych sztuk, była to operetka „Miliarderzy” z muzyką Ernesta Stefana w reżyserii Tatrzanańskiego. Akcja przepojona zachodnimi rytmemi i milionowymi kwotami oczarowała publiczność, nie wspominając o nowych dekoracjach w wykonaniu Balka i Polityńskiego, których wreszcie doczekał się ten teatr. Również postarała się i orkiestra, która z każdym przedstawieniem, mimo wszelakich niedociągnięć „stanęła na wysokości swego zadania w całej pełni”¹²³, choć czasami zagłuszała wykonawców, co działo się niejednokrotnie.



Teatr Nowości

Wreszcie scena operowa doczekała się premiery. Dzieło Eugeniusza d'Alberta „Zamarłe oczy” w reżyserii Okońskiego i pod batutą Józefa Lelirera wystawiono 10 marca 1922 r. W przedstawieniu brały udział najlepsze głosy sceny lwowskiej, jak: Platówna, Cyganik, Lipowska, Green, Prawdźic, Horner, Łowczyński, Niedzielski, Smigiewska, Rinas, Ostrowska, Higlerówna, Jeleński, Husa, Szymański, Balewicz, Lubicz i Krochmalnicka. Na plan pierwszy wysunął się z pośród grona wykonawców Romuald Cyganik, który „bardzo trudną rolę Arcesiusa rozwiązał i głosowo i pod względem gry scenicznej w sposób dający pole relacjonującemu do wypowiedzenia szczerej pochwały”¹²⁴. Na każdym kroku odczuwało się staranność i dokładność, nawet w drobnych szczegółach. Musiały też paść słowa złośliwej uwagi, jak zaznaczył recenzent „Chwili”: „Reżyseria nie wyczerpała wszystkich możliwości, których opera ta nastrecza całe mnóstwo”¹²⁵, na to nie zważano, bowiem publiczność doceniła staranność nowej opery i przybyła licznie. Efekty świetlne i nowe dekoracje wykonane w pracowni Balka zaczarowały publiczność. Jakże by nie były elementy dekoracyjne i staranność wykonania, publiczność może nie odnieść tego wrażenia, jeśli nie jest dobrze odtworzone dzieło. Premiera była uwieczniona powodzeniem, głównie dzięki temu, że poświęcono jej dużą ilość prób, podobno około 60. Dyrekcja teatrów za wystawienie nowej opery uzyskała wszelakie słowa uznania: „Już sam fakt wystawienia „Zamarłych oczu” jest godzien pochwały, która nabiera tym większej intensywności, że wykonanie odpowiadało na ogół istotnym wymogom”¹²⁶.

Pierwsza polska premiera dramatu jugosłowiańskiego „O skibę” pisarza Josipa Kosora w tłumaczeniu znanego krytyka i literata J. Geszwinda odbyła się dnia 16 marca 1922 roku w Teatrze Wielkim. Odwieczna walka dobra i zła toczy się w chłopskiej chacie, chłop chłopu zaoruje skiby, ten skarży do sądu, winny i skazany podpala z zemsty oskarżyciela, przy tym między synami obu ma miejsce starcie o dziewczynę. Tu nie chodzi o zwykły spór chłopski, co bardzo dokładnie wyczuł i przedstawił reżyser Henryk Barwiński. Spór o skibę ziemi między dobrym Skuliczem a złym Guszą jest tylko uogólnieniem stosunków ludzkich, stosunków w społeczeństwie i stosunków międzynarodowych. Aktorzy dzięki trafnym wskazówkom reżysera spisali się nadzwyczaj dobrze. Wśród aktorów na pierwszy plan, jak wynika z recenzji „Słowa Polskiego” i „Chwili”, wybili się Szkudelski i Justian. Główne role odegrali: Pillerowa, Rychterówna, Adwentowiczowa, Niemirycz, Wrońska, Dębicka, Barwiński, Justian, Hierowski, Szkudelski, Roman, Zbrojewski, Helski, Kowalski, Sarnowski, Czaki, Larewicz. Wystawienie było nie tylko sukcesem aktorskim, lecz również dekoratorskim. Dekoracje namalowane przez Balka i Polityńskiego pomagały w zrozu-

mieniu i stworzeniu odpowiedniego wiejskiego nastroju. Scenografia była żywa i urozmaicona, przedstawiająca: oryginalne, wiejskie, żywe obrazy, na scenę nawet zostały wprowadzone zwierzęta¹²⁷. Było to dosyć popularne przedstawienie, na które często uczęszczano, bo w sezonie 1922/23 zagrano je 16 razy i za każdym razem publiczność przybywała licznie. Za świetne wystawienie dramatu Kosora Dyrekcja otrzymała od ministerstwa oświaty w Zagrzebiu obszerne pismo z podziękowaniem¹²⁸.

24 marca 1922 r. Teatr Wielki wypełnił się po brzegi, bowiem uroczyste obchodzono 35 – lecie działalności scenicznej zasłużonej artystki sceny lwowskiej Ireny Trapszo-Chodowieckiej, wystawiając sztukę „Nasi najserdeczniejsi” V. Saudou. W tej komedii kreowała jedną z najlepszych swych ról – Cecylii Causade. W czasie przerwy między pierwszym a drugim aktem odbyła się uroczystość. Teatr był pięknie udekorowany kwiatami, na scenę przybraną dużą ilością kwiatów w towarzystwie dyr. Czarnowskiego i sekretarza Schödera została wprowadzona Jubilatka. Jako pierwszy w imieniu teatru przemówił dyrektor, podkreślając zasługi artystki, albowiem „wytrwała na scenie składając w ofierze samą siebie”, będąc zawsze jej wierna, gdyż nie opuściła sceny nawet w najcięższych momentach, gdy grady kul padały na miasto „teatr kochała i była posłuszną, gdyż nie zawahała się przed żadną rolą i przed żadnym zleceniem, czy miała grać we Lwowie, Wiedniu, Pradze czy Paryżu”¹²⁹. W imieniu Związku artystów scen polskich prezes filii lwowskiej Okoński wręczył Jubilatce srebrny wieniec za zasługi i wkład w rozwój teatru, bowiem „Od czasów Hellera prawie nie było na scenie lwowskiej komedii, ani dramatu, w którym Trapszo nie występowała”¹³⁰. Później było jeszcze mnóstwo przemówień i życzeń, przez co przedstawienie przeciągnęło się prawie do północy. W wywiadzie dla „Słowa Polskiego” Jubilatka przyznaje, że jedyną miłością, która jej nigdy nie zawiodła była scena: „Zatraciłam się w niej, ale nic a nic nie żałuję. Czyż ona tego nie warta?”¹³¹.

Po raz pierwszy w tym sezonie został zorganizowany w Teatrze Wielkim wieczór baletowy. Zespół baletowy wraz z gośćmi Niną Kirsanową i Aleksandrem Fortunatą zaprezentował publiczności „Sen Arlekina”, Divertissement baletowe i akt z Fausta Gounoda „Noc Walpurgii”. Krytyk „Wieku Nowego” Lesław Jaworski nie szczędził pochwał, tak dla zespołu jak i dla gości. Teatr również stanął na wysokości, wszystko razem stwarzało niezapomniany efekt: „Rzucone na dobrze dobrane tło (zwraca uwagę szczególnie dekoracja do baletu Gounoda, pomyślana bardzo starannie i dająca potrzebną przestrzeń), podkreślone ładnymi świetlnymi efektami, wszelkie produkcje taneczne pomysłu Faliszewskiego i Fortunaty, zyskały aplauz publiczności”¹³².

Pod koniec kwietnia w gazetach ukazały się notatki, dotyczące konfliktu między Komisją Teatralną a Związkiem Artystów Scen Polskich

w sprawie podwyżki gaży. Artyści żądali podwyżki, grożąc strajkiem, na co oczywiście radni w żaden sposób nie chcieli się zgodzić. Czarnowski znalazł się pomiędzy dwoma ogniami. Obiecaną podwyżkę pracownicy teatru otrzymali, lecz nie w takiej wysokości, jakiej żądali.

Na kolejnego gościa publiczność czekała z niecierpliwością. Zawitał znany artysta scen polskich, „najjaśniejsza gwiazda na firmamencie polskiej sztuki teatralnej”¹³³ – Mieczysław Frenkiel. Na początku maja komedią „Grube ryby” Michała Bałuckiego zaczął występy artysta celujący w rolach ludzi poczciwych, jowialnych, urzekających swą prostotą. Było faktycznie zagadką, wieczną tajemnicą, jak taki aktor o niezbyt przyciągającym wyglądem i geście mógł zaczarować publiczność? Odpowiedź tkwi w samej postaci artysty, w jego szlachetności i „żołnierskości”, w nim samym: „Postać jego, gest, sposób poruszania się, bezpośredniość całej zewnętrznej ekspresji przy zupełnym braku skomplikowania, dowodzi tego niezbitcie. A uczuciowość jego, zabarwiająca tak silnie każdą kreację sceniczną, skupia się na elementach najprostszych i przez prostotę swą przemawiających do uczuciowości widza”¹³⁴. W takiej postaci ukazał się widzom kreując rolę Wistowskiego. Krytyk „Chwili” opisał wieczór w następujący sposób: „Siedzieliśmy na tym rozpromienionym przedstawieniu i podziwialiśmy genialnego artystę, który nie tylko każdym gestem, słowem, ruchem, mimiką dawał nam skończoność, doskonałość sztuki aktorskiej, – ale przy tym był istotnym reżyserem przedstawienia, tempem i serdecznością swej gry niewolił i nadawał tempo, krzesał lekkość sytuacji, przepajał treścią swych partnerów, podnosił ich i uszlachetniał”¹³⁵. W ten wieczór na scenie, w roli staruszka Ciaputkiewicza, pojawił się i dyrektor: „Jego postać przeznaczonego i przemilego staruszka – była w istocie godna stanąć obok Frenkla – Wistowskiego”¹³⁶. Lwów witał aktora bardzo serdecznie, czego dowodem był brak miejsc na widowni na wszystkich przedstawieniach z jego udziałem.

Analogiczna sytuacja miała miejsce przy okazji wystawienia komedii „Wierna kochanka” Mieczysława Fijałkowskiego w reżyserii Kazimierza Okornickiego, którą nie tak dawno (27.04.1922) wprowadził teatr lwowski do swego repertuaru. Na pięknie udekorowanej scenie w dniu premiery „artyści, mając wdzięczne pole do popisu, wywiązali się ze swego zadania bez zarzutu i grali z dużym rozmachem”¹³⁷, tak było i w przedstawieniu, gdy to Frenkiel kreował rolę majora: „To jeszcze jedno mistrzowskie dzieło, olśniewające blaskiem prostoty i szczerości, jeszcze jeden dar artysty z niewyczerpanej krynicy tego wielkiego talentu”¹³⁸.

Inaczej było z komedią A. Fredry „Pan Geldhab”, choć Frenkiel grał znakomicie, to przyczyną porażki był „śmiertelny z dawien dawna grzech teatru lwowskie niedawanie sobie rady z wierszem, nie omieszał

zaznaczyć się znowu ze zwykłą dosadnością¹³⁹. Nie tylko to zaważyło na porażce zespołu lwowskiego, lecz przede wszystkim nieodpowiednie obsadzenie ról, brak tempu i żywości nazwano „pastwieniem się nad widzom”¹⁴⁰.

Przed wyjazdem artysty Prezydium miasta i Dyrekcja teatrów urządziła wspaniałe przyjęcie w hotelu George’a dla uczczenia Frenkla. Dzięki zabiegom, wyżej wymienionych, Frenkiel przedłużył pobyt jeszcze o kilka dni. Tym razem w komedii „Nasi najserdeczniejsi” ukazał się publiczności już w czwartej kreacji, odgrywając, z lekkością właściwą tylko temu artyście, epizodyczną rolę starego złośliwca Marecat, rolę którą nie tak dawno na jubileuszowym przedstawieniu I. Trapszo odegrał znakomicie Justian. Teraz na scenie górował Frenkiel: „Kaźde powiedzenie Frenkla, choćby najbardziej dokuczliwe i zgryźliwe, rozbraja niezwykle ujmującym tonem jego głosu i przepyszną mimiką twarzy. To zdaje się jest powodem sympatii, jaką się cieszył Marecat u publiczności, mimo karykaturalnie złośliwego i ujemnego swego zabarwienia”¹⁴¹.

Natenczas w gazetach ukazują się artykuły, dotyczące faktycznego stanu teatrów lwowskich, a Zawodowy Związek Literatów Polskich na wieczorach dyskusyjnych podejmował problem stanu teatru we Lwowie. Od dłuższego czasu krytyka lwowska toczyła walkę „mimo usiłowań szkodników kulturalnych, którzy ze względów oportunistycznych chcieliby nadać tej walce charakter afery”¹⁴². Rozpoczął dyskusję prof. Jampolski wspominając czasy byłej świetności i przyczynę obecnego stanu, a mianowicie pasywność komisji teatralnej i dyrekcji teatrów: „Repertuar chaotyczny, z lubością faworyzujący obcą farsę i niedojrzały na scenę repertuar lokalny, nieumiejętność dobrania stosownego zespołu, brak reżyserii twórczej, która by względnie utalentowany zespół obecny wprowadzała na drogę rozwoju talentu, obniżanie prestiżu teatru przez lansowanie niewybrednej, jarmarcznej reklamy i w. i. wad sprawia, że mimo niezaprzeczalnych zalet organizacyjnych kierownictwa, teatr lwowski co najwyżej przedstawia typ prowincjonalnego teatru”¹⁴³. Każdy jest skory do rozmów, lecz rozmowami o tym, co trzeba by było zrobić i jak uleczyć „opłakany” stan miejskich teatrów, nie da się zaradzić. Wszyscy dyskutujący zgodzili się, że w teatrze lwowskim brakuje zapału i miłości do sztuki, że „mechaniczny” system kierownictwa i reżyserii odstręcza widzów, a nie wpływa na uszlachetnienie „dorobkiewiczowskiej” publiczności. Prawdę próbowali wyświetlić również aktorzy, którzy oświadczyli, że sztuki idą przeważnie po tygodniowej, a czasem i po jednej (!) tylko próbie. W dyskusjach brali udział i przedstawiali własne poglądy: Parandowski, Kucharski, Heschel, Tański, Larewicz, Krzyżanowski, Ćwikliński, Heilpern, Geszwind,

Jedlicz. Problem istniał, a głośnymi słowami nic nie da się zrobić, faktycznie brakowało dla takiej instytucji środków pieniężnych, dyrekcja z całym zamiłowaniem i otwartym sercem próbowała wskrzesić Mużę dawnych czasów. Każdy wiedział, co należy uczynić, lecz żadnych działań w tym kierunku nie podjęto, stwierdzono ujemne i dodatnie strony kierownictwa teatru i jego stanu. Głośne wywody, na pewien czas uspokoiły krytykę i publiczność, lecz problem nadal pozostawał.

Wśród premier w maju ukazały się komedia „Jedna i druga” Anieli Kallas i farsa „Dudek” Feydeau. Obie sztuki należały do repertuaru rozrywkowego, na który publiczność chodzi, aby się dobrze zabawić. Taki efekt osiągnęła farsa „Dudek” w reżyserii Stefana Orzechowskiego, choć tempo gry było „rozwlekłe i nierówne”, artyści zagrali farsę „z rozmachem, prześcigając się wzajemnie w wydobywaniu humoru i torpedowaniu publiczności bombami dowcipów”¹⁴⁴ odnosząc „sukces zupełny”¹⁴⁵. Natomiast komedia Anieli Kallas nie wywołała spodziewanego efektu, choć reżyser i aktor Rasiński „dobrze się napracował nad tą sztuką”, jak zauważy „Słowo Polskie”. „Gazeta Lwowska” wspomina zupełnie inne strony owej premiery, związane z samym Teatrem Małym – scenę od widowni oddzielała przestrzeń zaledwie paru metrów. Pomimo drobnych niedociągnięć obie sztuki publiczność oglądała z przyjemnością, wypełniając widownię.

Wreszcie i opera doczekała się świetnego gościa, przybył bowiem najślawniejszy śpiewak scen polskich i zagranicznych, bardzo oczekiwany i kochany we Lwowie Adam Didur, dając dwa koncerty i jeden występ w Teatrze Wielkim, wcielając się w rolę Mefistofelesa w „Fauście” Gounoda. Wyróżniając się ze wszystkich śpiewaków charakterystycznym bardzo niskim, potężnym, pięknie brzmiącym głosem i talentem aktorskim, był jednym „z najlepszych „basso cantate” stawiany na równi ze słynnym F. Szalapinem”¹⁴⁶. Publiczność była spragniona wrażeń i pięknego głosu, o czym świadczył fakt, że w ciągu pół godziny w kasach teatralnych już nie było biletów – wysprzedano wszystkie¹⁴⁷. Miejscowe gazety prześcigały się w pochwałach i słowach uznania dla artyzmu i talentu Didura. Jego głos i gra była, jak zawsze bez zarzutów: „Mefisto Didura, to postać żywa, wyczarowana z czasów zmierzchłych legend i genialnie ujęta”¹⁴⁸. Obsada innych partii nie uległa zmianie, śpiewali: Argasińska-Chojnowska (Małgorzata), Lipowska (Siebel), Ostrowska (Marta), Łowczyński (Faust) i Cyganik (Walenty), zajmując obok znakomitego gościa „godne miejsce, a w szczególności piękny głos i umiejętność śpiewania”¹⁴⁹.

Podobnie jak w dramacie i operze, także i w operetce rozpoczął się sezon występów gościnnych, przyjechała ulubienica publiczności warszawskiej Wiktoria Kawecka, występując w operetce Leona Falla

„Rozwódka”. „Słowik warszawski”¹⁵⁰ z pięknym sopranem wystąpił kreując główną rolę Jany van Lysseweghe z dużym powodzeniem. Nie dopisała tylko orkiestra, która jak zawsze grała za głośno, czym zmuszała artystów do krzyczenia, a nie śpiewania¹⁵¹.

W specjalnie wznowionej operetce Imre Kalmana „Manewrach jesiennych” „żywcem” przeniesionej z Teatru Wielkiego do Teatru Nowości, Kawecka wystąpiła w roli Baronowej Riza, „podobając się ogólnie, zdobywając uznanie miłym głosem, pięknym śpiewem i stosowną grą sceniczną”¹⁵².

Dyrekcja bardzo zaciekała licznie przybyłą publiczność kolejnym gościem w dziale dramatu, jakim była artystka Władysława Ordon-Sosnowska. Zaletą kreowanych przez nią postaci był nie tylko talent zadziwiająco wszechstronny, lecz i temperament, dzięki czemu z łatwością nawiązywała kontakt z publicznością¹⁵³. Tak właśnie ukazała się publiczności lwowskiej w dramacie Tadeusza Rittnera „W małym domku” w roli biednej Marii – „Kreacja wprawdzie doskonała i wrzynająca się w serce i pamięć”¹⁵⁴. W dramacie „Diablica” Karola Schönherra w tłumaczeniu Marii Rodziewiczówny Ordon-Sosnowska przed publicznością ukazała się teraz w roli odmiennej, to już nie była potulna i bezmyślna Maria z dramatu Rittnera, lecz ogromny potencjał kobiecości w roli żony. Naturalistyczny dramat Schönherra „tchnie atmosferą bezwzględnej surowości i prostoty, nie ma w nim większych załamań, konfliktów ani wydarzeń”¹⁵⁵. Natomiast Diablica ukazuje się w jej interpretacji kobietą złą, zimną, przewrotną: „Mistrzostwem było w tej grze igranie na dwu szalach nieustannie kobiecością i diableństwem, złączone z jakimś niewinnym półdziecięcym czarem, który zdaje się nie wiedzieć o własnej niszczyielskiej sile, póki ta siła nie dojrzeje i pod nogi sobie nie rzuci świat”¹⁵⁶. Pozostali aktorzy, K. Justian i Szkułdelski, wywiązali z powierzonych im ról dobrze, za co zasłużyli na gorące oklaski ze strony widowni. Potem zaprezentowała się we wznowionej sztuce G. Zapolskiej „Kobieta bez skazy” kreując panią Renię. Wprowadzając publiczność „w atmosferę błędnego światła erotycznych podrażnień naskórka i fizycznych wybuchów kobiecej nerwowości”¹⁵⁷, przekazała niesłychaną ekspresję uczuć i myśli. W tej sztuce i w każdym innym występie była przekonującą, porywającą wszystkich dookoła w swej szczerości: „Na jej artyzmie skazy nie ma, każda postać przez nią stworzona jest dziełem wysokiej sztuki”¹⁵⁸.

Pod koniec swego pobytu, 29 czerwca 1922 r. zagrała w nowo wystawionej „Klątwie” Stanisława Wyspiańskiego, w reżyserii L. Czarnowskiego, dzięki staraniom którego publiczność lwowska mogła obejrzeć dramat. Sztukę inscenizował A. Schröder. Recenzent „Chwili” nie szczędził słów krytyki zarówno dla reżyserii i inscenizacji, jak i artyst-

ki, w kilku słowach scharakteryzował całość: „Przy dzisiejszym poziomie reżyserii w teatrze lwowskim należałoby bez żalu zrezygnować z wielkiego repertuaru. (...) Płytki realizm – oto wszystko, na co potrafi się zdobyć scena obecna we Lwowie i z czym nie waha się przystąpić – do Wyspiańskiego”¹⁵⁹. I znów recenzenci nie doszli do porozumienia, chociaż „Wiek Nowy”, „Słowo Polskie” i „Gazeta Lwowska” były odmiennego zdania, nazywając wznowienie „najlepiej udanym przedstawieniem w bieżącym sezonie teatralnym”¹⁶⁰. Aktorka zaprezentowała się w roli Młodej, ukazała się tu w swoim żywiole „niezrównana w rolach chłopskich, wlała w postać Młodej cały bujny swój temperament i szeroką, niekrępowaną rozlewność prostej, pierwotnej, surowej natury chłopki, świetnie przechodząc do kontrastowych momentów dzikiej zajadłości i porywczosci do ciepłej i pokornej uległości”¹⁶¹. Pozostali aktorzy niezbyt dobrze wywiązali się ze swego zadania przede wszystkim przez nieporadzenie sobie z językiem Wyspiańskiego, który w ich ustach brzmiał „prawie dziwacznie”¹⁶². Choć przez cały sezon unikano wystawień Wyspiańskiego, były pewne niedociągnięcia i „zbyt nowatorskie ujęcia”¹⁶³, publiczność wyraziła podziękowanie w formie głośnych oklasków i kwiatów.

Różnorodne wysiłki w celu polepszenia istnienia lwowskiego teatru napotykały na niezrozumienie i ciągłą krytykę. Czarnowski szukał ratunku w gościnnych występach znanych artystów. Efekt był zaledwie chwilowy, oczywiście były wystawiane dosyć ciekawe przedstawienia o niezaprzeczalnej wartości, lecz publiczność uczęszczała zazwyczaj nie dla sztuki.

W tym samym czasie do miasta zawitał Karol Adwentowicz. Z okazji gościnnych występów wznowiono poemat dramatyczny „Peer Gynt” Henryka Ibsena. Jednak nie zawsze dobre zamiary przemienione w czyn przynoszą dodatnie wyniki. Tak było i ze wznowieniem, bowiem „na scenę wkradła się pospolita, szara codzienność, płaska szablonowość i zdusiła urok wielkiego słowa. (...) Kilka zaledwie przebłysków tu i ówdzie, jakiś moment silniej przemawiający do uczucia, a zresztą wszystko tonęło w mgłę niezrozumienia, jałowości i pospolitości”¹⁶⁴. Całość wypadła bardzo słabo, choć w roli tytułowej Adwentowicz podołał postawionemu zadaniu wnosząc się na wyżyny prawdziwej sztuki, „dając skończone piękno dramatycznego wyrazu”¹⁶⁵. Jego Peer Gynt był tym razem sam na scenie w otoczeniu liczego personelu i aktorów: „Potężny, nieuszczuplony przez lata z wybuchów i opadów, w przepięknym rytmie złożony ciąg gry Adwentowicza zagłuszał wprawdzie, jak mógł, te braki, a tu i ówdzie wybiegał i inny, odosobniony wysiłek aktorski naprzeciw tej prężnej grze”¹⁶⁶. Tym razem wszyscy recenzenci doszli do porozumienia, nazywając wznowienie przedstawieniem najmniej udanym w tym sezonie.

Przyszła chwila na rehabilitację, został wznowiony „Ojciec” Augusta Strindberga, gdzie Adwentowicz przemienił się w Rotmistrza. Najlepiej udawały mu się takie role. Już wcześniej niejednokrotnie kreował na deskach teatrów lwowskich ową postać: „Z tej potężnej siły ekspresji, jaką tchnęła jego kreacja w dawnych, pierwszych występach, nie ubył nic”¹⁶⁷. Nadal odtwarzał w sposób bardzo naturalistyczny bohaterów, w tej jego genialności ujawniała się pewnego rodzaju „schyłkowość”, jego buntowniczość wobec otaczającego świata¹⁶⁸.

U schyłku sezonu teatralnego 22 czerwca 1922 roku w dziale opery wystawiono nowość „Złotnik z Toledo” J. Offenbacha w reżyserii Adama Okońskiego. Dano staranną oprawę sceniczną wyreżyserowano również starannie i w ten sposób stworzono podłoże, na którym rozgrywa się właściwy dramat złotnika Malavedy w wykonaniu Okońskiego, który „stworzył pierwszorzędnny typ, porywający bezpośredniością i szczerością wyrazu”¹⁶⁹. Po Okońskim na pierwszy plan wybił się Michał Prawdzic, uważany za najlepszego tenora sceny lwowskiej – „słuchając jego żałowało się tylko, dlaczego zamiast „Złotnika” nie wznowiono, np. „Lohengrina”, gdzie by p. Prawdzic mógł rozwinąć w całej pełni swój duży talent”¹⁷⁰.

Przed rozpoczęciem nowego sezonu teatralnego znów powstaje problem, zamknięcia i zlikwidowania działu operowego. Czynnikiem prowadzących do zamknięcia należało szukać w problemach gospodarczo-ekonomicznych miasta. Na operę dyrekcja ponosiła największe koszty, bo trzeba było utrzymać najliczniejszy zespół – 148 osób. Zadłużenie teatrów wobec miasta również było spowodowane przede wszystkim przez ten dział. W lipcu na posiedzeniu Komisji Teatralnej już się zastanawiano, jak można zaradzić temu. Należało za wszelką cenę znaleźć źródła pokrycia wydatków i działu operowego nie likwidować, bo „wymaga tego tradycja i honor kulturalnego Lwowa”¹⁷¹. Jak to Lwów i bez opery? „Wiek Nowy” podtrzymywał dyrekcję we wszelkich poczynaniach teatralnych i trafnie ocenił pisząc, że „deficyt teatralny, to rzecz zupełnie normalna!..”¹⁷², a „Chwila” dodała, że „nie o zniesieniu zatem opery winni byli radzić członkowie komisji teatralnej, lecz o zupełnym jej zreformowaniu i postawieniu na pewnej artystycznej wysokości, pamiętając przy tym, że każde przedsiębiorstwo (za takie bowiem ojcowie miasta uważają teatr!) mające przynieść zyski, wymaga wkładów”¹⁷³. Jednak samych rozmów było za mało, bo realia były inne i w ciągu całego sezonu 1921/1922 wystawiono tylko dwie nowości: „Zamarłe oczy” d'Alberta i „Złotnika z Toledo” Offenbacha. Wszystkie inne przedstawienia były zaledwie wznowieniami. Obciążenie było spowodowane również utrzymaniem nowego Teatru Nowości, a przez to utrzymanie drugiej orkiestry i chóru, co zaciążyło bardzo na budżecie

teatralnym, stając się jednym z powodów deficytu. Obietnice radnych, odnośnie wyłożenia bruku i oświetlenia drogi, pozostawały obietnicami, przez co publiczność niechętnie zapełniała widownię.

Na sierpień 1922 r. przypadła jeszcze jedna uroczystość¹⁷⁴: słynny i zasłużony dekorator Zygmunt Balk świętował trzydziestolecie pracy scenicznej¹⁷⁵. Przyczynił się do powstania niejednego projektu, lecz jego dzieła miały piętno konserwatyzmu, bowiem nie uznawał żadnych nowości, był „doświadczonym, ale przeciwnym wszelkim nowym prądom”¹⁷⁶. Znany i chwalony nie tylko we Lwowie, lecz i za jego granicami scenograf stworzył przy ulicy Słonecznej, gdzie mieściły się „malarnie” teatralne, sporo dekoracji i obrazów.

Pod koniec sezonu zgodnie z dobrym starym obyczajem w operze odbyły się debiuty. W tym okresie debiutowali Tadeusz Szymonowicz, Franciszek Schutz, Helena Niwińska-Puchalska i Maria Tęczarowska.

W tym samym czasie zawitały z występami Irena Solska i Stanisława Wysocka. Na rozpoczęcie występów publiczność lwowska obejrzała dramat Strindberga „Pelikan” (Stos) w reżyserii Wysockiej: „Interpretacja obu kobiecych postaci stała na poziomie od szeregu lat we Lwowie niespotykanym”¹⁷⁷. Towarzyszyły im na scenie Eugeniusz Snay i Artur Kwiatkowski, dotąd nieznanymi dla publiczności lwowskiej. Doskonale został uchwycony wątek strindbergowski, odwieczna walka między kobietą i mężczyzną toczyła się z zawziętością na scenie: „W grze artystów czuło się głębię, tragedię wewnętrzną raczej w duszach, niż na scenie”¹⁷⁸. Następnie wystawiono dramat „Prawda” Michała Daszkiewicza-Czajkowskiego. Recenzenci skrytykowali z łatwością ową sztukę poprzez brak akcji, nierealność i to, że „pozostawia osad cmentarnego smutku”¹⁷⁹, lecz co do urządzenia sceny, reżyserii Czarnowskiego i gry gości, jednogłośnie zaznaczyli, że wszyscy „ukazali swój artyzm i talent”. Recenzenci nie mogli dojść do porozumienia w kwestii gry aktorek: „Nie wiadomo wprost, której z artystek przyznać palmę pierwszeństwa, nie trudźmy się więc daremnie: obie grały doskonale”¹⁸⁰. Ostatnią odegraną sztuką był „Romans” E. Sheldona w reżyserii Kwiatkowskiego. Tym razem na pochwałę zasłużyli I. Solska-Grosser, E. Snay i A. Kwiatkowski. Prasa nie szczędziła przychylnych recenzji dla artystów: „Tej trójce artystów zawdzięczać należy, że banalna sztuka angielskiego autora stała się pewnego rodzaju zdarzeniem dla miłośników teatru we Lwowie”¹⁸¹.

Pod koniec sezonu wystawiono jeszcze w operze „Cavallerię”, „Pajace”, „Bal maskowy” i operetkę „Sybille” W. Jacobiego, lecz zbytecznego entuzjazmu u lwowskiego widza to nie wywołało.

Sezon teatralny 1921/22, nazwany „okresem przygotowawczym”¹⁸², zapowiadał bardzo wiele. Lecz rzeczą oczywistą jest, że wszystko tak

szybko się nie dzieje i dobre zamiary mogą pozostać tylko zamiarami. Ważne wydarzenia teatralne (wystawienie „Halki” z okazji otwarcia Targów Wschodnich i przyjazdu J. Piłsudskiego, uroczyste wieczory z okazji powstania listopadowego i oswobodzenia Lwowa), premiery i prapremiery („Kłątwa”, „O skibę”, „Ten, którego biją po twarzy”), występy gościnne sławnych artystów zagranicznych i polskich (w dramacie: J. Sosnowski, W. Ordon-Sosnowska, K. Adwentowicz, I. Solska-Grosserowa, S. Wysocka. W. Brydziński; w operze i operetce: F. Freschel, K. Krugłowski, W. Kaczmar, W. Doriani, A. Didur, D. Jarosławski, A. Wesołowski, B. Popow, S. Korwin-Szymanowska, W. Kawecka), dosyć często przeplatane były wznowieniami, ogranymi do granic możliwości. Jednak zdarzały się sztuki bardzo wartościowe, w porównaniu ze sztukami pustymi, które miały publiczność przyciągać i zabawiać. Kazimierz Bukowski z „Wieku Nowego” przed rozpoczęciem sezonu życzył dyrekcji powodzenia, lecz z niedowierzaniem patrzył też i na teatr: „Jeśli uda się dyrektorowi Czarnowskiemu, który okazał się niezwykle kierownikiem, przeprowadzić swoje plany i piękne zamiary i jeśli znajdzie zachętę i poparcie w sferach dziennikarskich i u publiczności, teatry lwowskie wejdą może naprawdę z fazy przygotowawczej w okres prawdziwej, rzetelnej i twórczej pracy”¹⁸³.

Podsumowując: deficyt pierwszego sezonu wynosił 32 miliony marek, to nie była zbyt wielka kwota, uwzględniając fakt, że teraz Lwów posiadał trzy miejskie teatry, a dyrekcja jak mogła najrozsądniej nimi rozporządzała. Stąd też powstał problem repertuaru i doboru sztuk, dyrekcja z konieczności musiała podporządkowywać się budżetowi, przez co ucierpiała strona artystyczna. Brak odpowiednich finansów i wyszkolonych sił artystycznych był przyczyną niemożliwości porywania się na wielki repertuar, choć dosyć często do miasta z gościnnymi występami przyjeżdżali znani artyści. Były oczywiście rezultaty pracy i to można powiedzieć, że piękne. Od dyrekcji w bardzo krótkim czasie wymagano „utworzenie wielkiej sceny i idealnego kierownictwa artystycznego”¹⁸⁴. Mimo tych trudności w sezonie 1921/22 Czarnowski zdołał wystawić 53 premiery (autorów polskich 40 i 13 obcych), choć nie wszystkie sztuki stały na odpowiednim poziomie artystycznym, to większość była odegrana z należytą starannością, zdobywając u krytyki i publiczności uznanie.

PRZYPISY

¹ Część dokumentów i zdjęcia o Ludwiku Czarnowskim w posiadaniu rodziny Bernardów (sióstrzenicy Haliny Bielińskiej – Czarnowskiej, żony Ludwika Czarnowskiego) we Lwowie.

- ² „Słowo Polskie” Nr 43, 28.01.1921.
- ³ „Słowo Polskie” Nr 127, 17.03.1921.
- ⁴ Op. Cit. Słownik Biograficzny Teatru Polskiego, t. 2, s. 798-799. Był śpiewakiem, pedagogiem i dyrektorem teatru. W latach 1906-1908 był solistą w operze lwowskiej zaangażowany przez Ludwika Hellera. W późniejszym rozdziale omówię dokładniej tę sylwetkę, ponieważ był jednym z dzierżawców w latach 1928/1929 oraz próbował wnieść pewne zmiany do życia kulturalnego Lwowa.
- ⁵ Mieczysław Szukiewicz – dramaturg.
- ⁶ „Chwila”, Nr 786, 25.03.1921; S. Marczak-Oborski podaje datę obrania dyrektora – 24 marca 1921 roku, również ilość głosów nie zgadza się (12:16 zamiast 14:16).
- ⁷ „Słowo Polskie” Nr 137, 25.03.1921, „Chwila”, Nr 786, 25.03.1921.
- ⁸ „Gazeta Lwowska”, Nr 50, 03.03.1921.
- ⁹ „Słowo Polskie” Nr 43, 28.01.1921.
- ¹⁰ Op. Cit. Słownik Biograficzny Teatru Polskiego, t. 1, s. 107.
- ¹¹ „Gazeta Lwowska”, Nr 194, 01.09.1921.
- ¹² „Wiek Nowy”, Nr 5960, 08.04.1921.
- ¹³ „Chwila”, Nr 798, 08.04.1921.
- ¹⁴ Op. cit. S. Marczak-Oborski, Teatr polski w latach 1918-1965, Warszawa 1985, s. 50.
- ¹⁵ „Wiek Nowy”, Nr 5992, 18.05.1921.
- ¹⁶ „Wiek Nowy”, Nr 5992, 18.05.1921.
- ¹⁷ Tego wieczoru na scenie w sztuce Moliera zagrali: Trapszo, Rasiński, Rasińska, Czaki, Bielecki, Hierowski, Lewicki, Zbrojewski i Kopczyński. W roli Anieli debiutowała Halszka Klimontowiczówna.
- ¹⁸ „Gazeta Lwowska”, Nr 111, 19.05.1921.
- ¹⁹ Tamże.
- ²⁰ Tamże.
- ²¹ Op. Cit. Marczak-Oborski S.: Teatr w Polsce 1918-1939, Warszawa 1984, s. 308.
- ²² Według Słownika Biograficznego Teatru Polskiego, t. 2, s. 630 – Artur Schroeder, natomiast Kozicki i Cepnik piszą o nim jak o nieoficjalnym kierowniku literackim teatrów miejskich za dyrekcji L. Czarnowskiego.
- ²³ Czasopismo „Życie Teatralne” było wydawane przez Teatr Miejski od 1921 do 1928 roku. Było to jedno z najlepszych tego typu wydawnictw lat dwudziestych. Początkowo w programach teatralnych były robione pewne zmiany, co później przekształciło się w czasopismo teatralne. Czasopismo to zawierało programy przedstawień, a także bogatą treść publicystyczną i informacyjną (było też sporo reklamy, bez której nie mogło się obejść).
- ²⁴ „Gazeta Lwowska”, Nr 112, 20.05.1921.
- ²⁵ Tamże.
- ²⁶ „Gazeta Lwowska”. Nr 118, 28.05.1921.
- ²⁷ Op. Cit. „Gazeta Lwowska” Nr 118, 28.05.1921 i „Słowo Polskie” Nr 244, 05.06.1921.
- ²⁸ „Gazeta Lwowska” Nr 125, 08.06.1921.
- ²⁹ „Słowo Polskie” Nr 276, 24.06.1921.
- ³⁰ „Wiek Nowy” Nr 6024, 01.07.1921.
- ³¹ Op. cit. „Słowo Polskie” Nr 290, 05.07.1921.
- ³² Op. Cit. „Słowo Polskie” Nr 254, 11.06.1921.
- ³³ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6058, 10.08.1921.
- ³⁴ „Wiek Nowy” Nr 6027, 05.07.1921.
- ³⁵ Op. cit. „Wiek Nowy” Nr 6056, 07.08.1921.
- ³⁶ „Wiek Nowy” Nr 6061, 13.07.1921.
- ³⁷ „Wiek Nowy” Nr 6063, 17.08.1921.
- ³⁸ Tamże.
- ³⁹ Pismo w posiadaniu rodziny Bernardów.
- ⁴⁰ Pismo w posiadaniu rodziny Bernardów.
- ⁴¹ „Wiek Nowy” Nr 6007, 07.06.1921.
- ⁴² W głównych partiach śpiewali: I. Mann, Okoński, Bandrowska, Platówna, Wikliński i inni.
- ⁴³ „Wiek Nowy” Nr 6007, 07.06.1921.
- ⁴⁴ „Wiek Nowy” Nr 6025, 02.07.1921.

- ⁴⁵ Aktorka często występowała w operetkach w teatrze Miejskim, jako śpiewaczka cieszyła się bowiem dużą popularnością wśród publiczności lwowskiej, o czym świadczyło upamiętnienie jej nazwiska w nazwie czekolady. Czekolada, została nazwana „Primadonna Miłowska”, a jej producentem była wytwórnia czekolady i cukrów deserowych N. i K. Justa we Lwowie.
- ⁴⁶ „Wiek Nowy” Nr 6054, 05.08.1921.
- ⁴⁷ Teatrem Świetlnym lub Kinoteatrem nazywano Kino, zob. np. „Chwila”, nr 109 04.05.1919.
- ⁴⁸ Jedlicz: O teatr lwowski,[w:] „Słowo Polskie”, Nr 102, 04.03.1921.
- ⁴⁹ Tamże.,
- ⁵⁰ „Słowo Polskie”, Nr 325, 25.07.1921.
- ⁵¹ Po II wojnie światowej teatr został zlikwidowany. Obecnie jest to kamienica i nic nie wskazuje, że znajdował się w nim Teatr Nowości. Tylko zewnętrzne przyozdobienie wskazuje, że to jest ten budynek.
- ⁵² Szczęsna i Ołędzki – świeżo zaangażowani artyści przez dyrekcję na sezon 1921/22.
- ⁵³ Stanisław Faliszewski był głównym baletmistrzem teatru miejskiego i kierownikiem szkoły baletowej, bardzo często publiczność widziała jego „ewolucje” baletowe w operach lub operetkach. W 1918 r. przy teatrze miejskim stworzył szkołę baletową, która działała do 1939 r.
- ⁵⁴ „Chwila” Nr 965, 28.09.1921.
- ⁵⁵ Nie dotyczy to tylko L. Czarnowskiego.
- ⁵⁶ „Wiek Nowy” Nr 6066. 20.08.1921.
- ⁵⁷ „Chwila” Nr 928, 19.08.1921.
- ⁵⁸ Op. Cit. „Chwila” Nr 932, 23.09.1921.
- ⁵⁹ „Wiek Nowy” Nr 6076, 01.09.1921.
- ⁶⁰ Zapolska z Czarnowskim utrzymywali przyjacielskie stosunki, o czym świadczą nieliczne listy Zapolskiej do Czarnowskiego w posiadaniu rodziny Bernardów.
- ⁶¹ „Gazeta Lwowska” Nr 194, 01.09.1921.
- ⁶² „Wiek Nowy” Nr 6076, 01.09.1921.
- ⁶³ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6073, 28.08.1921. „Głos jej silny, dźwięczny, o wielkiej skali i znacznej wytrzymałości, miły w brzmieniu”.
- ⁶⁴ Słownik nie podaje jego daty i miejsca urodzenia. Z wycinków gazet lwowskich możemy wnioskować, że właśnie we Lwowie przyszedł na świat J. Majewski. Zob. Słownik Biograficzny Teatru Polskiego, t. 2, s.419-420.
- ⁶⁵ „Chwila” Nr 929, 21.08.1921.
- ⁶⁶ „Chwila” Nr 929, 21.08.1921.
- ⁶⁷ W 1921 roku odbyły się pierwsze Targi Wschodnie, które każdego roku odbywały się we Lwowie do początku II wojny światowej. Na targi przyjeżdżało corocznie kilkaset tysięcy osób z całej Polski, również i kupcy z całego świata. Wraz z otwarciem Targów, Lwów uzyskał na nowo swój utracony status handlowej stolicy.
- ⁶⁸ Zamach był dokonany przez niejakiego ukraińskiego studenta o nazwisku Fedak, Marszałek z tej strzelaniny wyszedł cało, lecz został postrzelony ówczesny wojewoda Grabowski.
- ⁶⁹ „Chwila” Nr 935, 26.09.1921.
- ⁷⁰ „Słowo Polskie” Nr 464, 03.11.1921.
- ⁷¹ „Słowo Polskie” Nr 464, 03.11.1921.
- ⁷² „Słowo Polskie” Nr 464, 03.11.1921.
- ⁷³ List z dnia 31 października 1921 r. Stanisława Przybyszewskiego do Czarnowskiego w posiadaniu rodziny Bernardów.
- ⁷⁴ „Wiek Nowy” Nr 6135, 12.11.1921.
- ⁷⁵ „Chwila” Nr 1008. 11.11.1921.
- ⁷⁶ Op. cit. „Wiek Nowy” Nr 6110, 13.10.1921.
- ⁷⁷ Biograficzny Słownik Teatru Polskiego, t. 2, podaje datę debiutu na koncercie Towarzystwa Muzycznego 24.06.1921 r., pomijając debiut sceniczny w Teatrze Wielkim, gdzie śpiewała partie Toski w „Tosce”.
- ⁷⁸ „Wiek Nowy” Nr 6143, 22.11.1921.
- ⁷⁹ „Słowo Polskie” Nr 488, 01.12.1921.
- ⁸⁰ Operetki z teatru Nowości: „Taniec szczęścia” Roberta Stolza (02.09.1921). „Hrabianka Foxtrotta” R. Stolza (27.09.1921), „Ostatni walc” J. Brammera i A. Grunwalda (28.09.1921); „Róża Stambułu” i „Rozwódka” Leona Falla – wznowienia.

- ⁸¹ „Chwila” Nr 1029, 02.12.1921.
⁸² „Słowo Polskie” Nr 488, 01.12.1921.
⁸³ „Słowo Polskie” Nr 500, 15.12.1921.
⁸⁴ „Wiek Nowy” publikuje w Nr 6170 i 6171, przemówienia L. Czarnowskiego i H. Barwińskiego.
⁸⁵ „Słowo Polskie” Nr 504, 19.12.1921.
⁸⁶ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6175, 31.12.1921, „Chwila” Nr 1052, 26.12.1921. W tym przedstawieniu zagrali: Tański, Ladosiówna, Szkudelski, Kwiatkiewiczowa, Jankowska, Roman.
⁸⁷ „Wiek Nowy” Nr 6174, 30.12.1921.
⁸⁸ Edward Csato, *Polski teatr współczesny pierwszej połowy XX wieku*, Warszawa 1967, s. 69.
⁸⁹ Op. Cit. „Słowo Polskie” Nr 12, 14.01.1922.
⁹⁰ „Chwila” Nr 1077, 21.01.1922.
⁹¹ „Wiek Nowy” Nr 6190, 19.01.1922.
⁹² „Wiek Nowy” Nr 6190, 19.01.1922.
⁹³ Op. Cit. „Słowo Polskie” Nr 14, 16.01.1922.
⁹⁴ „Wiek Nowy” Nr 6193, 22.01.1922.
⁹⁵ Z gościnnymi występami w dziale opery, w ciągu kilku pierwszych miesięcy nowej dyrekcji wystąpili: B. Popow, F. Bedlewicz, D. Jarosławski, I. Mann, J. Majerski, A. Wesołowski.
⁹⁶ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6193, 22.01.1922.
⁹⁷ S. Nowiński, *Interwiew z samym sobą*, „Życie Teatralne”, z. II, R. II.
⁹⁸ List z dnia 24 lutego 1922 roku od Magistratu król. stoi. m. Lwowa L. 17.557/1922 VIII. do L. Czarnowskiego w posiadaniu rodziny Bernardów.
⁹⁹ „Kurier Powszechny”, 13.01.1922.
¹⁰⁰ Op. Cit. „Chwila” Nr 1081, 25.01.1922.
¹⁰¹ „Chwila” Nr 1084, 28.01.1922.
¹⁰² „Chwila” Nr 1079, 23.01.1922.
¹⁰³ Op. cit. „Chwila” Nr 1079, 23.01.1922.
¹⁰⁴ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6194, 24.01.1922.
¹⁰⁵ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6202, 02.02.1922.
¹⁰⁶ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6205, 07.02.1922.
¹⁰⁷ „Chwila” Nr 1093, 06.02.1922.
¹⁰⁸ „Wiek Nowy” Nr 6208, 10.02.1922.
¹⁰⁹ „Chwila” Nr 1093, 06.02.1922.
¹¹⁰ Op. Cit. „Gazeta Lwowska” Nr 28, 04.02.1922.
¹¹¹ „Słowo Polskie” Nr 34, 09.02.1922.
¹¹² Tamże.
¹¹³ „Chwila” Nr 1093, 06.02.1922.
¹¹⁴ „Chwila” Nr 1100, 14.02.1922.
¹¹⁵ Aforyzmy teatralne, „Życie Teatralne”, rok II, zeszyt XIV, s. 7.
¹¹⁶ Op. Cit. Csato E.: *Polski teatr współczesny pierwszej połowy XX wieku*, Warszawa 1967, s. 69.
¹¹⁷ Op. Cit. *Słownik Biograficzny Teatru Polskiego 1765-1965*, t. 1, Warszawa 1973, s. 274.
¹¹⁸ „Wiek Nowy” Nr 6228, 05.03.1922.
¹¹⁹ „Chwila” Nr 1113, 27.02.1922.
¹²⁰ „Chwila” Nr 1108, 22.02.1922.
¹²¹ „Słowo Polskie” Nr 44, 20.02.1922.
¹²² „Chwila” Nr 1103, 17.02.1922.
¹²³ „Wiek Nowy” Nr 6224, 01.03.1922.
¹²⁴ „Życie Teatralne”, rok II, zeszyt XII, s. 12.
¹²⁵ „Chwila” Nr 1124, 14.03.1922.
¹²⁶ „Słowo Polskie” Nr 63, 15.03.1922.
¹²⁷ Zob. „Chwila” Nr 1127, 17.03.1922 i „Słowo Polskie” Nr 66, 30.03.1922.
¹²⁸ List z podziękowaniami w posiadaniu rodziny Bernard.
¹²⁹ Op. Cit. „Wiek Nowy” Nr 6238, 28.03.1922.
¹³⁰ „Gazeta Lwowska” Nr 59, 12.03.1922.
¹³¹ „Słowo Polskie” Nr 70, 03.04.1922.
¹³² „Wiek Nowy” Nr 6256, 19.04.1922.

- 133 „Wiek Nowy” Nr 6269, 05.05.1922.
- 134 Zob. K. Biernacki, Mieczysław Frenkiel, Warszawa 1958, s. 64.
- 135 „Chwila” Nr 1157, 04.05.1922.
- 136 „Wiek Nowy” Nr 6269, 05.05.1922.
- 137 „Wiek Nowy” Nr 6267, 02.05.1922.
- 138 „Gazeta Lwowska” Nr 95, 06.05.1922.
- 139 „Gazeta Lwowska” Nr 94, 05.05.1922.
- 140 „Chwila” Nr 1159, 06.05.1922.
- 141 „Wiek Nowy” Nr 6276, 13.05.1922.
- 142 „Chwila” Nr 1170, 17.05.1922.
- 143 „Chwila” Nr 1170, 17.05.1922.
- 144 „Wiek Nowy” Nr 6286, 25.05.1922.
- 145 „Gazeta Lwowska” Nr 112, 27.05.1922.
- 146 Zob. Słownik Biograficzny Teatru Polskiego 1765-1965, t. 1, Warszawa 1973, s. 129.
- 147 Zob. „Wiek Nowy” Nr 6290, 31.05.1922.
- 148 „Słowo Polskie” Nr 116, 28.05.1922.
- 149 „Chwila” Nr 1177, 24.05.1922.
- 150 Zob. Słownik Biograficzny Teatru Polskiego 1765-1965, t. I, Warszawa 1973, s. 293.
- 151 „Chwila” Nr 1178, 25.05.1922.
- 152 „Chwila” Nr 1188, 09.06.1922.
- 153 Zob. Słownik Biograficzny Teatru Polskiego 1765-1965, t. 1, Warszawa 1973, s. 506.
- 154 „Chwila” Nr 1180, 27.05.1922.
- 155 „Wiek Nowy” Nr 6296, 08.06.1922.
- 156 „Słowo Polskie” Nr 127, 11.06.1922.
- 157 „Wiek Nowy” Nr 6305, 20.06.1922.
- 158 „Gazeta Lwowska” Nr 127, 15.06.1922.
- 159 „Chwila” Nr 1206, 30.06.1922.
- 160 „Wiek Nowy” Nr 6314, 01.07.1922.
- 161 „Wiek Nowy” Nr 6314, 01.07.1922.
- 162 Zob. „Gazeta Lwowska” Nr 139, 01.07.1922.
- 163 Zob. Marczak-Oborski S.: Teatr w Polsce 1918-1939, Warszawa 1984, s. 309.
- 164 „Wiek Nowy” Nr 6299, 11.06.1922.
- 165 Zob. „Wiek Nowy” Nr 6299, 11.06.1922.
- 166 „Słowo Polskie” Nr 127, 11.06.1922.
- 167 „Wiek Nowy” Nr 6305, 20.06.1922.
- 168 Op. cit. Csato E.: Polski teatr współczesny pierwszej połowy XX wieku. Warszawa 1967, s. 94-95.
- 169 „Słowo Polskie” Nr 140, 26.06.1922.
- 170 „Słowo Polskie” Nr 140, 26.06.1922.
- 171 „Wiek Nowy” Nr 6320, 08.07.1922.
- 172 Tamże.
- 173 „Chwila” Nr 1217, 13.07.1922.
- 174 Początkowo uroczystość miała odbyć się w styczniu 1922 r. jak zapowiadał artykuł A. Schrodera poświęcony Jubilatowi w „Życiu Teatralnym” z. XIII, rok I.
- 175 Według Słownika Biograficznego Teatru Polskiego 1765-1965, t. 1, Warszawa 1973, s. 15, Zygmunt Balk obchodził 27.06.1926 jubileusz trzydziestolecia pracy w teatrze, natomiast artykuł w „Wiek Nowym” świadczy o innej dacie, z 1922 roku.
- 176 Zob. Marczak-Oborski S.: Teatr w Polsce 1918-1939, Warszawa 1984, s. 308; Słownika Biograficznego Teatru Polskiego 1765-1965, t. 1, Warszawa 1973, s. 15.
- 177 „Chwila” Nr 1243, 12.08.1922.
- 178 „Wiek Nowy” Nr 6349, 11.08.1922.
- 179 Zob. „Chwila” Nr 1245, 14.08.1922, „Wiek Nowy” Nr 6353, 17.08.1922.
- 180 „Gazeta Lwowska” Nr 173, 10.08.1922.
- 181 „Chwila” Nr 1247, 16.08.1922.
- 182 „Wiek Nowy” Nr 6362, 27.08.1922.
- 183 K. Bukowski, „Wiek Nowy” Nr 6362, 24.08.1922.

Jolanta Załęczny

SZKIC DO LWOWSKICH LOSÓW RODZINY MROCZKÓW

Wielka historia narodu składa się z małych historii poszczególnych rodzin i ludzi. Ludzi z pozoru zwyczajnych, a przecież pod każdym względem szczególnych. Tak, jak szczególne bywają miejsca, gdzie przyszło im żyć. I choć – jak pisał Stanisław Zachariasiewicz – „Historia ma swoje z góry wyznaczone cele. Przeniknąć ich, odgadnąć, nie sposób”¹, to jednak należy pochylać się nad losami każdego człowieka i każdej rodziny, poznawać je, bo one pozwalają spojrzeć z innej perspektywy na losy państwa i narodu.

Niby zwyczajna rodzina Mroczków związana była z takim właśnie miejscem, z Lwowem. Miasto to wywarło znaczący wpływ na losy rodziny, ale i przedstawiciele tej rodziny mieli swój udział w życiu miasta.

Korzeni rodziny Mroczków doszukiwać się należy w Radomyślu nad Sanem. Tam 28 sierpnia 1857 roku urodził się Augustyn Mroczek (syn Antoniego Mrocza i Rozalii z Czechowskich). Tam też 3 listopada 1860 roku przyszła na świat Katarzyna Wiktor (córka Marcina Wiktora i Tekli z Robutków). W kościele parafialnym w Radomyślu wzięli ślub 21 stycznia 1880 roku. Na świat przyszło kolejno 12 dzieci, spośród których szóstym był Mieczysław Maksymilian.

Życie Mieczysława to materiał na barwny i jakże polski film. Urodzony 3 września 1889 roku w Kopkach w powiecie Nisko spędził dzieciństwo i młodość w Krakowie, gdzie rodzina miała własną kamienicę, najpierw przy ul. Czystej 11 A, a potem przy ul. Podwale 3. Uczył się w Szkole Ludowej im. św. Wojciecha. Po jej ukończeniu (27 czerwca 1900) podjął naukę w Pierwszej Szkole Realnej, gdzie uzyskał świadectwo końcowe, uprawniające do rozpoczęcia studiów politechnicznych. Jednak wybuch wojny pokrzyżował jego plany. Nie podjął studiów na politechnice, bo 22 sierpnia 1914 roku wstąpił do wojska. Jak podaje jego syn Tadeusz, Mieczysław Mroczek jako ochotnik wstąpił do batalionu uzupełniającego I Legionu Polskiego i walczył na froncie karpackim. Walczył w szeregach 2 pułku piechoty II batalionu Legionów

Polskich². Na początku 1915 roku zachorował i 31 marca trafił do szpitala rezerwowego nr 2 w Wiedniu³. Po wyleczeniu został 28 lipca 1915 roku zwolniony z wojska (w stopniu sierżanta) jako niezdolny do służby⁴. Na krótko powrócił do Krakowa, gdzie w roku szkolnym 1915/1916 był słuchaczem na jednorocznym kursie handlowym. Po jego ukończeniu wyjechał do Lwowa. Od 1 lutego 1917 do 31 grudnia 1919 pracował – jak podaje syn – w Wojennej Centrali Handlowej jako kierownik Galicyjskiej Spółki Zbytu Bydła i Nierogacizny.

Właśnie od roku 1917 rozpoczął się lwowski okres w życiu Mieczysława Maksymiliana Mrocza. I był to czas szczególny, jak szczególne były dzieje tego miasta.

„Lwów był i jest punktem skupienia sił polskich na kresach południowo-wschodnich. O punkt ten w dziejach w dziejach zawzięcie walczone, a z walk tych Lwów wychodził zawsze z chwałą, zyskując sobie zaszczytny przydomek *Semper Fidelis!* I w pierwszych chwilach powstania niepodległego państwa polskiego rozpętała się nad murami miasta burza wojenna, która nową chwałą opromienić miała zaciętość żołnierza polskiego”⁵. W roku 1918 wybuchły walki, które „imię tego miasta rozślawiły szeroko po ziemiach polskich i poza ich granicami”⁶. Jak pisał Jan Gella: „Dżdżystej, bezgwiazdnej nocy, dzielącej wietrzny październik od mroźnego listopada, piątego roku wojny światowej, Lwów, wschodnia wieżyca twierdzy, której na imię Polska, został zdradliwie opanowany przez, wiecznie doń pretensje roszczących, Ukraińców”⁷.

W momencie narastania antagonizmów polsko-ukraińskich we Lwowie formowano polską armię opartą na członkach Polskiej Organizacji Wojskowej, Polskiej Organizacji Kadr Wojskowych, oficerach służących wcześniej w armii austriackiej oraz byłych legionistach. Dnia 1 listopada rozpoczęła się akcja mobilizacyjna. Przez pierwsze dni listopada toczyły się zwycięskie walki okupione ogromnym wysiłkiem polskich oddziałów.

„Przebieg walk listopadowych świadczy o wielkim zapale i ofiarności żołnierza-ochotnika”⁸, którego do szeregów popchnęły pobudki ideowe i chęć służenia miastu. Do takich walecznych należeli członkowie oddziału walczącego w szkole Sienkiewicza, wśród których był też – wg zapisków syna Tadeusza – Mieczysław Mroczek (choć nie wiadomo, czy walczył tam od początku działań; raczej dołączył do tej grupy później, bo w wykazie walczących o Lwów pierwszego dnia walk – sporządzonym przez Jana Gellę – nie ma tego nazwiska).

Już pierwszego dnia walk „huk polskich karabinów od szkoły Sienkiewicza poleciał w głucho ulice miasta i echem stokrotnym odbił się w każdym polskim domu. »Legioniści bronią się w szkole Sienkiewicza« – podawano sobie szeptem z ust do ust. Oto znalazł się ktoś, kto chętnie

i ofiarnie podjął rzuconą rękawicę, i wraz stanął do walki wręcz, wzrokiem śmiałym i nieustraszonym mierząc przeciwnika⁹.

Szkoła Sienkiewicza była jednym z głównych centrów organizacyjnych w strukturze obrony Lwowa. Kierowano tam rekrutów, gromadzono amunicję, żywność, broń. Skupili się tam przede wszystkim legionści oraz ochotnicy (ok. 50 osób). Dowodził tą grupą – jak podaje Stanisław Łapiński-Nilski – najpierw kpt. Zdzisław Tatar-Trzcniowski, potem kpt. Bronisław Pieracki, a po nim kpt. Mieczysław Spiechowicz-Boruta¹⁰. „Jak niegdyś Częstochowa wstrzymała na sobie nawałę szwedzką, tak nieobronna, zwyczajna szkoła lwowska, w wieku tanków i 42-centymetrowych haubic, ośmieliła się uzurpować sobie miano twierdzy i to niezdobytej! Z tego jednego jedyne punktu, który na żadnej mapie Lwowa nie był dotąd naznaczony jako zbyt mały, ogarnął pożar wolności całe miasto¹¹.

Postawa załogi szkoły Sienkiewicza oraz jej komendanta kpt. Zdzisława Tatara-Trzcniowskiego w pierwszym okresie walk zaważyła na losach Lwowa i odcisnęła swój ślad w świadomości jego mieszkańców¹². Potem w Szkole mieściło się dowództwo V odcinka obrony Lwowa (od ul. Gródeckiej, pl. Bilczewskiego i ul. Sapiehy do ul. Potockiego), którym dowodził kpt. Karol Baczyński¹³.

Wydaje się najbardziej prawdopodobne, że Mieczysław Mroczek zgłosił się w szeregi walczących w odpowiedzi na odezwę Polskiego Komitetu Narodowego z dnia 3 listopada¹⁴ albo rozkaz mobilizacyjny Komendy Głównej Wojsk Polskich z 4 listopada¹⁵. Liczba ochotników stale rosła. W dniu 10 listopada w szkole Sienkiewicza złożyło przysięgę 125 oficerów, 182 podoficerów, 1038 szeregowców oraz 96 kobiet ze służby pomocniczej¹⁶.

Naczelna Komenda powołała pod broń wszystkich mężczyzn do 35 roku życia, a wojskowych do 45. Gromadzące się oddziały jednoczyła miłość do miasta i lapidarna rota przysięgi: „Przysięgam uroczyście, że przyjęte na siebie obowiązki żołnierza spełnię zawsze i wszędzie z całą sumiennością bez względu na trudności i przeszkody, choćby z narażeniem zdrowia i życia własnego. Nie zaniedbam niczego, ażeby przyczynić się wszelkimi siłami do utrzymania ładu i porządku, być wzorem karność i posłuchu żołnierskiego, w ogóle przysięgam nie zaniedbać niczego, aby jak najwyżej podnieść świetny zawsze sztandar bojownika za Wolność, Niepodległość i Całość Polski. Hasłem mem będzie: Bóg i Ojczyzna. Tak mi dopomóż Bóg¹⁷.

Wśród obrońców Lwowa było sporo dawnych legionistów, byli też rezerwowi oficerowie austriaccy. Wartość bojowa tych grup była wysoka, „przyzwyczajeni do pracy w warunkach niezwykłych do improwizowania i organizowania w czasie boju, (...) od razu poczuli się w swoim ży-

wiole¹⁸. To właśnie oni odegrali najważniejszą rolę w obronie Lwowa, a pamiętajmy, że wśród nich był też Mieczysław Mroczek. Syn, powołując się na opinię innych obrońców Lwowa, napisał, że „Mieczysław Mroczek podchorąży z Legionów Polskich znany jest z grupy szkoły Sienkiewicza jako uczestnik walk o Lwów, kilkakrotnie przedzierał się przez linię nieprzyjaciela celem przeniesienia wiadomości i brał czynny udział w walkach¹⁹”.

W tym miejscu szczególnej wymowy nabierają słowa Jerzego Dunin-Wąsowicza: „A czy zapomni ktokolwiek z uczestników onych – najczęściej nocnych – wypraw, wyłącznie celem zdobycia armat nieprzyjacielskich lub amunicji zakazanych (...)”²⁰

W dostępnych autorce opracowaniach próżno szukać nazwiska Mrocza wśród walczących o Lwów, ale wydaje się uzasadnione stwierdzenie, że nie wszystkie nazwiska zostały uwzględnione w zestawieniach. Jak zaznaczyli ich autorzy, „w wykazie brak jeszcze pewnej ilości nazwisk do ustalenia całkowitej ewidencji uczestników²¹”. Udział Mieczysława Mrocza w walkach o Lwów nie podlega dyskusji, bo przecież wśród odznaczonych, jakimi mógł się poszczycić był Krzyż Obrońców Lwowa (nr 573).

Dzień 22 listopada przyniósł Polakom upragnioną wiadomość: Lwów nasz! „Dokonał się cud tylko dzięki przechodzącej siłę słowa ofiarności i wytrwałości wszystkich obrońców Lwowa, żołnierzy i oficerów (...)”²². Komendant obrony miasta Czesław Mączyński zwracał się do mieszkańców Lwowa następującymi słowami: „Dzięki mężnej postawie całej ludności miasta, dzięki jego bohaterskim obrońcom, dzięki wreszcie wytrwałości i cierpliwości, z jaką polska ludność miasta znosiła terror i głód – Lwów pozbył się najeźdźców i dał wspaniały wobec świata dowód, że był, jest i zawsze pozostać musi polskim miastem. Wam mieszkańcy miasta Lwowa przypada historyczna zasługa obrony swego grodu. Wam winna dziś cała Polska głęboką cześć, wdzięczność i podziękę, za Wasze bohaterstwo, za bezprzykładne poświęcenie i trudy²³”.

Pełen uznania dla bohaterskich obrońców Lwowa był gen. Bolesław Roja, kierujący odsieczą dla miasta. Podkreślał, że „wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy przyczynili się do oswobodzenia Lwowa (...) zasłużyli się dobrej sprawie ponad wszelkie wyrazy uznania i pochwały²⁴”.

Wojna polsko-ukraińska o Lwów i Galicję Wschodnią to konflikt mający „swoją legendę i mitologię po obu stronach²⁵”, bo dla obu nacji Lwów stanowił szczególny symbol. Powszechny był podziw dla walczących, pisano, że obrońcy „jak lwy porwali się do broni, a wobec ich męstwa i pogardy śmierci błędnie sława Termopilskich zwycięzców²⁶” i nawet „opisy Sienkiewiczowskie błędna i maleją wobec bohaterstwa Obrońców Lwowa²⁷”. Porównywano Lwów do Zbaraża²⁸, podkreślano patriotyczne wychowanie walczących, wśród których byli „wnukowie bohaterów walk

o niepodległość w 1831 i 1863 r., dzieci miasta, które dało polskim Legionom bataliony ochotników, młodzież wychowana na Sienkiewiczu, Żeromskim, owiana czarem bojów obu brygad Legionów²⁹.

Listopadowe walki o miasto wywarły znaczący wpływ na losy rodziny Mroczków. Jak podaje Tadeusz Mroczek, w trakcie działań Mieczysław został ranny w rękę. Opatrywała go młoda sanitariuszka, Jadwiga Zalewska³⁰, córka znanego lwowskiego cukiernika. Nie wiemy, czy była to wojenna miłość od pierwszego wejrzenia. Wiadomo jednak, że uczucie było prawdziwe, bo Jadwiga została potem jego żoną.

W roku 1920 Mieczysław Mroczek pracował w Banku Kupiectwa Polskiego we Lwowie³¹. Spokojną pracę przerwała nawała bolszewicka, „od dawnych pól dzikich runęła dzika, niesforna łupieżcza jazda Budionnego³². W obliczu zagrożenia naród zerwał się do zbrojnego czynu, „bohaterski Lwów stanął w całości swej do apelu, postanowił bronić się do ostatniej kropli krwi. Jak przed dwoma laty, tak i teraz w ostatniej potrzebie dał porywający, budujący przykład całej Polsce. Osiągnął cyfry, którymi nie może się pochlubić żadna dzielnica³³”.

Rozkazem z 12 lipca 1920 płk. Czesław Mączyński powołał Małopolskie Oddziały Armii Ochotniczej i wzywał do spełnienia twardego, żołnierskiego obowiązku, bo „nie wolno zwlekać ani godziny³⁴. Przypominał bohaterską obronę Lwowa w listopadzie 1918 roku dokonaną „ogniem młodzieńczego zapału i gorącą miłością Ojczyzny³⁵. W szeregach obrońców miasta stanęło ponad 20 tysięcy żołnierzy, z tego ponad 12 tysięcy wchodziło w skład Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej³⁶. Z ochotników utworzono dwa pułki piechoty, trzy pułki jazdy z oddziałami pomocniczymi (kompania saperska, telefoniczna, sanitarna). Tu należy wyjaśnić, że były dwa rodzaje ochotników. Część zobowiązała się do zgłaszania do służby w Wojsku Polskim do końca wojny, inni zgłaszali się „na czas rzeczywistej potrzeby³⁷”.

Do wstępowania do wojska wzywały odezwy werbunkowe Rady Obrony Państwa. Rozlepiano je w różnych miejscach Lwowa i przystosowywano do różnych odbiorców. Ponadto wieszano plakaty o treści antybolszewickiej. „Przedstawiały one bolszewików mordujących niewinne kobiety, kolosa bolszewickiego, ciągniętego przez niewolne ludy w jarzmie, generała Hallera, jak wzywa do boju, wreszcie żołnierza, robotnika i chłopca i studenta, broniących wspólnej placówki, albo też okrutnych bolszewików, ostrzących noże i niszczących miasta³⁸”.

Na wezwanie do wstępowania w szeregi M.O.A.O. odpowiedział także Mieczysław Mroczek³⁹. 14 lipca zgłosił się na ochotnika i trafił do 205. pułku artylerii dowodzonego przez ppłk. Aleksandra Lewickiego. Już 20 lipca nastąpiło zaprzysiężenie żołnierzy M.O.A.O. Przed katedrą na placu Kapitulnym stanęły zwarte szeregi ochotników. Pomimo ulewnego

deszczu i zimna uroczystość wypadła niezwykle okazale. Grzmiały słowa żołnierskiej przysięgi o wiernej służbie, gotowości do poświęceń i umiærania jak prawy żołnierz. „Podziwiani przez tłumnie zebrane patriotyczne społeczeństwo Lwowa, szli żołnierze Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej pełni dobrej otuchy, a nade wszystko tej wiary przemożnej, która cuda działa. Mimo ponurej słoty jaśniały na twarzach błyski zapaału. Czulo się, że ich męstwo zwycięskie będzie”⁴⁰.

Żołnierze 205. pułku artylerii „pod Buskiem, pod Kozłowem, Rzepniowem, Kamionką, Zadwórzem, Olszanką, Firlejówką, Rakobutami, Polonicami dali się poznać (...) z zaszczytnej bardzo strony”⁴¹. Nie bez powodu więc gen. Władysław Jędrzejewski nie szczędił pochwał lwowskim ochotnikom i podkreślał, że „z was každy bohater!”⁴². Zasłynął te¿ pułk w bitwie pod Buskiem toczonej z bolszewikami na poczaatku września. Być mo¿e z tymi walkami łączy się awansowanie podchorążego Mieczysława Mrocza na porucznika⁴³.

Zawieszenia broni nastaało 18 października, a trzy dni później w rozkazie nr 146 podkreślano, że 205. pułk „na ka¿dym miejscu wywiązywał się chlubnie z zadania i zasługuje na najwy¿sze uznanie” i składano podziękowania „za poniesione trudy, za krew hojnie przelaną”⁴⁴. M.O.A.O. była nawiązaniem do pięknych polskich tradycji armii ochotniczych, poczynając od Legionów Dąbrowskiego, poprzez oddziały wojskowe z czasów powstań XIX wieku i legionów z okresu I wojny. Rozwiązując Małopolskie Oddziały Armii Ochotniczej, bryg. Czesław Mączyński powiedział: „Mo¿ecie odejść do waszych ognisk rodzinnych i zajęć normalnych w poczuciu spełnionego obowiązku”⁴⁵.

Udział w walkach o Lwów w 1920 roku dokumentuje znajdujaca się w zbiorach Muzeum Niepodległości fotografia Mieczysława Mrocza w mundurze Wojska Polskiego w towarzystwie oficerów uczestniczacych w obronie Lwowa w 1920⁴⁶.

Mieczysław Mroczek został zwolniony ze służby wojskowej 20 października 1920 roku⁴⁷ i mógł wrócić do ukochanej Jadwigi Zalewskiej. Ślub wzięli 30 października 1920 roku w kościele św. Andrzeja i tak losy rodziny Mroczków splotły się z losami rodziny Zalewskich. Jadwiga Franciszka Zalewska urodziła się 3 grudnia 1900 roku we Lwowie jako drugie dziecko Ludwika Zalewskiego i Ewy z Korneckich⁴⁸. Pobierała naukę w Wy¿szej Katolickiej Szkole Źeńskiej Ubogich Sióstr Szkolnych de Notre-Dame we Lwowie⁴⁹, a potem w szkole czteroklasowej w Wy¿szym Zakładzie Wychowawczo-Naukowym Źeńskim Marii Frenklówny we Lwowie⁵⁰. Później uczęszczała do gimnazjum, maturę zdała w 1918 roku. Pracowała w cukierni ojca Ludwika Zalewskiego przy ul. Akademickiej we Lwowie. Podczas obrony Lwowa była sanitariuszką i wtedy poznała Mieczysława Mrocza.



Portret Mieczysława Mroczyńskiego z lat służby wojskowej

W latach II RP Mroczek zawodowo był związany wciąż z Lwowem, pracując m. in. w Banku Narodowym dla Polskiego Przemysłu, Rzemiosł i Handlu Sp. Akc. Oddział we Lwowie (na stanowisku naczelnika likwidatury oraz wydziału wekslowego), potem w Miejskiej Kasie Oszczędności we Lwowie, a następnie w Miejskiej Komunalnej Kasie Oszczędności (jako naczelnik wydziału bankowego) i w Izbie Skarbowej (w charakterze buchaltera rewidenta).

Małżeństwo Mroczków doczekało się dwóch synów: Tadeusza (ur. 21 sierpnia 1923 Lwów) i Jerzego (ur. 8 października 1925 Lwów).

W latach 30. Mieczysław Mroczek został przyjęty do Związku Legionistów Polskich⁵¹ oraz Związku Obrońców Lwowa⁵². Został odznaczony Krzyżem Obrońców Lwowa (nr 573)⁵³, Krzyżem Niepodległości (nr 14/32444)⁵⁴ i srebrnym Krzyżem Zasługi (nr 5265)⁵⁵.

Historia jeszcze raz upomni się o Mieczysława Mroczkę. Dnia 25 sierpnia 1939 roku otrzymał kartę mobilizacyjną i został przydzielony do jednostki w Brzeżanach⁵⁶. Nie mamy informacji na temat udziału Mroczkę we wrześniowych walkach o Lwów. Tragiczne wydarzenia nastąpiły po tym, jak 17 września wkroczyła Armia Czerwona i jednostka z Brzeżan zaczęła przemieszczać się w kierunku granicy polsko-rumuńskiej. Los okaże się dla Mieczysława Mroczkę wyjątkowo tragiczny. W leśniczówce niedaleko Litiatynia zamieszkiwali dalecy krewni Winschowcie. Odwiedził ich – jak relacjonował syn – a potem próbował dołączyć do swojej jednostki. Został wtedy zaatakowany przez miejscowych Ukraińców i zamordowany⁵⁷.

Informacja ta dotarła do rodziny w październiku 1939 roku wraz z pozwoleniem na broń wystawionym na nazwisko Mieczysław Mroczek. Żona i synowie mimo wszystko czekali na jego powrót, ale – niestety – bezskutecznie. Sąd Grodzki w Krakowie – na mocy decyzji z 17 listopada 1947 roku uznał go za zmarłego, a jako miejsce i datę śmierci przyjął Litiatyn, 25 września 1939 roku. Mieczysław Mroczek – walczący dwukrotnie o Lwów – nie ma tam swojego grobu. Symboliczna tablica została umieszczona na grobie jego teściowej na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, bo jak wielu lwowiaków rodzina musiała opuścić miasto i udać się w wędrówkę w poszukiwaniu nowego miejsca, wciąż nosząc głęboko w sercu wspomnienie Lwowa i miłość do tego miasta.

Z Lwowem związani byli też synowie Mieczysława i Jadwigi Mroczków. Starszy Tadeusz (ur. 1923) uczył się w Szkole Ćwiczeń, a potem w Szkole Powszechnej im. św. Marii Magdaleny. Do zbiorów Muzeum Niepodległości trafiły pamiątki uczniów szkoły powszechnej publicznej męskiej im. św. Marii Magdaleny (na zachowanych fotografiach wśród uczniów znalazł się Tadeusz Bronisław Mroczek)⁵⁸. Warto podkreślić, że lata 30. XX wieku to najlepszy okres w dziejach szkoły, czas jej świet-

ności pod rządami dyrektora Mieczysława Opałka⁵⁹. 20 października 1935 roku odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru szkoły, który ufundowało Koło Rodzicielskie⁶⁰. Szkoła słynęła z patriotycznego wychowania młodzieży, co miało wpływ na późniejsze postawy jej wychowanków.

W roku 1936 Tadeusz zdał do IV Gimnazjum im. Jana Długosza. W związku ze zmianą miejsca zamieszkania w 1939 rodzice przenieśli go do XI Gimnazjum im. Śniadeckich przy ul. Szymonowiczów⁶¹. Po jego ukończeniu zdał do XII Liceum, ale dalszą edukację przerwała wojna. Od października 1939 do czerwca 1941 uczył się w szkole średniej (mieszczącej się w dawnym XII Liceum). Była to już edukacja w systemie radzieckim, zniesiono naukę religii, wprowadzono nowe treści w nauczaniu⁶².

Tadeusz Mroczek był harcerzem, w latach 1932–1939 należał do 27. i 7. Lwowskiej Drużyny Harcerskiej. Jak wspominał, ślubowanie składał na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Warto przypomnieć, że życie harcerskie było wówczas bardzo bogate. Harcerze wyjeżdżali latem na obozy organizowane w różnych regionach kraju. M. in. w 1935 roku drużyna Tadeusza uczestniczyła w spływie kajakowym, w 1939 był na obozie harcerskim w Bereźce. W roku 1935 (10-25 lipca) brał udział w Ogólnopolskim Zlocie Harcerskim w Spale⁶³.

Pasją Tadeusza Mrocza był też sport. Uprawiał (jako młodzik, a później junior) pływanie w Klubie CWKS Czarni oraz szermierkę (od 1938) w Międzyszkolnym Klubie Sportowym. Ze sportem był związany także później, w okresie rządów radzieckich. Trenował dalej szermierkę w lwowskim Klubie Sportowym Dynamo. Zdobył mistrzostwo Lwowa w kategorii młodzieży, reprezentował Lwów w mistrzostwach Ukrainy i ZSRR w Dniepropietrowsku, Połtawie, Kijowie i Charkowie. Jak podkreślał – w skład reprezentacji wchodził wyłącznie Polacy.

Podobnie jak ojciec uważał służbę miastu za swoją powinność. We wrześniu 1939 roku brał udział w obronie Lwowa. Od 13 września bronił miasta na odcinku od ul. 29 Listopada do Zakładu Kulparkowskiego. Lwów walczył od 12 do 22 września, „przez 10 dni stawiał czoło wrogowi i jest może jedynym miastem, którego Niemcy nie potrafili zdobyć, choć je oblegali i tak bardzo chcieli je opanować”⁶⁴.

Okres okupacji, najpierw radzieckiej, a później niemieckiej to czas trudny dla mieszkańców Lwowa. Od 1941 roku Tadeusz pracował fizycznie jako drwal, potem jako lakiernik samochodów. Był też, podobnie jak matka, karmicielem wszy w Instytucie Tyfusowym prof. Rudolfa Weigla. Lwowscy autorzy wspomnień z okresu okupacji wielokrotnie podkreślają, że „prof. Weigl uratował życie tysiącom ludzi. Jest to człowiek, który zasługuje na najwyższe uznanie (...)”⁶⁵.

Kiedy Rosjanie w 1944 roku po raz drugi zajęli Lwów, Tadeusz Mroczek został powołany do wojska i wcielony do I Armii Wojska Polskiego. I to był koniec jego lwowskiej epopei. Walczył od Warszawą. Po wojnie zamieszkał w Krakowie. Potem była Zielona Góra, Białystok, Rzeszów, Koszalin... Już na zawsze daleko od Lwowa...

Młodszy syn Mieczysława i Jadwigi – Jerzy Mroczek urodził się 6 października 1925 roku. W latach 1932–1937 uczył się – podobnie jak brat – w szkole powszechnej publicznej męskiej im. św. Marii Magdaleny. Jego wychowawczynią była Stanisława Ziemska. W gronie nauczycieli byli: katecheta ks. Józef Kłos, Tadeusz Waligórski, Zobolewiczowa, Sicińska, Drabik. Kwasikowa, Głogowski, Hierowski, Ligęza⁶⁶. Jako uczeń tej szkoły Jerzy Mroczek należał do Koła Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża⁶⁷. Potem (do 1939) uczył się w XI Gimnazjum Państwowym im. Śniadeckich. Po zajęciu Lwowa przez Rosjan kontynuował naukę w tzw. dziesięciolatce.

W okresie okupacji niemieckiej pracował jako robotnik, potem zdobył prawo jazdy i był zatrudniony jako kierowca. W latach 1942–1944 trzykrotnie był aresztowany, przebywał w lwowskim więzieniu przy ul. Kazimierza Wielkiego i przy ul. Łąckiego oraz na Pawiaku w Warszawie. Niestety, nie są znane powody aresztowania. Wiadomo natomiast, że każdorazowo uzyskiwał zwolnienie. Brat Tadeusz wspominał, że w posiadaniu rodziny były grypsy z czasów pobytu Jerzego w więzieniu. 1 maja 1944 roku miał opuścić Lwów i przenieść się do Krakowa. Nie wyjechał, zginął podczas bombardowania dworca kolejowego przez lotnictwo radzieckie. Został pochowany 6 maja 1944 roku na cmentarzu Łyczakowskim⁶⁸. W latach 60. grób został zlikwidowany. Kolejny z członków rodziny Mroczków nie ma w swoim mieście grobu.

Jadwiga Mroczkova musiała stawić czoła trudom okupacji sowieckiej, a potem niemieckiej. Pracowała jako pomoc pielęgniarska w Klinice Pediatrycznej prof. Franciszka Groera, a potem – po wkroczeniu Niemców – była karmicielką wszy w Instytucie Tyfusowym prof. Weigla. Miała na utrzymaniu synów, matkę (Ewę Zalewską) oraz – przejściowo – siostrę Halinę Zalewską. Na potrzeby rodziny wyprzedawała – na Krakidałach – rzeczy należące do rodziny. W 1946 roku, wraz z matką opuściła Lwów i wyjechała do Zakopanego. Od 1951 mieszkała w Krakowie, gdzie zmarła 5 stycznia 1995 roku. Została pochowana (wraz z matką) na Cmentarzu Rakowickim. Daleko od Lwowa....

Powyższy szkic lwowskich losów rodziny Mroczków ukazuje życie mieszkańców Lwowa wpisane w dzieje miasta. Rodziny z pozoru zwyczajnej, a przecież życie jej poszczególnych członków nierozzerwalnie wiąże się z historią miasta. Jednostkowe losy wpisują się w wielką i małą historię, pozwalają zrozumieć skomplikowane dzieje mieszkań-

ców tego niezwykłego miasta, którzy nawet daleko od Lwowa zawsze pozostawali mu wierni.

PRZYPISY

- ¹ S. Zachariasiewicz, *Krwia i orężem*, Lwów 1920, s. III.
- ² Z tego okresu pochodzi zdjęcie Mieczysława Mrocza w mundurze wojskowym, MN F-11166.
- ³ *Lista chorych, zabitych i zaginionych legionistów do kwietnia 1915*, Oświęcim 1915, s. 34.
- ⁴ Muzeum Niepodległości w Warszawie (dalej MN), A2 Kolekcja Leopold (dalej A2), zespół 36, k. 2 Poświadczenie służby wojskowej Mieczysława Mrocza wydane 7 października 1938 przez Archiwum Wojskowe w Warszawie, nr 320/Leg.
- ⁵ J. Rogowski, *Z walk o Lwów*, Poznań 1925, s. 14.
- ⁶ Ibidem, s. 9.
- ⁷ J. Gella, *Ruski miesiąc I/XI-22/XI 1918. Ilustrowany opis walk listopadowych we Lwowie*, Lwów b. d. w., s. 3.
- ⁸ J. Rogowski, op. cit., s. 33.
- ⁹ Ibidem, s. 51.
- ¹⁰ S. Łapiński-Nilski, *Wypadki listopadowe*. [w:] S. Łapiński-Nilski, A. Kron, *Listopad we Lwowie 1918*, red. K. Filipow, Lapy-Białystok 1993, s. 32.
- ¹¹ J. Gella, op. cit., s. 12.
- ¹² M. Klimecki, *Lwów 1918-1919*, Warszawa 1998, s. 62. Zob. też: F. Andrusiewicz, *Szkoła Sienkiewicza, Sokolniki, IV odcinek*, [w:] *Obrona Lwowa*, t. 2, Warszawa 1993, s. 32; T. Felsztyn, *Relacja o Szkole Sienkiewicza i grupie Cytadela*, [w:] *Obrona Lwowa*, t. 1, Warszawa 1993, s. 65-66. Dowodem uznania dla tej grupy walczących było ustanowienie krzyża pamiątkowego I Załogi Szkoły Sienkiewicza: J. Partyka, *Odznaki pamiątkowe obrony Lwowa oraz niektóre z lat 1918-1920*, Rzeszów 1998, s. 25-26.
- ¹³ Tę grupę także uhonorowano odznaką pamiątkową w kształcie krzyża otoczonego wieńcem laurowym z napisem 1-22 XI 1918 Ode. Szkoła Sienkiewicza. Odznakę nadawano tylko osobom występującym w ewidencji tego odcinka; J. Partyka, op. cit., s. 33-34.
- ¹⁴ J. Gella, op. cit., s. 38.
- ¹⁵ Ibidem, s. 60.
- ¹⁶ Ibidem, s. 142.
- ¹⁷ J. Dunin-Wąsowicz, *Listopad 1-22XI 1918 we Lwowie*, Lwów 1919, s. 7.
- ¹⁸ S. Łapiński-Nilski, *Wypadki listopadowe*, [w:] S. Łapiński-Nilski, A. Kron, *Listopad we Lwowie 1918*, red. K. Filipow, Lapy-Białystok 1993, s. 34.
- ¹⁹ MN, A2, zespół 36, mat. nieopracowane, życiorys M. M. Mrocza, s. 2.
- ²⁰ J. Dunin-Wąsowicz, op. cit. s. 11.
- ²¹ Protokół spisany dnia 26 czerwca 1938 roku w sprawie ustalenia do druku listy uczestników *Obrona Lwowa w okresie 1-22 listopada 1918*, [w:] *Obrona Lwowa 1-22 listopada 1918, t III. Organizacja listopadowej obrony Lwowa. Ewidencja uczestników walk. Lista strat*, opr. E. Wawrzukowicz i J. Klink, Lwów 1939, s. XI
- ²² J. Dunin-Wąsowicz, op. cit., s. 14.
- ²³ J. Gella, op. cit., s. 219-220.
- ²⁴ Ibidem, s. 220.
- ²⁵ J. Pisuliński, *Polsko-ukraińska wojna o Lwów i Galicję Wschodnią 1918-1919*, [w:] *Boje Lwowskie 1918- 1919. Katalog wystawy*, Wrocław 2009, s. 7.
- ²⁶ J. Dunin-Wąsowicz, op. cit. s. 20.
- ²⁷ A. Medyński, *Ilustrowany przewodnik po cmentarzu Łyczakowskim*, Lwów 1937, s. 37.
- ²⁸ List Erazma Pilza do Romana Dmowskiego: M. Leczyk, *Komitet Narodowy Polski a Ententa i Stany Zjednoczone 1917-1919*, Warszawa 1966, s. 307.
- ²⁹ M. Klimecki, *Polsko-ukraińska wojna o Lwów i Galicję Wschodnią 1918-1919*, Warszawa 2000, s. 248.

- ³⁰ MN F-1 1203.
- ³¹ Bank założony w 1909 roku. Jego oddziały funkcjonowały w Warszawie, Gdańsku, Lwowie, Przemyślu, Krakowie, Lublinie. Zob.: „Tygodnik Handlowy” 1920, nr 10, s. 127; „Gazeta Lwowska” 1919, nr 140, s. 8; W. Morawski, *Słownik historyczny bankowości polskiej do roku 1939*, Warszawa 1998, s. 157.
- ³² Cz. Mączyński, Wstęp, [w:] J. Pogonowski, *Bój o Lwów*, Gdańsk 1921, s. V.
- ³³ Ibidem, s. VI.
- ³⁴ „Gazeta Lwowska” 1920, nr 155.
- ³⁵ Rozkaz Dzienny Nr 1, [w:] J. Pogonowski, *Bój o Lwów*, Gdańsk 1921, s. 11.
- ³⁶ Walczący w szeregach M.O.A.O. otrzymywali odznakę pamiątkową w formie pięcioramiennego krzyża z literami M.O.A.O. i datą 1920 na ramionach oraz stylizowanym orłem pośrodku. Krzyż Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej nadawano „za dzielność i trudy poniesione w bojach o całość i niepodległość Rzeczypospolitej w czasie napadu bolszewickiego od lipca do października 1920 roku”; J. Partyka, op. cit., s. 54-55.
- ³⁷ J. Pogonowski, op. cit., s. 2.
- ³⁸ Ibidem, s. 5. Bogaty wybór plakatów z okresu wojny 1920 roku znajduje się w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie. Zob.: S. Szczotka, *treść i forma plakatów propagandowych okresu wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920 w zbiorach Muzeum Niepodległości*, „Niepodległość i Pamięć” 2010, nr 2 (32), s. 121-132.
- ³⁹ Banki ogłosiły, że swoim urzędnikom, którzy wstąpią na ochotnika do wojska będą wypłacać pełne uposażenie; M. Klimecki, Lwów. *W obronie miasta i południowo-wschodniej granicy 1918-1920 i 1939 r.*, „Niepodległość i Pamięć” 2006, nr 3, s. 50.
- ⁴⁰ J. Pogonowski, op. cit., s. 16.
- ⁴¹ Ibidem, s. 71. Za zaszczytną służbę żołnierzy 205 ochotniczego pułku artylerii polowej nagrodzono odznaką pamiątkową w formie krzyża o wydłużonych ramionach z orłem trzymającym w szponach dwie lufy. Na piersi orła widnieje cyfra 205; J. Partyka, op. cit., s. 60.
- ⁴² J. Pogonowski, op. cit., s. 71.
- ⁴³ Rozkaz 145 z 11 września 1920 wspomniany przez Tadeusza Mrocza – MN, A2, zespół 36; MN F-1 1168.
- ⁴⁴ Rozkaz dzienny Nr 146, [w:] J. Pogonowski, op. cit., s. 76-77.
- ⁴⁵ Ibidem, s. 90.
- ⁴⁶ MN F-1 1169. Fotografia została wykonana na spotkaniu uczestników obrony Lwowa. W lewym dolnym rogu widać fragment twarzy Czesława Mączyńskiego, dowódcy obrony w 1920 roku.
- ⁴⁷ MN, A2, zespół nr 36, k. 1, karta zwolnienia Mieczysława Mrocza z M.O.A.O.
- ⁴⁸ Zalewscy mieli już syna Władysława (ur. 3 grudnia 1897 roku we Lwowie). Potem (25 stycznia 1904) urodzi się jeszcze jedna córka Halina.
- ⁴⁹ MN, A2, zespół 36, k. 73-74, zawiadomienie szkolne za I i II półrocze, rok szkoły 1907/1908.
- ⁵⁰ Ibidem, k. 75-76, świadectwo szkolne uczennicy klasy IV, rok szkolny 1911/1912.
- ⁵¹ Ibidem, k. 5, Decyzja Związku Legionistów Polskich Oddział w Lwowie o przyjęciu M. Mrocza w poczet Związku Legionistów Polskich.
- ⁵² Ibidem, 10, potwierdzenie wpłaty na Związek Obrońców Lwowa.
- ⁵³ Odznakę w kształcie równoramiennego krzyża z umieszczoną w środku okrągłą tarczą z herbem Lwowa i napisem wokół 1 XI – 22 XI, LWÓW 1918 otrzymywali wszyscy biorący udział w walce o miasto. Wraz z odznaką obrońcy otrzymywali dyplom informujący o nadaniu krzyża „za dzielność i trudy poniesione w bojach o całość i niepodległość Rzeczypospolitej w czasie oblężenia Lwowa od I do 22 listopada 1918 r.”; J. Partyka, op. cit., s. 23-25.
- ⁵⁴ MN, A2, zespół 36, k. 6, decyzja z dnia 5 sierpnia 1937 o nadaniu Krzyża Niepodległości.
- ⁵⁵ Ibidem, k. 11, decyzja Prezydium Rady Ministrów z 10 stycznia 1939.
- ⁵⁶ Przedwojenne koszary w Brzeżanach upamiętniono na pocztówce - MN P-3281. O walkach we Lwowie i okolicach we wrześniu 1939 roku: W. Włodarkiewicz, *Lwów 1939*, Warszawa 2003; idem, *Obrona Lwowa 1939*, Warszawa 1996; M. Klimecki, *Lwów. W obronie miasta...* op. cit., s. 55-63.
- ⁵⁷ O napadach na polskich żołnierzy po 17 września szerzej pisze Stanisław Żurek, *Ukraińska rebelia w Kresach we wrześniu 1939 r.*, <http://kresy.pl/kresopedia/ukrainska-rebelia-w-kresach-we-wrzesniu-1939-r/> [dostęp 11 maja 2017], Zob. też: H. Komański, Sz. Siekierka, *Ludobójstwo*

- dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939-1946, Wrocław 2004, s. 107.
- ⁵⁸ H. Wiórkiewicz, *Kolekcja Leopold Muzeum Niepodległości w Warszawie*, „Niepodległość i Pamięć” 2006, nr 3 (24), 311-346.
- ⁵⁹ *Mieczysław Opatek*, „Nasze Drogi. Czasopismo Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie” 2016, nr 2, s. 3-5.
- ⁶⁰ T. Dutkiewicz, *Szkoła pod trójkątem*, „Kurier Galicyjski” 2015, nr 23-24, s. 31; *Historia szkoły 1816-1941*, „Nasze Drogi. Czasopismo Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie” 2016, nr 2, s. 5-19.
- ⁶¹ M. Matula, *XI Liceum i Gimnazjum im. J. J. Śniadeckich we Lwowie*, „Semper Fidelis” 2002, nr 2, s. 29. Szkoła doczekała się kilkutomowej monografii wydanej w Krakowie w 2004-2007 roku w cyklu Szkoły lwowskie.
- ⁶² K. Sura, *Pierwsze zetknięcie się polskiej młodzieży szkolnej we Lwowie z sowieckim systemem w roku 1939*, Semper Fidelis 1996 nr 1.
- ⁶³ *Leksykon harcerstwa*, red. O. Fietkiewicz, Warszawa 1988, s. 434.
- ⁶⁴ K. Ryś, *Obrona Lwowa w roku 1939*, Państwowa 1943, s. 3.
- ⁶⁵ S. Kryński, *Kartki ze wspomnień starego profesora*, „Gazeta Akademii Medycznej Gdańsk” 1997, nr 8, s. 16. Zob.: Z. Ojrzyński, *Instytut Tyfusowy we Lwowie w świetle niemieckich dokumentów*, „Semper Fidelis” 1995, nr 2; J. Gardynik, *Rola Instytutu Tyfusowego profesora Rudolfa Weigla w ochronie ludności i konspiracji polskiej w okupowany Lwowie*, „Semper Fidelis” 1995, nr 2; M. Zakrzewski, *Wspomnienia karmiciela wszy*, „Semper Fidelis” 1994, nr 1; D. Nespiak, *Profesor Weigl był Polakiem z wyboru*, „Semper Fidelis” 1994, nr 6; D. Nespiak i Z. Ojrzyński, *Lwowianin i Polak z wyboru – profesor Rudolf Stefan Weigl*, [w:] Rudolf Stefan Weigl (1883-1957), Wrocław 1994, s. 7-9.
- ⁶⁶ R. Czechajowski, T. Kulikowicz-Dutkiewicz, *1816-1996 Jubileusz Szkoły im. iw. Marii Magdaleny*, Lwów 1996, s. 149.
- ⁶⁷ MN, A2, zespół nr 36, legitymacja członkowska.
- ⁶⁸ Ibidem, k. 118. Zawiadomienie o śmierci Jerzego Mrocza i pogrzebie 6 maja o godz. 14.30 na cmentarzu Łyczakowskim.

Jurij Smirnow

BRONISŁAWA WÓJCIK-KEUPRULIAN MUZYKOLOG, DZIAŁACZKA ARCHIDIECEZJALNEGO ZWIĄZKU ORMIAN

Bronisława Eugenia Wójcik-Keuprulian urodziła się we Lwowie 6 sierpnia 1890 r. jako córka Józefa Wójcika, profesora gimnazjalnego i Marii z Krystyniakich¹. Jej ojciec był w latach osiemdziesiątych XIX wieku profesorem wyższej szkoły realnej w Stanisławowie, a od roku 1887 – II wyższego gimnazjum (od 1908 r. im. Karola Szajnochy) we Lwowie. Jako jeden z najlepszych polonistów lwowskich był współautorem (wraz ze Stanisławem Tarnowskim i Franciszkiem Próchnickim) bardzo cenionych *Wypisów polskich dla klas pierwszych i drugich szkół gimnazjalnych i realnych* oraz *Wypisów polskich dla klas wyższych gimnazjalnych* wydawanych od lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. W 1895 r. Rada Szkolna Krajowa przeniosła go na stanowisko dyrektora gimnazjum w Jarosławiu, które w tym czasie przekształcono w gimnazjum wyższe. Później Józef Wójcik pełnił jeszcze obowiązki dyrektora wyższego gimnazjum w Cieszynie².

W 1905 r. rodzina wróciła do Lwowa i zamieszkała przy ul. Gliniańskiej 14. Józef Wójcik był gorącym patriotą i propagatorem języka ojczystego. W opracowanych przez niego partiach *Wypisów* przygotował krótki zarys dziejów literatury polskiej. Szeroko znane były jego mowy skierowane do młodzieży gimnazjalnej. Niektóre z nich wydano w osobnych nadbitkach (*Jak można uczyć języka polskiego jako ojczystego w klasie pierwszej naszych szkół średnich* (1882)³, *Dwa przemówienia do młodzieży szkolnej na uroczystościach ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza, urządzonych w II gimnazjum we Lwowie w latach 1887/88*)⁴.

Bronisława Wójcik uczyła się najpierw w szkołach elementarnych w Jarosławiu i Cieszynie, a od 1905 roku uczęszczała do prywatnego gimnazjum klasycznego – Zakładów Naukowych Żeńskich Zofii Strzałkowskiej przy ul. Pańskiej 16 we Lwowie. Świadectwo maturalne otrzy-

mała w 1911 roku. Od dzieciństwa fascynowała i pociągała ją muzyka. Podczas nauki w gimnazjum pobierała systematycznie lekcje muzyki, najpierw prywatnie, a następnie od 1906 r. w lwowskim Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego.

W 1911 r. wpisała się na Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Lwowskiego. Na pierwszym roku studiowała matematykę i filozofię ścisłą. Słuchała wykładów znanych profesorów – Kazimierza Twardowskiego, Mściśława Wartenberga, Jana Łukasiewicza, Jana Puzyny, Wacława Sierpińskiego i wielu innych. Spośród nich ogromnym szacunkiem darzyła przez całe życie wybitnego filozofa Kazimierza Twardowskiego⁵. W 1912 r. złożyła egzaminy w Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego i uzyskała dyplom nauczyciela muzyki w państwowych szkołach średnich. W tym samym roku „zorientowała się krytycznie we własnym uzdolnieniu, przerzuciła się na studium muzykologii, które dało jej zadowolenie i jasno skonkretyzowało cel życia”. Dla jej kariery naukowej podstawowe znaczenie miała „wyborna dyrektywa” profesora Adolfa Chybińskiego (1880–1952), kierownika Zakładu Muzykologii na Uniwersytecie Lwowskim. Pod jego kierunkiem przygotowała rozprawę doktorską na temat twórczości niemieckiego kompozytora Johanna Fischera z Augsburga (1646–1721). Jego twórczością zajęła się już w 1914 r., publikując rozprawę *Tańce polskie Jana Fischera z Augsburga*⁶. W 1916 r. przeprowadziła się wraz z matką (ojciec zmarł wcześniej) na ul. Kadecką 4. Jeszcze w tym samym roku podjęła pracę jako redaktor w Księgarni Nakładowej K.S. Jakubowskiego”.

Dyplom doktora filozofii Bronisława Wójcik otrzymała 19 lipca 1917 r. na podstawie pracy *Johann Fischer von Augsburg als Suitenkomponist* napisanej w języku niemieckim⁷. W tym czasie pociągała ją praca dydaktyczna i naukowa. W latach 1919–1920, jako profesor, wykładała przedmioty teoretyczne w lwowskim Konserwatorium Muzycznym. Starła się również o posadę na Uniwersytecie Jana Kazimierza (UJK) we Lwowie. Na wniosek prof. Chybińskiego Senat akademicki w dniu 26 listopada 1919 r. utworzył asystenturę w Zakładzie Muzykologii, postanawiając: „przeznaczyć p. dr filozofii Bronisławę Wójcikównę asystentem w Zakładzie”. Jednakże Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (WRiOP) nie zgodziło się na „mianowanie dr Br. Wójcikówny asystentką, lecz tylko demonstratorką – z powodu braku pieniędzy”. Dopiero 1 października 1920 r. otrzymała nominację na stanowisko młodszego, zaś 28 czerwca 1921 r. – starszego asystenta I stopnia. W dniu 27 lipca, na skutek starań prof. Chybińskiego, powierzone jej kurs harmonii i kontrapunktu „z obowiązkiem odbywania pięciu godzin lekcji tygodniowo”⁸.

Powierzenie wykładów młodej pracownicy naukowej było nie lada wyróżnieniem. Przepisy nie przewidywały możliwości ich prowadzenia przez asystentów, lecz jedynie przez profesorów i docentów. Asystent mógł je prowadzić tylko w wyjątkowych przypadkach przy wysokich kwalifikacjach i za akceptacją Rady Wydziału. Asystentka Wójcik otrzymała wynagrodzenie „1300 MK [marek], z dodatkiem drożyznianym 16 380 MK i dodatkiem za studia wyższe 360 MK, razem 17 940 MK.”⁹ Była to suma bardzo mała, jak na ówczesne ceny i ogromną inflację.

W tym czasie opublikowała wiele wartościowych artykułów z zakresu muzykologii¹⁰. W „Gazecie Muzycznej” ukazały się m. in.: *Muzyka jako przedmiot studiów Uniwersyteckich* (1918), *Hugo Riemann* (1919), *O balladach Moniuszki do słów Mickiewicza* (1919), *Menuet w klasycznej i romantycznej sonacie fortepianowej* (1919). W 1920 r. w Polskim Towarzystwie Filozoficznym we Lwowie wygłosiła referat O słuchaniu muzyki. Czasopismo „Rytm” zamieściło: Z zagadnień systematyki harmoniki współczesnej (1922)¹¹, a „Przegląd Warszawski” – *O wartości w muzyce* (1922). W 1922 r. w lipskim „Zeitschrift für Musikwissenschaft” zostały opublikowane fragmenty jej rozprawy doktorskiej z 1917 roku.

W 1923 r. ogłosiła w „Gazecie Muzycznej” artykuł *O kilku pospolitych pojęciach muzyki*, a w warszawskim wydawnictwie Gebethnera i Wolffa *Szkice muzykologiczne* – zbiór prac naukowych napisanych i wygłoszonych w latach 1914–1923¹². Część z nich została w tym wydaniu uzupełniona lub przerobiona. *Szkice muzykologiczne* zawierały następujące rozprawy naukowe: *Tańce polskie Jana Fischera z Augsburga*, *O mickiewiczowskich balladach Moniuszki*, *O menuecie w sonacie fortepianowej*, *O wartości w muzyce* i *O słuchaniu muzyki*. Rozprawy miały charakter nie tylko muzykologiczny, lecz również historyczny i filozoficzny. Autorka przeanalizowała dwanaście tzw. „tańców polskich” autorstwa Jana Fischera oraz historię popularności poloneza i mazurka w Niemczech i Szwecji. Dowiodła, że „tańce Fischera przedstawiają znaczną rozmaitość [...], bowiem łączą w sobie cechy niemieckie z francuskimi”. Autorka podkreślała jednak, że „melodyka tańców polskich Fischera [...] nie wykazuje pokrewieństwa z melodiami polskimi [...] Toteż, mimo widocznych cech mazurka, są one polskimi tańcami raczej tylko z imienia. Znacznie więcej zainteresowania aniżeli melodyka wzbudza rytmika tych tańców: cechy mazurka są w niej wyraźne”. Według jej opinii zainteresowanie tańcem polskim w Niemczech na przełomie XVII i XVIII wieku było zjawiskiem powszechnym. Z kolei w rozprawie *O mickiewiczowskich balladach Moniuszki* dokładnie zanalizowała sześć ballad Moniuszki napisanych do słów Mickiewicza, podkreślając, że kompozytor „przez całe życie znajdował niewątpliwie podniecie twórczą w dziełach Mickiewicza. Nie dziwi więc, że ballady

pociągnęły go ku sobie: ich pierwiastek liryczny i epiczny podniecał Moniuszkę – kompozytora dzieł scenicznych”. W artykule *O menuecie w sonacie fortepianowej* autorka poddała dokładnej analizie menuet w utworach fortepianowych Haydna, Mozarta i Bethovena, porównując go z menuetem w sonatach romantyków: Webera, Schuberta, Mendelsona, Chopina i Schumanna. Dwie następne rozprawy – *O wartości w muzyce* i *O słuchaniu muzyki* miały przeważnie charakter filozoficzny. Analizując te artykuły nietrudno zauważyć, że autorka całkiem nieźle orientowała się w niemieckojęzycznej literaturze przedmiotu XIX i XX wieku.

Praca na Uniwersytecie, w Konserwatorium i w wydawnictwie była dla młodej kobiety znacznym wysiłkiem fizycznym. Już na początku lat dwudziestych miała kłopoty zdrowotne i w związku z tym zmuszona była zrezygnować z wykładów w Konserwatorium. W listopadzie 1923 r. wszczęła też starania o urlop zdrowotny w uniwersytecie. Otrzymała go na okres od 28 listopada do 21 grudnia 1923 roku¹³.

W dniu 9 lutego 1925 r. Bronisławę Wójcik wybrano na członka przybranego Towarzystwa Naukowego we Lwowie¹⁴. W Zakładzie Muzykologii UJK pracowała do dnia 31 grudnia 1925 roku¹⁵. W tym roku opublikowała kilka artykułów – *O pewnym nieporozumieniu, Instrumenty muzyczne ludu polskiego na Podhalu*¹⁶, *O gamie w muzyce współczesnej*. W latach 1926–1929 pracowała już tylko na stanowisku redaktora wydawniczego w księgarni nakładowej K.S. Jakubowskiego.

W drugiej połowie lat dwudziestych znalazła „swoją tematykę”, nad którą pracowała do śmierci. Jak pisał Stanisław Zetowski „centrum, koło którego jednoczyły się w zwarty kompleks jej główne wysiłki badawcze, tworzyła twórczość muzyczna Chopina”. W 1926 r. w „Lwowskich Wiadomościach Muzycznych i Literackich” ogłosiła drukiem artykuł *O typowych postaciach melodii Chopina*. W 1928 roku opublikowała artykuł *Rytmika czy medyka*¹⁷, a w zbiorowej pracy monograficznej *Romantyzm w muzyce* zamieściła rozprawę *Problemy formy w muzyce romantycznej*. Autorka podkreślała, że „...w stosunku do przeszłości, na której gruncie wyrósł romantyzm, był on burzycielem i niszczyicielem formy. Jeśli jednak popatrzymy nań z perspektywy chwili dzisiejszej, to przedstawi się nam jako epoka, która dzięki swym nowym ideom, rodzącym się z poetyckich wizji wyobraźni i uczucia, stworzyła nowe elementy formy, dające wyraz różniczkowanej psychice tak przeróżnych w swym typie indywidualności 19-go i 20-tego wieku, aż do chwili współczesnej¹⁸.”

Od tego roku podjęła aktywną współpracę z nowym pismem – „Kwartalniku Muzycznym” którego redaktorem naczelnym został jej wieloletni kierownik naukowy, prof. Chybiński. Dzięki doskonałej zna-

jomości języków – niemieckiego, francuskiego i angielskiego była dobrze zorientowana w najnowszej europejskiej literaturze muzykologicznej. Na łamach tego pisma zrecenzowała wiele prac uczonych zagranicznych.

W 1929 r. ukazały się recenzje analizujące prace naukowe uczonych francuskich – L. Blareau (*L'art musical par l'analyse et le commentaire, des oeuvres a l'aide de citations thematique*), A. Coeuroy (*Panorama de la musique contemporaine*), D. Milhau (*Etudes*), niemieckich – B. Brucka (*Wandlungen des Begriffs Tempo rubato*), W. Woehla (*Melodielehre*), E. Walkera (*Das musikalische Erlebnis und seine Entwicklung*), E. Kirscha (*Wesen und Aufbau der Lehre von den harmonischen Funktionen*), Anglika – J. B. MacEwen (*Tempo rubato or Time-Variation in Musical Performance*), uczonych polskich – H. Opieńskiego (*Ignacy Jan Paderewski*), B. Szarlitty (*Nieznany skarb w Polsce. Zbiory muzyczne Edwarda Wrockiego*). Recenzje Bronisławy Wójcik wyróżniały się profesjonalizmem i obiektywnym podejściem do dorobku naukowego recenzowanych przez nią autorów. Emocjonalnie oburzała ją tylko niekompetentne lub pobłażliwe traktowanie muzyki polskiej i twórczości polskich kompozytorów. Uznanie przez L. Blareau Chopina za kompozytora niemieckiego, uznała za „skandaliczne”. Ocenę tę podzielał redaktor naczelny „Kwartalnika Muzycznego” prof. Chybiński, który pisał, że „muzycy narodowości polskiej przebywający w Paryżu [...] winni już ze względów narodowych zwrócić uwagę na tego rodzaju przykre skandale”¹⁹.

W 1929 r. powróciła na krótko do problematyki pracy doktorskiej, publikując na łaniach „Revue de Musicologie” artykuł poświęcony Fischerowi – *Un disciple de Jean-Baptiste Lully: Johann Fischer*. W tym samym roku w „Kwartalniku Muzycznym” ogłosiła kolejne rozprawy – *O polifonii Chopina i O literaturze chopinowskiej w Polsce odrodzonej*.

W tym czasie zaszły ważne zmiany w jej życiu osobistym – wyszła za mąż za inżyniera Garabeda Keupruliana. Był to rodowity Ormianin, urodzony w 1884 r. w Adrianopolu (Edirne) w Turcji. W 1903 r. ukończył tamtejsze gimnazjum o.o. zmartwychwstańców, przyjechał do Lwowa i wpisał się na Wydział Inżynierii Politechniki Lwowskiej. Jego profesorami byli: T. Obmiński, M. Łazarski, Z. Pazdro, J. Bogucki, M. Thullie, K. Skibiński, J. Lewiński, I. Drexler. Po ukończeniu studiów podjął pracę w III Wydziale Magistratu Lwowskiego. Małżeństwo zamieszkało po ślubie przy ul. Bodnarówka 7.

Pochodzenie rodzinne, a następnie związek małżeński z Ormianinem wpłynęły na głębsze zainteresowanie się etnografią muzyczną Ormian polskich. Wójcik-Keuprulian nawiązała wówczas ścisłą współpracę z redakcją „Posłańca św. Grzegorza” i włączyła się w działalność

Archidiecezjalnego Związku Ormian (AZO)²⁰. „Posłaniec św. Grzegorza” powstał w 1927 r. jako ilustrowany miesięcznik lwowskiej archidiecezji obrządku ormiańskiego. Czasopismo miało służyć integracji Ormian polskich, zamieszkałych nieraz bardzo daleko od tradycyjnych i nielicznych parafii. Pismo poruszało problemy związane z historią narodu i Kościoła ormiańskiego, pielęgnowało tradycje zachowywane w środowisku ormiańskim w Polsce, informowało o wydarzeniach bieżących i życiu diecezjalnym. Redakcja mieściła się przy ul. Ormiańskiej 13 we Lwowie. Redaktorem naczelnym był ks. infułat Dionizy Kajetanowicz, natomiast sekretarzem redakcji i administratorem wydawnictwa – Stanisław Donigiewicz. Obaj byli autorami większości artykułów i korespondencji. Już w pierwszych dniach istnienia czasopisma redakcja odczuwała brak autorów i fachowego redaktora. Z tych względów pozyskanie Wójcik-Keuprulian, która była redaktorem zawodowym, było dużym osiągnięciem zespołu wydawniczego. Od 1929 r. zajmowała się ona całkiem bezinteresownie redagowaniem kolejnych zeszytów pisma. W latach 1930–1934 „Posłaniec św. Grzegorza” opublikował 20 artykułów i notatek jej autorstwa. Artykuły te można podzielić na trzy grupy. Pierwsza z nich to rozprawy związane z ormiańską muzyką ludową, tradycjami i kulturą Ormian polskich, druga – recenzje publikacji znanych autorów polskich poświęconych Ormianom, trzecia – sprawozdania o wydarzeniach kulturalnych w Polsce i za granicą, związanych z muzyką i historią narodu ormiańskiego.

Badania naukowe nad muzyką ormiańską i wschodnią Wójcik-Keuprulian rozpoczęła artykułem *Kilka uwag o muzyce ormiańskiej*²¹. Analizując kościelną muzykę liturgiczną i muzykę ludową stwierdziła, że

„...muzyka ludowa ormiańska mniej jeszcze jest zbadana, niż muzyka liturgiczna. I tutaj również naukowych opracowań jest bardzo niewiele. Jeśli chodzi o pieśni ludowe Ormian polskich, to zachowane jeszcze ich resztki, przedstawiają dla badacza niemniej interesujące zagadnienia, jak muzyka liturgiczna ormiańska na ziemiach polskich. Zarówno wykrycie w nich macierzystych pierwiastków armeńskich, jak i ustalenie wpływów europejskich, przede wszystkim ruskich, którym z pewnością ulec one musiały, jest zadaniem dla etnografa muzycznego niezmiennie pociągającym. Nadto trzeba się liczyć także z wzajemnością wpływów muzyki ormiańskiej na Pokuciu na muzykę ludu tamtejszego. Wiekowe współzycie nie mogło w tej dziedzinie bez śladu przeminąć²².”

Priorytet miały jednak badania nad twórczością Chopina. W 1930 r., według słów Zetowskiego, ofiarowała „muzykologii europejskiej wyjątkowe, najoryginalniejsze dzieło – *Melodyka Chopina*”²³ Krytyk ten ocenił dzieło jako:

„...obszerne studium wyjątkowej wartości, rezultat długoletnich uciążliwych badań analitycznych, uskrzydlonych nową myślą. Literatura Chopinowska wzbogaciła się nowym dziełem, które nie tylko ważną w niej pozycję stanowić będzie, ale o którym można nawet powiedzieć, że znaczy w niej epokę, pewien punkt zwrotny. Dzieło to zajmie z wielu względów pierwsze miejsce w dotychczasowej literaturze muzykologicznej o Chopinie²⁴.”

Opinię tę podzielał inny muzykolog, Ludwik Bronarski z Genewy, który poświęcił *Melodyce Chopina* obszerną recenzję opublikowaną w „Kwartalniku Muzycznym”. Większość autorów – pisał – zajmowała się przeważnie życiem i osobowością Chopina, a twórczość jego była rozważana głównie od strony

„...emocjonalnej, ekspresywnej i poetyckiej: starano się wniknąć w jej treść, ustalić jej wartość estetyczną, uchwycić znaczenie umysłowe i z tego stanowiska dawano charakterystykę tak całej twórczości, jak i poszczególnych dzieł. Ale jeśli chodzi o ściśle naukowe zbadanie utworów Chopina, to dorobek dotychczasowy przedstawia się nierównie skromnie. Dr Wójcik-Keuprulian jedna z pierwszych, operując skomplikowanym aparatem fachowej wiedzy, posługując się ścisłą metodą naukową, poddała analizie znamiona stylu chopinowskiego przy pomocy obiektywnie ustalonych kryteriów, oznaczając na tej podstawie stanowisko Chopina w historii muzyki, jego stosunek do poprzedników i współczesnych mu kompozytorów, jego znaczenie dla rozwoju sztuki, który po nim nastąpił.”

Bronarski podkreślał również, że znaczenie *Melodyki Chopina* polega na tym, że „tu po raz pierwszy w polskiej i obcej literaturze chopinowskiej spotykamy omówienie całej twórczości naszego Mistrza wyłącznie pod pewnym kątem rozpatrywanej, zbadanie i systematyczne ujęcie jej cech ze względu na jeden element podstawowy”. Dalej recenzent zaznaczał, że uczona „wykazała rozległą wiedzę, erudycję i umiejętność posługiwania się metodami naukowymi. Autorka doszła do głębokiego wniknięcia w przedmiot i do bardzo poważnych rezultatów w jego zbadaniu, a pojawienie się dzieła o melodyce Chopina należy uważać za fakt ze wszech miar doniosły dla muzykologii polskiej”. Według niego Wójcik-Keuprulian nie tylko „dokonała tego czynu niemałej wagi, ale nadto doszła w rozwiązaniu tak postawionego problemu do licznych i bardzo poważnych wyników”. Recenzent uważał, że *Melodykę Chopina* trzeba przetłumaczyć na języki europejskie, żeby pionierskie myśli autorki były dostępne dla naukowców z całego świata²⁵. Bardzo wysoką ocenę tej monografii wystawił na łamach warszawskiego kwartalnika „Muzyka” Seweryn Barbag. Pisał on, „że całość dzieła kwalifikuje się na naczelne miejsce w dotychczasowej międzynarodowej literaturze o Chopinie, gdyż

żadna inna monografia nie przysporzyła nauce tyle równie pozytywnych, jednocześnie sformułowanych wyników²⁶. Zetowski uważał, że „*Melodyka Chopina* winna była autorce otworzyć podwoje uniwersytetu poprzez nominację na docentkę i przyspieszyć habilitację²⁷. Jednak sytuacja w muzykologii polskiej nie była łatwa. Na uniwersytetach brakowało wolnych miejsc. Do tego doktoraty i habilitacje kobiet w Polsce przedwojennej należały do wyjątków. Tylko nieliczne osiągnęły tytuły profesorskie. We Lwowie, w okresie dwudziestolecia międzywojennego, nie było żadnej kobiety z tytułem profesora zwyczajnego²⁸.

Jeszcze w tym samym roku Wójcik-Keuprulian zamieściła w „Księdze Pamiątkowej ku czci prof. dr Adolfa Chybińskiego” artykuł *O trioli w mazurkach Chopina*, zaś w „Muzyce” – *O pamiętniku Moniuszki*. Zrecenzowała też kilka prac: A. Guttry 'ego *Chopin – Gesammelte Briefe*, W. Hutschenruytera *Chopin Vrij benerkt nar Hugo Leichtentritt*, Holendra E.W. Schallenberga *Studien over Frederic Chopin*. Anglika M. Gillingtona *A day with Chopin*. Amerykanina Ch. D. Isaacsona *Face to Face with Great Musicians*. Omówiła również francuskie wydanie monografii Zdzisława Jachimeckiego – *Frederic Chopin et son oeuvre*. W recenzji tej ostatniej pracy podkreślała, że w porównaniu z wydaniem polskim, wydanie francuskie przyniosło nowe szczegóły analityczne, zwłaszcza w rozdziale poświęconym polonezom Chopina. Zawierało też więcej uwag konkretnych, głównie z zakresu harmoniki, a co najważniejsze, autor zilustrował opisy słowne zaobserwowanych zjawisk przykładami nutowymi²⁹. Natomiast ostro skrytykowała pracę Amerykanina Isaacsona. Uznała, że

„...trudno powiedzieć, jak okropne wrażenie pozostawia owo spotkanie twarzą w twarz z Chopinem. Na początku artykułu kreskowa podobizna Chopina, podobna do każdego, tylko nie do tego, kogo ma przedstawiać. Poniżej tytułu data 1808–1849. Trudne do pojęcia, że do roku 1929 właściwa data urodzin Chopina jeszcze do Ameryki nie dotarła! Treść książki to sentymentalny egzaltowany szkic literacki przedstawiający Chopina przy fortepianie, reprodukujący fikcyjne wynurzenia Chopina na temat stosunku jego muzyki do Polski i słowa Chopina, rzekomo przed śmiercią wypowiedziane. Na zakończenie niekompletny wykaz literatury o Chopinie [...] ograniczający się do wymienienia sześciu pozycji³⁰.

W 1931 r. w „Kwartalniku Muzycznym” Wójcik-Keuprulian zamieściła obszerną, czterostronicową recenzję z pracy lwowskiego doktora filozofii Seweryna Barbaga – *Systematyka muzykologii*. Autorka zaznaczyła, że jego praca była „pierwszą w polskiej literaturze naukowej próbą ujęcia nauk muzykologicznych w system, tym donioślejszą, że w ogóle prób takich było zaledwie kilka i to wyłącznie w nauce niemieck-

kiej³¹. W tym samym roku „Kwartalnik Muzyczny” opublikował jej artykuł *Wariacje i technika wariacyjna Chopina*, a czasopismo „Muzyka” – *O czynnikach stylu Chopina*. Ostatnia praca jeszcze w tym samym roku została przetłumaczona na język francuski i ukazała się w paryskim „La Revue Musicale”³². Dla naukowego opracowania twórczości Chopina kluczową rolę odegrał *Zarys bibliografii ważniejszych prac o życiu i twórczości Chopina* opublikowany w tym samym roku w monografii zbiorowej – *Chopin* (Warszawa). Dnia 21 listopada 1931 r. na szkolnym koncercie chopinowskim w sali Polskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie Wójcik-Keuprulian wygłosiła prelekcję *O narodowym i światowym znaczeniu muzyki Chopina*³³.

W 1931 r. weszła w skład komitetu redakcyjnego „Posłańca św. Grzegorza” jako wiceprzewodnicząca komitetu redakcyjnego. Równocześnie piastowała godność członka Zarządu AZO³⁴. W tym roku opublikowała cenny artykuł zatytułowany *Polska bibliografia ormiańska*. Opisała w nim rękopis znanego ukraińskiego historyka Bohdana Janusza, który zawierał cenną bibliografię poświęconą historii, sztuce i kulturze Ormian i Armenii. Janusz – wybitny znawca i wielbiciel historii ormiańskiej, żonaty z Ormianką lwowską zaangażowany w sprawy odnowienia katedry ormiańskiej we Lwowie, całe życie zbierał materiały, dokumenty i książki związane z armenistyką i dziejami Ormian polskich. Samodzielnie nauczył się języka ormiańskiego i zgromadził obszerną bibliotekę naukową. Rękopis Janusza składał się „z luźnych kartek alfabetycznie ułożonych, na których ręką autora wpisanych zostało z górą sześćset tytułów dzieł, rozpraw i artykułów poświęconych dziejom Ormian”. Po tragicznej śmierci Janusza AZO postanowił zakupić dla swej biblioteki wszystkie jego książki, wraz z wyżej wymienioną bibliografią. Artykuł Wójcik-Keuprulian stanowi jedyny opis z autopsji tejże bibliografii, gdyż rękopis zaginął w czasie II wojny światowej³⁵. Bibliografia zawierała bardzo dokładny wykaz dzieł poświęconych Ormianom i ich kulturze, od najdawniejszych, pisanych w różnych językach europejskich, i była doprowadzona do 1931 roku. Większość pozycji stanowiły jednak prace pisane w języku polskim i odnoszące się do historii Ormian w Polsce. Przy każdej pozycji głównej Janusz robił liczne uwagi, notatki i odsyłacze. Rękopis bibliografii ormiańskiej obejmował tytuły ze wszystkich niemal dziedzin historii i kultury Ormian w Polsce. Bibliografia obejmowała wszystkie prace dotyczące historii Kościoła ormiańskiego, jego stosunku do Rzymu, a w szczególności materiały na temat historii diecezji lwowskiej. Znajdowały się w niej liczne dzieła na temat stanowiska prawnego i politycznego Ormian, „o ich sądownictwie, o przywilejach, o udziale w handlu, rzemiośle (złotnictwo) i życiu artystycznym”. Dalej „szereg rozpraw o architek-

turze ormiańskiej, malarstwie, rzeźbie, a także o teatrze i literaturze”. Najwięcej pozycji zajmowała historia katedry ormiańskiej we Lwowie do dni dzisiejszych, dzieje kościoła ormiańskiego w Stanisławowie i dzieje klasztorów ormiańskich na ziemiach polskich. Znajdujemy tu również tytuły monograficznych opracowań dziejów Ormian w poszczególnych miastach, głównie na rubieżach wschodnich Rzeczypospolitej (Lwów, Stanisławów, Złoczów, Brzeżany, Łysiec, Kutry, Łuck, Kamieniec, Mohylew itd.) a także dzieje rodów ormiańskich i ich heraldykę. Osobno wymienić należy tytuły pamiątek, życiorysów, wspomnień, kazań, mów i listów pasterskich, które to pisma głównie z ubiegłego stulecia przedstawiają ważne dokumenty życia i kultury ormiańskiej w czasach zaboru austriackiego. Na koniec wspomnieć jeszcze trzeba prace o Ormianach na Wschodzie, w ich ojczyźnie, na Kaukazie i w Turcji, rozprawy o działalności zakonu mechitarzystów w Wiedniu i Wenecji oraz powieści malujące życie, historię i obyczaje Ormian.

Wójcik-Keuprulian pisała, że rękopis Janusza przypomina o niezmiernie ważnej rzeczy, tj. „o koniecznej potrzebie kontynuowania polskiej bibliografii ormiańskiej, zwłaszcza w zakresie zabytków literackich”. Autorka uważała, że tak w klasztorach i kościołach, jak i w domach prywatnych Ormian polskich znajdują się jeszcze liczne dawne rękopisy i druki, które należałoby szukać, opisywać, wprowadzać w obrot naukowy. Takie działania miały służyć sprawie „zachowania tradycji kulturalnych” i „wszechstronnego zbadania przeszłości” Ormian polskich³⁶. W tym samym numerze „Posłańca” Wójcik-Keuprulian zrecenzowała monografię profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego Wojesława Mole *Historia sztuki starochrześcijańskiej i wczesnobizantyńskiej*³⁷ opublikowaną w „Lwowskiej Bibliotece Słowistycznej”. Recenzentkę ucieszyło, że w rozdziałach o architekturze znalazło się sporo uwag na temat sztuki ormiańskiej.

W tym czasie Zarząd AZO wspólnie z redakcją „Posłańca św. Grzegorza” doprowadził do powstania audycji radiowej, poświęconej wyłącznie Ormianom polskim, ich historii, zabytkom i obrządkowi. Audycja została wyemitowana dwukrotnie – 7 listopada 1931 i 23 stycznia 1932 roku. Oprócz księży (D. Kajetanowicz, L. Isakowicz) i chóru młodzieży ormiańskiej wystąpiła w nich Wójcik-Keuprulian. Audycje miały charakter popularno-naukowy i przeznaczone były głównie dla młodzieży szkolnej. Radio lwowskie transmitowało je na cały kraj. Wójcik-Keuprulian opowiadała głównie o muzyce ormiańskiej, ale również podawała informacje na temat dziejów Ormian mieszkających w Polsce. Do audycji odbieranych we wszystkich szkołach lwowskich dodano cztery duże tablice (litografie) o wymiarach 100 x 70 cm, na których przedstawiono widoki katedry ormiańskiej, malowidła J.H. Rosena z prezbi-

terium tejże katedry, a także tablicę kanonów z Ewangeliarza z XII wieku z początkiem modlitwy *Ojciec nasz* po ormiańsku. Treść poranków radiowych redakcja „Posłańca św. Grzegorza” wydała w osobnym podwójnym numerze (53/54 z 1932 r.). Do tego numeru Wójcik-Keuprulian opracowała artykuł o muzyce ormiańskiej i zamieściła kilka ormiańskich pieśni ludowych wraz z nutami³⁸. W tym też numerze pisma Wójcik-Keuprulian zamieściła rozszerzoną wersję pogadanki wygłoszonej w radio na audycji szkolnej w dniu 7 listopada 1931 roku – *Z dziejów Ormian w Polsce*. W artykule tym zwróciła przede wszystkim uwagę na wkład Ormian w kulturę polską³⁹.

W 1931 r. zarząd katedry ormiańskiej we Lwowie i redakcja „Posłańca św. Grzegorza” postanowili wydać w języku francuskim przewodnik ks. kanonika D. Kajetanowicza *Katedra ormiańska i jej otoczenie*. Na prośbę redakcji i ks. Kajetanowicza, Wójcik-Keuprulian, wspólnie z mężem, dokonali przekładu tegoż przewodnika z języka polskiego na francuski. W tym samym roku z ramienia AZO uczona weszła do Komitetu Wystawy Zabytków Ormiańskich. W Komitecie, oprócz Ormian polskich, działały znane osobistości lwowskiego świata nauki i kultury: A. Czołowski, K. Badecki, M. Gębarowicz, R. Mękicki. Ł. Charewiczowa, T. Mańkowski, R. Kotula. Komitet przeprowadził wielką pracę organizacyjną, zgromadził na wystawę około 230 zabytków, wypożyczonych prawie ze wszystkich lwowskich muzeów i bibliotek publicznych. Najważniejsze zabytki pochodziły ze skarbca katedry ormiańskiej we Lwowie i kościołów ormiańskich w Stanisławowie i Tyśmienicy. Protektorem wystawy był arcybiskup Józef Teodorowicz. Składająca się z pięciu działów wystawa została zorganizowana w siedzibie AZO w terminie 19 czerwca – 31 października 1932 r. i cieszyła się wielkim powodzeniem. Wójcik-Keuprulian bezpośrednio brała udział w organizacji i opracowaniu działu IV – *Ormianie w piśmiennictwie i muzyce polskiej*. Przed otwarciem wystawy wydany został przewodnik pod redakcją A. Czołowskiego, opracowany przy współudziale Ł. Charewiczowej, M. Gębarowicza, B. Wójcik-Keuprulian, T. Mańkowskiego i R. Mękickiego⁴⁰. W tymże roku zrecenzowała także prelekcję Aleksandra Czołowskiego *O zabytkach ormiańskich w Polsce*, wygłoszoną 13 stycznia 1932 roku⁴¹.

W tym czasie Wójcik-Keuprulian nadal publikowała artykuły (popularno-naukowe, biograficzne lub polemiczne) związane z twórczością Chopina. Jako przykład można podać artykuł *Fryderyk Chopin – w 100-ną rocznicę przyjazdu do Paryża* (1931), przedrukowany w języku ormiańskim w paryskim dzienniku ormiańskim „Anahid”⁴², *Chopin w opinii literata francuskiego* (1932), *W sprawie przewiezienia do kraju prochów Fryderyka Chopina* (1932) i *Chopin a młodzież nasza* (1932).

W tym samym roku zrecenzowała trzy rozprawy naukowe autorów niemieckich. Pierwszą z nich była *Melodielehre als Einfuhrung in die Musiktheorie* autorstwa K. Blessingera, podręcznik do nauki melodyki. Wójcik-Keuprulian oceniła tę pracę bardzo wysoko, podkreślając, że już dawniej „należało naukę harmonii poprzedzić gruntowną nauką o istocie melodyki”, czego dokonał autor niemiecki⁴³. Dysertacja K. Roeselina *Beitrage zur Untersuchung der Grundhaltung romantischer Melodik* uzyskała również wysoką ocenę. „Charakterystyczne cechy melodii romantycznej – pisała – śledzi autor w dziełach Webera, Schuberta, Schumanna, Mendelsona, Chopina. Rezultat rozważań tej pracy da się krótko ująć w stwierdzeniu, że melodyka romantyczna jest obciążona treścią, oczywiście treścią muzyczną”⁴⁴. Wydana w Lipsku dysertacja M. Friedlanda *Zeitstil und Persönlichkeitsstil in den Variationenwerken der musikalischen Romantik* znalazła omówienie aż na czterech stronach „Kwartalnika Muzycznego”. „Interesująca i cenna ta dysertacja – pisała Wójcik-Keuprulian – „za cel swój obrała zbadanie stylu indywidualnego i stylu epoki w wariacyjnej sztuce romantyzmu muzycznego, na podstawie ogólnych założeń historyczno-kulturalnych oraz założeń psychologii twórczości”⁴⁵. Ostrej krytyce poddała natomiast artykuł francuskiego literata Andre Suaresa *Biedny Chopin*. Jej recenzję *Chopin w opinii literata francuskiego* opublikował „Kwartalnik Muzyczny” w kwietniu 1932 r. Suares w swoim felietonie nazwał Chopina „biednym”, wyrażając – jak pisała recenzentka – „bezgraniczną ignorancję w rzeczach muzyki [...] i wyraźnie złą wolę”. Demagogiczny charakter tego felietonu był dla polskiego świata muzycznego tym bardziej przykry, że został on opublikowany w przeddzień uroczystości otwarcia II Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina w Warszawie. Wypowiedzi Francuza w stylu: Chopin jest „znacznie bardziej pusty niż Schumann, bardziej jednostronny i bardziej ciasny [...], nie wychodzi on poza dwa lub trzy uczucia, które powtarza do nieskończoności” były bardzo obraźliwe dla polskiej opinii publicznej. Twierdzenie, jakoby Chopin „zawsze naśladowuje kogoś muzyka współczesnego lub wczorajszego: Liszta, Schumanna, Webera, nawet Fielda, czasami przepisuje całkiem po prostu; reminiscencja jego jest prawie naiwna [...] były nie tylko kłamstwem, lecz celowym obrzucaniem brudem polskiego dziedzictwa muzycznego, polskiej kultury”⁴⁶. Ostra replika Wójcik-Keuprulian była nie tylko na czasie, ale znalazła szeroki oddźwięk w polskiej prasie i licznych kręgach inteligencji polskiej.

W latach trzydziestych zaznaczył się jeszcze jeden kierunek jej badań naukowych – muzyka narodów Bliskiego Wschodu. Profesjonalne przygotowanie pozwoliło jej w krótkim czasie opracować i wydać dwie części zakrojonej na szeroka skalę monografii *Muzyka*

Bliższego Wschodu. Część pierwszą autorka poświęciła muzyce ormiańskiej, zaś część drugą – muzyce tureckiej. Obydwie części opublikowano w warszawskim „Kwartalniku Muzycznym” w 1932 i 1933 r., a także w osobnych odbitkach. We wstępie autorka podkreślała, że poznanie muzyki orientalnej „wydaje się w obecnej chwili niemal konieczne, jeśli zdamy sobie sprawę z tego, jak obficie pierwiastki jej zawarte są w europejskiej muzyce XX wieku”⁴⁷. Tymczasem o muzyce orientalnej, nie tylko w polskiej, lecz i w europejskiej historii muzyki pisano bardzo niewiele. Stąd Stanisław Donigiewicz pisał: „pojawienie się takiej publikacji po raz pierwszy w języku polskim należy powitać nie tylko z radością, ale z entuzjazmem i z wdzięcznością dla Szanownej Autorki za jej tak żmudne i bardzo trudne zadanie, którego wykonania podjęła się w wymienionej rozprawie”⁴⁸. Dwie części *Muzyki Bliższego Wschodu* miały być tylko wstępem do dalszego fachowego opracowania muzyki orientalnej na tle porównawczym z muzyką europejską, poszukiwania punktów ich wzajemnego oddziaływania. Planów tych autorce nie udało się zrealizować. We wstępie do części pierwszej autorka zauważyła, że o muzyce ormiańskiej nie wspomina się wcale lub też wie się o niej bardzo niewiele, a z całej produkcji muzycznej świata znane są tylko dwie wielkie grupy: muzyka zachodnia albo europejska i muzyka orientalna. Pod pojęciem muzyki orientalnej kryje się według niej muzyka arabska i turecko-perska⁴⁹. Autorka zbadała zasadnicze różnice między muzyką orientalną i europejską, wyrażając następujący pogląd:

„Wschodnie narody śpiewają i na swoich instrumentach grają melodie oparte na tonach gamy, która materiałem swym różni się od gamy europejskiej. Bo podczas gdy my w muzyce europejskiej posiadamy tylko dwie podstawowe miary tonu, dwa zasadnicze interwały, tj. ton cały i półton, to muzyka orientalna ma trzy takie miary podstawowe, trzy zasadnicze interwały, tj. ton wielki, ton mały i półton wielki”⁵⁰.

Analizując muzykę ormiańską Keuprulian podzieliła ją na dwie części: muzykę liturgiczną i muzykę ludową. Ormiańska muzyka liturgiczna rozwijała się według niej od końca V wieku, gdy dokonano przekładu Pisma Świętego na język ormiański i spisano teksty i śpiewy liturgiczne, przede wszystkim antyfony i hymny (szaragany, szarakany). Autorka podkreślała, że

„...znajomość nutacji ormiańskiej, a przynajmniej wiadomość o istnieniu odrębnych neum ormiańskich stanowi dzisiaj jedyną bodaj pozycję, którą uwzględniają stosunkowo dość dokładnie europejskie rozprawy historyczne [...]. Ponieważ nie wszystkie neumy ormiańskie zostały dotychczas rozwiązane, przeto i studia nad muzyką ormiańską liturgiczną są dość jeszcze ograniczone i zacieśniają się raczej do badań ogół-

no historycznych i filologicznych, nie mogąc stać się badaniami ściśle muzykologicznymi⁵¹.

Niezbadane pozostawały też według niej tradycja i zabytki liturgicznej muzyki ormiańskiej na ziemiach polskich – wpływy liturgii rzymskiej i zakonu mechitarzystów na pierwotną tradycję i praktykę Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego po unii. Keuprulian pisała: „może przyszłość pozwoli mi rozpoczęte już poszukiwania i badania muzyki liturgicznej Kościoła ormiańskiego w Polsce doprowadzić do pomyślnych rezultatów. Dziś wszakże nie tylko na ogłoszenie wyników tymczasowych tych badań, lecz nawet na ich przewidywanie byłoby jeszcze za wcześnie”⁵².

W latach trzydziestych znajomość świeckiej, ludowej muzyki ormiańskiej była w Europie bardzo niska, mimo jej starodawności. W rdzennej Armenii „kronikarz ormiański Mojżesz z Chorenu zanotował fragmenty śpiewów bohaterskich opiewających czyny herosów narodowych”. Kronikarz Mojżesz wspominał również pewne instrumenty ludowe. Ormiańska muzyka ludowa miała swych wędrownych muzykantów i poetów zwanych *aszugh*. Oni to przechowywali tradycję muzyki narodowej. Szczyt rozkwitu ich działalności przypadał na XIV wiek, lecz utrzymywali się jeszcze w XIX wieku. Wójcik-Keuprulian zwróciła uwagę na działalność dwudziestowiecznych muzyków ormiańskich, zasłużonych w dziele zbierania i zachowania dla potomnych tradycji liturgicznej i ludowej muzyki swego narodu, a mianowicie M. Jegmaliana (Ekmaliana), Ch. Kara-Murzy. R. Milikiana, A. Badmakriana, a w pierwszej kolejności na wielkiego uczonego, niepospolitego artystę, gorącego patriotę księdza Gomidas (Komitasa). Autorka podała dokładny rys biograficzny ks. Gomidas i opisała jego zasługi na polu zbierania, opracowywania i popularyzowania ormiańskiej muzyki ludowej. Wójcik-Keuprulian pisała, że

„...w samym kościele ormiańskim podał ks. Gomidas dokładnej rewizji śpiewy liturgiczne. Dzięki studiom praktyki liturgicznej w Kościołach ormiańskich w odległych, najbardziej zapadłych nawet kątach Armenii nie tylko w naczelnych środowiskach ks. Gomidas w porównawczej krytyce śpiewu liturgicznego doszedł do przekonania, iż śpiew ten przepojony jest naleciałościami obcymi, głównie greckimi i tureckimi, które niweczą pierwotny jego charakter. Ks. Gomidas postanowił oczyścić muzykę liturgiczną Kościoła narodowego ormiańskiego z wpływów obcych i przywrócić jej dawną nieskażoną prostotę. Praca i starania jego spotkały się ze zrozumieniem i uznaniem naczelnych władz kościelnych w Eczmiadzynie.

W dziedzinie muzyki ludowej dokonał ks. Gomidas „wiekopomnego dzieła wskrzeszenia i odrodzenia” rodzinnej tradycji. Wzdłuż i wszerz

przemierzył Armenię zbierając melodie ludowe, notując niestrudzenie śpiewy i tańce. Dzięki ks. Gomidasowi zmartwychwstała ormiańska rodzima pieśń ludowa i „rozbrzmiewała na nowo nieskalaną prostotą i słodczą swą melodyjnością”⁵³. Drugą kwestią, którą zajmował się ks. Gomidas, był stosunek ormiańskiej pieśni kościelnej do pieśni ludowej. Stwierdził, że pieśń ludowa była znacznie bardziej prosta od pieśni kościelnej, że „cały przepych orientalnie-melizmatyczny, przeładowanie zdobnicze, tak znamienne dla śpiewu liturgicznego kościołów wschodnich, było w ormiańskich melodiach kościelnych zjawiskiem wtórnym, którego źródła szukać należy w praktykach kantorów ormiańskich, dowoli ozdabiających prastare śpiewy kościelne pod wpływem muzycznym środowiska, zwłaszcza tureckiego”⁵⁴. Ks. Gomidas zebrał, zapisał i opracował tysiące ludowych pieśni i tańców. W latach 1895–1905 wydał kilka zbiorów tychże pieśni i tańców. Po I wojnie światowej sprawę wydania opracowanych przez niego utworów ludowych kontynuował paryski Komitet przyjaciół ks. Gomidas. Wydano jednak tylko małą część jego dorobku. Wójcik-Keuprulian pisała, że „poza rękopisami, będącymi w rękach przyjaciół i wydawanymi stopniowo [...] w Paryżu, w samym tylko patriarchacie ormiańskim w Konstantynopolu leży w rękopisie trzy tysiące pieśni ludowych ormiańskich dziś jeszcze niewyzyskanych przez uczonych, ani niedostępnych szerszemu ogółowi”⁵⁵. Większość tych pieśni była w swoim czasie wykonywana przez ks. Gomidas, który był doskonałym śpiewakiem, i przez chór pod jego kierownictwem. Po wieloletnich mozolnych studiach narodowej pieśni kościelnej i świeckiej ludowej, ks. Gomidas do tego stopnia wczuł się w charakter muzyki ormiańskiej, iż w oryginalnych swych kompozycjach „jak najwierniej zachować potrafił jej rysy znamienne”⁵⁶. W artykule *Wydawnictwa muzyki ormiańskiej Komitetu Przyjaciół ks. Gomidas w Paryżu* autorka przybliżyła zresztą czytelnikom polskim działalność tego Komitetu, który wydawał kolejne zeszyty z ormiańską muzyką ludową. Informowała o wydaniu siedmiu następnych zeszytów, a nawet podała adres, pod którym te książki można nabyć. Jako muzykolog stwierdzała, że

„...przykładem wzorowym tego, jak należy opracowywać harmonicznie [...] ormiańską muzykę ludową, są właśnie wyszczególnione zbiory pieśni i tańców opracowanych przez ks. Gomidas. Istota muzyki ormiańskiej – pisała – leży w melodii. Trzeba nauczyć się słuchać samego tylko śpiewu, samego biegu i rozwoju linii melodycznej, by w odrębności tej muzyki odkryć niewyczerpalne źródło nowych wzruszeń artystycznych. Pozwalają na to właśnie pieśni w opracowaniach ks. Gomidas. Oryginalne kompozycje ks. Gomidas są dowodem tego, co znaczy prawdziwie rasowy i narodowy charakter kompozycji artystycznej. Podobnie jak w muzyce

polskiej Fryderyk Chopin, tak w muzyce ormiańskiej ks. Gomidas nie powtarza dosłownie pieśni ludowych, lecz w samym sposobie rozwoju melodii w jej rytmice i budowie zachowuje charakterystyczne odrębne cechy narodowej muzyki [...] Trzeba było dopiero długich i żmudnych prac muzykologicznych, którym ks. Gomidas, jako muzykolog wykształcony w doskonałej szkole berlińskiego Uniwersytetu w zupełności podołał, by spod nalotu obcego wydobyć na jaw właściwe, rodzinne piękno. W opracowaniach swych, zgodnych z charakterem tej odrębnej natury ormiańskiej muzyki ludowej, ks. Gomidas dał jej pełny wyraz i doskonale ją właściwym ujęciem uwypuklił. Toteż prawdziwie wdzięczną może być nauka i sztuka europejska ks. Gomidasowi, że w ten sposób powiększył ogólną skarbnicę sztuki światowej⁵⁷.

Świat ormiański z zainteresowaniem przyjął publikację *Muzyki ormiańskiej*. Organ Patriarchatu Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego w Jerozolimie – czasopismo „Sion” przedrukowało tekst w tłumaczeniu na język ormiański. Recenzje opublikowały dzienniki ormiańskie w wielu krajach europejskich i azjatyckich, a także w USA. W stambulskim dzienniku ormiańskim „Arewelk” Jakub Martajan, profesor języków i historii Wschodu na tamtejszym uniwersytecie pisał, że Wójcik-Keuprulian, mimo że jest Polką, uważana jest przez Ormian za swoją. Jego zdaniem po opanowaniu języka ormiańskiego, potrafiła wczuć się w duszę i psychikę ormiańską. Za najciekawszą i najcenniejszą część rozprawy uznał ostatnie sześć stron, gdzie z wielkim talentem i znajomością rzeczy zanalizowała ona ormiańską pieśń ludową i tańce. Opracowanie to według niego miało dużą wartość naukową, z punktu widzenia techniki muzyki ormiańskiej, jej narodowego charakteru i wpływów na sąsiadów. Recenzent uznał nawet wyższość badań Wójcik-Keuprulian nad pracą ks. Gomidasa, który tylko zbierał i popularyzował ludowe pieśni ormiańskie. W konkluzji recenzent pisał:

„Pani dr B. Wójcik-Keuprulian uczyniła co mogła, by polskiemu czytelnikowi udostępnić i uczynić zrozumiałym cały materiał [...] Pragniemy więc by [ta], która tak skrupulatnie przestudiowała Chopina, poświęciła się również i muzyce ormiańskiej, a w szczególności ludowym pieśniom i tańcom ormiańskim. Posiadamy głęboką wiarę i dowody co do Jej kompetencji w tej pracy, sądząc z tych przykładów analizy, którą podaje w swej pracy⁵⁸.

Recenzję *Muzyki ormiańskiej* opublikował również lwowski „Posłaniec św. Grzegorza”. Redaktor Donigiewicz pisał:

„...od siebie dodajemy [...] gorącą prośbę, by Pani dr Bronisława Wójcik-Keuprulian nadal kontynuowała studia nad muzyką ormiańską, przez co przyniesie nauce polskiej nową chlubę, a u Ormian zaskarbi sobie należną wdzięczność.

Warto zaznaczyć, że także reportaże Wójcik-Keuprulian były pisane na wysokim poziomie. Jeden z nich poświęciła młodej pianistce ormiańskiej, Marii Bodurian. Twórczość dwudziestoletniej ormiańskiej pianistki z Wenecji zwróciła uwagę polskiej publiczności, dzięki występom na II Międzynarodowym Konkursie im. Fryderyka Chopina w Warszawie w 1932 roku. Po konkursie pianistka dała jeszcze dodatkowe koncerty w Warszawie i Lwowie. Koncert w sali Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie zgromadził, według relacji Wójcik-Keuprulian. „liczne sfery muzyczne miasta oraz wszystkich niemal Ormian polskich zamieszkałych we Lwowie. Na koncert przybył Jego Ekscelencja książdz arcybiskup Józef Teodorowicz”⁵⁹. Pianistka wykonała utwory klasyczne i nowoczesne ormiańskich i europejskich kompozytorów. Wójcik-Keuprulian pisała:

„...program naprawdę imponujący i bardzo różnorodny pozwolił ocenić talent i sprawność techniczną młodej pianistki w sposób wszechstronny. Wyraźnie zarysowała się różnica w wykonaniu pierwszej i drugiej części programu, rozstrzygając ocenę na korzyść wykonania muzyki nowoczesnej. Wielka biegłość techniczna, dla której nie istnieją już trudności, czystość, pewność i siła uderzenia, doskonałe poczucie rytmiczne, sprawiają, że właśnie w dziełach nowoczesnych artystka czuje się lepiej i pewniej, i daje im wyraz doskonalszy pod względem interpretacji aniżeli w dziełach klasycznych lub romantycznych. Wykonanie tak gigantycznego dzieła, jakim jest *Chaconne* Bacha było dla nas jeszcze zanadto subiektywne, można by powiedzieć „modernistyczne”, a pozbawione tej monumentalnej powagi i umiaru, jakie łączą się z wyobrażeniem naszym o stylu Bacha. Podobnie i sonata h-moll Chopina wykazała niedociągnięcia pod względem ujęcia artystycznej strony dzieła. Młodzieńczy temperament artystki nie pozwolił jeszcze na oddanie całej głębi liryzmu, skupienia uczuciowego i zamyslenia właściwego pełnym sentymentem dziełom Chopina”⁶⁰.

Bardzo wysoko oceniła natomiast wykonanie *Rapsodii ormiańskiej* włoskiego kompozytora Gino Tagliapietra, nauczyciela Bodurian. Autorka recenzji zaznaczyła, że *Rapsodię ormiańską*, osnutą na autentycznych motywach ormiańskich, kompozytor napisał specjalnie dla swej uczennicy. Na wysoką ocenę Wójcik-Keuprulian zasłużył również poemat religijny tegoż kompozytora *Cud Jezusa na jeziorze Genezaret*. Twórcza indywidualność Tagliapietra wywarła na autorce recenzji wielkie wrażenie, bo był „całkiem nieznanym w Polsce italskim mistrzem”⁶¹.

Zainteresowania ormiańską muzyką ludową korespondowały z analogicznymi zainteresowaniami muzyką polską. W 1932 r. w wychodzącym w Krakowie piśmie „Lud Słowiański” Wójcik-Keuprulian umieści-

ciła artykuł *Polska muzyka ludowa*, a w warszawskim czasopiśmie „Wiedza o Polsce” – artykuł *Muzyka ludowa*⁶². Autorka nazywała muzykę ludową jednym z „najcenniejszych skarbów kulturalnych każdego narodu [...], zwierciadłem najtajniejszej istoty odrębności narodowej, odbiciem rasowego pochodzenia i pokrewieństw plemiennych, wyrazem wszelkich przemian historycznych i zależności kulturalnych, jakie od wieków zamierzchłych aż do chwili obecnej działały i działają na ukształtowanie się narodu, jako odrębnej jednostki kulturalnej”. Autorka uznawała za muzykę ludową w znaczeniu ściślejszym tylko te twory muzyczne, których autorstwo można bez zastrzeżeń przypisać anonimowym poetom i muzykom ludowym, nie kształconym w zasadach sztuki poetyckiej i muzycznej. Uważała, że muzykę ludową należy odróżniać od muzyki popularnej o charakterze narodowym (na przykład Mazurka Dąbrowskiego czy hymnu *Boże coś Polskę*). Autorka uznała, że dorobek artystyczny ludu polskiego zaczął się zatrważająco kurczyć jeszcze w XIX wieku, wyrażała też obawę, że cywilizacja współczesna może doprowadzić do zaniku i zubożenia ludowej twórczości muzycznej. Było to jej zdaniem zjawisko niepokojące, gdyż z zasobów muzyki ludowej, z tego wiecznie żywego źródła odwiecznej twórczości ludu zawsze czerpali tematy kompozytorzy różnych epok, jak choćby Fryderyk Chopin⁶³. Autorka pisała, że chociaż w Polsce ruch na „polu etnografii muzycznej” rozpoczął się w pierwszej połowie XIX wieku, to jednak opublikowane dotąd zbiory polskiej muzyki ludowej „przedstawiają się tylko jako materiał czekający naukowego zbadania”. Autorka uważała, „że na badania naukowe czekają nie tylko pieśni i tańce ludowe, lecz również instrumenty ludowe, na przykład: dudy, kobzy, gęśle, liry, rozmaite ligawki i fujarki, które w zupełnym niemal znajdują się zaniku”⁶⁴. Wkrótce też opublikowała artykuł na temat wpływów pieśni ludowych na melodykę utworów Chopina – *Elemente des Volksliedes in Chopins Melodik*⁶⁵.

W 1933 r. Wójcik-Keuprulian zatrudniła się w wydawnictwie S.A. Książnica – Atlas we Lwowie (od r. 1935 w Warszawie)⁶⁶, natomiast jej mąż, Garabed Keuprulian, po śmierci kanonika Bogdana Dawidowicza, został lektorem języka ormiańskiego na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Razem aktywnie działali w AZO i współpracowali z redakcją „Posłańca Św. Grzegorza”⁶⁷. W tym roku ukazywały się kolejne jej artykuły: *O zapomnianych zwyczajach Ormian laickich*, *Echa odsieczki wiedeńskiej w polskiej pieśni ludowej*, *Ormianie a Polska*, *Ze współczesnej poezji ormiańskiej*⁶⁸. Wydała też w formie książkowej rozszerzoną wersję występu radiowego na temat dziejów Ormian w Polsce (*Ormianie polscy*), opracowaną przez Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Książka została wydana w serii Biblioteka Szkoły Powszechnej

i wzbogacona 5 ilustracjami. Jak pisał S. Donigiewicz była to „popularnie, pięknie napisana broszurka dla młodzieży szkolnej, zaznajamiająca z nacją ormiańską w Polsce”. Została wkrótce zalecona przez Ministerstwo WRiOP jako lektura szkolna. Książeczka wzbudziła też znaczne zainteresowanie Ormian mieszkających poza granicami Polski. W języku ormiańskim wydał ją bowiem patriarchat ormiański w Jerozolimie⁶⁹. Recenzję i informację na jej temat zamieścił dwutygodnik ormiański „Hajastani Gocznag” (Nowy Jork) i organ patriarchatu ormiańskokatolickiego w Bejrucie „Awedik”⁷⁰.

W 1933 r. „Kwartalnik Muzyczny” opublikował drugą część *Muzyki Bliższego Wschodu* pt. *Muzyka turecka*. Tym razem autorka praktycznie wstrzymała się od opisów historii muzyki tureckiej lub podawania biogramów wybitniejszych przedstawicieli tureckiego świata muzycznego. Stosunkowo mało miejsca poświęciła też problemom orientalnej etnografii muzycznej. Skupiła natomiast uwagę na ściśle fachowych badaniach muzyki turecko-perskiej (orientalnej), na badaniach techniki, rytmiki i melodyki. Zaznaczała, że

„...z powodu różnic w wysokości poszczególnych tonów gamy europejskiej i orientalnej, Europejczyk słuchając po raz pierwszy autentycznej muzyki orientalnej odbiera wrażenie takie, jak gdyby była ona fałszywa lub rozstrojona, pragnąłby pewne jej tony nieco podwyższyć, inne nieco obniżyć – jednym słowem sprowadzić melodię orientalną do miar podstawowych europejskich, całego tonu i półtonu. Oczywiście odebrałby przez to muzyce orientalnej charakter odrębny, właściwy, a nadałby jej brzmienie inne, znów dla człowieka wschodu niezrozumiałe, fałszywe. Tak właśnie dzieje się w kompozycjach europejskich pisanych w stylu orientalnym”.

Wójcik-Keuprulian uważała, że kompozytorzy europejscy, skrępowani półtonami europejskiego systemu temperowanego nie mogą żadną miarą oddać bogactwa dźwiękowego melodii orientalnej, lecz zbliżają się tylko do niej w ogólnym zarysie linii melodycznej. Wiernie natomiast mogą naśladować właściwe muzyce orientalnej rytmy oraz w przybliżeniu barwę instrumentalną w zespole orkiestrowym. Bogactwo rytmiki i bogactwo tonalne muzyki orientalnej jest wyrazem niezwykle subtelnego zmysłu melodycznego i rytmicznego narodów orientalnych. W melodii i rytmie znajdują one pełne ucieleśnienie dążeń artystycznych, zaś muzyce orientalnej obca jest harmonia i polifonia. Autorka wyliczyła szczegółowo tureckie instrumenty muzyczne i wskazała, które z nich tworzą typowy ludowy zespół orkiestrowy. Stwierdzała, że historia muzyki tureckiej najściślej związana była z historią muzyki perskiej i arabskiej. Uważała, że poznanie muzyki tureckiej przez Europejczyków jest zadaniem „niemal koniecznym, jeśli zdamy sobie sprawę

z tego, jak obficie pierwiastki jej zawarte są w europejskiej muzyce XX wieku”. Rozprawa ta była pierwszą w muzykologii polskiej publikacją na ten temat, stąd została wysoko oceniona. Od autorki oczekiwano dalszych studiów nad muzyką ormiańską i turecką, a nawet perską i arabską. Plany te pokrzyżowała ciężka choroba, na którą zapadła w skutek wycieńczenia pracą naukową i dydaktyczną.

W tym samym roku Wójcik-Keuprulian zebrała w jednym tomie, zatytułowanym *Chopin. Studia, krytyki, szkice*, swoje artykuły naukowe opublikowane w latach 1926–1932. Praca ta została wydana w Warszawie w Wydawnictwie Gebethnera i Wolffa. W przedmowie autorka tak przedstawiała swe zamiary:

„Kierowało mną [...] pragnienie, by sama metoda tych badań oraz ogólne zagadnienia metodyczne i terminologiczne [...] stały się łatwiej dostępne tak dla muzykologów, jak i w ogóle dla czytelników. Nie wątpię, iż znajdziemy sposób obiektywnego wyodrębnienia cech indywidualnych muzyki Chopina i ich zespołów, które w sumie składają się na odrębny styl jego muzyki. To ogólne torowanie drogi metodom badawczym muzykologii polskiej jest zawsze celem moich usiłowań. Przekonana zaś, że [...] zbiór moich rozpraw chopinowskich [...] przyczyni się do wzmożenia u nas zainteresowania muzykologią jako nauką”⁷¹

Oceniając własne artykuły umieszczone w tej książce, Wójcik-Keuprulian podkreśliła, że łączą się one ściśle z jej monografią *Melodyka Chopina* z 1930 roku. Jedne z nich miały przedstawiać pierwsze ujęcie zagadnień, które w *Melodyce Chopina* zostały opracowane dokładniej, a w pewnych szczegółach nieco odmiennie. Inne miały być rozwiązaniem niektórych spośród wielu zagadnień ledwie tylko naszkicowanych we wspomnianej monografii. „Krytyczne artykuły o literaturze chopinowskiej polskiej i obcej powstały również w związku z koniecznymi studiami, jakich wymagało opracowanie melodyki Chopina”. Szkice dyskusyjne i okolicznościowe (np. *O narodowym i światowym znaczeniu muzyki Chopina*) charakterem swoim wybiegały poza krąg zagadnień naukowych i miały charakter popularyzacyjny. Autorka pisała, że włączyła je do zbioru badań ściśle naukowych ze względu na ich „aktualne znaczenie w chwili obecnej”. Z tegoż powodu zamieściła też artykuł polemiczny *Chopin w opinii literata francuskiego*⁷².

Pomimo bogatego dorobku naukowego Wójcik-Keuprulian nie udało się uzyskać na Uniwersytecie Lwowskim habilitacji ani docentury, choć upłynęły już cztery lata od publikacji *Melodyki Chopina*. W tej sytuacji podjęła starania o uzyskanie habilitacji w Krakowie. Dnia 20 października 1933 r. złożyła na Uniwersytecie Jagiellońskim podanie o dopuszczenie jej do habilitacji z zakresu muzykologii. W związku z tym

Rada Wydziału Filozoficznego powołała 24 listopada komisję w składzie: Tadeusz Garbowski, Kazimierz Moszyński i Zdzisław Jachimecki⁷³. Dnia 23 lutego 1934 r., po wpłynięciu oceny pracy habilitacyjnej, uchwalono dopuścić Wójcik-Keuprulian do dalszych stadiów przewodu „z uwolnieniem od egzaminu habilitacyjnego”. Jako temat wykładu przyjęto *Stanowisko muzykologii w systemie nauk*⁷⁴. Wykład habilitacyjny dr B. Wójcik-Keuprulian odbył się 28 kwietnia 1934 r. na posiedzeniu Rady Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego⁷⁵.

„Posłaniec św. Grzegorza” pisał z dumą, że „dr Keuprulian jest pierwszą kobietą polską, która habilitowała się z zakresu muzykologii”, przypominał też, że „była ona pierwszym doktorem filozofii, która na uniwersytecie polskim otrzymała ten tytuł naukowy na podstawie pracy muzykologicznej (1917) i pierwszym asystentem w Zakładzie Muzykologicznym (w latach 1919–1925)”⁷⁶.

Melodyka Chopina i wykład habilitacyjny uzyskały wysoką ocenę zarówno komisji habilitacyjnej, jak i większości znanych muzykologów polskich, a także fachowej prasy muzykologicznej. Stąd przykrą niespodzianką stało się dla autorki zamieszczenie w „Muzyce Polskiej” anonimowej recenzji sygnowanej inicjałami T.K. Krytyk ten niesprawiedliwie, z wyraźnym uprzedzeniem, a nawet złośliwie zrecenzował wykład habilitacyjny Wójcik-Keuprulian *Stanowisko muzykologii w systemie nauk*. Uznał go za bardzo słaby, zwłaszcza pod względem metodologicznym. Pisał o „rzekomych błędach i fałszywych wnioskach”, płynących z tego wykładu Pozwolił sobie przy tym na podważenie wartości naukowej rozprawy habilitacyjnej, jak również innych prac Wójcik-Keuprulian⁷⁷. W 1935 r. zainteresowana zamieściła w „Muzyce Polskiej” odpowiedź na zarzuty, pisząc między innymi: „Muszę się bronić nie przed T.K., lecz przed tym, by T.K. swymi nieugruntowanymi wnioskami nie wytwarzał u czytelników nie znających mojego wykładu w oryginale, fałszywej opinii o moich kwalifikacjach naukowych i o wartości moich prac naukowych”⁷⁸. T.K. nie zadowolił się odpowiedzią i ogłosił kolejny złośliwy artykuł, w którym starał się obalić pozycję Wójcik-Keuprulian w polskiej muzykologii i zdyskwalifikować jej prace naukowe. Pisał m.in.: „Autorka posiada wielkie luki w metodzie pracy naukowej [...] Można wnioskować, że autorce brak zupełnie zrozumienia i znajomości metod pracy w zakresie poszczególnych dyscyplin muzykologii”⁷⁹. Był to odosobniony, niezyczliwy głos, który nie był w stanie podważyć jej wysokiej reputacji zawodowej.

Po habilitacji Wójcik-Keuprulian nadal działała w AZO, redagowała „Posłańca” i pisała artykuły na tematy ormiańskie. Do ciekawszych rozpraw naukowych należy referat *O kolędach Ormian polskich* wygłoszony 7 maja 1934 r. na posiedzeniu lwowskiego Towarzystwa

Naukowego⁸⁰. W dyskusji nad referatem zabierali głos znani naukowcy – prof. J. Janów, prof. W. Tarnawski i dr Wł. Kotwicz. Podkreślano pionierski charakter badań muzykologicznych i etnograficznych referentki, które przyczyniły się do poznania nowego, mało znanego wątku historii muzyki i tradycji ludowych regionu Huculszczyzny. Referentka omówiła sześć pieśni, które zachowały się w ustnej tradycji rodzinnej Ormian kuckich. Były one nieznanne szerszemu ogółowi, „zanikające nawet wśród samych Ormian”⁸¹. Na bożonarodzeniowe kolędy pierwszy zwrócił uwagę student Politechniki Lwowskiej, Mikołaj Mojzesowicz, który w artykule *Okres Bożego Narodzenia u Ormian w Kutach*⁸² opisał tradycje bożonarodzeniowe w swej rodzinnej miejscowości. Przy jego pomocy Wójcik–Keuprulian zapisała wszystkie sześć kolęd i zbadała pochodzenie i szczegóły ich melodii i słów. Dwie z nich, tzw. *Awedis (Radosna nowina)* były, według niej, „wersją jednej i tej samej pieśni śpiewanej ongiś w Kutach przez bractwo kościelne chodzące po kolędzie. Pieśń tę ogłosił fragmentarycznie w roku 1898 Jan Bołoz Antoniewicz”. Wójcik–Keuprulian przedstawiła ormiańskie teksty tych pieśni wraz „z przekładem polskim i porównawczym omówieniem ich melodii”. Pozostałe cztery pieśni miały charakter zbliżony do polskich kolęd ludowych. Dwie z nich zachowały „melodie oryginalne, dwie natomiast przy oryginalnych tekstach słownych posługują się znanymi melodiami kolęd polskich”. Autorka zwróciła uwagę, że rytuał Kościoła ormiańskiego, zarówno katolickiego, jak i apostolskiego (wschodniego) nie zna osobnych pieśni bożonarodzeniowych. Obok odpowiednich modlitw na dzień Bożego Narodzenia i Wigilię, w Kościele ormiańskim wschodnim istnieje tylko „allelujastyczny” śpiew, wchodzący w skład śpiewów mszalnych Bożego Narodzenia. „Muzyka ludowa Ormian w ich ojczyźnie i w ogóle na wschodzie nie posiada kolęd w tym znaczeniu, w jakim je tak obficie znamy w naszej muzyce ludowej”. Stąd autorka doszła do wniosku, że kolędy Ormian kuckich powstały pod wyraźnym wpływem środowiska polsko-ukraińskiego, które kształtowało na swą modłę także kulturę przybyszów z Armenii. Ponieważ język ormiański, jako żywy język potoczny, zaginął i tylko nieliczne rodziny ormiańskie, zwłaszcza w Kutach, pielęgnowały go jeszcze jako pamiątkę przeszłości, ogłoszenie melodii i tekstów kolęd ormiańskich przedstawiało się zdaniem autorki jako równie ważne dla filologii i historii, a nie tylko dla muzykologii polskiej⁸³. Jeszcze w tym samym roku w „Posłańcu św. Grzegorza” pojawiły się dwa jej artykuły – *Z dziejów Śniatyna, Ormian śniatyńskich i ich kościoła i Symboliczna makata*. W 1934 r. Wójcik–Keuprulian bardzo wnikliwie zrecenzowała pracę znanego lwowskiego uczonego, Tadeusza Mańkowskiego *Sztuka Ormian lwowskich*, a także dwie poważne rozprawy naukowe ks. Zdzisława Obertyńskiego – *Ormianie polscy na so-*

borze florenckim i IV sprawie ofiarodawcy ormiańskiego Ewangeliarza z XII wieku.

W maju 1934 r. Wójcik-Keuprulian brała czynny udział w III Zjeździe Polskiego Towarzystwa Orientalistycznego (PTO), który odbywał się we Lwowie. Na posiedzeniu w dniu 17 maja została wybrana przez Zarząd PTO „członkiem czynnym tegoż Towarzystwa w uznaniu działalności piśmienniczej dla spopularyzowania orientalistyki”. Prócz tego była członkiem Towarzystwa Naukowego we Lwowie, Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Societe Française de Musicologie (Paryż) i Deutsche Gesellschaft für Musikwissenschaft.

Uznaniem dla wysokich kwalifikacji zawodowych i wybitnego wkładu w badania nad twórczością Chopina było zaproszenie jej w 1934 r. do stałego udziału w pracach warszawskiego Instytutu im. Fryderyka Chopina. Jeszcze w tym samym roku Wójcik-Keuprulian została mianowana członkiem Zarządu i komisji przygotowującej kompletną edycję dzieł Chopina pod patronatem Ignacego Jana Paderewskiego. Podjęła się również redakcji czasopisma „Chopin”, będącego organem Instytutu. Stanisław Zetowski tak pisał:

„...rozmach twórczego umysłu, zda się niezmiernie, istotne uzdolnienie, gruntujące się na doskonałych fundamentach metodycznych, wyposażone omal wszechstronną, wszystkie problemy ogarniającą wiedzą teoretyczną, popartą wyborną znajomością kilku czy kilkunastu języków, niczem nie ugięta niezłomna pracowitość, dokonały, że w krótkim stosunkowo czasie Keuprulian zabłysła w muzykologii polskiej jako najznakomitsza chopinistka, której sława znalazła zasłużone odbrzmienie i za granicą⁸⁴.”

Po przyjęciu posady w warszawskim Instytucie im. Fryderyka Chopina, Wójcik-Keuprulian zmuszona była przenieść się do Warszawy. W związku z tym 1 października 1934 r. ustąpiła z Komitetu Redakcyjnego „Posłańca św. Grzegorza”. Oficjalne pożegnanie miało miejsce 6 października. Redaktor „Posłańca” tak opisywał rozstanie ze Lwowem: „Dnia 6 października br. wieczorem odbyło się w lokalu Związku uroczyste zebranie członków zarządu oraz licznych członków i sympatyków naszego Związku, celem pożegnania odchodzącej na zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko długoletniej członkini i współredaktorki p. dr B. Wójcik-Keuprulian”. Wzruszona pożegnaniem uczona zapewniała, „że węzły zadzierzgnięte współpracą nie osłabną nigdy i że odjeżdżając zostawia tu swoje serce”. Na pożegnanie zabrali głos: prezes AZO Jan Antoniewicz i redaktor naczelny „Posłańca”, ks. infułat Dionizy Kajetanowicz⁸⁵.

Na skutek wyjazdu Keuprulian redakcja „Posłańca św. Grzegorza” znalazła się w bardzo trudnej sytuacji, tym bardziej, że w tym samym

czasie wyjechał do Łodzi S. Donigiewicz. Z tych powodów, a także ze względu na trudności finansowe i brak chętnych do współpracy z redakcją postanowiono z końcem 1934 r. czasopismo zlikwidować.

W Warszawie Wójcik-Keuprulian zamieszkała wraz z mężem przy ul. Narbutta 53. Keuprulian otrzymał posadę lektora języka ormiańskiego na Uniwersytecie Warszawskim. Mimo to dojeżdżał nadal do Lwowa na UJK. Wójcik-Keuprulian objęła dodatkowo redakcję wydawnictwa S.A. Książnica-Atlas. Wygłosiła kilka prelekcji radiowych o twórczości Chopina i działalności Instytutu Chopinowskiego. Z myślą o edukacji muzycznej młodzieży przygotowała artykuł *Muzyka jako czynnik wychowania państwowego*⁸⁶. Był to głos w dyskusji toczony na łamach warszawskiego pisma „Zrąb” w związku z wprowadzeniem reformy szkolnej, tzw. jędrzejewiczowskiej (1932).

Wkrótce spadły na nią dodatkowe obowiązki. Ministerstwo WRiOP 6 grudnia 1934 r. zatwierdziło jej habilitację (odpowiedni dekret rządowy Wydział przesłał jej 13 grudnia t.r.)⁸⁷. W związku z tym musiała jeździć do Krakowa, na Uniwersytet Jagielloński z wykładami z zakresu muzykologii. Uczona zgłosiła propozycję wykładów na okres trzech trymestrów w krakowskiej uczelni, co było wymogiem formalnym. W latach akademickich 1935/1936, 1936/1937, 1937/1938, 1938/1939 w spisie wykładów z zakresu historii i teorii muzyki pojawiły się odpowiednio: *Zagadnienia metodyczne (cz. I teoretyczne, cz. II historyczne, cz. III porównawcze)*, *Zagadnienia etnografii muzycznej. Cechy odrębne muzyki polskiej*, *O muzyce ormiańskiej ludowej i religijnej*, *Z zagadnień stylu Chopina*⁸⁸.

W drugiej połowie lat trzydziestych Wójcik-Keuprulian ogłosiła drukiem kolejne rozprawy naukowe na temat twórczości Chopina, a mianowicie: *Elementy ludowej rytmiki polskiej w muzyce Chopina* (1936)⁸⁹ i *Co winniśmy Chopinowi* (1937)⁹⁰. Ostatnie lata jej życia wypełnione były aktywną działalnością w Instytucie im. F. Chopina i w Instytucie Muzykologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W dorobku ostatnich lat życia znalazło się tłumaczenie z niemieckiego obszernej pracy A. Žischki *Nauka łamie monopolę*⁹¹. Donigiewicz pisał, że „prasa codzienna jednomyślnie bardzo pochlebnie wyrażała się i oceniła przekład, niestety była to już ostatnia większa praca [...] Keuprulian”⁹².

W grudniu 1937 r., na posiedzeniu Zarządu AZO we Lwowie, postanowiono powołać do życia sekcję literacko-naukowo-wydawniczą, która miała przygotowywać i opracowywać materiały dla nowego „Posłańca św. Grzegorza”. Czasopismo miało być bowiem wznowione w 1938 roku. Prezesem sekcji został Jan Antoniewicz, członkami: ks. D. Kajetano-wicz, ks. A. Bogdanowicz, A. Bohosiewicz, Fr. Zachariasiewicz, sekretarzem St. Donigiewicz. W związku z tym Wójcik-Keuprulian natych-

miast zgłosiła się do czynnego udziału w pracach sekcji literacko-naukowo-wydawniczej i weszła w skład nowej redakcji pisma, którego redaktorem naczelnym został Franciszek Zachariasiewicz, zaś sekretarzem redakcji – Stanisław Donigiewicz. Wzięła na siebie wszystkie obowiązki związane z redagowaniem i przygotowaniem do druku pierwszego numeru⁹³. Donigiewicz wspominał, że „była ona właściwą naczelną redaktorką naszego pisma”, któremu poświęciła swój czas wypoczynku. Zdołała jeszcze przygotować do druku pierwszy numer nowego „Posłańca”. Donigiewicz uważał, że „źródłem takiego poświęcenia się i bezinteresowności w pracy dla naszego obrządku i tradycji ormiańskiej mogła być jedynie ta niewyczerpana miłość, którą obdarzyła nie tylko swoją rodzinę, ale i nasz obrządek, oraz kultywowane przez nas drogą naszemu sercu tradycje ormiańskie w Polsce. Niestety życie od kolebki twarde, obrana przez Nią praca umysłowa już wczesnej młodości wyczerpała i złamała Jej ciało, choć duch był potężny i rwał się do pracy”⁹⁴.

Bronisława Wójcik-Keuprulian zmarła w Warszawie 11 kwietnia 1938 r. w wieku 48 lat. Zgodnie z życzeniem, wyrażonym przed śmiercią, zwłoki jej przewieziono do Lwowa i złożono w krypcie przedpogrzebowej katedry ormiańskiej. Dnia 13 kwietnia, po mszy żałobnej odprawionej przez ks. infułata Dionizego Kajetanowicza i po odegraniu marsza żałobnego Chopina, kondukt pogrzebowy ruszył w stronę Cmentarza Łyczakowskiego. Została pochowana w kwaterze 50 (grób numer 438)⁹⁵. Nad grobem pieśń żałobną odśpiewali członkowie zarządu Archidiecezjalnego Związku Ormian, redakcji „Posłańca św. Grzegorza” i chóru katedralnego. Obszerne nekrologi zamieściły „Muzyka Polska” i „Posłaniec św. Grzegorza”. Stanisław Zetowski („Muzyka Polska”) i Stanisław Donigiewicz („Posłaniec św. Grzegorza”) przytoczyli dość dokładną listę jej prac naukowych i artykułów popularyzatorskich. Zetowski pisał, że odeszła jedna z najważniejszych współczesnych muzykologów polskich, znakomita znawczyni muzyki Chopina⁹⁶. IX Walne zgromadzenie AZO we Lwowie w uchwale z dnia 24 kwietnia 1938 r. uznało jej zgon za cios dla wydawnictwa „Posłańca”. Zebrani stwierdzali: „Stajemy zatem od razu wobec trudności, pomimo tego będziemy się starali pokonać je i rozpoczęte dzieło dalej prowadzić”⁹⁷.

Mimo to śmierć Wójcik-Keuprulian przeszła niezauważona. Dlatego Stanisław Zetowski w nekrologu pisał z goryczą:

„...ta sama względna cisza, która towarzyszyła sukcesom muzykologicznym śp. Bronisławy Wójcik-Keuprulian towarzyszyła jej przedwczesnemu zgonowi [...] Powszechnie milczenie prasy codziennej. W kilku pismach klepsydry ze skromną tytułaturą «docent Uniwersytetu Jagiellońskiego» niewiele mówiące w dzisiejszych czasach. Kilka, literal-

nie kilka wierszy, zawierających kilka zaledwie tytułów prac czy artykułów zmarłej. I to jedynie w dwóch czy trzech, w każdym razie niewielu pismach codziennych. Oto wszystko czym ogół kulturalny zęgnął Keuprulian⁹⁸.

Ostatni jej artykuł – *Z dziejów Armenii i narodu ormiańskiego* został opublikowany już po jej śmierci w „Posłańcu św. Grzegorza” (lipiec–wrzesień 1938). Miał to być wstęp do *Gramatyki języka ormiańskiego* przygotowywanej przez męża. Po śmierci żony G. Keuprulian wrócił z Warszawy do Lwowa, aktywnie uczestnicząc w działalności AZO i współpracując z redakcją „Posłańca św. Grzegorza”. W piśmie tym opublikował kilka artykułów o znanych postaciach z ormiańskiej historii i kultury (*Doktor Amirdowłat, Najślawniejszy Aszuch-Nahabet Kuczak*), podając informacje z zagranicznej prasy ormiańskiej. „Posłaniec św. Grzegorza” wysoko oceniając jego dorobek naukowy pisał:

„...niezmordowany krzewiciel kultury ormiańskiej, jedyny w Polsce lektor uniwersytecki języka ormiańskiego p. Garabed Keuprulian opracował gramatykę i podręcznik języka ormiańskiego wraz ze słownikiem. Podręcznik ten znakomicie opracowany, obejmujący około 400 stron, jest już w druku. Dzieło p. Keupruliana stanowi pierwsze i jedyne u nas systematyczne opracowanie w tym zakresie. Zapewnia ono dawno odczuwalną lukę nie tylko w literaturze naukowej w Polsce, ale w całej, rzecz można śmiało, Europie środkowo-wschodniej⁹⁹.

Jednak w połowie lat trzydziestych Keuprulian poważnie chorował, a w roku akademickim 1937/38 musiał wziąć urlop zdrowotny. Sprawą obsady lektoratu języka ormiańskiego na Uniwersytecie Lwowskim zajął się wówczas sam arcybiskup J. Teodorowicz. Proponował zatrudnić na stałe na tym stanowisku ks. Kazimierza Romaszkana. Jednakże kierownik Zakładu Językoznawstwa Indoeuropejskiego Wydziału Humanistycznego, prof. J. Kuryłowicz uważał, że Keuprulian odpowiada wszystkim wymaganiom fachowym. W odpowiedzi arcybiskupowi napisał: „Garabed Keuprulian pełni swoje obowiązki lektorskie sumiennie i z zapałem”¹⁰⁰. Dnia 24 października 1938 r. zawarto z nim kolejną umowę o pracę na czas określony do 31 sierpnia 1939 roku. Jednakże stan jego zdrowia na wiosnę znacznie się pogorszył. Zmarł 15 maja tegoż roku w wieku 55 lat. Pochowano go obok żony, 17 maja, na Cmentarzu Łyczakowskim. Keuprulianowie dzieci nie mieli. Nie ma już na Cmentarzu Łyczakowskim ich grobów – zostały przekopane w latach powojennych.

PRZYPISY

- ¹ S. Donigiewicz, *Z żalobnej karty. Śp. dr Bronisława Wójcik-Keuprulian*, „Posłaniec Św. Grzegorza” 1938, nr 2, s. 35; S. Zetowski, Dr Bronisława Wójcik-Keuprulian, „Muzyka Polska” VI, 1938; tenże, *Na zgon Bronisławy Wójcik-Keuprulian*, „Śpiewak” 1938, nr 5; tenże, Bronisława Wójcik-Keuprulian, „Muzyka Polska” 1939, nr 6; Z. Jachimecki, W. Poźniak, *Listy do redakcji*, „Śpiewak” 1938, nr 6; Z. Jachimecki, *Muzykologia i piśmiennictwo muzyczne w Polsce*, Kraków 1948, s. 42-43; Z. Lissa, *Keuprulianowa z Wójcików Bronisława*, w: *Polski słownik biograficzny*, t. XII, Wrocław-Warszawa-Kraków 1966-1967, s. 356-357; Z. Kościów, *Ormiańscy muzycy działający w Polsce w XIX-XXI w.*, „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego” 2005, nr 40/41, s. 58-59; W. Nowik, *Bronisława Wójcik Keuprulian (1890-1938) – w cieniu zapomnienia*, „Rocznik Chopinowski” 1995, s. 259-262.
- ² *Szematyzm Królestwa Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim na rok 1886*, s. 355; 1888, s. 345; 1890, s. 382; 1895, s.379.
- ³ Przedruk ze *Sprawozdania Dyrekcji c.k. wyższej szkoły realnej w Stanisławowie*, Stanisławów 1882.
- ⁴ Lwów 1889.
- ⁵ W dedykacji ofiarowanej mu w 1930 roku książki *Melodyka Chopina* napisała: „Najdroższemu memu Profesorowi p. dr. Kazimierzowi Twardowskiemu z wyrazami głębokiej wdzięczności”.
- ⁶ „Kwartalnik Muzyczny” II 1914.
- ⁷ Державний Архів Львівської області [dalej: DALO], fond 26, opys 15, teczka 1350, Album Promotionum am 1916/17, zapis nr 140.
- ⁸ DALO fond 26, opys 5, teczka 320, s. 1, 5, 9, 12.
- ⁹ DALO fond 26, opys 5, teczka 320, s. 16
- ¹⁰ *Słownik muzyków polskich*, t. II. Warszawa 1967, s. 294 (niemal kompletna bibliografia prac B. Wójcik-Keuprulian).
- ¹¹ Był to referat wygłoszony na zjeździe muzyków w Warszawie 4 kwietnia 1921 roku.
- ¹² W *Polskim słowniku biograficznym*, t. XII, s. 356 podano błędnie, że *Szkice* ukazały się w 1930 roku.
- ¹³ DALO fond 26, opys 5, teczka 320, s. 25.
- ¹⁴ *Sprawozdania Towarzystwa Naukowego we Lwowie*, XVI, 1936, z. 3, s. 335.
- ¹⁵ DALO fond 26, opys 5, teczka 320, s. 25.
- ¹⁶ Recenzja z pracy A. Chybińskiego.
- ¹⁷ „Muzyka” 1928, nr 3, s. 115-118.
- ¹⁸ B. Wójcikówna, *Problemy formy w muzyce romantycznej*, w: *Romantyzm w muzyce*, Warszawa 1928; „Muzyka” nr 7-9, s. 70.
- ¹⁹ „Kwartalnik Muzyczny” 1929, s. 315-316.
- ²⁰ Potwierdzał to wieloletni współpracownik redakcji „Posłańca św. Grzegorza” S. Donigiewicz, który pisał: „z wydawnictwem [...] nawiązała ona serdeczne węzły w roku 1929, po zamążpójściu za p. inż. Garabeda Keuprulian, naszego współpracownika. Od tej chwili datuje się jej bardzo wydatny udział w naszym wydawnictwie”. S. Donigiewicz, dz. cyt. s. 36.
- ²¹ „Posłaniec św. Grzegorza” IV, 1930, nr 38-39, s. 122-126.
- ²² Ibidem, s. 126.
- ²³ Nakładem wydawnictwa K. S. Jakubowskiego, Lwów 1930. Por. „Posłaniec św. Grzegorza” IV, 1930, nr 38-39, s. 136.
- ²⁴ S. Zetowski, dz. cyt. s. 254-255.
- ²⁵ „Kwartalnik Muzyczny” 1930, s. 56-57, 64, 68.
- ²⁶ S. Barbag, „Muzyka” 1930, s. 11-12.
- ²⁷ S. Zetowski, dz. cyt. s. 255.
- ²⁸ I. Suchmiel, *Lucja Charewiczowa (1897-1943). Życie i dzieło*, Częstochowa 2001, s. 72-74.
- ²⁹ „Kwartalnik Muzyczny” 1930, s. 86.
- ³⁰ Ibidem, s. 89.
- ³¹ „Kwartalnik Muzyczny” 1931, s. 323.
- ³² *Consideration sur les elements du style de Chopin*, „La Revue Musicale”, XII, 1931.
- ³³ „Lud Słowiański” 1932, III, z.1.

- ³⁴ J. Smirnow, Katedra ormiańska we Lwowie, Lwów 2002, s. 189-197.
- ³⁵ J. T. Petrus, *Archidiecezjalne Muzeum Ormiańskie we Lwowie, w: Ormianie polscy. Odrębność i asymilacja*, Kraków 1999, s. 27-31.
- ³⁶ „Posłaniec św. Grzegorza” V 1931, nr 52-53, s. 115-116.
- ³⁷ Ibidem, s. 116-117.
- ³⁸ J. Smirnow, dz. cyt. s. 194.
- ³⁹ „Posłaniec św. Grzegorza” V, 1931, nr 53-54, s. 146-156.
- ⁴⁰ *Wystawa zabytków ormiańskich we Lwowie*. 19 VI – 30 IX 1932. Przewodnik, Lwów 1932, s. 5-12.
- ⁴¹ „Posłaniec Św. Grzegorza” VI, 1932, s. 21-22. Por. też: Na Kinali-Ada, wyspie ormiańskiej, „Posłaniec św. Grzegorza” VII, 1932, s. 63-64.
- ⁴² „Posłaniec św. Grzegorza” V, 1931; „Anahid” 1931, nr 3-4.
- ⁴³ „Kwartalnik Muzyczny” 1932, s. 452.
- ⁴⁴ Ibidem, s. 454.
- ⁴⁵ Ibidem.
- ⁴⁶ Ibidem, s. 598-600.
- ⁴⁷ B. Wójcik-Keuprulian, *Muzyka Bliższego Wschodu*, cz. I, „Kwartalnik Muzyczny” 1932, s. 573.
- ⁴⁸ S. Donigiewicz, *Z piśmiennictwa*, „Posłaniec św. Grzegorza” VI. 1932, s. 119.
- ⁴⁹ B. Wójcik-Keuprulian, *Muzyka Bliższego Wschodu*, cz. II: *Muzyka turecka*, odbitka z „Kwartalnika Muzycznego” 1933, nr 17-18, s. 1.
- ⁵⁰ Ibidem, s. 1-2.
- ⁵¹ B. Wójcik-Keuprulian, *Muzyka bliższego wschodu*, cz. I, „Kwartalnik Muzyczny” 1932, s. 575.
- ⁵² Ibidem, s. 576.
- ⁵³ Ibidem, s. 580-584.
- ⁵⁴ Ibidem, s. 585.
- ⁵⁵ Ibidem, s. 587.
- ⁵⁶ Ibidem, s. 593.
- ⁵⁷ „Posłaniec św. Grzegorza” VI, 1932, s. 89-92.
- ⁵⁸ Ibidem, s. 121.
- ⁵⁹ Ibidem, s. 63.
- ⁶⁰ Ibidem, s. 64.
- ⁶¹ Ibidem.
- ⁶² Por. *Polnische Musikwissenschaft*, „Slavische Rundschau” 1932.
- ⁶³ B. Wójcik-Keuprulian, *Muzyka ludowa*, „Lud Słowiański” 1932, s. 437-438.
- ⁶⁴ Ibidem, s. 446.
- ⁶⁵ „Slavische Rundschau” 1933.
- ⁶⁶ S. Donigiewicz, dz. cyt., s. 36.
- ⁶⁷ DALO fond 27, opys 5, teczka 6894, s. 1-10.
- ⁶⁸ „Posłaniec św. Grzegorza” VII, 1933, s. 43-48, 73-79, 83-91.
- ⁶⁹ „Sion” 1934, nr 7, 8, 9.
- ⁷⁰ S. Donigiewicz, *Z piśmiennictwa*, „Posłaniec św. Grzegorza” VII. 1933, s. 88.
- ⁷¹ B. Wójcik-Keuprulian, *Chopin. Studia-Krytyk-Szkice*, Warszawa. 1933 r. s. V-VII.
- ⁷² Ibidem, s. V-VI.
- ⁷³ W dniu 18 stycznia 1934 roku nie przyjęto oceny pracy habilitacyjnej „z powodu niewygotowania referatu”. Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego [dalej: AUJ] WF II 49.
- ⁷⁴ AUJ WF II 49 (23 marca 1934).
- ⁷⁵ W tym samym roku jej wykład habilitacyjny został opublikowany w krakowskim czasopiśmie „Notatki i Rozprawy Muzykologiczne”.
- ⁷⁶ „Posłaniec św. Grzegorza” 1938, s. 36.
- ⁷⁷ „Muzyka Polska” 1934, z. 1, s. 329-330.
- ⁷⁸ „Muzyka Polska” 1935, z. 5, s. 70-73.
- ⁷⁹ Ibidem, s. 74-76.
- ⁸⁰ *O kołędach Ormian polskich, w: Sprawozdania Towarzyska Naukowego we Lwowie*, 1934.
- ⁸¹ *Sprawozdania Towarzystwa Naukowego we Lwowie*, 1934, s. 103-104.
- ⁸² „Posłaniec Św. Grzegorza” II, 1928, nr 16-17, s. 144-147.
- ⁸³ „Posłaniec św. Grzegorza” VII, 1933, s. 73-74.

- ⁸⁴ S. Zetowski, dz. cyt. s. 256.
- ⁸⁵ „Posłaniec św. Grzegorza” VIII, 1934, nr 9-10, s. 88.
- ⁸⁶ „Muzyka” 1934, nr 6-7.
- ⁸⁷ AUJ Dziennik Podawczy WF II: Pismo Ministerstwa nr BP 17581/34.
- ⁸⁸ *Spisy wykładów Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Kraków 1935-1938.
- ⁸⁹ *Księga pamiątkowa ku czci Leona Pinińskiego*, Lwów 1936 I.
- ⁹⁰ „Chopin” 1937 II
- ⁹¹ Wyd. Książnica-Atlas. Lwów – Warszawa 1938, 328 stron.
- ⁹² S. Donigiewicz, dz. cyt., s. 36.
- ⁹³ J. Smirnow, dz. cyt., s. 195.
- ⁹⁴ S. Donigiewicz, dz. cyt., s. 36.
- ⁹⁵ DALO: Книга похованьна Личаківському цвинтарі, Том на букву К.
- ⁹⁶ S. Zetowski, dz. cyt. s. 253.
- ⁹⁷ „Posłaniec św. Grzegorza” 1938, s. 27.
- ⁹⁸ S. Zetowski, dz. cyt. s. 253. W zbiorach największych bibliotek uniwersyteckich Zetowski odnalazł tylko kilka tytułów książek i artykułów Wójcik-Keuprulian. W bibliografii wymienił 39 pozycji prac naukowych jej autorstwa, do których S. Donigiewicz podał listę jeszcze 19 artykułów opublikowanych w „Posłańcu św. Grzegorza”. W 2005 roku autor niniejszego artykułu odszukał w bibliotece naukowej Uniwersytetu Lwowskiego 14 jej prac, przy tak bogatym dorobku naukowym!
- ⁹⁹ „Posłaniec św. Grzegorza” 1938, nr 4, s. 83.
- ¹⁰⁰ DALO fond 26, opys 5,teczka 841, s. 17, 23

Adam Redzik

PAWEŁ AŚLANOWICZ (1907–1979) LWOWSKI KOMPOZYTOR I WARSZAWSKI ADWOKAT

U*pić się warto* – to jedna z najbardziej znanych piosenek Mariana Hemara. Niewielu wie, że muzykę do niej współtworzył z Hemarem lwowski prawnik Paweł Aślanowicz. Niewielu dziś też pamięta głośną niegdyś piosenkę *Randka pod Wiedeńską* z rewii o tym samym tytule legendarnego teatrzyku „Nasze Oczko”, kierowanego przez Wiktora Budzyńskiego – tak tego, który stworzył *Wesołą Lwowską Falę*. Budzyńskiego i Aślanowicza łączyła nie tylko muzyka, umiłowanie teatru i radia, ale i studia prawnicze... Nie byli zresztą wyjątkiem. Prawnikiem i praktykującym adwokatem był przecież Henryk Vogelfänger, czyli Tońko ze słynnego duetu radiowego a potem też filmowego – duetu z Kazimierzem Wajdą (Szczepkiem). Studia prawnicze we Lwowie ukończyła też śpiewająca aktorka lwowskiego radio Włada Majewska. Prawo studiował Emanuel Schlechter, choć studiów nie ukończył, podobnie zresztą jak znakomity kompozytor Alfred Schutz (autor m.in. muzyki do *Czerwonych Maków na Monte Casino*). Wszyscy się znali i współpracowali ze sobą na scenie i w radio.

110 rocznica urodzin wydaje się dobrą okazją do przypomnienia sylwetki adwokata Aślanowicza – po wojnie przez kilka lat redaktora naczelnego „Palestry” – pisma adwokatury polskiej, a poza tym znawcy prawa finansowego i cywilnego i asystenta na Wydziale Prawa uniwersytetów w Łodzi oraz w Warszawie.

Paweł Jerzy Aślanowicz urodził się 11 stycznia 1907 r. w Jarosławiu, w rodzinie o korzeniach ormiańskich Henryka, urzędnika skarbowego i Bronisławy z Dymnickich. Miał siostrę Helenę (po mężu Butrymowicz). W Jarosławiu ukończył gimnazjum klasyczne (1925) oraz średnią szkołę muzyczną. Następnie wyjechał na najlepsze studia prawnicze w kraju – do Lwowa. Wydział Prawa UJK ukończył

23 października 1929 r. Dwa lata później tamże uzyskał stopień doktora praw (17.12.1931).

Już w czasach studenckich Aślanowicz komponował muzykę dla piosenki dla Akademickiego Teatru Literacko-Artystycznego „Nasze Oczko”, kierowanego przez Wiktora Budzyńskiego, a także dla lwowskich rewelersów – *Chóru Eryana* Jana Ernsta. Jak na wstępie wskazano był autorem muzyki do rewii pt. *Randka pod Wiedeńską*, wystawianej w sali Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego we Lwowie przy Akademickiej 13 przez teatrzyk „Nasze Oczko”. Był to rok 1928 lub 1929. W rewii wystąpili m.in. Krystyna Pryzińska (potem Budzyńska), Jerzy Lewicki, Stanisław Czerny i Witold Espenhan. Tytułowa piosenka była śpiewana i nagrywana przez kilku wykonawców, m.in. Chór Eryana. Wspólnie z Janem Ernstem Aślanowicz napisał też muzykę do następnej rewii „Naszego Oczka” – pt. *Same hece*. Pracował też w rozgłośni Polskiego Radia Lwów i był jednym z kompozytorów muzyki wykorzystywanej w trakcie niezapomnianej audycji „Wesoła Lwowska Fala”. Melodie, muzyka Aślanowicza w większości przysypał piasek, ale jest wyjątek, wspomniany wielki przebój, do którego napisał muzykę wspólnie z Marianem Hemarem, czyli *Upić się warto* ze słowami oczywiście Mariana Hemara.

Jako artysta Paweł Aślanowicz używał czasami pseudonimu „Pawas”. W ankiecie w ZAIKS (członkiem był od 1932) zgłosił także pseudonim „Walenty Łaseł”, ale – jak sam przyznał – właściwie nie używał go.

Pół roku po ukończeniu studiów, w marcu 1930 r. Aślanowicz rozpoczął aplikację adwokacką pod patronatem adw. Izaaka Rabinowicza w Jarosławiu i odbywał ją przez dwa lata, po czym porzucił przygotowania do zawodu adwokata. W powyższym okresie, od sierpnia 1930 do czerwca 1931 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy we Włodzimierzu Wołyńskim. Następnie służył w 1 pułku artylerii najcięższej w Warszawie (30.06.1931–12.09.1931), gdzie odbywał też w kolejnych latach ćwiczenia (13.07.1932–25.08.1932). Z dniem 1 stycznia 1933 r. awansowany na podporucznika rezerwy, a w 1935 r. przeniesiony został do pospolitego ruszenia.

W styczniu 1932 Aślanowicz rozpoczął aplikację sądową w okręgu Sądu Apelacyjnego w Warszawie (odbywał ją w Sądzie Grodzkim, w Wydziale Cywilnym Sądu Okręgowego, w Wydziale Cywilnym i Karnym Sądu Apelacyjnego oraz przy Prokuratorze Sądy Okręgowego). Egzamin sędziowski zdał w dniach 13–17 lipca 1934 r. z wynikiem dobrym. Nominacji sędziowskiej jednak nie uzyskał.

Z dniem 1 lutego 1935 r. rozpoczął pracę w administracji skarbowej. 1 lipca 1936 r. został referendarzem w okręgu administracyjnym Izby

Skarbowej w Warszawie. Do 11.08.1936 pracował w Wydziale II Izby Skarbowej (podatki bezpośrednie). Następnie pracował jako praktykant w Urzędzie Skarbowym w Pułtusku, a potem, do 27.04.1937, był zastępcą dyrektora i kierownikiem działu pomiarowego Urzędu Skarbowego w Kutnie. Wówczas został zastępcą naczelnika urzędu i kierownika działu wymiarowego w I Urzędzie Skarbowym Warszawa-Powiat, skąd z dniem 1.10.1937 został powołany do Ministerstwa Skarbu na stanowisko referenta w Wydziale Administracji Podatkowej w Departamencie Podatków i Opłat, a 24.04.1939 mianowany został radcą w Ministerstwie Skarbu w tym samym departamencie.

We wrześniu 1939 znalazł się w Wilnie i tam spędził pierwszy rok wojny, utrzymując się jako pianista w teatrze na Pohulance a także grając w kawiarniach.

Od lipca 1940 do upadku Powstania Warszawskiego mieszkał w Warszawie. W tym czasie, 20.07.1940 aresztowało jego ojca. Zamordowany został 29.12.1940 w KL Dachau.

Od 20.08.1940 do kwietnia 1944 r. Paweł Aślanowicz pracował jako referent w Inspektoracie Finansowym Warszawa I (PI. Dąbrowskiego 5) – inspektoraty były małymi izbami skarbowymi (na terenie Warszawy działało 36 urzędów skarbowych i dwa inspektoraty skarbowe) i stanowiły władze podatkowe II instancji (na czele ich stał Niemiec – Finanzinspekteur). W maju 1941 A. wezwany został przez szefa Dystryktu Warszawa do „przeprowadzenia dowodu aryjskiego pochodzenia” w terminie do 15.06.1941, pod rygorem zwolnienia ze służby. Udało mu się zdobyć dokumentację dla siebie i żony i przeprowadzić dowód. Kilkakrotnie spotykało go denuncjacje do niemieckich władz o żydowskich korzeniach. Od kwietnia do sierpnia 1944 A. był zastępcą naczelnika 33 Urzędu Skarbowego w Warszawie. Mieszkał w tym czasie na Żoliborzu. Po upadku Powstania Warszawskiego trafił do obozu w Pruszkowie, skąd udało mu się wydostać. Wyjechał do Krakowa, gdzie krótko przebywał. Następnie zamieszkał w Raławicach (pow. miechowski). Tam pracował jako praktykant w aptece. W czasie okupacji utrzymywał kontakty z podziemiem, ale nie działał aktywnie w państwie podziemnym. W Powstaniu Warszawskim brał udział pomocniczy (dostarczając wodę, pomagając w zaopatrzeniu), jako mieszkaniec a nie żołnierz (tak pisał w okresie stalinowskim). Pod koniec marca 1945 wyjechał do Łodzi.

Od 1.04.1945 do 30.08.1945 pracował jako inspektor w Wojewódzkim Oddziale Tymczasowego Zarządu Państwowego, czyli instytucji państwowej powołanej w celu zabezpieczenia i rozdysponowywania majątkiem państwowym, działającej na podstawie dekretu z 2.03.1945 o *majątkach opuszczonych i porzuconych*. Od 1.09.1945 do 1.06.1946 był

referentem prawnym słynnej Spółdzielni Pracy Aktorów „Syrena” w Łodzi. Spółdzielnia owa to Teatr Miniatur „Syrena”, określane też Teatrem Rewiowym „Syrena”. Został on uruchomiony w Łodzi w 1945, a Asłanowicz był jego współtwórcą – wspólnie z pisarzem i autorem tekstów piosenek Jerzym Jurandotem. Był też przez niemal rok kierownikiem muzycznym Teatru „Syrena”. W 1948 teatr przeniósł się do Warszawy, gdzie istnieje do dziś (ul. Litewska 3).

Jednocześnie, od 1.01.1946 r. do 31.08.1947 r. Asłanowicz pracował w charakterze asystenta na Wydziale Prawa UL przy Katedrze Nauki Skarbowości. Pracował także jako wykładowca na Wyższym Studium Skarbowym w oddziale SGH w Łodzi. Był też wówczas „referentem prawnym”, jak o sobie pisał, w Okręgowej Izbie Lekarskiej w Łodzi. Latem 1947 przeniósł się do Warszawy. Z dniem 10.10.1947 został asystentem wolontariuszem przy Katedrze Skarbowości i Prawa Finansowego UW i pracował na tym stanowisku do września 1950.

Na listę adwokatów dopuszczonych do wykonywania zawodu A. został wpisany 11.07.1946 – z siedzibą w Łodzi, a ślubowanie złożył 20.07.1946. Wkrótce poddany został weryfikacji. Komisja Weryfikacyjna IA w Warszawie 28.02.1947 uznała, że A. „za godnego należenia do stanu adwokackiego”. Na tej podstawie 26.06.1947 wykreślony został z listy adwokatów dopuszczonych do wykonywania zawodu a wpisany na listę adwokatów IA w Warszawie. W tym czasie przeniósł A. siedzibę kancelarii z Łodzi do Warszawy. Ponownie podany został weryfikacji na podstawie ustawy z 1950. Wojewódzka Komisja Weryfikacyjna przy AIA w Warszawie 3.10.1951 utrzymała w mocy wpis A.

Do partii politycznych A. nigdy nie należał. Był natomiast członkiem stowarzyszeń i organizacji społecznych. Od 1945 A. był członkiem Związku Zawodowego Pracowników Sztuki i Kultury, od 1949 ZPD (potem ZPP; w l. 1957–1969 był prezesem Zarządu Okręgu Warszawskiego ZPP, od 1959 członkiem ZG ZPP, od 1967 członkiem Prezydium ZG ZPP, a od 1969 członkiem Komisji Rewizyjnej ZPP), a od 1950 TPPER.

Początkowo zawód adwokata wykonywał jako radca prawny. Od listopada 1946 do grudnia 1947 był radcą prawnym Naczelnej Izby Lekarskiej, od marca 1947 do sierpnia 1949 Ministerstwa Budownictwa, od września 1949 do września 1951 – Stowarzyszenia Architektów RP, od stycznia 1950 do września 1952 – Przedsiębiorstwa Państwowego Artos, od lutego 1950 do lipca 1958 – Spółdzielczego Banku Farmaceutów, od stycznia 1953 Spółdzielni Sztuki i Przemysłu w Warszawie, od marca 1953 – przedsiębiorstwa Miastoprojekt, od 16.04.1953 – Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego.

Wolną praktykę adwokacką podjął z dniem 6.06.1952. Tego dnia skierował pismo do RA z wnioskiem o przeniesienie siedziby do Tusz-

cza, na co uzyskał zgodę 19.06.tr. Po kilku miesiącach, 3.12.1952 prosił RA o przeniesienie siedziby z powrotem do Warszawy, co motywował brakiem klientów i nie wznowieniem sesji wyjazdowych sądu w Tuszczu. Do wniosku RA się przychyliła 18.12.1952. Od marca 1953 r. był członkiem ZA nr 18 w Warszawie (ul. Rutkowskiego). Z dniem 1.02.1956 w miejsce fili ZA nr 1 w Pułtuskach uruchomiono w Wyszku ZA nr 1, którego kierownictwo powierzono A., delegowanemu z Warszawy (siedziby A. na jego wniosek nie przenoszono). ZA w Wyszku kierował do 1965, kiedy powołany został na redaktora naczelnego „Palestry”. Powrócił do ZA nr 18 w Warszawie. 29.05.1959 powołany na zastępcę Rzecznika Dyscyplinarnego RA w Warszawie. Aplikantem A. był Karol Potrzebowski (od 22.09.1949)

Na podstawie uchwały Prezydium NRA z 14.12.1964 A. został redaktorem naczelnym „Palestry”. Redakcję przejął po odnowicielu czasopisma adw. Stanisławie Janczewskim. „Palestrę” redagował przez niemal osiem lat do nr 8 z 1972. Wspierał go w tym sekretarz redakcji Edmund Mazur.

Od 1.02.1974 wykonywał zawód w ograniczonym wymiarze. Z dniem 28.02.1977, w związku z ukończeniem 70 lat, został wykreślony z rejestru ZA nr 18 i przeszedł na emeryturę.

Paweł Aślanowicz zmarł 15.05.1979 r. w Warszawie. W małżeństwie z Janiną Józefą ze Starnawskich, farmaceutką (córką właścicieli apteki w Kutnie), zawartym w 1937, miał syna Andrzeja (ur. 1940).

Odnaczony m.in.: Krzyżem Kawalerskim OOP (22.07.1959), Złotą Odznaką za Zasługi dla Województwa Warszawskiego (2.05.1967), Złotą Odznaką ZPP (13.10.1965), Honorową Odznaką Stowarzyszenia ZAiKS (1.12.1968).

Przez całe życie Paweł Aślanowicz łączył pracę prawniczą z pasją muzyka. Jako adwokat zawód wykonywał w Łodzi, Warszawie, Tuszczu i Wyszku, jako kompozytor pozostał lwowskim.

Bibliografia:

Archiwum Izby Adwokackiej w Warszawie, sygn. 1/16; J. Ernst, *Dwie linie życia*, t. 1, Lublin 1988, s. 91. 93; A. Fedorowicz, *Pełny wymiar: listy przyjaciół*, Tarnów 2002, s. 36; W. Filler, *Teatr Syrena: gwiazdy, premiery, kulisy*, Wydawnictwo Rewers 1991, s. 9; A. Mizikowska, *Tadeusz Sygietyński i jego Mazowsze*, Warszawa: Rytm 2004. s. 48–49; A. Redzik, *Poczet redaktorów naczelnych „Palestry”, „Palestra”* 2014, nr 9, s. 368–384; Redzik, Kotliński, *Historia Adwokatury*, wyd. 3, s. 144. 392; S. Świeżawski, *Wielki przełom: 1907–1945*, Lublin 1989. s. 180–182: Informacje od syna Andrzeja.

Janusz Wasylkowski

LWOWSKIE MISCELLANEA

Lwów w grafice

Od dłuższego już czasu przygotowujemy dużą wystawę, unikalną, jak się nam wydaje – *Lwów w Grafice. Miasto. Ludzie. Wydarzenia*. Wystawa, ze zbiorów prywatnych kilku kolekcjonerów z Krakowa, Bytomia i Warszawy zaprezentuje ponad 450 obiektów, od XVII w. po dzień dzisiejszy.

Takiej wystawy nigdy nie było.

W 1934 r. we Lwowie była wprawdzie wystawa pod tytułem *Lwów dawny i stary w grafice i fotografii*, ale...

Wystawa ta, obok grafik, obejmowała także akwarele, gwasze i rysunki (po dzień dzisiejszy zresztą w lwowskich muzeach zalicza się do grafik wszystkie inne dzieła sztuki wykonane na papierze). Ponadto ówczesna prezentacja nie objęła portretów lwowskich osobistości, ani grafik z książek lub z czasopism. Te ostatnie (np. znakomite drzeworyty drukowane często w warszawskich „Kłosach” i „Tygodniku Ilustrowanym”, głównie w latach 1865–1885, pokazujące nie tylko architekturę Lwowa, ale i jego życie codzienne, społeczne – są dziś prawie niezbrane). Muzea i biblioteki publiczne rzadko organizują wystawy grafik, zarówno ze względu na wymogi techniczne (światło, jarzeniowe, określona, stała temperatura) oraz inne jeszcze kłopoty – organizacyjne lub finansowe. Grafika staje się sztuką niemal zapomnianą.

O grafice lwowskiej pisano niezbyt wiele, raczej fragmentarycznie.

Mieczysław Opalek o litografii lwowskiej pisał w trudnym powojennym okresie, nie mając dostępu do wszystkich źródeł, Witold Szoginia zapoczątkował jedynie pracę nad najstarszymi grafikami Lwowa – i na tym się w zasadzie skończyło.

W tej sytuacji przygotowywanie omawianej wystawy, poszukiwania grafik znajdujących się posiadaniu prywatnych kolekcjonerów, ale i penetracja zbiorów muzealnych i bibliotecznych (także w dzisiejszym

Lwowie), stają się swego rodzaju przygodą, podczas której napotykamy na wiele niespodzianek.

Jest i okazja do weryfikacji pewnych ocen, np. Witold Szolginia, w ślad za Januszem Witwickim, twierdził, że słynny, najstarszy widok Lwowa (Hogenberga i Brauna z 1618 roku) wykonany został, wg rysunku Aurelio Passarotiego, z wieży cerkwi św. Jura. Sama cerkiew (cerkiewka raczej) umieszczona została po lewej stronie panoramy, według ówczesnej ponoć manieri. I że Witwicki, posługując się metodą tzw. wciskania wstecznego, ustalił, rzekomo bez wątpienia, punkt, z którego rysownik obserwował miasto i wykreślił panoramę.

Nie znam metody wciskania wstecznego, żaden ze znajomych architektów też nic na jej temat nie wiedział, a że miałem wątpliwości do jej wyników, pozwoliłem sobie zastosować metodę prostą, nawet – można powiedzieć – prostacką, z pomocą ołówka, kalki i linijki. Kalkę przyłożyłem do jakiegokolwiek planu Lwowa i odrysowałem zarysy murów miejskich czyli Wały Hetmańskie. Następnie ten szkic przyłożyłem do murów miasta w sztychu Hogenberga. I punkt, z którego Passarotti rysował Lwów wypadł tam, gdzie go oczekiwałem.

Otóż było to wzgórze, dziś już prawie niezauważalne, zabudowane, nad późniejszym Parkiem Miejskim (Kościuszki), jakieś sto metrów od również późniejszych zabudowań klasztoru Sacre Coeur. Natomiast widok na śródmieście Lwowa wykonany właśnie z wieży (a nie wieżyczki Św. Jura), wydrukował w litografii P. Piller ok. 1860 r. Ta właściwie prawie nie znana grafika prezentująca Lwów, niejako z lotu ptaka, jest dla mnie rewelacją.

Są też zagadki.

W 1908 r. w czasopiśmie węgierskim „Szalom Ujsag”, w październikowym wydaniu specjalnym poświęconym Galicji („Galiczia irasban es kepekben” – „Galicja w opisach i obrazach” CZ. I), wydanym w języku węgierskim i polskim znalazła się ilustracja „Dawny widok Lwowa”. Jest to reprodukcja jakiegoś nieznanego, zapewne miedziorytu: z XVII w. Wieże miasta nie za bardzo odpowiadają rysunkom na innych ówczesnych widokach, ale mury miejskie od strony wschodniej, Brama Krakowska i skromna jeszcze budowla kościoła Bernardynów odpowiadają ówczesnej rzeczywistości. Zaciekawia natomiast kolumna, podobna do kolumny bł. Jana z Dukli, stojąca przy Bramie Krakowskiej, a nie pod Bernardynami.

Niestety, ilustracja pozbawiona została tzw. szyldziku czyli informacji kto, kiedy ją wykonał i ewentualnie gdzie, być może w jakiej węgierskiej książce została po raz pierwszy wydrukowana. Zapewne na rozwiązanie tej zagadki należałoby się wybrać do Budapesztu...



Dawny widok Lwowa. — Lemberg régi kéne.

Inna ciekawostka. Pod koniec XIX w. ukazało się we Lwowie kilka widokówek wykonanych metodą chromolitografii, które były swego rodzaju grafikami, ale te pominiemy, bo widokówki to temat na odrębne wystawy i publikacje.



Ratusz.

Natomiast w tymże czasie ukazały się dwa albumy (a raczej albumiki) fotograficzne Lwowa. Jeden z nich, małego formatu (64 x 104 mm) składał się (rzeczywiście się składał, gdyż była to składanka z 12 ilustracji), drugi, nieco większy (100 x 127) znamy tylko fragmentarycznie (3 widoki). Ale nie były to, jak się im bliżej przyjrzało, zwyczajne zdjęcia fotograficzne, ale fotografie zupełnie nie znanych we Lwowie litografii. Wydawcą tych kuriozalnych „dziełek” miał swoją siedzibę we ...Frankfurcie nad Menem. O autorze czy autorach tych prac nic nie wiemy i pewnie nigdy się nie dowiemy.

Dwa wydarzenia

Kiedy na początku lat 70-tych ub.w. można było wreszcie pojechać do Lwowa (na zaproszenie lub tzw. *voucher*) lwowiacy, z którymi rozmawiałem, nie tylko Polacy, opowiadali w głębokiej niemal tajemnicy o dwóch wydarzeniach, które wstrząsnęły lwowską społecznością. Nie precyzowano w tych opowieściach, kiedy to się zdarzyło, a ja nie byłem zbyt dociekliwy, wiedziałem przecież, że tych informacji, sensacyjnych i tragicznych jednocześnie nie wykorzystam jako dziennikarz, gdyż nawet mój pierwszy artykuł o Polskim Teatrze Ludowym we Lwowie przeleżał kilka miesięcy, zanim jedna redakcja zdecydowała się go wydrukować, po skrótach, oczywiście.

Pierwsza z tych opowieści dotyczyła wydarzeń wokół kościoła św. Elżbiety. Otóż Sowietci postanowili w pewnym okresie zlikwidować krzyże na wieżach kościołów, którym, wyznaczono inną funkcję, na przykład skład mebli czy magazyn.

Na wieżę wdrapał się robotnik, a wokół kościoła zaczął gromadzić się tłum. Kościół został zbudowany na rozległym placu, wokół niego było wyjątkowo dużo miejsca. Tłum gęstniał, tłum milczący, ale groźny, cicho pomrukujący. Kiedy robotnik, po zakończeniu swej „pracy” na jednej z wież, zaczął wspinać się na drugą, pośliznął się i spadł. Lwowiacy uznali ten fakt za znak za ostrzeżenie... Może i lokalne władze też wołały nie ryzykować i dalsza dewastacja wież kościelnych została wstrzymana.

Bodajże kilkanaście lat temu o tym wydarzeniu czytałem artykuł ukraińskiego pisarza w którymś z warszawskich dzienników. Była to wzruszająca relacja. Ale o drugim wydarzeniu, o którym mi przed laty opowiadano, chyba nikt do tej pory nie napisał.

Otóż po Lwowie, przez wiele lat po wojnie jeździły tramwaje pamiętające lata dwudzieste i trzydzieste. Pamiętam, że korba hamulcowa była jakby osobnym elementem wyposażenia przedziału motorniczego i, że hamowanie nią wymagało sporego wysiłku.

Lwowscy tramwajarze wyjechali do Polski, trzeba było przyuczać nowych, przyjezdnych, na ogół z odległych wsi. Na dodatek zgodnie z hasłem „kobiety na traktory”, przyuczano wiele młodych dziewcząt.

I zdarzyło się, niestety.

Taka przyuczona, a może niedouczona dziewczoja prowadziła tramwaj jadący w dół Gródeckiej, od kościoła św. Elżbiety, spadek ulicy jest tam stosunkowo duży, trzeba hamować, ale dziewczynie sił nie starczyło, wóz pędził; w dół, a ona była bezradna. Podobno wyskoczyła z tramwaju z krzykiem „Ditko jedzie!, a wóz (wozy) pognały na skręt w ulicę Kazimierzowską. A za tym zakrętem była wysepka, przystanek dla tramwajów jadących w górę Gródeckiej i drugiej – Janowskiej.

Na tej wysepce stały ponoć gromady dzieci, które wyszły akurat z cyrku, pierwszego murowanego cyku we Lwowie, dumy ówczesnych władz. Notabene cyrk ten wybudowano u podnóża cerkwi św. Jura, niemal tam, gdzie proponowano go zbudować jeszcze pod koniec XIX w. stulecia.

Na zakręcie rozpędzony wozy wypadły z szyn, przewróciły się i przevalając się przez oczekujących, przetoczyły się przez jezdnię, chodnik i rozwały mur otaczający szkołę św. Anny. Było podobno ponad 50 zabitych, głównie dzieci, nie licząc rannych.

Słowa o tej tragedii nie napisano, zabroniono nawet wspominać, pamiętamy owe: „Palec skaleczony w socjalizmie nie boli”.

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Takie wydarzenia, tragedie wydarzały się nie tylko we Lwowie. W tym samym mniej więcej czasie, pod koniec lat 50-tych, podobny wypadek zdarzył się na Dolnym Śląsku, pod Świebodzicami. Od strony Wałbrzycha jechał pociąg towarowy wypełniony balami drewna, na tzw. lorach. I widocznie na ostrym choć szerokim łuku rozluźniły się łańcuchy wiążące drewno, być może tylko jednej lory. I bale wysunęły się prawie metr poza bok wagonów. I akurat zdarzyło się, że w przeciwnym kierunku, od Wrocławia jechał pociąg osobowy. I wystające bale roztrzaskały bok pociągu wypełnionego, jak to wtedy normalnie bywało, podróżnymi. Podobno też zginęło ponad 50 osób, a żadna gazeta słowa o tym nie napisała. O nieszczęściu tym opowiedziała mi jedynie koleżanka z liceum, której matka zginęła w tej katastrofie.

Czarnuszka

Kto jeszcze z naszych Czytelników pamięta smak chleba kulikowskiego, opiewanego przez lwowskiego Homera – Mariana Hemara, w wierszu, który stał siłą tytułem słynnego tomiku – *Chlib kulikowski...?*

Chleb wypiekany w podlwowskim Kulikowie, najdroższy chleb

we Lwowie, nie był powszechnie i przez wszystkich spożywany. Bielutki, z mięszem przypominającym ser szwajcarski, z chrupiącą podczas jedzenia przyrumienioną skorupką posypaną czarnuszką... Pychota z masłem, bez jakiegokolwiek wędliny, cymes nad cymesami...

Niestety, nie wiemy kim był piekarz, który wypiekał tak cudowny chleb, chlebuś. Dziwne, że nie zachowała się jakakolwiek wzmianka o tym człowieku. Co się z nim stało? Wywieźli go na Sybir czy do Kazachstanu bolszewicy, zamordowali Niemcy? Nie wiemy nawet czy był Polakiem, Ukraińcem (Rusinem) czy Żydem.

Nikomiu po wojnie nie udało się odtworzyć receptury tego chleba, choć próby bywały, podobnie zresztą, jak nie udało się nikomu odtworzyć słynnych predi lwowskich.

Na czym polegała tajemnica tego chleba? Może na wodzie, gazowanej chyba, bo nikt nie słyszał o źródłach mineralnych w Kulikowie?



Nasza pocziwa czarnuszka – Złoto Faraonów

Jedna z kobiet ocalonych w lwowskich kanałach, których losom film poświęcono w którymś ze swoich wspomnień-wywiadów, powiedziała że kiedyś po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych, będąc w tramwaju czy autobusie w jakimś mieście poczuła nagle zapach tego chleba... Nie mogła wysiąść, aby sprawdzić skąd ten zapach i jego prawdziwość, ale pamięć zanotowała to zdarzenie przez lata.

Ale...

Zgodnie z tytułem niniejszego rozdziału, miało być o czarnuszce. Przed laty, gdy mój kręgosłup zaczął dawać znak o sobie, kto mi doradził, żebym w sklepach „Herbapolu” kupił nasiona owej czarnuszki, które podobno działają na regenerację jakiejś tam galaretki międzykręgosłowej, która z biegiem naszych lat wysusza się czy wykrusza i stąd bóle. Posłuchałem, pomogło. Potem wielu znajomym polecałem ten lwowski, jak mi się wydawało, specyfik.

Wspomniałem o nim znajomemu lekarzowi-reumatologowi, odpowiedział, że słyszał o tym, ale w swojej lekarskiej praktyce nie stosuje.

Moje bóle ustały, a kiedy znowu się pojawiły, na rynku reklamowano duński preparat, ziołowy ponoć, o nazwie Zinaxin. Też pomógł. Ale w ostatnich latach ów lek zniknął nagle z aptek i nawet w Danii nie udało się ustalić, co się z nim stało.

Wróćmy zatem do czarnuszki. Jest ona dostępna teraz w licznych, bogato zaopatrzonych sklepach zielarskich.

I tu – kolejna dla mnie niespodzianka, z reklamówki informującej o zaletach czarnuszki dowiaduję się, że „nasza” lwowska czarnuszka ma przebogata przeszłość. Znana już była w starożytnym Egipcie, w świecie arabskim nazywana jest „złotem faraonów” i znajduje się w każdej domowej apteczce. A bliżej nam nieznany prorok Muhhamed powiedział, że „czarnuszka leczy wszystko oprócz śmierci”.

Dalej reklamówka wylicza kilkanaście chorób i dolegliwości, na które pomaga ten cudowny, jak z tego wynika ów specyfik.

Ale, ale...

O oddziaływaniu na międzykręgową galaretkę nie ma ani słowa. A kręgosłup niejednemu lwowiakowi i niejednej lwowiance dolega...

Poszkodowani

Tak się złożyło, że w wyniku powszechnie znanych wydarzeń, przesuńnię granic itp, żaden lwowski pisarz czy malarz, rzeźbiarz, nie ma swojego muzeum. Mówię oczywiście o Polakach, których pokrywa cień zapomnienia. Nawet nasz wspaniały komediopisarz Aleksander Fredro doczekał się jedynie (i to z trudem) jedynie swoistej „Izby Pamięci”

w Rudkach, w dzwonnicy kościoła, w którego podziemiach spoczęły jego doczesne szczątki.

A kto i kiedy upomni się choćby o Grottgera, Rodakowskiego, Sichulskiego, Lama, już nie mówiąc o Zapolskiej?

Przed laty, w „Roczniku Lwowskim” poszukiwaliśmy śladów kilku zapomnianych pisarzy, którzy wydali oryginalne książki o Lwowie i losach jego mieszkańców. Chcieliśmy poznać drogi życia Ferdynanda Neumeuera, piszącego pod pseudonimem – Józef Beżłuda (autora „Akademii Józka” i „Józko żołnierzem polskim”), Stanisława Helsteina, także piszącego pod pseudonimem – Jerzy Kryszand („Akademia urwipółcia”), a także drukarza i wydawcy kilku tygodników humorystyczno-satyrycznych – Adolfa Doll-Doleczka (Olpińskiego), autora tworzącego jeszcze przed epoką Wesołej Lwowskiej Fali, Tońcia i Szczepcia, batiarskie humoreski o Józku Czuchraju czy Michalinci Świrku, którymi zaczytywał się nie tylko plebejski Lwów.

Pytaliśmy o rodziny, krewnych, znajomych owych autorów, także i w prasie emigracyjnej, nie było odzewu. Nie dało się także ustalić okoliczności śmierci powieściopisarzy i satyryka Wilhelma Raort (Józefa Rappaporta), który aresztowany przez Sowieców znalazł się w więzieniu w Złoczowie, na które spadły w 1941 r. hitlerowskie bomby.

Jest jeszcze jeden autor, o którym mało wiemy, a który, gdyby żył (lub jego spadkobierca) byłby zamożnym człowiekiem. To Kazimierz Sejda, autor książki „C.K. dezenterzy”, którą przerobił na rewelacyjną superkomedię filmową inny lwowiak – Janusz Majewski. Ale o autorze książki nawet reżyser i inni twórcy filmu niewiele mogli powiedzieć. Jedyne, niezbyt precyzyjne informacje znajdujemy dziś w internecie w Wikipedii:

„KAZIMIERZ Sejda ur. w 1900 lub 1902 r. we Lwowie, zm. w 1959 r. w Hamburgu. Syn Stanisława Seide oraz kuzyn Bronisława Seydy, lekarza – pisarza. W czasie wojny był kapitanem w Powstaniu Warszawskim. Był ciężko ranny, stracił prawą rękę i został przeniesiony do szpitala w Niemczech a następnie do oflagu. Po wojnie poślubił trzecią żonę, wdowę Helenę, Niemkę. Mieszkał z nią oraz z jej dziećmi w Hamburgu, gdzie zmarł na zawał serca. Był prezesem Stowarzyszenia Ofiar Hitleryzmu w Hamburgu. Książka „C.K. dezenterzy” została w Polsce powojennej wydana dwukrotnie. Kazimierz zmienił nazwisko na Sejda, gdy doszło do konfliktu z ojcem z powodu jego niezapowiedzianego ślubu. Po rozwodzie poślubił drugą żonę i miał synka, oboje tragicznie zginęli w czasie wojny. Jest autorem powieści „C.K. dezenterzy” zekranizowanej w roku 1985 przez Janusza Majewskiego.”

Książka Seydy, wydana została w 1936 r. w Warszawie, wyjątkowo starannie, niemal luksusowo, z ilustracjami Atelier Girs-Barcz. Choć

autor pochodził ze Lwowa i jednym z bohaterów powieści był lwowiak, nadpełtwiańska prasa nie wykazała szerszego zainteresowania autorem. Czy był choć jeden z nim wywiad, choćby na temat: czy opisywane w książce wydarzenia pokrywają się z wojennymi doświadczenia autora? A może ówczesna sytuacja polityczna w Europie nie sprzyjała już wspominkom i to żartobliwym z I wojny światowej?

I dopiero ten film! Z plejadą wspaniałych aktorów, z niezapomnianym Markiem Konradem...

A'propos – tu nieco osobista dygresja. Otóż Marek Konrad debiutował, jeszcze jako student ostatniego roku PWST, w telewizji, w jednoaktówce Tadeusza Kwiatkowskiego „Lekcja miłości” (wraz z Ireną Karel – też lwowianką oraz Bogdanem Baerem). A szefem ówczesnego telewizyjnego Teatru Rozrywki (komedii właściwie) był niżej, a właściwie wyżej podpisany...

Jeszcze jedno nazwisko – Karol Weinzieher. Jestem w posiadaniu 27 drzeworytów tegoż autora (w tym płóciennej teki z 8 pracami oprawionymi w passe-partout). Wszystkie przedstawiają zabytki z miast i wsi województwa tarnopolskiego. Wiedziałem też o akwarelach krzemienieckich tego autora. Poszukiwania jakichkolwiek śladów jego życia nie przyniosły żadnej odpowiedzi. Ostatnio natomiast na warszawskim targu staroci kupiłem niewielki olejny widok Góry Bony oraz rysunek tuszem podmalowany akwarelą z widokiem ulicy Staropocztowej w Krzemieńcu. I tu ciekawostka, ten ostatni widoczek z 1931 r. sygnowany jest: Karol von Weinzieher. Von...? Czyżby autor był potomkiem niemieckich kolonistów na Wołyniu?

Tak się złożyło, że w bieżącym numerze „Rocznika” mamy artykuł (szkic literacki) poświęcony nieznanemu pocie krzemienieckiemu, zilustrujemy go zatem widokami nieznanego artysty, malarza i grafika. Też dobrze.

II. Beletrystyka, wiersze, wspomnienia

Władysław Bohm

POWRÓCĘ

Jeśli drzewem powrócę
to na Cmentarzu Orłąt wyrosnę

Jeśli ptakiem
wtedy w Stryjskim Parku na wiosnę
wyśpiewam wszystkie piosenki lwowskie

W jesienną szarugę
przybędę deszczem
by z Wysokiego Zamku
pokłonić się raz jeszcze
Miastu mojemu

A kiedy zima będzie na świecie
zjawię się w śnieżnej zamieci
rozkołysanym zawodzącym wichrem
przeleczę przez ulice
i wszystko białym puchem zarzucę

Czekajcie nam mnie.

Powrócę!

Ignacy Szenfeld

HISTORIA PRZERWANEGO LOTU

W samolocie było zacisznie i swojsko. Pachniało mocną kawą, przednim koniakiem i subtelnymi perfumami smukłych stewardes rozdających uśmiechy i napoje. Dyskretnie pomrukiwały silniki, niczym rozleniwione i syte koty. Nastrój spokoju szybko udzielił się Zygmunтови – to znowu była swoja, pocziwa Europa. Był zadowolony, iż siedzi sam i nie musi podtrzymywać rozmowy z niedostępną w ciągu tych ostatnich dni zacną *Frau* Brigitte, która upatrzyła sobie miejsce w rzędach dla palących. Spojrzał w jej stronę, odpowiedziała mu czułym błyskiem oczu spoza ogromnych okularów, jak przystało na oddaną sprawie sekretarkę Wydziału Eksportowego. Wyciągnął się na ile tylko można było w odrzuconym do tyłu fotelu, przymknął oczy, rozluźnił mięśnie i poczuł wyraźnie, jak wyparowuje z niego nerwowe napięcie owych pięciu dni spędzonych w Moskwie. Nie chodziło nawet o ustawiczne targi kontrahentów o cenę, o chęć przechytrzenia go i narzucenia niekorzystnych warunków. Bo tego już przywykł w negocjacjach z Rosjanami. Nie, tu w grę wchodziło instynktowne uczucie niebezpieczeństwa, czyhającego nań w obozie nieprzyjacielskim. To był strach przed ciemnością, kiedy nie wiadomo, z której strony może nagle paść cios. Ileż to razy trafił go dawniej we śnie koszmar, że jakieś płaskie gęby mongolskie uśmiechają się do niego złośliwie, owłosione łapy rwą jego paszport szwajcarski, a huczący głos czyta z jakiegoś świstka, że na podstawie orzeczenia „Osobowo sowieszczanija pri NKWD SSSR” z lutego 1940 roku zostanie on teraz odesłany do łagrów na Kołymie, by tam odpracować trzynaście lat i dwa miesiące, od których udało mu się wykręcić na podstawie unieważnionej obecnie umowy między Stalinem i generałem Sikorskim... Ratunku! Panno Święta, Boże miłosierny, mamó, Hanko, interweniujcie, róbcie raban w świecie, organizujcie protesty!!! Krzyczał i płakał przez sen, dopóki przestraszonej Hance nie udało się go obudzić. Uśmiechał się do niej przez łzy szczęśliwy, że to tylko sen-mara, Bóg-wiara, a ona matczynym gestem ocierała mu chłodny pot z czoła i szeptała do ucha, że nikomu go nie odda. Ten właśnie straszny sen, spychany na ostatni plan podświadomości, wypływał jak pławik na powierzchnię za

każdym jego pobytem w Moskwie. Gdy w drodze powrotnej samolot odrywał się od pola startowego w Szeremietiewie, Zygmunt doznawał wielkiej ulgi, jakiej inny doświadcza schodząc z samolotu w punkcie docelowym. I tym razem Bóg zmiłował się – raduje się serce. Ale teraz już wszystko furda-burda, jak mawiał ojciec. Za jakieś dwie godziny Zurych, a tam czeka Hanka i jak zwykle, z długim czerwonym goździkiem w ręku, dumnie poprowadzi go do samochodu...

Samolotem nagle zachybotąło, jakby naleciał na jakąś przeszkodę, cisnęło nim w górę i w dół, ale trwało to tylko mgnienie oka i znowu zamruczały syte koty. Chciał poprosić o kawę, ale wszystkie stewardesy sfrunęły do kabiny pilotów. Za chwilę zaskrzeczało coś w głośnikach i przyjemny baryton w trzech językach poinformował pasażerów, że lot przebiega normalnie i na zadanej wysokości, niemniej jednak uprasza się o wyrozumiałość: za kilka minut samolot wyląduje w porcie lotniczym we Lwowie dla sprawdzenia silników. To nie powinno zająć dużo czasu.

Pasażerowie ledwo zdążyli zgasić papierosy i zapiąć pasy ochronne, gdy samolot zaczął raptownie się opuszczać, aż zaboląło w skroniach i uszach. Zbyt krótkie, widocznie, lądowisko dla samolotów tej wielkości nie pozwalało pilotowi równomiernie i łagodnie utracić wysokość.

Z samolotu zeszli wszyscy na uginających się – jak z waty – nogach i z zatkanymi uszami. Ale *Frau* Brigitte znalazła się od razu obok niego, demonstrując swoją postawą gotowość podtrzymania szefa.

Oślabły i ogłuszony nawet nie zauważył, jak się znaleźli w niewielkiej sali „Inturista” dla paszportów tranzytowych. Wszyscy byli wyraźnie oklapnięci i zielonkawi na twarzy. Ciężko opadli na masywne ławy i krzesła wokół szerokich stołów i z trudem łapali powietrze ustami. Tylko bogate w doświadczenia stewardesy, które nie w takich bywały opalach, uśmiechały się rozbijając, jak gdyby przeproszały w imieniu *Swissairu*, że coś takiego mogło się przydarzyć jego pasażerom.

Z wolna przychodził do siebie i pierwszą jego myślą było, że Hanka będzie się niepokoić i już nie ruszy się z lotniska, póki on się nie zjawi, chociażby to trwało kilka dni. A może tam ogłoszą komunikat i ona się dowie, że on jest we Lwowie. We Lwowie? Jezus Maria, we Lwowie! Nie, to niemożliwe, to się w głowie nie mieści. „W głowie si nie mieści, ta ja w rodzinnym mieści”... Nagle wrócił dawno utracony dar improwizowania lwowskich kupletów, jego numer popisowy w teatrzykach studenckich i wojskowych. Oto co znaczy tylko łyknąć powietrza lwowskiego. „A nam Lwirodu tylku jeden łyk, a już muzyka w sercu bum-cyk-cyk”, pfuj, do diabła, jakaś szajba obłuźniła mu się we łbie przy tym okropnym lądowaniu. Ale dlaczego jest tak podniecony, dlaczego chce mu się śpiewać i wygłupiać? I od razu zmęczenie jak ręką odjął. Pomyślał, że należałoby zadzwonić do Hanki, uspokoić ją. Zaczął się rozglądać, czy

nie ma tu automatycznego telefonu międzynarodowego, lecz w porę uprzytomnił sobie gdzie się znajduje. Takie automaty będą u nich dopiero za sto lat, jeżeli w ogóle kiedyś będą. Ale musi przecież być jakiś urząd pocztowy skąd można by zamówić rozmowę.

Wstał, przeciągnął się, uspokoił gestem ręki *Frau* Brigitte i skierował się do toalety. Chciał się odświeżyć, ale ciepłej wody w kranach nie było i nie widać było ręczników. Przez przeciwległe drzwi wyszedł do głównej hali dworca. Wszystko tu było w dobrze mu znanym moskiewskim stylu: boazeria „pod dąb”, żyrandole kryształowe, połączane figury gipsowe, sztukateria, duże *panneau* w socrealistycznym sosie. Wokół bufetu w rogu skłębiony tłum. Powietrze przesyczone jakimiś kwaśnymi wyciewami.

W kantorku pocztowym „mołodyca” ukraińska w białej bluzce z bufiastymi rękawami spojrzała nań z zaciekawieniem, wysłuchała o co chodzi i śpiewnie odpowiedziała, że owszem, rozmowę z Zurychem można zamówić, ale przez Moskwę. Na połączenie trzeba będzie poczekać około pięciu godzin. Machnął z rezygnacją ręką i widząc, że nikt nie zwraca nań uwagi – wyszedł na ulicę.

Chciał zobaczyć, jak to wygląda z zewnątrz, bo przecież lotnisko w Skniłowie znał od najmłodszych lat. Z górnej części ulicy Gródeckiej, gdzie mieszkał z rodzicami, było do lotniska niedaleko. Po wojnie z bolszewikami w 1920 roku biegł oglądać pierwsze aeroplany, skrzyżowanie etażerki z latawcem, na małym lotnisku na Błoniach Janowskich, gdzie później był krótko tor wyścigowy. Z czasem, gdy młode lotnictwo polskie upierzyło się, a raczej oskrzydliło i powstało duże lotnisko w Skniłowie, dokąd zapuszczał się z kolegami przez osiedle Kulparków.

Tam, gdzie kiedyś stał skromny budynek dworca, a obok parę hangarów, wznosił się teraz gmach zdobny w kolumny, posągi i wieżę ze złożoną iglicą w stylu empiru stalinowskiego. Zapadał już wczesny zmierzch październikowy, a on błędził oczyma po przeistoczonej okolicy i szukał znajomych koszarów 6 pułku lotniczego. Za rozgałęzionymi podjazdami widniały jakieś budowle, a jeszcze dalej rozbłysła nagle światłami szeroka ulica, biegnące w stronę miasta. Wypatrywał oczy, czy nie dostrzeże na tle nieba Kopca Unii Lubelskiej, sylwetek wieży ratuszowej i bliskiego kościoła świętej Elżbiety, ale dokąd wzrok sięgał, wszystko było obce i nieznanne. Wciągnął głęboko powietrze i zaleciało spalenizną. Nie był to „słodki dym ojczyzny”, jak pisał któryś z klasyków rosyjskich, ale gryząca woń palonego śmiecia. Zmarkotniał i tą samą drogą wrócił do sali tranzytowej.

Zaniepokojona *Frau* Brigitte czekała już pod drzwiami i widać było, że szykowała się wtargnąć do toalety i wszcząć akcję ratunkową. Uradowana, jęła z ożywieniem relacjonować informacje otrzymane od

stewardesa: defekt silników okazał się poważniejszy niż przypuszczano, przy tutejszych warunkach remont może się przeciągnąć do rana. Kapitan samolotu starał się załatwić dla wszystkich nocleg w hotelu, ale nigdzie nie ma wolnych pokoi, a kiedy chciał zamówić kolację, okazało się, że w bufecie mają tylko sałatkę „winigret” z ćwikły i jakieś podejrzane chłodne „biteczki”. Tylko herbata z samowaru jest dobra i ona gotowa mu ją przynieść. Podziękował, wtulił się w kąt ławy, podniósł kołnierz palta i postanowił zasnąć.

Powoli ucichał zgiełkliwy natłok myśli, ale jedna nie ustępowała: nie więcej niż sześć kilometrów dzieliło go od domu, gdzie spędził dzieciństwo i młodość, od domu, który opuścił w przededniu pamiętnego września 1939 roku, by nigdy nie wrócić. Tylko sześć kilometrów. Ongiś przebył tę odległość – pamięta – w ciągu trzydziestu minut, kiedy chciał zobaczyć słynnych lotników – Żwirkę i Wigurę, zwycięzców Challenge w 1932 roku. Ciekawe, ile czasu zajęłoby mu to teraz? Jeżeli biegiem, to wykitowałby chyba na pierwszym kilometrze, ale marszem – ho, ho! – niejednego młodzika jeszcze zdystansuje. Jeżeli by nacisnął pedały, to za jakąś godzinę znajdzie się na Kopytkowym, można zresztą złapać takśówkę... Ale nie! – to wszystko szaleństwo, zna porządki gospodarzy, tu nie wolno opuszczać pomieszczeń tranzytowych. I tak dziw, że nie postawili dotąd milicjanta przy drzwiach. Zaskoczyło ich to przymusowe lądowanie i nie przedsięwzięli odpowiednich kroków. Więc co, może jednak?...

Otworzył oczy i rozejrzał się ostrożnie, by nie zwrócić uwagi *Frau* Brigitte. Chwała Bogu, śpi tak samo jak wszyscy. A więc siup, było, nie było, co będzie, to będzie! Grunt, że jest we Lwowie!

Ulica była szeroka, domy stosunkowo nowe i bliźniaczo do siebie podobne. Na którymś ze skrzyżowań dostrzegł tabliczkę z napisem: „Ulica Kulparkowskaja” i ucieszył się, bo to przecież stara znajoma – Droga Kulparkowska. Tu gdzieś, z prawej strony w dużym parku musi być Zakład Kulparkowski, słynny „dom wariatów”. Tylko gdzie się podziały domki kolejarzy i tramwajarzy, którzy chętnie tu osiadali, zajmowali uprawą sadów owocowych i hodowlą królików i gołębi? To była niemal wieś, a teraz wśród brzydkich jednolitych domów przejeżdżają sfatygowane autobusy z oświetlonym napisem: „Плосzczад Љыпnewaja – ulica Artiona”. Ki diabeł, gdzie to jest, co to za nazwy?

Ale oto autobusy skracają w prawo w jakąś ulicę Turgieniewa? Co miał Lwów wspólnego z Turgieniewem?! Ale zaraz, to miejsce jest mu debrze znane, ta ulica biegnąca w lewo – to Za Rogatką, więc on idzie po ulicy Lwowskich Dzieci. Ludzie, trzymajcie mnie, ulicę Lwowskich Dzieci przemianowali skurczybyki na Turgieniewa! Oczywiście, nie w smak im byli owi żołnierze austriackiego pułku piechoty imienia Lwowskich

Dzieci, niemal wyłącznie Polacy, którzy w 1914 roku, „w dzień deszczowy i ponury”, wyruszyli ze swojej Cytadeli bić Moskali. Ta ulica nazywała się wtedy jeszcze Polna, bo wiodła w szczerze pole i tu gdzieś był staw „Batiarówką” zwany. Przychodzili tu prawie całą klasą i w zawsze zaciągniętej rzeszą wodzie uczyli się pływać, tu się wyławiało skrzek żabi i kijanki na lekcję przyrody. A jeśli tak, ta ulica na prawo to Dunin-Borkowskich. A oto charakterystyczny gmach szkoły imienia Sienkiewicza, dokąd zleciały się w listopadzie 1918 roku Orleńta lwowskie, by walczyć o swoje miasto. Pamięta ich prowizoryczne groby na starym Cmentarzu Gródeckim, również blisko stąd. Kilkunastoletni chłopcy z Gródka, Kleparowa, Zamarstynowa, Łyczakowa i Zniesienia, sztubaki, terminatorzy, wagabundy. Dawniej często zastanawiał się, czy potrzebna była ta kruczata dziecięca, czy nie obesłoby się bez tej hekatombi, gdyby nie zawiedli ojcowie. Gdzież były orły, gdy ich pisklęta chwyciły za broń? Jeżeli chodzi o kolejarzy rodzimej dzielnicy Gródeckiej, to zwolnieni w czasie wojny od służby wojskowej ochoczo handlowali pokątnie i paskowali, aż tak zgnuśniali, iż nie ochota była im, wychodźcom ze wsi, nadstawiać karku za miasto, które nie przywykli jeszcze uznawać za swoje.

Tak zatonał myślami w starych sporach, iż ocknął się dopiero, gdy go nogi wyniosły na plac Bilczewskiego, ongiś salon dzielnicy Gródeckiej. Tabliczka naprzeciw szkoły Konarskiego, jego pierwszej szkoły, głosiła, że to teraz plac jakiegoś Kropownickiego. Strzeliste wieże kościoła Świętej Elżbiety /jedna ścięta pociskiem armatnim/ ginęły w ciemnym niebie. Zostało tylko wspomnienie o widocznych daleko spoza rogatek zegarach, nocą rześście oświetlonych, zawsze w porę ostrzegających, iż należy przyspieszyć kroku, jeśli się chce uniknąć płacenia nocnej „szpery” stróżce Szymonowej za otwarcie bramy po godzinie dziesiątej. Srebrny dzwon wybijanych godzin był tak potężny, iż wzbijał pod obłoki spłoszone chmury różnorakiego ptactwa.

A oto drzewa, które sadzili całą szkołą wokół placu kościelnego na cześć jakiegoś kongresu eucharystycznego. Kiedyż to było? W dwudziestym czwartym czy też dwudziestym piątym roku? To wyniosłe i rozłożyste drzewo na rogu było wówczas chudziutką drzewiną, którą on wziął z wiązki i wstawił w jamkę. Witaj drzewo, moje drzewo! „Kto za życie chociaż jednego drzewa po sobie nie zostawił...” – jak mówi mądrość Wschodu, ale teraz serce cyt., jak słowik na święty Wit, bo oto miejsce zwane Kopytkowym, arena jego dzieciństwa. Pamięta jeszcze stojącą u wylotu alei dworcowej czarno-żółtą pasiastą budkę, w której stał mytnik pobierający cło za przepędzanie bydła do miasta.

A oto nasz dom, ten jeden jedyny, który śni nam się do samej śmierci, a może i później.

Przeszedł na przeciwległą stronę ulicy, by lepiej wszystko objąć wzrokiem. Boże najświętszy, ta stara, nigdy nie odnawiana rudera z poodbijanymi tynkami wydawała mu się kiedyś wysoką i piękną kamienicą, obraz której utrwalił mu się na zawsze w sercu. Nie, to chyba nie czas tak ją odmienił, domy starzeją się wolniej niż ludzie, to mamia nas serca i wzrok, zwiedzone wystawnością wielkiego świata, dokąd rzuciły nas losy. To ta rzekoma wielkoświatowość boleśnie przeżywa konfrontację z rdzennym naszym prowincjonalizmem.

Starał się spokojnie patrzeć i zapamiętać. Miał przed sobą odcinek ulicy złożony z pięciu domów, w którym znał każdą piędź ziemi, każdy kamień, każdy wybój w chodniku. Ale czegoś było tu brak usunięto jakiś ważny element znanego wizerunku. Stary i nowy obraz nie nakładały się na siebie całkowicie. Zaraz, zaraz, rany Julek, przecież nie ma sklepów! Co oni zrobili ze sklepami? Tam, za narożną apteką Łazowskiego był sklep towarów bławatnych, potem była księgarnia starej Hausirerki, gdzie całe przedmieście i okoliczne wioski zaopatrywały się w książki szkolne, cukiernia i owocarnia z piękną sprzedawczynią, trafika, gdzie się kupowało papierosy na sztuki, tam poznał się z Kazimierzem Wajdą, późniejszym słynnym Szczepciem z „Lwowskiej Fali”, mieszkającym kilkadziesiąt kroków stąd na ulicy Barskiej, Potem szła cuchnąca kotami grajzlernia – melina chudego jak śmierć Szyjko Kaya, gdzie wieczorami, po godzinie policyjnej, gdy rolety były już spuszczone, zbierała się batharnia z Gródka, Bogdanówki i Lewandówki i piła czyste, nie rozcieńczone wodą „bongu” pod „zwonko” śledzia z cebulą. Na zajmującej centralne miejsce becze ze śledziami siedział harmonista „Ślepy Jasio”, przygrywał do tańca i przyspiewywał: Husia-sia, Antoś na harmonii gra, husia-sia...”. A kawalery z braku innej partnerki porywali do tańca matkę gospodarza, grubą, siwą panią Ryfkę Kayową, klepali ją niżej pleców, rechotali i pokrzykiwali: „Rypcium pypcium, ciociu Ryfciau!” Z wesołym sklepikiem Kaya sąsiadowało biuro okrętowe „Cunard Line”, przed którym zawsze w oczekiwaniu „szyfkarci” wystawali smętni chłopcy ukraińscy w siermięgach, ciągnący do Kanady, Argentyny, Brazylii. A tuż obok – dumna całego przedmieścia i okolicy przydworcowej – restauracja i pokój śniadankowy pana Władysława Kozłowskiego, z amfiladą sal w przybudówce, z danciem i kabaretem, dokąd poeta legionowy, pan kapitan Tadeusz Sas-Zubrzycki, wjeżdżał wprost z ulicy na koniu. Były jeszcze nafiarnia, fryzjernia, drogeria, mleczarnia, sklep konfekcji damskiej, galanteria, wędliniarnia i szynk. W tych pięciu domach było piętnaście sklepów! A teraz zostały tylko apteka na rogu, zakład fotograficzny na miejscu księgarni, jakieś biuro zarządu domów i sklep z pieczywem. Resztę przebudowano na mieszkania. Zamurowano wejścia, poprzerabiano okna wystawowe na

zwykle, przebito drzwi do sieni lub od podwórza. Uświadomił sobie, że to tam gnieździ się półmilionowa horda, która porzuciwszy swoje koczowiska nad Dnieprem, Donem, Wołgą, Uralem – ruszyła na Zachód. Wspomniał wszystkie relacje prasowe o tym, że nie oszczędzono kościołów, cerkwi i synagog. Zamieniono je na magazyny, składy złomu i opakowań, kluby, muzea i kasy biletowe. Obalono wszystkie nagrobki na historycznym cmentarzu żydowskim z XV wieku na ulicy Szpitalnej i urządzono tam Bazar Kołchozowy. W trupiarni, gdzie od wieków myto zwłoki i oblekano je w całun, przechowuje się teraz sprzęt rzeźniczo-masarski i wagi. A jeśli nawet kiełbasa przesiąka kilkusetletnim trupim zapachem, to nie takie rzeczy tutaj się jada.

Przegnał ponure myśli, jeszcze raz ogarnął wzrokiem wyludniony odcinek ulicy przed sobą i wyteżył pamięć, by ożywić go malowniczą galerią cieni, które nadawały niegdyś ton przedmieściu gródeckiemu i tworzyły niepowtarzalną w swym romantyzmie legendę grandy lwowskiej. Tam, z prawej strony, na rogu ulicy Działyńskich stała autentyczna „Czarna Mańka”, prototyp wszystkich dramatycznych i wodewilowych „królowych przedmieścia”, majestatyczna Maria Grachowa. Spowita w tradycyjny, niemal „firmowy” czarny szal, jedną ręką wyzywająco opierała o wydatne biodro, drugą trzymała za łapkę stojącego na tylnych nóżkach podpalanego jamnika „Pikusia”, który skomlił na widok samotnie idącego „frajera”. Seledynowe światło latarni gazowej podkreślało jej śniadą urodę, krucze włosy upięte w koronę, w której pobłyskiwał misternie rzeźbiony w kości i inkrustowany macią perłową wysoki grzebień – jedyna pamiątka po ojczystej ziemi wołoskiej porzuconej przed laty dla jakiegoś „kindera” lwowskiego.

A na przeciwległym rogu ulicy przytupywała dla rozgrzewki cienkimi nóżkami w męskich buciorach piegowata ruda Rózia, charłaczka *a la* „dziewczynka z zapalkami”. Pechowa we wszystkim, zapijała każdy kolejny zawód miłosny dużą flaszką jodyny. W tętnie potężnych kopyt końskich przyjeżdżała czarna buda ratunkowa i zabierała dla przepłukania żołądka przelewającą się przez ręce Rózię, która ku uciesze gawieździ toczyła z ust pianę równie rudą jak jej włosy.

Między „królową” i „kopciuszkim” sunęli niedbałym krokiem po „sztrychu” faceci w kraciastych kaszkietach i lśniących pikuletach z białymi kamaszkami – kwiat Gródka – kasiarze, klawiszniki, doliniarze, buchacze szabrowi i wstawieni wyczynami nożownicy, dumnie prezentujący swoje pokiereszowane facjaty. Gdzie złożyli swoje kości bracia Kuczmanowie, klan braci Żelaznych, Miśku Pukas, Julku Bartoli, Broniek Czyży, Antek Smolka, Jóźku Krakus i reszta, imię których legion? Wydało mu się śmieszne, że właśnie ci rycerze majchra i wytrycha, a nie stateczne łyki miejskie, zawładnęli jego pamięcią.

Spojrzał do góry: te dwa okna na drugim piętrze budziły zazdrość kolegów. Stamtąd rozciągał się widok na Aleję Marszałka Focha aż do samego Dworca Głównego. Jak z łoża dyrektorskiej oglądało się paradne przyjazdy marszałka Piłsudskiego, prezydenta Wojciechowskiego, marszałka Focha, czy też pogrzeb Nieznanego Żołnierza. Z lewej strony widać było płataninę torów Dworca Czerniowieckiego, warzelnię soli Kamedułów, kominy piekarni „Merkury” i ciemny pas lasu Biłohorskiego. A jeśli się wspięło na dach, wzrok obejmował nie tylko wioskę leśną Biłohorszczę, ale okolicę w szerokim zasięgu z rozrzuconymi wsiami, folwarkami i przysiółkami o starych nazwach sarmackich: Rzęsna Polska, Czarne Łozy, Na Rzepniku, Szemberka, Pańska Niwa, Na Potokach, Na Dąbrowie, Brzezina, Cwynarowe Zagrody. Bóg wie, w co je dzisiaj przemianowano i z jakich stron ci przybysze, co je zamieszkują.

Już prawie zdecydował się przejść na drugą stronę ulicy, kiedy kątem oka uchwycił z prawej strony na rogu niegdyśiejszej ulicy Na Błonie, tam gdzie kiedyś była solidna knajpa pana Adolfa Hermana, szary szpetny szyld z napisem: „Zakusoczna”. Przyszło mu na myśl, że warto by dla kurażu coś wypić.

Pchnął oszklone drzwi i znalazł się w słabo oświetlonym i chyba nigdy nie wietrzonym wnętrzu. Cuchnęło skwaśniałym piwem i beczką od ogórków kiszonych. Posadzka kamienna pokryta była warstwą mokrych od błota trocin, wśród których wałały się niedopałki papierosów.

Tam, gdzie kiedyś za lśniącym od szkła i niklu, zasobnym w zakąski bufetem, na tle baterii najrozmaitszych trunków – górowała dorodna figura jowialnego pana Hermanna w czarnym kitlu satynowym, teraz za pustym, obitym cynkową blachą szynkwasem krzątała się chorobliwie otłuszczona bufetowa w poplamionym fartuchu. Nikogo więcej w lokalu nie było, zbliżał się fajerant.

Zanim do orał w pamięci potrzebne słowa, bryła za szynkwasem zwróciła się ku niemu, a słoniowate oczki obrzuciły go badawczym spojrzeniem.

– *Wam sto gram nalit’?* – spytał dziwnie cienki jak na taką tuszę głosik.

– Dwieście – odparł, zaskoczony własną junakierią.

– *No moskowskaja koncziłas’, ostalas’ tolko gidroliznaja.* Domyśliła się z wyrazu jego twarzy, iż nie wie o co chodzi, więc dorzuciła:

– *Wodka iz suczka ili opitok.*

Znał niezłe język rosyjski, ale nie znajdował związku logicznego między wódką i trocinami, więc po krótkiej deliberacji machnął ręką:

– *Wsio rawno!*

Sięgnęła pod ladę, wyciągnęła flaszkę i naląła mu pełną szklanekę od herbaty.

Trunek był żółtawy i zalatywał terpentyną, przymknął więc oczy, odchylił głowę i wypił wszystko jednym tchem, jakby przyjmował rycynę. Oparzyła mu krtań i tak szarpnęła wnętrznościami, że aż się skręcił z bólu. Gdy wyprostował drżące kolana i przetaił zwilgotniałe oczy, dostrzegł przed sobą opasłą rękę podającą mu samarytańskim gestem jeszcze jedną pełną szklanke.

– *Nadto srazu powtorit', klin klinom wyszybit' i wsio budiet w poriadkie* – cienki głosik dobiegał go jak przez watę.

Machinalnie wlał wódkę do gardła i – o cudzie – od razu poczuł się rześko. Błogie ciepło rozlało się po ciele, oczy zapłonęły i myśl rozjaśniła się. Drapało tylko w gardle, jakby tam rzeczywiście uwięzły trociny.

– *Sintietika – wieszcz' nieplochaja* – baryła rozciągnęła w uśmiechu coś w rodzaju warg sromowych krowy, znowu sięgnęła pod ladę i postawiła przed nim talerz, na którym ciemniały jakby zeschnięte grudki błota.

– *Zakusitie kotletkoj* – pisnęła.

Pokręcił przecząco głową, sięgnął do kieszeni, położył na mokrym blacie kilka dolarowych banknotów i odprowadzany zachwyconym spojrzeniem baryły – wyszedł na ulicę. Owiał go wiatr, orzeźwił, ochłodził rozpalone czoło i jakby przegnał wszelkie strachy i wątpliwości.

Twardym krokiem przeciął jezdnię i nacisnął znaną aż do ćmiącego bólu w dłoni obłą kłamkę bramy. W sieni było zupełnie ciemno, jaśniał tylko słabo w samym końcu wycinek drzwi, wiodących na podwórze. Wciągnął głęboko powietrze. Pachniało tu niegdyś sympatycznie psiną: trzy potężne wilczury restauratora, pana Kozłowskiego: Reks, Leda i Aza – tu się najchętniej wylegiwały, odstraszać żebraków i domokrażców. Teraz czuło się zastałą stęchlizną krypty grobowej, czy też pustego składu warzyw. Z góry, ze strony klatki schodowej zawiało kotami.

Sowiecka wódka pędzona na trocinach grała we krwi i pchała go do przodu. Zaskrzypiały pod nogami rozeschnięte klepki dębowe, nacierane kiedyś raz w miesiącu przez stróżkę Genię mieszaniną terpentyny z naftą. Wyszedł na podwórze, słabo oświetlone przez okna parterowej oficyny, gdzie mieściła się niegdyś kuchnia restauracyjna. Tu nic się nie zmieniło. Tak samo sterczały z ziemi kocie łby i czerniała krata na ścieku do kanału, skąd wyłaziły wypasione na odpadkach kuchennych szczury. Może tylko parterowa oficyna z jednoizbowymi mieszkaniami jeszcze bardziej zapadła się i trudno było uwierzyć, że gnieździły się tam i zapewne jeszcze gnieźdzą wieloosobowe rodziny. Całość przypominała scenerię szmirowatego czarno-białego filmu o nędzy powojennej dwudziestych lat.

Przeszedł na środek podwórza, odwrócił się i spojrzał do góry. Okno w lewym rogu ganku na drugim piętrze zaciągnięte było zazdrostką, przez którą przebijało czerwone światło. Tam była ich jadalnia. A gdyby tak

pójść i zapukać do drzwi pod byle jakim pozorem? Bóg wie, kto tam mieszka i jak zareaguje.

– Pan kogoś szuka? Czy można pomóc? – melodyjny głos kobiety rozległ się z tak bliska, że aż drgnął przestraszony. Dopiero teraz dostrzegł jakąś ciemną sylwetkę zlewającą się z mrokiem sieni. Ktoś tam stał, ktoś nieznan, a jednak zwracający się do niego po polsku. Było tak cicho, że słyszał w uszach szum krwi, rozgrzanej potężną dawką alkoholu.

– Właściwie... nikogo nie szukam... chociaż... – wybąkał, wcale niepewny, czy nie ulega grze wyobraźni.

– Bo tu u nas tak ciemno. Żarówka się zapewne przepaliła, albo jak to teraz bywa, ktoś ją wykręcił.

Głos brzmiał jak najbardziej realnie, ciepły alt dojrzałej kobiety. Oswojony z ciemnością wzrok odróżnił nawet jaśniejszy owal twarzy.

– Chętnie panu pomogę, panie Zygmuncie, bo... chyba się nie mylę?

– Pani mnie zna? Przepraszam, ale...

– Od razu pana poznałam, bo pan jest tak podobny do swego ojca. Ten sam wysoki wzrost, szerokie bary, charakterystyczne nachylenie głowy, więc powiedziałam sobie, że to nikt inny...

– Wybacz pani, ale nie widzę nie poznaję, z kim mam zaszczyt...

– O, zaraz zaszczyt! Nie zapomniał pan chyba sąsiadów Ciupików? – w głosie czuło się kokieterijny uśmieszek.

Ciupików? Ciupikowa, siostry Ciupikówny... Cofnął się do nienaruszalnych pokładów pamięci, pogrzebał w nich gorączkowo i odetchnął z ulgą. Wspomniał, chociaż nazwiska nie kojarzyły się z konkretnymi osobami.

– Ależ oczywiście, tyle lat...

– Mieszkanie numer jeden, to właśnie tu, wejście od bramy i to okno, przy którym pan stoi.

Teraz już wiedział dokładnie, chociaż prawdę mówiąc, niewiele go z tą rodziną łączyło. Sprowadzili się około półtora roku przed wojną, kiedy on już rzadko bywał w domu rodzicielskim, spędzając miesiące całe w Warszawie lub na umiłowanym Wołyniu. Rozegrała się kiedyś tragedia w tej rodzinie, jakiś dramat namiętności.

– Rzeczywiście, to wasze okno. – Wskazał ręką na gęsto zasłonięte roletą okno, starając się odgadnąć, z którym członkiem rodziny ma do czynienia. Jak na wywoływanej właśnie kliszy fotograficznej coraz więcej szczegółów wypływało z pamięci.

Chociaż Ciupikowie sprowadzili się niedługo przed wojną, znano ich jednak, bo mieszkali przedtem za rogiem naprzeciw głównego wejścia do kościoła Świętej Elżbiety. Niewiasty z bractwa kościelnego i okoliczne damy w rozmowach swoich wiele miejsca poświęcały osobie pani Ciupi-

kowej nie zostawiając na niej suchej nitki, szokował je fakt, że pani Ciupikowa niemal od dnia swego ślubu kochała młodszego brata męża. On też był ponoć ojcem jej obu córek, gdy regularnie po południu nadobna pani Ciupikowa, ubrana jak do kościoła, ze spuszczoną woalką *a la* Anna Karenina, wychodziła z domu i szła w skrzypiących „mesztach” do kawalerskiego mieszkania szwagra, odprowadzały ją sztyletujące spojrzania i soczyste spluwki głęboko z okien wychylonych sąsiadek. Ciągnęło się to tak z górą dwa dziesiątki lat, aż kiedyś cichy i – zdawałoby się – pogodzony z losem „adiukant” celny, pan Ciupik – senior, w ostрым przystępie szau zadrgał nożem brata-rywala i trafił do Kulparkowa, gdzie wkrótce zmarł. Wtedy to właśnie podwójnie owdowiała pani Ciupikowa przeniosła się z dwiema córkami co pokoju z kuchnią, które gospodarz domu wydzielił z mieszkania zmarłego już wtedy restauratora Kozłowskiego.

Cały ten dramat gródecki w błyskawicznym skrócie mignął w pamięci Zygmunta i należało tylko wyjaśnić, z którą *dramatis personae* ma do czynienia. Chyba nie jest to sama pani Ciupikowa, bo ta byłaby teraz już pod dziewięćdziesiątkę, a więc jedna z córek. Ładniutkie, obie niemal w tym samym wieku, o rok-dwa starsze od niego, flirtujące z młodszymi oficerami 6 pułku lotników, nie dostrzegały go prawie, studenta w przecinowanym ubraniu i ze sfatygowanym obuwiem. Jak im było na imię? To były typowo lwowskie imiona, tylko jakie? Ah, jedną zwano zdrobniale Linka. Ale że aż tyle lat tu się uchowała i nie wyjechała za San?

– ...to wasze okno – powtórzył i nie siedział jak się zachować i o czym rozmawiać z kimś, kogo się prawie nie widzi.

– Nie proszę pana do siebie, bo tam teraz pełno obcych ludzi. A ja zwykle o tej porze wychodzę się przejść.

Nieprzeniknione ciemności i ten dialog, ni to z cieniem, ni to z głosem, zaczynały go nużyć, uchwycił się więc skwapliwie okazji.

– Chętnie się z panią przejdę, jeśli pani pozwoli. Przypadek sprawił, iż znalazłem się tutaj przejazdem i czasu mam niewiele.

Ruszył w stronę bramy wyjściowej prawie nic nie widząc, wyczuwając tylko jej obecność. Teraz rozproszonym w świetle ulicy mógł się jej przypatrzeć. Dojrzał jednak niewiele. Niepozorna, szczupła postać w czerni, w czymś w rodzaju salopy lub płaszcza z pelerynką; nisko opuszczone rondo kapelusza nieokreślonej mody tak ocieniało twarz, iż widać było zaledwie blady koniuszek nosa i wąskie bezbarwne wargi. Było w niej coś z owych żalonych przedwojennych nauczycielek muzyki, skostniałych w swoim staropanieństwie. Która to z owych ślicznych siostr może być, do licha?

– Wyznam pani, że nie spodziewałem się tutaj nikogo ze znajomych. Wiem, że wszyscy wyjechali. A pani zdecydowała się tu zostać?

- Mnie tutaj trzyma grób mamy. Nie mogę jej tu samej zostawić.
- A pani siostra?
- Kundzia mieszka na Śląsku, ma już dorosłe wnuki.

A więc to jest starsza z sióstr, ta, którą zwano Linka. Ale jak ona się nazywa bez zdrobnienia: Alina, Celina, Halina? Nie wypada chyba zwracać się do niej „pani Linko”.

Szli z wolna w stronę Domów Kolejowych. Na rogu spojrzął na tabliczkę, by się dowiedzieć, że z ulicy Gródeckiej zrobiła się ulica Pierwszego Maja. Cóż, mogło być gorzej. Zerknął z ukosa na swoją towarzyszką. Niewątpliwie starowinka, ale trzyma się prosto i zasuwa szparko. I nagle uświadomił sobie, że patrzy na nią nie oczyma pryka z siódmym krzyżykiem na karku, rówieśnika, prawdę mówiąc, ale z krytycznych pozycji bezczelnego młokosa, dla którego czas stanął w miejscu. Zawstydział się sam siebie i aż się skrzywił. Wtedy dopiero doleciały go jej słowa i zdał sobie sprawę, iż ona już dość długo mówi o czymś z przejęciem.

– ...a w waszym mieszkaniu mieszka była synowa stróżki Geni, bo jej mąż Michał, zginął na froncie...

I znowu, jak tam w bramie, uderzyła go dźwięczność tego głosu. Usłyszał skierowane wprost do siebie pytanie:

– A był pan już na grobie swojej matki? Przechodzę często obok, bo to w sąsiedztwie naszego grobowca rodzinnego. Ale co z panem?

Serce tak zakołatało, iż musiał się oprzeć o ściany domu. Grób mamy! Jakże mógł zapomnieć? Ileż to razy śnił o tej chwili, jak przypadnie czołem do szarego piaskowca i całować będzie jego chropowacizny i szczyrbiny, pod którymi spoczywają jej wiecznie spierzchnięte, spracowane dłonie, te najlaskawsze, najbardziej wyrozumiałe. I oto znalazł się w mieście rodzinnym, w mieście świętego dlań grobu i nie tam skierował pierwsze swe kroki. Opanował wzruszenie, zwrócił się ku zastygłej w niemym wyrzucie ciemnej figurce i przemówił głosem nagle ochrypłym:

– Proszę mi wybaczyć, pani... pani Lino, jeśli się nie mylę, ale jestem we Lwowie nie dłużej niż półtorej godziny i muszę jak najszybciej wrócić na lotnisko, co mnie oczywiście wcale nie usprawiedliwia, ale cóż można począć o tak późnej porze wieczornej? Cmentarze wszędzie się na noc zamyka.

– Przecież to tak blisko, należy tylko przejść tę ulicę ”Za-liz-nycz-na-ja”, nigdy tego słowa nie wymówię, to jest ulica Na Błonie. Myślę, panie Zygmuncie, że jeśli by się udało znaleźć u furty cmentarnej stróża nocnego, to istnieje pewna szansa...

Zawrócili, przeszli na drugą stronę ulicy, przecięli rozległy wylot alei dworcowej i ruszyli wzdłuż ciągnącego się nieskończenie muru warsztatów kolejowych. Szli w milczeniu, za które wdzięczny był swojej towarzyszcze, bo mógł zwrócić myśli swe tylko ku matce.

...Mateczka zginęła w wypadku ulicznym cztery lata przed wybuchem wojny. Był święcie przekonany, iż gdyby nie ta przedwczesna śmierć, życie jego potoczyłoby się zupełnie inaczej i wiele cierpień zostałoby mu oszczędzonych. Matka pieczołowicie wytyczała mu drogę życia, ale on złamany jej śmiercią, dał się ponieść ślepym przypadkom losu. Ojca zabiła pierwsza bomba niemiecka, która spadła na ulicę Gródecką pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku, kiedy on już był w drodze na front. Zdarzało się później, że w ciężkich chwilach w lochu więziennym w Charkowie, w łągrze na Kołymie czy też w lazarecie polowym pod Monte Cassino – wdzięczny był Opatrzności, iż jest samotny, i nikt go nie oplakuje. Nie wiedział, gdzie ojca pochowano, ale grób matki, póki był we Lwowie, odwiedzał co kilka dni. Do niej modlił się, jej się spowiadał, u niej znajdował ulgę i pocieszenie.

– Nie wiem, czy panu wiadomo, panie Zygmuncie – melodyjny głos wyrwał go z zadumy – że moja matka zginęła podczas tego samego nalo-
tu, co ojciec pana?

Nie, nie wiedział tego, ale mur nareszcie skręcił w lewo, a oni, minąwszy zabudowania, gdzie niegdyś stacjonował VI Baon Pancerny, wyszli na ulicę Janowską, gdzie oprócz nazwy – ulica Szewczenki – nic się nie zmieniło. Smutno czerniały stare Baraki Epidemiczne i zdawało się, że zawiewa od nich jeszcze odorem karbolu, suto rozlewanego w czasie epidemii cholery w dwudziestym roku. Ale oto już wejście główne Cmentarza Janowskiego, nekropolii prostego ludu lwowskiego.

Wysoka kuta brama była zamknięta na wszystkie spusty. Z domku, gdzie dawniej mieściła się kancelaria cmentarza i przechowywano narzędzia, sączyło się nikłe światło przez nisko osadzone okno. Dzwonka nigdy tu nie było, jeśli nie liczyć tych z dzwoniczki przy furcie. Uchwycił się krat, bezskutecznie usiłował potrząsnąć nimi i przeniknąć wzrokiem gęsty mrok tam wewnątrz. Z wolna zaczął odróżniać pierwsze z brzegu grobowce w głównej alei. Zerwał się skądś wiatr, zakołysał starymi wiązami i olchami, strząsnął ostatnie liście z brzoź płaczących i zaszurał w gęstej warstwie już opadłych, wzbijając je w górę. Ale wiatr przegnał również chmury i odsłonił niespodziewanie bladą kwadrę księżyca. W jego słabej poświacie Zygmunt dostrzegł coś w rodzaju ogromnych klatek dla gigantycznych papug. Wewnątrz niewyraźnie rysowały się kontury jakiś statui i popiersi. Nie kojarzyło się to z niczym znanym, to był raczej element krainy halucynacji z obrazów Salvadora Dali. Odwrócił się ku stojącej w cieniu swojej towarzysze

– Co to takiego, te klatki, pani lino?

– To dla ochrony cenniejszych pomników przed kradzieżą. Tu grasują całe bandy złodziei. Stróże boją się ich i wolą się nie pokazywać. Ale niechże pan spróbuje kogoś zawołać!

Nateżył głos i krzyknął możliwie najdonośniej: Hallo, hallo! Ale głos jego zabrzmiał słabo i gubił się żałośnie w szumie drzew i szurgocie liści. Przesunął niemal głowę przez kraty, ale oprócz surrealistycznych klitek niczego nie można było dojrzeć.

Przypomniał sobie nagle, jak spotkany przed kilku laty w Paryżu literat warszawski, rodak ze Lwowa, opowiadał mu o tym, jak to włączono go kiedyś w skład delegacji, mającej się udać do Lwowa i przywieść z Cmentarza Łyczakowskiego prochy i pomnik Marii Konopnickiej. W ostatniej jednak chwili wyprawę odwołano, bo przyszła wiadomość, iż pomnik poetki został z cmentarza skradziony. Obiecano postawić nowy, odtworzony na podstawie fotografii, ale sprawa ekshumacji przycichła na długo.

Ale teraz oto stał w odległości kilkuset kroków od grobu matki i nie mógł do niego dotrzeć. Mur i brama żelazna przegradzały mu drogę. Rozpaczliwe myśli kłębiły mu się w głowie, aż zrozumiał, iż nie ma wyboru. Oderwał się od krat i podszedł do zastygłego w bezruchu jedyne go świadka swej bezradności.

– Muszę się przez mur przedostać. Znam niemal jego każdy załom. Od strony Góry Kortumowej jest taki niski murek, który można przesadzić jednym susem adiutanckim, jak mawiał mój dowódca pułku. Proszę na mnie poczekać, chociażby na tej ławeczce pod drzewem. Najpóźniej za dwadzieścia minut będę z powrotem.

Zapomniał o swoich latach i palpacji serca. Zaszpurował jak niegdyś, gdy uczestniczył tuż obok, za Rogatką Janowską, w biegach na przełaj o puchar gazety „Wiek Nowy”, pobiegł do rogu ulicy Pilichowskiej, spojrzął na tabliczkę, czy się nie pomylił – i zdębiał. Ulica nosiła nazwę... Kuźmy Pełechatego.

Witaj Kuźmo, serwus wesoly lwowski batiaru z śmiesznym perkatyńskim nosem i głosem Cherubina! Ta za co tobi poświęcono ulicę w twoim mieście? Czy za to, że ty był solistą w chórze stowarzyszenia „Lutnia”? A może za to, iż umiałeś tak tęgo ćmagać chłać i rozśmieszać nie tylko przekupki na Rynku, ale nawet szkapki dorożkarskie na Wałach Hetmańskich? Tylko, na miłość boską, czemu nagrodzono cię tą najsmutniejszą z ulic Lwowa, przez którą si hula do kirkutu i do Wąwozu Śmierci?

Nie było czasu nad tym się zastanawiać! Zakłuło go w boku i musiał zwolnić tempo. Minął wejście do kirkutu i przystanął, by się zorientować jak iść dalej, wiele bowiem tu się zmieniło. Tam, gdzie kiedyś ulica Pilichowska kończyła się w polu, teraz biegła na wschód szeroka magistrala, która pochłonęła cmentarzyk żydowskich Obrońców Lwowa i legionistów. Poszedł wzdłuż muru kirkutu. Podnóże Góry Kortumowej było rozryte koparkami i kiedy jął wspinać się po jej zboczach, nogi grzęzły

lub rozjeżdżały się w gliniastym gruncie. Z trudem pokonywał stromizmy, chwytając się pęków uschłej trawy i gałęzi nielicznych krzaków. Zdyszany i zlany potem rychło poczuł, iż przeliczył się z siłami. Serce tłukło się wściekle, nogi tak drżały, że musiał się zatrzymać. Łowił powietrze szeroko rozwartymi ustami i nagle przyszło mu do głowy, że tak można łąco wykopyrtnąć. Wyobraził sobie sensację wśród przyjaciół–lwowiaków, gdyby się dowiedzieli, iż znaleziono jego zwłoki we Lwowie na zboczu Góry Kortumowej, tam gdzie niegdyś odbywał ćwiczenia hufca Przysposobienia Wojskowego, gdzie uczył się szusować na nartach, gdzie spędził niejedną wieczór na przechadzce z dziewczyną.

Rozluźnił kołnierz koszuli, poszukał chustki do nosa i wytarł z potu twarz i szyję. Po kilku chwilach poczuł, iż złapał drugi oddech i może się dalej wspinać.

Szybko odnalazł zapamiętane miejsce, niezgrabnie wgramolił się na murek, ciężko zeskoczył i poszedł chwiejnym krokiem w stronę dobrze mu znanej alejki, księżyc wyłonił się spoza chmur i jasno oświetlił teraz drogę. A oto – raz, dwa, trzy, cztery –i wreszcie ten piąty grób od zakrętu. To właśnie tu!

Szara płyta o nieobrobionych bokach przechyliła się i zapadła w ziemię. Wstrzymał oddech i schylił się nisko próbując odczytać napis. Czas starł złocenia i zamazał wyżłobione litery, wodził więc po nich palcami niczym ślepiec odczytując dotykiem najdroższe dlań imię. Spadło nań ogromne znużenie, przytłoczyło ciężarem wszystkich tych lat, siadł więc na wilgotnej ziemi i przywarł rozpalonym czołem do chłodnego kamienia. Chciał matce wyznać, iż czuje się stary i zmęczony, że życie nie tak mu się ułożyło, jak ona sobie tego życzyła, że na nim chyba wygaśnie ich ród, bo nie był mu dany syn, ale myśli i słowa gmatwały się, a przez ściśnięte gardło wyrwał się nagle szloch. Płakał jak dziecko i płacz przyniósł mu ulgę i uspokoił myśli. Zrozumiał, iż nie należy się skarżyć na zbliżającą się starość i niemoc, bo przecież dla niej on pozostał młodym i silnym, takim, jakim go zapamiętała. Przyłgnął więc wargami do niewidocznych liter i szeptem jął jej dziękować za wszystko: za miłość, którą go darzyła, za wpojone wartości moralne i za to najważniejsze – za jej wstawiennictwo żarliwe u tej drugiej Matki, gdy wołał do niej jak niegdyś „spod ojca karzących batów” – z sowieckich kazamatów więziennych, z zamrozia kopalnianego na Kółymie, spod huraganowego ognia cekaemów niemieckich na stokach Monte Cassino. To ona sprawiła, że wyrwany z obozu jenieckiego w Starobielsku nie pojechał do Katynia, lecz trafił do więzienia w Charkowie, że przetrwał, by móc zjawić się u niej chociażby na pięć przed dwunastą. A ma jej tyle do powiedzenia...

Gwizd lokomotywy gdzieś na stacji Kleparów rozdarł ciszę i wyrwał go z zamroczenia. Uniósł głowę i powoli rozprostował zdrętwiałe ciało.

Okrutny ziąb przejmował go na wskroś, drżał cały i długo podnosił zgrabiałymi palcami kołnierz palta, by wciągnąć weń głowę. Wiatr ustał, chmury rozpiezchły się i granatowe cienie w matowym świetle księżyca podkreślały martwość nocnego, cmentarnego pejzażu – sylwety drzew, podpierających konarami niebo i jasne kontury nagrobków. Rozglądał się wokoło, jak gdyby utrwalając w pamięci fantastyczną scenerię. Musiał zostawić tutaj siad swojej bytności. Obłamał więc gałązkę świerkową i położył ją na kamieniu nagrobnym.

Już chciał zawrócić w stronę muru, gdy wzrok jego padł na solidny grobowiec rodzinny po drugiej stronie alejki. Na jasnym marmurze odczytał wyraźnie rysujący się czarny napis:

LUDWIK CIUPIK
1885–1937

LEOKADIA Z PAJĄCZKÓW CIUPIKOWA
1892–1939

Podszedł bliżej i dostrzegł biegnący u dołu jasny rząd ek mniejszych liter: Michalina Ciupik 1913–1941.

Ależ oczywiście, Linka to Michalina, jakże mógł zapomnieć, tylko na miły Bóg, co to znaczy, przecież ona tam czeka na niego?! Lina? Czeka? Spokojnie, spokojnie, nie dajmy się zwariować.

Podniósł do oczu zegarek i stwierdził, że jest pół do dziesiątej. Opanował się jakoś i ruszył z powrotem w stronę muru.

Ulica Janowska jak wzrokiem sięgnąć, była pusta. Na ławeczce pod drzewem nikogo nie było, u bramy cmentarnej ni żywej, ni martwej duszy. Zrobił parę kroków to w jedną, to w drugą stronę, rozglądał się bezradnie, zapuszczał wzrok nawet poza kratę cmentarza. Usiłował trzeźwo ocenić sytuację, ale rósł w nim niepokój, czy już się nie spostrzegli na lotnisku, że on zniknął, czy nie wynikną przykrości z władzami. Z Rogatki Janowskiej zjeżdżał w stronę śródmieścia jasno oświetlony i pobrzękujący żelastwem tramwaj. Oprócz motorniczego i konduktorki nikogo w nim nie było. Spoza tramwaju wyskoczyła bezszelestnie czarna limuzyna, podjechała do krawędzi chodnika i zatrzymała się. Kierowca wysunął głowę przez uchylone okno, obrzucił go taksującym spojrzeniem i z szelmowskim uśmiechem czekał. Zygmunt skinął głową i otworzył drzwi.

Klapnął ciężko na miejsce obok szofera, rzucił krótko:

– Na aerodrom, pożałujsta.

Wóz wykręcił na miejscu i wleciał w biegnącą na południe, szeroką arterię. Nową obwodnicą było tylko kwadrans jazdy na lotnisko. Kierowca przez całą drogę opowiadał o tym, iż wozi ważnego naczelnika, który jednak pozwala mu dorabiać sobie, bo bez lewych kursów nie

sposób przeżyć, ale do świadomości Zygmunta prawie nic nie docierało. Żeby tylko oczy przymknąć i wyłączyć się zupełnie!

U wejścia do dworca lotniczego było pusto. Sięgnął do portfela, wcisnął kierowcy w rękę parę banknotów i wszedł szybko do hali. Tu nic się nie zmieniło, tylko powietrze stało się gęstsze i kwaśniejsze. W małej sali Inturista wszyscy spali kamiennym snem. Ostrożnie stąpając, doszedł do swojego miejsca w kącie, usiadł z trudem, odrzucił głowę do tyłu na oparcie ławy i natychmiast zapadł w jakąś przepastną ciemność.

– *Herr Direktor, aber Herr Direktor, wachen Sie doch auf! Unsere Maschine ist schon aufgerufen worden. Was ist los, fuchlen Sie sich nich wohl? Herr Direktor...*

Z trudem rozwarł powieki i dojrzał zatroskane oczy pochylonej nad nim *Frau Brigitte*. Potrzęsała go za ramię i oglądała się na drzwi wejściowe, w których znikali już ostatni współpasażerowie.

A więc to był sen! Boże Świąty, co też może się człowiekowi przyśnić! Nie, stanowczo jest przepracowany, przyjedzie do Zurychu i zaraz weźmie urlop. Było mu przykro, iż *Frau Brigitte* widziała go w chwili słabości. Zażenowany wstał szybko i skierował się w stronę wyjścia.

– *Danke, gehen wir, Frau Brigitte.*

– Aber Herr Direktor, um Gottes willen, wie sehen Sie aus? Was ist passiert mit Ihren Hosen und Ihren Schuhen?

Spojrzał w dół na nogawki i buty. Były pokryte grubą warstwą żółtej gliny. Zabierał ze sobą żyzną glebę lessową ojczystego Rostocza.

Irena Nuckowska-Wancerska

ZAGADKA

Co to za miasto?
Genius loci?
Kto wie?
Gdzie gitara, jak gra,
to duszę ludzką ma?
A ci dwaj,
Co nie mieli nic, a mieli raj?
A Rogatki, Zamarstynów,
A Kliparów, Persenkówka,
Gdzie to było,
że się chodziło do Atlasa?
Osłonięty siedmioma pagórkami, jak we Florencji.
Kogo tu tylko nie było?
I królowie, profesorowie,
lekarze, artyści z Wiednia,
Miasto muz, wspomnień.
Czy już ktoś zgadł?
Tak – wszyscy krzyczą
Tak – też to Lwów
Tak – to Lwów, mówią,
Bywaj bracie zdrów – to Lwów.

W KARNAWALE GDZIEŚ PO ŚWIECIE Z WALIZECZKĄ...

Mieszkam daleko od Lwowa

Nie ma tego Lwowa, do którego tęsknię
i o którym śpiewam

Można Lwów kochać po cichutku,
można też rechotać głośno,
tak, szczerze, jak cała hebra, fest.

Lwowiak się budzi ze Lwowem
i zasypia ze Lwowem.
Jak ten wariat durnowaty świruje,
tańczy i śpiewa,
Szczepcia i Tońca naśladuje.
Jest karnawał,
Śpiwaj bracie, nie żałuj głosu,
Lwów kochaj, tańcz.
Zbieraj lwowiaków i kresowiaków
i wywijaj w lewo, w prawo,
Powspominaj...
Od razu na duszy bedzi lżyj
Lwów się uśmiecha,
Lwów się raduje,
Lwów, spakowany w walizeczce
podróżuje razem ze mną po świecie.

TEŃSKNOTA ZA LWOWEM

Nieuleczalna tęsknota za dawnym Lwowem.
Oglądanie starych fotografii jeszcze bardziej
pogłębia mój smutek

Zmiany jak pogruchotane kości,
pod gruzami leży na świecie wiele miast
i tylko strażnicy historii,
jak waleczni rycerze bronią
pamięci i prawdę.

Stosy książek dla nielicznych,
reszta ogląda reklamy w telewizji.
A ja się leczę z tęsknoty za Lwowem,
ubieram się elegancko, żeby
się Lwów mnie nie wstydził,
długo czytam i piszę, żeby miasto znów ożyło,
śpiewam i słucham, słucham
długo programów radiowych o Lwowie.
Uśmiecham się do Pani Skalskiej Danusi.
Przewijam program, powracam
i słucham jeszcze raz,
tych wariatuńców jeden z drugim
Szczepka z Tońkiem,
słucham, jak sernik zajadają,
i śmieję się, pękam ze śmiechu.
Tęsknoty za Lwowem nie wyleczysz,
ugasisz pragnienie w Truskawcu,
pijąc naftusię i zaglądając w oczy
artystom i malarzom.
Tęsknota jeszcze bardziej się pogłębia za sztuką z dawnych lat,
tyle nazwisk mam w głowie,
wywiezionych, rozstrzelanych, wysiedlonych,
tęskniących jeszcze bardziej niż ja,
mają więcej wspomnień, pamiętają wojnę.

Zamykam oczy i widzę
piękne kamieniczki, parki, uliczki.

O miłość trzeba się starać i dbać o nią,
pielęgnować i pamiętać,
wtedy ta miłość przetrwa i zwycięży.

Z DZIEĆMI DO LWOWA

Śpieszyłam się, żeby zdążyć
pojechać z dziećmi do Lwowa,
żeby pokazać im
jeszcze pamiątki ocalałe,
nie zamalowane i zburzone.

Zachwycałam się każdym starym
domem i kamykiem.

Moje dzieci patrzyły na mnie zdziwione
i mówiły, że Warszawa większa,
że Kraków piękniejszy.

A ja na to:
chodźcie ze mną na Wysoki Zamek,
jedziemy na Łyczaków,
do parku Stryjskiego,
zobaczcie, jakie cudne uliczki,
słuchajcie wróble coś szepczą na bramie.
Może odkopimy rzekę i łódką popływamy,
będzie, jak w Wenecji

Jedziemy tramwajem razem po Lwowie,
jest ciekawość, radość, zabawa,
wieczorem głodni wcinamy
najsmaczniejsze pierogi
na tym świecie we Lwowie
u mamy

Miasto moje,
raju utracony,
raju zniszczony,
rozdartą masz duszę,
po świecie się tułasz,
swoje dzieci przytulasz.

LWOWSKI BRUK

W tramwaju we Lwowie cichutko jadę...
Myślę o tym, że płacze rzeka, która razem z prawdą pod miastem płynie...
Myślę o tym, że serca pękają z żalu coraz starszym lwowiakom,
Oni byli, widzieli, uciekali...
A my?
Też uciekamy przed kłamstwem...
czasami daleko,
łzy w gardle ściskają...
Co to będzie?
Kamienie płaczą na ulicy,
nie chcą pod miastem spocząć na zawsze.
Nie chcą umierać, jak miasto, jak lwowiacy...
Ostatnie kamienie, co Lwów pamiętają...
Po nich tramwaje się katulają codziennie...
Kamienie, świadkowie historii,
mówią, że nie chcą do nieba,
chcą do Lwowa...
Niech przemówią,
w deszczu słyhać głosy
to lwowiacy, który zamiast w czyścicu
wołą powracać jako kamienie do Lwowa
Kamienie z duszami obolałymi,
szarymi ze smutku...

ROZMOWA

Pani ze Lwowa?
To jeszcze jest Lwów?
Moja mama, gdy wyjechała po wojnie,
to już nie wracała,
mówiła, że to jak z pierwszym mężem,
nie wraca się...
Ale proszę Pani, to nie jest ani mąż,
ani żona, ani siostra, ani brat.
To miasto wierne,
Semper Fidelis.
Proszę otrzeć łzy,
lwowiak zawsze wesoły w sercu,
a lwowianki przecież najpiękniejsze.
Tak, to prawda,
inne jest miasto,
nie takie piękne, jak kiedyś, ale magnesem przyciąga do siebie,
kryje w pękniętych kamieniach tajemnice historii,
może Pani, jak wnuczka Zbierzchowskiego
wspomni o dziadku.
Lwów pachnący kawą i czekoladą,
bzami na wiosnę, jak żadne inne miasto.
Doświadczone historią,
żywe melodią, przeplataną w tańcu i śpiewem.
Niech Pani spróbuje, niech Pani pojedzie,
Powróci do wspomnień...
Słyszać melodie z pagórków,
jakby ją dzisiaj śpiewały batiary,
z wizytą się pojdzie do
poetów, zakochanych
po uszy we Lwowie.
Proszę, niech Pani posłucha,
muzyka gra, jak tu nie śpiewać
Moje serce zostało we Lwowie...

SŁOŃCE ŚWIECI NA WYSOKIM ZAMKU

Zasłabłam, brak tchu,
nogi zmarznięte, palce białe,
zimno od rana. jeszcze od wczoraj,
bez słońca podupadam na duchu.
Kawa na krótko obudziła,
pójdę odśnieżyć drogę do ciepła.-
Siedzę cicho,
myśli oszronione marzną bez trunku,
jeszcze nie pora.
Sprawdzam w notatkach,
w kalendarzu,
w książkach...
Czas na uśmiech,
wyskoczył z wiersza.
Biorę tomik do ręki.
Hemar ogrzewa szczerością,
śpiew, jak magnes przyciąga struny światła,
ciepło i miło,
myśli lecą odśnieżoną drogą do Lwowa,
słońce świeci
na Wysokim Zamku

Bogdan Stanisław Kasprowicz

BATIARY OD PANI BIELECKIEJ

Panie Kasprowicz, panie Kasprowicz, ta pańskie batiary pobili moi dzieci! – Dobiegł od furtki głośny, podniecony męski głos z wyraźnie śpiewnym, kresowym akcentem.

W lipcowy gorący zmierzch przechodzący w przyjemny chłód wieczora w strzelińskim ogrodzie państwa Bieleckich, pod intensywnie pachnącymi jabłoniami i dochodzącymi z pola, z drogi do Skawiny tymi niesamowitymi zapachami polskiej wsi o porze „wieczornego udoju” – rodzina szykowała się do kolacji pod gołym niebem. Wiklinowy stół, na którym w starym samowarze szykowała się już aromatyczna herbata, w wygodnych wiklinowych fotelach siedzą już goście – pani Hingler (była solistka Opery Lwowskiej), pani Brajter (kresowa nauczycielka), pani Poznańska (aptekarzowa), pani Królowa (także nauczycielka), pani Adamowicz (Ormianka ze Stanisławowa – słynna na cały Strzelin z tego, że gęsi mają u niej „wycug”), pan Filar (dyrektor miejscowego amatorskiego teatru), pewnie i kto jeszcze, ale wszystkich nie pamiętam.

Z domu i z werandy donoszono już krzesła, wuj Adam Kruczkowski zapalał lampę naftową, a mama z babcią znosiły półmiski, talerze, szklanki (tak obowiązkowo szklanki – mama, która lubiła pić herbatę w filizance, a samowar i szklanki nazywała „ruskim zwyczajem”, tu w Strzelinie oddawała się, w tej sprawie rządziła babcia Janka – jak nazwał ją Jacek „Babcia Janka – herbaty szklanka”).

I nagle ten zgrzyt – spocony, czerwieniący na twarzy ze złości człowiek u płotu, jego krzyk i jasne czupryny chowających się za nim, w idącym już mroku, kilkunastoletnich wyrostków.

Głowy siedzących obróciły się w kierunku drogi do Skawiny i Wrocławia, zasłoniętej szpalerem grabowego żywopłotu. Tato postawił stos talerzy na stole i ruszył do furtki... Zaraz za nim podnieśli się wujowie Adam i Kazik Kruczkowscy...

– Stachu! Stachu! – no gdzież ta dzieciarnia, noc idzie, kolację trzeba podawać! – z wyczuwalnym zdenerwowaniem w głosie wołała mama z werandy.

– No właśnie, coś się chyba wydarzyło – odkrzyknął ojciec w kierunku werandy, podchodząc jednocześnie w drugą stronę, do płotu.

W głębokich chaszczach sadu. na tyle jednak blisko furtki i stołu, żeby nic nie uronić z dziejących się wydarzeń i padających słów telepiąc się ze strachu i z emocji, przytulona do drzew, krzewów, ziemi, nieczuła na osty i pokrzywy siekące po gołych nogach – nasza piątka: Jacek, Witek, Bożena, Danek (czyli ja Bogdan), i Ewa Kasprowiczowie. No, będzie teraz, oj będzie...

Wuj Adam, mieszkający w Strzelinie, dwie ulice dalej, znający wszystkich okolicznych sąsiadów, od razu rozpoznał pana Staniszewskiego z ulicy Słowackiego (a więc zza rogu) z synami, więc zagadnął pierwszy;

– A cóż to się wydarzyło, panie Staniszewski, że pan z całą „famułą” najazd na nas urządzasz?

– Ta patrz pan, panie Kruczkowski, kolacji czas szykować, a tu dzieciśka pobite, pokrwawione, posiniaczone i mówią – te batiary od pani Bieleckiej ich napadły. Ta patrz pan, jeszcze krew si leji!

Tu wuj Adam zagadnął wyglądającego na najśmielszego i chyba najstarszego z chłopców:

– To mówisz, że napadli na was, na was wszystkich czterech, a gdzie to było?

– A na naszy ulicy, przezywali nas od „rusków” i nie chcieli wyjść z naszego ogrodu!

Do tej pory siedzieliśmy cichutko w krzakach nie próbując nawet głośniejszy oddychać, ale w tym momencie nie wytrzymał Jacek, który podniósł się i krzyknął:

– Nieprawda, kłamie, kłamie, to wcale nie tak było! – teraz już wszyscy wydobyliśmy się z chaszczy i podeszliśmy do grupy przy furtce. Widok był zaiste opłakany. Brudni, podrapani, zakrwawieni i posiniaczeni wcale nie mniej niż bracia Staniszewscy i tylko nie wiadomo czy w oczach bardziej czaiła się wściekłość na niedawnych przeciwników i to, że poważyli, się przyjść na skargę, czy przerażenie na myśl o nieuniknionej już teraz karze, jaka nas niewątpliwie spotka...

– A tu mi jesteście banda batiarów, ledwie dwa dni wakacji, a już granda, już awantura, już skargi na was! No, toście się doigrali! Mycie, lanie i spanie bez kolacji – zarządził krótko ojciec.

– Spokojnie Stachu, najpierw rzecz całą rozsądźmy – odezwał się milcząco dotąd wujko Kazik Kruczkowski, jedyny w tym gronie prawnik.

– Przede wszystkim jednak, panie Staniszewski, wejdźmy do środka, nie będziemy przecież tak przy płocie rozmawiać...

– Ta gdzie ja tu szanownemu państwu przeszkadzać będę, ja prosty człowiek, ja tylko chciałem... no bo my tu wszyscy tak bardzo szanujemy

państwa Bieleckich, i przecież świętej pamięci pan Franciszek tak wiele nam tu pomógł w pierwszych latach... my absolutnie nic złego... ali pan wiesz żeb naszy dzieci za łby si brali i do krwi pobijali, ta naj Pan Bóg broni...

– Też tak uważam – odparł wujko Kazik – ale tym bardziej należy rzecz całą wyjaśnić i najlepiej pogodzić. No to teraz dawać tych winowajców na sąd! Jak było?

Wszyscy dorośli usiedli przy stole i gdzie tam kto mógł (bo miejsc już brakowało), a my stanęliśmy w dwóch naprzeciw siebie szeregach, po lewej ręce sędziogo czworo Staniszewskich, po prawej pięcioro Kasprowiczów.

Umorusani, pokrwawieni i podrapani byliśmy wszyscy, ale od razu rzuciło się w oczy, że Staniszewscy, choć mniej liczni, byli chyba ciut starsi i fizycznie bardziej wyrośnięci.

– To oni was pobili, mówisz? – zapytał wujko Kazik najstarszego z nich.

– My już wszystko powiedzieli, tak było.

– No i co wy na to – zapytał teraz nas.

Relację składał Jacek:

– Nie tak, graliśmy w piłkę z Hawryszczukami koło ich domu na ulicy, a Staniszewscy przyglądali się zza płotu, ze swojego ogrodu i przezywali nas „Witek Wacek podaj laskę”! (To „Witek Wacek podaj laskę” było znane na pół Strzelina. W sadzie dziadków były najpyszniejsze w okolicy jabłka, a brało się to stąd, że sad ten do 1945 r. prowadził botanik niemieckiego uniwersytetu wrocławskiego prof. Goebel i hodował ciekawe a smakowite odmiany. Na te jabłka zasadzali się okoliczni chłopcy i kiedy nikt nie widział rwali, ile się dało... Dziadek Marian Bielecki, kiedy tylko zauważył ruch w ogrodzie wołał z okna „Jacek. Witek, podaj laskę”!, i wyzywał złodziejasków najpiękniejszymi wiązankami pod słońcem:

– A szubrawcy, a szubienicznicy, a hultaje, a jak złapię to laską na gołą sempiterną sprawiedliwość wymierzę, tak wleję, że matka z ojcem w domu was nie poznają, Witek, Jacek, podaj laskę a zaraz przegonię to hultajstwo!

I tym podobne, i jeszcze kwiecistsze i piękniejsze. Generalnie te zaczepki puszczałyśmy mimo uszu. ale Jacek się wściekał na tego Wacka, więc niejeden strzelinianin. który nie zdołał umknąć na dalszą odległość i znalazł się zbyt blisko Jacka odczul na swojej skórze różnicę między Jackiem a Wackiem).

I kiedy wpadła nam do ogrodu Staniszewskich piłka – Witek poszedł po nią. I nie chcieli mu oddać..., i pierwszy uderzył Witka o ten rudy, pięścią w nos..., i zaczęło się..., i potem już biliśmy się wszyscy, aż po-

łożyliśmy wszystkich na ziemi, chociaż najpierw to oni nalali Danka – o głowę ma rozbitą, jeden na nim siedział i walił głową o chodnik, no to podbiegłem złapałem go za kołnierz, za spodnie i wyrzuciłem za płot do ogrodu, a oni wtedy z krzykiem uciekli do domu... Grać już w piłkę nie chcieliśmy, tym bardziej kiedy usłyszeliśmy, że pan Staniszewski wybiera się na skargę...

– No i co wy na to – odezwał się do swoich synów pan Staniszewski.

– Ale oni nie powinni grać na naszej ulicy, niech się bawią koło siebie na Wrocławskiej – rzucił spode łba rudy.

Właściwie nie wiadomo, jak i kiedy opadły z nas wszystkie emocje. Jedni i drudzy staliśmy jak skazańcy, jedni i drudzy w oczekiwaniu niechybnego lania, które przecież w owych czasach było zwyczajnym, codziennym środkiem wychowawczym, nie tylko w domach, ale w szkołach, przedszkolach, wszędzie. Pas, psia linewka, sznur od żelazka, laska, kij, szkolna linijka, drewniany piórnik, czy elegancko pleciona żyłka były powszechnie znanymi przyrządami kar cielesnych. Zastanawialiśmy się tylko co tym razem rodzice wybiorą – bo przecież minął już moment zaskoczenia, kiedy brane jest to co najbliżej pod ręką. I teraz kiedy jest sąd, będzie wyrok, to i kara zapewne będzie bardziej wyszukana i bolesna. Jak mówią dorośli – ku nauce...

Staliśmy w ciszy, patrząc na siebie już bez wrogości, w przeczuciu wspólnego losu... I w tym momencie spokojnym tonem odezwał się wujko Kazik:

– A może tak „rycerze ulicy” podalibyście sobie ręce, przeprosili i pogodzili się. Przed wami dwa miesiące wspólnych wakacji, nie lepiej przeżyć je we wspólnej zabawie... O tu. za domem jest pusta łąka, na której Hawryszczuki pasą swoje kozy, jakbyście tam zrobili boisko, to wszyscy razem możecie grać w piłkę... I co wy na to?

Nie pamiętam już kto pęki pierwszy, ale w końcu propozycja była wspaniała, może obejdzie się bez kary – więc wszyscy chórem podjęliśmy – niech tak będzie i podaliśmy sobie ręce.

W tym momencie odezwał się tato:

– No to poczęstujcie się po kawałku szarlotki, a jutro rano wcześniej pobudka i do roboty – robimy boisko!

– Jak szarlotki, co ty mówisz Stachu – przecież brudni jakby z piwnicy prosto wyszli... myć się najpierw...

– Ali wo, ta nic im ni bedzi – bałaknął ktoś od stołu i taca z pachnącym, świeżym ciastem poszła w ruch.

– Pani Bielecka – wstał od stołu stary Staniszewski – proszę nie mieć za złe... my z całym sercem i szacunkiem... rączki całują pani dobrodziejko... i wszystkim państwu daj Boże zdrowie i wszystko co najlepsze... i Panie Kruczkowski, jeśli można dłoń uścisnąć...

– Panie Staniszewski, my tu przecież wszyscy tak samo *exulae* z jednych stron. I nieważne kto szewc, chłop, czy profesor my wszyscy w tej samej sytuacji musimy sobie pomagać, nie szkodzić, niezgoda to największy wróg i nasze dzieci też muszą o tym wiedzieć.

Uff! Ale to był dzień, no i obeszło się bez kary, mycie, kolacja i... noc na werandzie. Czyż można miastowym kamienicznikom wyobrazić sobie lepsze spanie w całym kwiecie – na podłodze położone suche siano, na nim koce, kapy, wszystko co tylko nadawało się do przykrycia, na to pościel i otwarte okna. tak że właściwie spaliśmy na powietrzu... a noce gwiaździste i ciepłe... i zapach sadu...

Długo jeszcze roztrząsaliśmy dziesiąty i dwunasty raz kto komu lepiej przyłożył, aż wreszcie zmęczenie, emocje i po prostu organizm powiedziały basta i posnęliśmy całkiem jak aniołki, choć mówili jeszcze długo w Strzelinie o nas „batiary od pani Bieleckiej”.

I po prawdzie było w tym coś z prawdy, bo od tej pory kiedy tylko nadchodziły wakacje i Kasprowicze zjeżdżali do Strzelina – nasze tu, w rejonie ulic Wrocławskiej, Słowackiego, Ogrodowej. Koszykowej – następowały rządy!

Maria Kopycińska-Lehun

SPACER SENTYMENTALNY

Lwów majem nam pięknieje
Na Łyczakowie kwitną bzy
Kurant z ratusza śpiewa
A w sercu tylko ty.

Mickiewicz tęsknił za Paryżem
Ty także zarówno też
A mnie do Lwowa niesie
Po łyczakowski siny bez.

Patrzyłeś w moje oczy
Majowy padał deszcz
Pachniały bzy dokoła
Lecz pełne były łez.

Lwów wtedy też był piękny
I dziś zachwycił nas
I choć nie wiedzieliśmy,
Zatrzymał się tu czas.

Na Wałach batiar spaceruje
I katedralny śpiewa dzwon
Pan Fredro znów ironizuje
„Cajrączki” – słyhać w krąg.

Jak zawsze przed teatrem
Siedzi staruszków rząd
Przybyli tu na starość
Lecz nie wiadomo skąd?

Nad Korniaktowską Wieżą
Przepłynie obłok bury
A my się zamyślimy,
Ach, który to już który?

Kazali nam zapomnieć
– wybacz o Panie słowa te –
I chociaż Lwów daleko
Z nim zawsze myśli me.

Lwów w maju nas pokochał
Bzy Łyczakowa złączyły nas
Z Ratusza kurant znów zaśpiewa
Jakby nie istniał Czas.

DWIE MIŁOŚCI

Miałam w życiu miłości dwie
Ciebie i miasto moje lwie
Do was szły myśli moje
Radości i inne nastroje
A za to od was radość tworzenia
I skurcze serca i uniesienia
Od was nadzieja i wiara
Dzięki wam smutki ode mnie wara
Żyłam jak w raju pojoła miodem
Smagana tylko tęsknoty lodem
Tak was kochałam – ciebie i miasto
Jak ulubione z wiśniami ciasto
I tak by trwał ten chwały obelisk
Lecz ty nie byłeś...

semper fidelis

Bożena Gorska

FELIKS ŁAŃCUCKI – POETA ODNALEZIONY

Na wiersze Feliksa Łańcuckiego natrafiłam przypadkiem w 2011 roku podczas pracy nad książką o Liceum Krzemienieckim i o roli tej szkoły w życiu kulturalnym międzywojennego Wołynia. W zbiorach krzemienieckich warszawskiego Muzeum Niepodległości znajdowała się opracowana po amatorsku powielaczowa odbitka, zawierająca utwory już publikowane oraz niepublikowane, przepisane z ocalałych rękopisów. Był to efekt pracy rodziny poety: jego brata Jana Łańcuckiego – profesora dermatologii – i bratanicy Katarzyny Łańcuckiej, a także zaprzyjaźnionej z rodziną Zofii Kozłowskiej-Jędrzejczyk, szkolnej sympatii Feliksa, adresatki jego listów. Katarzyna dodała do zbiorku profesjonalny szkic o poezji stryja. Odbitka opatrzona tytułem *Podwodne księżyce. Wybór wierszy*, z datą 1994, najwyraźniej była przygotowywana do druku, ale dla jakiego wydawnictwa – nie wiadomo. Identyczny zbiorek złożono w Bibliotece Narodowej. W ciągu siedemnastu lat nic się wokół tej sprawy nie działo.

Fakt, że te wiersze wpadły akurat w moje ręce uważam za szczęście. Dane mi było przywrócić postać Feliksa Łańcuckiego pamięci jeszcze żyjących krzemieńczan, którzy go znali, a także wprowadzić poetę w krąg twórców literatury polskiej. Debiutanckim – i jedynym – tomikiem w siedemdziesiąt lat po śmierci autora! Zbiorek został wydany w moim opracowaniu przez Muzeum Niepodległości w roku 2012, pod tytułem *Sny młodzieńcze, sny lunatyczne*. Ano cóż: *Habent sua fata libelli*.

Twórczość Łańcuckiego jest autentyczną poezją, zdumiewająco dojrzałą, jeśli się zważy, że autor przeżył niespełna dwadzieścia trzy lata, a najwcześniejszy datowany wiersz napisał jako siedemnastolatek.

Feliks Łańcucki urodził się 29 maja 1919 roku w Żurawnie nad Dniestrem jako syn Leopolda – nauczyciela matematyki – i Marii z Reizerów. Miał siostrę i czterech braci.



Najszczęśliwsze lata dziecięce i młodzięcze spędził w Krzemieńcu. Liceum Krzemienieckie, dokąd trafił, było szkołą niezwykłą, fenomenem edukacyjnym lat międzywojennych, niedosiężnym ideałem, do którego nie dorosła później żadna szkoła ani w Polsce Ludowej, ani w dzisiejszej niepodległej Rzeczypospolitej. Założone w 1805 roku przez Tadeusza Czackiego i Hugona Kołłątaja jako Gimnazjum Wołyńskie i reaktywowane w roku 1920 przez Marszałka Piłsudskiego, funkcjonowało do wybuchu drugiej wojny światowej.

Feliks Łańcucki był uczniem szkoły ćwiczeń, a potem gimnazjum. W krzemienieckiej ćwiczeniówce chodził do klasy B – dla wybitnie zdolnych. Jako uczeń gimnazjum przejawiał szczególne zainteresowania literaturą, zwłaszcza poezją. Młodzież licealna wydawała własne pismo „Nasz Widnokrąg”. W latach nauki Feliksa redakcją opiekował się polonista, profesor Kazimierz Groszyński. Nazwisko Łańcucki pojawiło się w stopce redakcyjnej już wiosną 1935 roku. Jako uczeń drugiej klasy gimnazjum został Feliks sekretarzem Komitetu Redakcyjnego Działu Młodych, a dwa lata później awansował na redaktora Głównego Komitetu Redakcyjnego i piastował tę funkcję do ostatniego numeru pisma, wydanego z datą marzec-kwiecień 1939. Od 1937 roku publikował w „Naszym Widnokręgu” także swoje wiersze. Chociaż z natury intro-

wertyczny, bez trudu nawiązywał kontakty towarzyskie i przyjaźnie. W kręgu młodzieży cieszył się popularnością i miał niewątpliwy autorytet.

Poza talentem poetyckim odznaczał się muzykalnością. Grał na skrzypcach. W Żurawnie urządzali z ojcem i rodzeństwem kameralne koncerty domowe. Umiłowanie muzyki znalazło odbicie w jego wierszach.

Krzemieńskie lata Łańcuckiego wypełniała nie tylko nauka, ale pełne radości przyjaźnie, młodzieńcza miłość, pierwsze udane próby twórczej pracy potraktowane z uznaniem przez kolegów. Jednak już wtedy nastąpiło pęknięcie. U Feliksa, zawsze kruchego fizycznie, ujawniły się początki gruźlicy. A kiedy wrzesień 1939 roku zdruzgotał świat i do narodowych nieszczęść Polaków na podwójnie okupowanych Kresach doszły prywatne nieszczęścia – w doświadczeniach Łańcuckiego śmierć matki i wywózka najstarszego brata na Sybir – choroba dokonała zniszczenia. Ostatnie miesiące życia spędził Feliks pod opieką siostry Izabeli w jej domu w Trościańcu.

Umarł w szpitalu w Dubnie 6 lutego 1942 roku i na dubieńskim cmentarzu został pochowany. Bratowa poety Aleksandra Łańcucka wspominała dramatyczne okoliczności jego pogrzebu: srogą zimę z trzydziestopięcioletnim mrozem, trud zdobycia desek na trumnę i przewiezienie na cmentarz wozem jakiegoś pocziwego Ukraińca.

Datowana twórczość poetycka Feliksa Łańcuckiego zamyka się w datach: marzec 1937 – lato 1941. Czy pisał jeszcze w ostatnim półroczu życia – nie wiadomo. Pierwsze trzy utwory opublikowane w „Naszym Widnokręgu” do maja 1937 roku – *Inżynier*, *Nokturn* i *Dusza* – aczkolwiek zawierają interesujące metafory i są dobrym prognostykiem – mieszczą się w krzemieńskiej licealnej „normie” i nie odbiegają za bardzo od chłopięcego poezjowania kolegów. W ciągu ośmiu miesięcy po tych pierwszych próbach w twórczości Łańcuckiego nastąpił skokowy rozwój. O dojrzałej poezji można mówić począwszy od *Akwareli* opublikowanej na początku 1938 roku. Jest ona autentyczną własną wypowiedzią liryczną, niezależną od uprawianego przez młodzieńców z „Naszego Widnokręgu” naśladownictwa współczesnych poetów czy nurtu patriotyczno-patetycznego. Nawet jeżeli w przyszłości sięgnie Łańcucki do tematyki patriotycznej i „udrapuje ją patosem” – tak się przecież stanie w wierszu zaczynającym się słowami: *Księżyc błyszczy w gotyckim nieba ostrołuku...* — uczyni to z bogatszym doświadczeniem warsztatowym – i po swoim. Tak więc od stycznia 1938 roku do lata roku 1941 – zaledwie trzy i pół roku – rozwijała się oryginalna poezja Feliksa Łańcuckiego. Równolegle zajmował się przekładami wierszy z trzech języków: ukraińskiego, niemieckiego i rosyjskiego. Nie tylko nie

ustępują one uznanym tłumaczeniom, ale bywa, że są od nich lepsze (na przykład *Kamieniarze* Iwana Franki).

Już od pierwszego kontaktu z wierszami Łańcuckiego zauważa się intensywną zmysłowość kreowanego świata poetyckiego. Nic nie wiadomo o zdolnościach plastycznych Feliksa, ale jego utwory pozwalają się domyślać zarówno wielkiej wrażliwości na piękno, jak i poważnych zainteresowań sztuką. Często ich tematem jest uroda świata. W nieograniczonej przestrzeni poetyckiego Wołynia króluje natura, a jej bogactwo jest niewiarygodne.

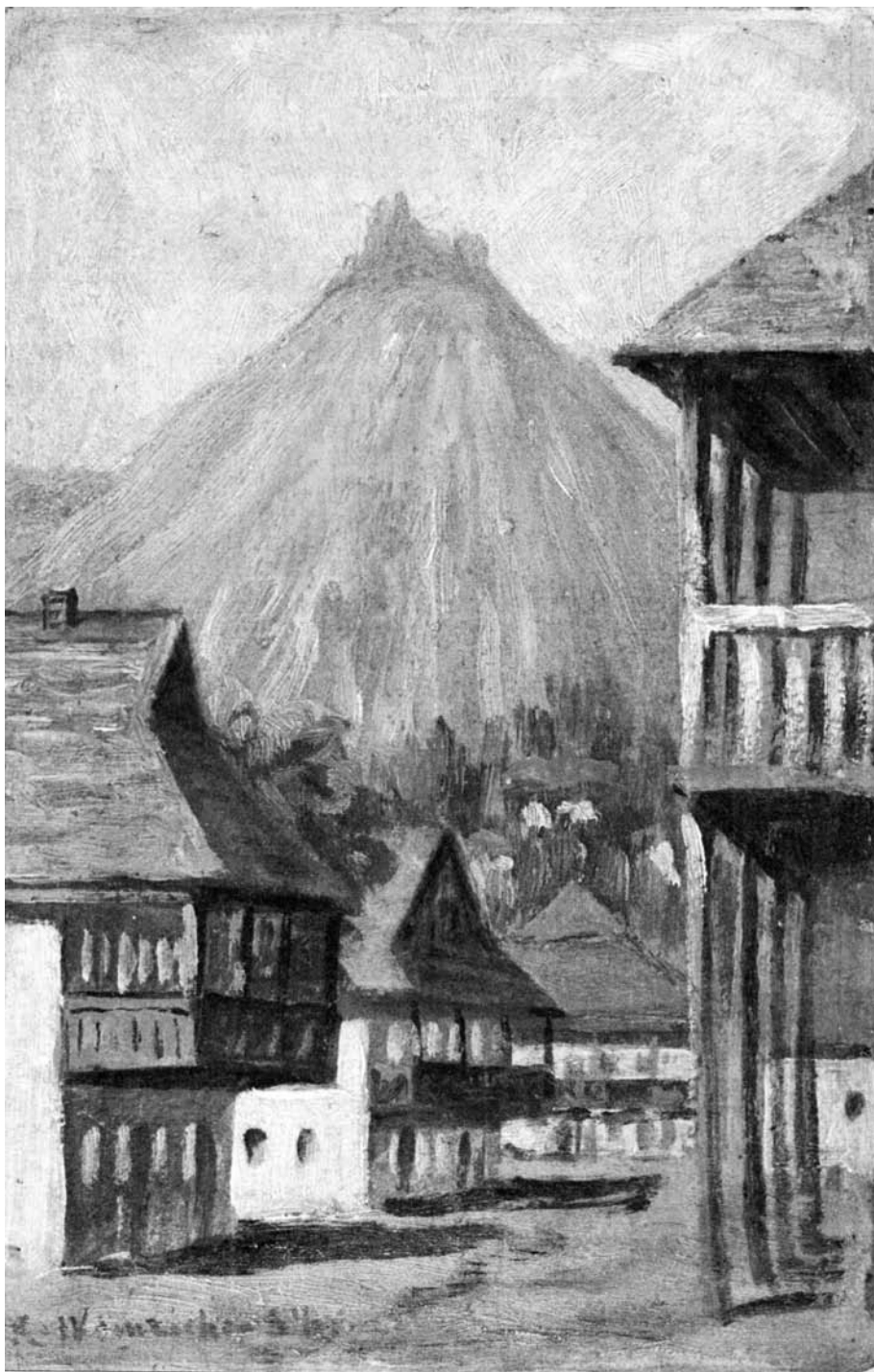
Świat natury w wierszach Łańcuckiego jest zarazem autentyczny i wykreowany. Kontakt z tym rzeczywistym leczy cierpienia duszy – tak się dzieje w *Jabłoni*, w wierszach *Tamta wiosna szumiła w drzewach...* i *Przyjaciele! To ku nam właśnie wybiegły wzgórza...* czy w *Wołyniu*. Znamiona autentycznego opisu mają *Ulica Miodowa w Krzemieńcu*. *Ulewa i Południe* – wiersze tworzące kompozycyjny dyptyk, zbudowany na opozycji: ruch-spokój, dynamizm-statyczność. Oba są bardzo „malarzkie”, a raczej przypominają różniące się tempem sekwencje filmowe. W kierunku świata sztuki – nie tylko z powodu tematu – zmiernają *Akwarela*, *Martwa natura* i *Chwile*. Ich osnowa pochodzi z rzeczywistości, ale wątek jest kreacją.

Czy wiersze Łańcuckiego naprawdę opisują przyrodę, czy też opisy przyrody pozorują?

Bowiem pejzaż jest dla poety źródłem emocji, a także magazynem środków ekspresji, z którego czerpie motywy i przekształca je w taki sposób, żeby wyrażały jego samego. Łańcucki „malując” pejzaż tworzy... autoportret. Podobnie w jego wierszach nie znajdzie się dosłownego świadectwa wydarzeń biograficznych i historycznych. Są one przeżywane „do wewnątrz”, a uobecnione w metaforach. Po drodze ulegają takiemu przeobrażeniu, że sam impuls bywa nierozpoznawalny. To, co zewnętrzne, niezależnie od swojej mocy, nie dotyka „ja” lirycznego. Proces „przekładania” emocji autorskich na wiersz jest nieuchwytny. A powstała forma poetycka nie ma już nic wspólnego z tak zwaną „otaczającą rzeczywistością”.

Wyrazistą cechą poezji Łańcuckiego jest muzyczność. Mam tu na myśli nie tylko jej oznaki zewnętrzne – aczkolwiek świat poetycki Feliksa pełen jest dźwięków. I mnóstwo w nim instrumentów – potraktowanych „przedmiotowo” jako elementy obrazu poetyckiego albo metaforycznie – jak „rozbita okaryna”, *alter ego* lirycznego „ja”.

Muzyczne jest u Łańcuckiego brzmienie frazy wiersza, dźwięk słów, które ją budują, ich połączenie, rytm, operowanie pauzą. Melodyjność, a nawet śpiewność frazy osiąga doskonałość w najpóźniejszych wierszach. Tak oto „śpiewa” dojrzała w formie *Tarnina*:



Karol Weinzieher – Krzemieniec. Góra Bony (olej)

*„Dziś powróciłem nad rzekę. Wystarczy przeleźć przez plot,
Który się nawet pochylał, i poprzez gęste wikliny
Przedrzeć się miękko jak kot – a nie wiadomo skąd –
Krzaki, urwisko i granatowy owoc tarniny.”*

Pieśniowo także – z dramatycznie rozbudowaną przedostatnią frazą i skróconą ostatnią – brzmi fragment innego wiersza:

*„W tę noc myślałem o Tobie –
Śnieg padał wielkimi płatami.
Strach w rozszerzone źrenice
Zastygłe palce wtykał.
Myślałem: czy ziemia przecięta srebrnymi szynami
W noce oddycha.”*

Rytm wierszy Łańcuckiego, przeważnie regularny, często wyłamuje się z regularności nadmiernej, grożącej „katarynką”. Takie drobne zakłócenia wychodną mu na dobre. Jak tutaj:

*„Przez płowe włosy, przez lata
Bujną przestrzeń wiało,
A dziś tak ciężko przygniata
Znużone ciało.”*

Sytuacja jest inna, kiedy forma narzuca ścisły rygor. Z ograniczeniami formalnymi musi się liczyć poeta sięgający po sonet. W spuściźnie Feliksa zachowały się trzy sonety. Świadczą o doskonałym, na mistrzowskim poziomie, opanowaniu formy.

Poezja Feliksa Łańcuckiego niezależnie od tematyki pojedynczych utworów ma jeden wielki temat – czasem widoczny na powierzchni, czasem głębiej ukryty – doświadczenia egzystencjalne. Dotyka fundamentalnych dla człowieka spraw: cierpienia, miłości, wiary, sensu istnienia i umierania. Waler jego wierszy – tak bardzo prywatnych, introwertycznych – to uniwersalność. Im bliższa wnętrza mówiącego jest wypowiedź, tym bardziej dotyczy wszystkich, których połączyła ludzka kondycja, człowieczy los. Wiersze Łańcuckiego są czystą liryką – w sensie nieledwie chemicznym „wysublimowaną”. Nie ma w nich nawet pokus epickiej dosłowności.

Kim jest „ja” liryczne z wierszy Łańcuckiego? Jaka to osobowość? Młodzieniec z żalem oglądający się wstecz za utraconym rajem. Zdumiewający jest pod tym względem wiersz *W lustrze*, napisany przez dziewiętnastoletniego zaledwie autora. Zaskakuje przedwczesnym „po-

starzeniem” bohatera, który „nad rzeką dzieciństwa” ogląda w wodzie swoją twarz i widzi tylko „zmarszczki i zarost”. To znakomity wiersz o doskonałej formie poetyckiej, jakby echo Mickiewiczowskiego *Polały się łzy*. Tren oplakujący „proporczyki szumiące wiarą” i „straconą młodość”.

Mitologizacja dzieciństwa jako najszcześliwszej pory życia i smutek „wieku klęski” – nawet jeżeli przypada on na czas bujnej młodości – to wątek odziedziczony po modernizmie, a silnie uobecniający się w poezji ekspresjonistycznej. U Łańcuckiego występuje na przykład w *Księżycu dzieciństwa*. A *Jeźdźcem* żegna on lata chłopięce, ich nieśmiertelną lekturę – któż wtedy nie czytał *Jeźdźca bez głowy* Reida! – ale także młodzieńcze marzenia, idealizm, donkiszoterię. I pierwsze próby twórcze, z ich odwagą i rozmachem, kiedy to rytm się nie cofał, a rym dyktował tempo.

Cierpienie wtajemnicza w dojrzałość. Sygnały bólu fizycznego są wyraźne w wierszu *Przed burzą*:

„*Serce jak ryba w jeziorze
Gwałtownie w piersi się rzuca:
Zawsze sercu za mało ciszy
I oddechu za mało płucem.*”

A także we *Wczesnej wiosnie*: „*Tak mnie wiosna osłabia i jasność tak męczy*”. Jednak bardziej dotkliwe jest cierpienie ducha. Warto zwrócić uwagę na erotyk *Bajka o śniegu strzelistym*, ze względu na subtelność kamuflażu złych wieści. Chłopiec czeka na odwiedziny ukochanej. O czym będą ze sobą rozmawiać? „*Musi przecież być jasno, miękko, cicho, radośnie*”. Tak właśnie ma być „*na me ciche odejście, na czarowne Twe przyjście*”. On już wie coś, czego ona nie wie. „*Na me ciche odejście...*” Dla niej – zimowa bajka. Prawda – dla niego.

Temat wiary obecny jest w wierszach Łańcuckiego począwszy od pierwszych prób, w których występują motywy serdecznego zmagania, wadzenia się z Bogiem i poszukiwania Boskiego Oblicza na rozgwieżdżonym niebie. Wiara przeplata się ze zwątpieniem. Ale bohater Łańcuckiego – jak ten z sonetu Sępa-Szarzyńskiego, „*wątki, niebacznym, rozdwojony w sobie*”, podatny na kuszenie zła – tęskni za dobrem, pragnie pokrzepienia pewnością i chce mieć udział w harmonii świata, z nią współbrzmieć. Stworzyć „*nocy symfonię*”, a dysponuje tylko „*niezgodnym instrumentem*”, bo jego wysiłki niweczy „*pęknięta dusza skrzypiec*”. Piękna, wyrafinowana metafora. Duszą w skrzypcach nazywa się drobny element we wnętrzu instrumentu, podpórkę umieszczoną pod podstawkiem. Jest niewidoczna, ale to ona przenosi drgania na spód pudła rezonansowego.

Blaise Pascal napisał: „*Niechaj człowiek przyjrzy się naturze w jej wzniosłym i pełnym majestacie, niech oddali wzrok od niskich przedmiotów, które go otaczają.*” Feliks Łańcucki się przyglądał. Niekiedy odnajdywał podobieństwo losu. Na przykład człowieka i drzewa – jak w *Jodłach czorsztyńskich*:

*„O smukło chwiejne maszty, żagle zielone – wam stromym
Potokiem na wody Dunajca – świtem pienińskim spłynąć!
Siekiera słońca skwarem w wilgotne pnie uderza,
Nocą, pod piłą księżycy niknące skrzypią godziny,
Spod rdzawej kory wiatrem rozszczepionego pancerza
Prośszy srebrzysty piasek – pachnące żywicą trociny.”*

Niekiedy zazdrościł drzewom witalności i siły – jak w *Prośbie do lasu*, albo „*obrzędu owocowania i bujnej długowieczności*” – jak w *Jabłoni*.

Nadzieję na niepojętą dla rozumu, ale realną w innej rzeczywistości, przemianę cielesnego w duchowe zawarł w *Podwodnych księżycach*:

*„Dokąd uniesiesz trwogę? i serce odpłynie którądy?
Nabrzmiałe treścią namiętą, a już nie twoje więzienie.
Nieznaney przygody obecność – poznania bolesny spokój
Wieczną harmonią światła, półplaszczyszni barw i cieni.
Gdy bladym seledynem księżycy zapłoną o zmroku.
Połączysz w nowych kształtach, których już czas nie zmieni.”*

Ten uczeń Pascala po wielokroć przeżywał dramat zwątpienia, a nawet popadał w ciemności niewiary. „*Proporczyki szumiące wiarą*” zostały zagubione, a jednak – paradoksalnie – wiersz *W lustrze* kończy się modlitwą o ratunek:

*„O Boże! Boże dzieciństwa
Wietrze i wodo!
Wróćcie mi niebo jasne –
Straconą młodość!”*

Najbardziej wstrząsa *Tarnina*. W półsennej wizji nawiedza bohatera matka. Zasmucona, przypomina synowi o pacierzu. Na to pada jego odpowiedź:

*„O matko! Pomódl się za mnie. Przebacz. Nie z mojej winy.
Nie nauczyłaś mnie kłamać. Milczę. Nie umiem pacierza.”*

*I tak już musi pozostać. Szatan się z nocą sprzymierzył.
Nakrył mnie złymi snami jak krzakiem cierpkiej tarniny.”*

Co znaczą te słowa wypowiedziane przez kogoś, kto przecież zna frazeologizm: „umieć coś jak pacierz”? Może to, że zdarzają się w życiu takie ciosy, tak porażający ból i taki żal zbuntowanej duszy do Boga, że człowiek zapomina słów pacierza.

Feliks Łańcucki był wyraźnie zafascynowany poezją Lieberta. Wiersz zaczynający się słowami *Jeszcze się blady uśmiech na Twojej twarzy błąka...* opatrzył mottem z jego *Zmęczenia*. Dwóm wierszom dał Liebertowskie tytuły: *Madonna Liryczna* (spolszczona *Madonna Lyrica*) i *Jeździec*. W *Madonnie Lirycznej* odnajduje się podobny motyw. *Jeździec* Łańcuckiego nie ma z Liebertowym nic wspólnego. Natomiast dialog z Liebertem prowadzi Feliks w *Jodłach czorsztyńskich* i w *Prośbie do lasu* – słychać tu echa *Kołysanki jodłowej* i *Gorzkich wiórów*, choć na pewno to nie jest naśladownictwo. Obaj poeci koncentrowali się na tematyce egzystencjalnej, szczególnie na przeżywaniu miłości i wiary. Czy to właśnie Liebert był mistrzem Łańcuckiego? A potem, kiedy nadeszły dla niego czasy ostateczne – także mistrzem umierania? Obaj naznaczeni stygmatem gruźlicy, która wzmagala nadwrażliwość, przyspieszała dojrzewanie psychiczne i przedwcześnie oswajała ze śmiercią. Można powiedzieć, że Łańcucki przegląda się w losie tego poety. Co nie znaczy, że przejmuje jego poetykę. W tomiku Lieberta *Kołysanka jodłowa* zdarza się naturalistyczna dosłowność, wręcz opisy fizjologii choroby. Nieraz towarzyszy im humor wisielczy. Nie ma tego w wierszach Feliksa. Łańcucki operuje zaledwie aluzjami, nie epatuje naturalizmem, nie dotyka brudu ani zgnilizny. Jego wiersze sytuują się w innej estetyce. Są powściągliwe i eleganckie.

Czym jest dla Łańcuckiego słowo poetyckie? Narzędziem służącym do przekazywania myśli i przeżyć, a może – jak dla romantyków – Słowem z mocą sprawczą?

W okolicznościowym sonecie, napisanym na rocznicę urodzin i śmierci Słowackiego – okolicznościowym, a jednak nieobciążonym żadną wadą – wierzy, że Słowa nie powołuje poeta, on je otrzymuje – a nawet może wymodlić:

*„Tylko w noc tę Poeta w czarnej pelerynie
Drapowanej patosem przez podwórzec płynie.
Gdzie kościelnych krążanków czernieją arkady. –*

*W samotności natchnienia przesiewa przez palce
Perlister gwiazdy – ziarna hożego różańca
I o Słowo się modli milczący i blady.”*

Ale ta młodzieńcza wiara w słowo poetyckie rychło miała się załamać. Pod wpływem doświadczeń okupacyjnych – a najsilniejszym wstrząsem w tym czasie były masowe wywózki mieszkańców Kresów na Sybir. Wobec przemocy historii poezja okazuje się słaba i bezradna. W wierszu *O słowach* poeta szuka siły, mądrości, prawdy i pocieszenia w tradycji narodu, który wiedział, co to wygnanie:

*„Ale jeśli musimy tajne czynić gustą,
Czuć oddech mroźnych nocy i natchnienia ziąb,
Niech słowa nam się poczną, nie giną na ustach.
Niech siebie wytłumaczą i odkryją głąb.*

*Niech ze skały, jak Mojżesz, strumień wyprowadzą.
Co pragnienie by gasił i ochłodę niósł
– Fale przejrzyste, wierne – co nigdy nie zdradzą
Oracza, koni, wróbli, białopiennych brzoź.”*

Po Feliksie Łańcuckim pozostały słowa ulotne. Zawieruszyły się na tyle lat, niemal zaprzepaszczone –

*„Tragiczne jak list lila pachnący jaśminem,
Gdy dotarł na wieś głuchą po śmierci adresata.”*

A przecież jego poezja dotarła. Wprawdzie po siedemdziesięciu latach, do drugiego i trzeciego pokolenia adresatów – ale dotarła.

BIBLIOGRAFIA I ŹRÓDŁA INFORMACJI

- Włodzimierz Danilczuk, *Na „emigracji”*, „Nasz Widnokrąg”, 1930, z. 5.
Z życia Liceum. Pierwsze zebranie Koła Dyskusyjno-Samokształceniowego młodzieży L. K., „Nasz Widnokrąg”, 1938, z. 4–5.
 Zofia Kozłowska-Jędrzejczyk, *Nota o Feliksie Łańcuckim*, „Życie Krzemienieckie”, lipiec 1994, nr 8.
 Zofia Kozłowska-Jędrzejczyk, *Nota o autorze*, w: Feliks Łańcucki, *Podwodne księżycy*.
Wybór wierszy, Warszawa 1994. maszynopis powielony, w zbiorach Muzeum Niepodległości.
 Katarzyna Łańcucka. *Przedmowa*, w: Feliks Łańcucki, *Podwodne księżycy*. *Wybór wierszy*. Warszawa 1994, maszynopis powielony, w zbiorach Muzeum Niepodległości.
 Przeprowadzone rozmowy: z Aleksandrą Łańcucką w październiku i listopadzie 2011 roku, z Bronisławem Bożenkiem 19 listopada 2011 roku i z Janem Niewińskim w listopadzie 2011 roku.

III. Polacy we Lwowie, Lwowiacy w Polsce i w świecie

Jurij Smirnow

POWOJENNE LOSY ŚWIĄTYŃ LWOWSKICH część VII

Kościół św. Wojciecha

Romantyczna, a nawet dzika okolica, wcale niedaleko od centrum miasta. Zaulek przy końcu ulicy Św. Wojciecha (obecnie Oleksy Dowbusza) u stóp góry Lwa, znanej też pod inną nazwą – Piaskowa. Na wschód od kościółka Św. Wojciecha piękny widok na Zniesienie, a od strony północnej niewielki lasek i ścieżki prowadzące na szczyt góry. Tak samo jak kilka wieków wstecz teren dookoła zabudowań kościelnych i klasztornych otacza mur obronny z przyporami i bramą wjazdową. Piękne miejsce dla pieszych przechadzek, a w zimie jazdy na nartach.

Według podań historycznych, właśnie tu niejedną raz spacerował król Jan III Sobieski. W noc przed szturmem Lwowa 5 września 1704 r. w okolicach kościoła przechadzał się król szwedzki Karol XII. W jednej z kronik można wyczytać, że nie spał on przez całą noc przed zdobyciem Lwowa, a w innej, że zanocewał w klasztorze, gdzie też obmyślił plan szturmowania miasta. Wśród drzew i krzewów obok kościółka odpoczywał architekt i obrońca Lwowa Rudolf Indruch (1892–1927), który mieszkał przy ul. Św. Wojciecha 9. Może właśnie tu zrodziła się u niego koncepcja projektu Cmentarza Orłąt? Kościół natomiast uwiecznił na jednej ze swoich akwarel.

Kronikarze są zgodni, że pierwsze wzmianki o założeniu kościoła św. Wojciecha w tym miejscu odnoszą się do lat 1606–1607, kiedy według Bartłomieja Zimorowicza „kaplica św. Wojciecha między górami leżąca z małych przyczyn wzięła początek. Piotr Moskalik, sąsiad wyższego zamku, utraciłszy przed pięciu laty podczas powszechnej zarazy swe dzieci i na polu je pochowałszy pomnik krzyżem ozdobiony na posadzie

Lwiej postawił góry, a gdy wkrótce więcej tamże pogrzebano dzieci, to miejsce naprzód rodzicom, potem sąsiadom stało się szanownym, z których złożonej składki kościółek mały zbudowano i w nim za pozwoleniem arcybiskupa nabożeństwo w sam dzień świętego patrona odprawiać zaczęto. Ponieważ zaś dzień świętego Wojciecha po świętach wielkanocnych corocznie następuje, najczęściej świątkujące pospólstwo miłą wiosną pobudzane orszakami tu się zgromadza i mniema, że temi swemi przechadzkami czci także świętego pamięć”.

Otóż małą drewnianą kaplicę (kościółek) pw. św. Wojciecha zbudowano w 1607 roku. Dookoła kościoła był niewielki cmentarz. W 1638 r. mieszczanin lwowski Maciej Litwinowicz i jego żona Anna zapisali kościołowi swoje grunty leżące obok świątyni. W aktach grodzkich lwowskich m.in. zapisano, że małżeństwo Litwinowiczów „ofiaruje dobrowolnie na wieczne czasy ku chwale Bożej na rzecz i korzyść kościoła św. Wojciecha wielebnemu księdzu Rumińskiemu, prebendarzowi kościoła, i jego następcom obszar z drogą, ogrodem i domem znajdujące się (...) tuż obok kościoła św. Wojciecha”. Miejsce dookoła kościoła było bardzo romantyczne, rosło dużo zieleni i drzew, na sąsiednich wzgórzach rozciągały się urodzajne winnice.

W 1652 r. obok kościoła zbudowano dom murowany. Ustalono również, że już w połowie XVII w. kościół św. Wojciecha pełnił funkcję świątyni parafialnej, ale niestety krótko. 14 listopada 1763 r. parafię przeniesiono do kościoła św. Piotra i Pawła na Łyczakowie, a później do kościoła św. Antoniego. W pierwszych latach XVIII wieku okoliczni mieszczanie zgromadzili odpowiednią sumę pieniędzy i w latach 1702–1703 w miejscu drewnianej kaplicy zbudowali niewielką murowaną świątynię otoczoną obronnym murem z bramą i skarpami. Ta budowla istnieje do dziś.

W 1721 r. papież Klemens XI zezwolił na coroczne obchody odpustu w dzień św. Wojciecha, które zbierały mnóstwo ludzi. Obok kościoła odbywały się jarmarki, które „stanowiły największą atrakcję dla dzieci i młodzieży”.

W 1745 r. arcybiskup Mikołaj Ignacy Wyżycki zaprosił do Lwowa ojców misjonarzy, którzy w roku następnym odkupili od teatynów ormiański kościół Św. Krzyża i zabudowania klasztorne i zorganizowali w nich łacińskie seminarium duchowne. W 1749 r. arcybiskup oddał misjonarzom kościół św. Wojciecha, przy nim oni zbudowali budynek bursy dla kandydatów do swojego seminarium. Dominikanin i historyk o. Sadok Barącz pisze, że w 1769 r. misjonarze przekazali kościół i bursę pod opiekę ojców teatynów, którzy niedaleko na Sobieszczyźnie zbudowali swój nowy klasztor i kolegium dla młodzieży ormiańskiej. W 1783 r. nowe austriackie władze poddały kasacie klasztor misjonarzy,



Kościół Św. Wojciecha

a w 1785 r. zlikwidowano kolegium teatynów. Kościół św. Wojciecha wraz z budynkami bursy przekazano władzom wojskowym, które urządziły tam magazyn prochu. Kościół wyceniono na 400 florenów, zabudowania bursy – na 250 florenów. Pieniądze przekazano do Galicyjskiego Funduszu Religijnego. Sprzedano też wyposażenie kościoła. W ten sposób ołtarz główny znalazł się w kościele w wiosce Sichów pod Lwowem, a obraz św. Wojciecha w greckokatolickiej cerkwi na Zniesieniu. Całość majątku razem z ogrodem i polem wyceniono na 3219 florenów.

Z inwentarza spisane przy odbiorze kościoła przez rząd austriacki dowiadujemy się, że świątynia była orientowana, jednonawowa, prezbiterium nieco niższe i węższe od nawy, z przybudowaną do niego zakrystią. Prezbiterium zamknięte trójbocznie, ozdobione blendami na osiach ścian ukośnych. Wnętrze nawy ozdobiono pilastrami, między nimi po dwa okna z każdej strony, zamknięte półkoliście. Łuk tęczy półkolisty, wsparty na gzymsie. Nad wejściem niewielki chór muzyczny z drewnianą balustradą. Fasadę świątyni ozdobiono lizenami i niskim trójkątnym szczytem. W polu szczytu trzy prostokątne płyciny, zamknięte półkoliście. Do wejścia głównego dobudowano niewielką kruchtę. Nad nawą zbudowano wieżyczkę na sygnaturkę. W XVIII wieku dach kościoła był pokryty gontami, obecnie – blachą miedzianą.

W 1785 r. w kościele było trzy drewniane ołtarze. W głównym ołtarzu znajdował się obraz św. Wojciecha, w bocznych – obrazy Matki Bożej Częstochowskiej i św. Rozalii.

Przez ponad sto lat kościół był w posiadaniu władz wojskowych. Dopiero w 1897 r. z okazji obchodów 900-lecia męczeńskiej śmierci św. Wojciecha powstała inicjatywa rewindykacji i odbudowy kościółka pod górą Piaskową. W tym celu założono Towarzystwo Bursy św. Wojciecha, które miało zorganizować w dawnym klasztorze ojców misjonarzy bursę dla biednej młodzieży, uczniów szkół średnich. Głównym też celem działania bursy, jak uważał ks. Jan Ślósarz, „byłoby przysposobienie młodych ludzi do seminarium duchownego”. Towarzystwo wspierali znani we Lwowie ludzie: książe Adam Stanisław Sapieha, dyrektor prof. Michał Lityński, wicerektor seminarium ks. Adam Stefan Sapieha. Towarzystwo zwróciło się z prośbą do cesarza Franciszka Józefa I o przekazanie kościoła i przylegającego terenu na potrzeby bursy i otrzymało zgodę, lecz pod warunkiem, że będzie zbudowany dla użytku wojska nowy magazyn prochu. Lwowski arcybiskup Józef Bilczewski ofiarował na tę sprawę 20.000 koron. Inicjatywę Towarzystwa wspierała też gmina miasta Lwowa, która podarowała 500 sążni ziemi dla budowy nowego magazynu prochu.

Odbiór od wojska kościoła i terenu dookoła nastąpił 14 czerwca 1905 roku. Remont i odbudowa budynków dawnego kościoła i klasztoru, jak

też uporządkowanie terenu trwały prawie rok. 29 kwietnia 1906 r. abp Józef Bilczewski poświęcił odnowioną świątynię. Obecni byli przedstawiciele najwyższych władz krajowych na czele z marszałkiem Sejmu Galicyjskiego Stanisławem hr. Badenim i komendantem korpusu generałem Rudolfem Brudermannem.

W trakcie przystosowania kościoła do potrzeb kultu zbudowano nową sygnaturkę, na niej zamocowano krzyż, dach pokryto blachą miedzianą, zawieszono trzy nowe dzwony. Wewnątrz świątyni zbudowano trzy nowe ołtarze. Z cerkwi na Zniesieniu odkupiono stary obraz św. Wojciecha, który umieszczono w głównym ołtarzu. W bocznych ołtarzach znajdowały się nowe obrazy św. Franciszka z Asyżu i Matki Boskiej Częstochowskiej. Zbudowano ambonę, na chórze ustawiono nowe organy. Wzdłuż ogrodzenia wysadzono 1000 młodych świerków.

Bursa i kościół sprawnie działały do wybuchu I wojny światowej. Podczas wojny bursa została zamknięta, a kościół stał nieczynny. W 1916 r. wojsko austriackie zarekwirowało dwa dzwony. Od 1917 r. w budynkach bursy zorganizowano przytułek dla sierot. Powstało też Towarzystwo Ochrony Dziecka, które zaopiekowało się tymi dziećmi.

W latach 1928–1932 kościół był nieczynny i tylko 22 kwietnia 1932 r. został ponownie otwarty dla wiernych. Jego zabudowania i wyposażenie wymagały renowacji i konserwacji, również uzupełnienia. W roku 1933 zakupiono trzy używane dzwony. Zbudowano nowe ogrodzenie wokół bursy i kościoła. Profesor Henryk Żak podarował do kościoła dwie gipsowe płaskorzeźby przedstawiające Chrystusa i Matkę Boską Niepokalaną. Do II wojny światowej w kościele regularnie odbywały się nabożeństwa i odpusty na św. Wojciecha (23 kwietnia).

Po wojnie kościół został ponownie zamknięty i przez nowe władze radzieckie przeznaczony na magazyn dla lwowskiej stacji telewizyjnej i „Lwowkino” na filmotekę. Zniszczono wyposażenie, wszystkie ołtarze, obrazy i organy. Część okien zamurowano. Wewnątrz kościół podzielono stropem na dwie kondygnacje. W zaniedbaniu znajdował się teren dookoła świątyni i zabudowania dawnej bursy.

W 1994 r. kościół św. Wojciecha i przylegający teren wraz z dawną bursą zostały przekazane Ukraińskiemu Kościołowi greckokatolickiemu (UGKC) i wróciły do użytku sakralnego. Lwowska metropolia UGKC przekazała świątynię międzynarodowemu katolickiemu zgromadzeniu misyjnemu „Miles Jesu” („Żołnierz Jezusa”). Kościół i zabudowania bursy zostały wyremontowane. Wnętrze świątyni otrzymało nowe wyposażenie i ozdobienie – zbudowano nowe ołtarze, ikonostas, wszystkie sufity i ściany pokryto malowidłami na tematy Starego i Nowego Testamentu, postaciami świętych i męczenników Kościoła greckokatolickiego i zgromadzenia „Miles Jesu”. Malowidła wykonała członkini zgromadze-

nia amerykańska malarka Milena Miła. W 1996 r. cerkiew poświęcono pod wezwaniem św. Jozafata i Wszystkich Ukraińskich Męczenników.

Katolickie misyjne zgromadzenie „Miles Jezu” – „Kościelna Rodzina Życia Konsekrowanego” powstało w USA i Kanadzie. Prowadzi działalność misyjną na czterech kontynentach w 13 krajach. Statut zgromadzenia zatwierdził papież Jan Paweł II. W 1990 r. do Ukrainy zgromadzenie zaprosił arcybiskup Wołodymyr Stemiuk. Zgromadzenie skupia zarówno księży, jak też osoby świeckie. W dawnej bursie zgromadzenie zorganizowało przytułek dla dzieci-sierot, pomaga biednym samotnym matkom, prowadzi rekolekcje.

Kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej

Kościół pw. Matki Boskiej Ostrobramskiej na Górnym Łyczakowie już od czasu powstania zamiaru Wotywny – dlatego że kościół wybudowano u „wschodniej bramy miasta, w miejscu, gdzie padł bolszewicki granat w roku 1920”, co miało być wyrazem wdzięczności lwowskiego Kościoła rzymskokatolickiego i osobiście arcybiskupa Bolesława Twardowskiego „za ocalenie Lwowa przed najazdem bolszewików oraz szczęśliwy powrót Lwowa na łono zmartwychwstałej Ojczyzny po 140 latach niewoli”. Symboliczny charakter kościoła wyrażał się w tym, że był on sztandarowym przykładem wzmożonego budownictwa kościelnego w latach 20. i 30. XX wieku we Lwowie, a nawet całej archidiecezji lwowskiej. Kościół św. Elżbiety był takim symbolem czasów arcybiskupa Józefa Bilczewskiego, kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej natomiast – czasów arcybiskupa Bolesława Twardowskiego.

Sprawę budowy nowego kościoła na Górnym Łyczakowie omawiano w kurii metropolitalnej i w prasie lwowskiej już w latach 20. XX wieku, zaś 18 sierpnia 1927 roku Rada miasta postanowiła przekazać „parcelę na Łyczakowie o łącznej powierzchni około 6000 m² pod budowę kościoła”. Formalne zatwierdzenie tej decyzji nastąpiło 9 listopada 1928 roku, a 11 listopada abp B. Twardowski uroczystie poświęcił plac budowy. Lwowski metropolita był, według Aleksandra Medyńskiego, „nie tylko inicjatorem, ale i fundatorem tej nowej religijno-narodowej strażnicy na Górnym Łyczakowie. Był ofiarnym do ostatnich granic fundatorem tej nowej, a tak nieodzownej na peryferiach miasta świątyni w dosłownym tego wyrazu znaczeniu, prawie cały bowiem ciężar finansowy monumentalnego kościoła spoczął na jego ramionach”. Arcybiskup też postanowił zaprosić ojców salezjanów do pracy duszpasterskiej na parafii i do organizacji zakładu wychowawczego dla „opuszczonej młodzieży”. Przewidywano również udział oddziałów wojskowych w nabo-

żeństwach i defiladach przed kościołem, tym bardziej, że obok na Jałowcu mieściły się koszary 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich.

19 kwietnia 1930 roku ogłoszono konkurs na projekt świątyni. Postanowiono do udziału w konkursie zaprosić sześciu znanych architektów ze Lwowa, Krakowa i Warszawy. Jury konkursu w dniach 7–12 lipca tegoż roku oceniło nadesłane projekty i wyróżniło projekt prof. Adolfa Szyszko-Bohusza z Krakowa. Jednak decyzja arcybiskupa była inna. On postanowił przyjąć do realizacji projekt lwowskiego architekta Tadeusza Obmińskiego, profesora Politechniki Lwowskiej.

5 sierpnia 1931 roku rozpoczęto wykopy pod fundamenty kościoła, a 4 października abp B. Twardowski poświęcił kamień węgielny pod budowę świątyni. Kilka miesięcy później, 18 lipca 1932 r. zmarł autor projektu prof. Obmiński. W tej sytuacji arcybiskup postanowił kierownictwo budowy powierzyć znanemu architektowi Wawrzyńcowi Dayczakowi i inżynierowi Stefanowi Neuhoffowi. Pierwszy był autorem projektów kilkudziesięciu kościołów we Lwowie i na terenie archidiecezji, osobą bliską kurii metropolitalnej. Inżynier Stefan Neuhoff współpracował z arcybiskupem Twardowskim jeszcze w Tarnopolu podczas budowy



Kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej na Łyczakowie

kościół pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy, bliźniaczego kościołowi św. Elżbiety we Lwowie, zaprojektowanego przez architekta Teofila Teodora Talowskiego.

Wawrzyniec Dayczak dokonał znacznych zmian w projekcie Obmińskiego, zaprojektował niektóre elementy wyposażenia i ozdobienia świątyni (np. ambony i tabernakulum głównego ołtarza). Zmiany wprowadzone przez W. Dayczaka były podstawą dla niektórych badaczy w twierdzeniu, że był on współautorem całego projektu.

Prace budowlane prowadzono bardzo szybko i 7 października 1934 r. arcybiskup B. Twardowski uroczyście konsekrował kościół. W ołtarzu głównym złożono relikwie św. Stanisława Biskupa i św. Jozafata Kuncewicza. 29 września 1935 r. w ołtarzu bocznym złożono relikwie św. Jana Bosco, „przeniesione w uroczystej procesji z katedry łacińskiej”.

Monumentalny kościół jest zbudowany na wzniesieniu po północnej stronie ulicy Łyczakowskiej na osi wschód-zachód. Przed głównym wejściem do świątyni od strony zachodniej rozplanowano obszerny plac i taras z monumentalnymi schodami i balustradą. Od strony południowej wzdłuż ulicy Łyczakowskiej w 1936 roku wybudowano „silne mury oporowe”. Właśnie wtedy przełożono tędy szyny tramwajowe na Górny Łyczaków, położone o 2,5 metra poniżej poziomu kościoła.

Świątynię wymurowano z cegły, fundamenty i cokół z żelbetonu i ciosanego kamienia. Z tegoż kamienia zbudowano taras i balustradę. Żelbeton również szeroko wykorzystano przy budowie stropów i w innych częściach budowli. Formy architektoniczne kościoła wzorowano na kształtach wczesnochrześcijańskich bazylik z wysoką wieżą-kampanilą. Profesor Krzysztof Stefański sprecyzował formy architektoniczne i ozdobienie świątyni w takich słowach: „wzniesiony na lwowskim Łyczakowie kościół projektu niegdysiejszego mistrza lwowskiej secesji Tadeusza Obmińskiego stanowił modernistyczną interpretację form włoskiego trecenta i starochrześcijańskich bazylik”.

Korpus kościoła jednonawowy z nieco węższym prezbiterium zamkniętym półkolistą absydą od strony wschodniej i muzycznym chórem od strony zachodniej. Nawę główną ozdobiono filarami z półkolistymi arkadami i kolumnami, które stwarzają iluzję rzędu kapliczek bocznych wewnątrz i układu trzynawowego od zewnątrz. Nawa główna wysoka na ponad 20 metrów ma wymiary: 45 metrów długa, a 13 metrów szeroka i mieści 2200 osób.

Fasadę świątyni podzielono gzymsem na dwie kondygnacje. W kondygnacji dolnej zbudowano portyk, złożony z trzech arkad wspartych na kolumnach. Na osi środkowej portyku znajduje się wejście główne do świątyni. W kondygnacji górnej na osi głównej umieszczono kapliczkę, flankowaną kolumnami i zwieńczoną trójkątnym daszkiem. W głębi

oszkłonej wnęki kapliczki znajduje się mozaikowy obraz Matki Bożej Ostrobramskiej. Powyżej kapliczki umieszczono hagiogram MARYA, flankowany przez płaskorzeźby szybujących aniołów podtrzymujących koronę. Mozaikę w 1933 r. wykonał znany artysta z Krakowa o. Wojciech Pieczonka TJ. Płaskorzeźby aniołów są dziełem lwowskiej rzeźbiarki Janiny Reichertówny (Reichert-Toth). Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej koronowanej papieskimi koronami był najbardziej znaną ambitną realizacją mozaikową z lat 20-30. XX wieku we Lwowie. Uważano go za najwybitniejsze dzieło artystyczne w ozdobieniu świątyni. Obraz otaczała złota promienista aureola. Na dole znajdował się napis mozaikowy: „Panno święta co w Ostrej świecisz Bramie cudem nas wróciłaś na Ojczyzny łono”. Było to jedyne we Lwowie dzieło słynnego krakowskiego mozaicysty.

Od strony południowej i północnej fasadę główną flankowano dwoma dwukondygnacyjnymi przybudówkami. Są one niższe od nawy głównej, wysunięte do przodu i tworzą rodzaj ryzalitów, co nadaje fasadzie nie tylko monumentalności, ale i malowniczości. Do korpusu kościoła od strony północnej przybudowano kaplicę, a od południowej – skarbczyk i zakrystię, które są połączone przejściem do przybudowanej smukłej wieży-dzwonnicy.

Wieża składa się z czterech kondygnacji, każda innej wysokości, i została „uwieńczona u szczytu nie hełmem, ale na kształt campanilli włoskiej piękną powiewną glorieta. Wieża wybudowana została z betonu zbrojonego, drzewo zastąpiono w jej strukturze żelazem, z którego wykonano konstrukcje dachowe i okienne”. W części górnej są miejsca na mechanizm i tarcze zegarowe, ale zegar nigdy nie został wmontowany. Natomiast zawieszono dwa dzwony, jeden pod nazwą „Bolesław” wagi 3100 kg, drugi – „Matki Boskiej Nieustającej Pomocy” wagi 1900 kg. Na płaszczach dzwonów umieszczono stosowne napisy. Dzwony odlano w firmie Karola Schwabego z Białej, która wygrała przetarg ze słynną odlewnią Ludwika Felczyńskiego z Przemyśla. 19 września 1936 roku dzwony uroczyście konsekrował biskup Franciszek Lisowski.

Biskup również poświęcił tablicę pamiątkową, ustawioną w prezbiterium kościoła, zaprojektowaną przez W. Dayczaka i wykonaną przez firmę Tadeusza Tyrowicza. Tablicę wykonano z czarnego marmuru, w części górnej umieszczono medalion arcybiskupa B Twardowskiego obramiony wieńcem laurowym. W części dolnej napis upamiętniający fundację kościoła przez arcybiskupa i konsekrację świątyni 7 października 1934 roku.

Nawę i prezbiterium nakryto płaskim stropem żelbetowym z kasetonami. Chór muzyczny z niewysokim parapetem bez balustrady jest wsparty na czterech filarach. Przejścia pomiędzy nimi zamknięto

cyldrycznymi arkami. Oświetlona jest nawa przez dziesięć prostokątnych okien, po pięć z każdej strony, zamkniętych półkoliście. Nad tymi w części górnej są małe koliste okna. Wszystkie okna oszklono szkłem katedralnym o pastelowych kolorach. Prezbiterium oddzielono od nawy półkolistą arkadą, flankowaną smukłymi kolumnami.

Przed 1939 rokiem nie zdołano zbudować ołtarzy, nie było organów, nie wstawiono mechanizmu zegarowego na wieży. Wyposażenie było częściowo prowizoryczne, częściowo niepowiązane ze sobą stylowo. Prawdopodobnie nie istniała artystyczna koncepcja aranżacji wnętrza, która stopniowo byłaby wprowadzana w życie. W 1934 r. zbudowano marmurową mensę ołtarza głównego w absydzie i ustawiono na niej drewniane tabernakulum, wykonane według projektu W. Dayczaka. Według jego projektu w tymże roku zbudowano marmurową ambonę, wspartą na sześciu kolumnach. W ołtarzu głównym ustawiono obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej autorstwa siostry Marii Tadei (Michaliny Firczyk), wykonany jeszcze w 1931 roku.

W ołtarzu głównym w 1934 r. zawieszono wotywny ryngrafy i odznaki pułków lwowskich, złożone „w dniu 2 maja 1937 roku w czasie wspólnie manifestacji religijno-narodowej”. Odznaki wykonano z inicjatywy generała Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego, dowódcy Okręgu Korpusu VI we Lwowie. 3 maja 1938 r. w ołtarzu głównym uroczystie złożono ryngrafy wotywny, ofiarowane przez Zarząd Miasta, Mieszkańskie Towarzystwo Strzeleckie. Związek Obrońców Lwowa i Chrześcijańskie Zjednoczenie Robotnicze. Major Józef Klink, prezes Związku Obrońców Lwowa, „odczytał ślubowanie, złożone przez księdza generała Szydła, ogłaszając Matkę Boską szczególną patronką miasta Lwowa”.

17 września 1938 r. kolejny ryngraf postanowiła ufundować Straż Mogił Polskich Bohaterów, zaś 16 października tegoż roku kolejny ryngraf w ołtarzu głównym złożyła młodzież sodalicyjna męskich szkół średnich. 20 listopada 1938 r. kolejne ryngrafy złożyły Straż Mogił Polskich Bohaterów oraz 38 i 39 pułki Strzelców Lwowskich. 27 listopada tegoż roku poświęcono jeszcze kolejne ryngrafy, ufundowane przez młodzież Publicznych Szkół Doksztalujących nr 1 i nr 2. Ówczesne lwowskie gazety pisały, że autorem projektów większości tych ryngrafów (a może i wszystkich, zważając na ich stylową jednolitość i podobny do siebie układ kompozycji) był znany lwowski artysta grafik i historyk sztuki Rudolf Mękicki, kustosz lwowskiego Muzeum im. Króla Jana III Sobieskiego. Większość ryngrafów wykonał zakład Kazimierza Wojtycha, ale co najmniej jeden – warsztat Władysława Buszka. Ryngrafy wykonano ze srebra, zaś obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej w części górnej każdego z nich – ze złota. Herby Lwowa ozdobiono kolorową emalią.

We wrześniu 1935 r. zbudowano prowizoryczny boczny ołtarz poświęcony Janowi Bosco. W tym ołtarzu umieszczono obraz świętego patrona ojców salezjanów wykonany przez malarkę Reginę Szyrajew. Jak pisał Aleksander Medyński, „obraz ołtarzowy (...) związany jest swą treścią ze Lwowem i jego dziejami z ostatnich czasów. Przedstawia świętego na tle wzgórz Łyczakowskich. Po prawej stronie widnieje Matka Boska Wspomożycielka wiernych z Dzieciątkiem Jezus, u dołu postać ks. arcybiskupa Twardowskiego (...) obok arcybiskupa klęczy para mieszczańska, za nią widnieje postać polskiego ułana (...) Przed postacią św. Jana Bosco stoi Orłę lwowskie i Harcerz, przed nimi widnieje herb Lwowa, opasany wstęgą „Virtuti Militari”. 29 września 1935 r. – relikwie św. Jana Bosco przeniesiono w uroczystej procesji z katedry łańcuckiej do kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej. Jeszcze jeden prowizoryczny ołtarz boczny był poświęcony św. Teresie od Dzieciątka Jezus. W 1936 r. położono posadzkę. Przed rokiem 1937 w kościele ustawiono ławki i konfesjonały, zaprojektowane przez W. Dayczaka, a wykonane w zakładzie Jana Wojtowicza w Przemyślanach. Również zawieszono świeczniki. Ustawiono dwie urny z ziemią z pól bitewnych. 7 listopada 1937 r. poświęcono dzwonki liturgiczne ufundowane przez Koło Harcerzy z czasów walk o Niepodległość. 4 czerwca 1939 r. w kościele poświęcono sztandar lwowskiego Hufca Harcerzy. W latach 1938–1939 był opracowany projekt i trwały prace przygotowawcze budowy obok kościoła zakładu salezjańskiego dla młodzieży, ale rozpoczęcie prac budowlanych przerwał wybuch II wojny światowej.

19 września 1939 r. wojska sowieckie ostrzelały kościół. Najbardziej ucierpiała wieża. Kilka dni później uszkodzono mozaikowy obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej na fasadzie przez strzelanie do niego z broni ręcznej. 27 czerwca 1941 r. niemiecka bomba uderzyła w dach świątyni. Prace remontowe prowadzono podczas okupacji niemieckiej, zabezpieczając dach od zaciekania wody, a wieżę przed upadkiem.

22 listopada 1944 r. zmarł arcybiskup Bolesław Twardowski, inicjator budowy i fundator kościoła. Wykonując jego testament, postanowiono pochować go w krypcie tegoż kościoła. Pogrzeb odbył się 26 listopada.

Ostatnia katolicka msza św. odprawiona została 4 czerwca 1946 roku. Ojcowie salezjanie wyjechali ze Lwowa, a świątynia została zamknięta przez nowe sowieckie władze miasta. Tylko nieliczne przedmioty z wyposażenia i ozdobienia kościoła (obrazy święte, monstrancje, ornaty) zostały wywiezione do Polski. W 1947 r. szczątki arcybiskupa B. Twardowskiego przeniesiono do katedry lwowskiej i złożono w krypcie kaplicy Chrystusa Ukrzyżowanego.

Opuszczony kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej nowe władze przeznaczyły na magazyn papieru. Wtedy właśnie zostały zniszczone

wszystkie ołtarze, wyposażenie, tablica pamiątkowa, ławki, konfesjonały. Zabrano dzwony. Mozaikowy obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej na fasadzie świątyni zamazano czarną farbą i otynkowano. Przedtem ktoś starał się skuć część mozaiki, myśląc że została zrobiona ze złota. Drobniejsze rzeczy, w tym słynne ryngrafy zostały skradzione. Na placu przed kościołem ustawiono radziecki pomnik – czołg bojowy na postumencie z odpowiednim napisem i emblematami.

Dopiero w 1992 r. kościół został przekazany greckokatolickiemu zgromadzeniu salezjanów i konsekrowany jako cerkiew pw. Pokrowy Najświętszej Matki Bożej (pol.: Opieki za wstawiennictwem NMP). W tymże roku przystąpiono do remontów świątyni, uporządkowaniu terenów dookoła i wykonaniu projektów nowego wyposażenia i ozdobienia cerkwi według tradycji Kościoła Wschodniego. Zabrano radziecki czołg-pomnik, wyremontowano wieżę, zawieszono nowe dzwony. Odnowiono fasadę świątyni. W kapliczce usunięto tynk i odkryto mozaikowy obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Mozaika zachowała się w 80 proc. Obraz poddano zabezpieczeniu, ale na fachową konserwację i uzupełnienie brakuje funduszy.

Nowy projekt ozdobienia prezbiterium wykonany został pod kierownictwem prof. Romana Wasyłyka, kierownika Katedry Sztuki Sakralnej Akademii Sztuk Pięknych we Lwowie. Prace trwały ponad dziesięć lat. Powstał nowy ikonostas z carskimi wrotami i diakońskimi drzwiami, obrazami Zbawiciela i Matki Boskiej, św. Mikołaja i św. Jana Bosco. Razem z prof. Romanem Wasyłykiem nad ikonostasem pracowali jego uczniowie – Kaczałuba i Wełyczko. R. Wasyłyk namalował również wielkich rozmiarów obraz „Matka Boska Opieki” („Pokrow”) umieszczony w absydzie za ikonostasem. Na tym obrazie autor przedstawił dwadzieścia postaci historycznych Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, duchownych i świeckich, których umieścił pod ochroną płaszczu Matki Boskiej, podtrzymywanego przez anioły. Wszystkie obrazy zostały namalowane według tradycji i kanonów Kościoła Wschodniego i sztuki bizantyjskiej. Dzięki temu autorowi udało się dopasować je do modernistycznej architektury świątyni utrzymanej w stylu starochrześcijańskich bazylik z lekkim nalotem „słowiańsko-ludowych tradycji architektury drewnianej”.

Jeszcze bardziej wzbogaciły wnętrza prezbiterium świątyni monumentalne mozaiki wykonane również według projektu prof. Romana Wasyłyka. W absydzie za ołtarzem znajduje się dużych rozmiarów obraz Chrystusa błogosławiącego, otoczony medalionami z przedstawieniami Apostołów. Apostołowie są przedstawieni w trzech parach, a nad głową Chrystusa siódmy medalion z gołębicą Ducha Świętego. Po stronach absydy umieszczono duże mozaikowe postacie Ojców Kościoła, mianowicie

św. Bazylego Wielkiego i św. Jana Złotoustego. Obydwie figury świętych są podkreślone hieratycznie. Ich wertykalizm odpowiada tradycji bizantyjskiej, również sztuce średniowiecznego Kościoła ukraińskiego.

Nawa główna kościoła wygląda na razie dość pusto. Zwraca uwagę wielka rzeźba przedstawiająca metropolitę Andreja Szeptyckiego w postaci siedzącej autorstwa lwowskiego rzeźbiarza Iwana Popowycza. W nawie ustawiono też nowe drewniane ławki i konfesjonał. Przy bocznym wejściu do świątyni tablica pamiątkowa wykonana w stylu ludowym ze stylizowaną figurą Matki Bożej „Pokrow” i historycznymi postaciami hierarchów Kościoła ukraińskiego. Matka Boska trzyma tablicę informacyjną z datami budowy kościoła i jego konsekracji w 1992 roku.

Drzwi wejścia głównego ozdobiono siedmioma wielkimi medalionami odlanymi z brązu. U góry na osi centralnej medalion z gołębicą Ducha Świętego. Niżej symetrycznie odnośnie siebie parami umieszczono jeszcze sześć. Pierwsza para to przedstawienia katedry św. Jura we Lwowie i św. Zofii w Kijowie. Niżej umieszczono popiersia metropolity kijowskiego Petra Mohyły (1633–1647) i metropolity lwowskiego Andreja Szeptyckiego (1901–1944). W dolnej części drzwi – popiersia metropolity kijowskiego Josypa Ruckiego (1613–1637) i metropolity lwowskiego kardynała Josypa Slipyja (1944–1984). W pierwszych latach XXI wieku obok świątyni od strony wieży zbudowano wielki zespół budynków klasztoru salezjanów i ośrodka wychowawczego dla dzieci według projektu lwowskiego architekta Podlisnego.

Kościół na Batorówce

Kościół pw. Najświętszego Serca Jezusa na Batorówce jest jedną z najmłodszych świątyń rzymskokatolickich Lwowa. Został zbudowany w latach 1938–39, w przeddzień II wojny światowej, poświęcony 3 września 1939 r., już po wybuchu wojny.

Batorówka była w tych czasach daleką okolicą miasta. Dopiero w 1930 r. została włączona do tzw. Wielkiego Lwowa wraz z gminą Kleparów. W latach 30. XX wieku po prawej stronie ulicy Janowskiej za dworcem kolejowym Kleparów rozpoczęto budowę nowego osiedla parterowych domków jednorodzinnych. Otrzymało ono nazwę Batorówka ku czci króla Stefana Batorego.

Batorówka zajmowała część terenu dawnej wioski Kamionka i gruntów obok nowo zbudowanej fabryki dykty firmy „Ojkos”. Parafia rzymskokatolicka na początku należała do Rzesnej Polskiej, więc kościół parafialny znajdował się w odległości kilku kilometrów od Batorówki, daleko za torem kolejowym. Ten skromny wiejski kościół w stylu neoromańskim został zbudowany w 1895 r. według projektu lwowskiego

architekta Jana Kajetana Janowskiego i poświęcony przez arcybiskupa Seweryna Morawskiego.

Pomysł budowy nowego kościoła na Batorówce zrodził się w 1936 r. i wiązał się z zamiarem podziału parafii, a także z jubileuszem pięćdziesięciolecia kapłaństwa arcybiskupa Bolesława Twardowskiego, pomysłodawcy budowy świątyni. 25 czerwca tegoż roku ukonstytuował się komitet budowy kościoła pw. Najświętszego Serca Jezusa, zaś 13 lipca abp Twardowski poświęcił krzyż na placu budowy. Arcybiskup również zlecił opracowanie planów budowy nowej świątyni Wawrzyńcowi Dayczakowi, wówczas jednemu z najbardziej popularnych przedstawicieli lwowskiej szkoły architektury. Dayczak cieszył się osobistym zaufaniem arcybiskupa, który wysoko cenił jego talent i oryginalny styl projektów. Według jego projektów w okresie przed II wojną światową zbudowano ponad dwadzieścia kościołów i kaplic rzymskokatolickich, w większości na terenach archidiecezji lwowskiej. W przypadku kościoła na Batorówce architekt nie tylko wykonał projekt i nadzorował budownictwo, ale też osobiście wybrał miejsce pod budowę świątyni. Wybrana parcela w 1938 r. została zakupiona przez kurię metropolitalną.

Kościół zbudowano bardzo szybko. 25 września 1938 r. abp Twardowski poświęcił kamień węgielny na placu budowy, zaś w czerwcu 1939 r. świątynia została ukończona i przystąpiono do jej wyposażenia. 1 września 1939 r. abp Twardowski powołał nową parafię i miał 3 września konsekrować kościół, ale wybuch wojny wniósł korektę w ten plan i świątynia została poświęcona w znacznie skromniejszy sposób przez księdza proboszcza Jana Tomaszewskiego, który kierował parafią do kwietnia 1946 r., kiedy wyjechał do Polski, a kościół został zamknięty i zamieniony na magazyn.

Z powodu wybuchu wojny nie zostały w całości zrealizowane plany Dayczaka, które przewidywały budowę obok kościoła okazałej dzwonnicy i plebanii. Nie zostało zbudowane również ogrodzenie (mur) dookoła działki z bramą wjazdową. Wyposażenie świątyni pozostało bardzo skromnym, raczej prowizorycznym.

Jest faktem znanym, że Wawrzyńc Dayczak bardzo dbał o stylowość wyposażenia swoich świątyń, często osobiście projektował ołtarze, konfesjonały, witraże. Przykładem bogatego programu artystycznego ozdobienia projektowanych przez niego świątyń może być zbudowany w 1938 r. kościół w Kosinie niedaleko Rzeszowa. Mimo trudności związanych z wojną, parafianie Kosiny zadbali o wykończenie ozdobienia wnętrza i w 1943 r. fundowali ołtarze, witraże i polichromię prezbiterium. Ołtarze projektowała Jadwiga Horodyska, witraże – Józef Mehoffer. W podobny sposób mogła być ozdobiona też świątynia na Batorówce, lecz niestety czasy radzieckie dokonały zniszczeń.



Kościół Najświętszego Serca Jezusa na Batorówce

Zwarta bryła kościoła dominuje nad skromną zabudową parterową – wiejską, tonącą w zieleni ogródków. Wysokie monumentalne ściany nawy głównej zwieńczono wysokim dachem dwuspadowym. Fasada kościoła niezwykle malownicza i zarazem monumentalna, składa się z dwóch kondygnacji. Dolną, dość niską kondygnację przepruto półkolistą otwartą arkadą podcienia. Nad niej taras ujęty po bokach w koliste wieżyczki. Kondygnacja górna nieco cofnięta, w formie bardzo wysokiego schodkowego szczytu. Nad tarasem ogromne okno frontowe, w tle którego ustawiono monumentalną figurę Najświętszego Serca Jezusa. Taras również ozdobiono balustradą. W górnej części fasady znajduje się wąskie prostokątne okno, zamknięte półkoliście. Na szczycie fasady ustawiono wielki metalowy krzyż. Wszystkim architektonicznym elementom fasady nadano podkreślony wertykalny charakter. Fasadę flankują dwie cylindryczne wieżyczki, zaś całość bryły kościoła flankowano dwoma prostopadłymi murami z obszernymi półkolistymi arkadami zwieńczonymi ażurowymi kapliczkami. W kapliczkach dwie rzeźby – Matka Boska Bolesna i Chrystus Frasobliwy. Wszystkie trzy rzeźby zdobiące fasadę kościoła wykonał rzeźbiarz Marian Spindler, popularny we Lwowie w latach 30. XX wieku. Monumentalne rzeźby wykonano z piaskowca „w uproszczonych kształtach, dopasowanych do charakterystyki architektury”.

Elewacje boczne na zewnątrz tworzą wrażenie, że świątynia ma układ trzynawowy ze znacznie niższymi nawami bocznymi. Natomiast wewnątrz zamiast naw bocznych zbudowano po cztery dość płytkie kaplice z każdej strony. W każdej kaplicy przepruto okna prostokątne zamknięte półkoliście. Nad dachem kaplic zbudowano przypory wzmacniające ściany nawy głównej. Między przyporami koliste okna umieszczone na osiach okien dolnej kondygnacji. Również malowniczo prezentuje się elewacja tylna, która powtarza formy fasady głównej, ale z okazałą apsydą zamykającą na zewnątrz wnękę ołtarza głównego. Po bokach dwie wieżyczki. W apsydzie pięć wąskich wysokich okien, zamkniętych półkoliście. Wewnątrz szeroką i wysoką czteroprzęsłową nawę główną otaczają płytkie kapliczki, po cztery z każdej strony. Prezbiterium znacznie węższe od nawy, zakończone apsydą z konchowym sklepieniem. W ścianie czołowej nawy dwa wejścia prowadzące do niewysokich zakrystii, przybudowanych symetrycznie do bryły świątyni. Nad nimi zbudowano emporę, ozdobioną od strony prezbiterium kamienną balustradą. Kamienna balustrada zdobi również parapet chóru muzycznego.

Kościół zbudowano z cegły. Szeroko wykorzystano też konstrukcje żelbetowe, zwłaszcza przy budowie fundamentów i sklepień nawy. Na zewnątrz i wewnątrz świątynię otynkowano w kolorze szarym.

Kościół na Batorówce jest charakterystycznym przykładem indywidualnego stylu Wawrzyńca Dayczaka. Prof. Jan Ostrowski podkreśla, że architekt „nie wprowadził w kościele żadnych motywów o wyraźnej proveniencji historycznej. Aluzją do tradycji jest jednak malownicza bryła oraz ujęty w arkady placyk przed fasadą”. Jednak w całości formy modernistyczne świątyni przyjmujemy raczej w kształtach architektury tradycyjnej. Objawiła to córka architekta Maria Dayczak-Domansiewicz, która w artykułach poświęconych twórczości ojca pisała: „Z reguły kościoły Dayczaka ukształtowane pod względem układu przestrzennego i bryły w oparciu o tradycję gotyku, adaptowaną w polskiej architekturze, oraz style nowożytnie. Charakteryzują się one zatem wysokimi i stromymi dachami, ścianami niskimi [...] Jeszcze jednym, szczególnie oryginalnym akcentem wzbogacił inżynier Dayczak swe kościoły: był nim zespół cech podkreślających obronność. Stosował je w różnych wariantach dość często za pomocą aluzyjnej, współczesniejszej, uproszczonej formy”. I jeszcze: „W opracowaniu sylwety kościołów wyuczwalne jest wyraźnie upodobanie Dayczaka do form manieryzmu i baroku w wydaniu rodzimym. Takie ukształtowanie bryły architektonicznej, przy prostym utylitarnym detalu, sprawia, że architektura ta, jakkolwiek nie wolna od znamion historii jako tradycji, nie jest historyczną w znaczeniu formacji stylowej. Szczyty bywały często urozmaicone pionową artykulacją. Wraz ze stromymi, ukrytymi poza nimi dachami, są one reminiscencją gotyku”. Wszystkie te zdania można śmiało zastosować do określenia architektonicznych form kościoła na Batorówce. Co do aluzji do architektury renesansowej, to miała ją reprezentować monumentalna wieża-dzwonnica, którą nie zdążono zbudować. Dla lwowian te aluzje są związane ze słynną wieżą Korniakta przy cerkwi Uśpienia Marii Panny przy ul. Ruskiej.

25 sierpnia 1939 r. lwowskie czasopismo „Wiek Nowy” nie przewidując, że za tydzień rozpocznie się wojna, w artykule „Poświęcenie nowego kościoła na Batorówce” relacjonowało: „Troska ks. abpa Twardowskiego o morale, religijne i duchowe podniesienie polskiej ludności, zamieszkującej przedmieścia Lwowa, znalazła swój zewnętrzny wyraz w przepięknej świątyni, wybudowanej Jego opatrnością na granicy Lwowa i Rzęsnej, przy końcu ul. Janowskiej na Batorówce. Budowę kościoła, który ożywił całe osiedle i najbliższą okolicę, ukończono w ciągu dwu lat. Oryginalna architektura w formach bastionu i twierdzy, ozdobiona staropolskimi kapliczkami i okoloną łukami, już z daleka imponuje przyjezdnym, a wielka figura Serca Jezusowego z wysokości frontu kościoła wyciąga swe ręce do wchodzących i zdaje się zapraszać ich do wnętrza mówiąc: „Chodźcie do mnie wszyscy strapionego serca, a ja was ochłodzę”. Rozpoczęto tuż przy kościele budowę nowej plebanii i utwo-

rzo z dniem 1 września nową parafię i arcybiskup przeznaczył do niej samoistnego duszpasterza. Dnia 3.09 o godzinie 9.rano ks. abp dokona poświęcenia nowego kościoła i odda go razem z parafią w opiekę nowego duszpasterza. W uroczystości poświęcenia wezmą udział parafie św. Anny, Kleparowa, Sygniówki i Rzęsnej”.

Niestety, nie wszystko złożyło się tak uroczysto.

Parafia istniała tylko przez kilka trudnych wojennych lat. Ksiądz Jan Tomaszewski odprawił 26 kwietnia 1946 r. ostatnią mszę św. i wyjechał do Polski. Znaczna część parafian–Polaków również zmuszona była zostawić swoje domy i wyjechać. Kościół został zamknięty i przez władze radzieckie zamieniony na skład fabryki dykty. Na miejsce dawnych mieszkańców Batorówki osiedlono Ukraińców przybyłych z terenów Polski.

Dopiero w 1991 r. zabudowania dawnego kościoła przekazano grekokatolikom i adaptowano na cerkiew. Na zewnątrz świątynia zachowała się nawet w dobrym stanie, nie ucierpiały elementy architektoniczne, nie były usunięte krzyże, nie zniszczono rzeźby. Ale wewnątrz pomieszczenia nawy, chóru i prezbiterium były absolutnie puste. Nie zostało śladów po dawnym wyposażeniu i ozdobienu, o którym nie zachowało się nawet dokładnych opisów, lecz tylko fragmentaryczne wiadomości.

Wiadomo na przykład, że jeszcze 25 września 1938 r. poświęcono dzwon do jeszcze niezbudowanego kościoła i obraz Najświętszego Serca Jezusa, ofiarowany przez abpa Twardowskiego. W 1939 r. „nieznany bliżej rzeźbiarz Kurpiński wyposażył wnętrze kościoła w dwa kamienne ołtarze boczne ze skubizowanymi, masywnymi postaciami świętych i zgeometryzowaną ornamentyką roślinną”. Zbudowano też kamienny ołtarz główny. W górnej części absydy już pod sklepieniem nad ołtarzem głównym ustawiono duży rzeźbiony w drewnie i polichromowany krucyfiks.

Nowe ozdobienu świątyni powstało w latach 1991–1996. Nawiązuje ono do tradycji kościoła wschodniego i cerkwi grekokatolickiej. Najważniejszymi w nowej organizacji wnętrza świątyni były nowy ikonostas i malowidła ścienu, wykonane przez lwowskich artystów malarzy braci Załuckich. Ułożono też nową posadzkę ze sztucznego marmuru, zawieszono świeczniki, ustawiono prowizoryczne boczne ołtarze i ołtarze w kaplicach. W tenże czas całkiem usunięto kamienne ołtarze główny i boczne oraz balustradę, która oddzielała prezbiterium od nawy. W górne koliste okna i duże okno nad chórem muzycznym wstawiono witraże o motywach geometrycznych. Są również nowe stacje Drogi Krzyżowej. Ikonostas drewniany, złożony, z carskimi wrotami i diakońskimi drzwiami. Kolumny ozdobienu rzeźbioną i złożoną wicią winorośli. Wrota carskie zdobią namalowane sceny Zwiastowania i medaliony

czterech ewangelistów. Po prawej stronie obraz przedstawia Zbawiciela, po lewej – Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus. Po prawej stronie obok drzwi diakońskich obraz Najświętszego Serca Jezusa, po lewej – św. Jozafata Kuncewicza. Nad bocznym prawym ołtarzem znajduje się stary obraz Najświętszego Serca Jezusa. Kilka lat temu został podarowany do świątyni i jego pochodzenie nie jest dokładnie znane. Nowy, obraz Najświętszego Serca Marii Panny umieszczono nad lewym bocznym ołtarzem. Przy drzwiach wejściowych pod chórem muzycznym obrazy św. Olgi i św. Włodzimierza Wielkiego. Wśród monumentalnych malowideł ściennych braci Załuckich wyróżnia się scena Golgoty malowana dookoła starego krucyfiksu w absydzie. Niżej, w obłokach wśród główek aniołów, znajduje się postać Zmartwychwstałego Jezusa, który błogosławi. Po czterech stronach świątyni przedstawiono czterech ewangelistów z ich symbolami i napisami w języku ukraińskim. Nad chórem muzycznym wyżej wielkiego okna namalowano dwie figury aniołów grających na instrumentach muzycznych.

Grekokatolikom przekazano również kościół pw. św. Piotra i Pawła w Rzesnej Polskiej, który za czasów sowieckich pełnił funkcję magazynu kołchozowego. W wyniku tego w całej obszernej dzielnicy nie pozostało żadnej świątyni rzymskokatolickiej. Dlatego w latach 2002–2005 w Rzesnej Polskiej zbudowano nowy kościół rzymskokatolicki pw. Miłosierdzia Bożego i erygowano parafię. W kościele znajduje się święty obraz Miłosierdzia Bożego podarowany przez papieża Jana Pawła II i kopia obrazu Matki Boskiej z kościoła pw. Św. Piotra i Pawła w Rzesnej Polskiej.

Zdjęcia autora

NOTATKI RECENZENTA

Historię każdego miasta zawsze tworzą ludzie – niezmordowani, zainspirowani, zdolni, utalentowani i, oczywiście – zakochani. Lwów także należy do miast, stworzonych (utkanych) z miłości takich ludzi, którzy od dawna tworzą jego wielokulturowe środowisko, chronią jego niepowtarzalną aurę. Wśród takich ludzi, którzy nieustrudzenie wpływają na kulturalny poziom lwowskiej teraźniejszości znajduje się Zbigniew Chrzanowski – reżyser, aktor, intelektualista, dyrektor artystyczny Polskiego Teatru Ludowego. Gdyby była potrzeba opisanie tej niezwyklej postaci jednym słowem, wybrałabym słowo – sztuka. Faktem jest to, że Zbigniew Chrzanowski swoją twórczością wpływa na życie kulturalne Lwowa i przez swoje przedstawienia na scenie Narodowego Teatru Opery i Baletu im. Sołomiji (Salomei) Kruszelnickiej i przez oddaną służbę Polskiemu Teatrowi Ludowemu we Lwowie.

Polski Teatr Amatorski powstał we Lwowie dziesięć lat po masowej repatriacji Polaków z Ukrainy. Jego założycielem był emerytowany nauczyciel Piotr Hausvater, który zebrał wokół siebie zdolną, kochającą teatr młodzież. Wśród tych teatralnych adeptów był i Zbigniew Chrzanowski i właśnie jemu dane było w 1996 r., po śmierci Piotra Hauswatera, stanąć na czele teatru.

Zbigniew Chrzanowski jest związany z teatrem od dzieciństwa. Wyrósł w budynku starego Teatru Skarbka (dziś – Teatr im. Marii Zańkowieckiej), gdzie pracowali jego rodzice, aktorem był jego wujek. Fundamentami jego wykształcenia była ukończona sławistyka w Lwowskim Narodowym Uniwersytecie im. Iwana Franki i Wydział Reżyserii w Wyższej Szkole Teatralnej im. Jewgienija Wachtangowa w Moskwie. Chrzanowski był uczniem Borysa Zachawy, wiernego kontynuatora tradycji Wachtangowa. Życie Zbigniewa Chrzanowskiego, pełne wielkiej miłości do teatru, jest mocno związane z telewizją. Od początku istnienia Lwowskiej Telewizji pracował w studiu telewizyjnym jako redaktor i realizator programów filmowych, a także muzycznych i mło-

dzieżowych. W 1983 r. na skutek bezsensownych prześladowań przez urzędników partyjnych zmuszony był wyemigrować do Polski, lecz nigdy nie zerwał duchowego związku ze swoją teatralną rodziną, kierował teatrem na odległość, powierzając swojemu przyjacielowi i bratu w twórczości, wyjątkowemu scenografowi, ś.p. Walerijowi Bortiakowowi. Przy pierwszej możliwości powrotu do Lwowa powrócił do swojej sceny. Już od ćwierć wieku niestrudzenie przekracza granicę i tworzy w rodzinnym mieście. Nie śmiem zapytać, gdzie on się czuje jak w domu: w Przemyśle czy we Lwowie, ponieważ jestem święcie przekonana, że serce jego należy do Lwowa i, bezwarunkowo – do Teatru Polskiego. A Teatr żyje swoim życiem podobnie jak Lwów i wnikliwie reaguje – odzwierciedlając najciekawszą światową dramaturgię, która najdokładniej odpowiada teraźniejszości. Właśnie repertuar tego teatru zadziwia. W ostatnich latach na scenie teatru znalazły się utwory Sławomira Mrożka, Zbigniewa Herberta, Aleksandra Fredry, Adama Mickiewicza, Tadeusza Różewicza, Witkacego, Szekspira.

15 sierpnia 2013 r. odszedł w zaświaty Sławomir Mrozek, klasyk absurdu, którego znawcy literatury stawiają w jednym rzędzie z Irlandczykiem Samuelem Beckettem, Francuzem Eugenem Ionesco, Austriakiem Thomasem Bernhardem. Świat jego utworów wypełniony satyrą daje wiele możliwości dla reżyserskich interpretacji. Zbigniew Chrzanowski nie mógł nie zwrócić im uwagi na twórczość Sławomira Mrożka, należy bowiem do tych wyjątkowych reżyserów, którzy z wielką uwagą i szacunkiem odnoszą się do tekstów autorskich. Nie wiem czy przecinały się ich drogi, ale podobieństwo losu, kiedy opuszcza się rodzinny dom, nie mogąc nawet marzyć o powrocie, jakoś łączy tych dwóch ludzi. Dlaczego właśnie sztukę napisaną w 1961 r. „Na pełnym morzu”, pół roku po śmierci Mrożka, wybrał reżyser do wystawienia? – może dla kogoś być zagadką. Ale Zbigniew Chrzanowski w swoim reżyserskim sukcesywnym poszukiwaniu, właśnie ją wybrał celem umożliwienia swoim aktorom smakowania w dramaturgii, która daje możliwość istnienia nierealnego w granicach realnego absurdu rzeczywistości. Dla niego na tyle jest interesująca *kolizja* tej dramaturgii, że próbuje dwa razy wejść do rzeki, tzn. do morza, chociaż cały świat jest przekonany, że dwa razy do jednej rzeki nie wejdiesz”. Chrzanowski wchodzi do „rzeki – morza” z lekkością doskonałego pływaka i, proponuje swojemu widzowi dwie wersje tej sztuki – męską i żeńską. Nie zmieniając w reżyserskiej interpretacji żadnej sceny, zachowując wszystkie akcenty Mrożka, zaprzeczając tym samym twierdzeniu, że autor umiera w czasie, gdy skończy pisanie utworu. W sprowadzonej do absurdu scenografii, którą można sprowadzić do definicji „prymitywne malarstwo”: malowane poruszające się fale, tak może narysować morze

dziecko. I w tym jest pewny sens, bo reżyser odnosi się do tekstu Mrożka z otwartością dziecka i daje możliwość aktorom zrozumieć i interpretować ten tekst z dziecięcą otwartością, co oznacza przede wszystkim – szczerze. W wersji świata męskiego, odgłos męskich ambicji ożywa w mistrzowskiej grze trzech aktorów, którzy są rdzeniem teatru polskiego we Lwowie (mowa o grupie męskiej): Wiktor Łafarowicz, Bogusław Kleban, Jarosław Sosnowski. Każdy ma swoje prawa, doprowadzone do szczytu absurdu. Każdy z nich wierzy, że będzie uratowany z tego doczesnego morza. Dla każdego jego argument – idealny. Nie ma możliwości żadnemu z nich dać przewagi; ani Gruby – Bogusław Kleban, ani Średni – Wiktor Łafarowicz, ani Mały – Jarosław Sosnowski, nie są zdolni przewyciężyć kataklizm, nie uratuje ich ani Listonosz – Kazimierz Kosydor, ani nie ochroni swoim tańcem Marynarczyk – Mariusz Bardyn na zmianę z Maksymilianem Markariancem ani Kamersyner (Andrzej Bowszyk). Czasem wydaje się, że ta absurdalna walka na morzu tak zajmuje reżysera, że on sam jako Listonosz dociera do tych trzech, żeby z wrodzoną sobie elegancją podjąć próbę zakończenia tej historii.

W wersji żeńskiej panuje kobiecy duch, aktorkom Chrzanowskiego udaje się, nie łamiąc koncepcji, wejść do jego morza z niesamowitym



Wiktor Łafarowicz (z lewej) i Mariusz Bardyn w „Rekonstrukcji poety” Zbigniewa Herberta. Fot. Krystyna Grzegocka.

kobiecym wdziękiem, w którym absurd Mrożka bujnie rozkwitnie szaleństwem wszystkich barw. Jadwiga Pechaty, Irena Słobodiana i Roksolana Sadowska po kobiecemu smakują każde słowo Mrożka i, jak wyrafinowaną potrawę, podają go swojemu widzowi. dzielnie sekundują w tej grze: Irena Asmołowa w roli Listonosza, Anna Gardijewska (Niania) oraz Elżbieta Gelich. Mroźek jako egzotyczny ptak uwił swoje gniazdo na małej lwowskiej scenie i można stwierdzić, że czuje się tutaj komfortowo.

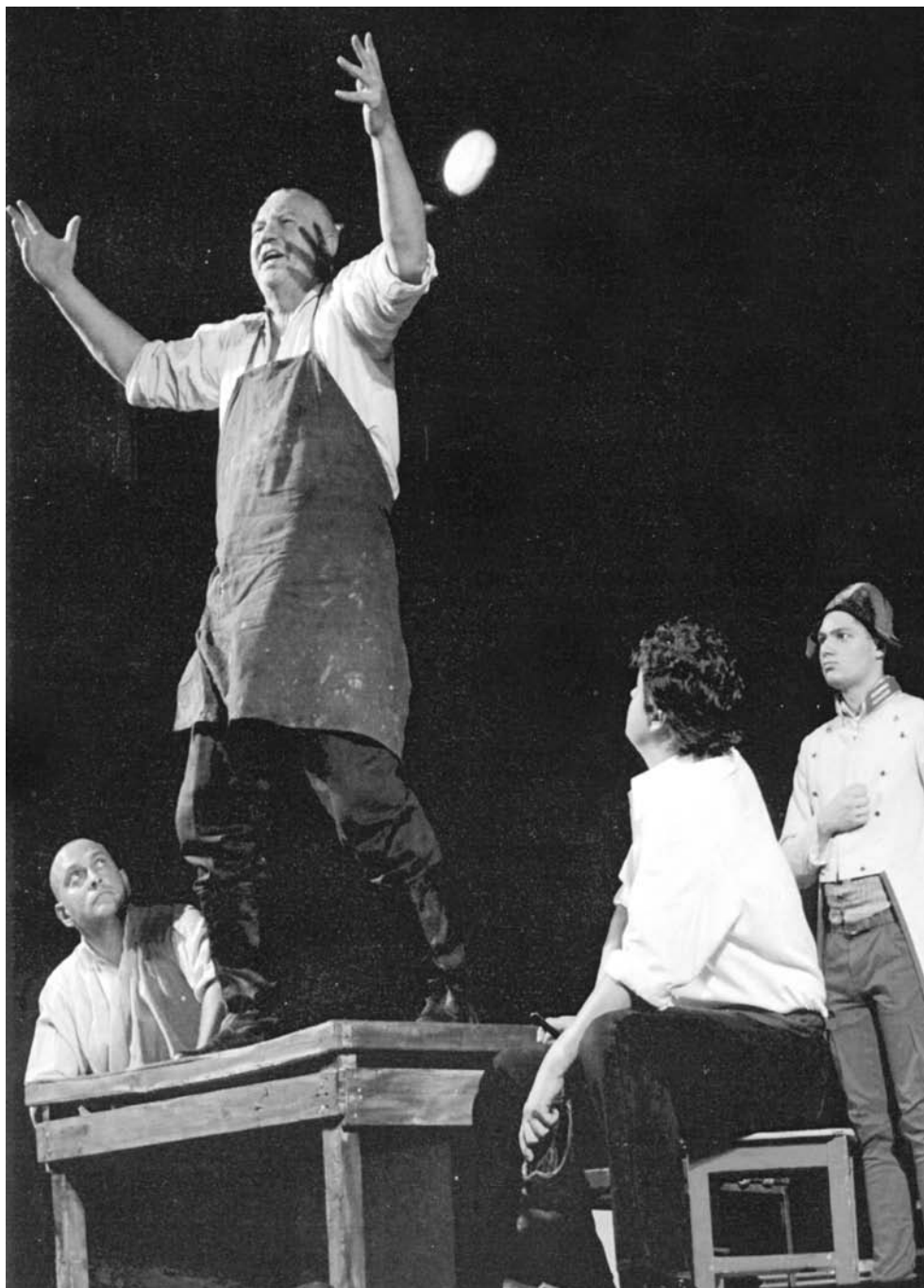
Ostatnio Zbigniew Chrzanowski zaprasza interesujących mistrzów do współpracy ze swoimi aktorami. Tak też odbyło się niedawno spotkanie z polskim poetą, krytykiem literackim, reżyserem i pedagogiem Bogusławem Kiercem. I nie jest to przypadek, gdyż kto jak nie poeta ma wystawiać sztukę poety, w której zawarte są egzystencjalne rozmyślenia o przeznaczeniu mistrza. Stworzenie przedstawienia według sztuki Zbigniewa Herberta „Rekonstrukcja poety” – znakomity prezent i dla widza, i dla aktorów, dlatego że najskrytsze myśli Herberta, włożone w usta... Homera. W przedstawieniu Bogusława Kierca tę rolę gra Wiktor Łafarowicz. Gdzieś już było wspomniane, że w Polskim Teatrze nastał czas Łafarowicza. Ostatnie role aktora są potwierdzeniem tej myśli. On jest już dostatecznie dojrzały, aby móc rozsmakować się w dobrej dramaturgii i, dosięgnąć jej prawdy. Jego Homer – mistrz od stóp do głowy, twardy w swoich przekonaniach, namiętny i niezłomny, jego dialogi z synem i uczniem (Mariusz Bardyn i Artur Łucyk), są diametralnie sprzeczne, ale, jak nie Ariadny, prowadzą do najważniejszego – przeznaczenia mistrza na tej grzesznej ziemi. Nawet ironia Profesora – Zbigniewa Chrzanowskiego, jako wyrok czasu, niezdolna jest złamać jego, poświęconej sztuce, Duszy.

W następnych miesiącach repertuar teatru został uzupełniony przedstawieniem według sztuki Aleksandra Fredry „Trzy po trzy. Zapiski starucha”. Ten monodramat stał się odkryciem osobowości Aleksandra Fredry i niezaprzeczalnym triumfem Wiktora Łafarowicza. „Świat dzieciństwa i młodości cały w Beńkowej Wiśni – wspominał Aleksander Fredro w „Trzy po trzy”, – tam długie dni, długie pory roku, bo kiedyż wszystko długo trwa, jak nie w dzieciństwie. Nie szukam w pamięci, jednak dobrze pamiętam”. Właśnie na falach pamięci buduje swoje przedstawienie Zbigniew Chrzanowski, buduje jak dziecko szczerze i otwarcie (właśnie ta dziecięca otwartość jest jakby autorskim pismem reżysera!), nie chowa aktora za urokami scenografii, maksymalnie rozszerza sceniczną przestrzeń małej sceny do bezgranicznego wszechświata, w którym króluje Aleksander Fredro, a dokładniej – Wiktor Łafarowicz – aktor, który przeżywa życie autora, jak własne, przechodzi drogę autora krok za krokiem, z zachwytem dziecka, cieszy

się i płacze każdą chwilą życia jako kwintesencją istnienia. Jego towarzyszami na tym życiowym szlaku są... kapelusze. Sztych do obrazu dokładny i odnosi się do danej chwili. Ile jest w tej chwili bólu i radości, ile hojności ludzkiego bytu. Właśnie to monoprezentowanie pokazało i pomogło zrozumieć Aleksandra Fredrę bardziej niż tomy prac naukowych. Nie ma tu mowy o zewnętrznym podobieństwie aktora do znanych portretów autora, ale chodzi o wniknięcie do twórczego sensu mistrza, o możliwości poznania jego losu, który ukształtował go jako mistrza jaskrawego i niepowtarzalnego. Łatwość, z jaką to robi twórczy tandem Zbigniewa Chrzanowskiego i Wiktora Łafarowicza, imponuje i tylko z czasem przychodzi świadomość, jaki tytaniczny trud stoi za tym „lekkim” odczuciem scenicznego bytu.

Wielkim wydarzeniem w życiu teatru był udział aktorów w warsztatach Andrzeja Seweryna, które odbywały się w Teatrze Polskim w Warszawie. Dzięki temu powstało przedstawienie według poezji Zbigniewa Herberta „Pan Cogito”, wystawione w sali Teatru Polskiego w ramach Salonu Poezji 22.02.2015 r. Andrzej Seweryn – aktor światowej sławy wspomaga ludzi kreatywnych niezależnie od miejsca ich zamieszkania, współpracuje z nimi, gra z nimi na jednej scenie, darując każdemu bezcenne doświadczenie współpracy. My, Lwowiacy, możemy tylko żałować, że nie było tego przedstawienia we Lwowie. Należy mieć nadzieję, że kiedyś ono odrodzi się i na lwowskiej scenie.

Następna premiera teatru odbyła się 26 kwietnia 2015 r. „Hipnoza” Antoniego Cwojdziańskiego napisana w latach dwudziestych ubiegłego wieku, prawdziwa romantyczna komedia dla dwojga aktorów, w której każda rola nadaje się do benefisowego popisu. Zbigniew Chrzanowski zaprosił do współpracy w tym przedstawieniu swoich najbardziej oddanych adeptów: Jadwigę Pechaty i Wiktora Łafarowicza. Żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają autorskie przedstawienie na scenie Narodowego Teatru w Warszawie po powrocie z Londynu w 1964 r. z Zofią Mrozowską i Kazimierzem Rudzkim. Ci aktorzy zagrali także w telewizyjnej wersji sztuki w 1967r. Ale zostawmy historyczne wspomnienia w spokoju. W lwowskiej wersji Chrzanowski znalazł godnych partnerów, którzy do romantycznego podłoża utworu dodali intelektualną ironię i momentami – kompletacyjny brechtowski dystans. Widz do końca nie może zrozumieć dokąd zaprowadzą te gry w „kotka i myszkę” i kto właściwie staje się w tym momencie kotkiem. Ale Ci dwoje w ironicznie wyrafinowanej reżyserii Chrzanowskiego przekształcili scenę w pole bitwy o miłość. Przerzucają się tekstem jak piłkami do gry w ping-ponga, i tylko gdzieś na dnie rozdrażnień i nieporozumień można było odczytać uczuciowe przyciąganie się, które nie da się opisać słowami. I wtedy przyszło uczucie, jakby w niezrozumiałych okolicznościach



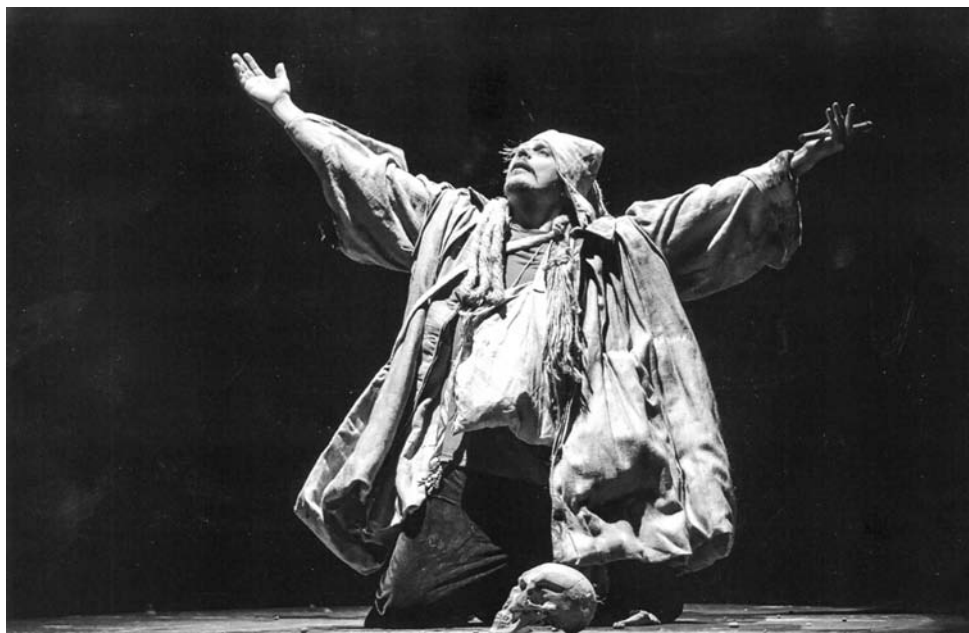
Witkacy – „Szewcy”. Od lewej: Paweł Kuński (Czeladnik II), Stanisław Melski (Sajetan), Kazimierz Kosydor (Czeladnik I), Maksymilian Markarianc (Fierdusieńko).
Fot. Krystyna Józwińska.

ciach. Gdyby w teatrze zostało tylko tych dwoje aktorów Chrzanowskiego udałoby się zawsze stworzyć coś zachwycającego. O takich aktorach jak Jadwiga Pechaty i Wiktor Łafarowicz mówi się, że oni nawet, czytając książkę telefoniczną, przekształca ją w sztukę.

Nie da się wyobrazić Polskiego Lwowskiego Teatru bez przedstawień opartych na motywach utworów Adama Mickiewicza. We wrześniu 2015 r. odbyła się premiera poezji Mickiewicza „Królowa Lala”. Wydawałoby się jak można stworzyć przedstawienie na podstawie niedużego utworu poetyckiego?! Ile jest wierszy w tym niedokończonym utworze? Dla Zbigniewa Chrzanowskiego – dostatnio, bo każde *poetyckie* słowo powoduje działanie i tworzy asocjację, tym bardziej, gdy do współpracy zaproszony zostaje reżyser-poeta! I znowu do Lwowa przyjeżdża Bogusław Kierc, który tak dokładnie odczuwa poezję, że z łatwością tworzy oryginalną winietę – uszanowanie dla Wielkiego Mickiewicza. Romantyzm poety wibruje emocjonalnie lekko w tym przedstawieniu. Gdyby można było nazwać przedstawienie jednym słowem, nazwałabym je – lekkie. Lekkie – w manierach aktorów różnych pokoleń, a w tym przedstawieniu grali prawie wszyscy aktorzy teatru, lekkie i wizualnie, i słownie, bo poezja brzmi jak muzyka, a muzyka – jak poezja. Nie na próżno reżyser nazwał swoje przedstawienie „teatralna fantazja”. Nazwałabym je spektaklem – bajką.

I znowu w rodzinnym Polskim Teatrze Ludowym – premiera. Tym razem „Szewcy” Stanisława Ignacego Witkiewicza. Jest to autor, utwory którego obowiązkowo powinny być wystawiane we Lwowie, gdyż właśnie w naszym mieście w 1903 r. on zdał eksternistycznie egzamin maturalny. „Powinniśmy być szczęśliwi, że w Polsce znajduje się człowiek, który, nie zwracając uwagi na jego dziwactwa i twórcze niepowodzenia, był na wyższym poziomie, niż większość jego współczesników. Sprzeczki i debata w Polsce w czasie międzywojennym wydaje się głupotą, jeżeli je porównać z tym, o czym mówi Witkiewicz” – pisał Czesław Miłosz („Granice sztuki”), w książce „Stanisław Ignacy Witkiewicz. Człowiek i twórca”. Warszawa, 1957. W swoim dramacie „Szewcy”, który Witkacy pisał ponad siedem lat (1927–1934), sarkastycznie opisuje przyszłość ludzkości, która niepoohamowanie dąży ku zagładzie.

Na Ukrainie już były próby dotknięcia „Szewców”. 19 września 2014 r. z inicjatywy Generalnego Konsulatu Polski w Łucku Teatr Harmyder upamiętnił 75. rocznicę śmierci Stanisława Witkiewicza premierą „Witkacy jest – Witkacego nie ma”. Przedstawienie zawierało ciekawą interpretację fragmentów dramatu „Szewcy” (tłumaczenie Barbary Miśko). Rok po 130. rocznicy urodzin Sławomira Ignacego Witkiewicza doczekaliśmy się premiery „Szewców” we Lwowie. Należy przede wszystkim podziękować Zbigniewowi Chrzanowskiemu, który postanowił, że w re-



Wiktor Łafarowicz w „Spowiedzi błazna” Szekspira

pertuarze teatru powinny być utwory Witkacego, i na dodatek zaprosił na przedstawienie znanego twórcę polskiego teatru – aktora i reżysera Stanisława Melskiego. Groteskowy nowoczesny ostatni dramat Witkacego zabrzmiał na malutkiej scenie Budynku Nauczyciela jako złowieszczo-proroczo. Scena jakby się zwiększyła do wielkości Wszechświata, stała się przestrzenią opowieści, niezważając na brutalność niszczącej ironii działania i witkacowskiego słowa.

Witkacy w lwowskiej interpretacji brzmi dla mnie brutalnie, beznadziejnie, katastroficznie. Dusi każdym słowem, dlatego że autor nie pozostawia nadziei – ani sobie, ani swojemu widzowi. Stanisław Melski zostaje wierny Autorowi i jako reżyser, i jako aktor, bo właśnie Melski zagrał rolę Sajemana Tempe i, jako aktor nie pozwolił sobie zmienić apokaliptycznego obrazu świata reżysera. Odczuwa się, że kiedyś młodemu Stanisławowi Melskiemu udało się zaistnieć w świecie Jerzego Grotowskiego i w działaniu zostaje jego wiernym adeptem, energicznym, zdolnym utrzymać i widza, i partnerów, którym nie jest lekko wszystkich wykonawców bez wyjątku – należy chyba przepisać cały program przedstawienia. Wydaje się, że nikogo nie da się wyrwać z kontekstu przedstawienia. Gdzieś na drugim planie, niby w kinie, w czołgu mignie twarz Ireny Słobodiany – twarz, która ożyła jakby z „Portretu kobiety” Witkiewicza. Nawet mistrzowska gra Wiktora Łafarowicza – Prokurato-

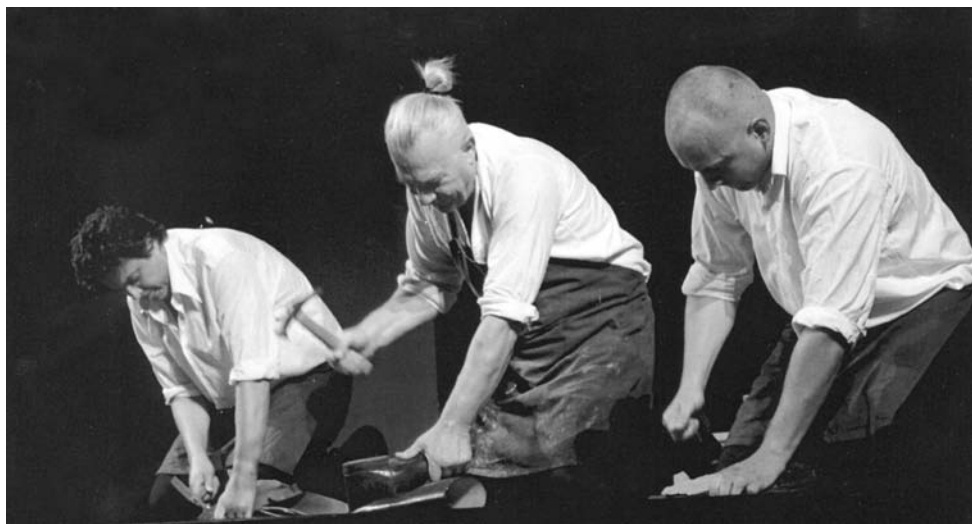
ra, nie może schować albo zniszczyć ten malowniczy autorski cień. Wizjonerskie teksty Stanisława Ignacego Witkiewicza wyprzedziły swój czas, możliwe, że „Szewcy” we Lwowie też wyprzedzają czas? Gwałtownie otworzą się drzwi, jak wiatr powstanie Hiper-Robociarz – Jadwiga Pechaty – tekst będzie brzmiał dokładnie, jak marsz – że nadziei nie ma... Ktoś niedawno tak smutno powiedział przy filiżance kawy: „Teraz taki czas, że tylko „Szewców” wystawiać”...

Jeżeli ktoś z aktorów będzie Was przekonywał, że nigdy nie chciał dotknąć twórczości Szekspira i nie marzył zagrać Hamleta, to nie wierzcie mu! Takie zapewnienia przede wszystkim są świadectwem zaprzeczenia, albo niechęcią mówienia o niespełnionych marzeniach. A marzeń nie należy zdradzać i wtedy one obowiązkowo się spełnią. Nie wiem czy Zbigniew Chrzanowski marzył o zagranii Hamleta, ale świadectwem jego miłości do Szekspira było przedstawienie „Sen nocy letniej” – najbardziej romantyczna szekspirowska wersja we Lwowie. I teraz to właśnie „Jorik, czyli spowiedź błazna”. Zbigniew Chrzanowski, skłaniając się w stronę teatru psychologicznego, jako narzędzie zawsze wybiera spowiedź i powierza jej stworzenie teatralnego świata, tym razem szekspirowskiego. W tę podróż bierze ze sobą tylko jednego pobratymca, niby własne *alter ego* Wiktora Łafarowicza. Jemu, jako prezent rzuca do nóg błazeńskie monologi i sonety, dlatego że rozumie, że – właśnie ten aktor poradzi sobie z całym tym poetyckim tekstem, nie zejdzie do jednoznaczności, nie będzie nudziarzem, czy, jeszcze gorzej, nie będzie pouczał, ale przeżyje błazeńskie życie jak każdą chwilę swojego życia. Z nim będzie ciekawie i chwilami strasznie, i po szekspirowsku monumentalnie. To prawie monoprzedstawienie z internalizacją właśnie *alter ego* Hamleta, tzn. Zbigniewa Chrzanowskiego. Zdaje się, że Chrzanowski wystawił to przedstawienie, aby nareszcie zarecytować wymarzony monolog „Być albo nie być”. Właśnie *alter ego* Hamleta, tzn. Zbigniewa Chrzanowskiego. W jego dojrzałych intonacjach nie ma buntowniczego głosu młodości, jest dokładne uświadomienie każdego szekspirowskiego słowa, uciszone, przeżyte, niby Szekspir stał się częścią jego samego.

Czasem ogarnia mnie strach, że Chrzanowski będzie zmęczony aby realizować przedstawienia we Lwowie, bo ten prawdziwy ukochany nasz Lwów znika na naszych oczach gwałtownie szybko, bardzo boleśnie. We wspomnieniach starasz się zachować ten Lwów, który kochasz do nieprzytomności. Być może mi się tak wydaje, ale właśnie nostalgia za Lwowem prowadziła Zbigniewa Chrzanowskiego do poszukiwania kolejnego tekstu sztuki, która została jasnym dziecięcym wspomnieniem, które nie zniknęło z upływem lat, a lat minęło dość dużo – już ponad siedemdziesiąt. Pamięć Chrzanowskiego wraca w dalekie lata czter-

dziesiąte dwudziestego wieku, które stały się dla wielu Lwowiaków, niezależnie od narodowości, bolesnym pożegnaniem z rodzinnym miastem. Wśród tych, kto na zawsze jego opuścił, była grupa polskich aktorów, wśród których był i wujek Zbigniewa Chrzanowskiego Stanisław. Ostatni polscy aktorzy żegnali się wystawieniem premiery „Scampolo” wg sztuki włoskiego dramaturga Dario Niccodemi, w tłumaczeniu Jarosława Iwaszkiewicza. Opowiadanie o tym przedstawieniu warto usłyszeć z ust Pana Chrzanowskiego, dlatego że tego nie da się opowiedzieć słowami, trzeba widzieć jego twarz i błysk oczu, jak delikatnie on wymawia imię „Busia” – (Bogusława Czosnowska), bo tak nazywała się aktorka, która grała rolę Gałganka w tym miłym dla serca przedstawieniu.

Poszukiwanie tekstu tej sztuki rozciągnęło się na kilka lat. Mimo, że przetłumaczył ją Iwaszkiewicz, znalezienie jej było wręcz niemożliwe. Dopiero we Wrocławiu znalazł się rękopis, przepisany przez suflera. Te notatki suflera uratowały marzenie reżysera. Krok po kroku Chrzanowski dążył do jego spełnienia. W Małej Sali Lwowskiego Obwodowego Budynku Nauczyciela jakoś nieuchwytnie odczuwalny jest zapach Wiecznego Miasta, chociaż bohaterzy nie błądzą uliczkami Rzymu, a architektoniczny pejzaż określa tylko zwidy w okiennej ramie. Bohaterzy tej jasnej delikatnej historii poruszają się tuż obok widza, ale tak bywa zawsze i tym nie da się zadziwić ani aktorów, ani widzów. Dlaczego tak przytulnie jest w tej sali? Niby Cię otula sentymentalne uczucie szczęś-



Witkacy „Szewcy”. Od lewej: Kazimierz Kosydor (Czeladnik I), Stanisław Melski (Sajetan), Paweł Kuński (Czeladnik II). Fot. Krystyna Józwińska.



Dario Nikodemi – „Scampolo”. Wiktoria Słobodiana (Gałganek),
Wiktor Łafarowicz (Tytus). Fot. Anastazja Kanarska.

cia, chociaż akcja dopiero się zaczyna rozwijać. I jest ona banalna aż do przesady. Ciągłe wyjaśnienie stosunków między mężem i żoną, którzy już się znudzili jedno drugiemu do obrzydzenia, a jednak wciąż jeszcze nie mają siły odejść od siebie. Z czasem wyjaśnia się, że oni nawet nie są małżeństwem tylko kochankami. I do tej rutyny wpada podmuch wiosennego wiatru – ptaszek Gałganek – otwarty, szczerzy i nad podziw delikatny. Wiktoria Słobodiana – prawdziwy dar losu dla Polskiego Teatru we Lwowie. Jeśli liczyć, że większość młodych Lwowian, którzy wyjeżdżają na studia do Polski, już nigdy nie wracają do rodzinnego miasta, to Wiktoria Słobodiana – ten nieliczny przypadek, kiedy powrót – to radość nie tylko dla rodziny, ale i społeczeństwa. Jeżeli mówić otwarcie, to należy powiedzieć, że zwiększona emigracja, która ostatnio jest bardzo odczuwalna w naszym mieście, wpłynęła i na aktorski zespół teatru, doprowadziła do pewnego „starzenia się” zespołu. Młodzież albo wyjeżdża ze Lwowa, albo jest obojętna do teatralnej sztuki. Wiktoria Słobodiana – to wyjątek w tej smutnej życiowej historii. I właśnie ona staje się kamertonem przedstawienia-marzenia Zbigniewa Chrzanowskiego. Otwarcie i szczerze, o których już dawno zapomniano w naszym globalnie-agresywnym świecie, Gałganek – Wiktoria Słobodiana zwraca się do każdego, kogo spotyka na swej niełatwej życiowej drodze. Jabłko

w dłoni – to nie pokusa, a – zaproszenie do otwartego serca, pełnego miłości. Ona podaje Tytusowi – Wiktorowi Lafarowiczowi z ufnością dziecka, w którym dopiero rodzi się dusza, pragnąca miłości. Dla każdego partnera na scenie aktorka ma „swój głos”, swoje niesamowite uczucie prawdy. Ona rozumie i odczuwa każdego. Czasem zdaje się, że ta otwartość pomaga innym aktorom być w pełni uczciwymi w swojej grze. I wtedy nawet najmniejsza uwaga zaokrąglą się do idealnego dźwięku, i nawet mała rola staje się teatralną perełką. Jak rola Nieznajomego w wykonaniu samego reżysera. I zwykły flirt przekształca się w nieświadome pragnienie czystości uczuć – szczerych, niezniszczonych życiową codziennością. To przedstawienie nie potrzebuje muzycznej oprawy, gdyż muzyka brzmi w samej postaci Gałanka – Wiktorii Słobodiana. W tym przedstawieniu nie ma uczuć na koturnach, jest otwartość ludzkiego bytu, dlatego prawdziwi w swojej otwartości i Tytus – Wiktor Lafarowicz, i Franka – Irena Asmołowa, i Karol Benini – Krzysztof Szymański, i Emilia – Irena Słobodiana, i Kelner – Paweł Kuński, i Buritti – Jarosław Sosnowski. Ta historia – to preludium do miłości, która ma zdolność ożywiać nawet przedmioty nieżywe, m.in. – globus. Jak Wszechświat obejmie jego Gałanek – Wiktor Słobodiana, bez oświadczeń, bez egzaltacji i, przyjdzie niespodzianie świadomość, że Wszechświat w rękach tej dziewczynki trzyma się na Miłości.

Także na Miłości opiera się Wszechświat polskiego Teatru we Lwowie, dlatego że jak pisał ukraiński pisarz Grygorij Tiutiunyk: „Nie ma zagadki talentu – jest wieczna zagadka miłości”. Chce się coraz częściej wpadać w sidła tej zagadki, śpieszyć na premiery Polskiego Teatru, widzieć ulubionych aktorów i poznawać nowe twarze.

Od redakcji:

Zamierzaliśmy w tym numerze przedstawić całość działalności Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie od 2008 roku czyli od Jubileuszu 50-lecia Teatru i od wydania książki Janusza Wasylkowskiego „Teatr z ulicy Kopernika”, która podsumowywała ten okres artystycznych inspiracji lwowskich entuzjastów i kłopotów, z jakimi musieli się borykać.

Niestety autorka powyższej nie знаła programów teatru z 2009–2012 i brakuje nam, choćby kronikarskiego zapisu z tych lat, który trzeba będzie w osobnej publikacji uzupełnić.

Wiktoria Malicka

WROCŁAWSKIE OSSOLINEUM W DZISIEJSZYM LWOWIE

Lata 90. XX wieku, kiedy Polska i Ukraina jako niepodległe państwa rozpoczynały dialog w sprawie dziedzictwa kulturowego, były czasem trudnym. Wzajemne roszczenia rewindykacyjne nie pozwalały na znalezienie porozumienia. Przełamanie impasu w rozmowach było powołanie w 1997 r. Międzyrządowej Komisji Polsko-Ukraińskiej ds. ochrony i zwrotu dóbr kultury utraconych i bezprawnie przemieszczonych podczas II wojny światowej. Na pierwszym posiedzeniu Komisji, w dn. 13–16 maja 1997 r. we Lwowie, został powołany zespół ekspercki ds. Ossolineum. Współprzewodniczącymi zespołu zostali dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, dr Adolf Juzwenko i dyrektor Lwowskiej Narodowej Naukowej Biblioteki Ukrainy im. W. Stefanyka, prof. Myrosław Romaniuk. W 2003 r. nastąpił przełom w rozmowach polsko-ukraińskich. Na mocy podpisanej wówczas umowy Ossolineum i Biblioteka im. W. Stefanyka uzyskały możliwość pełnego dostępu do swoich zbiorów (poloników we Lwowie i ukrainików we Wrocławiu), z możliwością ich kopiowania oraz opracowywania. W 2004 r. rozpoczął się proces digitalizacji dawnych kolekcji ossolińskich we Lwowie, który trwa do dzisiaj.

W grudniu 2006 r. powołane zostało stanowisko Pełnomocnika Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Na podstawie umowy z Biblioteką im. W. Stefanyka biuro Pełnomocnika zostało umieszczone w gmachu d. Pałacu Baworowskich, w Instytucie Badań Bibliotecznych nad Zasobami Sztuki. Pierwszym Pełnomocnikiem został p. Damian Ciarciński, który pełnił tę funkcję do 2008 r., kiedy stanowisko to objął p. Stanisław Basarabowicz. Od 2010 r. funkcję Pełnomocnika pełni pisząca te słowa.

Zadaniem Pełnomocnika jest ułatwienie Ossolineum współpracy z Biblioteką im. W. Stefanyka oraz innymi lwowskimi instytucjami, do których po wojnie trafiły kolekcje sztuki, pozostającego w strukturach Zakładu Muzeum XX. Lubomirskich: Lwowską Galerią Sztuki im. B.G. Woźnickiego, Lwowskim Muzeum Historycznym. Muzeum Etnografii

i Przemysłu Artystycznego oraz Lwowskim Muzeum Historii Religii. W ramach współpracy obiekty muzealne ze Lwowa są stale wypożyczane na wystawy czasowe we Wrocławiu. Ossolineum stara się o zapewnienie im odpowiedniej opieki konserwatorskiej poprzez organizację praktyk dla lwowskich konserwatorów. Pozyskuje także środki na sprzęt i materiały dla lwowskich pracowni konserwatorskich.

W przypadku Biblioteki im. Stefanyka głównym zadaniem Pełnomocnika jest koordynacja projektów digitalizacji. W pierwszym etapie digitalizacją zostały objęte archiwa Zakładu Narodowego im. Ossolińskich i Wydawnictwa ZNiO oraz zbiory rękopiśmienne zgromadzone w Zakładzie przed 1945 rokiem i włączone do tzw. zbioru podstawowego. Następnie skanowaniem objęte zostały zbiory archiwalne i biblioteczne, które zostały połączone ze zbiorami ossolińskimi w ramach radzieckiej akcji koncentracji zbiorów prywatnych i różnych instytucji społecznych, w tym licznych i cennych archiwów rodzin arystokratycznych (m.in. Lubomirskich, Jabłonowskich, Sapiehów, Radziwińskich, Skarbków). W 2012 r. rozpoczął się projekt digitalizacji zbioru prasy polskiej z lat 1801–1939. którego bogata, licząca 5495 tytułów kolekcja, należała przed wojną do największych w kraju. W 2016 r. Ossolineum zrealizowało projekt digitalizacji kolekcji rysunku polskiego z dawnych zbiorów Muzeum XX. Lubomirskich. Do tej pory wykonanych zostało prawie 4.5 miliona skanów rękopisów, czasopism i rysunków, co pozwoliło Ossolineum na symboliczne połączenie historycznych kolekcji, a stronie ukraińskiej umożliwiło zabezpieczenie bezcennych zbiorów.

Od 2006 r. stałym punktem na kulturalnej mapie Lwowa są organizowane przez Pełnomocnika *Spotkania Ossolińskie w Lwowskiej Narodowej Naukowej Bibliotece Ukrainy im. W. Stefanyka*, odbywające się pod patronatem Konsula Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie. Są to spotkania intelektualne dla elity kulturalnej, naukowej i politycznej Lwowa: spotkania z inteligencją lwowską, gdzie zapraszaniymi przez Ossolineum gośćmi są najwybitniejsi przedstawiciele nauki i inteligencji z Polski i Europy Środkowej. Tematy poruszane na wykładach to najważniejsze zagadnienia historii i współczesności. Spotkania odbywają się raz w miesiącu, w każdy pierwszy poniedziałek miesiąca, w gmachu dawnej Biblioteki Baworowskich. Jednocześnie od 8 listopada 2010 r. w ramach projektu *Razem w Europie* realizowanego wspólnie z Konsulatem RP we Lwowie, zapraszani przez Ossolineum wybitni goście wygłaszają również wykład dla studentów lwowskich uczelni. Do tej pory zorganizowanych zostało 70 *Spotkań Ossolińskich*.

Przypięciem dobrej współpracy między obiema instytucjami była uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej Ossolineum na gmachu Biblioteki im. Stefanyka 8 lipca 2015 r. Starania

o upamiętnienie działalności Ossolineum we Lwowie trwały od 2010 r. Odsłonięta tablica nawiązuje do tablicy umieszczonej w tym samym miejscu 27 maja 1928 r., w czasie obchodów 100-lecia działalności Zakładu Narodowego. Tablica ta, upamiętniająca Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, zaprojektowana przez Michała Łużyckiego i Janinę Rychter (medalion), wisiała do 1940 r. Jej replika została umieszczona na wrocławskiej siedzibie Ossolineum w 2007 r., w trakcie obchodów 190-lecia ZNiO. Na współczesnej tablicy pamiątkowej umieszczono medalion z podobizną założyciela Ossolineum oraz napis w trzech językach: ukraińskim, polskim i angielskim: *W tym budynku w latach 1827–1940 miał swą siedzibę ufundowany w roku 1817 przez Józefa Maksymiliana Ossolińskiego Zakład Narodowy im. Ossolińskich*. Tablica została zaprojektowana przez wrocławskich artystów: architekt Annę Morasiewicz i rzeźbiarza Tomasza Rodzińskiego, a wykonana przez wrocławskiego kamieniarza Kazimierza Durawę.

Lwowskie korzenie Ossolineum zobowiązują również do upamiętnienia miejsc pochówków wybitnych Ossolińczyków na Cmentarzu Łyczakowskim. Z inicjatywy Pełnomocnika. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Dziedzictwo kulturowe” przeprowadziło renowację nagrobków dyrektorów Ossolineum – Augusta Bielowskiego i Wojciecha Kętrzyńskiego. Szczególnie ważnym wydarzeniem było również upamiętnienie Ludwika Bernackiego, dyrektora Ossolinem w latach 1918–1939. Ludwik Bernacki zmarł nagle 19 września 1939 r., w czasie oblężenia Miasta, na atak serca, ze stresu i przemęczenia podczas przenoszenia najcenniejszych zbiorów do piwnic. Ponieważ Lwów był wówczas pod ciągłym ostrzałem artyleryjskim. Bernacki został pochowany w przedwojennych ogrodach Ossolineum, u podnóża Cytadeli. Przeprowadzone w 2013 r. poszukiwania z użyciem georadaru (dzięki przychylności Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa), wskazały miejsce jego pochówku, ale niestety nie znaleziono tam jego szczątków – miejsce zostało naruszone podczas przebudowy placu w połowie lat 60-tych. W 75-tą rocznicę śmierci Ludwika Bernackiego, w rodzinnym grobowcu Bernackich na Cmentarzu Łyczakowskim została złożona urna z ziemią z miejsca, w którym był pochowany.

Ponadto, w czasie swojej działalności we Lwowie, Pełnomocniczka zorganizowała między innymi: seminarium wyjazdowe dla studentów Pracowni Historii Budowy Miast na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej (30 kwietnia – 4 maja 2012). konferencję *25 lat polskiej misji konsularnej we Lwowie* (1–2 grudnia 2012), zdjęcia do filmu dokumentalnego *Osso, moje Osso* w reżyserii Jana Strękowski (5–12 października 2013). dwie konferencje *Przywracanie zapomnianej historii. Wyobrażenia o Europie Środkowo-Wschodniej w anglojęzycznych*

podręcznikach akademickich. zorganizowane wspólnie z Instytutem Przestrzeni Obywatelskiej i Polityki Społecznej przy Uczelni Łazarzskiego w Warszawie (18–20 czerwca 2014 oraz 23–25 czerwca 2015), Jubileuszową konferencją z okazji 120-lecia Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, pt. *Polska i ukraińska etnologia dzisiaj. Kontynuacje i perspektywy* (24–27 września 2015). Do końca czerwca 2017 r. otwarta dla zwiedzających jest wystawa rzeźb prof. Adama Myjaka, rektora ASP w Warszawie. *Pinsel/Myjak Spotkanie* w Muzeum Sztuki Barokowej im. Jana Jerzego Pinsla Lwowskiej Galerii Sztuki im. B.G. Woźnickiego.

Do zadań Pełnomocnika należy również realizacja i organizacja we Lwowie kwerend dla pracowników Ossolineum. Efektem pracy Działu Rękopisów ZNiO są dwa tomy *Informatora o polonikach w zbiorach rękopiśmiennych LNNBU im. W. Stefanyka*. W najbliższym czasie zostanie wydany przygotowywany przez Dział Sztuki ZNiO. album rysunku polskiego z Muzeum Książąt Lubomirskich w zbiorach Biblioteki im. W. Stefanyka. Dział Starych Druków Ossolineum pracuje nad wydaniem katalogu XVI-wiecznych poloników z historycznej kolekcji Ossolineum, natomiast wynikiem pracy Działu Czasopism ZNiO będzie katalog czasopism polskich i obcojęzycznych – dotyczących spraw polskich, z okresu od końca XVIII w. do 1939 r.. przechowywanych w Bibliotece im. W. Stefanyka. Ponieważ organizacja badań i kwerend naukowych dla polskich naukowców nie jest we Lwowie najłatwiejsza (instytucje rzadko odpowiadają na pisma przesyłane drogą elektroniczną), obecność Pełnomocnika ZNiO okazuje się przydatna również dla wielu naukowców i instytucji z Polski, którym służy pomocą i informacją w zakresie warunków dostępu do lwowskich instytucji i zbiorów.

Działalność Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie ogniskuje się zatem wokół ochrony historycznych kolekcji ossolińskich i polskiego dziedzictwa kulturowego. Dobre relacje z ukraińskimi partnerami pozwalają na zbadanie (a czasami odkrycie na nowo) tych elementów ossolińskiego dziedzictwa, które na skutek wojny uległy zapomnieniu. Znakomitym tego potwierdzeniem jest reakcja strony ukraińskiej na obchody Jubileuszu 200-lecia ZNiO. W czerwcu 2017 r. Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy im. W. Stefanyka przedstawi cztery wystawy jubileuszowe z okazji 200-lecia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich: *Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie: dokumenty Działu Rękopisów, Ossoliniana w zbiorach starych druków Działu Książki Rzadkiej, Czasopisma Ossolińskie w zbiorach Działu Czasopism im. Mariana i Iwanny Koców i Ukrainika w kolekcji graficznej dawnego Muzeum Lubomirskich*. Natomiast w październiku 2017 r. Lwowska Galeria Sztuki przedstawi zbiory malarstwa z dawnej kolekcji Muzeum XX. Lubomirskich.

Jerzy Załuski

MATKA BOŻA ŁASKAWA ZE LWOWA W PARYŻU O JULIUSZU SŁOWACKIM NAD SEKWANĄ

W dniach 31 marca – 5 kwietnia w Paryżu miały miejsce znaczące dla Kresów wydarzenia. Prężnie działające Towarzystwo „Kresy we Francji” obchodziło 10-lecie swego istnienia.

Uroczystości rozpoczęły się w godzinach wieczornych 31 marca w okazałym i pięknym gmachu Pałacu Monako, gdzie od lat trzydziestych ubiegłego wieku mieści się Ambasada RP. Obchodzące swój jubileusz Stowarzyszenie „Kresy” we Francji powstało w 2007 roku, a w kolejnym roku zostało formalnie zarejestrowane pod nazwą Association des Polonais des Confins en France „KRESY”. Do statutowych celów Stowarzyszenia należy podtrzymywanie i propagowanie dziedzictwa kulturowego i historycznego polskich Kresów, oraz rozwijanie kontaktów z Polakami i organizacjami polonijnymi działającymi na ziemiach, które stanowiły wschodnie pogranicze przedwojennej Polski.

Wieczór rocznicowy poświęcony dorobkowi Stowarzyszenia „Kresy” we Francji otworzyła prezes Krystyna Orłowicz, która omówiła dotychczasowe, bardzo cenne inicjatywy i plany na przyszłość.

Następnie przyjaciel stowarzyszenia, Stanisław Ledóchowski, przedstawił program swojego autorstwa poświęcony pielęgnowaniu dziedzictwa Kresów. Głos zabrała też pani Agnieszka Bogucka, prezes warszawskiego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” oraz Mariusz Olbromski, literat, dyrektor Muzeum A. i J. Iwaszkiewiczów w Stawisku.

W czasie wieczoru odbyła się również promocja książek historycznych napisanych przez członków Stowarzyszenia „Kresy we Francji”, pani dr Sabiny Chobian–Cheron „Wędrownie Maki” oraz inż. arch. Witolda Mołodyńskiego „Bieszczadzkie okupacje”

Spotkanie zakończyło się wspólnym występem kapeli „Górale” z Dourges, w programie którego znalazły się liczne pieśni kresowe, a także przyjęciem, na którym zaprezentowano kuchnię staropolską.

Jednak najbardziej doniosłym wydarzeniem tamtych dni było wprowadzenie do kościoła „polskiego” pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w dniu 2 kwietnia, w czasie uroczystej mszy świętej i ofiarowanie kopii obrazu Matki Bożej Łaskawej z Katedry Lwowskiej.

Oryginał, pędzla Józefa Szolc – Wolfowicza, z mistrzostwem skopiował Jerzy Plucha, konserwator zabytków i artysta malarz z Lubaczowa. Piękne rzeźbione i pozłacane ramy ufundował oddział warszawski Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Stworzenie i ofiarowanie Kościołowi w Paryżu kopii tego obrazu w rocznicę królewskich ślubów było pomysłem Mariusza Olbromskiego, dyrektora Muzeum w Stawisku, który w czasie wspomnianych uroczystości, przed poświęceniem obrazu, odczytał tekst ślubów lwowskich króla Jana Kazimierza. Warto wspomnieć, że w uroczystej koncelebrze wzięli udział liczni księża, między innymi ks. Aleksander Pietrzyk, przełożony Księży Pallotynów we Francji, a wśród wielu zebranych gości byli przedstawiciele Ambasady Polskiej, prezesi i działacze stowarzyszeń polskich z całej Francji, intelektualiści polscy i francuscy. Trzeba też wspomnieć, że w centrum Paryża w prastarym opactwie San Germain de Pres, spoczywa serce króla Jana Kazimierza III Wazy. Pod koniec życia był on bowiem opatem tego klasztoru i tam zmarł. Doczesne prochy monarchy pochowane zostały na Wawelu. W Paryżu, we wspomnianym kościele, znajduje się wspaniały pomnik polskiego monarchy. Paryżanie, wyrażali po nabożeństwie w „kościelnie polskim” radość, że odtąd Matka Boża Łaskawa ze Lwowa będzie darzyła ich Swymi łaskami i otaczała odtąd Swą opieką.

Dwa dni później, w samym centrum Paryża, w Bibliotece Polskiej, najstarszej i najwspanialszej na emigracji polskiej instytucji – usytuowanej opodal katedry Notre Dame, została otwarta – zorganizowana we współpracy z paryską placówką przez Muzeum A. i J. Iwaszkiewicza w Stawisku wystawa „Krzemieńiec – Ateny Wołyńskie. Miasto Juliusza Słowackiego w kolekcji Stanisława Ledóchowskiego”. Wystawa została przygotowana przez Ewę Cieślak i Małgorzatę Zawadzką ze Stawisk we współpracy z dr Anną Czarnocką z Paryża. Mecenasem wydarzenia był Pan Marek Keller, który ufundował z prywatnych funduszy organizację wystawy i sesji naukowej. Przed wernisażem wszystkich zebranych powitał prof. Piotr Zaleski, prezes Towarzystwa Historyczno-Literackiego, a zarazem legendarny dyrektor Biblioteki Polskiej. Wystawa była wcześniej prezentowana w Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku oraz przez okres kilku miesięcy – gościnnie – w Muzeum Romantyzmu w Opinogórze pod Warszawą. Znalazły się na niej: historyczne pamiątki, cenne publikacje, unikalne mapy i dzieła sztuki związane z Krzemieńcem, miastem rodzinnym Juliusza Słowackiego, oraz z Liceum Krzemienieckim, ważnym ośrodkiem polskiej nauki i kultury. Wszystkie eksponaty prezentowane na wystawie pochodzą z prywatnej kolekcji Stanisława Ledóchowskiego.

Wernisaż wystawy ubogaciła sesja naukowa „Słowacki nad Ikwą i Sekwaną”, której moderatorem była Krystyna Orłowicz, prezes Stowa-

rzyszenia „Kresy we Francji”. Wygłoszone zostały trzy, uzupełniające się, bogato ilustrowane zdjęciami, referaty. Rozpoczął ją Stanisław Ledóchowski dzieląc się swymi refleksjami na temat „*Słowo polskie nad Sekwaną.*” Z kolei Mariusz Olbromski, wieloletni organizator „Dialogu Dwóch Kultur” w mieście Słowackiego, przedstawił barwnie temat „*Krzemień i Wołyń w twórczości Juliusza Słowackiego*”. Potomek Stanisława Szajdaka, poety z Grupy Wołyń, działającej w okresie międzywojennym, prof. Lech Wojciech Szajdak z Poznania, interesująco mówił na temat przebiegu i wydarzeń „*Wokół odsłonięcia pierwszego na ziemiach polskich pomnika Juliusza Słowackiego w Miłostawiu w 1899 roku*” Odczytał też wspaniałe mowę, jaką wygłosił na tej uroczystości Henryk Sienkiewicz.

Trzeba podkreślić, że Juliusz Słowacki, przez wiele lat, od 1839 aż do śmierci to dziesięć lat później, mieszkał i tworzył właśnie w Paryżu. Tam powstały jego liczne arcydzieła, jak np. dramaty „Sen srebrny Salomei”, „Książę Marek”, czy dzieła mistyczne jak „Król Duch”. Był też zaangażowany w życie emigracji, między innymi, był członkiem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, które powołało do istnienia Bibliotekę Polską. Wyeksponowanie właśnie tam wystawy o Krzemieńcu i Wołyniu, a także o twórczości autora „Kordiana”, ma więc swe najgłębsze uzasadnienie i ideowy związek.

IV. Książki o Lwowie **i Kresach Południowo-Wschodnich**

AKADEMIA MILITANS

Pani Zenoviyi Shits, Lwowiance

Academia militans. Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie, całość zredagował, wstępem i zakończeniem opatrzył Adam Redzik, Wydawnictwo Wysoki Zamek Kraków 2015, s. 1302, przypisy, bibliografia (źródła i opracowania), streszczenia (ang., ros.), indeks osobowy (s. 1267–1301), informacje o autorach, liczne ilustracje.

W Roczniku Lwowskim 2007 Adam Redzik (ob. profesor UW) opublikował pod tytułem „Uniwersytet Jana Kazimierza zasłużył na lepszy portret” krytyczne uwagi dot. książki „Uniwersytet Jana Kazimierz we Lwowie 1918–1946. Portret kresowej uczelni”, wydanej w Krakowie 2007.

I oto słowo stało się ciałem. Wielki tom i wielkie dzieło zrodziło się z idei uczczenia 350. rocznicy wydania dyplomu podnoszącego lwowskie kolegium ojców jezuitów do rangi akademii i nadającego jej tytuł uniwersytetu (dyplom króla Jana Kazimierza z 20 stycznia 1661 r.). Owa rocznica przypadała w 2011 roku. Ogrom przedsięwzięcia (i inne okoliczności niezależne od autorów, m. in. katastrofa samolotu prezydenckiego w Smoleńsku) sprawił, że sygnalizowane dzieło wydano z kilkuletnim opóźnieniem.

Uniwersytecka rocznica wcześniej została uczczona innym dziełem wydanym w Krakowie w 2011 r. Okazały tom nosi tytuł „Uniwersytetowi Lwowskiemu dla upamiętnienia trzysty pięćdziesiątej rocznicy jego fundacji” (tytuł także w formule łacińskiej); zawierał materiały sesji naukowej zorganizowanej w dniach 14–15 stycznia 2011 r. w Krakowie przez Uniwersytet Jagielloński, Wyższą Szkołę Filozoficzno-Pedagogiczną „Ignatianum” w Krakowie (uczelnia OO. Jezuitów), Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, Polską Akademię Umiejętności, z przedmową profesora Jerzego Wyrozumskiego, ówczesnie sekretarza generalnego PAU. Rocznicę ta minęła bez większego echa w polskich środkach masowego przekazu; może to znak widomy, iż przyzwyczajamy

się do faktu, że dzieje tego polskiego uniwersytetu są już zamknięte, że tego uniwersytetu już nie ma. Co prawda jako instytucja naukowa (i to formalnie najwyższej rangi) istnieje nadal we Lwowie – ale jakby w innym już mieście, w innym państwie, w innych realiach polityczno-społecznych, pod innym wezwaniem.

Tym ważniejsze są myśli wyrażone w „Przedmowie” do krakowskiego tomu: *„Skoro dzieje tej Almae Matris stanowią dziś zamkniętą kartę, postanowiliśmy przy jubileuszowej okazji przywołać pamięć nie tylko początków dzieła o nie dającej się przecenić cywilizacyjnie i kulturalnej doniosłości, ale poddać je oglądowi na całej jego dziejowej drodze. Dla jednych płynęło to z potrzeby serca, dla innych z obywatelskiej i narodowej powinności, dla innych jeszcze z pobudek czysto poznawczych, bowiem rodowód wielu dziedzin naszej nauki byłby niepełny bez sięgnięcia do ich niezwykle płodnych korzeni. Jesteśmy świadomi, że Universitas Joanneo Casimiriana Leopoliensis, z całą swoją jezuicką i laicką przeszłością, należy nie tylko do tradycji narodowej polskiej, ale wpisuje się jak najbardziej w tradycję wielonarodowej Rzeczypospolitej, niezależnie od długiego austriackiego okresu w dziejach tej szczególnej uczelni. Takie rozumienie jej miejsca w historii Europy Środkowej wydaje się oczywiste, skoro obok Polaków miała wśród swoich profesorów i docentów także Ukraińców, a obok młodzieży polskiej studiowała w niej także młodzież ukraińska.... Mamy wszakże nadzieję, że zamknięta już historia lwowskiej Almae Matris będzie odbierana jako wspólne dobro zarówno cywilizacji i kultury polskiej jak też ukraińskiej. Zanim to się jednak stanie, na Polsce ciąży obowiązek pielęgnowania tej bogatej tradycji, która nie może pozostać sferą milczenia. Nikt nas w tym nie wyręczy, a przyszłe pokolenia nam tego nie wybaczą. Czas bowiem ma zarówno swoją moc kojącą rany i dawne urazy, jak też siłę niszczącą pamięć rzeczy i ludzi, którzy na upamiętnienie zasługują.... Pamięć o zamkniętych już dziejach Uniwersytetu Lwowskiego odczuwamy jako zbiorowy obowiązek przynajmniej nauki polskiej. Niech to poczucie towarzyszące organizatorom sesji, stanie się przesłanką dla młodszej generacji Polaków, dla których lwowska Almae Matris stała się odległą historią.”*

Dzieło to przypominam nie tylko z tego względu, że z uwagą zostało odnotowane w części „Stan badań, literatura przedmiotu” kolejnego dzieła, tutaj sygnalizowanego, ale obie rocznicowe edycje uzupełniają się w licznych wątkach problemowych i szczegółach, nade wszystko zaś też łączy je – można przyjąć – generalne przesłanie wyrażone przez prof. J. Wyrozumskiego.

Konferencyjne wystąpienia zawarte w pierwszym „krakowskim” dziele omawiały ogólne tendencje rozwoju lwowskiego uniwersytetu w różnych okresach dziejowych i dorobek naukowy w poszczególnych

zakresach. Tom pod redakcją A. Redzika przedstawia jego dzieje w sposób znakomicie bogatszy: „Naszym celem było danie możliwie pełnego obrazu Uniwersytetu Jana Kazimierza w perspektywie dziejów, aż do jego depolonizacji w latach 1939–1946.” Jest to obecnie nie tylko w polskim piśmiennictwie najpełniejsza synteza dziejów lwowskiej uczelni, oparta na bardzo bogatych źródłach, odwołująca się do przeboгатych opracowań cząstkowych (zob. wykaz zawierający kilkaset pozycji bibliograficznych). Mieni się to dzieło bogatymi niuansami problemowymi, nie unikając spraw trudnych czy bolesnych z dawniejszych i nowszych lat (jak np. kwestia żydowska czy ukraińska w dziejach uczelnianych). Jeśli przyjąć, że powstało także z ogólniejszych przesłanek patriotyczno-narodowych a nie tylko czysto akademicko-historiograficznych, to w przedstawieniu dziejów uczelni szczęśliwie uniknięto swoistej mitologizacji i idealizacji, dzieło wolne jest od polonocentrycznego nachylenia i zaciętrzewienia, sprawiedliwiej (i chce się napisać – mądrzej) rozkłada akcenty, uwzględniając należycie w dziejach uniwersyteckich także udział ukraińskiej profesury i ukraińskiej młodzieży akademickiej, i nie pomniejszając znaczenia naukowego tych pierwszych, i ich znaczenia w ukraińskiej kulturze. W tym kontekście nie powinno już dziwić współczesne miano uniwersytetu we Lwowie jako uniwersytet Iwana Franki, dawniejszego studenta i niedoszłego profesora lwowskiej wszechnicy na katedrze języka i literatury ruskiej (powołanej w 1849 r.), którego naukowe dokonania rzeczowo scharakteryzowano. Jest skądinąd paradoksem, że profesorską kandydaturę przekreślili w głosowaniu nie „antyrusińscy Polacy”, lecz własni rodacy (co także wspomniano). A choć występowały trudne konflikty (na tle narodowościowo-ideowym, językowym), to w sposób wyważony uwzględniono motywy działań strony ukraińskiej, unikając dyskredytujących kwalifikacji politycznych czy ideowo-światopoglądowych, o co w obopólnych debatach bywa (ło) nietrudno.

Nadtytuł „Academia militans” (akademia – uniwersytet walczący) na określenie dziejów Uniwersytetu Lwowskiego ma dawniejszą tradycję. Tego zwrotu użył jako pierwszy wybitny lwowski historyk prawa Oswald Balzer, do tej formuły nawiązywali inni dziejopisowie Uniwersytetu, i przypomniano ją we Wstępie, przytaczając słowa prof. Juliana Dybca (UJ) z jego tekstu zawartego we wspomnianym „krakowskim” dziele:...”dzieje wszechnicy lwowskiej to historia realizowania swoistej koncepcji uniwersytetu jako wartości absolutnej i uniwersalnej, a używane w pewnym okresie określenie „academia militans” można śmiało rozciągnąć na cały okres jej dziejów.” Myśl tę dopełnia redaktor kolejnego dzieła, Adam Redzik: „Bo czyż nie miał racji Franciszek Jaworski, gdy pisał, że lwowska akademia została „w ogniu

walki poczęta” i trwała w tej walce do depolonizacji Lwowa.” Jaka to była walka i o co? Jest to czytelne w kolejnych partiach tomu. Walka ta zaczyna się najpierw o rację bytu Akademii jezuickiej, od chwili nadania Jana Kazimierzowego dyplomu fundacyjnego, kiedy to Akademia Krakowska wstąpiła w wieloletni protest przeciw powołaniu nowej uczelni we Lwowie w obronie własnej pozycji i własnych prerogatyw akademickich w Rzeczypospolitej (przyznany przez sejm monopol nauczania), spór przeniesiony także do Stolicy Apostolskiej w Rzymie. Zadziwiające jest, jak Akademii Krakowskiej udało się zorganizować wielką opozycję gremiów watykańskich, szlachty, dygnitarzy świeckich i kościelnych, także władz m. Lwowa przeciw jezuicko-królewskiej inicjatywie, a także przeciw zatwierdzeniu przez króla Augusta III przywileju Jana Kazimierzowego, zmuszając go do wycofania swego poparcia. Mimo uporczywych przeciwdziałań jezuitów z walki tej krakowska uczelnia wyszła zwycięsko, a choć fundacyjnego aktu nie udało się obalić, to przecież jezuickie kolegium faktycznie nie stało się uniwersytetem. Potem jest to konkurencyjna konfrontacja ze szkolnictwem pijarów i ich Collegium Nobilium we Lwowie; w dalszych dziejach uniwersytetu – walka z jego germanizacją i o uznanie języka polskiego jako wykładowego; z ideowymi okowami uniwersytetu – z józefinizmem, tj. walka z ograniczeniami nauki (z ówczesną ideową koncepcją uniwersytetu); walka o pełność uniwersytetu (o powołanie Wydziału Lekarskiego); walka o dopuszczenie kobiet do wykształcenia uniwersyteckiego; walka w obronie istnienia uniwersytetu, kiedy to prof. Edward Suess wystąpił w parlamencie wiedeńskim z wnioskiem, by go zlikwidować, gdyż dwa uniwersytety w Galicji to o jeden za dużo, a w to miejsce lepiej doposażyć Uniwersytet w Krakowie. Wreszcie jest to walka o reaktywowanie uniwersytetu w różnych okresach historycznych, kiedy to był degradowany do rangi liceum, likwidowany i przeniesiony do Krakowa, ewakuowany po części w okresie I wojny światowej do Wiednia i działający tam w kadłubowej formie, walka o uposażenie nauczycieli akademickich, z biurokracją wiedeńską (a i u początków niepodległego państwa) o nowe etaty i kierunki studiów, o nowe katedry; wreszcie walka ze zniewoleniem narodowym prowadzona w formie tajnego nauczania w czasie obu okupacji Lwowa. Jest to więc uniwersytet instytucjonalnie upadający i odradzający się jak Feniks z popiołów.

Osiem wielkich rozdziałów tworzy główną część dzieła: I Zarys historii Uniwersytetu Jana Kazimierza (perspektywa ustrojowa i ogólnouniwersytecka); II Wydział Teologiczny; III Wydział Prawa; IV Wydział Humanistyczny (d. Wydział Filozoficzny); V Wydział Matematyczno-Przyrodniczy; VI Wydział Lekarski; VII Spór o Ukraiński Uniwersytet we Lwowie na przełomie XIX i XX stulecia i Ukraiński Tajny Uniwer-

sytet (1921–1925); VIII Uniwersytet Lwowski w latach 1939–1946. Poszczególne rozdziały mają rozbudowaną strukturę wewnętrzną, skomponowane są z wyróżnionych części. I tak R. I obejmuje dwie części: 1. *Ab ovo ad mala*, cz. 2: *Miscellanea*: Studenci, biblioteki, archiwa, insygnia uniwersyteckie, doktorzy honoris causa, poczet rektorów; R. IV tworzą Część 1: Humanistyka w strukturze Wydziału, i Część 2: Osiągnięcia naukowe; R. VIII obejmuje Część 1: Pierwsza okupacja sowiecka (1939–1941), Część 2. Okupacja niemiecka 1941–1944, Część 3. Druga okupacja sowiecka i tzw. repatriacja, a i wszystkie części mają własną szczegółową strukturę tematyczną. To formalne rozczłonkowanie tekstu ma zaletę – pozwala na systematykę poszczególnych zagadnień i ich merytoryczną prezentację. Łaciński zwrot użyty w tytule części pierwszej pierwszego rozdziału (*Ab ovo ad mala*) sygnalizuje motyw „walczącego uniwersytetu”. Skuteczne od początków PRL wyrugowanie łaciny z programów nauczania sprawia, że nie dla wszystkich zwrot jest zrozumiały: w swobodnym tłumaczeniu znaczy – od jaja (od źródeł, od początku) do zła (powiedzianego, wypowiedzianego, oznajmionego – *mala narrata*), tym „złem” ma być dyplom Jana Kazimierza; zwrot ten pojawia się w tekście uroczystej protestacji wniesionej 5 kwietnia 1662 roku przez posłów szlacheckich z Korony i Litwy, w którym sformułowano: „...tej nowej akademii i przywileju od króla Jego Mości *ad mala narrata* otrzymanego, nie chcemy, ani pochwalamy, ani pozwolić możemy i protestujemy, gdyż dzieje się przeciw formule praw, przyzwoleniu i woli stanów.”

Rozdział pierwszy (290 stron) przedstawia kolejne etapy kształtowania się lwowskiego uniwersytetu w różnych jego formach od jego początków do 1939 roku. Kiedy bowiem myślimy i mówimy „Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie”, to niejako automatycznie odnosimy się do jego funkcjonowania i oficjalnej nazwy przede wszystkim w okresie II Rzeczypospolitej. Tymczasem są to w istocie dzieje kilku uniwersytetów i kilku jego modeli, choć (w zasadzie) w tym samym mieście. Jest więc etap akademii jezuickiej (z niepełnymi prawami uniwersyteckimi), etapy przejściowe po kasacie zakonu jezuickiego jako Collegium Nobilium pijarów i Collegium Theresianum (cesarzowej Marii Teresy), uniwersytet józefiński (dyplom cesarza Józefa II, 1784 r.), etap jego likwidacji i Liceum Lwowskiego w Krakowie (1805–1817) jako szkoła półwyższa, restauracja uniwersytetu jako Uniwersytet Cesarza Franciszka I (w okresie przedautonomicznym 1817–1861, acz nazwa ta funkcjonowała do 1918 r.), uniwersytet doby autonomicznej w Galicji, i etap ostatni w II RP. Scharakteryzowano te etapy przekształceń uwzględniając uwarunkowania historyczno-polityczne w podwójnym aspekcie: najpierw w kontekście bujnego rozwoju nowoczesnego szkolnictwa jezuickiego w Europie

i w Rzeczypospolitej przed kasatą zakonu (zaś protest przeciw inicjatywie jezuitów jawi się jako element bardziej ogólnej kampanii antyjezuickiej od czasów Zygmunta III do Augusta III); a następnie po rozbiorach – w aspekcie generalnych założeń zmiennej polityki (także oświatowej) cesarstwa austriackiego. Dzieje uczelni ujęto także w polskich historycznych odniesieniach – jak powstanie Księstwa Warszawskiego, powstanie listopadowe i styczniowe (udział w nich studentów lwowskich), jak Wiosna Ludów (i zniszczenia miasta oraz obiektów uniwersyteckich wskutek bombardowania miasta, patriotyczna konspiracja i represje władz austriackich), I wojna światowa (okupacja rosyjska), wojna polsko-ukraińska i różne jej konsekwencje w odniesieniu do funkcjonowania uniwersytetu (jak np. wymóg złożenia przez profesurę ukraińską deklaracji lojalności wobec państwa polskiego, ich odmowa i w konsekwencji opuszczenie przez wielu z nich uniwersytetu wraz ze studentami ukraińskimi. Uwydatniono zatem konflikt racji państwa polskiego i własnych, odrębnych racji narodowych, poczucia własnej odrębności narodowej tożsamości. Jest dziś bardziej zrozumiałe, że w tamtej rzeczywistości racji tych nie dało się pogodzić).

Przekształcenia instytucjonalne oznaczają także zmiany modelu uniwersytetu. Ukazano więc zmienne koncepcje: od pierwotnie akademii z uprawnieniami nadawania naukowych stopni, do koncepcji szkoły półwyższej; inny typ reprezentuje uniwersytet józefiński – przeciwstawny idei dotychczasowej akademii jezuickiej (w której przyjęto szeroki zakres nauk), a podobny w swym duchu do późniejszego uniwersytetu francuskiego epoki napoleońskiej. A więc szkolnictwo i uniwersytet podporządkowany państwu z całkowitym usunięciem wpływów Kościoła (w duchu reform Józefa II). Jest to model uczelni z językiem wykładowym niemieckim, kształcącej urzędników w służbie państwa, a nie ośrodek twórczego rozwijania nauk. W dobie autonomii przyjęto model wprowadzony w Prusach od 1809 r. przez ministra wyznań i oświaty (ale także wybitnego uczonego) Wilhelma von Humboldta – model uniwersytetu w Berlinie przeniesiony następnie do Austrii i innych krajów Europy: model uczelni autonomicznej, liberalnej, z nowoczesnymi upowszechnionymi następnie w Europie formami organizacji w sferze nauki – w ramach wydziałów – wyspecjalizowane zakresowo katedry, w sferze dydaktyki seminaria; to model uczelni zakładającej łączność (swobodnych) badań naukowych i dydaktyki i jednolite procedury kariery naukowej: kompetencje naukowe (stopień doktora) oraz kompetencje dydaktyczne – czyli przyznanie prawa do wykładania (*veniam legendi*), co wytyczało dalej drogę do procedury zwanej habilitacją, połączonej z tytułem docenta. Ten model przetrwał w UJK do końca (upowszechnił się także w innych uczelniach polskich i funkcjonuje do dziś).

Podjęto próbę scharakteryzowania fenomenu Lwowa – jego specyficznej aury, atmosfery, czemu przydatna jest łacińska formuła „genius loci” – duch miejsca, a co nie poddaje się pełnej definicji. Kontrastują ze sobą dwa uogólnione obrazy, sprzeczne – miasto tolerancji i pełne konfliktów. Specyfikę miasta i owego „ducha” wyznacza m. in. jego położenie na pograniczu kultur, splot wielonarodowości, wielokonfesyjności, wielokulturowości, co generuje dwa typy postaw – tolerancji i akceptacji, współpracy oraz skrajną – konfliktów i nienawiści. Te dwie tendencje choć w różnym stopniu i w różnym czasie są przecież obecne w życiu miasta i w życiu *universitas* – wspólnoty profesorów i studentów, a pozbywszy się tendencji idealizującej – autorzy je wielorako ukazują.

Założeniem autorów dzieła jest dążenie do ukazania dziejów uniwersytetu w szerszym kontekście problemowym. Ukazano więc Lwów jako siedzibę uniwersytetu, ale też wielouczelniany ośrodek akademicki (Politechnika, Akademia Rolnicza, Wyższa Szkoła Lasowa, Akademia Medycyny Weterynaryjnej, Akademia Handlu Zagranicznego, Wyższe Kursy Ziemiańskie, nie pomijając lwowskiego szkolnictwa artystycznego a zwłaszcza muzycznego, a także Studium Dyplomatyczne UJK). Siłą rzeczy jest to więc ośrodek wymiany myśli naukowej, nawet swoistej konkurencji w różnych dyscyplinach naukowych. Autorzy zdają się być sprawiedliwi – wskazują też ukraińskie ośrodki naukowe, a charakteryzując muzea, biblioteki naukowe i archiwa Lwowa nie pomijają ukraińskich zbiorów naukowo-artystycznych, w wyniku wojen – w znacznym stopniu zniszczonych. Wszystkie bowiem te instytucje łącznie rzutują na charakter miasta, jego klimat społeczny, współkształtowany też przez obyczaje profesury i temperaturę życia studenckiego.

W różnych częściach dzieła (a także w zróżnicowaniu czasowym) występuje wątek środowiska profesorskiego. W nim skupiały się osoby o różnych kwalifikacjach naukowych i dydaktycznych, lecz traktując tę zbiorowość zbiorczo dominowały w niej nieprzeciętne indywidualności naukowe, uczeni wykształceni w wielu uniwersytetach europejskich. Przynosili do Lwowa nowe idee i oddawali nauce polskiej oraz europejskiej (a nawet światowej) najlepsze swe dzieła, w wielu zakresach mimo upływu lat do dziś znaczące. Ukazano to dobitnie, charakteryzując dokonania naukowe wielu, wielu z nich, w różnych dziedzinach wiedzy, a także powstałe „szkoły naukowe” w tak szerokim zakresie, jak w żadnej innej polskiej uczelni. Stały się one dziedzictwem polskiej nauki, kontynuowanym także przez uczniów mistrzów po II wojnie światowej, już w innych okolicznościach dziejowych. (Wiele z tych szkół ma obecnie odrębne monografie, zwłaszcza szkoła matematyczna i lwowsko-warszawska szkoła filozoficzna, głównie w dziedzinie logiki, obie o światowej randze). Wyraziste osobowości, zróżnicowane poglądy i charaktery gene-

rowały sytuacje konfliktowe – sporów, animozji, powstawały koterie sobie przeciwstawne, znajdowało to nieraz wyraz w działaniach na forum senatu, w obradach innych gremiów uniwersyteckich, w głosowaniach dotyczących przyznawania stopni i stanowisk.

Pełniejszy niż w dawniejszym piśmiennictwie jest obraz życia studenckiego. Scharakteryzowano organizacje młodzieżowe (ogólnouczeniowe i wydziałowe) o zróżnicowanym charakterze (samopomocowym, naukowym, kulturalnym, sportowym itp.), ich profil ideowy i narodowościowy, także specyficzny twór – korporacje studenckie, polskie, żydowskie, ukraińskie, niemieckie, ukształtowane w II Rzeczypospolitej a odwołujące się do początkowego wzoru niemieckiego jeszcze z XIX wieku. Zestawienie kilkudziesięciu stowarzyszeń akademickich w UJK (wg stanu w 1938 r.), ukazanie powiązań z wieloma partiami czy obozami politycznymi (rządowy obóz sanacji) w Polsce, uświadamia bujność działalności studenckiej, wyrażającej się również w konfliktach ogólniejszej natury. W tym środowisku rodziły się poważne zajścia (nieraz krwawe) na tle narodowościowym. Archiwalne zdjęcia ukazują zniszczenia sal uniwersytetu podczas owych zamieszek, zniszczenia profesorskich portretów. Ze środowiska studenckiego zdominowanego przez skrajnie narodową Młodzież Wszechpolską wyszły koncepcje getta ławkowego dla studentów żydowskich i ograniczenia przyjęć na uniwersytet (zasada numerus clausus) studentów innego niż polskiego pochodzenia. Presja studencka w tym zakresie na władze państwowe i uczelniane była potężna, miała zakres krajowy i lwowski. Antyżydowski amok ogarniający Europę zaznaczył się też w Polsce, nie ominął Lwowa, kwestię tę (jako ogólniejszy problem żydowski) niezdawkowo zasygnalizowano w dziele.

W przeglądzie zawartości dzieła trzeba zwrócić uwagę na odrębny rozdział poświęcony problematyce ukraińskiej w dziejach uniwersytetu. Kwestia dążeń ukraińskich do utworzenia własnego uniwersytetu we Lwowie we współczesnej świadomości (po stronie polskiej) jest zatarta. Autor z Uniwersytetu I. Franki zaproszony do współpracy, prof. Marian Mudryj, odważył się być odważnym autorem (co odnośnie do różnych tendencji we współczesnej Ukrainie). Przeciwwstawił się licznym uproszczeniom naukowym (nawet niekiedy nierzetelności) i ideowym (politycznym) znajdującym odbicie w piśmiennictwie ukraińskim, krytycznie ustosunkował się wobec tendencyjnego wyolbrzymiania „polskiego ucisku”, ale także wobec zbytnej „heroizacji” dążeń swych rodaków, co nie pozwala zrozumieć złożonych aspektów ukraińskiego uniwersytetu, w którym idea polityczna miała dominować nad naukową misją. Autor ukazał bogate tło owych dążeń, złożoną sytuację po obu stronach konfliktu. Ostatecznie szansa została zaprzepaszczona, w miejsce formal-

nego uniwersytetu powstała (na krótko) tylko jego namiastka (Ukraiński Tajny Uniwersytet). Czy tylko z polskiej winy??? Więc pisze, że jeśli popatrzeć na dzieje UTU bez tendencyjnych założeń, „to można zauważyć rzeczy mało przyjemne – doktrynerstwo ówczesnych ukraińskich polityków (często oparte na osobistych ambicjach i urazach), którzy bezkompromisowo zajmowali sprzeczne z polskim stanowisko i z uporem rujnowali konstruktywne projekty zaraz po tym, jak się pojawiły, tłumacząc, że „ukraiński naród nie przyjmie żadnego uniwersytetu z rąk polskich”. A zarodki terroryzmu w ukraińskim młodzieżowym środowisku i popieranie aktów fizycznego niszczenia przedstawicieli władzy i osób inaczej myślących – uznawali jako jedyne w nowych warunkach właściwe i możliwe sposoby obrony narodowych interesów. Dodajmy gotowość ukraińskich uczonych intelektualistów podporządkowania się hasłom polityków i ową dość opatrnie pojmowaną „solidarność”, bo często wymuszana. Nie można nie wspomnieć o manipulacji w pojmowaniu celu i roli uniwersytetu w społeczeństwie, kiedy nauka i nauczanie odchodziły na daleki plan, ustępując miejsca różnym, niby to „narodowo-wychowawczym projektom.” To nie koniec gorzkich uwag, ale można dodać ogólnie – myśli o relacji nauka-polityka zdają się mieć wymiar także aluzyjny, ale chyba czytelny w odniesieniu do współczesnych realiów ukraińskich.

Wątek ukraiński ma także odzwierciedlenie w kwestiach języków wykładowych. We wcześniejszych etapach przyjęta była niekiedy równoległa łacina, polski, niemiecki, ruski. Jeśli język ruski ostatecznie nie był szerzej przyjęty w nauczaniu i ostatecznie dominował język polski (od 1879 r.) – to przyczyna była dość istotna (a nie tylko uprzedzenia narodowościowe): język ruski (ukraiński) dopiero kształtował się i terminologicznie, pojęciowo, nie był jeszcze dostosowany do wykładów uniwersyteckich, a był też nieznanym dla części profesorów i studentów. Eksperyment powołania przez cesarza Józefa II Studium Ruthenum (1787–1804) świadczy o tym wymownie. Szkoła teologiczno-filozoficzna z językiem ruskim miała przygotowywać księży dla ludności ruskiej i kandydatów do studiów na Wydziale Teologicznym uniwersytetu. Założenie stosowania języka ruskiego nie sprawdziło się. Przytoczono uwagi na ten temat wielkiego historiografa Ludwika Finkla, pozbawione jakiegokolwiek negatywnego ładunku” nauczyciele używali wyrazów rosyjskich, inni skłaniali się do cerkiewno-słowiańskiego, martwego języka, najliczniejsi jednak przyjęli język, w którym „przemawiano wtedy i długo jeszcze z kazalnicy, w którym wychodziły wszystkie listy pasterskie biskupów ruskich, w języku polskim.” Uwadze tej towarzyszy komentarz: „Słów tych często nie rozumieją dzisiejsi Ukraińcy. Ani wśród większości inteligencji, ani w gremiach politycznych, ani naucza-

jących nie uświadamia się młodych z zachodniej Ukrainy, że od zarania dziejów (schyłku średniowiecza) do końca XIX w. Polacy i Rusini (poprzednicy dzisiejszych Ukraińców) posługiwali się tym samym językiem kultury – był to literacki język polski. Język ukraiński nie istniał, zaś mowa ludności ruskiej na tym terenie (prawosławnej i greckokatolickiej) miała wiele narzeczy, podobnie zresztą jak mowa ludności polskiej (rzymskokatolickiej) zamieszkującej na tym terenie.”

Prezentacja wszystkich wydziałów Uniwersytetu jest obszerna. Przedstawiono ich rozwój, poszczególne dyscypliny naukowe, program nauczania, wymiar godzin, obsadę katedr profesorskich, scharakteryzowano sylwetki uczonych, ich najważniejsze dokonania. Zestawiono wszystkie władze dziekańskie, rektorskie, do końca dziejów uniwersytetu, doktorów *honoris causa* Ukazano los uniwersytetu i jego uczonych w okresie okupacji sowieckiej i niemieckiej, skalę strat profesury – zamęczonych, zamordowanych, więzionych. W dziele – w szczególności fotografie zamordowanych profesorów na Wzgórzach Wóleckich.

Dzieje uniwersytetu dopełniają inne wątki: rozwój materialnej bazy dydaktycznej, prezentacja podstawowych aktów prawnych określających funkcjonowanie uniwersytetu, od dyplomu Jana Kazimierza, przez ustawodawstwo austriackie i okresu II RP po zarządzenia nowych władz czasu wojny (okupacji); losy insygniów uniwersyteckich, przypomnienie wielkich uroczystości. Ukazano wiekopomny wkład lwowskich uczonych nie tylko w dzieje nauki, ale w rozwój innych polskich uczelni po odzyskaniu niepodległości, ich udział w pracy państwowej, a w tym zakresie nie można pominąć niezwykłych dokonań w dziele kodyfikacji wielu zakresów prawa, z których np. rozwiązania prawne w części prawa cywilnego są aktualne do dziś. Rozwój towarzystw naukowych, udział w międzynarodowym życiu naukowym, powstanie naukowego czasopiśmiennictwa, wielkie działania edukacyjne w formie wykładów powszechnych, wszystko to także należy do historii lwowskiej uczelni. A towarzyszą temu liczne wspaniałe wypowiedzi uczonych o misji uniwersytetu. Trzeba na nie zwrócić uwagę dziś, kiedy uniwersytety przeszły wielką ewolucję, nie zawsze korzystną, poddane mechanizmom biurokracji, rynkowym, poddane procedurom rankingowym, anonimowości zbiorowości itd., a etos uczonych ulega rozchwianiu.

Ramy tego omówienia są ograniczone. Nie wszystko udało się przedstawić w równych częściach. Więc na zakończenie przytaczam fragment noty z okładki: „Obszerne dzieło, bogato zilustrowane unikalnymi fotografiami, zajmie zapewne trwałe miejsce w literaturze dotyczącej historii nauki. Poprzednie kompleksowe opracowanie dziejów Uniwersytetu Lwowskiego powstało w 1894 r.”

Maciej Miśkowiec

KALENDARIUM LWOWA

Agnieszka Biedrzycka, *Kalendarium Lwowa 1918–1939*, Kraków 2012, Wydawnictwo Universitas, ss. 1160. *)

Doktor Agnieszka Biedrzycka pracuje w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla Polskiej Akademii Nauk, jest redaktorem *Polskiego Słownika Biograficznego*. Wydała m.in. *Bibliografię pomników kultury dawnych kresów południowo-wschodnich Rzeczypospolitej* (Kraków 2000), *Korespondencję Stanisława Koniecpolskiego hetmana wielkiego koronnego* (Kraków 2005). *Pomniki epigrafiki i heraldyki dawnej Rzeczypospolitej na Ukrainie*, 1.1 (Kraków 2005). Ostatnio opublikowała obszerne opracowanie – *Kalendarium Lwowa 1918–1939*.

Publikacja ta może stanowić w pewnym sensie przygotowanie do podjęcia prac nad dziejami miasta, bowiem, jak zaznacza Autorka, *Kalendarium* nie jest historią Lwowa, ale raczej „przewodnikiem po okresie międzywojennym”, a także może stać się pomocą w prowadzonych badaniach.

Omawiane opracowanie składa się ze wstępu, liczącego blisko 1000 stron właściwego kalendarium, aneksów, spisu wykorzystanej literatury, indeksu osób oraz indeksu rzeczowo-topograficznego, a także wykazu skrótów. *Kalendarium Lwowa* jest publikacją naukową. Już na pierwszy rzut oka można dostrzec solidny warsztat historyka: staranność opracowania, obszerną bibliografię, wstęp zaopatrzony w aparat naukowy (przypisy). Gwarantami naukowego poziomu jest osoba Autorki ze znaczącym dorobkiem edytorskim, doświadczeniem w pracach źródłowych i warsztatowych (Polski Słownik Biograficzny), jak też recenzenci: profesorowie: Czesław Brzoza i Grzegorz Mazur, a także wydawnictwo (Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas).

Naukowy charakter opracowania jest zobowiązaniem, do którego Autorka podchodzi z poczuciem odpowiedzialności. We „Wstępie” znajduje się fragment, z którego jasno wynika, że na kartach *Kalendarium Lwowa* nie znajdziemy obrazów kresowej Arkadii, jaką dla wielu było i pozostaje (w pamięci i tradycji) miasto „zawsze wierne”. Wręcz odwrot-

nie. Lektura opracowania Agnieszki Biedrzyckiej przywodzi na pamięć przysłowie, a zarazem tytuł, jaki nadał swoim wspomnieniom Leszek Dzięgiel: *Lwów nie każdemu zdrow*. Autorka odżegnuje się od sentymentów na rzecz rzetelnego opracowania historii. Zastosowanie „szkiełka i oka” przy pracy nad *Kalendarium* wydaje się w zasadzie metodą słuszną, choć można też znaleźć pola do dyskusji.

W zwięzłym „Wstępie” (czy nie za bardzo lakonicznym?) zostały określone i uzasadnione zasady publikacji, cezury chronologiczne, kryteria doboru materiału itp. Znalazło się też w nim omówienie literatury przedmiotu, co koresponduje z zamieszczoną na końcu bibliografią. Wykorzystanie bogatej literatury (w tym ponad 60 tytułów prasowych) zasługuje na uznanie. Jasne, że nie da się uwzględnić „wszystkiego” i zawsze znajdą się jakieś pozycje pominięte. Niektórych jednak nie sposób nie wytknąć. Nie wzięto np. pod uwagę ważnego wydawnictwa źródłowego jakim jest trzypięciotomowa *Obrona Lwowa 1–22 listopada 1918*. Formalnie rzecz biorąc, A. Biedrzycka miała do tego prawo, gdyż wspomniana publikacja odnosi się do listopadowych walk w 1918 roku. Jednakże zaważyło tu raczej nie tyle ścisłe trzymanie się chronologii, co nader krytyczne podejście Autorki do relacji uczestników. We „Wstępie” do *Kalendarium Lwowa* znalazło się uzasadnienie rezygnacji z wykorzystania (z pewnymi wyjątkami) literatury wspomnieniowej. Autorka uważa, że pisane zwykle po latach pamiętniki przynoszą fałszywy obraz Lwowa. „Stworzony przez pamiętnikarzy wyidealizowany zazwyczaj obraz miasta ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, jaka wyłania się z ówczesnej prasy i współczesnych opracowań naukowych” (s. X). Jest w tym poglądzie Agnieszki Biedrzyckiej i innych badaczy (Grzegorz Mazur, Urszula Jakubowska) wiele słuszności, ale uważam takie generalizujące podejście za nadmiernie radykalne. Historyk konstruuje obraz przeszłości na podstawie różnych źródeł (im jest ich więcej, tym lepiej) i właśnie z konfrontacji licznych przekazów, nawet tych bałamutnych, wyłania się wizja mniej lub bardziej zbliżona do rzeczywistości. Legenda Lwowa tak mocno zakorzeniła się w pamięci zbiorowej, że stała się faktem. Wydaje mi się, iż dzieje miasta pozbawione odniesień do owych wątków „arkadyjskich” byłyby nie mniej zafałszowane niż piśmiennictwo kreślące jasny, pozbawiony cieni, obraz mitycznej szczęśliwości.

W wykorzystanej literaturze zabrakło książki Zofii Kurzowej poświęconej językowi Lwowa i kresów (*Polszczyzna Lwowa i kresów południowo-wschodnich do 1939 roku*) oraz *Złotej księgi historiografii lwowskiej XIX i XX wieku* (red. Jerzy Maternicki, przy współpracy Leonida Zaskilniaka, Rzeszów 2007). I zupełnie inna dziedzina. Na kartach *Kalendarium* często pojawia się tematyka sportowa (kluby sportowe, obiekty sportowe, zawody, mecze itp.). lecz Autorka tylko w znikomym

stopniu uwzględniła wątek szachowy. W spisie literatury, w dziale encyklopedii i słowników, nie znajdziemy opracowanego przez Tadeusza Wolszę *Słownika biograficznego szachistów polskich* (t.1–5. Warszawa 1995–2007), a przecież wśród przedstawicieli tej dyscypliny sportu było wielu lwowian. Szachy odgrywały znaczącą rolę w życiu Lwowa.

Autorka zaznacza we „Wstępie”, że przy doborze informacji do swego opracowania musiała dokonać selekcji. To zrozumiałe. Wybory zwykle bywają dyskusyjne i chyba każdy autor uczyniłby to nieco inaczej. *Kalendarium* Agnieszki Biedrzyckiej jest nie tylko informatorem, przewodnikiem po latach 1918–1939 we Lwowie, kompendium wiedzy. Stanowi pozycję, którą się wykorzystuje, ale też może być bardzo ciekawą (momentami wręcz pasjonującą) lekturą. Przyczyniły się do tego nie tylko liczne (niektóre, co prawda, nieco przydługie) cytaty prasowe wprowadzające w klimat miejsca i epoki. Pewne lakoniczne wzmianki (tu. z kolei, zdarzają się nazbyt zwięzłe informacje, jak na s. 559: „Wystąpił pianista M. Rosenthal” albo „Obradował IV Zjazd Naftowy”. Nasuwa się pytanie: gdzie?), suche fakty mają dramatyczną wymowę ze względu na kontekst wydarzeń, na okoliczności towarzyszące. Z kart *Kalendarium* wyłania się nie tylko Lwów heroiczny, walczący o wolność, ale też miasto głodujące, borykające się z trudnościami bytowymi i epidemią tyfusu. Odnosi się to zwłaszcza do okresu wojny polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej. Liczne informacje dotyczą braku żywności i sposobów radzenia sobie z tym. Czytamy np., że 1 stycznia 1919 r. w Domu Akademickim przy ul. Łozińskiego rozpoczęła wydawanie tanich obiadów kuchnia dla inteligencji (s. 10), a nieco później nadeszły transporty: z Warszawy 25 wagonów z mąką i ryżem, a potem 40 wagonów mąki amerykańskiej. Dowiadujemy się o reglamentacji m.in. żywności, węgla, zapalek i świec. Dla następnych okresów mamy bogactwo wiadomości o cenach w mieście (zarówno żywności, jak też np. komunikacji miejskiej) oraz informacje demograficzne i dotyczące anomalii klimatycznych. Jest więc Lwów codzienny borykający się zarówno z problemami charakterystycznymi dla wszystkich większych miast, jak i specyficznie lwowskimi.

Opracowanie A. Biedrzyckiej pozwala śledzić starania władz miasta o najróżniejsze sprawy bieżące, a także zamieszczane w prasie „recenzje” owych działań. W publikacjach prasowych można dostrzec prawdziwą troskę o porządek, czystość, estetykę i dbałość o pielęgnowanie pamięci. Oto małe fragmenty obszernego cytatu ze „Słowa Polskiego” z sierpnia 1932 r.: *„Zabytki architektoniczne Lwowa nie cieszą się należyłą popularnością. Ogół nie docenia ich wysokich wartości artystycznych, świadczą o tym smutne choćby sztyldy ramowe, szpecące stare miasto (np. Rynek 40)”. Dalej następuje postulat wykonania panoramy*

plastycznej dawnego Lwowa z wyliczeniem kosztów takiego przedsięwzięcia. „Z czasem ten wydatek na trwałe pomnik przeszłości kulturalnej miasta i wypełnienie tej luki. jaką jest propaganda starej kultury lwowskiej, zamortyzowałaby się i rzecz zaczęłaby po pewnym czasie przynosić czysty dochód. Raclawicka Panorama przynosi, co nie każdemu wiadomo, po odliczeniu kosztów konserwacji. 40.000 czystego dochodu rocznie, a zamortyzowała się już dawno. Nikt się jednak prawdopodobnie nie łudzi, że podobne argumenty trafią do przekonania czynnikom decydującym (s.625–626).

Kalendarium ukazuje Lwów nie tylko jako bardzo przyjemne miasto, by użyć określenia Stanisława Wasylewskiego. ale też jako pole różnorodnych, niejednokrotnie bardzo ostrych konfliktów. „Lwów międzywojenny był miastem co najmniej trzech narodowości – polskiej, żydowskiej i ukraińskiej” – przypomina Autorka we „Wstępie”. Wśród mieszkańców można wyróżnić oczywiście więcej grup narodowościowych. Moim zdaniem, w opracowaniu w zbyt małym stopniu uwzględniono Ormian. Relacje między poszczególnymi narodowościami znacząco wpływały na oblicze miasta. Na kartach książki pojawia się Lwów konfliktów polsko-ukraińskich, pogromów (szczególnie w listopadzie 1918 r.) i getta ławkowego, zamachów i podpałów dokonywanych przez Ukraińców, a także antyukraińskich i antyżydowskich wieców (lata trzydzieste). Widoczne jest dążenie Autorki, by ukazać możliwie pełny obraz zdarzeń rozgrywających się w mieście. Dowiadujemy się m.in., że w grudniu 1931 r. „Związek Ukrainek ogłosił bojkot nieukraińskiego handlu i przemysłu” (s.600). a 1 kwietnia 1933 r. „na ul. Hetmańskiej grupa Żydów pobiła ukraińskiego studenta Jarosława Onuferko, który wznosił okrzyki na cześć Adolfa Hitlera” (s.661). *Kalendarium* przynosi też informacje o poważnych rozbieżnościach istniejących wewnątrz poszczególnych narodowości, np. wewnątrzukraińskich. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na ogłoszony 25 lipca 1934 r. list pasterski arcybiskupa Andreja Szeptyckiego „O nadużywaniu nabożeństw do celów świeckich” zakazującego wykorzystywania nabożeństw dla demonstracji politycznych (s.719).

Nie brak też informacji na temat wystąpień o charakterze społecznym (strajki, protesty bezrobotnych) i politycznym (wiece, demonstracje). Wśród tych ostatnich odnotowano akcje od skrajnej prawicy (napaści bojówek) po komunistów (demonstracje, rozrzucanie ulotek, pobicia). Dochodziło nawet do zabójstw, a także do niejednokrotnie brutalnych interwencji policji.

Ale *Kalendarium* zawiera również wzmianki o wydarzeniach świadczących o przewyciężaniu (czy przynajmniej próbach przewyciężania) waśni. Np. w 1921 r. w trakcie obchodów trzeciej rocznicy wybuchu walk

o Lwów. odprawiono w kościele św. Elżbiety nabożeństwo żałobne za poległych w obronie Lwowa. Tego samego dnia, 31 października, odprawiono w synagodze postępowej nabożeństwo żałobne za oficerów i żołnierzy wyznania mojżeszowego poległych w obronie Lwowa i kresów wschodnich (s.140). Zaś 5 sierpnia 1933 r. „w przeddzień święta legionowego i strzeleckiego w katedrze łańcuckiej, kościele ewangelickim i synagodze postępowej odprawiono nabożeństwa żałobne za dusze poległych legionistów” (s.676). Wreszcie dowiadujemy się, że u schyłku okresu międzywojennego, 26 kwietnia 1939 r. „metropolita A. Szeptycki i biskupi grekokatoliccy podpisali wspólnie z episkopatem rzymskokatolickim orędzie do wiernych, wzywając do ofiarności na rzecz obrony kraju” (s.961).

Odnajdujemy na kartach książki Lwów wzniosły, odświętny (m.in. za sprawą informacji o uroczystościach patriotycznych), ale też miasto targanie niepokojami, burdami, ekscesami i skandalami obyczajowymi. Wydarzenia smutne czy wręcz tragiczne przeplatają się z wątkami humorystycznymi albo z szarą (lub barwną) codziennością.

Wiele można się dowiedzieć na temat Lwowa „kulturalnego” zarówno w sensie kultury „wysokiej”, jak i tej zwanej dziś masową. Czytamy o koncertach, premierach, wieczorach autorskich, muzeach i wystawach. A także o filmach. Tych wyświetlanych w „kinoteatrach”, ale nie tylko. Lato 1939 r. obok wyczuwalnej narastającej grozy wydarzeń przynosi m.in. wzmianki o tym, że w mieście kręcono kolejne sceny filmu „Serce batiara” (s.978). Znajdujemy też informacje o audycjach lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia: *Wesołej Niedzieli*, która się przekształciła w słynną *Wesołą Lwowską Falę*. To dobrze, że na kartach opracowania znalazły się postaci Szczepka i Tońcia (Kazimierza Wajdy i Henryka Vogelfangera), gdyż współtworzyli oni charakterystyczny lwowski folklor. Szkoda natomiast, że Autorce umknęła postać Władysław Majewskiej.

Obok działaczy politycznych, wysokich rangą wojskowych i duchownych, uczonych i artystów *Kalendarium* przynosi również wiadomości o osobach ważnych dla Lwowa w zupełnie innym sensie. Przytoczono np. za „Gazeta Poranna” notatkę prasową z marca 1929 r. dotyczącą przez długie lata obecnej w pamięci starych lwowian „ślepej Minci”. Warto ją zacytować w całości: *„Znana doskonale publiczności lwowskiej kolporterka i muzykantka „ślepa Mincia” znalazła się obecnie w kłopotliwym położeniu, mianowicie wskutek mrozu zniszczyła się jej zupełnie jej harmonia, jedyne źródło zarobkowania. Koszta nowej harmonii wynoszą co najmniej 100 zł. Wobec tego rozpisujemy składkę na biedaczkę, która w całej pełni zasługuje na poparcie”* (s.462).

Znajdziemy też w *Kalendarium* kronikę towarzyską i obyczajową: informacje o śmierci i pogrzebach znanych lwowian oraz ogłoszenia

dotyczące adopcji dzieci i matrymonialne. Oto, przykładowo, jedno z nich zamieszczone w lipcu 1923 r. w „Słowie Polskim”: *„Patriotki! Patriotci! Spełnijcie swój obowiązek! Trzydziestotrzech letniemu kawalerowi prawego charakteru, na wyższym stanowisku rządowym pośredniczcie w poznaniu w celu małżeństwa odpowiednich panien lub podajcie ich adresy z udzieleniem ważniejszych informacji”* (s.207). Zwraca uwagę styl owego ogłoszenia nawiązujący zapewne do tekstów ulotek rozpowszechnianych podczas niedawnej wojny. Z tą tylko różnicą, że wówczas od patriotów oczekiwano walki w obronie ojczyzny.

Omawiane opracowanie przynosi sprostowania powtarzających się w różnych publikacjach błędów. A. Biedrzycka przypomina np., że we Lwowie były dwie odrębne (ale sąsiadujące ze sobą) ulice: św. Piotra i św. Pawła. Bardzo często określano je jako jedną: „ul. Św. Piotra i Pawła” (s. X). I inne zagadnienie. Każdy, kto choć trochę zna historię Lwowa wie, że działał tam Uniwersytet Jana Kazimierza. Rzadko jednak pamięta się, kiedy uczelnia otrzymała swoje imię. *Kalendarium* przypomina, iż 8 XI 1919 r. Józef Piłsudski zatwierdził używanie przez Uniwersytet Lwowski urzędowej nazwy „Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie” (s.41). a 23 listopada odbyła się w związku z tym uroczystość (s.43).

Sama Autorka nie ustrzegła się pewnych nieścisłości, błędów i uproszczeń. Znajdujemy też informacje, które wręcz proszą się o dopełnienie. Oto przykład. 15 1 1928 r. odbył się we Lwowie występ słynnego „człowieka-muchy” – Stefana Polińskiego. Akrobata przeszedł po linie nad ul. Akademicką, lecz schodząc spadł z dachu kamienicy, w której mieścił się „pokój do śniadań” Zofii Teliczkowej i ciężko ranny, tego samego wieczora zmarł w szpitalu. Tragedia, która rozegrała się na oczach tłumnie zebranej publiczności, została uwieczniona w piosence lwowskiej ulicy („Przyjechał do Lwowa akrobata-mucha...”). Bez owej pointry historia tragicznej śmierci „człowieka-muchy” wydaje się niepełna.

Do *Kalendarium* wkradło się trochę potknięć związanych z imionami i nazwiskami występujących osób. I tak wiceminister komunikacji miał na imię Aleksander. Natomiast Andrzej Bobkowski (z tej samej rodziny) był pisarzem. Do nazwiska działacza socjalistycznego niepotrzebnie dodano jedno „n”. Poprawna pisownia to: Herman Lieberman. Konsekwencja wymagałaby, by tak jak przy innych osobach, podać w indeksie właściwe nazwisko Mariana Hemara (Hescheles).

Niewielkie błędy czy niekonsekwencje (zauważalne w skądinąd imponującym i bardzo przydatnym indeksie rzeczowo-topograficznym) są bez znaczenia wobec zalet opracowania. Kwestie dyskusyjne, wątpliwości czy pytania nasuwające się przy lekturze mogą okazać się inspirowane do dalszych badań. *Kalendarium Lwowa* ukazuje blaski i cienie

miasta. Obfitość mrocznych aspektów życia nad Pełtwią może zabołec dawnych mieszkańców, a także miłośników legendy Lwowa. Odpowiedzią na ewentualne rozterki i rozczarowania może być sentencja *Leopoliensis sum et nihil leopoliensis a me alienum puto*.

Z kart omawianego opracowania wyłania się Lwów różnorodny, wielobarwny, niejednoznaczny. Niepokojący i fascynujący. Dla badaczy okresu międzywojennego to lektura niezbędna. Dla wszystkich zainteresowanych – przewodnik w poszukiwaniu odpowiedzi na trudne pytania dotyczące naszej przeszłości.

Uważam, że naszym obowiązkiem jest poznanie dziejów Lwowa w możliwie pełnym zakresie, z uwzględnieniem wielu aspektów zagadnień i różnych punktów widzenia. *Kalendarium* Agnieszki Biedrzyckiej niewątpliwie przybliży nas do tego celu.

Aleksandra Julia Leinwand

*) Niniejszy tekst jest nieco zmienioną wersją recenzji opublikowanej w periodyku „Imponderabilia Biuletyn Piłsudczykowski” nr 6, Gdańsk 2013.

KUSTOSZ I SAMOTNIK

Kustosz i samotnik. Tom poświęcony pamięci Romana Aftanazego pod redakcją Adolfa Juzwenki, Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2017, s. 268, archiwalne fotografie.

T*empus fugit...* Mija 13 lat od śmierci Romana Aftanazego. Ta książka pamiątkowa ku czci Kustosza – Ossolińczyka miała być wydana w 10. rocznicę śmierci, w 2014 roku. Ukazuje się jednak roku bieżącym, w którym przypada jubileusz dwusetlecia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Toteż Adolf Juzwenko, dyrektor Zakładu z siedzibą we Wrocławiu, pisze we wstępie: „Przypominamy nią [tą książką] Ossolińczyka, który złotymi głoskami zapisał się w długiej i bogatej historii Zakładu”, w narodowej instytucji we Lwowie, w której – w warunkach okupacji niemieckiej a potem sowieckiej znalazł zatrudnienie. To co, zdawało się być zajęciem chwilowym na czas wojny, stało się – już po powojennej translacji Ossolineum do Wrocławia – zajęciem na lata, aż do chwili przejścia na emeryturę (w 1981 roku). Trafnie przyjęto człon tytułu – „Ossolińczyk”. W nowych powojennych warunkach był mimo wszystko, symbolem ciągłości tradycji, stając się jakby łącznikiem między dawniejszymi lwowskimi czasami a czasami wrocławskimi; uosabiał lwowską atmosferę i kresowe wartości, zwłaszcza w sytuacji, kiedy nieliczne grono dawnych pracowników Ossolineum, przenosząc się do Wrocławia, stopniowo odeszło. I potem pozostał tylko On... W tym jakże honorowym określeniu wyraża się wielkie uznanie dla Kustosza, dla Jego zasług w służbie książki, to znaczy – w służbie narodowej kultury. Tak bowiem trzeba rozumieć Jego działalność we Lwowie w księżnicy ossolińskiej, w tym próby ratowania (wraz z profesorem Mieczysławem Gębarowiczem, ostatnim dyrektorem Ossolineum) choćby części księgozbioru przy podziale zawłaszczzonego wojennego łupu na część polską i część ukraińską, a potem działalność we Wrocławiu, dla odbudowania zasobu bibliotecznego. Z biegiem lat termin „kustosz” stał się określeniem zawodowym, stanowiska w bibliotece, zatem przy wzroście zatrudnienia – kustoszy przybywało. Ale kustosz-ossolińczyk był tylko jeden i nie trzeba wymieniać nazwiska, by było wiadome, o kogo chodzi.

Sygnalizowany tom bardzo różni się od typowych ksiąg jubileuszowych i pamiątkowych, dedykowanych osobistościom akademickim (lub innym). Ilość tych ksiąg w ostatnich kilkunastu latach rośnie niemal lawinowo, i to co dawniej miało być nadzwyczajnym wyróżnieniem dla wielkiego uczonego, teraz pospolituje się, i w polskiej praktyce właściwie nie tyle „uczony”, co każdy samodzielny pracownik naukowy, ma szansę otrzymać swoją księgę, i po temu każda rocznica jest dobra – rozpoczęcia pracy dydaktycznej, uzyskania doktoratu, rocznice urodzin. Można więc rzec, że ten konkretny tom – jest w miarę skromny, korespondując jakoś ze skromnością Kustosza, którą to cechę osobową z mocą uwydatniono w tekstach. Zamiast kilkudziesięciu rozpraw, nieraz przypadkowo dobranych (albo bywa, że i tematycznie niepotrzebnych, uwzględniając istniejące w danej chwili inne opracowania na dany temat, a więc bardzo wtórne, nie wnoszące nic nowego), w tomie zawarto kilka zaledwie opracowań, ale za to ściśle powiązanych z Osobą, jej życiem i dziełem. Zamiast hagiografii, sztucznej czołobitności i uwznioślenia jubilata w szkicach biograficznych, mamy zachowany umiar. Zamiast napuszonej bombastyczności – tutaj na plan pierwszy wybija się prawdziwa serdeczność i jakieś ciepło wobec Ossolińczyka. Czujemy, że jego postać nie jest sztucznie, sytuacyjnie lub układowo wykreowana przez „środowisko”, minęły lata, a o Nim trwa serdeczna pamięć.

W księdze tego typu nie może braknąć szkicu biograficznego, ale jego autora (Maciej Matwijów), bardziej niż nadmiar szczegółów genealogiczno-osobowych interesuje portret psychologiczno-charakterologiczny i rzeczywiste dokonania osoby, która nie była typem akademickiego uczonego, a jednak uzyskała trwałe miejsce w nauce polskiej. W publikowanych tekstach na plan pierwszy wybija się główny temat: niezwykle okoliczności powstawania dzieła życia R. Aftanazego – monumentum, jakim pozostaną już na zawsze „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej” (w granicach do 1772 roku). Teksty księgi mają wspólny mianownik – w rozmaitych sformułowaniach uwydatniają charakter i wiekopomne znaczenie dzieła Kustosza, jego główne przesłanki. Jeśli niemożliwością było uchronienie materialnej substancji polskich pałaców i dworów, znajdujących się na utraconych Kresach, to należało podjąć wysiłek uratowania pamięci o nich – wpleść je w naszą historię, naukę i kulturę (s. 183). Dzieło zawiera więc opisy blisko tysiąca czterystu dworów i pałaców, opatrzone niemal pięcioma tysiącami ilustracji. Głównym kryterium doboru obiektów było szeroko pojęte promieniowanie polskiej kultury szlacheckiej wraz z jej tradycją państwa przedrozbiorowego. Istniejące tam siedziby ziemiańskie, mimo represji władz zaborczych, pozostały najbardziej trwałymi instytucjami

kultywującymi dawną tradycję Rzeczypospolitej szlacheckiej (s. 212). Wczytując się w kolejne tomy, wyobraźnią i emocjami przenosimy się w inną rzeczywistość, co podkreśla Andrzej Baranowski, redaktor pierwszej edycji:” w każdej z siedzib opisanych w pracy R. Aftanazego panowała niepowtarzalna atmosfera polskiego dworu, którą tworzyły: historia, kolejne pokolenia oraz indywidualność poszczególnych rodzin. Do oddania tego klimatu potrzebny był język epicki. Polszczyzna, którą posługiwał się Aftanazy, odeszła wraz ze światem przez Niego utrwaloną. Dotyczy to także materiału ilustracyjnego, pozyskanego przez Autora od byłych ziemian. Często architektura dworu czy pałacu utrwalona na starej fotografii stanowiła jedynie tło dla zaprezentowania kolekcji dzieł sztuki czy scen z uroczystości rodzinnych lub towarzyskich.” I nieczęsto bywa, żeby osoba autora tak ściśle wtopiła się w swe dzieło.

Przypomniano niemal konspiracyjny etap I edycji, zrealizowanej przez Instytut Sztuki PAN w nakładzie 500 egzemplarzy, w super ograniczonej dystrybucji tylko do bibliotek (przyjmijmy, że także w pewnym stopniu dla osób ze środowiska historyków sztuki), w marnej „małej poligrafii” (właściwej dla wielu wydawnictw naukowych w latach 80. ub. wieku), pod enigmatycznym tytułem „Materiały do dziejów rezydencji”, ukrywającym z powodów cenzuralnych zasięg terytorialny dzieła, cenzuralnie słowo-pojęcie „kresy” było jeszcze nie do przyjęcia. Dopiero II wydanie zrealizowane przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich w latach 1991–1997 w 11 okazałych tomach, ze starannie dobraną szatą graficzną, pod bardziej adekwatnym tytułem, było dostępne w księgarskiej dystrybucji, a autorowi przyniosło jakże zasłużone uznanie w kraju i za granicą. Scharakteryzowano zatem recepcję dzieła Aftanazego. (Tu gwoli przypomnienia – w *Roczniku Lwowskim* 2000–2001 opublikowane zostało omówienie „Dziejów rezydencji...” przygotowane przez piszącego teraz te słowa, a co zechciał odnotować M. Matwijów we wspomnianym wyżej szkicu biograficznym). Wątek przygotowywania dzieła przewija się także w kilku listach kierowanych do profesora Mieczysława Gębarowicza (ostatniego dyrektora Ossolineum we Lwowie, który do końca swego życia pozostał w tym mieście), oraz do p. Tadeusza Kukiza. Są to listy z lat 1965–1997 i kolejno – 1993–1996. Listy te (opublikowane w wyborze), zachowane w archiwum M. Gębarowicza (w Ossolineum) i w Archiwum Aftanazego mają duże znaczenie, bowiem Kustosze-Ossolińcy nie pozostawił zapisów pamiętnikarskich (z drobnym wyjątkiem, o czym niżej); listy zaś przynoszą różne szczegóły biograficzne, ale przede wszystkim wzbogacają wiedzę o trudnych okolicznościach powstawania kolejnych tomów wiekopomnego dzieła. Zawarte są też „spostrzeżenia Aftanazego na te

mat dawnego środowiska ziemiańskiego, z którym współpracował przy zbieraniu potrzebnych mu materiałów dokumentacyjnych.” Do członków rodzin ziemiańskich, rozproszonych w kraju i po całym świecie, szły tysiące listów z prośbą o dane dotyczące dawnych ich siedzib, a konieczne do wzbogacenia swego dzieła. Z odpowiedziami bywało różnie. Te, które nadeszły, stały się źródłem refleksji nad stosunkiem dawnych właścicieli dworskich majątków do przeszłości swych rodzin, do utraconych obiektów, nad nową drogą życia w powojennej rzeczywistości czy to w kraju, czy hen w świecie.

Skoro przywołano tu nazwisko: Tadeusz Kukiz (1932–2015), wypada dać kilka słów: lekarz z Niemodlina, kresowy pasjonat, przedmiotem jego pasji były losy maryjnych obrazów przewiezionych do Polski po II wojnie światowej przez Polaków zmuszonych do opuszczenia terenów przyłączonych do republik radzieckich. Zainteresowanie tym tematem zmaterializowało się w cyklu jego książek – 6-ciu tomów „Madonny Kresowe” („Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezji gliwickiej” (1997); „Wołyńskie Madonny i inne obrazy sakralne z diecezji łuckiej”, wyd. Ośrodek „Wołanie z Wołynia” Biały Dunajec 1998; „Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezji opolskiej”, wyd. Waław Bagński, Wrocław 1998; „Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w archidiecezji wrocławskiej i diecezji legnickiej”, wyd. TUM, Wrocław 2003; „Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezjach Polski (poza Śląskiem)”, część I i II, wyd. TUM Wrocław 2008; „Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów w diecezjach Polski” – Supplement, wyd. TUM Wrocław 2008).

W tekstach biograficzno-wspomnieniowych odnajdziemy wiele danych o pracy we wrocławskim Ossolineum, o ludziach tam pracujących, o wewnętrznych „klimatach”, nie zawsze chwalebnych; a w liście do T. Kukiza szczególna wzmianka – o odznaczeniu państwowym, od czego chciał się uchylić, nie zabiegając o jakiegokolwiek splendory, ale to uchylenie się ostatecznie nie było skuteczne, więc pisze: ...„Nic nie pomogło. Wizyta w Belwederze wydaje się konieczna. I nowi wrogowie.” Jakież to polskie, gdzie sukces niezawodnie rodzi zawiść, o czym jest wiele wzmianek w piśmiennictwie, a m.in. obrazowo pisał onegdaj Melchior Wańkowicz: „szewc zazdrościł kanonikowi, że prałatem został”. Do prof. M. Gębarowicza napisze: ...„każda nagroda, każdy wywiad czy odznaczenie to dla mnie nowe kłopoty.”

Serdeczne wspomnienie przedstawił Jan Kolasa, jeden ze stypendystów Biblioteki Ossolineum, pracujący pod kierunkiem Kustosza, a potem pozostający w serdecznej z Nim znajomości; w tych wspomnieniach wzmianki o trybie życia, o samej pracy Aftanazego, i pełniej tłumaczy się drugi człon tytułu – tj. „Samotnik”. Przyjął bowiem Kustosz samotne

życie, podporządkowane wyłącznie pracy w bibliotece – i nad swym życiowym dziełem. W listach sam pisał „urządziłem sobie jako tako moją samotnię i chętnie w niej przebywam, rzadko z domu wychodząc”; autor szkicu dopowiada: „Kustosz Aftanazy był zatwardziałym, bezkompromisowym samotnikiem. Wytwarzał wokół siebie jakąś otoczkę niedostępności i raczej niechętnie dawał się wciągnąć w bliższą znajomość, czy to ze współpracownikami, czy tym bardziej – z osobami spoza pracy. Niejakie ustępstwo czynił wobec lwowiaków i w ogóle Kresowiaków.” Scharakteryzował też ostatni okres życia i pracy, niełatwy wobec postępującej starości, utraty wzroku, utraty sił, odrzucając wszelką pomoc, trwając tylko niezłomnie przy swej pracy, z lupą przy oku (zob. zdjęcie w książce). Pani Ewa Biegun jako córka chrzestna Aftanazego, pisze o Nim bezpretensjonalnie, z perspektywy zaprzyjaźnionej rodziny, wspominając w szczególności malutkie wrocławskie mieszkanko Kustosza przy placu Grunwaldzkim, pięknie, stylowo urządzone, wedle gustu nienowoczesnego, bo po prostu – „był człowiekiem z klasą”, a przejawiała się ona nie tylko dobrych manierach, ale także w smaku artystycznym. „Wspomnienie o przyjacielu” p. Teresy Wawrzyniakowej mówi nie tylko o wspólnym zamieszkiwaniu „kołchozowego” mieszkania poniemieckiego w powojennym Wrocławiu, ale nade wszystko o okolicznościach sporządzania przez swego męża, geografa Stanisława Wawrzyniaka, map do dzieła Aftanazego. Jest to wątek specyficzny, bowiem owe mapy stały się przedmiotem naukowej dyskusji (były kontestowane); a w zakończeniu wspomnień – nastrój ostatnich spotkań, ostatnich rozmów, spojrzenie ku drugiej stronie...

Reminiscencje Jana Dowgiałły – dotyczą sposobu bycia Kustosza, i także wnoszą osobisty ton, uwypuklający Jego cechy osobowe; jest i ton nostalgiczny: „Był jednym z ostatnich żyjących przedstawicieli swego pokolenia i czuł się coraz bardziej osamotniony. Miał głęboko pesymistyczną wizję przyszłości Polski i świata. Wiadomo, że sporej liczbie osób pomagał materialnie. Kogo ta pomoc dotyczyła i na czym polegała, pozostanie jego tajemnicą... Lwów pozostał dla niego miejscem najważniejszym. W jego cennej bibliotece leopolitana stanowiły ponad 30 proc. zbioru. Od kiedy miasto znalazło się poza kordonem, nigdy go nie odwiedził. Nie chciał być pochowany we Wrocławiu. Warszawskie Powązki znajdują się o tyle bliżej Lwowa...”. Andrzej J. Baranowski, redaktor pierwszego wydania, dookreśla: „Nigdy nie przyjechał do Lwowa, ale szukał miejsc, które by to miasto mu jakoś przypominały. Takim był Przemyśl, gdzie mieszkańcy mówią po lwowsku... a kiedy stawał na Kopcu Tatarskim, czasami wydawało Mu się, że widzi panoramę ukochanego miasta. Atmosferę Katedry Łacińskiej wyczuwał nawet w kościele Jezuitów w Legnicy (obecnej katedrze), w której podob-

nie jak w świątyni lwowskiej połączono gotycką architekturę z barokowym wystrojem i wyposażeniem... Góra Słęża, widoczna z okien mieszkania, przypominała Mu widok Wysokiego Zamku nad Lwowem.”

Fragmenty lwowskiego pamiętnika Aftanazego, spisywanego w okresie od stycznia 1945 r. do kwietnia 1946 r. według rękopisu zachowanego w zbiorach Ossolineum, mają dokumentalny charakter. Nie są to bowiem wspomnienia spisywane po latach, w których myślą się często fakty, osoby, zdarzenia, a odtwarzana rzeczywistość jest już często interpretowana w świetle późniejszej wiedzy i nowych doświadczeń życiowych. Zapiski Kustosz sporządza niemal każdego dnia i dlatego też zawierają informacje, których próżno szukać w innych lwowskich wspomnieniach albo też je uzupełniają. Oddają one stan ducha piszącego i lwowskich Polaków, opisują działania Sowietów wobec nich, rejestrują fantastyczne plotki i złudzenia co do sytuacji politycznej, dramatyczne rozterki – rejestrować się na wyjazd ze Lwowa czy też nie, bo może miasto zostanie jednak w polskiej strefie, zwrócimy uwagę na adnotacje o ukraińskiej antysowieckiej partyzantce w lasach, i o objęciu katedry św. Jura przez nowego arcybiskupa (po śmierci metropolity Andrzeja Szeptyckiego), tyle tylko, że jest to już hierarcha „nowy”, tzn. właściwie z wyboru nowych władz, i to arcybiskup już prawosławny, gdy z Cerkwią ukraińską, tzn. grekokatolicką, władza zrobiła porządek jak trzeba; brat metropolity, przełożony wszystkich klasztorów studyckich jest już w więzieniu jak i duchowieństwo grekokatolickie, cerkiew unijna jest już rozgromiona i mamy już wyznaniowy porządek, katolicy już się zwiżają, i jest tylko cerkiew prawosławna pod władzą patriarchatu moskiewskiego, ten przynajmniej od kilkuset lat podporządkowany władzy państwowej, nie robi kłopotów; są noty o rozmaitych zdarzeniach w mieście, zamykaniu ostatnich cerkwi unickich, o postawie religijnej Polaków i ostatnich niszach (przed wyjazdem), ale jeszcze o aresztowaniach, o kazaniu w cerkwi wołoskiej (ale ukierunkowanej na prawosławie) – nt. konstytucji Stalina, o sowietyzacji miasta – przemianowaniu ulic (co dziś nas już nie dziwi, bośmy to przerabiali kilka razy w Polsce, ostatnio pod hasłem dekomunizacji przestrzeni miejskiej). Jeszcze wzmianka o koncercie muzyki polskiej dyrygowanym przez Adama Sołtysa (zob.: Maria Ewa Sołtys, Tylko we Lwowie, Dzieje życia i działalności Mieczysława i Adama Sołtysów, Ossolineum, Wrocław 2008; rzecz o dwóch generacjach lwowskich muzyków, dyrygentów, pedagogów, kompozytorów).

Ostatni opublikowany zapis jest przejmujący: 14.IV.1946 – „...pośzedłem dziś pożegnać Cmentarz Łyczakowski, a osobliwie grób Grottgera i innych naszych wielkich. W słońcu przesiedziałem chwilę na schodach mauzoleum wybudowanego ku czci Orląt Lwowskich.

Myślałem nad przyszłością tego skrawka „Campo Santo”, jeżeli bieg historii pójdzie w dotychczasowym kierunku. Czy tę największą świętość serca lwowskiego po prostu zburzą i zaorają, czy też zostawią w spokoju.” Redaktorka tych zapisków notę tę pozostawiła bez komentarza, bez przypisu nt. dalszych losów tego „świętego miejsca”. Czy słusznie? Może przyjęła milcząco, że wszyscy zainteresowani dobrze wiedzą o późniejszym celowym zniszczeniu „tego skrawka” (cmentarnego), o wieloletnich targach polsko-ukraińskich nt. jego rekonstrukcji i wreszcie o odbudowie i poświęceniu.

Pamiętkowy tom zamyka szkic Jana Dowgiałły „Erazm Sykt, luminarz lwowskiego Renesansu”. Przedstawiony został jeden z najwybitniejszych przedstawicieli lwowskiej elity intelektualnej przełomu XVI i XVII wieku, znany w owym czasie lekarz a także członek najwyższych władz samorządu miejskiego Lwowa, ławnik, dożywotni członek Rady Miejskiej, kurator szpitala św. Ducha, wójt, jeden z burmistrzów. Na niwie naukowej zasłużył się opisem leczniczych wód siarczkowych we wsi Szkło k. Lwowa, które już w owym czasie były podstawą znanego „uzdrowiska”. Postać ciekawa, mało znana, acz wpisana w staropolskie piśmiennictwo medyczne. Szkic jest próbą syntezy dotychczasowej wiedzy o człowieku wielkiej nauki, biegłego w wiedzy medycznej i w filozofii, w służbie publicznej. Może się wydawać, że jest ten tekst jakimś przypadkowym dodatkiem do księgi pamiętkowej. Ale nie – szkic ten powstał dzięki Romanowi Aftanazemu; własny księgozbiór przekazał autorowi tekstu, i dane uzyskane dzięki owym księgom stanowiły podstawę publikacji.

Jednakże trzy niewielkich rozmiarów teksty zostawiłem na koniec niniejszego omówienia. W toku wydawania kolejnych tomów „Materiałów...” czy też „Dziejów rezydencji...” zdarzało się, że historycy sztuki odnajdywali w archiwach jeszcze jakieś materiały dotyczące obiektów opisanych przez Aftanazego. Publikowali te przyczynki. Tak też czyni Stanisław Mossakowski, autor szkicu „Uroź w dawnym województwie ruskim.” W tomie poświęconym obiektom w ziemi przemyskiej województwa ruskiego, R. Aftanazy opisał dzieje majątku i wygląd dworu w Urożu według stanu w latach 30. XX wieku. Profesor S. Mossakowski na podstawie nowych danych uzupełnia dawniejszą historię majątku oraz odtwarza wygląd i wyposażenie pierwotnego, tzn. XVIII-wiecznego dworu sprzed jego pożaru w 1892 roku. Że wspaniały dwór usytuowany na szlaku Sambor-Drohobycz zgorzał, nie dziwota, był drewniany. Na Jego miejscu powstał dwór murowany, opisany przez Aftanazego, który nie miał duszy, trzeba było w nim mieszkać, ale nie można go było kochać, jak jego poprzednika. Widok dworu przed 1939 r. pokazuje archiwalna fotografia, jest w dobrym stanie technicznym. A potem – nic

nowego pod słońcem, znany jest los polskich dworów, tam hen, na wschodzie, na południowym wschodzie, w aspekcie ludzkim i materialnym. Mossakowski kończy swój szkic: „Ten nowy, murowany dwór, w okaleczonym parku, zamieniony na siedzibę rzemieślniczych pracowni kolchozu, przetrwał jeszcze do lat 90. ubiegłego stulecia. Obecnie, jak wynika ze zdjęć satelitarnych opublikowanych w Internecie, nie ma po nim śladu.”. A więc nie tylko Polak potrafi... trzeba zatrzeć ślady, pańskiej Polski, białej Polski, burżuazyjno-nacjonalistycznej Polski jak kto woli, przywołując dawniejsze schematy ideologicznego myślenia i pojmowania polskich zabytków. O autorze tej noty trzeba powiedzieć choćby tyle – to b. dyrektor Instytutu Sztuki Polskiej Akademii Nauk, ten – który podjął ryzyko i trud pierwszej tej na wpół utajnionej edycji dzieła Aftanazego, i doprowadził ją do końca. Podczas uroczystości pogrzebowych na warszawskich Powązkach powiedział znaczące słowa: „iż mało jest ludzi, o których można powiedzieć, jak o Romanie Aftanazym, że dzieła ich wielkie idą za nimi...”. Wypowiedź tę przytoczył w zakończeniu swego szkicu o wielkim autorze wspomniany wyżej Andrzej J. Baranowski, swój tekst tytułując i kończąc słowami „Cześć Jego pamięci”.

I wreszcie wątek niezwykłego znaczenia. Profesor Jan K. Ostrowski, dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, dopełnia dziejowe znaczenie pracy Kustosza. W swym tekście pt. „Materiały” Romana Aftanazego i „Materiały do dziejów sztuki sakralnej” wskazuje na inspirującą rolę, jaką odegrało dzieło Kustosza w podjęciu dalszych badań nad kresowymi zabytkami. Przykład Aftanazego – powiada wybitny historyk sztuki (w tekstach publicystycznych pojawia się czasem określenie „hrabia na Wawelu”, ze względu na rodowód) – zrodził ideę systematycznej inwentaryzacji sztuki sakralnej Kościoła rzymskokatolickiego na Kresach. „Wyszedłem z założenia, że obowiązkiem naszego pokolenia jest dokumentacja polskiej obecności na Kresach, a ta została zaznaczona przez dwa zasadnicze typy zabytków: rezydencje ziemiańskie oraz kościoły katolickie....Plan polegał więc na wykonaniu „kościelnego Aftanazego”.

Różnica jest tylko taka, że swe dzieło Aftanazy tworzył samotniczo przez kilkadziesiąt lat, nie mając wsparcia finansowego, instytucjonalnego, a wykonał pracę za wielki instytut naukowy, w skrajnie trudnych warunkach, przy braku dostępu do archiwów poza granicą, nie mając możliwości przeprowadzenia choćby ogólnego oglądu stanu aktualnego opisywanych obiektów. W przypadku „kościelnego Aftanazego” możliwa była już inwentaryzacja obiektów sakralnych, ich wyposażenia, wykonano wielką kwerendę archiwalną i bibliograficzną, opublikowano zachowane dawne inwentarze, informacje z dawniejszych wizytacji kanonicznych, sporządzono aktualną dokumentację fotograficzną. Przez

wiele lat, kiedy granice Ukrainy zostały już otwarte, ekipy badaczy z Uniwersytetu Jagiellońskiego prowadziły systematyczne badania terenowe, bez względu na stan zachowania zabytków. W efekcie – powstały 23 okazałe tomy: „Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Cz. I. Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego, red. J.K. Ostrowski, Kraków 1993–2015”. (O wyjątkowym tomie tej serii, poświęconym Katedrze Łacińskiej we Lwowie, pisaliśmy w *Roczniku Lwowskim*). Edycję całości zrealizowało Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, pod dyrekcją prof. dr. Jacka Purchli. Tok prac nad tą inwentaryzacją został opisany w innych publikacjach wskazanych w przypisach do tekstu prof. Ostrowskiego i tam odsyłamy zainteresowanego Czytelnika.

Pointując – wskazana została łączność dzieła Romana Aftanazego ze wzmiankowaną serią, a wawelski dyrektor dopowiada: „Nasz inwentarz otrzymał nieco zbyt ogólnie brzmiący tytuł „Materiały do dziejów sztuki sakralnej”, co stanowiło oczywisty ukłon pod adresem naszego wielkiego poprzednika. Podziw dla pracy Aftanazego znalazł odbicie także w wyborze formatu publikacji oraz w topograficznym podziale materiału według województw przedrozbiorowych.” Jest jeszcze jedna godna uwagi wzmianka: w indeksach do inwentarza Roman Aftanazy jest odnotowany ponad 180 razy, „a liczba ta ukazuje wagę jego dzieła dla naszej pracy. Trudno się powstrzymać od uwagi, że z taką liczbą cytowań Roman Aftanazy zająłby wysokie miejsce w naukowych rankingach i uzyskałby mocną pozycję w staraniach o finansowanie badań. Mógłby, ale zapewne by nie chciał. Był przecież prawdziwym uczonym, a nie kolekcjonerem punktów.” Gwoli ścisłości trzeba powiedzieć, że wielotomowy „kościelny Aftanazy” obejmuje jak dotąd wschodnią część dawnego województwa ruskiego, leżącą poza granicami Polski. Równolegle powstaje podobny inwentarz odnoszący się do obiektów sakralnych położonych na terenie d. województwa nowogródzkiego, wileńskiego, trockiego i brzeskolitewskiego. Cóż można powiedzieć więcej? Chyba tylko to – oba dzieła, powiązane wspólną ideą pozostaną na zawsze w dziejach polskiej kultury i nauki.

Wypada wspomnieć o jeszcze jednej dedykacji, zawartej w 6. tomie zbioru artykułów i komunikatów nt. bieżącego stanu badań w odniesieniu do sztuki nowożytnej na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Szósty tom serii wydawniczej *Sztuka Kresów Wschodnich* (6) pod red. Andrzeja Betleja i Piotra Krasnego, wydany w roku 2006 pod egidą Instytutu Historii Sztuki UJ i Koła Naukowego Studentów Historii Sztuki UJ zawiera notę redaktorów: „Ten [tom] chcielibyśmy poświęcić osobie zmarłego w ubiegłym roku Romana Aftanazego (1914–2004), autora *Dziejów rezydencji na dawnych kresach*.... Ta monumentalna praca

stała się dla wielu z nas wzorem i wezwaniem do dalszych badań nad sztuką dawnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej.” Przesianie tej dedykacji stanie się pełniejsze, jeśli uświadomić sobie, że spośród członków owego Koła Naukowego rekrutował się zespół uczestników inwentaryzacji zabytków na terenach Ukrainy, a i teksty opublikowane w poprzednich tomach a także w kolejnym, siódmym tomie, były rezultatem tych jakże ważnych działań naukowych.

Maciej Miśkowiec

ATLAS HISTORYCZNY MIASTA LWOWA

W czerwcu 2014 r. ukazał się drukiem tom Lwów, który zapoczątkował publikację *Atlasu historycznego miast ukraińskich* w ramach serii miejskich atlasów historycznych, wydawanych pod patronatem Międzynarodowej Komisji Historii Miast (Commission Internationale pour l'Histoire des Villes).

Atlas historyczny Lwowa przygotował do druku zespół badaczy pod kierunkiem naukowym Myrona Kaprala. Prace nad jego powstaniem prowadzono w pięciu instytucjach naukowych: Lwowskim Wydziale Instytutu Ukraińskiej Archeografii i Źródłoznawstwa im. M.S. [Kruszewskiego Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, Centrum Naukowo-Badawczym „Ratownicza Służba Archeologiczna” Instytutu Archeologii Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, Centrum Historii Miejskiej Europy Środkowo-Wschodniej, Centralnym Państwowym Archiwum Historycznym Ukrainy we Lwowie oraz w Instytucie Systemów Geoinformacyjnych we Lwowie. Dzieło to imponuje nie tylko bogatym materiałem kartograficznym (25 oryginalnych map wielkoskalowych, 11 autorskich prac kartograficznych ukazujących rekonstrukcje rozwoju przestrzennego miasta) i ikonograficznym (6 widoków miasta), ale także szczegółową częścią tekstową w językach ukraińskim i angielskim, prezentującą dzieje kartografii Lwowa oraz rozwój przestrzenny i urbanistyczny miasta (s.2–74).

Wszystkie wielkoskalowe mapy dawne, których reprodukcje zostały zamieszczone w atlasie Lwowa to dzieła wyjątkowe, źródła kartograficzne o dużej wartości poznawczej, użyteczne w badaniach nad rozwojem przestrzennym i urbanistycznym miasta. Jednakże niektóre z nich zasługują na szczególną uwagę, zwłaszcza te najwcześniejsze, z XVII i XVIII w. Przede wszystkim pierwsza z nich, nie tylko dlatego, że jest to najstarszy z zachowanych planów ogólnych Lwowa, ale również ze względu na osobę autora – inżyniera wojskowego i kartografa Fryderyka Getkanta. Pochodzący z Nadrenii Getkant, pozostający od końca lat dwudziestych lub początku lat trzydziestych XVII w. w służbie polskiej, w latach 1634–1639 opracował dedykowane królowi Władysławowi IV dzieło *Topographica practica* zawierające obok planu Lwowa z 1635 r., wiele innych bezcennych map należących do fundamentalnych prac do dziejów kartografii Rzeczypospolitej. W okresie

drugiej wojny polsko-szwedzkiej (1655–1660), tzw. potopu wolumin *Topographica practica* Szwedzi wywieźli do Sztokholmu, gdzie jest przechowywany do dzisiaj w Archiwum Wojennym (Krigsarkivet). Także autor tego dzieła w okresie „potopu” na krótko przeszedł na stronę szwedzką, po czym jednak już od 1658 r. ponownie pozostawał w wojsku polskim w stopniu pułkownika. Reprodukowany w pierwszym tomie *Atlasu historycznego* miast ukraińskich plan Lwowa autorstwa Getkanta, podobnie jak pozostałe mapy wielkoskalowe miast Rzeczypospolitej umieszczone w *Topographica practica* należy do kartografików fortecznych. Mapę zatytułowaną *Situs Leopolitensis* sporządzono na karcie pergaminowej o wymiarach 62,8 x 44,5 cm, w skali około 1:12 700. Miasto przedstawiono na niej w granicach projektowanych przez Getkanta nowożytnych fortyfikacji. Na mapie tej oznaczono sieć komunikacyjną (drogi, ulice, rynek) i hydrograficzną. Prawie całkowicie autor pominął średniowieczne i renesansowe umocnienia Lwowa, zaznaczając jedynie bramy Krakowską i Halicką oraz furtę „jezuicką”. Nie oznaczono także zabudowy zarówno w granicach murów średniowiecznych, jak i na przedmieściach, które jedynie opisano ich nazwami.

Druga w kolejności chronologicznej z rękopiśmiennych map wielkoskalowych zamieszczonych w atlasie Lwowa także jest przechowywana w zbiorach sztokholmskiego Krigsarkivet. *Plan von der Stadt Leopold oder Lemberg* został sporządzony w 1704 r. przez nieznanego autora na arkuszu papieru o wymiarach 17 x 29,5 cm), w skali około 1:5000. Ukazuje on miasto w granicach lokacyjnych i przylegający do niego klasztor bernardynów, otoczone fortyfikacjami. Ważniejsze budowle miejskie oznaczono symbolami literowymi, które objaśniono w legendzie. Na mapie tej nie przedstawiono Zamku Wysokiego i terytoriów przedmiejskich.

Oprócz mapy wielkoskalowej Lwowa doby wojny północnej w tomie pierwszym *Atlasu* znajdują się reprodukcje pięciu planów ogólnych tego miasta z XVIII wieku. Tylko najstarszy z nich powstał w okresie przynależności Lwowa do Korony Królestwa Polskiego. Cztery pozostałe wykonano już po zajęciu Lwowa przez Austrię w wyniku pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. W 1766 r. geometra i architekt Jean Ignze du Desfilles na zamówienie, powołanej do życia rok wcześniej, lwowskiej Komisji Boni Ordinis (Komisji Dobrego Porządku) dokonał pomiaru miasta, na podstawie którego sporządził wielobarwny rękopiśmienny *Plan de la Ville, des Chateaux et des faubourgs de Leopol*. Mapę tę wykonano na arkuszu papieru o wymiarach 52 x 82 cm, w skali około 1:2500. Zasięgiem obejmuje ona miasto w granicach fortyfikacji i terytoria przedmiejskie. Na mapie oznaczono mury średniowieczne, fortyfikacje nowożytne i przedmieścia. Zabudowę w granicach murów średnio-

wiecznych przedstawiono systemem blokowym, wyróżniając ważniejsze budowle, a zabudowę terytoriów przedmiejskich w sposób zindywidualizowany. Oznaczono fortyfikacje, sieć komunikacyjną (drogi, ulice i place) i hydrograficzną (rzeki, jeziora i stawy) oraz tereny zadrzewione (lasy, ogrody, parki i sady). Najważniejsze obiekty przedstawione na mapie dodatkowo opisano symbolami liczbowymi (od 1 do 79), które objaśniono w legendzie. *Plan de la Ville, des Chateaux et des faubourgs de Leopold* był pierwszą mapą administracyjną, która miała stanowić także podstawę do przeprowadzenia w mieście prac regulacyjnych i porządkowych, m.in. poprawy nawierzchni ulic brukowanych oraz wybrukowania nowych ulic. Obecnie znajduje się w zbiorach Centralnego Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy we Lwowie.

Spośród reprodukowanych w *Atlasie* osiemnastowiecznych austriackich map wielkoskalowych Lwowa, których oryginały są przechowywane w wiedeńskim Archiwum Wojennym (Kriegsarchiv in Wien) dwie zasługują na szczególną uwagę. Pierwszą z nich wyróżnia precyzja rysunku i dokładność przedstawienia obrazu kartograficznego miasta, co z całą pewnością było zasługą jej autora – wybitnego osiemnastowiecznego kartografa austriackiego Josepha Daniela de Hubera. Tytuł mapy *Hauptstadt Lemberg* sugeruje, że należy ona do grupy kartografików administracyjnych, ponieważ podkreśla „stołeczny” charakter Lwowa, który po pierwszym rozbiorze Polski stał się stolicą austriackiej prowincji, Królestwa Galicji i Lodomerii. Mapę tę sporządzono w 1777 r. wielobarwną techniką rękopiśmienną na arkuszu papieru o wymiarach 87 x 139 cm, w skali około 1:4400. Przedstawiono na niej miasto w granicach fortyfikacji i terytorium przedmiejskie, z wyjątkiem obszaru na zachód od murów obronnych. Wykreślono granice działek opisane numerami własnościowymi. Bardzo szczegółowo i dokładnie, w sposób zindywidualizowany, przedstawiono zabudowę zarówno w granicach murów miejskich, jak i przedmieść. Ważniejsze budowle wyróżniono symbolami rysunkowymi ich przekrojów poziomych. Niektóre z nich dodatkowo opisano nazwami (m.in. katedrę, kościół i klasztor karmelitów trzewickowych, kościół trynitarzy, klasztor bernardynów). Kolorami rozróznilo rodzaje zabudowy, stosując kryterium materiału budowlanego. Oznaczono fortyfikacje, sieć komunikacyjną: drogi (niektóre z nich opisano kierunkami), ulice (niektóre z nich opisano nazwami) i place.

Drugą z osiemnastowiecznych austriackich map wielkoskalowych Lwowa wyróżnia kwestia datowania przedstawionego na niej obrazu kartograficznego miasta. Mapę sporządzono w 1780 r., ale według stanu z 1772 r., czyli jak gdyby z opóźnieniem ośmiu lat wykonano plan inwentaryzacyjny miasta w momencie przejścia go przez Austriaków.

Autorem jej jest Franz d'Ertel. a podpisał (zaakceptował, uwierzył) ją Anton von Pinterhoffen. Mapę sporządzono tuszem i akwarelą na arkuszu papieru o wymiarach 61x83,5 cm, w skali około 1:1700. Zasięgiem obejmuje ona miasto w granicach murów miejskich i przedmieście Halickie z częścią zachowanych fortyfikacji nowożytnych. Zabudowę w granicach murów miejskich przedstawiono systemem blokowym, wyróżniając indywidualnie ważniejsze budowle, a na przedmieściu Halickim przedstawiono w sposób zindywidualizowany. Oznaczono fortyfikacje, sieć komunikacyjną (drogi opisane kierunkami, ulice i place) i hydrograficzną (rzeki i stawy) oraz tereny zadrzewione.

Wiek XIX w *Atlasie* reprezentuje dziewięć map wielkoskalowych Lwowa, w tym siedem austriackich, sporządzonych w języku niemieckim i dwie w języku polskim, wykonane w okresie autonomii Galicji. Głównym reprezentantem dziewiętnastowiecznej kartografii w lwowskim tomie Atlasu jest plan katastralny z 1849 r., w skali około 1:2800. *Hauptstadt Lemberg sammt den Vorstadten* został umieszczony, zgodnie z zasadami edytorskimi przyjętymi dla całej serii, jako reprodukcja mapy otwierającej część kartograficzną zeszytu (tomu). Jego autorami są Meissler, Heinrich Rutter, Josef Brauner, Johann Wollmann, Franz Ellinger i Wenzel Jahler. Plan katastralny Lwowa pod względem dokładności obrazu kartograficznego miasta zdecydowanie przewyższa wszystkie wcześniejsze kartografika lwowskie. Został on sporządzony na podstawie bardzo dokładnych i nowoczesnych, jak na czas powstania, pomiarów geodezyjnych. Na mapie tej oznaczono podziały własnościowe, wykreślono granice działek i pól, które opisano numerami hipotecznymi. Zabudowę miasta i jego terytoriów przedmiejskich przedstawiono w sposób zindywidualizowany. Oznaczono sieć hydrograficzną (rzeki i jeziora opisano nazwami) i komunikacyjną (drogi i place opisano nazwami) oraz tereny zadrzewione (wykreślono granice lasów parków, ogrodów i sadów). Plan katastralny Lwowa został opracowany nowoczesnymi metodami i posiada dużą wartość informacyjną i kartometryczną.

Obie dziewiętnastowieczne mapy wielkoskalowe Lwowa wydane w języku polskim w okresie autonomii Galicji zostały wykonane w skali około 1:7200 i ze względu na treść były one przeznaczone do powszechnego użytku. W przypadku *Planu królewskiego stołecznego miasta Lwowa z uwzględnieniem nowych nazw ulic i placów* sporządzonego w 1871 r. jego informacyjny i użytkowy charakter został zapisany już w tytule. Na podkreślenie zasługuje fakt oznaczenia po raz pierwszy na planie Lwowa dwóch linii kolejowych i ich dworców linii Lwowsko-Czerniowieckiej i kolei Ludwika Karola oraz cytadeli. Na wcześniejszej mapie Lwowa z 1855 r. autorstwa Carla Kummerera Rittera von

Kommersberga naniesiono projekt linii kolejowej „z Krakowa do Brodów”, zbudowanej dopiero w 1861 r. (data dotarcia kolei do Lwowa i uroczystego otwarcia w tym mieście pierwszego dworca kolejowego) nazwanej wówczas koleją Ludwika Karola. *Plan królewskiego stołecznego miasta Lwowa z uwzględnieniem nowych nazw ulic i placów* został zaopatrzony w obszerną legendę, w której objaśniono symbole liczbowe, którymi wyróżniono budowle sakralne i budynki siedziby urzędów i instytucji użyteczności publicznej (m.in. ratusza, teatru, sądów, policji, poczty, Galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego, szkół, szpitali, komend wojskowych). Natomiast na mapie wielkoskalowej z 1894 r. autorstwa Józefa Chowańca po raz pierwszy oznaczono linie tramwajowej komunikacji miejskiej we Lwowie z podziałem na „kolej” konną i elektryczną.

Najnowsze dzieje kartografii Lwowa są równie skomplikowane jak zmieniająca się przynależność państwowa tego miasta. Dlatego wśród dziewięciu map wielkoskalowych miasta z tego okresu reprodukowanych w *Atlasie* znajdują się kartografika opracowane i opublikowane w językach ukraińskim, polskim, rosyjskim i niemieckim. Grupę dwudziestu pięciu reprodukcji map zamieszczonych zamyka, zgodnie z założeniami serii atlasów historycznych miast europejskich, współczesna mapa wielkoskalowa Lwowa wydana w Kijowie w 2013 r., w skali 1:10 000. Plan wydrukowany na arkuszu papieru o wymiarach 69x58 cm ukazuje centrum miasta.

W *Atlasie* zamieszczono także reprodukcje 6 widoków Lwowa. Publikowanie w edycji źródeł kartograficznych do dziejów miast europejskich także materiałów ikonograficznych, prawie powszechnie stosowane przez wydawców tej serii, uważam za dyskusyjne. Z całą pewnością urozmaica to poszczególne tomy, pokazując wygląd zabudowy miasta, i zapewne podnosi także ich walor komercyjny. Jednakże należy pamiętać, że mapy wielkoskalowe miast i widoki miast to dwa różne typy źródeł, które są przedmiotem badań różnych dyscyplin naukowych, pierwsze historyków, a drugie głównie historyków sztuki. Najstarszą umieszczoną w *Atlasie* jest panorama Lwowa zamieszczona w tomie szóstym dzieła Geорга Brauna i Franza Hogenberga, *Civitates orbis terrarum*, wydanym w Kolonii w 1618 r., wykonana przez F. Hogenberga lub jego syna Abrahama Hogenberga, na podstawie rysunku autorstwa malarza włoskiego Aurelio Passarottiego. Przedstawiono na niej miasto od strony zachodniej. Panorama ta jest powszechnie znana, ponieważ była wielokrotnie wznawiana i reprodukowana. W *Atlasie* zamieszczono także dwa widoki miasta, które powstały po zajęciu Lwowa przez Austriaków. Autorami obydwu są oficerowie wojsk austriackich, dowodzonych przez generała kawalerii hrabiego Andrasa von Hadika, które

wkroczyły do miasta 19 września 1772 r. Autorem pierwszej z nich jest Rittin d'Otto, a drugiej Francois Perneuer. W tomie nie umieszczono współczesnego widoku miasta „z lotu ptaka” (zdjęcia lotniczego), co czynią czasami autorzy i wydawcy atlasów miast w innych krajach.

Trzecią część atlasu Lwowa stanowi 11 autorskich prac kartograficznych ukazujących: 1) rozwój przestrzenny Lwowa od XIII do początku XXI w., 2) osadnictwo na terytorium Lwowa od przełomu V/V1 w. do pierwszej połowy XIII w., 3) Lwów w okresie książęcym, 4) rozwój przestrzenny Lwowa od XIII do 1772 r. i podziały administracyjne, 5) rozmieszczenie umocnień obronnych Lwowa XIII–XIX w., schemat I, 6) rozmieszczenie umocnień obronnych Lwowa XIII–XVIII w., schemat 2, 7) podziały własnościowe (nieruchomości) w śródmieściu Lwowa 1767 r., 8) przedmieścia Lwowa w pierwszej połowie XVIII w., jurydyki i wolnizny, 9) Lwów w okresie katastru 1849 r., 10) budowle sakralne Lwowa XIII–początek XXI w., II) rozwój sieci kościelnej Lwowa koniec XVIII–początek XXI w.

Opracowanie tekstowe (opublikowane w języku ukraińskim i angielskim) otwiera słowo wstępne autorstwa Międzynarodowej Komisji Historii Miast, profesora Michela Pauly'a, witającego zespół ukraińskich badaczy, którzy dołączyli do grona edytorów źródeł kartograficznych do dziejów miast europejskich. *Wstęp* do tomu *Lwów* przygotował jego redaktor naukowy M. Kapral. Autorzy opracowania przedstawili kompetentnie i interesująco zarys dziejów aglomeracji miejskiej, zwłaszcza procesy osadnicze, rozwój przestrzenny i urbanistyczny miasta. Dokonali także analizy źródłoznawczej zachowanych map i panoram. W 8 rozdziałach kolejno zaprezentowali: Lwów w źródłach kartograficznych od XIV do połowy XX w., osadnictwo na terytorium Lwowa od przełomu V/VI w. do pierwszej połowy XIII w., rozplanowanie Lwowa w okresie przedlokacyjnym, proces lokacji Lwowa na prawie magdeburskim w XIII–XIV w., rozwój miasta w późnym średniowieczu i we wczesny okres nowożytny, fortyfikacje Lwowa w XVII w., rozwój przestrzenny i urbanistykę miasta koniec XVIII–XIX w., rozwój urbanistyczny Lwowa w XX i na początku XXI w.

Lwowski tom *Atlasu historycznego miast ukraińskich* został przygotowany do druku pod redakcją Myrona Kaprała przez zespół badaczy specjalizujących się w różnych dziedzinach dziejów miast i dziejów kartografii i geografii historycznej, w skład którego weszli obok redaktora naukowego tomu: Marianna Dolynska, Jurij Dyba, Taras Hrynczyszyn, Ulana Iwanoczko, Ulana Kyszałowycz, Jurij Łukomskij, Igor Okonczenko, Olga Okonczenko, Wołodymyr Petehyrycz, Bohdan Posackij, Andrij Feloniuk, Stepan Jamelynec.

Przygotowana przez nich praca posiada duże walory poznawcze. Zestaw map wielkoskalowych, których reprodukcje zostały w niej

zamieszczone imponuje nie tylko liczbą, ale przede wszystkim trafnością doboru pod kątem ich wartości jako źródeł historycznych. Opracowanie źródłoznawcze prezentowanych kartografików jest szczegółowe i kompetentne. Na podkreślenie zasługuje także wysoka jakość opublikowanych reprodukcji. Czytelnik otrzymuje ogromny zasób wiedzy z zakresu dziejów Lwowa, zwłaszcza ustroju miasta oraz jego rozwoju przestrzennego, urbanistycznego i architektonicznego. Autorzy atlasu Lwowa w kompetentny sposób zaprezentowali kartograficzną bazę źródłową do dziejów miasta oraz stan badań dotyczący rozwoju lwowskiej aglomeracji. Praca ich będzie stanowić cenną pomoc dla historyków, historyków sztuki, urbanistów, architektów, konserwatorów zabytków, geodetów i kartografów. Należy mieć nadzieję, że zostanie też wykorzystana dla celów dydaktycznych w szkołach wyższych.

Henryk Bartoszewicz

Bogdan Stanisław Kasprowicz, *Lwów zawsze i wszędzie*, Kraków 2011, Małe Wydawnictwo, s. 107.

Tytuł – czwartego już – tomiku Bogdana St. Kasprowicza wskazuje to, co w całej jego poezji, ale i w zróżnicowanej działalności społecznika jest najważniejsze: *Lwów zawsze i wszędzie*. Bo *Hanys/urodzony w Katowicach* czuje się dziedzicem bogatej, wielonarodowej tradycji i kultury stolicy Kresów, kocha ją, popularyzuje, a co najważniejsze – żyje nią na co dzień. Jest zatem poetą lwowskim, bo jak twierdzi ks. Józef Tischner, nie miejsce urodzenia i zamieszkania, w ogóle nie dane geograficzne, ale typ kultury, styl życia i obyczaj stanowią wyznaczniki przynależności do regionu.

Czysto zewnętrznym, ale ważnym sygnałem wszechobecności Lwowa w sferze myśli i wyobraźni poety jest szata graficzna tomiku. Poczynając od okładki, przedstawiającej lwowski tramwaj jeżdzący na Łyczaków, przez liczne reprodukcje pięknych i unikalnych – bo pochodzących z prywatnych zbiorów Autora i Jego Żony – grafik, obrazów i fotografii związanych z tym magicznym miejscem. Deklarowana w tytule więź znajduje potwierdzenie i uzupełnienie w praktycznych decyzjach kolekcjonera i konesera sztuki.

Wiersze poprzedzone są krótkim wstępem ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, ciepło i bardzo osobiście prezentującym postać poety o ormiańskim rodowodzie i wskazującym rodzinne związki B. Kasprowicza z tradycją patriotyczną i artystyczną Lwowa. Widoczne są one także w poezji, w której aktualne przeżycia i zdarzenia przenikają się ze wspomnieniami utrwalonymi w sagach rodzinnych oraz w historii i kulturze polskiej, a osobiste doświadczenia bohaterów stanowią ilustracje procesów dziejowych.

Tomik składający się z 3 części: *Krajobrazy, Ludzie i Myśli* jest rodzajem pamiętnika artysty, utrwalającego wrażenia i refleksje wywołane konkretnymi zdarzeniami, najczęściej – spotkaniami z ludźmi. Mają one zróżnicowany charakter i przebieg – od jednorazowych i przypadkowych kontaktów w podróży po biesiady w gronie rodziny i bliskich przyjaciół lub chwile poświęcone wieloletniej, a ciągle będącej przedmiotem fascynacji towarzysze życia,

Grażynie. Wszystkie są dla poety ważne, każde spotkanie czy rozmowa zasługuje na utrwalenie, dlatego tak wiele utworów dedykowanych jest konkretnym postaciom i przywołuje rzeczywiste zdarzenia. Nawet w wierszach umieszczonych wśród krajobrazów tematami nie są same opisy miejsc, ale wspomnienia i charakterystyki związanych z nimi osób oraz doznania i skojarzenia poety. Bo w poezji Kasprowicza znajdują wyraz cechy przypisywane idealizowanej przez niego kulturze Lwowa: otwartość na drugiego człowieka, łatwość nawiązywania kontaktów, zdolność budowania wspólnoty łączącej różnorodne nacje i typy kultury.

A relacje poety są tak mocno nacechowane jego osobowością, światopoglądem i kulturą literacką, że samo wydarzenie wydaje się często pretekstem (np. w wierszu *Włóczęga* spotkanie z rodakami, którego ślad występuje tylko w dedykacji) – albo jest tak powszechnie znane, że nie potrzebuje opisanie (*Bijcie dzwony*).

Nie znaczy to jednak, że poeta rezygnuje z opisowości – ale z nielicznymi wyjątkami ogranicza ją do przedstawienia tego, co dla niego najważniejsze i zarazem najbardziej osobiste: do pokazania świata, który w wielu przypadkach już nie istnieje materialnie, ale trwa w sercach, pamięci i postawach ludzi pochodzących z Kresów i nie pogodzonych z obecną rzeczywistością, do portretowania reliktyw dawnego Lwowa w postaci tramwajarza jeżdżącego kiedyś uwidocznioną na okładce tomiku lwowską jedynką lub Janusza Wasylkowskiego, kosztem wielu wyrzeczeń przygotowującego encyklopedię Lwowa, do opisanie niepowtarzalnej atmosfery rodzinnych i towarzyskich spotkań z ludźmi, którzy kultywują obyczaje przywiezione z kresowych dworów.

W wierszach Kasprowicza, tak jak na wspomnianym w jednym z nich plakacie Walerego Bortiakowa

*z mgły marzeń i snów
w bytomskim domu
wstaje Lwów*

Poezja Kasprowicza ma charakter kameeralny. Wynika on nie tyle z ograniczenia tematów poprzez wyraźne wskazanie w tytule centrum poetyckiego świata, ile z przyjęcia właściwej dla tego typu liryki postawy

opisowo-komentującej. Poeta nie pretenduje do roli wieszczka czy rewelatora prawd uniwersalnych poprzestając na podtrzymywaniu pamięci o polskości Lwowa, wielkości i barwności jego kultury oraz o ludziach, którzy współtworzyli lub w jakiś sposób popularyzowali mit Stolicy Kresów. Ambicją poety jest dzielenie się swoją fascynacją, która w lwowskich sercach zapewnia mu miejsce obok największych – obok narodowych wieszczów.

Także w nielicznych wierszach poświęconych współczesnym wydarzeniom o historycznym dla Polski znaczeniu Bogdan Kasproicz przedstawia wyraziste oceny i emocje, ale nie staje się trybunem mniej lub bardziej określonej zbiorowości ani nie posługuje się językiem ideologii czy polityki. Swój żal i oburzenie z powodu odchodzenia od ideałów Solidarności wyraża opisując sposób świętowania rocznicy porozumień sierpniowych i podkreślając kontrast między formą obchodów, wulgarnością transmitowanego przez telewizję koncertu, a rangą i charakterem upamiętnianych wydarzeń (*31 sierpnia 2010*). W formie osobistej, modlitewnej skargi przedstawia i komentuje usunięcie krzyża upamiętniającego ofiary katastrofy smoleńskiej w Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Nawiązuje w tych wierszach do funkcji, wyrastającej z etosu rycerskiego, wielkiej polskiej poezji, broniącej słabszych i potępiającej przemoc, a nawet posługuje się frazami powszechnie znanych wierszy Herberta i Miłosa, co potęguje ekspresję wypowiedzi i pozwala unikać patosu. Obniżeniu tonacji, ale także poszerzeniu skali emocji służy też włączanie w materię wierszy wyrażen potocznych lub tekstów popularnych piosenek (np. w *Mgle* powtarzanie pierwszych słów refronu przedwojennego szlagieru *Już nigdy...*).

W posługującej się swobodną, zbliżoną do potocznej polszczyzną i konstrukcją wypowiedzi poezji B. Kasproicza pobrzmiewają i budują warstwę ukrytych sensów odwołania do poezji licznych poprzedników: Pola, Lenartowicza, Słowackiego, Leśmiana, Norwida... Wtopione w tekst własnej wypowiedzi stanowią integralną jej część, a jednocześnie tworzą jeszcze jedną warstwę wspólnoty między autorem, a czytelnikami jego wierszy. Bo niezależnie od skromności autora (*Żaden tam ze mnie/wielki jest*

poeta/ i nikt zapewne/ nie nazwie mnie wieszczem) i prostoty używanych przez niego środków wyrazu wiersze Kasproicza wydobywające nastrój i wartość ulotnego przeżycia mają siłę wzruszania i pobudzają wyobraźnię czytelników, a zatem jest w nich poezja. I to chyba wystarczy, bo dosyć jest skal i rankingów w innych dziedzinach życia.

Jadwiga Zacharska

Józef Wittlin, Philippe Sands, *City of Lions: My Lwów/My Lviv*, London 2017, ss. 158.

Chyba każdy miłośnik Lwowa, jego dziejów i literatury o Lwowie przyzna, że tak jak w poezji o Lwowie prym wiedzie Marian Hemar a tuż za nim Henryk Zbierzchowski i Emanuel Schlechter, tak w prozie o Lwowie chyba najpiękniejsza jest krótka opowieść o Lwowie Józefa Wittlina... oczywiście nie ujmując nic tomom Witolda Szolgini czy znakomitej opowieści o Lwowie Stanisława Wasylewskiego, rzecz oczywiście o popularnej prozie, a nie rozprawach naukowych, czy popularno-naukowych.

Jak sercem pisać o Lwowie, dodajmy o tamtym wielokulturowym Lwowie, z pewnością wylewa się najpiękniej z kart wielkiej książeczki Wittlina pt. *Mój Lwów*, która opublikowana została w 1946 r. w Nowym Jorku. A pisał tak:

„Mój Lwów! Mój, chociaż wcale się tam nie urodziłem. Z dokładnych obliczeń wynika, że wszystkiego spędziłem we Lwowie osiemnaście lat. Nie tak wiele, jak na człowieka, który słusznie czy niesłusznie uchodzi za lwowianina i sam się tym chlubi. Co prawda były to lata chłopięce i lata pierwszej młodości, a więc decydujące o całym późniejszym życiu. I zapewne gdyby nie tzw. wielka wojna, jakże malutka w porównaniu z ostatnią, po dziś dzień siedziałbym sobie na Wałach Hetmańskich lub na Wałach Gubernatorskich jako jeszcze jeden centus, jeszcze jeden emeryt któregoś c.k. gimnazjum z językiem wykładowym – polskim. Grzecznie by mi się kłaniali siwi i łysi panowie, których niegdyś za karę stawiałem do kąta; lecz dawnym moim uczennicom kłaniałbym się pierwszy, a nawet niekiedy całowałbym ręce tych poważnych matron.

Albo karmiłbym preclami (z solą zakrzepłą na chrupkiej glazurze) nie istniejące już rybki w od dawna osuszonym malarycznym stawku na dole parku Kilińskiego. Nawet lwowscy szewcy nigdy tego parku tak nie nazywali, gdyż jest to po prostu – park Stryjski. Albo spacerowałbym sobie każdego rana na czczo, z gołą głową, w słotę i w skwar, zimą i latem – po alejach Wysokiego Zamku, nad fantastycznie zadrzewionymi przepaściami, jako rzeczywisty członek Klubu Idiotów”. (...)

Dostrzegł piękno narracji Wittlina wybitny prawnik angielski, jeden z najwybitniejszych w świecie znawców międzynarodowego prawa karnego Philippe Sands, wydając przed kilkoma miesiącami angielską wersję opowieści Wittlina a wydanie uzupełnił swoją reporterską relacją z kilku pobytów we Lwowie. Były one związane z przygotowaniem ostatniej książki, która dziś stała się jednym z hitów angielskiego rynku księgarskiego. *Rzecz o East West Street*, nieszablonowej opowieści o najcięższych zbrodniach międzynarodowego prawa karnego... a przy tym o Lwowie. Tak, tak, bo Lwów łączył autora koncepcji „zbrodnia przeciwko ludzkości” Herscha Lauterpachta oraz autora pojęcia „genocyd – ludobójstwo” Rafała Lemkina. Obaj studiowali na polskim Uniwersytecie Lwowskim, na jego znakomitym Wydziale Prawa, zdobywając szlify pod okiem wybitnych polskich jurystów. Ten też Lwów był miastem dziadka Philippe’a Sandsa – Leona.

Prezentowana książka to angielskie tłumaczenie opowieści Józefa Wittlina dokonane przez Antonię Lloyd-Jones (jako *My Lwów*, s. 13–94) oraz reportaż-opowieść o Lwowie (*My Lviv*, s. 95–156) napisana w 2016 r... będąca efektem doświadczenia Lwowa z lat 2010–2016, oraz poznawania jego dziejów i dziejów swojej rodziny oraz wspomnianych Lemkina, Lauterpachta a także okresu okupacji niemieckiej.

Choć inspiracją dla Sandsa był Wittlin, to opowieść jego jest tylko troszeczkę naśladownictwem... stylistyki narracji. Sands opowieść o swoim Lwowie (Lvivie, bo poznał miasto współczesne) poprzedził cytatem z pięknej wiersza Adama Zagajewskiego dedykowanego jego rodzicom – *Jechać do Lwowa (To go to Lwów)*. Oto ów cytat w języku polskim:

„...jechać bez tchu. jechać do Lwowa, przecież

istnieje, spokojny i czysty jak brzoskwinia. Lwów jest wszędzie.”

Sands przyznaje, że przez kilka lat, które poświęcił na napisanie bestsellerowej książki *East West Street: On the Origins of Genocide and Crimes Against Humanity* (Londyn 2016). Lwów był dla niego wszędzie... Ogarnęło go to miasto... pochłonęło.

Sands zauważa, że miasto, które poznał nie jest tym samym, które opisywał Wittlin... W tamtym żyły i kwitły różne kultury, narody, w tym dominuje kolor niebiesko-żółty. Właściwie nie ma wielu Polaków, nie ma Żydów, nie ma Ormian... Pozostały jednak ślady przeszłości... budynki, ulice, parki... ławeczka w Parku Franki (dawnej Kościuszki). Na takiej siadał Wittlin... Z tej ławeczki snuje opowieść o tym (jaką Lwów a przez to i Polska, odegrały rolę w historii jego rodziny a także w budowaniu fundamentów współczesnego międzynarodowego prawa karnego. Szuka odpowiedzi na pytanie, czy istnieje, a może istniało coś, co sprawiło, że z tym miastem łączą się biografie jego dziadka, Lauterpachta i Lemkina... Przemierza ulice... szuka cieni przeszłości. Spaceruje wśród tych samych budowli, tymi samymi ulicami, którymi przed niemal stu laty chodzili Oni. Pije kawę w kawiarni, która była kawiarnią wtedy, choć inaczej się nazywała. Zauważa ślady przeszłości, ale i współczesność – np. polskości wokół łacińskiej Archikatedry Lwowskiej z popiersiem papieża Polaka Jana Pawła II.

Sands relacjonuje swoje spacerowanie, spotkania, poszukiwania źródeł w archiwum obwodowym. Dzieli się swoimi przemyśleniami. Niektóre z nich wywołują pewne wątpliwości i chęć polemiki, szczególnie w warstwie faktografii historycznej i przywiązywania zbyt dużej wagi do roli we Lwowie Cesarstwa Austro-Węgierskiego w przeddzień I wojny światowej, kiedy to od kilkudziesięciu lat kraj był niemal niezależny (kulturowo, naukowo, administracyjnie), a językiem nie był język niemiecki, ale język polski – z pewnymi prerogatywami dla języka ruskiego (ukraińskiego). Sands stawia wyraźne granice w dziejach Lwowa, austriackiego, polskiego, ukraińskiego, co w przypadku przejścia od autonomii galicyjskiej do II Rzeczypospolitej nie miało miejsca. Nie zmieniły się nazwy ulic, język administracji i sadownictwa, język nauczania (potem stopniowo ograniczano w szkol-

nietwie wyższym język ukraiński). Inaczej było w 1939 r. czy w r. 1941, kiedy granice były wyraźne – Sowietci wszak w ciągu kilku miesięcy zmienili prawo, język urzędowy, walutę, nazwy ulic... Podobnie robili Niemcy w 1941. W 1918–1919 r. tego nie było – prawo nadal obowiązywało, administracja ewoluowała, nie zmieniano szkół etc.

Polskiego czytelnika może zaskakiwać, jak dużą wiedzę posiadał o tamtym Lwowie angielski adwokat i profesor. W plejadzie cytowanych i opisywanych postaci są nie tylko Wittlin, Zagajewski, ale i nieco zapomniani dziś gigant lwowskiego życia kulturalnego Ostap Ortwin. Opisuje epizody z wojennego Lwowa (okupacji niemieckiej), wystąpienie gubernatora Hansa Franka w gmachu uniwersytetu, śmierć polskiego uczonego w Obozie Janowskim, Maurycego Allerhanda (wyglądała ona nieco inaczej, o czym pisano wielokrotnie).

Informacje, które zaczerpnął Sands od rozmówców lwowskich, wykładawców dzisiejszego Uniwersytetu Lwowskiego czasami są nieprawdziwe, np. te o Juliuszu Makarewiczu. Niestety wprowadziły one zamęt i przyczyniły się do niektórych wadliwych wniosków (bardziej zresztą we wspomnianej książce *East West Street niż w My Lviv*).

Znaczna część relacji Sandsa dotyczy Holocaustu. Niezwykle ciekawy jest opis wizyty we Lwowie z synami dwóch zbrodniarzy, w czasie okupacji niemieckiej panów życia i śmierci – Niklasa Franka, syna Hansa Franka Generalnego Gubernatora oraz Horsta Wachtera, syna Otto von Wachtera, gubernatora Dystryktu Galicja. Owa wizyta została także przedstawiona w filmie powstałym wg pomysłu Sandsa – *What Our Fathers Did: A Nazi Legacy* w reżyserii Davida Evansa, mającym premierę w 2015 r.

Nie zdradzając więcej pozostaje mi zachęcić do sięgnięcia do tej wydanej w Pushkin Press książce, mając nadzieję na opublikowanie jej także w języku polskim.

Adam Redzik

Spotkanie. Drzeworyty ludowe z kolekcji Józefa Gwalberta Pawlikowskiego zachowanej we Lwowie; Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli w Krakowie, Kraków 2014, s. 397, praca zbiorowa pod redakcją Beaty Skoczeń-Marchewki

Okazały, pięknie, z wielką starannością wydany album-katalog ukazuje po raz pierwszy w całości wielki skarb – znakomitą kolekcję ludowych drzeworytów zebranych w XIX w. przez Józefa Gwalberta Pawlikowskiego z Medyki. Kolekcja ta wśród dramatycznych dziejów nie tylko lwowskich zbiorów Pawlikowskich, ale w ogóle – innych zbiorów i bibliotek lwowskich podczas II wojny światowej i po niej – nie tylko zachowała się w całości, ale też została niedawno odkryta. Przez blisko 70 lat. nie było wiadome, czy ten zbiór w ogóle istnieje, a jeśli – to gdzie. Ta niepewność nie zaskakuje, jeśli zna się choćby ogólnie skomplikowane i dramatyczne losy lwowskich przedwojennych kolekcji artystycznych, zbiorów bibliotecznych i archiwalnych. Są one obecnie nieco lepiej znane, a bardziej szczegółowo o tych losach (w tym o kolekcjach Pawlikowskich) pisze w albumie-katalogu autorka ze Lwowa, Łarysa Kupeczynska: „Kolekcja dzieł sztuki Biblioteki Pawlikowskich w zbiorach Lwowskiej Narodowej Naukowej Biblioteki Ukrainy im. W. Stefanyka. Historia i stan badań”, w katalogu s. 78–95.

Tekst to na swój sposób przejmujący, zasługuje na uwagę, ale też budzi uznanie dla piszącej: losy te opisała rzeczowo, ale także bez przemilczeń, nie unikając „niewygodnych” z niektórych punktów widzenia polityczno-sytuacyjnych okoliczności; nie uciekła w enigmatyczne wzmianki, w ogólniki, które by zaciemniały faktyczny obraz niegdysiejszego stanu rzeczy dotyczącego „porządkowania” lwowskich zbiorów. Chcemy mieć nadzieję, że jest to czas już przewyciężony co do sposobu podejścia do dawnych polskich muzealiów, zbiorów wszelkiego rodzaju, dziś już bardziej dostępnych dla polskich badaczy, co przecież nie tak dawno jeszcze nie było tak oczywiste. Trzeba też wyrazić uznanie autorce za to, iż w swym opracowaniu wymienia wielu polskich pracowników muzealnych (bibliotecznych), ratujących polskie zbiory na tyle, na ile to w danych okolicznościach zmiennych oku-

pacji Lwowa było możliwe. Wśród tych wspomnianych jaśniej osoba Profesora Mieczysława Gębarowicza, znakomitego historyka, historyka sztuki, lwowskiego profesora. Podejmując wielorako trudną decyzję pozostania po wojnie we Lwowie, wybrał los, który boleśnie Go dotknął wśród polityczno-ideologicznej zaciekłości (minionego czasu). Pozostał nieugięty na swym patriotyczno-naukowym posterunku, do końca swych dni spełniając powinności wedle dawnego etosu uczonych. Po latach upokorzeń, deprecjacji wśród niesprzyjającego Mu otoczenia, naukowo niedoceniany, życzliwa wzmianka zasługuje na dostrzeżenie i przychylne przyjęcie, na docenienie jak rozumiemy – dobrej intencji autorki.

Jak sądzę, to niezdarkowe uznanie trzeba usytuować w szerszym kontekście. Nie mając możliwości publikowania swych prac w kraju pobytu, oskarżany o nacjonalizm i inne polityczne herezje, przy pomocy polskich uczonych, znających wartość nowych dzieł, publikował je przemycane przez przyjaciół do Polski (nieoceniona pomoc toruńskiego środowiska naukowego, w tym zwłaszcza prof. Jadwigi Puciaty-Pawłowskiej); fakt ten narażał polskiego uczonego na dodatkowe zgrzyoty. A kiedy dedykowano Mu w wydaniach warszawskich dwie księgi pamiątkowe – zarówno w dedykacjach jak i we wstępie nie ma żadnej, ale to żadnej wzmianki o „lwowskim rodowodzie” Wielkiego Uczonego; staramy się rozumieć, że cenzuralny zapis na hasło Lwów to jedna sprawa; ale druga – owa swoista powściągliwość rodziła się zapewne z troski, aby tym przypomnieniem nie dostarczyć powodów do dalszych kłopotów i „nieprzyjemności”. Ale oto w papierach Profesora niedawno odnaleziono wielkie dzieło pisane do „szuflady” – „Najstarszy ikonostas Cerkwi Wołoskiej we Lwowie”; wydało je wrocławskie Ossolineum w ub. roku. Dzieło to nie miało żadnych szans na druk na Ukrainie lub w Rosji, szanse druku w Polsce też były nikłe. A jego znaczenie? Redaktor opracowania edycji pisze: „...Nieznajomość książki Gębarowicza co najmniej o kilkadziesiąt lat opóźniła badania nad jednym z najlepszych dzieł ruskiego malarstwa i snycerstwa.” Dzieło to wymaga odrębnego omówienia, zatem po tym przypomnieniu wracamy do lwowskich drzeworytów..

Wobec opublikowania tekstu o losach kolekcji, nie ma potrzeby tutaj streszczania

dramatycznych dziejów lwowskich skarbow... Sygnalizowany zbiór ocalał, został zaś niedawno odkryty przez kustoszy krakowskiego Muzeum Etnograficznego w 2012 roku, we współpracy z Lwowską Narodową Naukową Biblioteką Ukrainy im. Wasyła Stefanyka. Jak wiadomo, po wojnie przejęła ona zbiory dawnego lwowskiego Ossolineum i kolekcje innych dzieł. Odnalezienie zbioru J.G. Pawlikowskiego było rezultatem poszukiwania przez krakowskie Muzeum rozproszonych w wyniku wojennych sytuacji zbiorów ludowych drzeworytów, które stały się rzadkością w zbiorach publicznych i prywatnych, szukając tropów zarówno w kraju jak i na sąsiednich państwach obszarach. Owe popularne niegdyś „święte obrazki” wykonane techniką drzeworytu, drukowane (odciśnięte z drewnianych klocków-matryc) na nietrwałym papierze, wędrowały do wiejskich izb, do kościołów, cerkwi i przydrożnych kapliczek, nabywane na jarmarkach lub od wędrownych kramarzy, nieraz jako pamiątka pielgrzymki do sanktuariów, ulegały z biegiem czasu różnym procesom zniszczenia. Wypierane potem przez innego rodzaju „święte wizerunki” – litografie i oleodruki, zwłaszcza masowo produkowane na przełomie XIX/XX wieku, zastępując „prawdziwe obrazy”, nie były doceniane jako przejaw ludowej twórczości artystycznej. Ich pozorną prostotą wykonania lub nieporadność formy kłóciła się z akademickimi kryteriami sztuki. Nie postrzegano więc tych obrazków w kategoriach artystycznych jako odrębnego rodzaju „arte faktów” (wedle dzisiejszych określeń), nie doceniano ich wartości i znaczenia. W takim podejściu do wytworów autentycznej sztuki ludowej znaczący wyłom zrobił J.G. Pawlikowski – kierowany niezawodną intuicją artystyczną podjął trud zbierania dzieł ludowych drzeworytników.

Album-katalog przedstawia cały zachowany zbiór, dotąd w całości nigdy nie publikowany. Kolekcję tworzą odbitki z klocków XVIII- i XIX-wiecznych z wielu warsztatów ludowych z terenów należących obecnie do terytorium Polski, Ukrainy, Czech i Litwy. Pewna ich część pochodzi z miejscowości będących w XVIII i XIX w. ośrodkami kultury, jak Przrów, Leżajsk, Gidle, Częstochowa, Lublin, Rzeszów, Góra Św. Anny, Radezczyca, Kobyłanka, Kalwaria Zebrzydowska, w sumie pochodzą one z terenów zaboru rosyjskiego, pruskiego, ze Śląska i Galicji,

z warsztatów przyklasztownych, wytwarzających „święte obrazki” dla pielgrzymów.

Jednym z problemów istotnych dla opracowania zbioru jest datowanie grafik. Wiadomo, że, ludowe drzeworyty trafiły do kolekcji od lat 30. XIX w., zaś J.G. Pawlikowski zmarł w 1852 roku, zatem kolekcja powstawała w podanym przedziale czasu. Tylko nieliczne drzeworyty są datowane, najstarszy klocek pochodzi z 1729 roku, najnowsza odbitka z 1833 roku. Oba wizerunki (Droga Krzyżowa i Św. Anna Samotrzecia) są ukazane na str. 151 i 109. Na ogół nie są sygnowane nazwiskiem autora, bardzo nieliczne opatrzone są monogramem twórcy. Odbitki opatrzone są nieudolnymi zazwyczaj podpisami scen (wizerunków), zdradzającą małą umiejętność pisania, z błędami pisowni; dziś nam to nie przeszkadza w odbiorze dzieł, a ta nieudolność jest jednym ze znamion oryginalności, autentyczności obiektu.

Kolekcja gromadzi dzieła o tematyce religijnej, a ich pierwowzorem są często cudowne wizerunki czczone w sanktuariach, jednak w stosunku do możliwego źródła – znacznie uproszczone, decydował o tym poziom możliwości wykonawczych. Wartość zebranych grafik polega m. in. na tym, że reprezentują często ikonografię niespotykaną w innych zbiorach. Spełniały nie tylko rolę kultową, czasem też magiczną, strzegąc wedle ówczesnych przekonań – przed rozmaitym złem, złymi mocami, nieszczęściami (morowe powietrze – czyli choroby zakaźne). Upowszechniały wiedzę na temat świętych patronów lub cudownych wydarzeń (w aspekcie religijnym). I aczkolwiek według zasad kanonicznych kult miał być oddawany osobom przedstawianym na wizerunkach, to jednak w praktyce ludowej pobożności – same przedstawienia graficzne (święte obrazki) stawały się obiektem czci, nabierając szczególnej mocy.

Publikacja spełnia ważny cel, uwydatniony przez Autorów: „Przywracamy pamięć o postaciach kształtujących kolekcję oraz o przedmiotach, które także w XXI wieku mogą zachwycać i inspirować, a zarazem wnieść nową wiedzę na temat wrażliwości religijnej i mentalności ludzi, którzy je wykonywali i użytkowali.” Wielkiej miary jest zasługa J.G. Pawlikowskiego tworzącego swą kolekcję, odkrywającego też wielki walor artystyczny tych „obrazków”. Pasja

medycznego zbieracza niezwyklej klasy była w swoim czasie bardzo znana. Wspomagali Go w tym dziele zatem inni pasjonaci – artyści, bibliotekarze, zbieracze. W edycji przypomniano ich postaci, a ich korespondencja z Pawlikowskim jest pomocna w odtworzeniu dziejów powstawania zbioru. Najpóźniejsza wzmianka o „zdobytym” eksponacie pochodzi z grudnia 1851 r., dwa miesiące potem Pawlikowski zmarł. Kolekcja została przeniesiona do Lwowa z Medyki, gniazda rodowego Pawlikowskich (po którym obecnie nie ma śladu, opis posiadłości – dworu znajdziemy tylko w piśmiennictwie naukowym, w szczególności zob.: Maria Trojanowska, Aniela i Michał Pawlikowscy w Medyce; artykuł w zbiorze: *Dwór polski jako zjawisko historyczne i kulturowe* – Materiały V Seminarium zorganizowanego przez Oddział Kielecki Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Instytut Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Jana Kochanowskiego w Kielcach oraz Kielecki Dom Środowisk Twórczych, Kielce 7–9 października 1999, wyd. Stowarzyszenie Historyków Sztuki Warszawa 2000, s. 536; w artykule informację o rodzice Pawlikowskich, pasji kolekcjonerskiej rodziny, nowej siedzibie w Medyce na miejscu poprzedniego obiektu, o zniszczeniu przedwojennego założenia, zdjęcia archiwalne). Znalazła lokum w budynku skasowanego klasztoru Dominikanów, porządkowana była przez lwowskiego historyka i bibliotekarza Henryka Schmitta, opisana przezeń w krakowskim „Czasie” (w w 1856 i 1857 roku). Jak świadczą te teksty, uczony historyk (obecnie zapomniany) nie miał zrozumienia dla tych „bohomasów”. Są to jednak jedyne publikacje z owego czasu o kolekcji, a potem zaciera się ona w świadomości.

Od nowa jest „odkryta” z początkiem XX wieku na fali rozwoju zainteresowania sztuką ludową. Charakteryzując powstające piśmiennictwo odnoszące się do owej sztuki i odwołujące się do zbioru Pawlikowskiego, zwrócono uwagę na dwie osoby. A więc Ksawery Piwocki (wybitny historyk sztuki) omawia kolekcję w swej pracy doktorskiej – monografii „Drzeworyt ludowy w Polsce” (Warszawa 1934); praca ta – jak podkreślają wydawcy katalogu – do 2013 roku najpełniej charakteryzowała lwowską kolekcję. I druga postać – Władysław Skoczylas, grafik i rzeźbiarz, twórca polskiej szkoły drzewory-

tu. Ludowe drzeworyty zbioru Pawlikowskiego stały się dla niego i jego uczniów „źródłem artystycznych fascynacji, dostarczając nowych tematów.” Wpatrując się w drzeworyty W. Skoczylasa, znane przecież z licznych reprodukcji w bardzo różnym czasie, z publikacji i opracowań – każdy, kto ma pewną zdolność spostrzegania wartości artystycznych – spostrzeże, gdzie źródło wyobraźni artysty. Ponieważ powyżej wspomniano o „pozornej nieporadności wykonawczej obrazków”, warto odnotować za autorami albumu pogląd wybitnego artysty: „Niejednokrotnie w dziełach tych barbarzyńskich w pojęciu i wykonaniu tkwi więcej wartości artystycznych niż w bardzo wielu obrazach zapelniających nasze wystawy sztuki.” (W. Skoczylas, *Drzeworyt ludowy w Polsce*, Warszawa 1933, druk zbieżny z wydaniem wspomnianej wyżej pracy K. Piwockiego). A jeśli tak – to na własną rękę można przeprowadzić pewien eksperyment: zestawmy dwa katalogi – ten krakowski, oraz stosunkowo niedawno wydany przez Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie katalog dzieł W. Skoczylasa (*Maryla Sitkowska, Władysław Skoczylas (1883–1934)*, ASP Warszawa 2015); odzyskajmy w tym katalogu reprodukcje drzeworytów, przede wszystkim tych o tematyce religijnej, porównajmy wyraz graficzny jednych i drugich drzeworytów – i nic więcej nie trzeba już tutaj dodawać...

Kolejkę tworzą drzeworyty w dwóch grupach tematycznych: wizerunki Matki Boskiej oraz „prawdziwe wizerunki Chrystusa i świętych patronów”. Pierwszą grupę (60 odbitek) opisała Grażyna Mosio, drugą Grzegorz Graff. Przedstawienia pierwszej grupy ukazują rolę kultu maryjnego kształtującego się od średniowiecza, w bogatych formach, jest to m. in. kult Opiekuńczej Pani, orędowniczki grzeszników, Królowej. Odzworowują one typy ikonograficzne wyrażone w najbardziej znanych wizerunkach Marii z Częstochowy (typ Hodegetrii), z Leżajska, Jasła, z Piekar (Matka Boska Piekarska), a nawet są odbitki wzorowane na cudownej figurze Marii z sanktuarium Mariazell w Austrii. W zbiorze mieszczą się też odbitki z przedstawieniem postaci św. Anny Samotrzeciej (Św. Anna, ukazana wraz z NMP i małym Jezusem). Dla wielu odbitek możliwe jest określenie miejsca podstawowego kultu dla danego wyobrażenia – we

Lwowie, w Bielanych k. Kęt, w Kobylance k. Gorlic, w Kalwarii Zebrzydowskiej itd. Dla wyobrażenia św. Anny Samotrzeciej wzorem jest rzeźba z kościoła na Górze Św. Anny na Śląsku Opolskim.

Bogatszy ilościowo jest zbiór drugiej grupy, przede wszystkim o tematyce chrystologicznej (głównie wyobrażenia pasyjne, 34 odbitki) oraz 46 odbitek w wizerunkami świętych patronów. Przedstawiają więc sceny sądu nad Chrystusem, wydarzenia Drogi Krzyżowej (stacje Męki Pańskiej), narzędzia Męki Pańskiej, Ukrzyżowanie. Niektóre mają treść alegoryczną (alegoria miłosierdzia Bożego lub przeciwnie – „gniewu Syna Bożego”), nie brakuje wyobrażeń z symboliką czterech Ewangelistów. Wreszcie ukazują całą plejadę Świętych Pańskich – tych określanych niejednokrotnie jako Święci Wspomożyciele, którym przypisana jest rola opiekuńcza czy wstawiennicza w odpowiednich sytuacjach; są to święci, najtrwalej zapisani w ludowej (czy powszechnej) wyobraźni, religijnej świadomości. Nieodzownym wyobrażeniem jest św. Jerzy walczący ze smokiem, św. Mikołaj, św. Jan Nepomucen, choć jego początkowy kult wywodzi się z terenu Czech. I duża grupa Świętych Patronów – Stanisław ze Szczepanowa, św. Wojciech, św. Kazimierz (patron Polski i Litwy), św. Jan Kanty (z atrybutami Wszechnicy Krakowskiej), św. Florian.

Opracowania obu autorów są problemowo wszechstronne. Nie ograniczyli się oni do uwag ogólnych, omówili natomiast wiele poszczególnych odwzorowań, charakteryzując ich treść, podstawowe cechy artystyczne, sposób wykonania, wzory ikonograficzne, łączność z możliwymi do ustalenia miejscami kultu (maryjnego i chrystologicznego), omówiono atrybuty świętości czy męczeństwa uwidocznione na odbitkach, bogaty zakres motywów zdobniczych (wzornictwo), uwzględniono według możliwości datowanie, warsztaty wytwórcze. Istotny watek opracowań odnosi się nie tylko do różnorodności tematycznej drzeworytów, ale do ich wariantów ikonograficznych, co dla badań formalno-typologicznych ma bardzo istotne znaczenie. Pisząc o świętych obrazkach powiązano je z formami niegdysiejszej powszechnej pobożności, ulegającymi jednak zmianie, na co zwrócił uwagę G. Graff, stwierdzając, iż stopniowo kult cudownych obrazów i kult świętych patronów traci dawniejszą intensywność.

ność. Syntetyzując całość rozważań dotyczących zawartości i znaczenia kolekcji celnie wskazano, iż jest ona zapisem wierzeń i estetyki poprzednich pokoleń i ukazuje „pierwszy obieg ludowej grafiki w kręgu środowisk wiejskich i małomiasteczkowych do ok. połowy XIX wieku.” Można więc przy tym stwierdzić, że także ze względu na unikalność danych obiektów, jest prawdziwym skarbem. Należy wyrazić uznanie wszystkim, którzy podjęli trud naukowego opracowania kolekcji i którzy przyczynili się do jej opublikowania. Wszystkie teksty oprócz polskiej wersji językowej przedstawiono także w pełnym zakresie w języku ukraińskim i angielskim (równoległe, druk trzy szpaltowy). Trzeba przyjąć, że ta decyzja edytorska sprzyja recepcji dzieła w międzynarodowym obiegu naukowym. Ze swej istoty zasługuje ono na to by, by stało się znane nie tylko w Polsce. Wysoki poziom reprodukcji grafik sprawia, że dzieło jest także atrakcyjne wizualnie i powinno wejść do zbiorów bibliofilskich, a w kategorii „lwowiana” – koniecznie. Nie jest jednak ono jednak dostępne w zwykłej sprzedaży księgarskiej – jest do nabycia w Muzeum Etnograficznym w Krakowie. Kolekcja wraz z dokumentacją jest natomiast prezentowana także w formie elektronicznej jako projekt zrealizowany przez pracowników krakowskiego Muzeum, co z satysfakcją należy odnotować. (Wirtualne Muzeum Drzeworytów Ludowych: www.drzeworyty.eu, www.folwoodcuts.eu). Tytuł katalogu ma podwójny sens metaforyczny – odczytamy to pośrednio w tekście Dyrektora Muzeum dr. A. Bartosza, umieszczonym na początku edycji, wykładnię pozostawiam wrażliwości Czytelników.

Maciej Miśkowiec

Inwentarz akt wydziałów i studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie do roku 1939, tom 1, opracował i podał do druku Józef Wólczański, Kraków: Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II 2009, ss. 597 + 21 fotografii.

Inwentarz akt Wydziałów i Studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie do 1939, tom 2, opracował i podał do druku ks. Józef Wólczański, Kraków 2010, ss. 781 + 53 fotografie.

Inwentarz akt Wydziałów i Studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie do 1939, tom 3, opracował i podał do druku ks. Józef Wólczański, Kraków 2010, ss. 384 + 75 fotografii.

Na publikację składa się pięć inwentarzy zespołu obejmującego materiały archiwalne Uniwersytetu Lwowskiego przed 1939 r., który jako fond nr 26 znajduje się w Państwowym Archiwum Obwodu Lwowskiego we Lwowie, przy ul. Piódwalnej (dalej: DALO).

Wszystkie tomy wydane zostały w eleganckiej twardej oprawie, na której umieszczono kolorowe alegorie czterech wydziałów Uniwersytetu Lwowskiego oraz samego uniwersytetu z 1817 r., które były wzorem do pieczęci wydziałów i uczelni. Cennymi uzupełnieniami inwentarzy są załączniki z kilkudziesięcioma wysokiej jakości fotografiami.

Prezentowana publikacja to tom 1 serii, która obejmuje całość inwentarzy wspomnianego zespołu, a zatem kilkanaście opisów. W tomie pierwszym znalazły się inwentarze materiałów z działalności wydziałów uniwersytetu, według stanu na rok 1939, a zatem: Wydział Teologiczny (opis 8), Wydział Prawa (opis 5), Wydział Lekarski (opis 10), Wydział Filozoficzny, od 1924 r. Humanistyczny (opis 7) i Wydział Matematyczno-Przyrodniczy (opis 9).

Tom drugi *Inwentarz akt Wydziałów i Studiów Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie do 1939* ukazał się również w ramach serii „Biblioteka Historyczna Archiwum Metropolii Lwowskiej obrządku łacińskiego w Krakowie”, jako to, 12 serii A (źródła i materiały), a wydawcy nie określono, co wskazuje na to, że był nim Autor.

Na treść opracowania składa się wprowadzenie i wstęp autorstwa ks. prof. Wólczańskiego oraz wydanie w języku oryginalnym, czyli rosyjskim sześciu kolejnych inwentarzy, czyli opisów z zespołu (fonde) nr 26 z DALO, czyli Państwowego Archiwum Obwodu Lwowskiego. Są to opisy: Sprawy personalne grona profesorskiego i urzędników (op. 6); Prace, artykuły, recenzje, referaty (opis 11); Rektorat 1850–1899 (opis 12); Rektorat 1900–1920 (opis 13); Rektorat 1921–1939 (opis 14) oraz akta rektoratu zatytułowane *Lwowski Królewski Uniwersytet im. Franciszka I (1817–1849)* – opis 22.

Na końcu umieszczono opis zamieszczonych w tomie 51 fotografii. Podobnie jak

tom pierwszy, ten również wydany został w tej samej eleganckiej twardej oprawie, na której umieszczono kolorowe alegorie czterech wydziałów Uniwersytetu Lwowskiego z 1817 r.

Tom trzeci zawiera opis z zestawieniem znajdujących się w DALO indeksów studentów z lat 1817–1939 w liczbie 3758 (opis 1), sprawy osobowe studentów (opis 3) w liczbie jednostek archiwalnych 1842. W opisie 4 znajduje się spis też do egzaminów doktorskich, rozprawy doktorskie oraz prace magisterskie z lat 1851–1939 w liczbie 1265. Wśród tych prac bardzo zachęcające tytuły rozpraw, które w ogromnej większości nigdy nie zostały opublikowane. Niewątpliwie liczne to cenne do dziś prace naukowe. Czwarty inwentarz zamieszczony w tomie to katalogi główne studentów z lat 1784–1939 (opis 15). Zawiera on 1445 jednostek archiwalnych. Ostatni – piąty – inwentarz to opis 17, który zawiera zestawienie spraw (jednostek archiwalnych/teczek) dotyczących organizacji studenckich z lat 1860–1939.

Podsumowując należy wskazać, że trzy tomy wydane przez ks. prof. Józefa Wołczyńskiego zawierają inwentarze (opisy) do całego zespołu archiwalnego zawierającego materiały archiwalne Uniwersytetu Lwowskiego sprzed września 1939 r. (17 opisów w fondzie 26): t. 1 – opisy: 5, 7, 8, 9, 10; t. 2 – opisy: 6, 11, 12, 13, 14 i 22; t. 3 – opisy: 1, 3, 4, 15, 17.

Jak łatwo zauważyć w fondzie istnieją braki opisów: 2, 16 oraz 18–21. Co się z nimi stało? Według ustaleń w archiwach lwowskich jeszcze w co najmniej kilku miejscach znajdują się materiały dotyczące dziejów Uniwersytetu Jana Kazimierza. W Archiwum Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Iwana Franki znajdują się materiały archiwalne począwszy od września 1939 r., w tym także akta osobowe profesorów i innych wykładowców, którzy kontynuowali pracę na uniwersytecie po wrześniu 1939 r. Archiwalia dotyczące uniwersytetu z okresu II wojny światowej znajdują się także DALO, jak i skromny zespół zawierający materiały dotyczące uniwersytetu w okresie okupacji niemieckiej – głównie dotyczą one budynków i administracji zamkniętego przez Niemców uniwersytetu (oczywiście z wyłączeniem Tajnego Uniwersytetu Jana Kazimierza, bo te są nieliczne i bardzo rozproszone – w Polsce).

Mimo iż ks. prof. Józef Wołczański zaniedbał tłumaczenia inwentarzy na język polski (co byłoby bardzo pracochłonne, bo najlepszą metodą stanowiłoby zweryfikowanie tytułów kolejnych teczek z „opisów” z tymi na owych teckach – często po polsku), to publikacja stanowi znakomite narzędzie dla wszystkich badaczy dziejów Uniwersytetu Lwowskiego sprzed 1939 r. Zanim wyruszą do Lwowa mogą przygotować wykazy materiałów, z którymi chcą się zapoznać, a nawet próbować zamówić je przez Internet.

Podobny – źródło wskazujący – charakter ma opracowanie ks. dr. Grzegorza Łuszczaka pt. *Nauczyciele i wychowawcy szkół jezuickich we Lwowie 1608–1773* (Kraków: Wydawnictwo WAM 2010, ss. 167), które dostarcza nam i porządkuje wiedzę o najdawniejszych dziejach Uniwersytetu Lwowskiego – w okresie I Rzeczypospolitej, gdy był on uczelnią jezuicką. Praca oparta na materiałach archiwalnych – nie tylko jezuickich – zasługuje na szczególną uwagę, tym bardziej, że oprócz wykazów zawiera syntetyczny opis działalności jezuickich szkół we Lwowie.

Na koniec warto dodać, że Uniwersytet Lwowski, na którego przedwojenne dzieje używamy nazwy „Uniwersytet Jana Kazimierza” (bo akt króla Wazy z 1661 r. dziś powszechnie uznajemy za początek uniwersytetu), stanowi ciągle wyzwanie dla badaczy dziejów nauki. Choć przed dwoma laty wydaliśmy syntezę jego dziejów (*Academia Militans, Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie*, Kraków 2015, ss. 1302 – z uwagi na szybkie wyczerpanie nakładu we wrześniu 2017 ukaże się drugie wydanie, w niewielkim nakładzie), to mamy świadomość, że rozwój wielu nauk w lwowskiej *Alma Mater* do dziś nie został dostatecznie zbadany, jak i wkład lwowskiej kuźni naukowej w światowy rozwój nauki. Cieszy, że w ostatnim roku (2016–2017) ukazały się kolejne cenne pozycje – we Lwowie książka Romana Tarnawskiego o Lwowskiej szkole etnologicznej prof. Adama Fischera, w Rzeszowie książka Mariusza Chrostka o złotych latach polonistyki lwowskiej, a w Warszawie praca Michała Piekarskiego o lwowskiej szkole muzykologicznej Adolfa Chybińskiego. O pozycji przedwojennego naukowego Lwowa od lat świadczą szkoły matematyczna i filozoficzna, ale od niedawna wiemy jak

gigantyczny wpływ na rozwój prawa międzynarodowego miał Uniwersytet Lwowski, a to dzięki badaniom profesora Uniwersytetu Londyńskiego Philippe'a Sandsa – *nota bene* wnuka Lwowianina – który pokazał światu, że to co łączyło dwóch konstruktorów współczesnego międzynarodowego prawa karnego Herscha Lauterpachta (znanego m.in. z tworzenia podwalin prawnych Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze i zdefiniowania „zbrodni przeciwko ludzkości”) oraz Rafała Lemkina (autora pojęcia „ludobójstwo” i konwencji ONZ o ludobójstwie) łączą studia na polskim Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie.

Adam Redzik

Stanisław Gottfried (1892–1915) Lwowski poeta Młodej Polski, wybór i opracowanie Karolina Grodziska i Alina Trzcionkowska, Kraków (brak wydawcy), s. 187, nlb., ilustr., bibliografia; Słowo wstępne Karolina Grodziska

Młody poeta lwowski zmarł zaledwie w wieku 23 lat w sanatorium w Hołosku Wielkim k. Lwowa. Nie dane mu było pełniej zaistnieć w lwowskim środowisku literackim. Jego twórczość dziś wydobyta zostaje z niepamięci, a właściwie z nieistnienia w szerszej świadomości, wyłania się z pieczołowicie przechowywanych papierów rodzinnych uratowanych z zawirowań historycznych losów lwowskiej rodziny w XX wieku. Zaledwie jeden wiersz opublikowany w lwowskiej prasie („Głos Narodu” z 11 IX 1915 r.) – to za mało, by przekazać potomnym pamięć o poecie.

Jego spuścizna literacka wraz z innymi papierami rodzinnymi została złożona w Bibliotece Naukowej PAN i PAU w Krakowie. Dar ten był podstawą opublikowania wyboru wierszy w 50. Tomie Roczników Biblioteki (2005 rok) wraz z notą biograficzną, przygotowaną przez dr Karolinę Grodziską. Obecnie w sygnalizowanej edycji przedstawiono bardziej obszerny zbiór liryki i wierszy satyrycznych; inne wiersze, także utwory dramatyczne pozostają nadal nie wydane.

Postać poety nie jest jednak całkowicie nieznaną, anonimową. W lwowskim piśmiennictwie wspomnieniowym jawi się on w kręgu niezwykle zaprzyjaźnionych (a i z

kolei spowinowaconych) kilku rodzin lwowskich, z rodziną Reichertów w centrum. Dzieje tej rodziny wraz z towarzyszącym jej kręgiem osób w kolejnych odsłonach historycznych opisała Karolina Grodziska. Tom pt. *Listy, liście, wspomnienia...* prezentowany był „Roczniku Lwowskim”, więc tam teraz odsyłam po niezbędne szczegóły. I to właśnie w tym dziele – swoistej sadze rodzinnej, pojawia się Stanisław Gottfried. Wielostronne przyjaźnie rodzin zbliżą do siebie także grono ich dzieci. Powiązania emocjonalne wielu osób w tej opowieści zdominowane są przez gorące uczucie nadwrażliwego intelektualnie i uczuciowo młodzieńca do panny Marii Reichertówny. Muza poety jednak nie odwzajemnia porwy serca. Zaczyna snuć się osobisty dramat... Odczytamy go właśnie w publikowanych wierszach. Młodzieńcze uczucie, a nie odwzajemnione, nada wierszom Stanisława niezwykle emocjonalny i bardzo osobisty ton, których skrytą bohaterką jest Maria. W sygnalizowanym wyborze wierszy tylko dwa noszą identyfikacyjną dedykację – jeden wprost: „Rondo Marii Reichertówny”, drugi przez inicjały „pannie M.R.” W innych wierszach jawi się ona już bezimiennie, ale jakże wymownie: jako moja bajka, królowa, boginka z kraju bzów i róż, rusałka, Jasna, kochałem panią bajkę...

W kontekście schyłku pewnej epoki literackiej poeta jawi się jako epigon Młodej Polski. Tak zapewne powiedziałyby uczone literaturoznawca. I z pewnego punktu widzenia być może miałyby rację. Jest to bowiem poezja z ducha i formy bardzo młodopolska. Cały sztafarz literacki młodzieńczej liryki jest młodopolski. Gdzieś w tych wierszach pobrzmiewa ton Leopolda Staffa, to Kazimierza Tetmajera czy Adama Asnyka, dadzą się odszukać wspólne po części motywy, obrazowania, wątki. Dziś ta poezja w swej stylistyce jest bardzo niemodna, bardzo przestarzała, może i po części drażniąca, łatwo młodopolską poetykę obśmiać, wydaje się ona nam sztuczna, nadmiernie egzaltowana, zbyt czułościowa i jakoś nieautentyczna. Nie trafiają już do przekonania te tajemne drgnienia duszy, te westchnienia, łzy, smutki, ból istnienia itd., bardzo się zmieniała wrażliwość współczesnego czytelnika, nadto się spospolitowała. Więc tylko w nielicznych wypadkach udaje się poetom wyjść obronnie z arsenału ty-

powych dla tej poezji literackich chwytów w sferze obrazowania, słownictwa, po części wszak zbanalizowanych przez swą powszechność. Głębi uczuć i ich złożoności jakże często nie są w stanie oddać słowa, których zasób w tej sferze jest dość jednak ubogi, a i powtarzalny. Repertuar metafor odnoszących się do obiektów naszych westchnień i uniesień od wieków jest też w miarę ustalony i jakże niezmiernie trudno tu o świeżość środków wyrazu. W przypadku poezji St. Gottfrieda trzeba więc wybrać inną drogę do jej odczytania. Nie należy przymierzać jej do zastanych wzorców. Nie trzeba szukać literackiego powinowactwa. Trzeba zaś szukać autentyzmu poety i jego osobistych przeżyć wśród zasobu tworzywa poetyckiego, którym dysponuje, a właściwie dziedziczy po Młodej Polsce. Wydaje się, że do odczytania wierszy można zastosować pewną, nieprostą – przynajmniej, procedurę myślową. Zwolennicy metody fenomenologicznej w humanistyce powiedzieliby, że tę poezję (jej stronę formalną) trzeba „wziąć w nawias”. Pomińmy tu złożone wyjaśnienia tej metody. Mówiąc więc najprościej, najzwyczajniej, mało naukowo – starajmy się w lekturze pominąć ów młodopolski sztafarz, jakoś go nie zauważać, przedrzczyć się poza młodopolskie słownictwo, chwytów poetyckie, obrazy, usilnie zaś usłyszmy głos poety – o czym on mówi, co wyraża. Przedzierając się przez tę poetycką zasłonę w dążeniu do uchwycenia istoty tych wierszy – odczytajmy rzeczywisty dramat przeżywany przez młodzieńca, który jest porażony pierwszą miłością. Odczytajmy i wczujmy się w przebogate stany ducha (myśli, uczuć), jak miota się – to uwznioślony, to pełen zwątpienia i rezygnacji (nie wierzę w nic); młodzieńcze rojenia o szczęściu (złota bajka, marzeń nici złote) przeradzają się w motyw żebraka wszystkiego pozbawionego (prysnęła baśń złota). Za banalnymi, być może nawet wyświechtanymi poetycko słowami, zobaczymy i usłyszmy, jak przez nieodwzajemnienie – jest głęboko urażony, dotknięty w swej godności, ambicji, w swej ludzkiej istocie, po młodopolsku też mówiąc – w swym „jestestwie”. Nie umie, nie wie, jak poradzić sobie z czymś, co bardzo boli, nie wie, jak się obronić przed uczuciową porażką, która wydaje się być życiową katastrofą. Wpada więc jak gdyby w samoobronie przed uczuciem, które nie buduje lecz raczej niszczy –

w skrajność, a więc od miłosnej egzaltacji – do ironii w stosunku do wybranki serca, uszczypliwości, kpiny, do słów dyskredytujących ją, przypisując jej niskie czy raczej „pospolite” intencje (vide wiersze satyryczne w tomie). Jeśli więc mnie boli, to niech i ciebie zaboli. Można by rzec, że może to mało szlachetne, ale za to prawdziwe psychologicznie. Miłosny amok zacierá realia, toteż poeta widzi inaczej konkretne sytuacje w kręgu których ma tkwić (w jego wyobraźni) panna Maria. Przypisując jej swego rodzaju przyziemność (wątek prawdziwego czy też urojonego konkurenta) uwypukla przez ów kontrast wzniosłość swego uczucia, i w tej egzaltacji jest także bardzo autentyczny. A w odleglejszym tle – wyraża poczucie bliskiej śmierci. Widzi ją w poetyckich obrazach, nadchodzi, już jest blisko. Miłość się nie spełnia, zatem wobec nieuniknionego przeznaczenia tym bardziej jest wielka w poczuciu osobistego nieszczęścia, i tym bardziej dotkliwie nieszczęwana w marzeniach, w złudzeniach. Więc w tych wierszach szukajmy nie znaków epigoństwa, lecz ludzkiej prawdy. Zobaczyć i usłyszeć osobisty dramat – a nie szukać literackich porównań, oto zadanie, przed którym ma stanąć czytelnik. A kiedy tak postąpimy, to może coś się nam przypomni z własnych przeżyć, z własnych doznań, i wtedy być może zobaczymy i choć trochę usłyszmy Stanisława Gottfrieda w samym sobie, jeśli tylko wrażliwość nie została stępiona przez lata prozą codziennego życia, a wybujały praktycyzm i cynizm nie stał się naszą drugą naturą. Lecz swoją drogą zauważyć można, jak pewien repertuar obrazowania jest przez lata powtarzalny: kiedy poeta pisze „śpij obłąkane, głupie, nieszczęśliwe serce” (wiersz „Śpij serce”) – formułę tę usłyszmy w niegdysiejszej jakże popularnej piosence śpiewanej przez bardzo znany w Polsce zespół. A przecież jego członkowie nie mogli znać tego wiersza...

Warto wrócić uwagę na inne wątki tematyczne i cechy wierszy lwowskiego poety, które w lekturze zauważalne są bezpośrednio. Zmysłowość dotyczy nie tyle obiektu westchnień, lecz przede wszystkim kształtów, kolorów, krajobrazu górskiego (motywy tatrzańskie). Gra światła, cieni, wielorakie aspekty Natury ujęte są poetycko. Zabrzmieniuta religijna (Ave Maria), odnajdziemy wątki patriotyczne (reminiscencje w rocznicę powstania styczniowego w wierszu „W stycz-

niową noc”), czy w ogóle – nutę patriotyczną („Ojczyzna”). Odkryjemy melodyjność wierszy i niezmierną muzyczną wrażliwość poety choćby poprzez poetyckie nawiązania do form czy gatunków muzycznych, jak właśnie w wierszu dedykowanym pannie Marii. Nie jest to kwestią salonowej mody muzycznej, lecz własnego doświadczenia poety – z biografii wiadomo, że kształcił się w tej dziedzinie. Mamy więc próbę poetyckiego oddania rytmu mazura, są nawiązania do madrygału, walca, barkaroli, tytuł wiersza „Tęsknota” dookreślony jest przez poetę jako „piosenka na motywach kompozycji Beethovena „Dla Elizy”, i ktoś kto zna tę melodię łatwo może słowa wiersza „podłożyć” pod jej przebieg. A nadto – urzekają jakże liczne wątki baśniowe. Wskaże je autorka wstępu do poetyckiego tomu, pisząc: „...odnajdujemy motywy błędnych rycerzy, krzyżowców, śpiących rycerzy w górach, królowny na szklanej górze i śpiące królewny, smoki, rusałki jeziorne i polne boginki, wędrowców o cygańskim rodowodzie...a nawet smoka, beznadziejnie zakochanego w strzeżonej przezeń królownie.” Nie można przemilczeć wspaniałych przekładów z języka francuskiego wierszy Alfreda de Musseta, w tym niezwykle wiersz z 1831 r. dedykowany Polsce, której wszak nie ma na mapie Europy; data powstania wiersza i jego słowa są wymowne: jest on echem i piękną reakcją romantycznego poety na powstanie listopadowe. Tłumaczenie innego wiersza opatrzone notą, iż jest to wersja piękniejsza od pierwszego przekładu na język polski z 1890 roku. Wreszcie forma wierszy – widać wyraźnie, że dobrze czuł kunsztowną formę sonetu i doskonale w niej potrafił wyrazić swą wrażliwość, uczucia, wyobraźnię. Dorobek poetycki St. Gottfieda jeszcze przed wydaniem książkowym poznali dwaj znani literaturoznawcy, profesorowie Stefan Liचाński, Jan Trzynałowski. Ich poglądy przedstawiono we wstępie, tu tylko ograniczyć się trzeba do ogólnej wzmianki: w wierszach lwowskiego poety uznali samostne wartości a także zapowiedź przezwyciężania młodopolskiej konwencji i „artystowskiej stylizacji” w kierunku poezji innego już typu, określonego jako „poezja codzienności”. Ta śladowa zapowiedź innego rodzaju wypowiedzi poetyckiej stała się jednak wyrokiem losu – także niespełnieniem.

W dołączonym do tomu bloku zdjęć patrzemy na postaci Stanisława i Marii, na członków jego rodziny, na krąg rodzinny Marii, na grupkę zaprzyjaźnionej młodzieży z Marią i Stanisławem na wakacjach w ukochanej Dębiniu za Lwowem, tak czule opisaną we wspomnianej książce K. Grodzkiej. Panna Maria po latach okazała się być w niełatwym życiu określonym trudnymi sytuacjami rodzinnymi i dziejowymi wybitną osobowością i wielką indywidualnością, osobą wielkiego ducha i charakteru. Spełniła się w znaczący sposób na niwie pedagogicznej, osiadłszy ostatecznie w Krakowie, jak powiadają jej krewni – zachowując do końca pamięć o poecie. Nawiasem mówiąc, panna Maria (potem Peterowa) okaże się też być babką pani K. Grodzkiej. Koło czasu domyka się, zamknięte zostają blisko dwusetletnie dzieje austriacko/galicyjskie-lwowskie pewnej rodziny, w które także wpisał się Stanisław Gottfied. Przeminięły postaci, pozostały listy, wspomnienia, zdjęcia, papiery i książki dokumentujące losy rodzinne, i te wiersze.

Tom, oprócz wstępu, dopełnia szkic wspomnieniowy o poecie pióra Aliny Trzcionkowskiej, spokrewnionej przez swą Matkę w kolejnym pokoleniu z rodziną Gottfriedów, oparty w części także na relacjach brata poety. W obu tekstach zawarto podstawowy zasób informacji biograficznych odnośnie samego poety jak i jego rodziny, w której dziejach (i innych bliskich rodzin) odbija się także polski i lwowski los – z akcentem katyńskim i wątkiem „repatriacji” ze Lwowa w ramach jego depolonizacji po zakończeniu II wojny światowej, wraz z rozproszeniem po różnych miastach w Polsce, tam – gdzie nowe życie rozpoczynali lwowscy Polacy. Tom wierszy dedykowany jest najmłodszej siostrze poety – a Matce Autorki szkicu wspomnieniowego i współautorki wyboru wierszy.

Maciej Miśkowiec

J.A. Baczewski, Koncepcja, tekst, projekt graficzny: Tomasz Lachowski, Tłumaczenie i redakcja tekstów angielskich: Jonathan Weber, Definition Design 2014, brak miejsca wydania, s. 119.

Spotkało się dwóch dawnych lwowiaków: – Słyszałeś, wydano książkę o wódce? – O wódce? A po cholere! – Ale to o Baczewskim. – A, jak Baczewskim, to zupełnie inna historia.

Oczywiście, przecież dawna anegdota lwowska zanotowała, że najważniejszą datą w historii miasta nad Półcią był rok 1782, gdy stary Baczes założył na Zniesieniu pierwszą wytwórnię rosolisów...

Anegdota trochę się myliła, nie Baczes a Baczeles, a założył najpierw w Wybranówce koło Bóbrki, a dopiero ok. 1810 część wytwórni znalazła locum na Zniesieniu.

Książka, a właściwie album jest luksusowo wydany na kredowym papierze, z doskonałymi ilustracjami – to zarówno bogata historia rodu Baczewskich aż po tragiczne wydarzenia z jesieni 1939 roku, [...] historia rodzimej przedsiębiorczości, metod unowocześniania produkcji, rozbudowy zakładu, pierwszych i kolejnych prób marketingu, nawet współpracy z wygnanym z ZSRR rosyjskim producentem wódek Piotrem Smirnoffem – a wszystko to w otoczeniu żartów – anegdot (bo za anegdotę trzeba uznać rzekomy spór między Polską i Rosją dotyczący określenie, kto i gdzie po raz pierwszy wyprodukował wódkę). Rzekomo nawet w roku 1977 (sic! spór ten trafił do Układu Głównego GATT. Moskwa jednak wygrała, nic dziwnego, w tamtych latach wszystko, co rosyjskie (a właściwie radzieckie) musiało być najstarsze i najlepsze.

Album wydany został w wersji dwujęzycznej: polskiej i angielskiej, może więc i Angole dowiedzą się wreszcie coś o Lwowie (choć przy tej okazji) i polskim przemyśle.

J.W.

Spis Rodzin Wojskowych wywiezionych do ZSSR. Wstępem opatrzyła Ewa Kowalska. Warszawa-Kraków 2014, Kancelaria Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Polska Akademia Umiejętności. Archiwum Akt Nowych, ss.63 + płyta DVD

Publikacja p.t. „Spis Rodzin Wojskowych wywiezionych do ZSSR” została wydana w 2014 r. (Warszawa-Kraków) przy współpracy Archiwum Akt Nowych. Kancelarii Prezydenta RP oraz Polskiej Akademii Nauk. Jej prezentacja odbyła się przy okazji IV Kongresu Polskich Towarzystw Naukowych Na Obczyźnie p.n. „Nowoczesne nauczanie tradycji ojczyźnych – Sybiracy i młodzież”, który miał miejsce w Krakowie w dniach 4–7 września 2014 r. Losy Polaków zesłanych na Syberię w XIX i XX w. były jednym z wiodących motywów konferencji, zaś w dyskusji panelowej zaprezentowano wyniki badań naukowych dotyczących tego zagadnienia.

„Spis Rodzin Wojskowych wywiezionych do ZSSR” został wydany w postaci broszury liczącej 63 strony. Zawiera przedmowę prezydenta RP, opracowanie autorstwa Ewy Kowalskiej p.t. „Świadectwa zbrodni i próby podporządkowania Polski... rzecz o polskich wojskowych przetrzymywanych w obozach i deportacjach ich rodzin (1940–1941)”. aneksy, bibliografię, wykaz skrótów oraz notę edytorską (opracowaną przez Krzysztofa Smolanę). Do wydawnictwa dołączono płytę DVD zawierającą zdigitalizowaną wersję spisu składającego się z czterech zeszytów.

Na uwagę zasługuje opracowanie autorstwa Ewy Kowalskiej (s.9–30), obecnie kierującej Muzeum Katyńskim w Warszawie. Stanowi ono kapitalne i zręcznie przygotowane wprowadzenie do tematu. Podkreślić należy płynną i ciekawą narrację zachęcającą czytelnika do zapoznania się z materiałem źródłowym, jak również bogaty aparat naukowy wykorzystany przez autorkę. Pokazuje ona kontekst historyczny i polityczny omawianego problemu. Autorka zasadnie podkreśla ogrom planowych działań i ich precyzyjną organizację przez czynniki decyzyjne ZSRR wymierzonych w naród polski, a także ich analogię do tych podejmowanych przez III Rzeszę niemiecką. Należy mieć świadomość faktu, iż tragedia wywózek nie była incydentalna i oderwana

od innych działań o charakterze ludobójczym prowadzonych przez naszego wschodniego okupanta a następnie wyzwoliciela. Autorka porusza również problem realiów deportowanych Polaków, opisuje warunki życia i pracy w odmiennej rzeczywistości rubieży ZSRR. Wskazuje jednocześnie na metody „radzenia” sobie z nową sytuacją, przedstawiając zręcznie szerokie spektrum zagadnień życia codziennego Sybiraków pozbawionych elementarnych wolności ludzkich i prawa do decydowania o swoim losie.

Nota edytorska (s. 63) zwięźle opisuje pochodzenie i charakter materiału źródłowego oraz podstawowe założenia edytorskie przyswiecające publikacji spisu. Szkoda, iż znalazła się ona na samym końcu tomu, przez co może umknąć uwadze czytelnika. Należało rozważyć jej poszerzenie w związku z wstępem o charakterze źródłoznawczym opisującym publikowane materiały archiwalne, ich proveniencję oraz kontekst powstania, czy formę zewnętrzną.

Zastrzeżenia recenzenta budzi układ publikacji. Zarówno wspomniana nota, jak i wykaz skrótów (s. 60), warto by zamieścić na początku tomu. Natomiast następujące po opracowaniu aneksy (s. 31–57) mogły by być poszerzone o materiały archiwalne z Archiwum Akt Nowych, szczególnie o odwzorowania cyfrowe przykładowych stron spisu lub materiały ikonograficzne. Brak jest także informacji o źródle/autorstwie tabeli oraz map. Wspomniana w słowie wstępnym Prezydenta RP dbałość o młodego czytelnika oraz nowoczesną formę publikacji nie przełożyła się niestety na atrakcyjność jej formy zewnętrznej, szczególnie okładki.

Zdigitalizowany spis, dołączony do wydawnictwa papierowego, pochodzi z zespołu archiwalnego pn. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej Rządu RP w Londynie, przechowywanego w zasobie warszawskiego Archiwum Akt Nowych. Na nośniku optycznym znajdują się cyfrowe odwzorowania czterech jednostek archiwalnych, o sygnaturach 29. 30. 31. 32. Każda zdigitalizowana jednostka została w formacie PDF, jako odrębna fizycznie całość.

Czterotomowy spis został przygotowany przez pracowników Wydziału Rodzin Wojskowych Biura Opieki na Żołnierzami Ministerstwa Obrony Narodowej. Jak podaje K. Smolana (s. 63) został on powielony w 1944 r. w liczbie niemożliwej do oszacowania. W sumie obejmuje on prawie 15000

pozycji, ułożonych alfabetycznie. Każdy z tomów spisu stanowi odrębny zeszyt, w którym w układzie alfabetycznym podano nazwiska rodzin. Zeszyt pierwszy obejmuje litery A–G, zeszyt drugi H–L, trzeci M–R, zaś czwarty S–Ż. W nocie edytorskiej zaznaczono, iż w planach było także przygotowanie dwóch dodatkowych zeszytów zawierających uzupełnienia do tomów I–IV. Jednakże, jak pisze K. Smolana nie udało się odnaleźć śladów ich opracowania, choć wedle wiedzy recenzenta w zasobie Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie zachował się tom uzupełnień. Dlatego też należy rozważyć uzupełnienie publikacji lub też jej reedycję.

Podziwu godny jest wysiłek podjęty przez Attache Wojskowego RP przy Ambasadzie RP w Moskwie ppłk. dypl. Tadeusza Rudnickiego oraz podległych pracowników Biura, który zgromadzili informacje o blisko 60 tysiącach zesłańców. Zgodnie z objaśnieniami, które stanowią wstęp do każdego z tomów, spis obejmuje zesłańców polskich, których bliscy służyli w szeregach Wojska Polskiego.

Został on przygotowany na podstawie zgłoszeń zesłańców, dokonywanych bezpośrednio lub poprzez upoważnione osoby w terenie, napływających do Wydziału Rodzin Wojskowych MON. Biura Pomocy Rodzinom Wojskowych i Jeńców Wojennych Armii Polskiej na Wschodzie oraz Polskiego czerwonego Krzyża. Spis przedstawia stan na dzień 1 stycznia 1943 r., choć fakt, iż materiały do niego zbierane były znacznie wcześniej w terenie i niesprzyjających warunkach, może być powodem pomyłek. Jak zaznaczono w objaśnieniach spisy mogą nie obejmować jeszcze pewnej liczby rodzin żołnierzy polskich, którzy zgłosili się do służby jeszcze w ZSRR w 1942 r. Rodziny takie planowano uwzględnić w uzupełnieniach. Pozycjom w spisie nadano następujący schemat: liczba porządkowa, imię i nazwisko, informacje o rodzinie, informacja o członkach rodziny służących w Wojsku Polskim, daty urodzenia lub wiek, miejsce zesłania (z podanym adresem).

Należy w tym miejscu przypomnieć cel, jaki przyswiecał opracowującym ten spis, obejmujący: możliwie jak najszersze udostępnienie informacji, pomoc w nawiązywaniu kontaktów z członkami rodziny, inicjowanie dalszej rejestracji lub uzupełnień do już zebranych informacji, a także

ułatwienie prowadzenia akcji pomocy lub ewakuacji.

Autorzy wydawnictwa podjęli wysiłek upamiętnienia tragedii mieszkańców wschodnich ziem II Rzeczypospolitej, w szczególności rodziny wojskowych. Siłą pozbawianych ojczyzny oraz elementarnych praw i godności człowieka, deportowanych w odległe i niesprzyjające rejony ZSRR, gdzie czekała ich niewolnicza praca, nędza, choroby i głód. Publikacja ta jest również świadectwem planowego wyniszczania przez Sowieców narodu polskiego, które rozpoczęło się 17 września 1939 r. Deportacje Polaków na Syberię w okresie 1940–1941 r., podobnie jak zbrodnia katyńska, wpisywały się w politykę ZSRR wobec Polski i Polaków, której finałem było pozbawienie Polski niepodległości i uzależnienie jej od woli Moskwy w latach 1945–1989. Dziś świadomość okrucieństw jakie spotkały Polaków ze strony Sowieców jest ciągle żywa. Jest ona szczególnie żywa wśród rodzin, które utraciły bliskich na Syberii lub w Katyniu, jak w przypadku rodziny recenzenta, którego przodek podporucznik rezerwy Konstanty Palczewski został zamordowany w wieku 33 lat w Katyniu. Należy również pamiętać, że niniejsza publikacja jest także świadectwem, być może jedynym, o rodzinach, które przestały wówczas istnieć.

Abstrahując od faktu, iż publikacja ta jest pomnikiem męczeństwa Narodu Polskiego, stanowi ona pierwszorzędną źródło do badań historycznych i genealogicznych. Jest bodaj najobszerniejszym tego typu dokumentem, który został wydany. Biorąc pod uwagę charakter źródła autorzy przyjęli słuszne założenie o wydaniu spisu w postaci dokumentu elektronicznego. Ta forma znacznie ułatwia korzystanie ze źródła i przyspiesza wyszukiwanie w nim informacji.

Bartosz Nowożycki

Katarzyna Łoza, współpraca Chrystyna Charczuk, Cmentarz Łyczakowski w Lwowie. Przewodnik. Wrocław 2016, Wydawnictwo Ossolineum s. 344, nlb. 2, il., plan.

Przewodnik ten dotarł do nas już po zamknięciu numeru i przekazaniu mate-

riałów do drukarni. Ale dla łyżczakowskiej nekropolii trzeba było zrobić wyjątek. Relacja jednak nie będzie zbyt szczegółowa.

Dobrze się stało, że po monumentalnych, w pewnym sensie, książkach-albumach Stanisława Sławomira Niciei, ukazał się przewodnik, prawdziwy przewodnik, którym turysta może się posługiwać i wspomagać. Cmentarz Łyczakowski zmieniał i zmienia swoje oblicze, przestaje być naszą historyczną, wspaniałą pamiątką narodową, historią dawnego Lwowa i jego mieszkańców. Takie są prawidłowości losów ludzi, rzeczy. Musimy więc patrzeć nawet na cmentarną rzeczywistość bez emocji, choćby z podwójnym żalem.

Powędrujmy zatem, póki co, niektórymi trasami proponowanymi przez Autorki. Zacznijmy więc od Alei Zasłużonych choć, szczerze mówiąc, ludzie zasłużeńi dla miasta lub kultury, nie tylko polskiej, pochowani są we wszystkich częściach Cmentarza i wszędzie natrafimy na wielkie nazwiska.

Pokłonmy się przeto ceniom Seweryna Goszczyńskiego (poety), Dawida Abrahamowicza (Ormianina, polityka), Władysława Floriańskiego (śpiewaka operowego, ojca także Władysława – malarza i grafika, zmarłego po wojnie w Gdańsku), malarki Zofii Albinowskiej, jednej z nielicznych artystów (malarstwo), którzy pozostali po wojnie we Lwowie.

Skłonmy głowę przed grobowcem rodziny Wolskich i Młodnickich; Karol Młodnicki, jeden z najbliższych przyjaciół Artura Grottgera, ożeniony po śmierci przyjaciela z Wandą Monee, jego narzeczoną, też tu pochowaną obok córki – Heleny Wolskiej – poetki, organizatorki pierwszego we Lwowie salonu literackiego – i jej męża Waclawa.

Dalej dotrzemy do wspaniałego nagrobku, w kształcie obelisku zwieńczonego sylwetką orła, z rzeźbą lwa chroniącego niejako ten nagrobek – to dzieło Tadeusza Barącza, który prochy Juliana Konstantego Orдона, powstańca, bohatera mickiewiczowskiej „Reduty Orдона”, sprowadził do Lwowa z Florencji. Zajrzymy też do Antoniego Durskiego – naczelnika „Sokoła”, Stanisława Szczepanowskiego – pioniera polskiego przemysłu naftowego, Zygmunta Gorgoleskiego – twórcy wspaniałego Teatru Wielkiego, wreszcie trafimy na najbardziej kwiatami zasłany grób i pomnik Marii Konopnickiej.

Natkniemy się na grobowiec rodziny Riedlów, który skrywa także doczesne szczątki Stefana Banacha – geniusza polskiej i światowej matematyki i po sąsiedzku nieomal spoczywających jakże zasłużonych dla Lwowa jego Prezydentów – Michała Michalskiego, Tadeusza Rutkowskiego, czy wcześniej mijanego Józefa Neumanna. I znów kolejny Prezydent – Godzimir Małachowski, daleki krytyk i historyk sztuki – Piotr Chmielowski, Władysław Bełza i Gabriela Zapolska...

Nie sposób wymienić wszystkich, którym warto złożyć hołd i o których warto wspominać – bo i Artur Grottger, i Powstańcy Listopadowi, nieco zapomniani, i Górka Powstańców Styczniowych z pomnikiem Szymona Wizunasa Szydłowskiego. I wybitni ukraińscy politycy, działacze, naukowcy, jak: Iwan Franko, Markijan Szaszkiewicz czy Borys Woźnicki, wieloletni dyrektor Lwowskiej Galerii Obrazów, o którym pisaliśmy niedawno w „Roczniku Lwowskim”.

Proponowanych tras jest 9. Jedna z nich zaprowadzi nas na Cmentarz Orłąt...

Dodatkowe podziękowanie dla Auterek za to, że w *Przewodniku* i na planie umieścili informacje o naszych rodakach, którzy odeszli w ostatnich latach, a których mieliśmy jeszcze okazję znać i odwiedzać: ks. dr Henryk Mosing, Czesława i Eugeniusz Cydzikowie, Janina Zamojska – zasłużonych nie tylko dla Polaków we Lwowie – a także tych, którzy zmarli trochę wcześniej: Mieczysław Gębarowicz, Piotr Hausvater, Mieczysław i Adam Sołtysowie, Adam Kuryło, Piotr Tarnawiecki, którzy swoją działalnością pozostawili trwałe ślady w polskiej kulturze.

Sądzę, że omawiany *Przewodnik* doczeka się wkrótce drugiego wydania, warto więc zwrócić uwagę na pewną nieścisłość. Otóż na str. 7 Autorki piszą, że przez kilka dekad Cmentarz był opuszczony i zaniedbany... Ale na str. 55 odnotowują, że w latach 1939–1950 zaczęto tu chować radzieckich oficerów i partyjnych funkcjonariuszy.

Cmentarz był zatem zaniedbany i dewastowany, ale nie opuszczony, raczej zapuszczony. Pamiętam drewniane graniastosłupy z czerwoną gwiazdą i mogiły otoczone metalowymi kratami. Potem zniknęły. Czy była to akcja nowych władz czy spontaniczna reakcja społeczna? To także historia tej Nekropolii.

**POLECAMY WYDAWNICTWA
INSTYTUTU LWOWSKIEGO**

KRESOWIANA:

– Rocznik Lwowski 1991	(wyczerpane)
– Rocznik Lwowski 1992	(wyczerpane)
– Rocznik Lwowski 1993–1994	16,–
– Rocznik Lwowski 1995–1996	16,–
– Rocznik Lwowski 1997–1998	20,–
– Rocznik Lwowski 1999	20,–
– Rocznik Lwowski 2000–2001	20,–
– Rocznik Lwowski 2002	20,–
– Rocznik Lwowski 2003	25,–
– Rocznik Lwowski 2004	25,–
– Rocznik Lwowski 2005	25,–
– Rocznik Lwowski 2006	25,–
– Rocznik Lwowski 2007	25,–
– Rocznik Lwowski 2008–2009	35,–
– Rocznik Lwowski 2010–2011	30,–
– Rocznik Lwowski 2012–2013	30,–
– Rocznik Lwowski 2014–2017	30,–
– Rocznik Lwowski 2017	30,–
Artur Leinwald – <i>Dokumenty Obrony Lwowa 1939</i> , s. 282	16,–
Wiktor Budzyński – <i>Rozmówki panów Aprikosenkranca i Untenbauma. Dialogi i skecze z Wesolej Lwowskiej Fali</i> , s.275	20,–
Janusz Wasylkowski – Lwowska beletrystyka Lwowa dotycząca (Odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 1991)	10,–
Maria Bielecka-Kasprowicz – <i>Widzenie świata</i> (wiersze, m. in. o Lwowie), s. 123	12,–
Stanisław Klimpel – <i>W dolinie Wyrwy</i> (wspomnienia Lwowskiego prawnika pracującego w latach sowieckiej okupacji 1939–1941 na poczcie w Dobromilu), s. 118	15,–
Stanisław Klimpel – <i>W dolinie Strwiąża. Krościenko koło Chyrowa</i> (wspomnienia z młodych lat autora), s. 107	15,–
Jan Wojciech Wingrałek – <i>Spotykajmy się tam, gdzie lwowskie śpią Orłęta</i> , II wyd., s. 54, nl. 62	(wyczerpane)

- Janusz **Wasyłkowski** – *Lwowska piosenka na wojennym szlaku*, s.99 10,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Lwowskie misztygałki* (eseje i szkice o różnych aspektach lwowskiej kultury), s. 216, twarda opr. 20,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Są słowa. Wiersze o Mieście, które samo się nie obroni*, s. 21 5,–
- Jan Wojciech **Wingrałek** – *Tam, gdzie lwowskie śpią Orleża* (album o zniszczeniu i odbudowie Cmentarza Obrońców Lwowa) (wyczerpane)
- Jan Wojciech **Wingrałek** – *Tam, gdzie lwowskie śpią Orleża. Kalendarium* (fragment ww. albumu) (wyczerpane)
- Marian **Jonkajtys** – *W Syberii białej dżungli* (wiersze, pieśni i piosenki poświęcone martyrologii polskich zesłańców na Syberii i w Kazachstanie), s. 349 (wyczerpane)
- Barbara **Lasocka** – *Z dziejów Beńkowej Wiszni. Próba monografii miejsca*. (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2003) 10,–
- Bogdan St. **Kasprowicz** – *Moim miastom. Wiersze i piosenki z Bytomiem i Lwowem w tle*, s. 86, nuty 15,–
- Bogdan St. **Kasprowicz** – *Wypijmy za Lwów. Wiersze dla i od przyjaciół*, s. 54 8,–
- Marcin **Hałas**, Bogdan St. **Kasprowicz**, Lesław **Nowara** – *Daleko od Lwowa* (wiersze), s. 73 10,–
- *Kresowe korzenie rodu Sobieskich*. Wystawa Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie, s. 12 (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2004) 10,–
- *Pamiętnik legionisty Wincentego Terleckiego* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2004) 10,–
- Lech **Kokociński** – *Przysięgi obywatelskie lwowskich mieszczan w czasach nowożytnych* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2006) (wyczerpane)
- Monika **Mystkowska** – *Bibliografia zawartości 12 numerów „Rocznika Lwowskiego” (1991–2006)* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2006) 10,–
- Jurij **Smirnow** – *Lwowski kościół św. Marii Magdaleny* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2006) 10,–
- Jurij **Smirnow** – *Kościół PP Klarysek – garnizonowa świątynia przedwojennego Lwowa* (odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2007) 10,–
- Lech **Kokociński** – *Przyczynki do dziejów Mieszczkańskiego Towarzystwa Strzeleckiego we Lwowie* (Odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2008-2009). 10,–

- Janusz **Wasyłkowski** – *Teatr z ulicy Kopernika*. Polski Teatr Ludowy we Lwowie 1958–2008, s. 175, nlb. 17, il. 20,–
- III Dni Kultury Ormiańskiej w Gliwicach. Materiały informacyjne, s. 59, nlb. 4, il. 10,– 20,–
- Bogdan Stanisław **Kasprowicz** – *Moje Betlejem. Kolędy kresowe*, s. 16 (wyczerpane)
- Bogdan Stanisław **Kasprowicz** – *Dęby w ogrodzie* (wiersze o tematyce kresowej i ormiańskiej) 10,–
- Zbigniew **Adriański** – *O batuszce, co ptakiem latał*. Opowiadania i gawędy znad Horynia i Bugu, s. 81 15,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Najbardziej lwowski z lwowskich pisarzy* – Kornel Makuszyński (1884–1953), (Odbitka z „Rocznika Lwowskiego 2012–2013”) 10,–
- Jurij **Smirnow** – *Katedra greckokatolicka p.w. Św. Jura we Lwowie* (Odbitka z „Rocznika Lwowskiego” 2014–2016) 10,–

INNE:

- Stanisław **Bockenheim** – *Appassionaria* (powieść), s. 363 20,–
- Stanisław **Bockenheim** – *Pajacyki i gliniarze* (współczesna opowieść sensacyjna, której akcja rozgrywa się we Wrocławiu), s. 175 24,–
- Jerzy **Przeździecki** – *Nasz Brat Kain* (powieść science fiction), s. 220 10,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Samotny jak pies w butonierce. 200 limeryków, w tym jeden sprośny, no, może nie jeden*, s. 71 10,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Benudasz. Sztuka w 8 obrazach* (na motywach dziejów Chrystusa i Judasza), s. 73 12,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Królewski błazen. Zabawa historyczno-literacka w 3 aktach* (komedia nawiązująca do fragmentów historii Polski), s. 68 12,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Przegrańcy. Rzecz o moralności w ogóle i nie tylko w 2 aktach*, s. 76 18,–
- Jerzy B. **Miecznik** – *Honorne wierchy Tatr* (gawęda o najtrudniejszych do zdobycia szczytach tatrzańskich), s. 136 20,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Na rzecz Wolnej Polski. Towarzystwo Polskie w Danii i jego poprzednicy (1973–2001)*, s. XVI, 151, nlb. 8, il. 6,–
- Janusz **Wasyłkowski** – *Łatwo się pisze wiersz o miłości*, s. 22 7,–

Kazimiera Zawistowska (?) – <i>Krzyk oszalałego serca. Erotyki</i> , s. 30 (odkrycie literackie – nieznane, pełne erotyzmu sonety przedwcześnie zmarłej podolskiej poetki)	6,-
Karl H. Hiller – <i>Spowiedź niedoszłego Herrenmenscha</i> , s. 101	15,-
Janusz Wasyłkowski – <i>Drzewostan. Wiersze sprzed lat</i> , s. 157	12,-
Jarosław Abramow-Newerly – <i>Gęsi za wodą. Gorzka komedia w 2 aktach</i> , s. 96	12,-
Andrzej Jarecki – <i>Marysia i Napoleon. Komedia z piosenkami w 3 aktach z epilogiem</i> , s. 98	12,-
Krzysztof Choiński – <i>Karczma. Sztuka w 3 aktach</i> , s. 96	12,-

Dokumenty

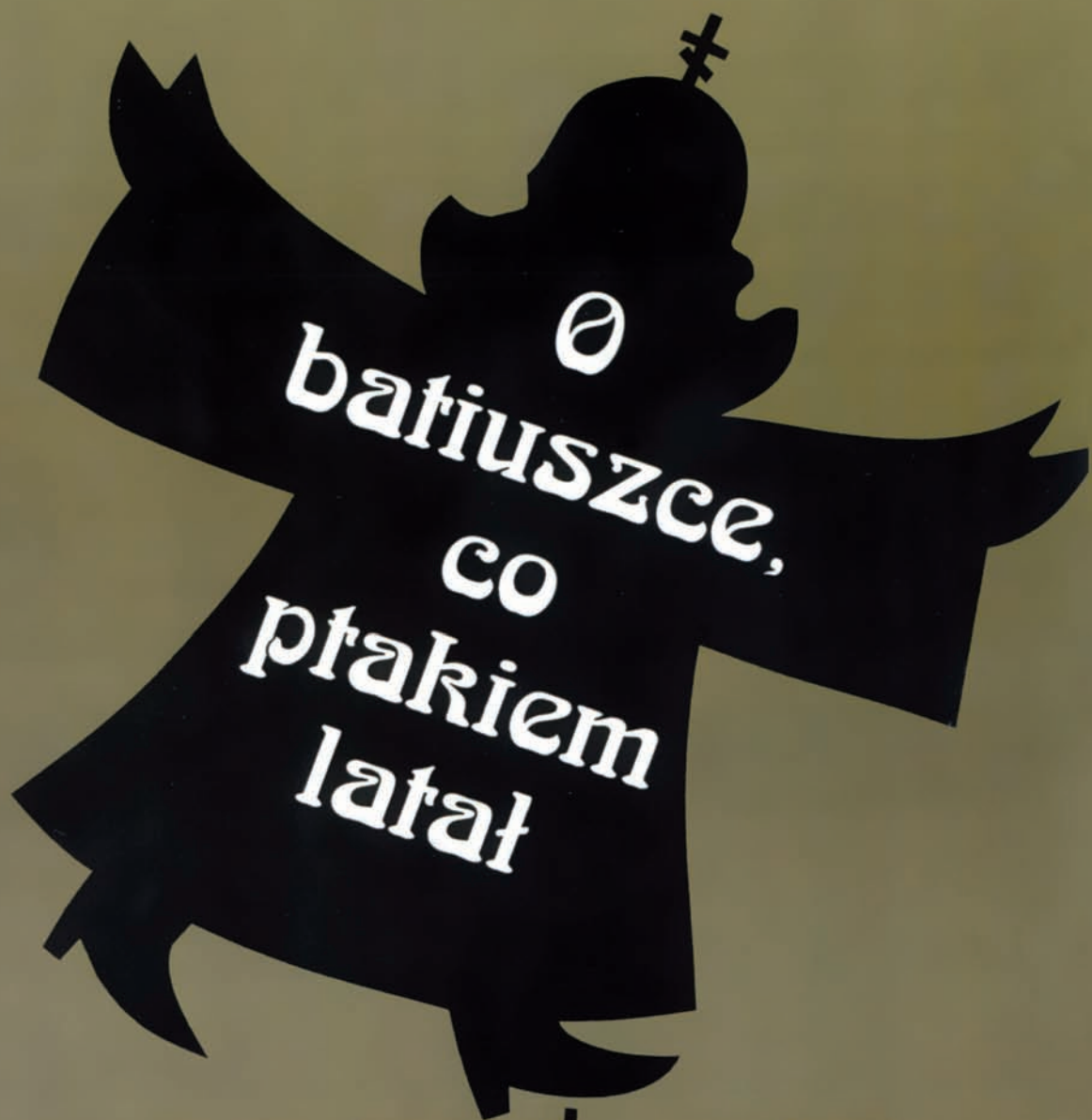
OBRONY

LWOWA

1939

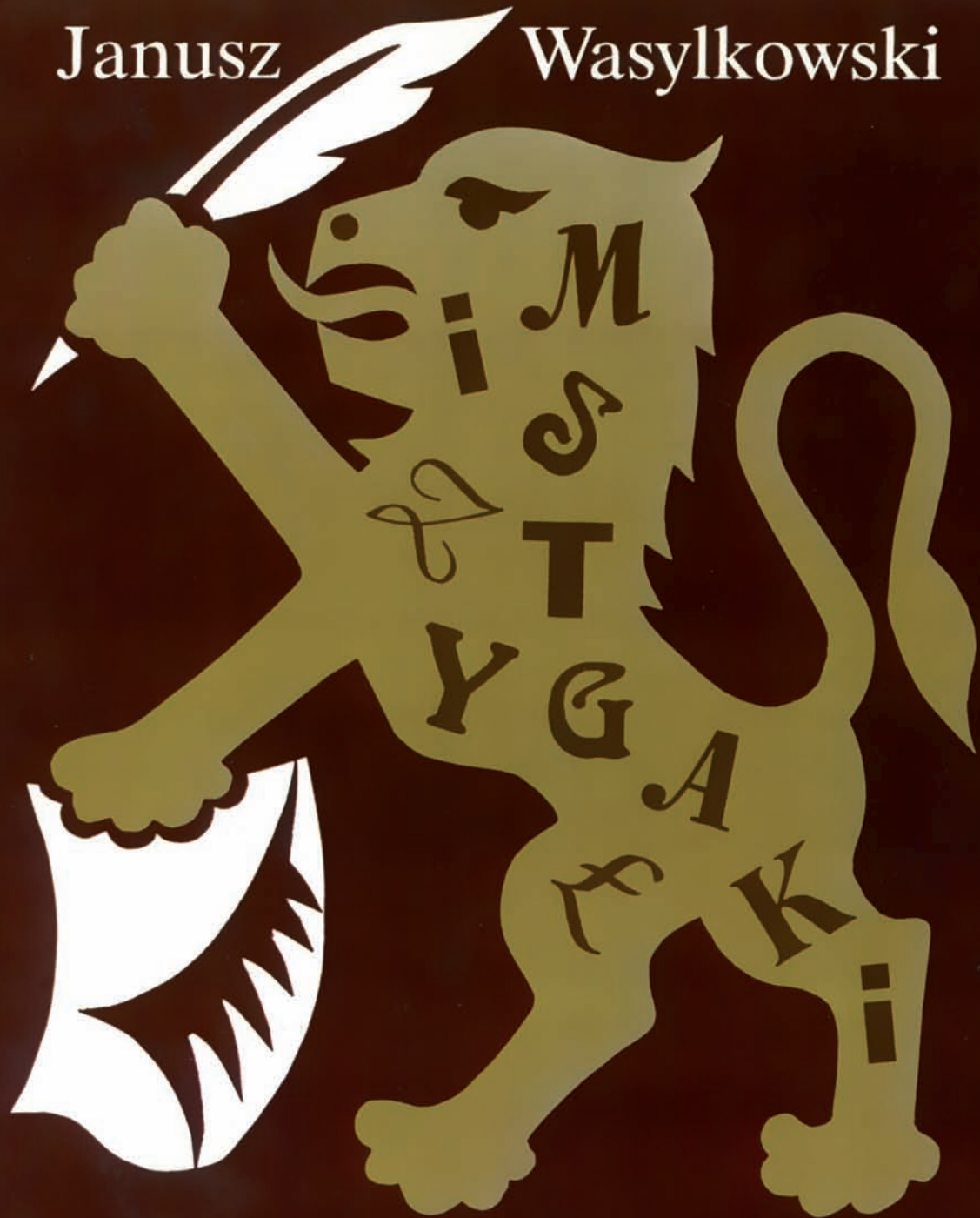
INSTYTUT LWOWSKI

Zbigniew Adrjański



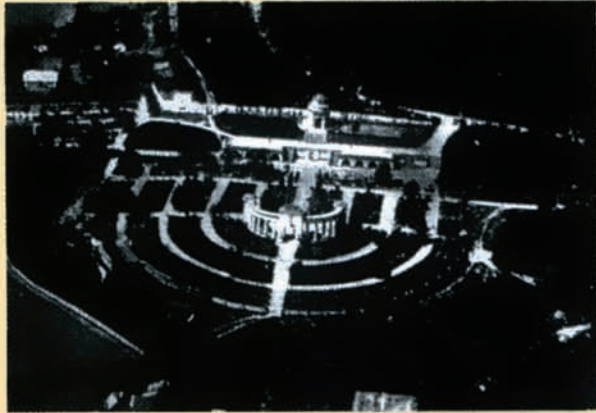
Janusz

Wasylkowski



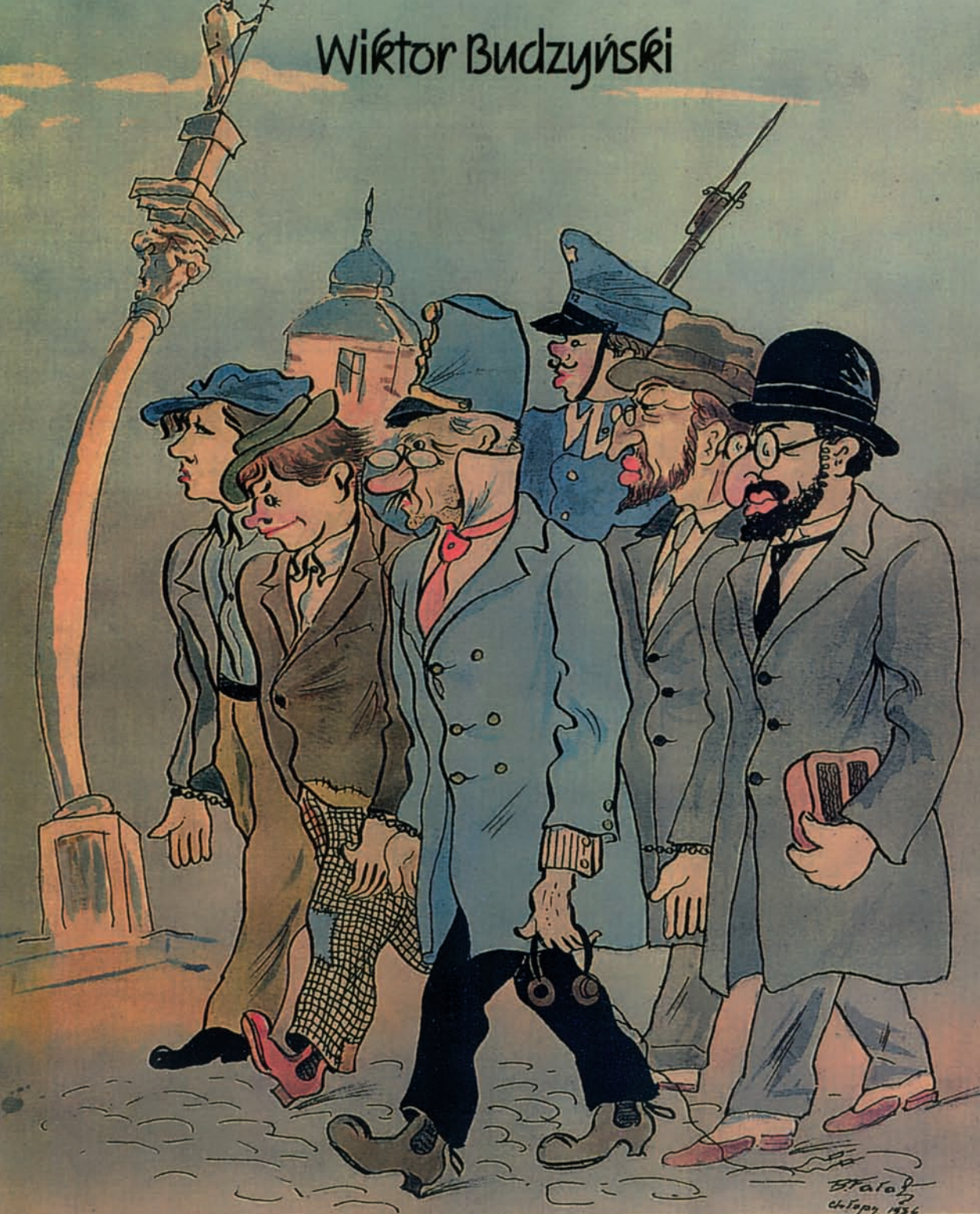
LWOWSKIE
MISZTYGAŁKI

Jan Wojciech Wingralek



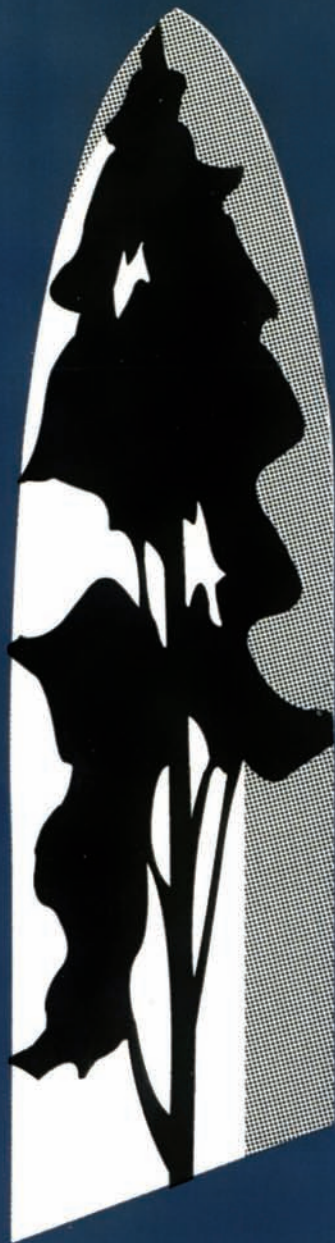
Tam,
gdzie lwowskie
śpią Orłęta...

Wiktor Budzyński



ROZMÓWKI PANÓW
APRIKOSENKRANCA I UNTENBAUMMA

Maria Bielecka-Kasprowicz



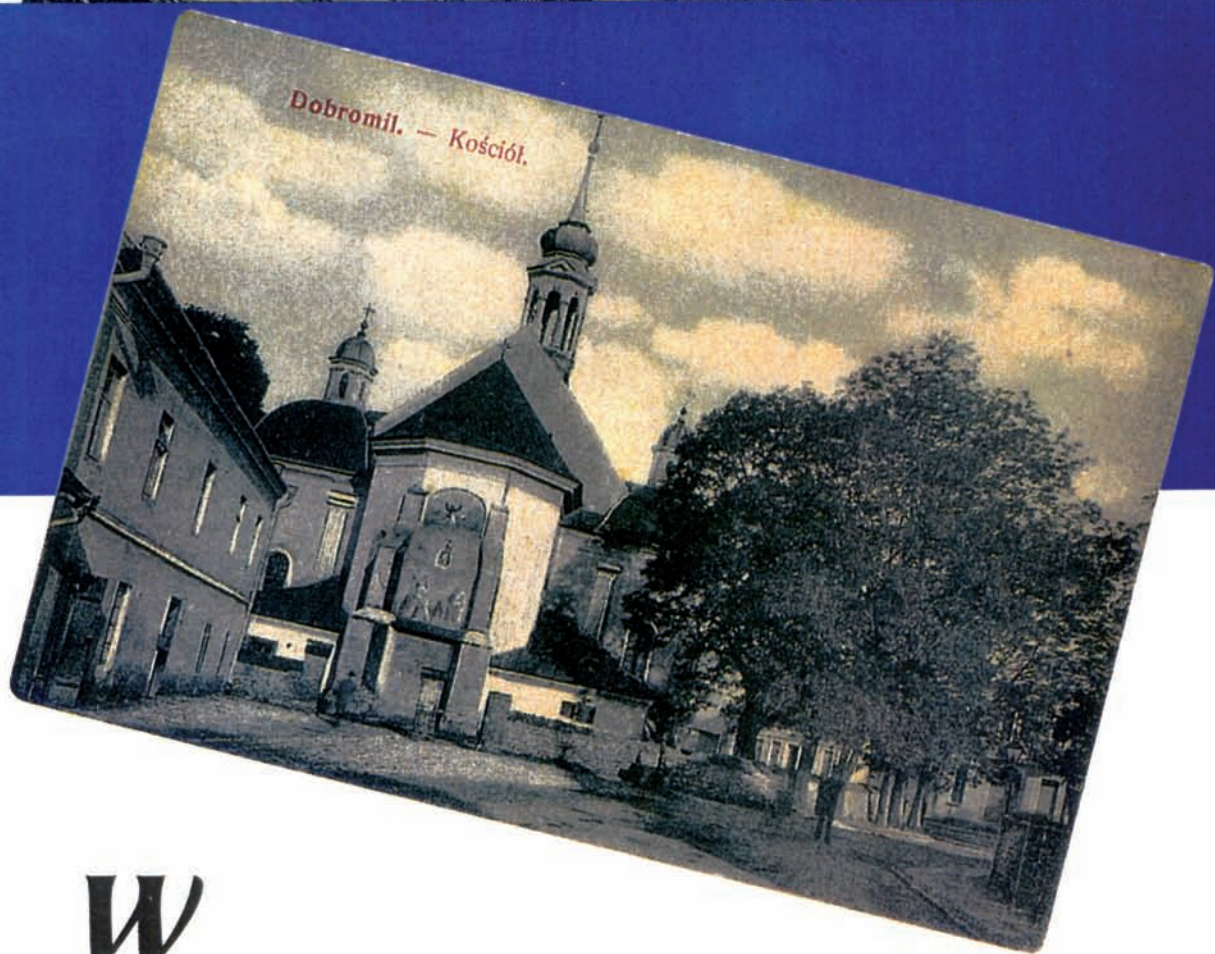
WIDZENIE
ŚWIATA

Stanisław Klimpel

Dobromil.
Stacya Koleji.



Dobromil. — Kościół.



W
dolinie **WYRWEY**

Bogdan St. Kasprowicz

MOIM MIASTOM

wiersze i piosenki
z Bytomiem i Lwowem w tle



1250 – 2000



1254 - 2004

Stanisław
Klimpel

W dolinie



STRWIAŻA



MARIAN JONKAJTYS
W SYBIRU
BIAŁEJ DŻUNGLI



Bogdan Stanisław Kasprowicz

MOJE BETLEJEM

kołedy kresowe



Instytut Lwowski
Warszawa 2013

Janusz Wasylkowski

TEATR

Z

ulicy
Kopernika

